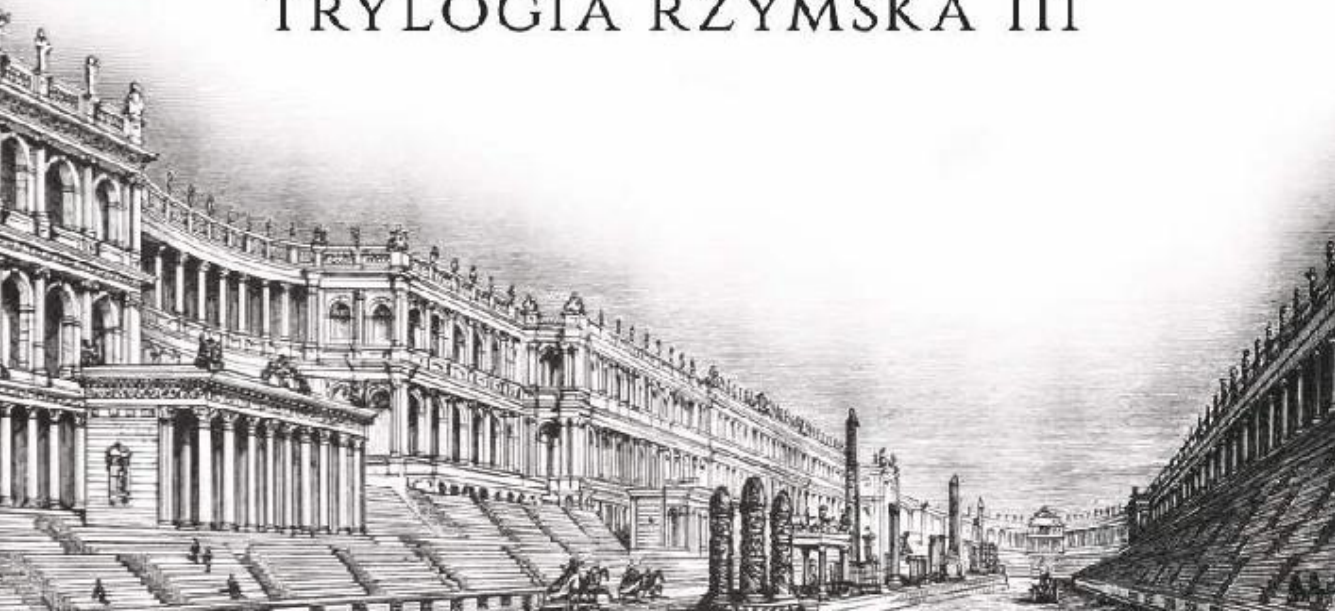


ROBERT
HARRIS



DYKTATOR

TRYLOGIA RZYMSKA III



O książce

POWIEŚĆ HISTORYCZNA
W BARWNY SPOSÓB PRZEDSTAWIAJĄCA OSTATNI
OKRES
Z ŻYCIA CYCERONA I UPADEK REPUBLIKI RZYMSKIEJ.
KSIĄŻKA, PRZY KTÓREJ NIE SPOSÓB SIĘ POWSTRZYMAĆ
PRZED PORÓWNIANIAMI Z PÓŹNIEJSZYMI
WYDARZENIAMI
HISTORYCZNYMI, RÓWNIEŻ Z TYMI NAJNOWSZYMI.

MAREK TULIUSZ CYCERO

BYŁY KONSUL, CZŁOWIEK, DLA KTÓREGO
POLITYKA JEST
SENSEM ŻYCIA, MUSI STANAĆ W OBRONIE
REPUBLIKI.
I TAK JAK DOTĄD JEGO OREŹEM NIE BĘDZIE
MIECZ.

Marek Cyncero musi uciekać z Rzymu, a jego dom zostaje podpalony przez motłoch. Na mocy dekretu wydanego przez bezwzględniego trybuna Klodiusza każdy, kto

udzieli mu pomocy, odpowie za to gardłem. Załamany Ciceró, od którego odwraca się większość możnych przyjaciół, udaje się na wygnanie do Tesalonik. W polityce jednak nic nie trwa wiecznie. Kiedy kończy się wszechwładza Klodiusza, wspieranego militarnie przez Juliusza Cezara, Ciceró wraca do Rzymu, bez którego jako „zwierzę polityczne” nie może żyć. I znów jest w centrum wydarzeń... Czasem nimi steruje, czasem pada ich ofiarą.

ROBERT
HARRIS



DYKTATOR
TRYLOGIA RZYMSKA III

Z angielskiego przełożył
ANDRZEJ SZULC



Wydanie elektroniczne

Robert Harris

Brytyjski pisarz i dziennikarz; pracował m.in. dla BBC i współpracował jako komentator polityczny z „The Observer”. Autor kilku książek popularnonaukowych, ale przede wszystkim dziesięciu przetłumaczonych na prawie czterdzieści języków powieści: thrillerów – **Vaterland, Enigma, Archangielsk, Autor widmo, Indeks strachu** (pierwsze cztery zostały sfilmowane) – a także powieści historycznych z elementami sensacji – **Pompeje, Oficer i szpieg** (adaptację filmową przygotowuje Roman Polański) oraz „Trylogia rzymska”, w której ukazały się **Cycero, Spisek i Dyktator**.

Tego autora

ARCHANGIELSK
ENIGMA
INDEKS STRACHU
POMPEJE
AUTOR WIDMO
OFICER I SZPIEG

Trylogia rzymska

CYCERO
SPISEK
DYKTATOR

Tytuł oryginału:
DICTATOR: VOL 3 OF THE ROMAN TRILOGY

Copyright © Robert Harris 2015
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.
2016

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2016

Redakcja: Anna Walenko

Konsultacja naukowa: dr Włodzimierz Sochacki

Ilustracje: British Library/public domain

Projekt graficzny okładki i serii: Wydawnictwo Albatros Andrzej
Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-363-2

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |

Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim,

*nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie,
kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest
nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, 88em.eu

Dla Holly

Spis treści

Dramatis personae

Część pierwsza – Wygnanie

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

Część druga – Powrót

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

Słowniczek

Od autora

Podziękowania

Przypisy

Dramatis personae

AFRANIUSZ LUCJUSZ – sojusznik Pompejusza z jego rodzinnego regionu Picenum, jeden z dowódców armii w wojnie z Mitrydatesem, konsul w 60 roku p.n.e.

AGRYPA MAREK WIPSANIUSZ – najbliższy współpracownik Oktawiana, dwudziestolatek.

AHENOBARBUS LUCJUSZ DOMICJUSZ – senator i patrycjusz, pretor w 58 roku p.n.e., mąż siostry Katona; zaciekły wróg Cezara.

ANTONIUSZ MAREK – pod dowództwem Cezara w Galii zyskał sławę jako dzielny i przedsiębiorczy żołnierz; wnuk słynnego mówcy i konsula, pasierb jednego ze spiskowców Katyliny, straconego na rozkaz Cyncerona.

ATTYK TYTUS POMPONIUSZ – najbliższy przyjaciel Cyncerona, ekwita, epikurejczyk, niezmiernie bogaty; ożeniony z Pomponią, siostrą Kwintusa Cyncerona.

BALBUS LUCJUSZ KORNELIUSZ – bogaty Hiszpan, początkowo popierający Pompejusza, a potem Cezara, którego interesy reprezentował w Rzymie.

BIBULUS MAREK KALPURNIUSZ – konsularny kolega Cezara w 59 roku p.n.e. i jego zawzięty oponent.

BRUTUS MAREK JUNIUSZ – potomek w linii prostej Brutusa, który w VI wieku p.n.e. wypędził królów z Rzymu i ustanowił republikę; syn Serwili, siostrzeniec Katona, jeden z głównych rzymskich konstytucjonalistów.

CEZAR GAJUSZ JULIUSZ – były konsul, członek „triumwiratu”, który stworzył wraz z Pompejuszem i Krassusem; namiestnik trzech rzymskich prowincji: Galii Przedalpejskiej, Galii Zaalpejskiej oraz Bitynii; o sześć lat młodszy od Cyncerona; ożeniony z Kalpurnią, córką Lucjusza Kalpurniusza Pizona.

CYCERO KWINTUS TULIUSZ – młodszy brat Cyncerona, senator i żołnierz; ożeniony z Pomponią, siostrą Attyka; w latach 61–58 p.n.e. namiestnik Azji.

CYCERO KWINTUS TULIUSZ JUNIOR – bratanek Cyncerona.

CYCERO MAREK TULIUSZ JUNIOR – syn Cyncerona.

DECYMUS – właściwe nazwisko: BRUTUS DECYMUS JUNIUSZ ALBINUS, nie mylić z BRUTUSEM (powyżej); wybitnie uzdolniony młody dowódca w Galii; protegowany Cezara.

DOLABELLA PUBLIUSZ KORNELIUSZ – trzeci mąż Tulii, jeden z najbliższych podwładnych Cezara – młody, czarujący, ambitny, lubieżny i brutalny.

FILIPPUS LUCJUSZ MARCJUSZ – wkrótce po powrocie Cyclerona z zesłania wybrano go na konsula; ożenił się z siostrzenicą Cezara, Acją, i został ojczymem Oktawiana; jego willa sąsiadowała z domem Cyclerona nad Zatoką Neapolitańską.

FILOTYMUS – zarządca majątku Terencji, człowiek o wątpliwej uczciwości.

FULWIA – żona Klodiusza; później wyszła za Marka Antoniusza.

HIRCJUSZ AULUS – jeden z oficerów sztabowych Cezara w Galii, przygotowywany do kariery politycznej; słynny smakosz; pomagał Cezarowi pisać jego *Komentarze*.

HORTENSJUSZ HORTALUS KWINTUS – były konsul, przez wiele lat, póki jego miejsca nie zajął Cycero, czołowy adwokat w rzymskiej palestrze; przywódca stronnictwa patrycjuszy, niezmiernie bogaty; podobnie jak Cycero polityk, a nie żołnierz.

KALENUS KWINTUS FUFIUSZ – stary komiliton Klodiusza i Antoniusza, poplecznik Cezara i wróg Cyclerona, teść Pansy.

KASJUSZ GAJUSZ LONGINUS – senator i utalentowany żołnierz; ożeniony z córką Serwili, Junią Tercją, przez co stał się szwagrem Brutusa.

KATON MAREK PORCJUSZ – przyrodni brat Serwili, wuj Brutusa, stoik i surowy obrońca tradycyjnych wartości republikańskich.

KLODIA – potomkini jednego z najznakomitszych rodów rzymskich, Klaudiuszów Appiuszów, siostra Klodiusza, wdowa po Metellusie Celerze.

KLODIUSZ PULCHER PUBLIUSZ – potomek patrycjuszowskiej dynastii Klaudiuszów Appiuszów, były szwagier Lucjusza Lukullusa, brat Klodii, z którą podobno łączył go związek kazirodczy; na wytoczonym mu procesie o świętokradztwo Cycero zeznawał przeciwko niemu; na wniosek Cezara przeszedł do stanu plebejskiego i został wybrany na trybuna.

KORNUTUS MAREK – jeden z oficerów Cezara, w 44 roku p.n.e mianowany trybunem miejskim.

KRASSIPES FURIUSZ – drugi mąż Tulii, senator, przyjaciel Krassusa.

KRASSUS MAREK LICYNIUSZ – były konsul, członek „triumwiratu”; brutalnie stłumił bunt niewolników pod wodzą Spartakusa; najbogatszy człowiek w Rzymie, zawzięty rywal Pompejusza.

KRASSUS PUBLIUSZ – syn triumwira Krassusa, dowódca konnicy w armii Cezara w Galii, wielbiciel Cyclerona.

LABIENUS TYTUS – żołnierz i były trybun z Picenum, rodzinnego regionu Pompejusza, jeden z najzdolniejszych dowódców Cezara w Galii.

LEPIDUS MAREK EMILIUSZ – senator ze stronnictwa patrycjuszów, ożeniony z córką Serwili, członek Kolegium Kapłanów.

MILON TYTUS ANNIUSZ – zahartowany w ulicznych bojach polityk, właściciel szkoły gladiatorów.

NEPOS KWINTUS CECYLIUSZ METELLUS – pełnił urząd konsula, gdy Cyncero wrócił z wygnania.

OKTAWIAN GAJUSZ JULIUSZ CEZAR – wnuk wujeczny Cezara i jego spadkobierca.

PANSA GAJUSZ WIBIUSZ – jeden z dowódców Cezara w Galii.

PIZO LUCJUSZ KALPURNIUSZ – konsul w okresie, gdy Cyncero przebywał na wygnaniu, i z tego względu jego wróg; teść Cezara.

PLANCJUSZ GNEJUSZ – kwestor Macedonii; jego rodzina pochodziła z tego samego regionu Italii co Cynceronowie i była z nimi zaprzyjaźniona.

POMPEJUSZ GNEJUSZ WIELKI – urodził się w tym samym roku co Cyncero; przez wiele lat najpotężniejszy człowiek w Rzymie, były konsul i zwycięski dowódca, który dwukrotnie odprawił triumf; członek „triumwiratu” wraz z Cezarem i Krassusem; ożeniony z córką Cezara, Julią.

RUFUS MAREK CELIUSZ – były uczeń Cyncerona, najmłodszy senator w Rzymie, błyskotliwy, ambitny, nieobliczalny.

SERWILIA – ambitna i obeznana w polityce przyrodnia siostra Katona; była bardzo długo kochanką Cezara; urodziła trzy córki i syna Brutusa; ojcem tego ostatniego był jej pierwszy mąż.

SERWIUSZ SULPICJUSZ RUFUS – rówieśnik i stary przyjaciel Cyncerona, uznawany za jednego z największych prawniczych ekspertów w Rzymie; mąż Postumii, kochanki Cezara.

SPINTHER PUBLIUSZ KORNELIUSZ LENTULUS – pełnił urząd konsula, gdy Cyncero powrócił z wygnania; wróg Klodiusza i przyjaciel Cyncerona.

TERENCJA – żona Cyncerona; dziesięć lat młodsza od męża, bogatsza i pochodząca z bardziej arystokratycznej rodziny; słabo wykształcona dewotka o konserwatywnych poglądach politycznych; matka dwojga dzieci Cyncerona, Tulii i Marka.

TIRON – związany blisko z Cyncerem prywatny sekretarz domowy niewolnik; trzy lata młodszy od swojego pana; wynalazca stenografii.

TULIA – córka Cyncerona.

WATIA PUBLIUSZ SERWILIUSZ IZAURYKUS – patrycjusz, syn jednego z najznamienitszych dawnych senatorów, który mimo to poparł Cezara; wybrany na pretora w 54 roku p.n.e.

WATYNIUSZ PUBLIUSZ – senator i żołnierz, słynny ze swojej brzydoty, bliski sojusznik Cezara.

„Melancholia starożytnego świata wydaje mi się głębsza niż u współczesnych, którzy wszyscy w mniejszym lub większym stopniu sugerują, iż za czarną otchłanią leży nieśmiertelność. Ale dla starożytnych ta »czarna dziura« sama była nieskończonością; ich wyobrażenia wylaniały się i znikały na tle niezmiennego hebanu. Żadnych płaczów, żadnych konwulsji – nic poza nieruchomym, zadumanym spojrzeniem. Gdzieś między Cyceronem a Markiem Aureliuszem, kiedy bogowie przestali istnieć, a Chrystus jeszcze nie nadszedł, w dziejach nastąpił jedyny w swoim rodzaju moment, gdy człowiek stanął sam. Nigdzie indziej nie odnajduję tej szczególnej wielkości”.

Gustaw Flaubert, list do pani Rogerowej des Genettes, 1861

„Żywy Cycero zmieniał życie na lepsze. Potrafią to sprawić również jego listy, o czym może się przekonać ten czy inny student, odsuwający od siebie nasze nędzne utrapienia, by zamieszkać pośród odzianych w togi ludzi Wergiliusza, zdesperowanych władców większego świata”.

D.R. Shackleton Bailey, *Cicero*, 1971



Italia Cyclerona



Część pierwsza

WYGNANIE

58–47 rok p.n.e.

*Nescire autem quid ante quam natus sis acciderit, id est semper esse
puerum.*

*Quid enim est aetas hominis, nisi ea memoria rerum veterum cum
superiorum
aetate contextitur?*

„Ten, kto nie wie, co się wydarzyło, nim przyszedł na świat,
pozostanie
na zawsze dzieckiem. Bo cóż warte jest ludzkie życie, jeśli
przez znajomość historii nie wiąże się z życiem naszych przodków?”

Cycero, *Orator*, 46 rok p.n.e.

I



Pamiętam ścigające nas nad pogrążonymi w mroku polami Lacjum trąbki Cezara – ich tęskne, ostre zawrodożenie, podobne do tego, które wydają zwierzęta w rui – i to, że gdy ucichły, słychać było tylko nasze zdyszane oddechy i lód chrzęszczący pod podeszwami butów.

Nieśmiertelnym bogom mało było tego, że Cyclerona opluli i napiętnowali współobywatele; że w środku nocy musiał opuścić domowe ognisko i ołtarze przodków; i że uciekając pieszo z Rzymu, zobaczył za sobą swój stojący w płomieniach dom. Do wszystkich tych nieszczęść uznali za stosowne dorzucić jeszcze jedną wyrafinowaną udrękę: kazali mu słychać, jak wojsko jego wroga zwija obóz na Polu Marsowym.

Choć Cyncero był w naszej grupce najstarszy, dzielnie dotrzymywał nam kroku. Nie tak dawno jeszcze życie Cezara było w jego rękach. Mógł go zgnieść tak, jak zgniata się jajko. Teraz opatrność wiodła ich w przeciwnych kierunkach. Podczas gdy Cyncero podążał na południe, uciekając przed swymi wrogami, architekt jego klęski maszerował na północ, by objąć rządy w dwóch prowincjach Galii¹.

Cyncero szedł ze spuszczoną głową, nie mówiąc ani słowa, i domyślałem się, że jest po prostu zbyt przygnębiony, by się odzywać. Dopiero o świcie, gdy dotarliśmy do Bovillae, gdzie czekały na nas konie i miał się zacząć drugi etap naszej ucieczki, Cyncero zastygł nagle w bezruchu przy drzwiczkach powozu.

– Nie sądzisz, że powinniśmy zawrócić? – spytał.

To pytanie mnie zaskoczyło.

– Nie wiem – odparłem. – Nie zastanawiałem się nad tym.

– Więc teraz się zastanów. Wy tłumacz mi. Dlaczego uciekamy z Rzymu?

– Z powodu Klodiusza i podjudzanego przezeń motłochu.

– A dlaczego Klodiusz jest taki potężny?

– Bo jest trybunem i może wydawać prawa, które są w ciebie wymierzone.

– A kto umożliwił mu zostanie trybunem?

– Cezar – odrzekłem po krótkim wahaniu.

– Otóż to. Cezar. Twoim zdaniem to zbieg okoliczności, że wyrusza do Galii właśnie teraz? Oczywiście, że nie! Czekał, aż jego szpiedzy doniosą mu, że opuściłem miasto, i dopiero wtedy wydał armii rozkaz do wymarszu. Dlaczego? Zawsze zakładałem, że spuścił ze smyczy Klodiusza, by ukarać mnie za to, że przeciw niemu wystąpiłem. Ale może przez cały czas zależało mu wyłącznie na tym, by wypłoszyć mnie z Rzymu? Dlaczego zwlekał z wymarszem z miasta, dopóki nie zyskał pewności, że mnie już w nim nie ma?

Powinienem dostrzec, że w tym, co mówił, tkwiła pewna logika. Powinienem namówić go, żeby zawrócił. Byłem jednak zbyt wyczerpany, by jasno rozumować. I jeśli mam być szczerzy, chodziło o coś więcej. Za bardzo bałem się tego, co mogłyby nam uczynić zbiry Klodiusza, gdyby złapały nas w trakcie powrotu do miasta.

– To trafne pytanie – odparłem zamiast tego – i nie będę udawał, że znam na nie odpowiedź. Ale czyż nie wyjdziemy na niezdecydowanych, gdy po tym, jak pożegnaliśmy się ze wszystkimi, pojawimy się nagle z powrotem? Poza tym Klodiusz zdążył już spalić nasz dom... dokąd mamy wrócić? Kto nas przygarnie? Moim zdaniem rozsądniej będzie, jeśli zrealizujemy twój pierwotny plan, panie, i postaramy się wyjechać jak najdalej od Rzymu.

Cycero oparł głowę o ścianę powozu i zamknął oczy. Wstrząsnęło mną to, jak mizernie wyglądał

w bladym świetle poranka, po nocy spędzonej w drodze. Od tygodni nie strzygł brody ani włosów i nosił czarną togę. Te publiczne oznaki żałoby sprawiały, że choć miał dopiero czterdzieści dziewięć lat, wydawał się o wiele starszy – niczym jakiś zgrzybiały świętobliwy żebrak.

– Nie wiem, Tironie – stwierdził w końcu i westchnął. – Może masz rację. Od tak dawna nie zmrużyłem oka, że jestem zbyt znużony, by myśleć.

I tak oto – bardziej w wyniku niezdecydowania aniżeli świadomej decyzji – popełniony został fatalny błąd i przez cały ten dzień oraz dwanaście następnych wciąż parliśmy na południe, by znaleźć się jak najdalej od miejsca, w którym, jak sądziliśmy, groziło nam niebezpieczeństwo.

Żeby nie zwracać na siebie uwagi, podróżowaliśmy z jak najmniejszą świtą: tylko woźnica powozu i trzech uzbrojeni niewolnicy na koniach, jeden z przodu i dwaj z tyłu. Pod siedzeniem mieliśmy schowaną małą skrzynkę ze złotymi i srebrnymi monetami, które dał nam na koszty podróży Attyk, najstarszy i najbliższy przyjaciel Cyncerona. Zatrzymywaliśmy się tylko u osób, którym ufaliśmy, nie dłużej niż na jedną noc w każdym domu, omijając szerokim łukiem miejsca, w których Cyncero mógł zostać zatrzymany – na przykład jego nadmorską willę w Formiae, gdzie przede wszystkim mogli go szukać prześladowcy, a także miejscowości

położone nad Zatoką Neapolitańską, jak co roku wypełniające się już spragnionymi zimowego słońca i ciepłych źródeł Rzymianami. Zamiast tego zmierzaliśmy jak najszybciej w stronę czubka italskiego buta.

Zgodnie z planem, który Cyncero ułożył w drodze, chcieliśmy udać się na Sycylię i zostać tam, dopóki w Rzymie nie ustanie wymierzona przeciwko niemu polityczna agitacja. „Motłoch zwróci się w końcu przeciwko Klodiuszowi – przepowiadał – bo taka jest niezmienna natura motłochu. Ten człowiek będzie zawsze moim śmiertelnym wrogiem, ale nie będzie przecież zawsze trybunem – nie wolno nam o tym zapominać. Za dziewięć miesięcy jego urzędowanie dobiegnie końca i wtedy będziemy mogli wrócić”.

Był pewien przyjaznego przyjęcia ze strony Sycylijczyków, choćby z powodu wygranego procesu, jaki wytoczył niegdyś okrutnemu namiestnikowi tej wyspy, Werresowi – mimo że od tego wspaniałego zwycięstwa, które zapoczątkowało jego polityczną karierę, minęło już dwanaście lat i całkiem niedawno to Klodiusz był kwestorem w tej prowincji.

Wysłałem listy zawiadamiające, że Cyncero zamierza szukać tam azylu, i po dotarciu do Regium wynajęliśmy małą sześciowiosłową łódź, która miała nas przewieźć przez cieśninę do Messyny.

Wyłynęliśmy z portu w pogodny zimowy poranek – niebo i morze były olśniewająco błękitne, jedno jasne,

drugie ciemne, dzieląca je linia ostra niczym nóż. Odległość do Messyny wynosiła zaledwie trzy mile. Pokonanie jej zajęło nam niespełna godzinę. Podpłynęliśmy tak blisko, że widzieliśmy już zwolenników Cyncerona, którzy wspięli się na skały, by go powitać. Ale wejścia do portu strzegł okręt wojenny w zielonych i czerwonych barwach namiestnika Sycylii, Gajusza Wergiliusza, i kiedy zbliżyliśmy się do latarni morskiej, podniósł kotwicę i ruszył powoli do przodu, by przeciąć nam drogę. Wergiliusz, który stał na jego dziobie w otoczeniu liktorów, wyraźnie się wzdrygnął, widząc, jak marnie wygląda Cyncero. Zaraz potem pozdrowił go głośno, na co mój pan odpowiedział przyjaznymi słowami. Znali się od wielu lat z senatu.

Wergiliusz zapytał go, jakie ma zamiary.

Cyncero odchrząknął, że oczywiście chce zejść na ląd.

– Tak właśnie słyszałem – odparł Wergiliusz. – Niestety nie mogę na to pozwolić.

– A to dlaczego?

– Z powodu nowego prawa Klodiusza.

– Cóż to za nowe prawo? Jest ich tyle, że można się pogubić.

Wergiliusz skinął na jednego ze swoich podwładnych, który wyciągnął dokument i pochylił się, by mi go wręczyć. Dzielila nas spora odległość i żeby go wziąć, musiałem wspiąć się na palce. Przekazałem go Cynceronowi. Do dziś pamiętam, jak furkotał na wietrze

w jego dłoniach, zupełnie jakby był żywą rzeczą; w ciszy słychać było tylko ten furkot. Cycero przeczytał go nieśpiesznie, po czym oddał mi bez słowa komentarza.

Lex Clodia in Ciceronem

Jako że M.T. Cycero bez przesłuchania i bez wyroku pozbawił życia rzymskich obywateli i w tym celu nadużył władzy i sfalszował dekret senatu, zarządza się niniejszym, by w promieniu czterystu mil od Rzymu odmówiono mu wody i ognia; by pod groźbą śmierci nikt nie ważył się go przyjąć i udzielić mu schronienia; by skonfiskowane zostało całe jego mienie, a dom w Rzymie zburzony, i by wzniesiono na jego miejscu sanktuarium ku czci Wolności; i by dopóty, dopóki ci, których Cycero bezprawnie uśmiercił, nie odzyskają życia, każdy, kto będzie działał, przemawiał, głosował i czynił jakiegokolwiek kroki na rzecz jego powrotu, uznany został za wroga publicznego.

To musiał być dla Cicerona straszliwy cios, ale znalazł w sobie dość siły ducha, by zbyć zagrożenie machnięciem ręki.

– Kiedy opublikowano te brednie? – zapytał.

– Powiedziano mi, że dekret był wysłany z Rzymu przed ośmioma dniami. Wczoraj dotarł do moich rąk.

– W takim razie jeszcze nie obowiązuje i nie będzie obowiązywał, dopóki nie zostanie trzykrotnie odczytany. Potwierdzi to mój sekretarz. Tironie – zwrócił się do mnie – powiedz namiestnikowi, kiedy to prawo może najwcześniej wejść w życie.

Próbowałem to policzyć. Zanim dekret mógł być poddany pod głosowanie, trzeba było odczytać go głośno na Forum w trzy kolejne dni targowe. Jednak to, co przed

chwilą przeczytałem, tak mną wstrząsnęło, że nie mogłem sobie przypomnieć nie tylko, jaki jest właśnie dzień tygodnia, ale też kiedy przypadają dni targowe.

– Za dwadzieścia dni od dzisiaj – zaryzykowałem. – A może za dwadzieścia pięć?

– Widzisz?! – zawołał Cyncero. – Nawet jeśli ustawa przejdzie, co moim zdaniem jest niemożliwe, mam jeszcze trzy tygodnie. – Stał na dziobie kołyszącej się łodzi i zapierając się mocno nogami, rozłożył ręce w błagalnym geście. – Proszę cię, drogi Wergiliuszu, przez wzgląd na naszą dawną przyjaźń! Skoro przebyłem już taki szmat drogi, pozwól mi przynajmniej wylądować i spędzić dzień albo dwa z moimi stronnikami!

– Nie. Jak już mówiłem, przykro mi, ale nie mogę ryzykować. Zapytałem o zdanie moich prawników. Twierdzą, że nawet gdybyś udał się na sam zachodni kraniec wyspy, do Lilybaeum, nadal znajdowałbyś się w odległości trzystu pięćdziesięciu mil od Rzymu, a wtedy Klodiusz mnie dobrałby się do skóry.

W tym momencie Cyncero porzucił uprzejmy ton.

– Nie masz prawa przeszkadzać w podróży obywatelowi Rzymu – oświadczył z gniewem.

– Mam wszelkie prawa, by strzec spokoju mojej prowincji. A tutaj, jak wiesz, prawem jest moje słowo...

W jego głosie brzmiał przeproszający ton. Powiedziałbym nawet, że zakłopotanie. Ale był niewzruszony i po krótkiej gniewnej wymianie zdań nie

pozostało nam nic innego, jak zawrócić i popłynąć z powrotem do Regium. Na ten widok na brzegu podniosły się okrzyki protestu i widziałem, że Cycero jest po raz pierwszy poważnie zaniepokojony. Wergiliusz był jego przyjacielem. Jeśli tak zareagował przyjaciel, to wkrótce mogła zamknąć się przed nim cała Italia. Powrót do Rzymu, by zaskarżyć dekret, stwarzał zbyt wielkie ryzyko. Było na to za późno. Niezależnie od fizycznych zagrożeń, w jakie obfitowałyaby taka podróż, wyglądało na to, że dekret prawie na pewno przejdzie, a wtedy znaleźlibyśmy się w odległości czterystu mil od limitu, który wyznaczał. Żeby pozostać w zgodzie z warunkami wygnania, Cycero musiał natychmiast uciekać za granicę. Z powodu Cezara Galia nie wchodziła oczywiście w grę. Pozostawał zatem jakiś kraj na Wschodzie – Grecja, a być może Azja. Niestety znajdowaliśmy się jednak po niewłaściwej stronie półwyspu, żeby wypłynąć na burzliwe zimowe morze. Musieliśmy dostać się na przeciwległy brzeg, do Brundisium nad Adriatykiem, i znaleźć duży statek nadający się do dłuższej podróży. Byliśmy więc w szczególnie fatalnym położeniu – niewątpliwie zgodnie z zamysłem Cezara, głównego sponsora i patrona Klodiusza.

* * *

Uciążliwa podróż przez góry trwała dwa tygodnie, często w ulewnym deszczu i w większości nędznymi drogami. Choć w mijanych przez nas małych miasteczkach spotykaliśmy się z dość przyjaznym przyjęciem, bez przerwy obawialiśmy się zasadzki. Nocowaliśmy w zadymionych, lodowatych gospodach, posilając się czerstwym chlebem i łykowatym mięsem, których smaku raczej nie poprawiało kwaśne wino. Cycero wpadał to w furję, to w rozpacz. Widział teraz wyraźnie, że opuszczając Rzym, popełnił straszliwy błąd. Doprowadzało go do szału to, że oddał pole Klodiuszowi i pozwolił mu miotać kalumnie, jakoby pozbawił obywateli życia „bez przesłuchania i bez wyroku”, podczas gdy w rzeczywistości wszystkich pięciu spiskowców Katyliny miało prawo do obrony, a ich egzekucję usankcjonował cały senat. Jego ucieczka była jednak równoznaczna z przyznaniem się do winy. Powinien był posłuchać tego, co podpowiadał mu instynkt, i zawrócić w chwili, gdy usłyszał trąbki oznajmiające wymarsz wojsk Cezara. Po raz pierwszy zdał sobie teraz sprawę z popełnionego błędu. Bolał nad ponurym losem, który przez własną głupotę i bojaźliwość ściągnął na żonę i dzieci.

A kiedy przestawał zdręzczać sam siebie, wściekał się na Hortensjusza i „całą tę zgraję arystokratów”, którzy nigdy nie wybaczyli mu, iż mimo niskiego pochodzenia został konsulem i ocalił republikę; a potem umyślnie

nakłaniali go do ucieczki, by móc go zniszczyć. Powinien pójść za przykładem Sokratesa, który twierdził, że śmierć jest lepsza od wygnania. Tak, powinien się zabić! Złapał leżący na stole nóż. Zabije się! Nie odezwałem się ani słowem. Nie brałem jego pogroźek serio. Nie mógł ścierpieć widoku cudzej krwi, a co dopiero swojej. Przez całe życie starał się unikać wojskowych ekspedycji, igrzysk, publicznych egzekucji i pogrzebów – wszystkiego, co mogło mu przypominać o własnej śmiertelności. Jeśli ból był czymś, czego się bał, śmierć go przerażała – i to właśnie, choć nigdy nie ośmieliłbym się powiedzieć mu tego w oczy, było głównym powodem, dla którego uciekł z Rzymu.

Kiedy stanęliśmy w końcu przed murami Brundisium, uznał, że lepiej będzie nie wjeżdżać do miasta. Jego cel podróży był tak oczywisty, a port tak duży i zatłoczony, tak pełen obcych ludzi, że wydawał się idealnym miejscem na zamach. Zamiast tego poszukaliśmy schronienia w nieco dalszej części wybrzeża, w rezydencji starego przyjaciela Cyncerona, Marka Laniusza Flakkusa. Tamtej nocy po raz pierwszy od trzech tygodni spaliśmy w porządnym łóżkach i nazajutrz rano zeszliśmy na plażę. Fale wznosiły się tu o wiele gwałtowniej niż od strony Sycylii, Adriatyk był szary i wzburzony. Silny wiatr ciskał strzępy białej piany na kamienie i skały. Cyncero nie znosił morskich podróży nawet przy dobrej pogodzie; tym razem morze wyglądało szczególnie niebezpiecznie.

A jednak była to nasza jedyna droga ucieczki. Sto dwadzieścia mil za horyzontem leżało wybrzeże Ilirii.

– Nie upadaj na duchu, Cynceronie – powiedział Flakkus, widząc jego minę. – Być może dekret w ogóle nie przejdzie albo zawetuje go któryś z pozostałych trybunów. W Rzymie musi być ktoś, kto cię poprze... może Pompejusz?

Ale Cyncero, ze wzrokiem utkwionym w morzu, nie odpowiedział i kilka dni później dowiedzieliśmy się, że dekret zatwierdzono i Flakkus dopuszcza się ciężkiej zbrodni przez sam fakt, iż gości w swoim domu skazanego na wygnanie. Mimo to przekonywał nas, byśmy zostali. Powtarzał z uporem, że nie boi się Klodiusza. Cyncero nie chciał jednak o tym słyszeć.

– Wzrusza mnie twoja lojalność, stary druhu, ale zaraz po uprawomocnieniu się dekretu ten potwór wysłał pewnie bandę najemnych zbirów, by mnie dopadli. Nie mamy czasu do stracenia.

W porcie Brundisium znalazłem statek handlowy, którego przyciśnięty do muru szyper zgodził się w zamian za sówitą zapłatę przepłynąć w zimie Adriatyk, i nazajutrz rano o pierwszym brzasku, kiedy w pobliżu nie było nikogo, weszliśmy na pokład. Łajba była porządna, z szerokim pokładem i dwudziestoosobową załogą, i zwykle kursowała handlowym szlakiem między Italią a Dyrrachium². Nie znałem się na statkach, lecz ten wydawał się solidny. Szyper oceniał, że rejs zajmie nam

półtora dnia, twierdził jednak, że musimy się pośpieszyć, by wykorzystać sprzyjający wiatr. Dlatego kiedy marynarze szykowali statek do rejsu, a Flakkus czekał na nabrzeżu, Cycero podyktował szybko ostatnią wiadomość do żony i dzieci: *To było wspaniałe życie i wielka kariera – do upadku doprowadziło mnie to, co we mnie dobre, nic złego. Moja droga Terencjo, najwierniejsza i najlepsza z żon, moja ukochana córko Tulio i mały Marku, nasza jedyna pozostała nadziejo – żegnajcie!* Skopiowałem list i przekazałem go Flakkusowi, który uniósł rękę w geście pożegnania. Postawiono żagiel, rzucono cumy, wioślarze wzięli się do wiosła i wkrótce zostawiliśmy za sobą portowe mury i wypłynęliśmy na skąpane w bladoszarym świetle morze.

* * *

Z początku płynęliśmy dość szybko. Cycero stał wysoko nad pokładem, na podwyższeniu dla sterników, opierając się o reling na rufie i patrząc, jak znika za nami wielka latarnia morska w Brundisium. Nie licząc wizyt na Sycylii, opuszczał Italię po raz pierwszy od czasów młodości, kiedy to udał się na Rodos, by uczyć się sztuki wymowy u Molona. Ze względu na swój temperament najmniej ze wszystkich znanych mi ludzi nadawał się na wygnańca. Żeby się rozwijać, potrzebował tego, dzięki czemu funkcjonuje cywilizowane społeczeństwo –

przyjaciół, nowin, plotek, rozmów, polityki, wykwintnych obiadów, wizyt w teatrze i w łaźni, książek i pięknych gmachów; obserwowanie, jak to wszystko coraz bardziej się oddala, musiało mu sprawiać olbrzymi ból.

Tak czy inaczej po niespełna godzinie wszystko to pochłonęła pustka. Wiatr gnał nas mocno do przodu i kiedy przecinaliśmy białe grzywacze, pomyślałem o „huczącej pod stępką purpurowej fali” Homera³. Jednak późnym rankiem statek zaczął stopniowo tracić szybkość. Wielki brązowy żagiel opadł, a po obu naszych stronach sternicy stojący przy rudlach wymieniali między sobą zaniepokojone spojrzenia. Wkrótce na horyzoncie zaczęły się gromadzić gęste czarne chmury i w ciągu godziny zamknęły się nad naszymi głowami niczym kłapa włazu. Zrobiło się ciemniej i spadła temperatura. Morze stało się bardziej wzburzone i znowu zerwał się wiatr, ale tym razem wiał nam prosto w twarz, siekąc wodnym pyłem unoszącym się z powierzchni fal. O rozkołysany pokład zabębnił grad.

Cycero zadrżał, pochylił się, zwymiotował i twarz poszarzała mu jak u nieboszczyka. Objąłem go ramieniem i wskazałem, że powinniśmy zejść na niższy pokład i poszukać schronienia w kajucie. Byliśmy w połowie drabiny, gdy mrok rozjaśniła błyskawica i chwilę później rozległ się ogłuszający, przeraźliwy huk, niczym odgłos pękającej kości albo łamiącego się drzewa. Musieliśmy chyba stracić maszt, bo nagle runęliśmy na

pokład. Wszędzie wokół nas wznosiły się i opadały w świetle błyskawic wielkie, czarne masy wody. Wycie wiatru sprawiało, że nie sposób było niczego powiedzieć ani usłyszeć. W końcu wepchnąłem po prostu Cyclerona do kabiny, wpadłem tam za nim i zatrzasnąłem drzwi.

Próbowaliśmy się wyprostować, ale statek gwałtownie się kołysał. Staliśmy po kostki w wodzie, nie mogąc utrzymać się na nogach. Deski pod naszymi stopami przechylały się to w jedną, to w drugą stronę, a my, niczym wiezione na rzeź zwierzęta, turlaliśmy się w ciemności pośród nieumocowanych narzędzi, dzbanów wina i worków owsa. Wreszcie wcisnęliśmy się w kąt i leżeliśmy tam, przemoczeni i wstrząsani dreszczami, podczas gdy statkiem rzucało w górę i w dół. Byłem pewien, że czeka nas zguba, i zamknąwszy oczy, modliłem się do Neptuna i wszystkich innych bogów o ocalenie.

Minęło dużo czasu. Ile dokładnie, nie mogę powiedzieć – z całą pewnością trwało to do wieczora, przez całą noc i część następnego dnia. Cycero wydawał się zupełnie nieprzytomny; co jakiś czas musiałem dotykać jego policzka, by sprawdzić, czy żyje. Za każdym razem otwierał na krótko oczy i zaraz z powrotem je zamykał. Stwierdził później, że całkowicie pogodził się z tym, że utonie, i był zbyt wyczerpany chorobą morską, żeby się bać; dostrzegł wówczas, że Natura w swojej łasce oszczędza tym, którzy znaleźli się w skrajnym położeniu,

grozy nicości i sprawia, że śmierć zdaje im się upragnionym wybawieniem. Dodał, że kiedy obudził się następnego dnia, uświadomił sobie, że jest już po sztormie i jego egzystencja nie dobiegła końca, odczuł niemal największe zaskoczenie w swoim życiu: „Niestety, jestem w tak rozpaczliwej sytuacji, że prawie tego żałowałem”.

Upewniwszy się, że sztorm się skończył, wyszliśmy na pokład. Marynarze wyrzucali akurat za burtę zwłoki jakiegoś nieszczęśnika, któremu obracający się bom rozbił głowę. Adriatyk był aksamitnie gładki i nieruchomy, takiego samego koloru jak niebo, i ciało zsunęło się do wody prawie bez plusku. Wiatr niósł woń rozkładu i gnicia, której nie rozpoznawałem. Milę dalej ujrzałem wznoszące się nad falami przyboju wysokie czarne skały i doszedłem do wniosku, że sztorm cofnął nas z powrotem do domu i że to musi być wybrzeże Italii. Kapitan wyśmiał jednak moją ignorancję i oznajmił, że to Iliria, a owe skały są słynnymi klifami, które strzegą wejścia do starożytnego portu Dyrrachium.

* * *

Cycero chciał z początku jechać do Epiru, górzystej krainy na południu, gdzie Attyk miał wielką posiadłość, w której skład wchodziła ufortyfikowana wioska. Był to spustoszony region, który nie zdołał się jeszcze podnieść

po straszliwej katastrofie, jaką zgotował mu w poprzednim stuleciu senat, kiedy to w ramach kary za sprzymierzenie się przeciwko Rzymowi zrównano jednocześnie z ziemią wszystkie siedemdziesiąt miast, a całą liczącą sto pięćdziesiąt tysięcy ludność sprzedano w niewolę. Niemniej Cyncero twierdził, że nie będzie mu przeszkadzała samotność w tak odludnym miejscu. Tuż przed naszym opuszczeniem Italii Attyk ostrzegł go jednak – jak pisał, „z żalem” – że jeśli wiadomość o jego obecności się rozejdzie, będzie mógł tam pozostać tylko przez miesiąc; gdyby do tego doszło, sam Attyk, na mocy drugiego punktu dekretu Klodiusza, podlegałby karze śmierci za to, że przygarnął banitę.

Schodząc na ląd w Dyrrachium, Cyncero nie był jeszcze zdecydowany, w jakim kierunku się udać – na południe do Epiru, choć mógł tam znaleźć tylko tymczasowe schronienie, czy też na wschód, do Macedonii, której namiestnik, Apulejusz Saturninus, był jego starym przyjacielem, stamtąd zaś do Grecji i Aten. Tak się złożyło, że decyzja została podjęta za niego. Na nabrzeżu czekał posłaniec – bardzo podenerwowany młody człowiek. Rozglądając się na wszystkie strony, by upewnić się, czy nie jest obserwowany, zaprowadził nas szybko do opuszczonego składu i wyciągnął list. Wysłał go Saturninus, namiestnik. Nie mam go w swoim archiwum, ponieważ kiedy tylko przeczytałem ów list Cynceronowi, ten złapał go i podarł na strzępy. Wciąż jednak pamiętam

sedno sprawy: otóż mimo ich wieloletniej przyjaźni Saturninus „z żalem” (znów ta sama fraza!) zawiadamiał, że nie będzie mógł przyjąć Cyncerona w swoim domu, bo „namiestnikowi Rzymu nie przystoi przyjście z pomocą skazanemu wygnańcowi”.

Głodny, przemoczony i wyczerpany po rejsie Cyncero cisnął na ziemię fragmenty listu i kryjąc głowę w dłoniach, osunął się na belę materiału. W tym momencie posłaniec odezwał się nerwowo:

– Mam jeszcze jeden list, ekscelencjo...

Autorem drugiego listu był jeden z młodszych urzędników namiestnika, kwestor Gnejusz Plancjusz. Jego rodzina mieszkała w sąsiedztwie Cynceronów, na ziemiach ich przodków wokół Arpinum. Plancjusz pisał, że wysyła ten list po kryjomu przez tego samego posłańca, człowieka godnego zaufania; że nie zgadza się z decyzją swojego zwierzchnika; że wzięcie pod opiekę Ojca Narodu będzie dla niego zaszczytem; że kluczowe jest zachowanie wszystkiego w tajemnicy; że wyruszył już w drogę, by powitać go na granicy Macedonii; że załatwił powóz, którym Cyncero będzie mógł wyjechać z Dyrrachium, i że musi się to stać *natychmiast, ze względu na twoje osobiste bezpieczeństwo; błagam cię, panie, byś nie odkładał wyjazdu nawet o godzinę; wyjaśnię wszystko, gdy się spotkamy.*

– Ufasz mu, panie? – zapytałem.

Cyncero wbił wzrok w ziemię.

– Nie. Ale jaki mam inny wybór? – odparł półgłosem.

Z pomocą posłańca zadbałem o to, by nasz bagaż został przeniesiony ze statku do powozu kwestora – nędznego wehikułu, niewiele różniącego się od więziennej celi na kołach, bez resorów i z przybitymi do okien metalowymi kratkami, dzięki którym podróżujący w środku zbieg mógł wyglądać na zewnątrz, lecz jego nikt nie mógł zobaczyć. Z głośnym turkotem wyjechaliśmy z portu do miasta i skręciliśmy w Via Egnatia, wielką drogę prowadzącą aż do Bizancjum. Zaczął padać deszcz ze śniegiem. Kilka dni wcześniej miało tu miejsce trzęsienie ziemi i teraz okolica sprawiała żałosne wrażenie; na poboczu drogi leżały niepochowane zwłoki tubylców, a nieliczne grupki ocalałych zbierały się wśród ruin pod prowizorycznymi namiotami, kuląc się przy dymiących ogniskach. To właśnie ten odór zniszczenia i rozpaczyczułem, gdy dopływaliśmy do brzegu.

Przez cały dzień podróżowaliśmy przez równinę w stronę zaśnieżonych gór, a noc spędziliśmy w małej wiosce otoczonej ze wszystkich stron wysokimi szczytami. Gospoda była nędzna, w izbach na dole szwendały się kozy i kury. Cycero niewiele jadł i nic nie mówił. W tym dziwnym i jałowym kraju, pośród dziko wyglądających ludzi, ostatecznie już popadł w skrajną rozpacz i z największym trudem zdołałem go nazajutrz skłonić, by wstał z łóżka i kontynuował podróż.

Przez dwa dni droga pięła się pod górę, aż wreszcie dotarliśmy do brzegu wielkiego, skutego lodem jeziora. Po jego drugiej stronie leżało miasto Lychnidos, za którym zaczynała się Macedonia, i tam właśnie, na forum, oczekiwał nas Plancjusz. Trzydziestokilkuletniemu, potężnie zbudowanemu mężczyźnie w wojskowym stroju towarzyszyło sześciu legionistów i kiedy wszyscy ruszyli w naszą stronę, wpadłem nagle w panikę, przekonany, że daliśmy się wciągnąć w pułapkę. Lecz serdeczność, z jaką Plancjusz uściskał Cyclerona, i łzy w jego oczach przekonały mnie od razu, że nie ma żadnych podstępnych zamiarów.

Mizerny wygląd Cyclerona wyraźnie nim wstrząsnął.

– Powinieneś odzyskać siły, panie – rzekł – ale niestety musimy natychmiast ruszać.

Następnie powiedział nam to, czego nie ośmielił się zawrzeć w liście: otrzymał mianowicie wiarygodne informacje, iż trzech zdrajcy, których Cycero skazał na wygnanie za udział w spisku Katyliny – Autroniusz Petus, Kasjusz Longinus oraz Marek Leka – szukają go i przysięgli go zabić.

– W takim razie nigdzie na świecie nie będę bezpieczny – stwierdził Cycero. – Jak mamy żyć?

– Jak już mówiłem, pod moją opieką. Jedź ze mną do Tesalonik, panie, i zatrzymaj się pod moim dachem. Do końca ubiegłego roku byłem wojskowym trybunem i nadal jestem w czynnej służbie, dlatego dopóki

pozostaniesz w granicach Macedonii, będą cię strzegli moi żołnierze. Mój dom to żaden pałac, ale jest bezpieczny i możesz w nim mieszkać, jak długo będzie trzeba.

Cycero popatrzył na niego z niedowierzaniem. Poza gością, jakiej udzielił mu Flakkus, była to pierwsza realna oferta pomocy w ciągu ostatnich tygodni – a właściwie miesięcy – i głęboko poruszyło go to, że wyszła od młodzieńca, którego prawie nie znał, podczas gdy starzy sprzymierzeńcy, tacy jak Pompejusz, odwrócili się do niego plecami. Chciał coś powiedzieć, lecz słowa uwięzły mu w gardle i uciekł spojrzeniem.

* * *

Via Egnatia wije się przez góry Macedonii na długości stu pięćdziesięciu mil, następnie zaś wiedzie w dół, ku równinie Amphaxis, aż do portu w Tesalonikach, i tam właśnie, w położonej na uboczu willi w północnej części miasta, dwa miesiące po opuszczeniu Rzymu, dobiegła kresu nasza podróż.

Pięć lat wcześniej Cycero był niekwestionowanym władcą Rzymu i tylko Pompejusz Wielki cieszył się większą sympatią ludu. Teraz stracił wszystko – reputację, pozycję, rodzinę, majątek i ojczyznę; chwilami nawet równowagę umysłu. Ze względów bezpieczeństwa nie wolno mu było w świetle dnia wychodzić z willi. Jego

obecność trzymano w tajemnicy. Przy wejściu stacjonował strażnik. Plancjusz oznajmił swoim podwładnym, że anonimowy gość jest jego starym przyjacielem, którego dotknęła głęboka melancholia. Jak we wszystkich udanych kłamstwach, i w tym stwierdzeniu tkwiło ziarno prawdy. Cycero prawie w ogóle nie jadł, nie odzywał się i nie opuszczał swojego pokoju; jego głośne lamenty słychać było czasami w całym domu. Nie przyjmował żadnych gości, nie chciał się widzieć nawet ze swoim bratem Kwintusem, który przejeżdżał nieopodal po zakończeniu namiestnictwa w Azji. *Nie rozpoznałbyś w swoim bracie człowieka, którego zapamiętałeś* – usprawiedliwiał się, pisząc do niego – *w żywym trupie, jakim jestem, nie pozostał po nim żaden ślad, nic, co by go przypominało*. Staralem się ze wszystkich sił wlać w jego serce trochę otuchy, ale nie bardzo mi się to udawało, bo jak ja, niewolnik, który nigdy nie posiadał niczego, co warto byłoby utracić, mogłem w ogóle zrozumieć jego poczucie straty? Patrząc wstecz, widzę, że moje starania, by wskazać mu pociechę w filozofii, tylko go rozjątrzały. I rzeczywiście, gdy przytoczyłem pewnego razu argument stoików, że do szczęścia wystarczy sama cnota, a status i majątek nie są nam potrzebne, Cycero cisnął we mnie stołkiem.

Przybyliśmy do Tesalonik z początkiem wiosny i zaraz potem wysłałem na własną odpowiedzialność listy do przyjaciół i rodziny Cyclerona, zawiadamiając ich poufnie,

gdzie się ukrywa, i prosząc, by pisali do niego na adres Plancjusza. Trzy tygodnie trwało, nim te listy dotarły do Rzymu, potem kolejne trzy, nim zaczęliśmy dostawać odpowiedzi, a zawarte w nich wieści raczej nie były krzepiące. Terencja opisywała, jak zrównano z ziemią zwęglone ściany ich rodzinnego domu na Palatynie, by zgodnie z zapowiedzią Klodiusza można tam było wznieść – o ironio! – sanktuarium ku czci Wolności. Splądrowano willę w Formiae, a także wiejską posiadłość w Tusculum, a sąsiedzi wywieźli nawet kilka drzew z jego ogrodu. Bezdomna Terencja schroniła się z początku u swojej siostry w świątyni westalek.

Ale ten nikczemny łajdak Klodiusz, gwałcąc wszystkie święte prawa, włamał się do świątyni i zawlókł mnie do bazyliki Porcia, gdzie na oczach motłochu miał czelność wypytywać mnie o mój własny majątek! Odmówiłam naturalnie odpowiedzi. Wtedy zażądał, bym ręcząc za swoje dobre zachowanie, przekazała mu jako zakładnika naszego małego syna. W odpowiedzi wskazałam obraz przedstawiający zwyciężającego Kartagińczyków Waleriusza i przypomniałam mu, że moi przodkowie walczyli w tej właśnie bitwie, a skoro moja rodzina nigdy nie bała się Hannibala, to ja z całą pewnością nie dam mu się zastraszyć.

Cycero najbardziej niepokoił się o syna. „Pierwszym obowiązkiem każdego mężczyzny jest chronić swoje dzieci, a ja nie jestem w stanie go spełnić”, ubolewał. Marek i Terencja mieszkali teraz w domu jego brata, a uwielbiana przezeń córka Tulia znalazła schronienie pod dachem swych teściów. Tulia, podobnie jak jej matka,

starala się pomniejszać swoje zgryzoty, ale czytając między wierszami, nietrudno było się domyślić, że pielęgnuje chorego męża, łagodnego Gajusza Frugiego, którego nie najlepsze zdrowie nadwątlily ostatnie wypadki. *Ukochana, moje serce wyrywa się do ciebie – napisał Cycero do żony. – I pomyśleć, że ty, najdroższa Terencjo, niegdyś ostoja, do której wszyscy zwracali się ze swoimi kłopotami, znosisz teraz takie udręki! Dzień i noc mam cię przed oczyma. Żegnajcie, moi nieobecni ukochani, żegnajcie.*

Sytuacja polityczna była również niewesoła. Klodiusz i jego stronnicy nadal okupowali świątynię Kastora w południowym rogu Forum. Używając tej twierdzy jako swojej kwatery głównej, mogli zastraszyć głosujących i wprowadzić bądź też zablokować dowolne prawo. Jedna z nowych ustaw, o których się dowiedzieliśmy, mówiła na przykład o aneksji Cypru i obłożeniu podatkiem jego bogactw „dla dobra ludu rzymskiego” – to znaczy w celu sfinansowania darmowych przydziałów zboża, które Klodiusz zapewnił każdemu obywatelowi – i nakładała na Marka Porcjusza Katona obowiązek dokonania tej grabieży. Nie trzeba dodawać, że ustawa przeszła, bo czyż jakakolwiek grupa głosujących sprzeciwiła się kiedykolwiek nałożeniu podatków na kogoś innego, zwłaszcza gdy sama miała z tego odnieść korzyść? Katon z początku się opierał, ale Klodiusz postraszył go, że jeśli sprzeciwi się prawu, zostanie skazany. Ponieważ dla

Katona przestrzeganie prawa było największą świętością, nie miał innego wyboru i musiał się podporządkować. Popłynął na Cypr razem ze swoim młodym bratankiem Markiem Juniuszem Brutusem i po jego wyjeździe Cycero stracił swego najbardziej elokwentnego stronnika w Rzymie.

Senat był bezsilny wobec bezwzględnych metod Klodiusza. Nawet Pompejusz Wielki (Faraon, jak nazywali go prywatnie Cycero i Attyk) zaczął się bać wszechwładnego trybuna, którego sam pomógł stworzyć Cesarowi. Krążyły plotki, że większość czasu spędza na miłosnych igraszkach ze swoją młodą żoną Julią, córką Cezara, podczas gdy jego pozycja polityczna systematycznie słabnie. Chcąc pocieszyć Cycerona, Attyk powtarzał te plotki w listach, z których jeden przetrwał.

Pamiętasz, że kiedy przed kilku laty Faraon przywrócił na tron króla Armenii, zabrał ze sobą do Rzymu jako zakładnika jego syna, żeby stary grzecznie się zachowywał? Otóż zaraz po twoim wyjeździe, mając dosyć goszczenia młodzieńca pod własnym dachem, Pompejusz ulokował go u nowego pretora, Lucjusza Flawiusza. Nasza Królowa Piękności [przezwisek, jakie Cycero nadał Klodiuszowi] naturalnie szybko się o tym zwiędziła i wprosiwszy się na obiad do Flawiusza, oświadczyła, że chce go zobaczyć, a pod koniec posiłku zabrała go ze sobą, jakby był serwetką! Zapytasz pewnie: po co? Ponieważ Klodiusz postanowił, że osadzi na tronie Armenii młodego księcia zamiast jego ojca i to on sam teraz, zamiast Pompejusza, będzie ściągął z niej dla siebie wszystkie daniny. Nie do wiary – ale nie koniec na tym: księżę zostaje wysłany do Armenii na pokładzie statku, zrywa się sztorm i statek zawija z powrotem do portu. Pompejusz rozkazuje Flawiuszowi udać się natychmiast do Ancjum i odzyskać młodego zakładnika. Ale ludzie Klodiusza już tam czekają. Dochodzi do starcia

na Via Appia. Ginie wielu ludzi – wśród nich przyjaciel Pompejusza, Marek Papiriusz.

Od tego czasu sytuacja Pompejusza zmieniła się ze złej na jeszcze gorszą. Kiedy brał niedawno udział w procesie jednego ze swoich stronników (Królowa Piękności wytacza im sprawy jedną po drugiej), Klodiusz zwołał bandę swoich zbirów i zaczął skandować: „Jakie imię nosi nasz lubieżny imperator? Jakie imię nosi ten, który szuka mężczyzny? Kim jest ten, kto drapie się po głowie jednym palcem?”. Po każdym pytaniu potrząsał fałdami togi dokładnie tak, jak to czyni Faraon, i motłoch, niczym chór w amfiteatrze, udzielał mu rykiem odpowiedzi: „Pompejusz!”.

Nikt w senacie nie ruszy palcem, by mu pomóc; wszyscy uważają, że opuszczając cię w ten sposób, zasłużył sobie na takie prześladowania...

Jednak sądząc, że te wieści podniosą przyjaciela na duchu, Attyk głęboko się mylił. Wprost przeciwnie, sprawiły one, że Cyncero poczuł się jeszcze bardziej samotny i bezradny. Widząc, że Katon wyjechał, Pompejusz jest zastraszany, senat nie ma władzy, wyborcy są korumpowani, a wszystkie prawa uchwała się pod dyktando motłochu Klodiusza, mój pan wpadł w rozpacz, uznawszy, że nigdy już nie wróci z wygnania. Denerwowały go warunki, w jakich przyszło nam egzystować. W Tesalonikach można miło spędzić początek wiosny. Ale mijały kolejne miesiące i zaczęło się lato – a w lecie to miasto zmienia się w wilgotne, rojące się od komarów piekło. Nawet najmniejszy powiew wiatru nie porusza zeschniętymi roślinami. Powietrze jest duszne. A ponieważ mury miasta zatrzymują skwar, noce bywają jeszcze bardziej parne niż dni. Spałem w izbie obok pokoju Cyncerona... a raczej próbowałem spać. Leżąc

w tej małej klitce, miałem wrażenie, że jestem pieczoną w ceglany piecu świnia, a pot na moich plecach to wytapiający się tłuszcz. Po północy często słyszałem, jak Cycero tłucze się po ciemku w swoim pokoju, jak otwierają się drzwi i bosa stopy człapią po mozaikowej podłodze. Wymykałem się wtedy za nim i z daleka obserwowałem go, pilnując, by nic złego mu się nie stało. Siadywał na dziedzińcu przy skraju wyschniętej sadzawki z nieczynną fontanną i wpatrywał się w świecące gwiazdy, jakby mógł dostrzec w ich położeniu odpowiedź na pytanie, dlaczego tak definitywnie opuściło go szczęście.

Nazajutrz rano często wzywał mnie do siebie. „Tironie – szeptał, ściskając mocno palcami moje ramię. – Muszę się wyrwać z tej dziury. Tracę tutaj zmysły”. Ale dokąd mogliśmy się udać? Marzył o Atenach, względnie o wyspie Rodos. Lecz Plancjusz nie chciał o tym słyszeć; jego zdaniem groźba zamachu była jeszcze większa niż wcześniej, ponieważ rozeszły się wieści o pobycie Cyclerona w regionie. Po jakimś czasie zacząłem podejrzewać, że fakt, iż ma pod swoją kuratelą tak ważną osobę, sprawiał mu dużą satysfakcję i po prostu nie chciał nas wypuścić.

– Plancjusz jest młody i ambitny – powiedział Cycero, kiedy zwierzyłem mu się ze swoich podejrzeń. – Być może liczy na to, że sytuacja w Rzymie się zmieni i kiedyś

poczyta mu się za zasługę, że mnie chronił. Jeśli rzeczywiście tak jest, to czeka go rozczarowanie.

I wreszcie pewnego popołudnia, gdy upał trochę zelżał, wybrałem się do miasta z pakietem listów, które miałem zamiar wysłać do Rzymu. Niełatwo było nakłonić Cyncerona, by wziął się w garść i odpowiedział na przychodzące listy. Kiedy już to robił, była to na ogół litania skarg. *Tkwią tutaj, nie mając z kim rozmawiać ani o czym rozmyślać. Nie ma mniej odpowiedniego miejsca, by znosić klęskę w stanie takiego przygnębienia, w jakim się znalazłem.* Odpisywał jednak, a ja nie chcąc polegać wyłącznie na podróżujących do Rzymu zaufanych osobach, które zabierały od czasu do czasu nasze listy, korzystałem z usług kurierów, za pośrednictwem handlującego z Rzymem macedońskiego kupca, niejakiego Epifanesa.

Był to oczywiście notoryczny oszust i leń, jak większość ludzi w tej części świata. Uznałem jednak, że damę mu wystarczająco wysokie łapówki, by kupić sobie jego dyskrecję. Miał magazyn na zboczu przy porcie, niedaleko Bramy Egnatiańskiej, gdzie nad dachami domów stale wisiał szaroczerwony obłok pyłu wzbijanego przez jadące z Rzymu do Bizancjum wozy. Żeby dotrzeć do jego kantoru, trzeba było przejść przez podwórko, gdzie załadowywano i rozładowywano wozy, i tam właśnie zobaczyłem owego popołudnia rydwan – z dyszlami opartymi o kloce drewna i wyprzężonymi

końmi, które piły hałaśliwie wodę z koryta. Tak bardzo różnił się od zwykłych wozów zaprzężonych w woły, że stanąłem na jego widok jak wryty, a potem podszedłem, by mu się dokładniej przyjrzeć. Najwyraźniej przebył długą drogę – był tak brudny, że nie dało się rozpoznać jego pierwotnego koloru. Robił jednak wrażenie szybkiego, solidnego i przeznaczonego do walki – prawdziwy rydwan bojowy – i kiedy wszedłem na piętro do Epifanesa, zapytałem, do kogo należy.

Kupiec rzucił mi chytre spojrzenie.

– Woźnica nie powiedział, jak się nazywa. Poprosił tylko, żebym przypilnował rydwanu.

– To Rzymianin?

– Bez wątpienia.

– Przyjechał sam?

– Nie, miał towarzysza, chyba gladiatora; obaj młodzi i silni.

– Kiedy przyjechali?

– Przed godziną.

– I gdzie są teraz?

Epifanes wzruszył ramionami, szczerząc żółtawe zęby.

– Kto to może wiedzieć? – mruknął.

Targnęła mną straszliwa obawa.

– Czyżbyś otwierał nasze listy? Kazałeś mnie śledzić?

– Jestem wstrząśnięty, panie. Naprawdę... – Kupiec rozłożył ręce na znak niewinności i rozejrzał się dokoła,

jakby zwracał się do niewidzialnych sędziów. – Jak w ogóle można sugerować coś takiego?

Epifanes! Jak na kogoś, kto zarabiał na życie kłamstwem, robił to wyjątkowo nieudolnie. Odwróciłem się na pięcie, zbiegłem po schodach i popędziłem dalej, zatrzymując się dopiero, gdy ujrzałem w oddali naszą willę. Na ulicy kręcili się dwaj mężczyźni o wyglądzie obwiesiów. Kiedy mnie dostrzegli, zwolniłem kroku. Byłem pewien, że przysłano ich, by zabili Cyncerona. Jeden miał bliznę, która przecinała jego twarz od brwi aż do szczęki (Epifanes miał rację: to był zabijaka wyciągnięty prosto z koszar gladiatorów), a drugi, z opalonymi umięśnionymi nogami i ramionami i twarzą czarną jak Murzyn, mógł być kowalem – sądząc po jego butnej minie, samym Wulkanem.

– Szukamy domu, w którym mieszka Cyncero! – zawołał do mnie, a kiedy zacząłem tłumaczyć, że nie mam pojęcia, o czym mówi, od razu mi przerwał. – Powiedz mu, że Tytus Anniusz Milon przybył z samego Rzymu, by złożyć mu swoje uszanowanie.

* * *

W pokoju Cyncerona było ciemno, świeczka zgasła z braku powietrza. On sam leżał zwrócony twarzą do ściany.

– Milon? – powtórzył apatycznie. – Cóż to za imię? Greckie czy jakie tam? – Obrócił się jednak na plecy i uniósł na łokciach. – Zaczekaj... czy człowiek o tym imieniu nie został niedawno wybrany na trybuna?

– To właśnie on. Jest tutaj.

– Ale skoro jest trybunem elektem, dlaczego nie przebywa w Rzymie? Za trzy miesiące ma objąć swój urząd.

– Mówi, że chce z tobą porozmawiać, panie.

– Przebył długą drogę, by odbyć zwykłą pogawędkę. Co o nim wiemy?

– Nic.

– Może przyjechał, by mnie zabić?

– Niewykluczone. Ma ze sobą gladiatora.

– To nie wzbudza zaufania. – Cycero opadł na plecy, przez chwilę się zastanawiał. – Ale w końcu to bez znaczenia – mruknął. – Równie dobrze mogę zginąć.

Tkwił w swoim pokoju tak długo, że gdy otworzyłem drzwi, oślepiło go światło dnia i musiał osłonić dłonią oczy. Zesztywniały, woskowo blady i na pół zagłodzony, ze zmierzwionymi włosami i brodą, wyglądał jak powstały z grobu nieboszczyk. Trudno się dziwić, że gdy wspierając się na moim ramieniu, wszedł do pokoju gościnnego, Milon w ogóle go nie poznał. Dopiero kiedy usłyszał witający go znajomy głos, wstrzymał oddech, przycisnął rękę do serca, skłonił się i oznajmił, że to najważniejsza chwila i największy zaszczyt w jego życiu,

że niezliczenie wiele razy słyszał Cyncerona przemawiającego w sądach i na rostrach, ale nigdy nie przypuszczał, że pozna jego, Ojca Narodu, we własnej osobie, a tym bardziej znajdującego się w położeniu, w którym będzie mógł (ośmielał się mieć nadzieję) oddać mu jakieś usługi...

Przemawiał dość długo w takim tonie i w końcu wywołało to u Cyncerona reakcję, jakiej nie widziałem u niego od wielu miesięcy: wybuchnął śmiechem.

– No dobrze, znakomicie, młody człowieku, dosyć tego. Rozumiem: cieszysz się, że mnie widzisz! Pozwól. – Postąpił krok do przodu, otwierając ramiona, i obaj mężczyźni mocno się uścisnęli.

W późniejszych latach Cyncerona bardzo krytykowano za to, że zaprzyjaźnił się z Milonem. I to prawda, że młody trybun elekt był nieprzejednany, zapalczywy i zuchwały, ale bywają czasy, kiedy te cechy przydają się bardziej od rozwagi, spokoju i ostrożności – i właśnie takie czasy nadeszły. Poza tym Cyncerona ujęło, że Milon przebył taki szmat drogi, by się z nim spotkać; poczuł, że nie wszyscy postawili na nim krzyżyk. Poprosił go, by został na kolacji i do tego czasu wstrzymał się z tym, co ma do powiedzenia. Doprowadził się nawet trochę do porządku, czesząc włosy i brodę i zmieniając strój na mniej żałobny.

Plancjusz przebywał akurat na północy, w Taurianie, gdzie sprawował sądy, dlatego do kolacji zasiedliśmy tylko my trzej (gladiator Milona, murmillo imieniem

Birria, spożył swój posiłek w kuchni; nawet człowiek tak otwarty jak Cycero, znany z tego, że tolerował niekiedy przy stole aktora, nie godził się ucztować razem z gladiatorem). Jedliśmy w ogrodzie, pod osłoną czegoś w rodzaju namiotu z cienkiej siatki, która miała chronić nas przed komarami, i w ciągu kilku następnych godzin dowiedzieliśmy się co nieco o Milonie i o tym, dlaczego odbył tak trudną, liczącą siedemset mil podróż. Oświadczył, że pochodzi ze szlacheckiej, lecz zubożałej rodziny i został adoptowany przez dziadka ze strony matki. Mimo to, z braku środków, musiał zarabiać na życie jako właściciel szkoły gladiatorów w Kampanii i dostarczał ich na organizowane w Rzymie igrzyska pogrzebowe. („Nic dziwnego, że nigdy o nim wcześniej nie słyszeliśmy”, powiedział mi później Cycero). W związku ze swoim zajęciem przyjeżdżał często do miasta. Przemoc i atmosfera zastraszania, jakie zapanowały pod rządami Klodiusza, napawały go, jak twierdził, grozą. Płakał, widząc, jak Cyclerona nękanie, piętnowano i w końcu wygnano z Rzymu. Uznawszy, że ze względu na to, czym się zajmuje, ma jak mało kto okazję pomóc przywrócić porządek, przez pośredników wystosował do Pompejusza pewną propozycję.

– To, co teraz ujawnię, jest w najwyższym stopniu poufne – oznajmił, zerkając na mnie z ukosa. – Ani jedno słowo nie może wyjść poza te ściany.

– A komu miałbym to powtórzyć? – parsknął Cyncero. – Niewolnikowi, który opróżnia mój nocnik? Kucharzowi, który przygotowuje moje posiłki? Zapewniam cię, że nie widuję się z nikim innym.

– A więc dobrze – rzekł Milon, po czym zdradził nam, co takiego zaproponował Pompejuszowi: mianowicie że odda mu do dyspozycji dwustu świetnie wyszkolonych gladiatorów, by można było odzyskać centrum Rzymu i odebrać Klodiuszowi władzę nad zgromadzeniem ludowym. W zamian poprosił o pewną sumę, która pokryłaby koszty, a także o wsparcie Pompejusza w wyborach na urząd trybuna. – Rozumiesz, panie, że nie mógłbym tego zrobić jako prywatny obywatel... zostałbym postawiony w stan oskarżenia. Powiedziałem mu, że muszę posiadać immunitet urzędu.

Cyncero bacznie mu się przyglądał. Prawie nie tknął jedzenia.

– I cóż na to Pompejusz? – zapytał.

– Na początku zbył mnie niczym. Powiedział, że się zastanowi. Ale potem wydarzyła się ta historia z księciem Armenii, kiedy ludzie Klodiusza zamordowali Papiriusza. Słyszałeś o tym, panie?

– Obiło mi się coś o uszy.

– No więc ta śmierć przyjaciela dała chyba do myślenia Pompejuszowi, bo dzień po tym, jak Papiriusza spalono na stosie pogrzebowym, wezwał mnie do

swojego domu. „Jeśli chodzi o ten twój pomysł, by zostać trybunem... masz moje poparcie”.

– A jak Klodiusz zareagował na to, że cię wybrano? Musiał wiedzieć, jakie masz zamiary.

– Właśnie dlatego tu jestem. I o tym wydarzeniu nie mogłeś słyszeć, panie, bo zaraz po nim opuściłem Rzym i żaden posłaniec nie zdołałby tu dotrzeć przede mną. – Milon przerwał i uniósł puchar, prosząc o więcej wina. Przebył długą drogę, by opowiedzieć tę historię; robił wrażenie urodzonego gawędziarza i nie miał bynajmniej zamiaru się streszczać. – Zdarzyło się to przed dwoma tygodniami, niedługo po wyborach. Pompejusz załatwiał jakieś sprawy na Forum i wpadł na ludzi Klodiusza. Zaczęła się przepychanka i w którymś momencie jeden z nich upuścił sztylet. Widziało to wiele osób i podniósł się krzyk, że chcą zamordować Pompejusza. Jego przyboczni szybko zabrali go stamtąd do domu, gdzie się zabarykadował, i z tego, co wiem, nadal przebywa wyłącznie w towarzystwie swojej żony Julii.

– Pompejusz Wielki zabarykadował się we własnym domu? – mruknął ze zdumieniem Cycero.

– Nie zdziwi mnie, jeśli będziesz się z tego śmiał, panie. Któż by się nie śmiał? Ale jest w tym jakaś ponura sprawiedliwość i Pompejusz dobrze to wie. Powiedział mi, że pozwalając Klodiuszowi wykurzyć cię z miasta, popełnił największy błąd w swoim życiu.

– Tak powiedział Pompejusz?

– Dlatego przejechałem przez trzy kraje, nie zatrzymując się prawie, by coś zjeść albo się przespać. Zrobiłem to, by przekazać ci wiadomość, że Pompejusz uczyni wszystko, co w jego mocy, by obalić wyrok skazujący cię na wygnanie. Zagotowała się w nim krew. Chce, żebyś wrócił do Rzymu i żebyśmy wszyscy trzej, ja, ty i on, walczyli ramie w ramie, aby ocalić republikę przed Klodiuszem i jego zgrają. Co na to powiesz, panie?

Przypominał psa, który przyniósł swemu panu zdobycz; gdyby miał ogon, z pewnością uderzałby nim o tkaninę, którą była obita sofa. Ale jeśli spodziewał się wybuchu radości lub wdzięczności, musiał się rozczarować. Cycero, choć sponiewierany i upadły na duchu, z miejsca dostrzegł sedno sprawy. Kołysząc winem w pucharze, zmarszczył brwi.

– A czy zgadza się na to Cezar? – zapytał.

– W tej kwestii – odparł Milon, zmieniając lekko pozycję na sofie – sam musisz się z nim jakoś dogadać, panie. Pompejusz odegra swoją rolę, ale ty musisz odegrać swoją. Trudno będzie mu organizować kampanię na rzecz twojego powrotu, jeśli Cezar zdecydowanie się temu sprzeciwi.

– Zatem chce, żebym się z nim pogodził?

– Chodziło mu raczej o to, byś udzielił mu zapewnienia.

W trakcie naszej rozmowy zrobiło się ciemno. Domowi niewolnicy zapalili w rogach ogrodu lampy;

wokół nich kłębiły się ćmy. Ale na stole nie postawili żadnych świateł i nie widziałem dobrze wyrazu twarzy Cyncerona. Przez dłuższą chwilę milczał. Jak zwykle panował straszliwy skwar i słyszałem nocne dźwięki Macedonii – brzęczenie cykad i komarów, co jakiś czas szczekanie psów i dobiegające z ulicy głosy tubylców mówiących w swoim dziwnym twardym narzeczu. Zastanawiałem się, czy Cyncero myśli o tym samym co ja: że kolejny rok w takim miejscu jak to z pewnością go zabije. Może tak było, ponieważ w końcu westchnął z rezygnacją i spytał:

– Jakiegoż to konkretnie mam „udzielić zapewnienia”?

– To zależy od ciebie. Bardziej niż ktokolwiek inny potrafisz znaleźć odpowiednie słowa. Ale Cezar dał Pompejuszowi jasno do zrozumienia, że zanim w ogóle pomyśli o zmianie swego stanowiska, chce mieć coś na piśmie.

– Czy mam ci dać taki dokument, żebyś zawiózł go do Rzymu?

– Nie, ta część umowy musi być zawarta między tobą i Cezarem. Zdaniem Pompejusza najlepiej będzie, jeśli wyślesz do Galii swojego prywatnego emisariusza, kogoś, komu ufasz i kto będzie mógł oddać Cezarowi do rąk własnych jakiegoś rodzaju pisemne zobowiązanie.

Cezar – w ostatecznym rozrachunku wszystko zależało od niego. Przypomniałem sobie znowu dźwięk trąbek, gdy opuszczał Pole Marsowe, i w parnym zmierzchu

wyczułem bardziej, niż zobaczyłem, że obaj mężczyźni
obracają się i patrzą w moją stronę.

II



Jak łatwo jest tym, którzy nie biorą udziału w życiu publicznym, szydzić z kompromisów zawieranych przez tych, którzy w nim uczestniczą. Przez dwa lata Cycero był wierny swoim zasadom i nie chciał sprzymierzyć się z Cezarem, Pompejuszem i Krassusem w ich mającym kontrolować państwo „triumwiracie”. Publicznie potępił ich przestępcze działania; oni zaś w odwecie umożliwili Klodiuszowi zostanie trybunem, a gdy Cezar zaproponował Cyceronowi urząd legata w Galii, co dałoby mu immunitet przed atakami Klodiusza, ten odmówił, ponieważ przyjmując tę ofertę, stałby się marionetką Cezara.

Ceną za dochowanie wierności tym zasadom stało się jednak wygnanie, ubóstwo i cierpienie.

– Sam uczyniłem się bezsilnym – powiedział mi, gdy Milon poszedł spać, zostawiając nas, byśmy przedyskutowali propozycję Pompejusza. – I gdzie tu szukać cnoty? Jaki będzie ze mnie pożytek dla mojej rodziny i dla moich zasad, jeśli będę tkwił w tej dziurze do końca życia? Och, bez wątpienia pewnego dnia mogę stać się świetlanym przykładem dla garstki znudzonych uczniów: oto człowiek, który nigdy nie sprzeniewierzył się własnemu sumieniu. A kiedy już bezpiecznie umrę, pewnie wzniosą mi nawet posąg gdzieś na rostrach. Ale ja nie chcę stać się pomnikiem. Potrafię rządzić krajem, a to wymaga, bym żył i przebywał w Rzymie. – Przez chwilę milczał. – Z drugiej strony myśl, że miałbym uklęknąć przed Cezarem, jest prawie nie do zniesienia. Przecierpieć to wszystko, a potem pełznąć do niego niczym pies, który dostał nauczkę...

Udając się na spoczynek, nadal nie był zdecydowany i nazajutrz rano, kiedy Milon zapytał go, jaką odpowiedź ma zawieźć Pompejuszowi, nie miałem pojęcia, co powie.

– Powiedz mu, że przez całe życie służyłem państwu – rzekł Cyncero – i jeżeli państwo wymaga, bym pojednał się z moim wrogiem, jestem gotów to zrobić.

Milon uściskał go, po czym natychmiast odjechał w stronę wybrzeża, stojąc wraz ze swoim gladiatorem w bojowym rydwanie – para obwiesiów, tak wyraźnie szukających zwady, że można było tylko drzeć na myśl o czekającym Rzym rozlewie krwi.

* * *

Zdecydowano, że powinienem wyjechać z Tesalonik w misji do Cezara pod koniec lata, kiedy tylko skończy się sezon wojskowych kampanii. Wcześniejszy wyjazd mijałby się z celem, ponieważ Cezar zapuścił się ze swoimi legionami daleko w głąb Galii, a przy jego taktyce szybkich, forsownych marszów nie sposób byłoby ustalić z jakąkolwiek pewnością, gdzie się w danym momencie znajduje.

Cycero przez długie godziny ślęczał nad swoim listem. Wiele lat później, po jego śmierci, naszą kopię tego listu, razem z resztą korespondencji między Cyceronem i Cezarem, przejęły władze, zapewne w obawie, że będzie ona sprzeczna z oficjalną wersją historii, utrzymującą, że Dyktator był geniuszem, a wszyscy, którzy mu się sprzeciwiali, głupimi, chciwymi, krótkowzrocznymi i niewdzięcznymi reakcjonistami. Zakładam, że kopia została zniszczona; tak czy owak nigdy o niej później nie słyszałem. Niemniej nadal posiadam moje skrótowe zapiski, obejmujące prawie cały okres trzydziestu sześciu lat, gdy pracowałem dla Cycerona – tak wielką masę nieczytelnych hieroglifów, że niedouczeni ludzie, którzy przetrząsali moje archiwum, uznali je bez wątpienia za nieszkodliwe bazgroły i pozostawili nietknięte. Właśnie na ich podstawie jestem w stanie odtworzyć wiele rozmów, przemówień i listów, z których składam to

wspomnienie o Cyceronie – wśród nich również napisany tamtego lata upokarzający apel do Cezara, który udało się ocalić.

Tesaloniki

M. Cycero do G. Cezara, prokonsula, pozdrowienia.

Mam nadzieję, że Ty i twoje wojsko macie się dobrze.

W ostatnich latach powstało między nami niestety wiele nieporozumień, lecz zwłaszcza jedno z nich, jeśli istnieje, chciałbym wyjaśnić. Nigdy nie ustawałem w podziwie dla Twojej inteligencji, zaradności, patriotyzmu, energii i zdolności przywódczych. Doszedłeś całkiem słusznie do wielkiego znaczenia w naszej republice i chciałbym jedynie doczekać chwili, gdy Twoje wysiłki ukoronowane zostaną sukcesem zarówno na polu bitwy, jak i w rządzeniu państwem, co z pewnością się stanie.

Czy pamiętasz, Cezarze, ów dzień, kiedy byłem konsulem i debatowaliśmy w Senacie nad karą dla pięciu zdrajców, którzy uknuli spisek, by obalić republikę i zabić mnie przy okazji? Emocje sięgały zenitu. Przemoc wisiała w powietrzu. Sąsiad nie ufał sąsiadowi. Co zdumiewające, niesłuszne podejrzenia padły nawet na ciebie i gdybym wtedy nie interweniował, twoja chwała obróciłaby się wniwecz, nim miałyby możliwość zakwitnąć. Wiesz, że to prawda; nie ośmielisz się twierdzić, że było inaczej.

Koleje losu sprawiły, że zamieniliśmy się dzisiaj miejscami, ale różni nas jedno: w przeciwieństwie do ciebie nie jestem już młodzińcem, przed którym otwierają się dopiero złote perspektywy. Moja kariera jest skończona. Jeśli lud rzymski kiedykolwiek zagłosuje za moim powrotem z wygnania, nie będę się starał o żaden urząd. Nie stanę na czele żadnego stronnictwa ani frakcji, zwłaszcza takiej, która mogłaby zaszkodzić Twoim interesom. Nie będę dążył do obalenia żadnego z praw, które weszły w życie podczas Twojego konsulatu. Krótki czas, jaki pozostał mi jeszcze na tym padole, poświęcę wyłącznie staraniom o poprawę losu mojej biednej rodziny, wspieraniu na forum sądowym mych przyjaciół i czynieniu wszystkiego, co w mojej mocy, dla dobra republiki. Mogę cię o tym zapewnić.

Przesyłam ten list za pośrednictwem mojego zaufanego sekretarza M. Tirona, którego być może pamiętasz, a któremu możesz powierzyć każdą odpowiedź, jakiej uznasz za stosowne udzielić.

– Tak oto wygląda ten zawstydzający dokument – stwierdził Cyncero, kiedy list był gotów – choć gdyby pewnego dnia odczytano go na głos w sądzie, nie przypuszczam, bym musiał się za bardzo czerwienić.

Własnoręcznie go przepisał, zapieczętował i dał mi do ręki.

– Miej oczy szeroko otwarte, Tironie. Obserwuj, jak on wygląda i kto mu towarzyszy. Chcę, byś zdał mi dokładną relację. Jeśli zapyta, jak się czuję, odpowiadaj z wahaniem, a potem przyznaj, że jestem wrakiem człowieka, zarówno pod względem fizycznym, jak psychicznym. Im bardziej będzie przekonany, że jestem skończony, tym prędzej zgodzi się, bym wrócił.

Kiedy pisanie listu dobiegło końca, nasza sytuacja stała się jeszcze bardziej niepewna. W Rzymie, w ustawionym przez Klodiusza publicznym głosowaniu, przyznano namiestnictwo Macedonii Lucjuszowi Kalpurniuszowi Pizonowi, który był teściem Cezara i wrogiem Cyncerona. Miał objąć urząd z początkiem następnego roku, wkrótce więc mogliśmy się spodziewać przybycia jego straży przedniej. Gdyby złapali Cyncerona, mogliby go zabić na miejscu. Zamykały się przed nami kolejne drzwi. Nie można było dłużej odkładać mojego wyjazdu.

Podobnie jak Cycero bałem się emocji, które mogły towarzyszyć naszemu rozstaniu, i dlatego obaj postaraliśmy się ich uniknąć. Wieczorem przed moim wyjazdem, kiedy po raz ostatni jedliśmy razem kolację, udał, że jest zmęczony, i wcześniej poszedł na spoczynek, a ja zapewniłem, że obudzę go rano, by się pożegnać. W rzeczywistości, zgodnie z tym, czego by sobie życzył, wymknąłem się z domu przed świtem, kiedy było jeszcze ciemno.

Plancjusz zorganizował eskortę, która towarzyszyła mi przez góry aż do Dyrrachium, gdzie wsiadłem na statek płynący do Italii – tym razem jednak nie prosto do Brundisium, lecz na północny zachód, do Ankony. Rejs był o wiele dłuższy niż nasza podróż w tamtą stronę i zajął prawie tydzień. I tak trwało to jednak szybciej niż podróż drogą lądową, a dodatkową korzyścią był fakt, że nie ryzykowałem spotkania ze szpiegami Klodiusza. Nigdy wcześniej nie tylko nie podróżowałem sam na tak dużą odległość, ale też nie płynąłem statkiem. Lęk, jaki budziło we mnie morze, był trochę inny niż u Cyclerona, który obawiał się katastrofy i utonięcia. Ja bałem się raczej pustego horyzontu w ciągu dnia i rozmigotanego, obojętnego ogromu wszechświata w nocy. Miałem wtedy czterdzieści sześć lat i byłem świadom tego, że wszyscy zmierzamy ku otchłani; siedząc na pokładzie, często myślałem o śmierci. Tyle już widziałem; choć moje ciało nie było już takie młode, duchem byłem jeszcze starszy.

Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że dobiegam dopiero półmetka swojego żywota i zobaczę rzeczy, przy których wszystkie cuda i dramaty, jakie widziałem wcześniej, zdadzą mi się blade i mało znaczące.

Pogoda nam sprzyjała i dopłynęliśmy do Ankony bez większych przygód. Ruszyłem stamtąd drogą na północ. Dwa dni później przekroczyłem Rubikon i znalazłem się oficjalnie w Galii Przedalpejskiej. Te tereny były mi znane. Objeżdżałem je z Cynceronem sześć lat wcześniej, kiedy starał się o wybór na konsula i szukał poparcia w miastach wzdłuż Via Aemilia. Zbiory w winnicach przy drodze zakończyły się już kilka tygodni wcześniej i nad płaskim terenem wszędzie, jak okiem sięgnąć, wznosiły się kolumny białego dymu, jakby wycofująca się armia paliła za sobą ziemię.

W małej miejscowości Claterna, gdzie zatrzymałem się na noc, dowiedziałem się, że namiestnik zdążył wrócić z za Alp i założył zimową kwaterę w Placentii⁴, lecz z typową dla siebie energią objeżdżał już okolice i sprawował sądy; nazajutrz miał się pojawić w sąsiednim miasteczku Mutina⁵. Wyjechałem wczesnym rankiem i dotarłem tam w południe, minąłem mocno ufortyfikowane mury i ruszyłem w stronę bazyliki na forum. Jediną oznaką obecności Cezara był stacjonujący przy wejściu oddział legionistów. Nie pytali mnie, z jaką przychodzę sprawą, i wszedłem od razu do środka. Zimne, szare światło padało przez wysokie okna na

onieśmielonych obywateli, którzy czekali w kolejce, by przedstawić swoje petycje. Między dwiema kolumnami w drugim końcu bazyliki – zbyt daleko, bym rozpoznał jego twarz – ubrany w togę tak białą, że odróżniała się wyraźnie od szaroburych zimowych ubrań miejscowych, siedział Cezar, wymierzając sprawiedliwość ze swego sędziowskiego tronu.

Nie wiedząc, jak do niego podejść, dołączyłem do kolejki petentów. Cezar wydawał decyzje w takim tempie, że prawie bez przerwy posuwaliśmy się do przodu, i znalazłszy się bliżej, zobaczyłem, że wykonuje kilka rzeczy równocześnie – wysłuchuje każdego suplikanta, czyta podawane mu przez sekretarza dokumenty i konferuje z oficerem, który zdjął z głowy hełm i pochylał się, szepcząc mu coś do ucha. Wyciągnąłem list Cyncerona, by trzymać go w gotowości, lecz potem przyszło mi do głowy, że nie jest to odpowiednie miejsce, by go wręczyć; że nie ujmując nic tym ludziom, nie licuje chyba z godnością byłego konsula, by jego apel był rozpatrywany razem z drobnymi skargami wszystkich tych rolników i kupców.

Oficer zdał raport, wyprostował się i ruszył do wyjścia, mocując pod brodą pasek hełmu. Kiedy znalazł się tuż obok mnie, nasze oczy spotkały się na chwilę i zatrzymał się zaskoczony.

– Tiron?

Ujrzałem w nim rysy jego ojca, zanim jeszcze przypomniałem sobie, jak się nazywa. To był syn Marka Krassusa, Publiusz, pełniący obecnie stanowisko dowódcy konnicy w armii Cezara. W przeciwieństwie do swego ojca był kulturalnym, grzecznym i szlachetnym człowiekiem, podziwiał Cyncerona i chętnie przebywał w jego towarzystwie. Przywitał mnie bardzo serdecznie, „Co sprowadza cię do Mutiny?” – zapytał, a kiedy mu to wyjaśniłem, zaproponował od razu, że umożliwi mi prywatne spotkanie z Cezarem, i nalegał, bym udał się razem z nim do willi, w której namiestnik kwaterował wraz ze swą żoną.

– Podwójnie się cieszę, że cię widzę – oznajmił w drodze – bo często rozmyślam o Cynceronie i wyrządzonej mu niesprawiedliwości. Rozmawiałem o tym z moim ojcem i przekonałem go, by nie sprzeciwiał się jego powrotowi. Jak wiesz, Pompeuszowi też na tym zależy... w zeszłym tygodniu przysłał tutaj Sestiusza, jednego z trybunów elektów, żeby wystąpił z tą sprawą do Cezara.

– Wygląda na to, że w dzisiejszych czasach wszystko zależy od Cezara – powiedziałem, nie mogąc się powstrzymać.

– Cóż, musisz zrozumieć, w jakiej jest sytuacji. Nie żywi do twojego pana osobistej urazy. Ale w przeciwieństwie do mojego ojca i do Pompejusza nie ma go w Rzymie i nie może się bronić. Obawia się, że nie

pilnując tam wszystkiego na miejscu, utraci polityczne wsparcie i zostanie odwołany, nim jego praca tutaj dobiegnie końca. Widzi w Cyceronie największe zagrożenie dla swojej pozycji. Wejdz do środka, coś ci pokażę.

Minąwszy wartownika, weszliśmy do domu i Publiusz poprowadził mnie przez zatłoczone publiczne sale do małej biblioteki, gdzie wziął kasetkę z kości słoniowej i wyjął z niej kilka meldunków, wszystkie w przepięknych czarnych ramkach i purpurowych futerałach, z zapisanym na cynobrowo słowem *Komentarze* w tytule.

– To osobiste kopie Cezara – wyjaśnił, ostrożnie ich dotykając. – Wozi je ze sobą, dokądkolwiek się udaje. Są to jego zapiski z kampanii w Galii, które postanowił wysyłać regularnie do Rzymu, by je tam ogłaszano. Któregoś dnia ma zamiar zebrać wszystkie i opublikować w formie książki. Naprawdę wspaniała rzecz. Zobacz sam.

Wyciągnął jeden ze zwojów i dał mi do przeczytania.

Znajduje się tu rzeka Arar o tak niewiarygodnie powolnym nurcie, że gołym okiem nie można stwierdzić, w którym płynie kierunku, a która, minąwszy ziemie Eduów i Sekwanów, uchodzi do Rodanu. Helwetowie przeprawili się przez nią na tratwach i razem powiązanych łodziach. Gdy Cezar dowiedział się przez zwiadowców, że Helwetowie przeprowadzili już przez rzekę trzy czwarte swoich rzesz, czwarta zaś część pozostała jeszcze po tej stronie Araru, z trzema legionami wyszedł z obozu. (...) Uderzył na nich, gdy byli zajęci przeprawą i niczego się nie spodziewali, tak że znaczną ich część położył trupem...⁶.

– Pisze o sobie z podziwu godną neutralnością – zauważyłem.

– Owszem. Nie chce, by ktoś odniósł wrażenie, że się przechwala. Ważne jest odnalezienie właściwego tonu.

Zapytałem, czy wolno mi przepisać kilka z tych relacji i pokazać je Cynceronowi.

– Brakuje mu regularnych wiadomości z Rzymu – wyjaśniłem. – Docierają do nas nieliczne i spóźnione wieści.

– Oczywiście... to wszystko są publiczne informacje. A ja postaram się załatwić ci spotkanie z Cezarem. Przekonasz się, że jest we wspaniałym nastroju.

Publiusz zostawił mnie samego i przystąpiłem do pracy.

Nawet jeśli przyjąć, że w relacji sporo było przesady, z *Komentarzy* wynikało w niedwuznaczny sposób, iż Cezar odniósł zdumiewająco wiele wojskowych sukcesów. Jego pierwotnym zadaniem było powstrzymanie migracji Helwetów i czterech innych plemion, które wędrowały na zachód przez Galię w poszukiwaniu nowych terytoriów. Cezar, ze swoją nową armią, którą sformował w większości sam, w sile pięciu legionów, podążał za ogromną kolumną składającą się zarówno ze zdolnych do walki mężczyzn, jak i ze starców, kobiet i dzieci, i ostatecznie wydał im bitwę w pobliżu Bibracte. Aby pokazać żołnierzom nowych legionów, że ani on, ani jego oficerowie nie porzucą ich,

gdyby sytuacja stała się krytyczna, kazał odesłać wszystkie konie na dalekie tyły. Walczyli, idąc razem z piechotą, i w wyniku bitwy Cezar nie tylko powstrzymał marsz Helwetów – on ich prawie wszystkich wyrzwał. W porzuconym obozie wroga znaleziono później spis plemion, które migrowały:

Helwetowie	263 000
Tulingowie	36 000
Latobrygowie	14 000
Raurakowie	23 000
Bojowie	32 000
	368 000

Z nich wszystkich, według Cezara, do domu wróciło ledwie sto dziesięć tysięcy.

Następnie – a było to coś, czego z całą pewnością nikt się po nim nie spodziewał – wraz ze swoimi znużonymi legionami przebył forsownym marszem całą Galię, by stawić czoło stu dwudziestu tysiącom Germanów, którzy wykorzystali migrację Helwetów, aby wejść na kontrolowane przez Rzym terytorium. Doszło do kolejnej straszliwej, trwającej siedem godzin bitwy, w której młody Krassus dowodził konnicą i która zakończyła się całkowitym rozgromieniem Germanów. Prawie żaden z nich nie ocalał, by uciec na drugą stronę Renu, który po raz pierwszy stał się naturalną granicą Rzymu. W ten

sposób, jeśli wierzyć relacji Cezara, w ciągu jednego lata zginęła lub zniknęła jedna trzecia miliona ludzi. Pod koniec tego roku zostawił swoje legiony na nowych leżach zimowych, całe sto mil na północ od dawnej granicy Galii Zaalpejskiej.

Kiedy skończyłem przepisywać relację, zaczęło się ściemniać, ale w willi nadal trwał wzmożony ruch – żołnierze i cywile czekali na spotkanie z namiestnikiem, co chwila wbiegali albo wybiegali posłańcy. Ponieważ nie widziałem już, co piszę, odłożyłem tabliczkę i rylec. Zastanawiałem się, co pomyślałby o tym wszystkim Cyncero, gdyby przebywał w Rzymie. Potępienie zwycięstw mogło się wydać niepatriotyczne, jednak z drugiej strony wyrzynanie całych populacji i przesuwanie granic było, bez upoważnienia senatu, nielegalne. Zastanawiałem się także nad tym, co powiedział Publiusz Krassus: że Cezar obawia się obecności Cyncerona w Rzymie i tego, że „zostanie odwołany, nim jego praca tutaj dobiegnie końca”. Co oznaczało w tym kontekście, że praca „dobiegnie końca”? To określenie miało w sobie coś złowieszczonego.

Z zadumy wyrwało mnie pojawienie się młodego, zaledwie dwudziestoletniego oficera, z gęstymi blond kędziorami i w niestosownie nieskazitelnym mundurze. Przedstawił się jako adiutant Cezara, Aulus Hircjusz. Zapewnił mnie, że jeśli będę tak miły i oddam mu list Cyncerona do namiestnika, który jak rozumie, posiadam,

to dopilnuje, by trafił on do jego rąk. Odparłem, że otrzymałem wyraźne instrukcje, by przekazać list osobiście. Hircjusz stwierdził, że to niemożliwe. W takim razie, powiedziałem, będę podążał za namiestnikiem z miasta do miasta tak długo, aż uda mi się z nim porozmawiać. Hircjusz zmierzył mnie groźnym wzrokiem, tupnął nogą w eleganckim bucie i odszedł. Dopiero po godzinie zjawił się ponownie i rozkazał krótko, bym mu towarzyszył.

Choć zapadła już noc, publiczną część willi nadal wypełniał tłum interesantów. Minęliśmy korytarz i przez masywne drzwi weszliśmy do ciepłego, wyłożonego dywanami i oświetlonego setką świec pokoju, gdzie na stojącym pośrodku stole leżał płasko na plecach zupełnie nagi Cezar. Murzyński masażysta nacierał jego skórę oliwą. Cezar zerknął na mnie i wyciągnął rękę, a ja podałem list Cyncerona Hircjuszowi, który złamał pieczęć i przekazał go namiestnikowi. By okazać stosowny szacunek, wzrok miałem utkwiony w podłodze.

– Jak ci minęła podróż? – zapytał Cezar.

– Dobrze, ekscelencjo, dziękuję.

– Czy zadbano o ciebie?

– Tak, dziękuję.

W tym momencie po raz pierwszy ośmieliłem się uważniej na niego spojrzeć. Jego ciało było lśniące, dobrze umięśnione i kompletnie pozbawione włosów, które zostały wyskubane – przykre dziwactwo,

powodujące, że mocno uwidaczniały się jego liczne blizny i obrażenia, jakie odniósł zapewne na polu bitwy. W uderzająco pięknej, kościstej i pociągłej twarzy dominowały ciemne, przenikliwe oczy. Ogólnie emanowała z niego wielka siła – zarówno woli, jak i intelektu. Można było zrozumieć, dlaczego jego urokowi ulegali tak samo mężczyźni jak kobiety. Miał wtedy czterdzieści trzy lata.

Odwrócił się na bok, przodem do mnie – zauważyłem, że w jego ciele nie było ani jednej uncji zbędnego tłuszczu, brzuch miał twardy i płaski – po czym oparł się na łokciu i skinął na Hircjusza, który podał mu przybory do pisania.

– A jak zdrowie Cycerona? – zapytał.

– Obawiam się, że bardzo marnie.

Cezar roześmiał się.

– O nie, wcale w to nie wierzę! Ten człowiek przeżyje nas wszystkich... a w każdym razie mnie.

Zanurzył pióro w kałamarzu, nabazgrał coś na liście i oddał go Hircjuszowi, który posypał mokry atrament piaskiem, zdmuchnął to, co zostało, zwinął z powrotem dokument i wręczył mi go z kamienną miną.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebował w trakcie pobytu tutaj, nie wahaj się prosić – powiedział Cezar, po czym znów położył się na plecach i masażysta powrócił do swojej pracy.

Zawahąłem się. Przebyłem taki szmat drogi. Czuję, że powinienem przekazać Cycleronowi coś więcej, nawet jeśli tylko w formie anegdoty. Hircjusz dotknął jednak mojego ramienia i wskazał mi drzwi.

– Nadal używasz tego swojego skrótowego zapisu?! – zawołał za mną Cezar, kiedy się przy nich znalazłem.

– Tak.

Nie powiedział nic więcej. Drzwi zamknęły się za mną i ruszyłem z powrotem przez korytarz, w ślad za Hircjuszem. Serce waliło mi w piersi, jakbym przeżył nagły upadek. Dopiero kiedy zaprowadzono mnie do pokoju, w którym miałem nocować, przyszło mi na myśl, że sprawdzę, co takiego napisał. Tylko dwa słowa – świadczące albo o eleganckiej zwięzłości, albo o charakterystycznej wzgardzie, zależnie od tego, jak chciało się je interpretować: „Zaprobowano. Cezar”.

* * *

Kiedy wstałem nazajutrz rano, w domu panowała cisza; Cezar wyjechał już ze swoją świtą do następnego miasta. Wywiązawszy się ze swojej misji, ruszyłem w długą podróż powrotną.

W Ankonie czekał na mnie list od Cyclerona: pierwsi żołnierze Pizona właśnie przybyli do Tesalonik, więc na wszelki wypadek wyjechał do Dyrrachium – które znajdując się w Ilirii, leżało poza jurysdykcją nowego

namiestnika. Miał nadzieję, że się tam spotkamy. W zależności od tego, jakiej odpowiedzi udzielił Cezar, i od rozwoju sytuacji w Rzymie, zdecydujemy wówczas, dokąd udać się dalej. *Wygląda na to, że niczym Kallisto jesteśmy skazani, by błąkać się przez całą wieczność.*

Musiałem poczekać dziesięć dni na sprzyjające wiatry i dotarłem do Dyrrachium dopiero po Saturnaliach. Ojcowie miasta oddali do dyspozycji Cycerona łatwy do obrony dom na wzgórzach, z widokiem na morze. Zostałem go, wpatzonego w Adriatyk. Słyszając moje kroki, obejrzał się. Zapomniałem już, jak bardzo się postarzał na wygnaniu. Niepokój musiał odmalować się na mojej twarzy, bo Cycero przygasł na mój widok.

– Domyślam się, że odpowiedź brzmi „nie”? – zapytał z goryczą.

– Wprost przeciwnie.

Pokazałem mu jego list z nagryzmołonym na marginesie komentarzem Cezara. Trzymając go w dłoniach, przez dłuższy czas mu się przyglądał.

– „Zaaprobowano. Cezar” – mruknął. – Spójrz na to! Robi coś, na co nie ma ochoty, i dąsa się przy tym jak dziecko.

Usiadł na ławce pod pinią i kazał mi opowiedzieć ze wszystkimi szczegółami, jak przyjął mnie Cezar, a następnie przeczytał fragmenty jego *Komentarzy*.

– Píše bardzo dobrze na swój brutalny sposób – oświadczył, kiedy skończył. – Taka prostota wymaga

pewnego kunsztu. Ale zastanawiam się, dokąd go doprowadzą te jego kampanie? Może stać się potężny... bardzo potężny. Jeśli Pompejusz nie będzie uważał, któregoś dnia obudzi się, mając za plecami potwora.

* * *

Pozostało nam teraz tylko czekać – i ilekroć myślę o Cycleronie w tamtym czasie, widzę go tak samo: pochylonego nad balustradą tarasu, ściskającego w ręku list z najnowszymi wieściami z Rzymu i wpatrującego się ponurym wzrokiem w horyzont, jakby samą siłą woli mógł dojrzeć to, co dzieje się w Italii, i w jakiś sposób wpłynąć na wydarzenia.

Najpierw dowiedzieliśmy się od Attyka o zaprzysiężeniu nowych trybunów, z których ośmiu było stronnikami Cyclerona i tylko dwóch jego zaprzysiężonymi wrogami – ale ci dwaj wystarczyli, by zawetować każdy dekret uchylający jego wygnanie. Następnie brat Cyclerona, Kwintus, zawiadomił nas, że Milon, jako trybun, oskarżył Klodiusza o przemoc i zastraszanie, a w odpowiedzi Klodiusz kazał swoim zbirom zaatakować dom Milona. W dzień Nowego Roku dwaj nowi konsulowie objęli swoje urzędy. Jeden z nich, Lentulus Spinther, wspierał mocno Cyclerona. Drugi, Metellus Nepos, uważany był od dawna za jego wroga. Ale ktoś chyba musiał przemówić mu do rozumu, bo

podczas inauguracyjnej debaty nowego senatu Nepos oświadczył, że choć osobiście nadal nie żywi ciepłych uczuć do Cyncerona, nie będzie się sprzeciwiał jego powrotowi. Dwa dni później senat przedstawił ludowi sporządzony przez Pompejusza wniosek o uchylenie prawa skazującego Cyncerona na wygnanie.

W tym momencie można było sądzić, że wygnanie Cyncerona wkrótce się skończy, zacząłem więc czynić dyskretne przygotowania do naszego powrotu do Italii. Ale Klodiusz był pomysłowym i zawziętym przeciwnikiem. W noc poprzedzającą zgromadzenie ludu on i jego stronnicy weszli na Forum, zajęli komicjum i rostra – w sumie całe legislacyjne serce republiki – i kiedy przybyli tam przyjaciele i sojusznicy Cyncerona, zostali bez litości zaatakowani. Podobnie jak dwaj trybuni, Fabrycjusz i Cypsiusz, których służący zostali zamordowani i rzućeni do Tybru. Kiedy Kwintus próbował wejść na rostra, ściągnięto go z nich i pobito tak dotkliwie, że ocalał tylko dzięki temu, iż udał martwego. Milon odpowiedział, spuszczaając wreszcie ze smyczy własnych gladiatorów. Wkrótce centrum Rzymu zmieniło się w pole bitwy i walki trwały kilka dni. Ale chociaż Klodiusz po raz pierwszy poniósł ciężkie straty, nie został całkowicie pokonany i nadal miał dwóch trybunów z prawem weta. Wniosek o sprowadzenie Cyncerona do domu trzeba było wycofać.

Kiedy Cycero otrzymał relację Attyka o tym, co się wydarzyło, wpadł w rozpacz prawie tak samo wielką jak ta, która ogarnęła go w Tesalonikach.

Z twojego listu i z samych faktów wynika, że jestem całkowicie skończony – odpisał mu. – Błagam cię, byś nie opuszczał nas w nieszczęściu i wspierał moją rodzinę w sprawach, w których potrzebuje pomocy.

Ale jedno można zawsze powiedzieć o polityce: nigdy nie zastyga w bezruchu. Dobre czasy nie trwają wiecznie, lecz i złe również. Podobnie jak w Naturze, dostrzegamy tu powtarzający się cykl wzrostu i rozkładu i żaden, nawet najprzebieglejszy mąż stanu, nie może się przed nim zabezpieczyć. Gdyby Klodiusz nie był taki arogancki, bezwzględny i ambitny, pewnie nigdy nie zawędrowałby tak wysoko. Ale będąc właśnie takim i podlegając prawom polityki, musiał pewnego dnia się przeliczyć i przegrać.

Na wiosnę, podczas Floraliów, gdy do Rzymu zjechali goście z całej Italii, motłoch Klodiusza znalazł się nagle w mniejszości, zdominowany przez rzesze zwykłych obywateli, którzy nie dali mu się zastraszyć. Sam Klodiusz został dosłownie wygwizdany w amfiteatrze. Przyzwyczajony wyłącznie do hołdów ze strony ludu, kiedy usłyszał, jak go wyklaskują, wyzywają i gwizdzą, wykonując przy tym obsceniczne gesty, rozejrzał się, według Attyka, ze zdumieniem i niemal ponieważ zdał sobie sprawę, że może paść ofiarą samosądu.

Pośpiesznie się wycofał i to był początek końca jego panowania, bo senat wiedział teraz, jak można go pokonać: apelując ponad głowami miejskiego plebsu do całej ludności.

Spinther złożył wniosek, by zwołać wszystkich obywateli republiki do najwyższego organu przedstawicielskiego – Kolegium Elektorskiego stu dziewięćdziesięciu trzech centurii, które raz na zawsze zdecydowałoby o dalszym losie Cyncerona. Wniosek przeszedł w senacie czterystu trzynastoma głosami za, przy jednym przeciw, należącym do Klodiusza. Uzgodniono również, że głosowanie w sprawie Cyncerona odbędzie się razem z letnimi wyborami, kiedy centurie zgromadzą się na Polu Marsowym.

Dowiedziawszy się, co zostało postanowione, Cyncero był tak pewien zwycięstwa, że złożył bogom ofiarę dziękczynną. Te dziesiątki tysięcy zwyczajnych obywateli, mieszkających w całej Italii, były solidną i rozsądną opoką, na której zbudował swoją karierę. Wierzył, że go nie zawiodą. Wysłał wiadomość do żony i rodziny, prosząc, by spotkali się z nim w Brundisium, i zamiast tkwić dalej w Ilirii i czekać na wynik głosowania, który mógł do nas dotrzeć dopiero po dwóch tygodniach, postanowił wypłynąć do domu w dniu, kiedy miało się ono odbyć.

– Gdy fala biegnie w jakimś kierunku, trzeba płynąć razem z nią, nie czekając, aż się cofnie. Poza tym będzie

dobrze wyglądało, jeśli okażę pewność siebie.

– Jeżeli wynik głosowania będzie niekorzystny, to wracając do Italii, złamiesz prawo.

– Nie będzie niekorzystny. Lud rzymski nigdy nie zagłosuje za tym, żebym nadal przebywał na wygnaniu. A jeśli to zrobi, jaki byłby sens ciągnąć to dalej?

I tak oto, po upływie piętnastu miesięcy od dnia, gdy wylądowaliśmy w Dyrrachium, udaliśmy się do portu, by rozpocząć wielką podróż powrotną. Cycero ogolił brodę, przystrzygł włosy i włożył togę senatora, białą z purpurowym obszyciem. Traf chciał, że wracaliśmy tym samym statkiem handlowym, który nas tutaj przywiózł. Lecz oba te rejsy nie mogły bardziej różnić się od siebie. Tym razem przez cały dzień płynęliśmy z wiatrem przez gładkie morze, noc spędziliśmy na otwartym pokładzie, a nazajutrz rano ujrzeliśmy przed sobą Brundisium. Wejście do największego portu w Italii otwiera się niczym para olbrzymich ramion i zbliżając się między pomostami do zatłoczonego nabrzeża, mieliśmy wrażenie, że przyciska nas do serca dawno utracony najdroższy przyjaciel. Mogło się zdawać, że w porcie świętuje całe miasto: słychać było piszczałki i bicie w bębny, małe dziewczynki roznosiły kwiaty, a młodzi chłopcy wymachiwali gałązkami przystrojonymi w kolorowe wstążki.

Pomyślałem, że witają w ten sposób Cyclerona, i powiedziałem mu to, wielce podekscytowany, ale

przerwał mi, mówiąc, bym nie robił z siebie głupca.

– Skąd mieliby wiedzieć, że przybywamy? Poza tym, czyżbyś o wszystkim zapomniał? Dzisiaj przypada rocznica założenia kolonii w Brundisium i dlatego tak świętują. Kiedy ubiegałbym się o urząd, od razu byś to wiedział.

Tak czy inaczej niektórzy ludzie zauważyli jego senatorską togę i uświadomili sobie szybko, kim jest. Wiadomość natychmiast się rozeszła i wkrótce okazał się tłum zaczął wykrzykiwać jego imię i wiwatować. Cycero, stojąc na górnym pokładzie, podniósł rękę w geście powitania i obrócił się w lewo i w prawo, by wszyscy mogli go zobaczyć. W tłoczącej się ciżbie ujrzałem jego córkę, Tulię. Podobnie jak inni machała do niego i wołała, a potem zaczęła podskakiwać, by zwrócić na siebie jego uwagę. Ale Cycero, niczym więzień, którego wypuszczono wreszcie z lochu na światło, mrużąc oczy, grzał się w promieniach sławy i w całym tym tumultie i hałasie w ogóle jej nie spostrzegł.

III



Fakt, że Cycero nie rozpoznał swojej jedynej córki, był mniej dziwny, niż mogło się wydawać. Przez czas jego nieobecności bardzo się zmieniła. Jej twarz i ramiona, niegdyś pulchne i dziewczęce, były teraz chude i blade, jasne włosy osłoniła na znak żałoby ciemnym nakryciem głowy. W dniu, w którym przypłynęliśmy, przypadały jej dwudzieste urodziny, przyznając jednak ze smutkiem, że wyleciało mi to z pamięci i nie przypomniałem o tym Cyceronowi.

Pierwsze, co zrobił po zejściu z trapu na ląd, to ukląkł i pocałował ziemię. Dopiero gdy ten patriotyczny akt nagrodzono głośnymi wiwatami, podniósł wzrok i zauważył przyglądającą mu się córkę. Na jej widok wybuchnął płaczem, bo naprawdę ją kochał i kochał jej

męża, a po kolorze i fasonie jej sukni poznał, że została wdową.

Ku zachwytowi tłumu wziął ją w ramiona i po kilku chwilach dał krok do tyłu, by jej się przyjrzeć.

– Nie potrafisz sobie wyobrazić, moje najdroższe dziecko, jak bardzo marzyłem o tej chwili – powiedział i wciąż trzymając ją za ręce, szybko przebiegł wzrokiem twarze stojących za nią osób. – Czy jest tutaj twoja matka? I Marek?

– Nie, papo, zostali w Rzymie.

Trudno było się temu dziwić – w tamtych czasach podróż z Rzymu do Brundisium trwała dwa albo i trzy tygodnie i była bardzo uciążliwa, zwłaszcza dla kobiety. Na pewnych odcinkach grasowali rabusie i należało się raczej dziwić, że Tulia jednak tu przyjechała i że zrobiła to w pojedynkę. Ale Cyncero poczuł oczywiście rozczarowanie, choć starał się to ukryć.

– Cóż, to nieważne. Zupełnie bez znaczenia. Najważniejsze, że mam ciebie.

– A ja ciebie... i to w dniu moich urodzin.

– Dziś są twoje urodziny? – Cyncero posłał mi karcące spojrzenie. – Mało o tym nie zapomniałem. Oczywiście. Będziemy dziś świętowali – oznajmił, po czym wziął ją pod rękę i wyszli razem z portu.

Ponieważ nie wiedzieliśmy jeszcze na pewno, czy wygnanie zostało uchylone, postanowiono, że wyruszymy do Rzymu dopiero po otrzymaniu oficjalnego

potwierdzenia, i po raz kolejny udzielił nam gościny w swojej rezydencji pod Brundisium Marek Laniusz Flakkus, gdzie bezpieczeństwa Cycerona strzegli rozstawieni wokół posiadłości zbrojni. Kilka następných dni spędził głównie z Tulią, spacerując z nią po ogrodach i wzdłuż plaży i dowiadując się z pierwszej ręki, jak trudne było jej życie, gdy przebywał na wygnaniu – jak jej mąż, Frugi, który próbował go publicznie bronić, został napadnięty przez zbirów Klodiusza, rozebrany do naga, obrzucony nieczystościami i wypędzony z Forum i jak rozchorował się po tym wszystkim na serce i kilka miesięcy później zmarł w jej ramionach; jak, ponieważ była bezdzietna, nie przysługiwało jej po jego śmierci nic prócz odrobiny biżuterii i odzyskanego posagu, który oddała Terencji, by pomóc spłacić rodzinne długi; jak Terencja musiała sprzedać dużą część własnego majątku i jak zwróciła się nawet do siostry Klodiusza, błagając, żeby wstawiła się za nią u swojego brata, by okazał jej i dzieciom choć trochę łaski, i jak Klodia szydziła z niej i przechwalała się, że Cycero próbował mieć z nią romans; jak ludzie, których zawsze uważały za przyjaciół, zamykali przed nimi swoje drzwi; i tak dalej, i tak dalej.

Cycero ze smutkiem opowiedział mi o tym wszystkim pewnej nocy, kiedy Tulia udała się na spoczynek.

– Nic dziwnego, że nie ma tutaj Terencji – dodał. – Wygląda na to, że kiedy tylko może, unika pokazywania się publicznie i woli zaszyć się w domu swojego brata. Jeśli

chodzi o Tulię, musimy jak najszybciej znaleźć jej nowego męża, póki jest dość młoda, by bezpiecznie urodzić dzieci mężczyźnie. – Potarł skronie, jak robił zawsze, kiedy był w stresie. – Wydawało mi się, że powrót do Italii będzie oznaczał koniec moich kłopotów. Teraz widzę, że dopiero się zaczynają.

Szóstego dnia naszego pobytu u Flakkusa przybył posłaniec od Kwintusa z wiadomością, że mimo organizowanych w ostatniej chwili demonstracji Klodiusza i jego motłochu, centurie zagłosowały jednogłośnie za przywróceniem Cycleronowi pełni praw obywatelskich i że jest znowu wolnym człowiekiem. Te nowiny, o dziwo, nie wzbudziły w nim radości.

– Dlaczego miałbym się cieszyć? – zapytał, gdy zwróciłem na to uwagę. – Odzyskałem po prostu coś, co nigdy nie powinno zostać mi odebrane. Poza tym moja pozycja jest słabsza, niż była kiedyś.

Nazajutrz wyruszyliśmy w podróż do Rzymu. Wiadomość o rehabilitacji Cyclerona rozeszła się tymczasem po Brundisium i kilkaset osób zgromadziło się przy bramie posiadłości, by go pożegnać. Cycero wysiadł z powozu, w którym siedział razem z Tulią, powitał każdego sympatyka uściskiem ręki, wygłosił krótkie przemówienie i podjęliśmy naszą podróż. Ale po przejechaniu zaledwie pięciu mil napotkaliśmy kolejną dużą grupę ludzi w następnej osadzie i ci również chcieli skorzystać z okazji, by uścisnąć mu dłoń. Cycero

ponownie im uległ. I tak to wyglądało przez cały dzień i następne dni, zawsze tak samo, tyle że w miarę jak rozchodziły się wieści o przejeździe Cyncerona, witający go tłum robił się coraz większy. Wkrótce ludzie przybywali z odległości kilku mil, a nawet schodzili z gór, by stanąć przy drodze. Kiedy dotarliśmy do Beneventum, witały nas kilkutysięczne rzesze; w Kapui ulice były kompletnie zablokowane.

Z początku te autentyczne dowody sympatii wzruszyły Cyncerona, potem był nimi uszczęśliwiony i zadziwiony; na koniec wpadł w zadumę. Zastanawiał się, czy jest jakiś sposób, by przekuć tę zaskakującą popularność, którą cieszył się u zwykłych obywateli, w polityczne wpływy w Rzymie. Ale jak dobrze wiedział, popularność i władza polityczna niekoniecznie idą ze sobą w parze. Często najpotężniejszy człowiek w państwie może przejść ulicą całkiem niepostrzeżenie, podczas gdy ci najślynniejsi, mimo że fetowani, niewiele mają do gadania.

Uświadomiliśmy to sobie wkrótce po opuszczeniu Kampanii, kiedy Cyncero postanowił, że powinniśmy zajechać do Formiae i sprawdzić, w jakim stanie znajduje się jego nadmorska willa. Wiedział od Terencji i Attyka, że ją splądrowano, i spodziewał się zastać ruiny. W rzeczywistości gdy skręciliśmy z Via Appia i wjechaliśmy na teren posiadłości, zabity deskami dom wydawał się nienaruszony, chociaż zniknęły otaczające

go greckie posągi. Ogród był zadbane. Między drzewami spacerowały pawie. Słyszeliśmy dobiegający z oddali szum morza. Kiedy powóz się zatrzymał i Cycero wygramolił się, z różnych stron posiadłości wyłonili się domownicy, zupełnie jakby się ukrywali. Widząc ponownie swojego pana, padli na ziemię, płacząc z radości. Ale kiedy ruszył ku frontowym drzwiom, kilku próbowało stanąć mu na drodze i błagało, by nie wchodził do środka. Nakazał im gestem, by się odsunęli, i polecił otworzyć drzwi.

Pierwszą rzeczą, która nami wstrząsnęła, był smród – dymu, stęchlizny i ludzkich odchodów. Następną głucha cisza – przerywana tylko chrzęstem deptanych przez nas potłuczonych garnków i pokruszonego tynku oraz gruchaniem gołębi w więźbie dachu. Kiedy opuszczono okiennice, w popołudniowym letnim świetle ukazały się jeden za drugim ogołoczone do cna pokoje. Przejęta grozą Tulia zakryła dłonią usta, a Cycero łagodnie kazał jej wyjść i poczekać w powozie. Ruszyliśmy dalej do środka. Zniknęły wszystkie meble, wszystkie obrazy i całe wyposażenie. Tu i tam zwisały fragmenty sufitu; zerwano i wywieziono nawet mozaikowe posadzki; na gołej ziemi, między ptasimi i ludzkimi odchodami, rosły chwasty. Tam, gdzie palono ogniska, ściany były osmalone i pokryte najbardziej wulgarnymi rysunkami i napisami, a wszystkie wykonano ociekającą czerwoną farbą.

W jadalni szczur przemknął pod ścianą i wcisnął się do jakiejś dziury. Cyncero patrzył z bezbrzeżną odrazą, jak znika. Następnie wymaszerował z domu, wsiadł do powozu i kazał woźnicy wrócić na Via Appia. Co najmniej przez godzinę w ogóle się nie odzywał.

Dwa dni później dotarliśmy do Bovillae, na przedmieścia Rzymu.

* * *

Obudziwszy się nazajutrz rano, zastaliśmy kolejny tłum, czekający, by towarzyszyć nam w triumfalnym pochodzie do miasta. Kiedy wyszliśmy na skwar owego ranka, nie mogłem opanować niepokoju: widok willi w Formiae wyprowadził mnie z równowagi. Poza tym następnego dnia przypadało publiczne święto: zaczynały się Rzymskie Igrzyska. Ulice wypełnione były ludźmi i dotarły do nas wieści o nieregularnych dostawach chleba, które doprowadziły do zamieszek. Byłem pewien, że Klodiusz wykorzysta chaos, by zorganizować jakąś zasadzkę. Ale Cyncero był spokojny. Wierzył, że ludzie go obronią. Poprosił, by z powozu zdjęto dach; Tulia usiadła obok niego z parasolką w ręku, ja na ławce obok woźnicy i ruszyliśmy.

Nie przesadzę, jeśli powiem, że obywatele ustawili się wzdłuż całej Via Appia i że prawie przez dwie godziny, gdy sunęliśmy powoli na północ, witano nas

nieustannymi owacjami. W miejscu, gdzie droga przebiegała nad rzeką Almo, obok świątyni Wielkiej Matki, ludzie stali w trzech albo czterech rzędach. Trochę dalej ustawili się tak tłumnie przy świątyni Marsa, że prowadzące do niej schody przypominały trybuny podczas igrzysk. A tuż przy murach miasta, gdzie obok drogi biegnie akwedukt, młodzi ludzie zajęli miejsca na szczytach łuków lub wdrapali się na wysokie palmy. Stercząc tam, machali do Cyclerona, a on machał do nich. Zgiełk, upał i kurz były nie do wytrzymania. W końcu musieliśmy zatrzymać się tuż przy Bramie Kapeńskiej, bo ciżba była zbyt gęsta, byśmy mogli jechać dalej.

Zeskoczyłem na ziemię i próbowałem podejść do drzwiczek z boku powozu, żeby je otworzyć, ale tłum ludzi pragnących znaleźć się bliżej Cyclerona przycisnął mnie do drewnianej ścianki tak mocno, że nie byłem w stanie się poruszyć ani nawet złapać tchu. Powóz przechylił się i o mało nie wywrócił, i naprawdę sędzę, że Cycero mógł zginąć z nadmiaru miłości, zaledwie dziesięć kroków od murów Rzymu, gdyby właśnie wtedy nie wyłonił się z wnęki bramy jego brat Kwintus wraz z kilkunastoma sługami, którzy odepchnęli tłum, co pozwoliło Cycleronowi wysiąść.

Minęły cztery lata od ich ostatniego spotkania i Kwintus nie wyglądał już jak młodszy brat. Miał nos złamany podczas walk na Forum i widać było, że dużo pije. Przypominał poobijanego starego boksera.

Wyciągnął ramiona do starszego brata i padli sobie w objęcia, obaj zbyt przejęci, by się odezwać; poklepywali się tylko w milczeniu po plecach i nie wstrzymywali łez, które płynęły im po policzkach.

Kiedy się od siebie odsunęli, Kwintus powiedział mu, co przygotował, po czym weszliśmy do miasta pieszo, Cyncero i Kwintus, trzymając się za ręce, Tulia i ja za nimi, słudzy po obu naszych stronach. Kwintus, który kierował kiedyś kampanią wyborczą Cyncerona, ustalił trasę tak, by jego brata mogła zobaczyć jak największa liczba popleczników. Minęliśmy Circus Maximus, nad którym powiewały już flagi przed zbliżającymi się igrzyskami, i kiedy powoli szliśmy zatłoczoną doliną, między Palatynem a Celuszem, mogło się zdawać, że wszyscy, których Cyncero kiedykolwiek bronił w sądach, którym oddał jakąkolwiek przysługę, a nawet uścisnął tylko dłoń podczas swej kampanii wyborczej, przybyli tam, by go powitać. Zauważyłem jednak, że nie wszyscy wiwatują i że tu i ówdzie zgromadzeni w niewielkich grupkach plebejusze rzucają nam wrogie spojrzenia albo odwracają się plecami, zwłaszcza gdy zbliżyliśmy się do świątyni Kastora, gdzie miał swoją kwaterę główną Klodiusz. Nabazgrano na niej świeże slogany, tą samą wściekle czerwoną farbą, której użyto w Formiae: M. CYCERO KRADNIE CHLEB LUDOWI; LUD WIE, KOGO WINIĆ, KIEDY JEST GŁODNY. Jakiś mężczyzna splunął w naszą

stronę. Inny odchylił poły tuniki i pokazał mi swój nóż. Cycero udał, że tego nie widzi.

Kilkutysięczny tłum pozdrawiał nas, kiedy szliśmy przez Forum i wspinaliśmy się po stopniach Kapitolu do świątyni Jowisza, gdzie czekał piękny biały byk, który miał być złożony w ofierze. Przez cały czas obawiałem się zamachu, mimo że rozsądek podpowiadał mi, że byłby to akt samobójczy: każdego napastnika, nawet jeśli znalazłby się dość blisko, by zadać uderzenie, rozszarpaliby natychmiast na sztuki stronnicy Cyclerona. Tak czy inaczej wolałbym, żebyśmy znaleźli się w miejscu, gdzie chroniłyby nas ściany i drzwi. Ale było to niemożliwe: tego dnia Cycero należał do Rzymu. Najpierw musieliśmy wysłuchać kapłanów odmawiających swoje modlitwy, potem Cycero musiał okryć głowę, wygłosić rytualne podziękowania bogom i patrzeć, jak zwierzę zostaje zabite, a jego wnętrzności zbadane i wróżby uznane za korzystne. Następnie wkroczył do świątyni i złożył ofiarę u stóp małego posągu Minerwy, który postawił tam jeszcze przed wygnaniem. Kiedy w końcu wyszedł na zewnątrz, otoczyli go senatorowie, którzy najbardziej starali się o jego powrót z zesłania – Sestiusz, Cestylusz, Kurcjusz, bracia Cypiuszowie i pozostali, prowadzeni przez byłego konsula Lentulusa Spinthera – i każdemu z nich musiał osobiście podziękować. Uroniono wiele łez i wymieniono wiele pocałunków i dopiero grubo po południu mogliśmy

ruszyć w stronę domu. Nawet wówczas jednak Spinther i inni uparli się, że będą mu towarzyszyć. Tulia, niezauważona przez żadnego z nas, już wcześniej poszła przodem.

„Dom” nie był już oczywiście jego własną piękną rezydencją na zboczu Palatynu: podnosząc wzrok, zobaczyłem, że została zrównana z ziemią, by zgodnie z zapowiedzią Klodiusza można było na jej miejscu wznieść sanktuarium ku czci Wolności. Zamiast tego mieliśmy zamieszkać niżej, w domu Kwintusa, aż do czasu, gdy Cyncero zdoła odzyskać posiadłość i zacznie odbudowę. Prowadząca tam ulica również była wypełniona jego sympatykami i musiał się przeciskać, by przekroczyć próg domu. Z tyłu, w cieniu dziedzińca, czekała jego żona i dzieci.

Wiem, bo mówił o tym nader często, jak bardzo marzył o tej chwili. A jednak było w tej scenie coś krępującego i nie wiedziałem, gdzie mam podziąć oczy. Terencja, w odświętnym stroju, najwyraźniej czekała na niego od kilku godzin i mały Marek zaczął się już niecierpliwie i marudzić.

– A zatem wróciłeś w końcu do domu, mój mężu! – powiedziała z krzywym uśmiechem, szarpiąc chłopca, żeby porządnie stanął. – Podejdz i przywitaj się z ojcem – rozkazała, popychając go do przodu, lecz on natychmiast cofnął się i schował za fałdami jej szaty.

Nie wiedząc, jak ma zareagować, Cyncero zatrzymał się, z wyciągniętymi ku chłopcu ramionami, i ostatecznie to Tulia wybawiła wszystkich z kłopotu. Podbiegła do ojca, ucałowała go, po czym zaprowadziła do matki, popchnęła ich łagodnie ku sobie i w ten sposób Cyncero powrócił na łono rodziny.

* * *

Willa Kwintusa była duża, ale nie dość przestronna, by wygodnie pomieścić dwie rodziny, i od pierwszego dnia dochodziło do spięć. Przez szacunek dla pełniącego wyższe funkcje i starszego brata Kwintus z właściwą sobie wielkodusznością nalegał, by Cyncero i Terencja zajęli główną sypialnię, którą normalnie dzielił ze swoją żoną Pomponią, siostrą Attyka. Nie ulegało wątpliwości, że ta gorzko się temu sprzeciwiała i niełatwo jej było grzecznie powitać Cyncerona.

Nie jest moim zamiarem przytaczanie plotek z życia prywatnego: tego rodzaju historie nie licują z powagą tego dzieła. Nie mogę jednak rzetelnie opisać życia Cyncerona, nie wspominając o tym, co się wydarzyło, bo właśnie wtedy tak naprawdę zaczęły się domowe kłopoty mojego pana i musiało to rzutować na jego karierę polityczną.

Byli z Terencją małżeństwem od ponad dwudziestu lat. Często się ze sobą kłócili. Ale nawet spierając się,

zawsze zachowywali wobec siebie wzajemny szacunek. Terencja miała swój własny majątek: dlatego właśnie ją poślubił; z całą pewnością nie zrobił tego z powodu jej urody lub słodkiego charakteru. To dzięki jej fortunie wszedł w skład senatu. Z kolei dzięki jego sukcesowi jej pozycja towarzyska znacznie wzrosła. Polityczny upadek Cyncerona odsłonił wewnętrzne słabości tego związku. Terencja nie tylko musiała sprzedać znaczną część swojego majątku, by mieć z czego utrzymać rodzinę podczas jego nieobecności, lecz została także napiętnowana, znieważona i zmuszona zamieszkać z rodziną szwagrów – których, zadzierając nosa, uważała za znacznie niżej urodzonych. Owszem, Cyncero żył i wrócił do Rzymu, i na pewno się z tego cieszyła. Nie kryła jednak, że jej zdaniem czas jego politycznej chwały już się skończył – mimo że on sam, upojony pochlebstwami tłumu, nie przyjmował tego na razie do wiadomości.

Owego pierwszego wieczoru nie poproszono mnie, bym zjadł kolację razem z rodziną, a zważywszy na panujące między nimi napięcie, nie mogę powiedzieć, że specjalnie się tym przejąłem. Ze zdumieniem stwierdziłem jednak, że ulokowano mnie w przeznaczonych dla niewolników kwaterach w piwnicy i mam dzielić małą klitkę z zarządcą Terencji, Filotymusem. Był to obleśny, chciwy osobnik w średnim wieku; nigdy za sobą nie przepadaliśmy i podejrzewam,

że on również nie był zachwycony moim towarzystwem. Tak czy inaczej miłość, jaką żywił do pieniędzy, sprawiała, że zarządzał przynajmniej sprawnie interesami Terencji, i musiało go martwić, że jej fortuna topnieje z miesiąca na miesiąc. Zawziętość, z jaką obwiniał Cyncerona o to, że postawił jego panią w takiej sytuacji, doprowadziła mnie do białej gorączki i po jakimś czasie kazałem mu się przymknąć i okazać trochę szacunku, bo w przeciwnym razie dopilnuję, by pan kazał go wychłostać. Nie mogąc później zasnąć i słuchając jego chrapania, zastanawiałem się, ile z tych skarg, które dopiero co padły, było jego własnych, a ile powtarzał po prostu za swoją panią.

Z powodu niespokojnej nocy nazajutrz zasnęłam i obudziłam się spanikowana. Tego ranka Cyncero miał wziąć udział w obradach senatu, by oficjalnie podziękować senatorom za wsparcie. Normalnie uczył się swoich przemówień na pamięć i wygłaszał je bez notatek. Ponieważ jednak od tak dawna publicznie nie przemawiał, podyktował mi swoją mowę, gdy podróżowaliśmy z Brundisium. Wyjąłem ją z kasetki, sprawdziłem, czy mam cały tekst, i pobiegłem na górę. W tym samym czasie sekretarz Kwintusa, Stacjusz, wprowadził do tablinum dwóch gości. Jednym z nich był Milon, trybun, który odwiedził nas w Tesalonikach, drugim prawa ręka Pompejusza, Lucjusz Afraniusz, który sprawował urząd konsula dwa lata po Cynceronie.

– Ci panowie chcą się zobaczyć z twoim panem – oznajmił Stacjusz.

– Zobaczę, czy może ich przyjąć – odpowiedziałem.

– Lepiej, żeby mógł! – odparł na to Afraniusz tonem, który niezbyt mi się spodobał.

Udałem się od razu do głównej sypialni. Drzwi były zamknięte. Pokojówka Terencji przyłożyła palec do ust i szepnęła, że Cyclerona tam nie ma. Skierowała mnie do garderoby, gdzie jego sługa akurat pomagał mu włożyć togę. Informując mojego pana o przybyciu gości, zobaczyłem za jego plecami niewielkie prowizoryczne posłanie.

– Coś jest z nią nie w porządku, ale nie chce mi zdradzić, o co chodzi – mruknął, widząc, że to zauważyłem, a potem, być może żałując swej szczerości, oschłym tonem kazał mi pójść po Kwintusa, żeby on też wysłuchał, co mają do powiedzenia goście.

Z początku spotkanie toczyło się w przyjaznej atmosferze. Afraniusz oznajmił, że Pompejusz Wielki przesyła Cycleronowi najszczerze wyrazy szacunku i ma nadzieję wkrótce się z nim spotkać. Cycero podziękował Afraniuszowi za przekazanie tej wiadomości, a Milonowi za wszystko, co uczynił, by pomóc mu wrócić z wygnania. Opowiedział, z jakim entuzjazmem przyjmowano go na prowincji i jakie tłumy witały go poprzedniego dnia w Rzymie.

– Czuję, jakbym zaczynał życie od nowa – dodał. – Mam nadzieję, że Pompejusz będzie obecny w senacie i usłyszy, jak w miarę moich skromnych możliwości wyrażam mu swoje uznanie.

– Pompejusz nie weźmie udziału w obradach – oświadczył Afraniusz.

– Przykro mi to słyszeć.

– Uznał, że nie byłoby to stosowne ze względu na nowe prawo, które ma zostać przedłożone – wyjaśnił Afraniusz, po czym podał mu wyjęty z torby szkic ustawy, który Cyncero przeczytał z wyraźnym zaskoczeniem.

Po chwili wręczył go Kwintusowi, a ten w końcu przekazał mnie.

Ponieważ lud rzymski nie ma dostępu do wystarczających dostaw zboża, i to w stopniu, który stanowi wielkie zagrożenie dla dobra i bezpieczeństwa państwa – pamiętając też o zasadzie, zgodnie z którą wszyscy rzymscy obywatele mają prawo do przynajmniej jednego darmowego bochenka chleba dziennie lub jego ekwiwalentu – zarządza się niniejszym, by Pompejusz Wielki objął funkcję komisarza zbożowego, który będzie kupował, sekwestrował lub w podobny sposób nabywał na całym świecie dość zboża, aby zaspokoić w odpowiednim stopniu potrzeby miasta; by funkcję tę piastował przez okres pięciu lat; i by do pomocy przy tym zadaniu miał prawo mianować piętnastu wicekomisarzy zbożowych, którzy będą wykonywać obowiązki, jakie im wyznaczy.

– Pompejusz chciałby oczywiście, żebyś to ty, panie, przedłożył projekt tej ustawy, kiedy będziesz się dziś zwracał do senatu – powiedział Afraniusz.

– Musisz przyznać, że to sprytne posunięcie – dodał Milon. – Po tym, jak pozbawiliśmy Klodiusza władzy nad ulicą, nie pozwolimy mu teraz kupować głosów dostawami chleba.

– Czy ograniczenia w dostawach zboża są rzeczywiście tak poważne, by uchylać nadzwyczajne prawa? – zapytał Cyncero, zwracając się do Kwintusa.

– To prawda, zboża jest bardzo mało, a cena tego, które można kupić, niebywale wzrosła.

– Tak czy owak, są to zdumiewająco szerokie, bezprecedensowe uprawnienia w kwestii dostaw żywności, przyznane jednemu człowiekowi. Obawiam się, że przed wydaniem opinii będę musiał zapoznać się bliżej z sytuacją.

Cyncero chciał oddać szkic ustawy Afraniuszowi, lecz ten go nie przyjął. Skrzyżował ręce na piersi, mierząc Cyncerona surowym spojrzeniem.

– Muszę powiedzieć, że spodziewaliśmy się trochę większej wdzięczności... po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy.

– Rozumie się samo przez się, że zostaniesz jednym z piętnastu wicekomisarzy – dodał Milon, pocierając kciukiem palec wskazujący, by zasugerować lukratywny charakter tej nominacji.

Zapadło niezręczne milczenie.

– Zostawimy ci szkic ustawy i będziemy z zainteresowaniem słuchali tego, co powiesz, kiedy

zwrócisz się do senatu – oświadczył w końcu Afraniusz.

Po ich wyjściu to Kwintus odezwał się pierwszy.

– Znamy teraz przynajmniej ich cenę – stwierdził.

– Nie, to nie jest ich cena – odparł ponuro Cycero. – To zaledwie pierwsza rata ich ceny... długu, którego w ich oczach nigdy nie spłacę, bez względu na to, ile im dam.

– Co zatem zrobisz?

– To zaiste szatańska alternatywa, nie sądzisz? Jeśli zaproponuję ustawę w tym kształcie, wszyscy stwierdzą, że jestem marionetką Pompejusza. Jeśli nic nie powiem, on zwróci się przeciwko mnie. Cokolwiek zrobię, będę przegrany.

Tak jak to często bywało, idąc do senatu, nie wiedział jeszcze, jaką wybierze taktykę. Zanim zabrał głos w senacie, zawsze lubił sprawdzać, jaka panuje w nim temperatura – wsłuchać się w bicie jego serca, jak to czyni lekarz z pacjentem. Birria, gladiator z blizną na twarzy, który towarzyszył Milonowi, kiedy ten odwiedził nas w Macedonii, pełnił wraz z trzema swymi kolegami rolę naszej obstawy. Poza tym eskortowało nas ze dwudziestu albo trzydziestu klientów Cyclerona służących jako ludzka tarcza; czuliśmy się w związku z tym całkiem bezpieczni. Birria przechwalał mi się po drodze, jak wielkimi dysponują siłami. Milon i Pompejusz trzymali podobno w koszarach na Polu Marsowym dwustu gladiatorów gotowych do natychmiastowej akcji, gdyby Klodiusz spróbował jednej ze swoich sztuczek.

Gdy dotarliśmy do budynku senatu, podałem Cycleronowi tekst jego mowy. Wchodząc do środka, dotknął starożytnej framugi i rozejrzał się dokoła ze zdumieniem i wdzięcznością, że dane mu jest znów zobaczyć „najwspanialszy przybytek na świecie”, jak go nazywał. Kiedy zbliżył się do ławy, którą zwykle zajmował, tuż obok podium konsulów, siedzący najbliżej senatorowie wstali, by uścisnąć mu dłoń. Frekwencja była słaba – zauważyłem, że nieobecny był nie tylko Pompejusz, ale również Klodiusz i Marek Krassus, którego przymierze z Pompejuszem i Cezarem nadal stanowiło najpotężniejszy sojusz w republice. Zastanawiałem się, dlaczego nie przyszli.

Konsulem prowadzącym tego dnia obrady był Metellus Nepos, dawny wróg Cyclerona, który obecnie publicznie się z nim pogodził – choć zrobił to niechętnie i pod naciskiem większości senatu. Jakby nie dostrzegając przybycia Cyclerona, wstał i oznajmił, że nadeszła właśnie kolejna wiadomość od Cezara z Galii Zaalpejskiej. W izbie zapadła cisza i senatorowie słuchali uważnie, kiedy odczytywał relację Cezara na temat jeszcze bardziej brutalnych starć z dzikimi plemionami o egzotycznych nazwach – Wiromandowie, Atrebatowie i Nerwiowie – starć, które toczyły się pośród posępnych głuchych lasów i płynących szerokim nurtem nieprzebytych rzek. Było jasne, że Cezar zapuścił się o wiele dalej niż jakikolwiek wcześniejszy rzymski dowódca, prawie do zimnego

północnego morza, i jego zwycięstwo ponownie nie różniło się wiele od totalnej rzezi: z sześćdziesięcioletniej armii, którą wystawili Nerwowie, zostało przy życiu, jak twierdził, tylko pięciuset. Kiedy Nepos skończył czytać, mogło się zdawać, że cały senat wstrzymał oddech; dopiero wówczas konsul udzielił Cynceronowi głosu.

Nie był to dobry moment na wygłoszenie mowy i dlatego Cyncero ograniczył się głównie do podziękowań. Podziękował konsulom. Podziękował senatowi. Podziękował ludowi. Podziękował bogom. Podziękował swojemu bratu. Podziękował prawie wszystkim z wyjątkiem Cezara, którego imienia w ogóle nie wymienił. Szczególnie gorąco dziękował Pompejuszowi („którego odwaga, sława i dokonania nie mają sobie równych w dziejach żadnego narodu i w żadnej epoce”) i Milonowi („jego cały trybunat wypełniony był stanowczą, niezachwianą i odważną walką o moje dobro”). Nie wspomniał jednak w ogóle o kulejących dostawach zboża i o propozycji przyznania Pompejuszowi nadzwyczajnych uprawnień. Kiedy tylko usiadł, Afraniusz i Milon natychmiast wstali ze swoich miejsc i opuścili budynek.

Gdy wracaliśmy potem do domu Kwintusa, zauważyłem, że nie towarzyszą nam już Birria i jego gladiatorzy, co uznałem za dziwne, bo grożące nam niebezpieczeństwo bynajmniej się nie zmniejszyło.

W tłumie widzów dostrzegłem sporo żebraków i może byłem w błędzie, ale odniosłem wrażenie, że w stronę Cyncerona kierowano znacznie więcej niż wcześniej wrogich gestów i spojrzeń.

– Nie byłem w stanie tego zrobić – oznajmił, kiedy dotarliśmy bezpiecznie do domu. – Jak mogłem zająć stanowisko w kontrowersyjnej kwestii, o której nie mam pojęcia? Poza tym chwila nie była odpowiednia, by wysuwać tego rodzaju propozycje. Wszyscy mówili tylko o Cezarze. Może zostawią mnie teraz przez jakiś czas w spokoju.

Dzień był długi i słoneczny i Cyncero spędził znaczną jego część w ogrodzie, czytając i rzucając piłkę należącemu do rodziny psu, terierowi Myia, którego figlami zachwycali się młody Marek i jego dziewięcioletni kuzyn, Kwintus Junior, jedyne dziecko Kwintusa i Pomponii. Marek był słodkim, dobrodusznym chłopcem, lecz Kwintus, rozpieszczony przez matkę, miał w sobie jakiś niemiły rys. Bawili się jednak dość zgodnie. Co jakiś czas z doliny po drugiej stronie wzgórza dochodził ryk zgromadzonych w Circus Maximus tłumów – sto tysięcy gardeł wrzeszczało razem lub wydawało zbiorowy jęk: te odgłosy, jednocześnie podniecające i przerażające niczym pomruk tygrysa, sprawiały, że włosy jeżyły mi się na ramionach i karku. W środku popołudnia Kwintus zasugerował, że Cyncero powinien pójść na igrzyska, pokazać się widzom

i obejrzeć przynajmniej jeden wyścig. Ale Cyncero wolał zostać w domu.

– Mam już dość pokazywania się obcym ludziom – powiedział.

Ponieważ chłopcy nie chcieli jeszcze iść do łóżek, a Cyncero, po tak długiej nieobecności, był skłonny im pofolgować, kolację podano później niż zwykle. Tym razem, ku wyraźnej irytacji szwagierki, Cyncero zaprosił mnie do stołu. Pomponia nie aprobowała tego, by niewolnicy jadalili posiłki wspólnie ze swoimi panami, i uważała też niewątpliwie, że to do niej, a nie do szwagra należy decyzja, kto ma zasiąść przy jej własnym stole. Było nas sześcioro: Cyncero i Terencja na jednej sofie, Kwintus i Pomponia na drugiej, Tulia i ja na trzeciej. Normalnie dołączyłby do nas brat Pomponii, Attyk, który był najbliższym przyjacielem Cyncerona. Ale na tydzień przed naszym powrotem opuścił nagle Rzym, udając się do swoich posiadłości w Epirze. Tłumaczył, że wezwały go tam pilne sprawy, ale podejrzewałem, że przewidywał, iż dojdzie do rodzinnych niesnasek. Zawsze lubił spokojne życie.

Zmierzchało już i niewolnicy wnosili właśnie długie świece, by zapalić lampy, kiedy gdzieś w oddali rozległa się kakofonia gwizdków, bębnow, trąbek i chóralnych śpiewów. Z początku nie zwracaliśmy na to uwagi, sądząc, że to jakiś pochód związany z trwającymi

igrzyskami. Ale po jakimś czasie hałasy zaczęły dochodzić bezpośrednio sprzed domu i wcale nie cichły.

– Co to, na bogów, może być, twoim zdaniem? – odezwała się w końcu Terencja.

– Wiesz co... zastanawiam się, czy to nie jest *flagitatio* – odparł erudycyjnym tonem Cycero. – To taki dziwaczny zwyczaj! Mógłbyś rzucić okiem, Tironie?

Nie przypuszczam, by coś takiego funkcjonowało jeszcze dzisiaj, ale w czasach republiki, gdy ludzie mogli swobodnie wyrażać swoje opinie, *flagitatio* było prawem obywateli, którzy mieli do kogoś pretensje, lecz byli zbyt biedni, by iść z tym do sądu. Wolno im było wówczas demonstrować przed domem obwinianej osoby. Tej nocy celem był Cycero. Słyszałem, jak w przyśpiewkach pada jego imię, a kiedy otworzyłem drzwi, usłyszałem ich treść bardzo wyraźnie.

Synu kurwy, Cyceronie, gdzie jest nasz chleb?

Syn kurwy, Cycero, ukradł nasz chleb!

Około stu osób wypełniło wąską uliczkę, powtarzając bez końca te same frazy i zastępując czasem określenie „syn kurwy” jeszcze wulgarniejszymi słowami. Kiedy spostrzegli, że im się przyglądam, podnieśli straszliwy rwetes. Zatrzasnąłem czym prędzej drzwi, zaryglowałem je i wróciłem do jadalni, by zdać relację.

Zaniepokojona Pomponia usiadła prosto.

– I co teraz zrobimy? – zapytała.

– Nic – odparł Cyncero. – Ci ludzie mają prawo hałasować. Niech zdzierają gardła, a kiedy im się znudzi, pójdą sobie.

– Ale dlaczego oskarżają cię o kradzież ich chleba? – wtrąciła Terencja.

– Klodiusz twierdzi, że chleba zabrakło, ponieważ do Rzymu przybyło tylu ludzi popierających twojego męża – powiedział Kwintus.

– Ale ci ludzie wcale nie pojawili się tu z powodu mojego męża... przyjechali obejrzeć igrzyska.

– Jak zwykle brutalnie szczera – skomentował Cyncero.
– Ale nawet jeśli pojawili się tu z mojego powodu, z tego, co wiem, w dniach, kiedy odbywają się igrzyska, w mieście nigdy nie brakuje żywności.

– Więc dlaczego teraz zabrakło?

– Domyślam się, że ktoś sabotuje dostawy.

– Kto mógłby to robić?

– Klodiusz, by oczernić moje imię; a może nawet Pompejusz, żeby pod tym pretekstem przejąć dystrybucję zboża. Tak czy inaczej nie możemy na to nic poradzić. Proponuję więc, byśmy zjedli nasz posiłek i nie zwracali na nich uwagi.

Ale chociaż staraliśmy się zachowywać, jakby nic się nie stało, i nawet żartowaliśmy i śmialiśmy się z demonstrantów, rozmowa nie kleiła się i za każdym razem, kiedy zapadała cisza, natychmiast wypełniały ją wściekłe głosy z ulicy.

Kutafon Cyncero ukradł nasz chleb!

Kutafon Cyncero zeżarł nasz chleb!

– Czy będą tak wyli przez całą noc? – zapytała w końcu Pomponia.

– Niewykluczone – odparł Cyncero.

– Ale to zawsze była porządna i cicha ulica! Chyba możesz coś zrobić, żeby ich powstrzymać?

– Nie za bardzo. Mają prawo to robić.

– Mają prawo?!

– Jeśli dobrze pamiętasz, wierzę w prawa ludu.

– Ale jak ja mam zasnąć?

Cyncero stracił w końcu cierpliwość.

– Może wsadzisz sobie do uszu trochę wosku, pani? – zasugerował, po czym dodał półgłosem: – Gdybym był twoim mężem, na pewno bym to zrobił.

Kwintus, który sporo wypił, próbował stłumić śmiech. Pomponia odwróciła się do niego.

– Pozwalasz mu mówić do mnie w ten sposób?

– To był tylko żart, moja droga.

Pomponia odłożyła serwetkę, z godnością wstała z sofy i oznajmiła, że pójdzie sprawdzić, czy chłopcy już zasnęli. Terencja, posławszy Cynceronowi ostre spojrzenie, powiedziała, że idzie razem z nią, i dała znak Tulii, by jej towarzyszyła.

– Przepraszam – rzekł Cyncero do Kwintusa, kiedy kobiety wyszły. – Nie powinienem był odzywać się w ten sposób. Pójdę do niej i ją przeproszę. Poza tym ona ma

rację. Przysparzam wam tylko kłopotów. Jutro rano się wyprowadzimy.

– Nigdzie się nie wyprowadzisz. Jestem panem tego domu i póki żyję, będziesz mógł przebywać pod moim dachem. Obelgi ze strony tej hołoty nie robią na mnie wrażenia.

Znowu nadstawiliśmy uszu.

Skurwielu Cycero, gdzie jest nasz chleb?

Skurwiel Cycero sprzedał nasz chleb!

– Muszę przyznać, że to niezwykle pojemne metrum – powiedział Cycero. – Zastanawiam się, ile jeszcze potrafią wymyślić wersji.

– Wiesz, że zawsze możemy się zwrócić do Milona. Gladiatorzy Pompejusza błyskawicznie zrobią z nimi porządek.

– A ja zaciągnę u nich jeszcze większy dług. Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

Udaliśmy się oddzielnymi drogami na spoczynek, nie myślę jednak, by któryś z nas dużo spał tej nocy. Demonstracja wcale się nie skończyła; wprost przeciwnie, nazajutrz rano stała się o wiele głośniejsza i z całą pewnością bardziej gwałtowna, bo tłum zaczął wyrywać kostki brukowe z ulicy i ciskać nimi w ściany albo przerzucać nad murem, tak że lądowały z hukiem w atrium i w ogrodzie. Było jasne, że znaleźliśmy się w opłakanej sytuacji, i podczas gdy kobiety i dzieci

schroniły się wewnątrz domu, Cycero, Kwintus i ja wdrapaliśmy się na dach, by ocenić niebezpieczeństwo. Zerkając ostrożnie znad skraju kalenicy, można było dostrzec Forum, zbrojnie okupowane przez ludzi Klodiusza. Senatorowie, którzy próbowali się dostać na sesję senatu, musieli przedzierać się przez obrzucający ich wyzwiskami i wyjący tłum. Docierały do nas głośne wrzaski, którym towarzyszył szczeł kuchennych utensyliów.

Gdzie jest nasz chleb?

Gdzie jest nasz chleb?

Gdzie jest nasz chleb?

Na dole rozległ się nagle głośny krzyk. Zeszliśmy z dachu i stanąwszy w atrium, zobaczyliśmy, jak niewolnik wyławia z impluwium podobny do sakwy albo małej torby czarno-biały przedmiot, który wpadł tam właśnie przez otwór w dachu. To było okaleczone ciało naszego domowego psa, Myii. Dwaj chłopcy przykucnęli w rogu atrium, płacząc i zasłaniając dłońmi uszy. Ciężkie kamienie waliły o drewniane drzwi. I wtedy Terencja zwróciła się do Cyclerona z taką goryczą, jakiej nigdy wcześniej u niej nie widziałem:

– Uparty człowieku! Uparty, głupi człowieku! Czy w końcu uczynisz coś, by bronić swoją rodzinę? Czy też muszę znów wyczołgać się stąd na czworakach i błagać tych drani, by nas oszczędzili?

Cycero zatoczył się do tyłu, porażony siłą jej furii. W tym samym momencie znów usłyszał płacz chłopców i spojrzawszy w ich stronę, zobaczył Tulię, która pocieszała swojego brata i kuzyna. To przesądziło chyba sprawę.

– Sądzisz, że uda ci się wyprawić przez okno na tyłach domu niewolnika z wiadomością? – zapytał Kwintusa.

– Na pewno się uda.

– Właściwie lepiej wysłać dwóch, na wypadek gdyby jeden się nie przedostał. Niech pobiegną do koszar Milona na Polu Marsowym i powiedzą gladiatorom, że potrzebna nam natychmiastowa pomoc.

Posłańcy zostali wyprawieni, a Cycero podszedł do chłopców i pragnąc odwrócić ich uwagę od tego, co się działo, usiadł razem z nimi i zaczął im opowiadać o bohaterskich czynach obrońców republiki. Po oczekiwaniu, które wydawało nam się bardzo długie, kiedy to coraz bardziej zawzięcie próbowano sforsować drzwi, usłyszeliśmy z ulicy nową falę ryków, po czym rozległy się dzikie wrzaski. Przybyli gladiatorzy pozostający pod rozkazami Milona i Pompejusza i w ten sposób Cycero ocalił siebie i swoją rodzinę, jestem bowiem święcie przekonany, że ludzie Klodiusza, przekonawszy się, że nikt nie stawia im oporu, włamałoby się do domu i zmasakrowali nas wszystkich. Tymczasem gdy pojawiła się odsiecz, oblegający, którzy nie byli nawet

w przybliżeniu tak dobrze wyszkoleni i uzbrojeni, po krótkiej potyczce rozpierzchli się w popłochu.

Upewniwszy się, że na ulicy panuje spokój, Cycero, Kwintus i ja wspięliśmy się ponownie na dach i obserwowaliśmy, jak walki przenoszą się na Forum. Kolumny gladiatorów wbiegły tam z różnych stron i zaczęły płazować tłum mieczami. Ludzie rozproszyli się, ale nie dali tak łatwo za wygraną. Między świątynią Kastora a gajem westalek wzniesiono barykadę ze stołów, ławek i okiennic z pobliskich sklepów. Ta linia oporu trzymała się dość długo i w pewnym momencie zobaczyłem nawet jasne loki samego Klodiusza, który w założonym na togę kirysie kierował walką, wywijając długim żelaznym szpikulcem. Poznałem, że to on, bo była przy nim jego żona, Fulwia – kobieta równie zawzięta, okrutna i skłonna do przemocy jak każdy mężczyzna. Tu i tam rozpalono ognie i snujące się w letniej spiekocie kłęby dymu potęgowały zamieszanie. Naliczyłem siedem nieruchomych ciał, choć nie umiałem stwierdzić, czy byli to zabici, czy tylko ranni.

Po jakimś czasie Cycero nie mógł już tego dłużej oglądać.

– To koniec republiki – powiedział cicho, schodząc z dachu.

Siedzieliśmy w domu przez cały dzień, kiedy na Forum toczyły się walki, a najbardziej teraz zadziwia mnie to, że niecałą milę dalej, zupełnie jakby nie działało

się nic niezwykłego, trwały nieprzerwanie Rzymskie Igrzyska. Przemoc stała się normalnym elementem polityki. Przed zapadnięciem zmroku wszystko się uspokoilo, ale Cyncero na wszelki wypadek postanowil nie wychodzić z domu aż do rana, kiedy to wraz z Kwintusem i eskortą złożoną z gladiatorów Milona udaliśmy się do budynku senatu. Forum wypełniali teraz obywatele popierający Pompejusza. Wołali do Cyncerona, by zapewnił im dostawę chleba, posyłając po Pompejusza, który rozwiąże kryzys. Cyncero, który zabrał ze sobą szkic ustawy mianującej Pompejusza komisarzem zbożowym, nie odpowiadał.

Frekwencja w izbie znowu była nienadzwyczajna. Z powodu zamieszek ponad połowa senatorów została w domach. Oprócz Cyncerona jedynymi byłymi konsulami zasiadającymi w pierwszej ławie byli Afraniusz i Marek Waleriusz Messala. Prowadzący obrady konsul Metellus Nepos, przechodząc poprzedniego dnia przez Forum, został trafiony kamieniem i miał założony bandaż. Umieścił kwestię zamieszek zbożowych na pierwszym miejscu porządku dnia i kilku senatorów zasugerowało nawet, że to Cyncero powinien przejąć kontrolę nad dostawami żywności, na co ten potrząsnął skromnie głową.

– Czy chcesz przemówić, Marku Cynceronie? – zapytał niechętnie Nepos.

Cyncero skinął głową i wstał.

– Nikomu z nas, a już zwłaszcza walecznemu Neposowi, nie trzeba przypominać o aktach zatrważającej przemocy, których sceną stało się wczoraj nasze miasto... U jej źródeł leży niemożność zaspokojenia tej najbardziej podstawowej z ludzkich potrzeb: chleba. Niektórzy z nas uważają, że zły to był dzień, kiedy naszym obywatelom zagwarantowano darmowe przydziały zboża, bo taka jest już ludzka natura, że to, za co na początku jesteśmy wdzięczni, staje się szybko czymś, od czego jesteśmy uzależnieni, a kończy jako coś, co naszym zdaniem święcie nam się należy. Do tego właśnie teraz doszliśmy. Nie twierdzę, że powinniśmy w ogóle uchylić prawo Klodiusza... jest na to zbyt późno: moralność publiczna została nadwątlona, co z pewnością było jego zamiarem. Jeżeli ma zapanować porządek, musimy jednak zadbać przynajmniej o stałe dostawy chleba. A w naszym państwie jest tylko jeden człowiek, którego autorytet i geniusz organizacyjny pozwoliłyby je zapewnić. Tym człowiekiem jest Pompejusz Wielki. Dlatego chciałbym zaproponować następującą rezolucję...

I tu Cycero przeczytał projekt ustawy, którą już wcześniej przytoczyłem, a senatorowie będący stronnikami Pompejusza wstali, by ją poprzeć. Inni siedzieli z posępnymi minami albo mruczełi gniewnie, zawsze bowiem obawiali się niepokohowanej żądy władzy Pompejusza. Wiwaty usłyszano na zewnątrz i podchwyciły je tłumy czekające na Forum. Kiedy ludzie

dowiedzieli się, że to Cyncero zgłosił nową ustawę, zaczęli domagać się, by wyszedł i przemówił do nich z rostrów, w związku z czym wszyscy trybuni, z wyjątkiem dwóch popierających Klodiusza, wystosowali do niego pisemną prośbę o zabranie głosu. Kiedy odczytano ją w senacie, Cyncero zaprotestował, twierdząc, że nie jest przygotowany na taki zaszczyt. (W rzeczywistości miałem przy sobie mowę, którą napisał już wcześniej i którą mogłem mu przekazać, gdy wchodził po stopniach na podium).

Powitały go olbrzymie owacje i minęło trochę czasu, nim dopuszczono go do głosu. Gdy aplauz ucichł, Cyncero zaczął mówić i doszedł właśnie do miejsca, w którym dziękował ludziom za ich poparcie – „gdybym zaznawał wyłącznie niezmaconego niczym spokoju, ominęłaby mnie ta niewiarygodna chwila niemal nadludzkiego szczęścia, którego doświadczam teraz dzięki waszej dobroci” – kiedy na obrzeżach tłumu pojawił się nie kto inny jak Pompejusz. Przystanął ostentacyjnie z boku, bez żadnej obstawy – nie żeby jej potrzebował, skoro całe Forum wypełniali jego gladiatorzy – i udawał, że przyszedł tam jako zwykły obywatel, by wysłuchać tego, co ma do powiedzenia Cyncero. Ludzie jednak oczywiście na to nie pozwolili, zgodził się więc, by zaprowadzono go do rostrów, wspiął się na nie i objął Cyncerona. Zapomniałem już, jakie sprawiał imponujące wrażenie – ze swoim majestatycznym torsem, męską posturą

i słynną grzywą ciemnych włosów, które wznosiły się niczym dziób wojennej galery nad jego szeroką przystojną twarzą.

Ta chwila wymagała pochlebstw i Cycero stanął na wysokości zadania.

– Oto człowiek – powiedział, unosząc rękę Pompejusza – który nie miał, nie ma i nie będzie miał sobie równych, jeśli idzie o cnotę, roztropność i renomę. Dał mi to wszystko, co dał wcześniej republice i czego nikt inny nie ofiarował jeszcze własnemu przyjacielowi: bezpieczeństwo, ochronę i godność. Mam wobec niego tak wielki dług, obywatele, że jeden człowiek nie powinien z mocy prawa być tyle winien drugiemu.

Aplauz trwał przez dłuższą chwilę i Pompejusz rozpromienił się niczym słońce.

Później zgodził się pójść z Cycleronem do domu Kwintusa i napić się z nim wina. Nie napomknął ani słowem o wygnaniu Cyclerona, nie zapytał go o zdrowie, nie przeprosił za to, że przed laty nie pomógł mu stawić czoła Klodiuszowi, co było głównym powodem późniejszej katastrofy. Mówił tylko o sobie i o przyszłości, ciesząc się jak dziecko na myśl, że zostanie komisarzem zbożowym, co pozwoli mu więcej podróżować i wzmocni jego wpływy.

– A ty, mój drogi Cycleronie, musisz oczywiście zostać jednym z moich piętnastu legatów. Możesz mieć dowolną

provincję. Dokąd chciałbyś pojechać? Na Sycylię? Na Sycylię? Do Egiptu? Do Afryki?

– Dziękuję – odparł Cyncero. – Jesteś bardzo wspaniałomyślny, panie, ale muszę odmówić. Teraz najważniejsza jest dla mnie rodzina: przejęcie z powrotem naszej posiadłości, zadbanie o żonę i dzieci, zemsta na naszych wrogach i próba odzyskania majątku.

– Zapewniam cię, że prowadząc interesy zbożowe, odzyskasz majątek szybciej niż w jakikolwiek inny sposób.

– Mimo to muszę pozostać w Rzymie.

Na szerokiej twarzy Pompejusza odbiło się rozczarowanie.

– Jestem zawiedziony, nie będę udawał, że jest inaczej. Chcę, by nazwisko Cyncerona firmowało tę komisję. Nada jej większego znaczenia. A ty? – zwrócił się do Kwintusa. – Przypuszczam, że możesz się tego podjąć.

Biedny Kwintus! Po powrocie z Azji, gdzie dwa razy pełnił służbę w imieniu republiki, ostatnią rzeczą, jakiej by pragnął, był ponowny wyjazd za granicę i perspektywa użerania się z rolnikami, handlarzami zbożem i armatorami. Skrzywił się i zaczął dowodzić, że nie nadaje się na ten urząd. Zerknął na brata, by ten go poparł. Ale Cyncero nie mógł przecież po raz drugi odmówić Pompejuszowi, więc nie odezwał się słowem.

– Znakomicie, w takim razie załatwione. – Pompejusz uderzył dłońmi w poręcze fotela na znak, że sprawa jest

przesądzona, i dźwignął się na nogi. Stęknął przy tym z wysiłku i zauważyłem, że nabrał ciała. Miał pięćdziesiąt lat, tyle samo co Cyncero. – Nasza republika przechodzi ciężkie czasy – oznajmił, obejmując obu braci. – Ale damy sobie radę, tak jak dawaliśmy sobie radę zawsze, i wiem, że zrobicie to, co do was należy. – Złapał mocniej obu mężczyzn, przycisnął do siebie i trzymał ich tak, przygwożdżonych do szerokiej piersi.

IV



Nazajutrz wczesnym rankiem Cycero i ja wspięliśmy się po zboczu, by obejrzeć ruiny jego domu. Pałacową rezydencję, w którą zainwestował tyle pieniędzy i czasu, całkowicie zrównano z ziemią; dziewięć dziesiątych rozległego terenu zajmowały gruzy i chwasty; pod splątanymi pnączami trudno było rozpoznać pierwotny rozkład pomieszczeń. Cycero pochylił się, by podnieść jedną z wystających z ziemi osmalonych cegieł.

– Dopóki ta ziemia nie zostanie mi zwrócona, będziemy całkowicie zdani na ich łaskę: pozbawieni pieniędzy, pozbawieni godności, pozbawieni niezależności. Za każdym razem, gdy wyjdę na miasto, będę miał przed oczyma to miejsce. Będzie mi przypominało moje upokorzenie.

Krawędzie cegły kruszyły się w jego dłoniach; czerwony pył niczym zaschnięta krew sypał się pomiędzy palców.

W samym końcu posiadłości stał na wysokim cokole marmurowy posąg młodej kobiety. Wokół piętrzyły się świeżo ścięte kwiaty. Konsekrując w tym miejscu sanktuarium ku czci Wolności, Klodiusz miał nadzieję uczynić je nienaruszalnym i uniemożliwić Cynceronowi jego odzyskanie. Skąpana w porannym słońcu marmurowa kobieta była kształtna, z długimi puklami włosów, w zsuniętej, odsłaniającej piersi, zwiewnej sukni. Cyncero, trzymając się pod boki, patrzył na nią przez chwilę.

– Wolność jest chyba zawsze przedstawiana jako matrona z czepkiem na włosach – stwierdził w końcu, a ja pokiwałem głową. – Kim więc jest, pytam się, ta dzierlatka? W nie większym stopniu niż ja nadaje się na uosobienie boskości.

Aż do tej chwili był w ponurym nastroju, ale teraz zaczął się śmiać i kiedy wróciliśmy do domu Kwintusa, kazał mi ustalić, skąd Klodiusz wziął ten posąg. Tego samego dnia wystąpił do Kolegium Kapłańskiego o zwrot swojej posiadłości, argumentując, że miejsce zostało w niewłaściwy sposób konsekrowane. Rozprawę wyznaczono na koniec miesiąca i wezwano Klodiusza, by przedstawił swoje stanowisko.

Kiedy nadszedł ten dzień, Cycero przyznał, że jest źle przygotowany i wyszedł z wprawy. Ponieważ jego biblioteka nadal była przechowywana w magazynie, nie mógł zajrzeć do źródeł, których potrzebował. Obawiał się również, jestem pewien, spotkania twarzą w twarz z Klodiuszem. Co innego zostać pobitym przez niego w ulicznej burdzie, co innego zaś przegrać w sądzie.

Kolegium Kapłańskie mieściło się wtedy w starym gmachu Regii⁷, o którym powiadano, że jest najstarszym budynkiem w mieście. Podobnie jak budynek, który wzniesiono tam później, gmach stał w miejscu, gdzie Via Sacra rozwidła się i dociera do Forum, ale jego wysokie, pozbawione okien ściany całkowicie tłumiły panujący na zewnątrz zgiełk. W oświetlonym świecami wnętrzu można było zapomnieć, że na dworze jest jasno i słonecznie. Nawet chłodne niczym w grobowcu powietrze załatywało świętością, jakby od ponad sześciuset lat nikt go nie zmaćił.

W przeciwległym końcu zatłoczonej sali siedziało, czekając na nas, czternastu z piętnastu kapłanów. Nieobecny był tylko przewodniczący Kolegium, Cezar; jego krzesło, wspanialsze od innych, stało puste. Wśród kapłanów było kilku, których dobrze znałem: konsul Spinther; Marek Lukullus, brat wielkiego generała Lucjusza, który ostatnio stracił podobno zmysły i był przetrzymywany w swoim pałacu poza Rzymem; a także dwaj młodzi, robiący karierę arystokraci, Kwintus

Scypion Nazyka i Marek Emiliusz Lepidus. Zobaczyłem tu także Krassusa. Dziwny stożkowaty kapelusz ze zwierzęcego futra, który musieli nosić członkowie Kolegium, ukrywał jego charakterystyczną łysinę. Jego przebiegła twarz była zupełnie nieruchoma.

Cycero usiadł naprzeciwko nich, a ja przycupnąłem na stołku za jego plecami, gotów podawać mu potrzebne dokumenty. Publiczność stanowili znamienici obywatele, wśród nich Pompejusz. Nie było ani śladu Klodiusza. Stopniowo cichły prowadzone szeptem rozmowy. Cisza stała się dokuczliwa. Gdzie on się podziewał? Może nie przyjdzie? Z Klodiuszem nigdy nic nie było wiadomo. W końcu jednak wszedł zawadiackim krokiem i poczułem, jak przechodzi mnie dreszcz na widok człowieka, który przysporzył nam tylu cierpień. Królowa Piękności, zwykł nazywać go Cycero, ale w wieku średnim Klodiusz nie zasługiwał już na tę obelgę. Lśniące blond włosy miał obecnie przycięte przy samej czaszce, niczym złoty hełm; grube czerwone wargi nie były już tak wydęte. Twardy, szczupły, arogancki, przypominał upadłego Apollina. Jak zdarza się nieraz w przypadku najbardziej zaciekłych wrogów, był niegdyś przyjacielem Cycerona. Ale potem zbyt często naruszał reguły prawa i moralności, przebierając się za kobietę i bezczeszcząc święty obrządek Dobrej Bogini. Cycero zmuszony był zeznawać przeciwko niemu i od tego dnia Klodiusz poprzysiągł mu zemstę. Usiadł na krześle zaledwie trzy

kroki od Cyncerona, lecz ten nadal patrzył prosto przed siebie i ich spojrzenia ani razu się nie spotkały.

Najstarszym wiekiem kapłanem był Publiusz Albinowanus, który skończył już chyba osiemdziesiąt lat.

– Czy sanktuarium ku czci Wolności, wzniesione ostatnio na ziemi, do której rości pretensje Marek Tulliusz Cyncero, zostało konsekrowane zgodnie, czy też niezgodnie z obrzędami oficjalnej religii? – wyłuszczył drżącym głosem przedmiot sporu, po czym poprosił Klodiusza, żeby zabrał głos jako pierwszy.

Klodiusz odczekał chwilę, by okazać, jak bardzo mierzi go cała ta rozprawa, a następnie powoli wstał z krzesła.

– Jestem wstrząśnięty i zasmucony, lecz wcale nie zaskoczony, święci ojcowie – zaczął, cedząc słowa na patrycjuszowską modłę – tym, że skazany na wygnanie skrytobójca Cyncero, uśmierciwszy bezwstydnie Wolność podczas swego konsulatu, chce teraz dopełnić miary nieprawości, obalając jej posąg...

Klodiusz powtórzył wszystkie oszczerstwa, jakie zawsze ciskał na Cyncerona, zarzucając mu niezgodne z prawem zabójstwo spiskowców Katyliny („sankcja senatu nie upoważnia do stracenia bez procesu pięciu obywateli”), próżność („sprzeciwiając się wzniesieniu tego posągu, czyni to przede wszystkim z zazdrości, uważa się bowiem za jedyne boga, którego należy czcić”) i polityczną niekonsekwencję („oto człowiek, którego powrót miał oznaczać przywrócenie władzy

senatu, a mimo to pierwszą rzeczą, jaką robi, jest zdrada tych ideałów i przyznanie dyktatorskich uprawnień Pompejuszowi”). Wszystko to miało swoją wagę. Na pewno odniosłoby spodziewany efekt na Forum. Ale zupełnie nie dotyczyło problemu prawnego, który rozpatrywano: czy posąg został właściwie, czy niewłaściwie konsekrowany?

Przemawiał przez godzinę, a potem nadeszła kolej na Cyncerona i miarą skuteczności Klodiusza może być fakt, że na początku musiał improwizować, broniąc poparcia, jakiego udzielił komisji zbożowej Pompejusza. Dopiero odpowiedziawszy na ten zarzut, mógł przejść do głównej kwestii: że posągu nie można uważać za konsekrowany, ponieważ poświęcając go, Klodiusz, z prawnego punktu widzenia, nie był trybunem.

– Twoje przejście ze stanu patrycjuszowskiego do plebsu nie zostało usankcjonowane przez żaden dekret tego kolegium, przeprowadzono je niezgodnie z wszelkimi zasadami i musi zostać uznane za nieważne i niebyłe. A jeśli tak jest, cały twój trybunat jest niewart funta kłaków. – Mówiąc tak, Cyncero zapuszczał się na niebezpieczne terytorium: wszyscy wiedzieli, że to Cezar umożliwił Klodiuszowi przejście do stanu plebejskiego. Zobaczyłem, że Krassus pochylił się do przodu i nadstawił uszu. Wyczuwając niebezpieczeństwo i być może przypominając sobie zobowiązanie, jakie złożył Cezarowi, Cyncero zmienił kurs. – Czy twierdzą tym samym, że

wszystkie prawa Cezara są pozbawione mocy prawnej? Bynajmniej; ponieważ z wyjątkiem tych, które z wrogą intencją były wymierzone przeciwko mojej osobie, żadne z nich nie narusza już dzisiaj moich interesów.

Przemawiał dalej, przechodząc teraz do potępienia metod Klodiusza, i wreszcie objawił cały swój talent oratorski – wyciągał rękę, wskazując palcem swego wroga, i pełne pasji słowa padały z jego ust niczym pociski.

– Och, ty ohydny wrzodzie na żywym ciele państwa, ty publiczna prostytutko! Jaką krzywdę zrobiła ci moja nieszczęsna żona, że dręczyłeś ją, okradałeś i torturowałeś tak okrutnie? Co złego uczyniła ci moja córka, która straciła ukochanego męża? Albo mój mały syn, który wciąż budzi się w nocy z płaczem? Ale zaatakowałeś nie tylko moją rodzinę... wypowiedziałeś też zaciekłą wojnę ścianom mojego własnego domu!

Najbardziej mistrzowskim posunięciem było jednak ujawnienie, w jaki sposób Klodiusz wszedł w posiadanie posągu Wolności. Dotarłem wcześniej do pracujących przy jego ustawieniu robotników i dowiedziałem się, że rzeźbę ofiarował brat Klodiusza, Appiusz, który przywiózł ją z Tanagry w Beocji, gdzie zdołała grób dobrze znanej miejscowej kurtyzany.

Kiedy Cyncero to ujawnił, cała izba zatrzęsała się od śmiechu.

– A więc tak wyobraża on sobie Wolność: jako posąg ladacznicy, wzniesiony na obcej ziemi, zagarnięty przez złodzieja i postawiony tu świętokradczą ręką! I to ona ma wygnać mnie z mojego domu? Święci ojcowie, utracenie przeze mnie tej posiadłości okryłoby hańbą państwo. Jeśli zgadzacie się, że mój powrót do Rzymu stał się źródłem radości dla nieśmiertelnych bogów, senatu, ludu rzymskiego i całej Italii, niechaj dzięki waszej decyzji zamieszkać ponownie w swoim domu.

Cycero usiadł przy akompaniamencie głośnych pomruków aprobaty ze strony składającej się z szanowanych obywateli publiczności. Spojrzałem ukradkiem na Klodiusza. Wbijał wściekły wzrok w podłogę. Pontyfikowie pochylili się i zaczęli ze sobą konferować. Przemawiał głównie Krassus. Liczyliśmy na to, że decyzja będzie podjęta od razu, ale Albinowanus wyprostował się i oświadczył, że Kolegium potrzebuje więcej czasu, by uzgodnić werdykt. Miał zostać przekazany do senatu następnego dnia. To był dla nas cios. Klodiusz wstał i przechodząc obok Cyclerona, z fałszywym uśmiechem nachylił się ku niemu.

– Umrzesz, nim zdążysz odbudować to miejsce – syknął dość głośno, bym to usłyszał, po czym nie mówiąc więcej ani słowa, wyszedł.

Cycero udał, że nic się nie stało. Został na sali dłużej, żeby pogawędzić ze starymi przyjaciółmi, i w rezultacie wyszliśmy z budynku jako jedni z ostatnich.

Na zewnątrz był dziedziniec ze słynną białą tablicą, na której najwyższy kapłan, zgodnie z tradycją, umieszczał w owych czasach oficjalne państwowe wiadomości. Tam właśnie agenci Cezara publikowali jego *Komentarze* i tam zastaliśmy Krassusa, który udawał, że czyta najnowsze wiadomości, w rzeczywistości jednak czekał, by rozmówić się z Cynceronem. Zdjął już kapelusz i do jego wysoko sklepionej czaszki przyczepiło się kilka brązowych kłaczek.

– I cóż, Cynceronie – odezwał się z typową dla niego, irytującą jowialnością. – Zadowolony jesteś z tego, jak przyjęto twoje przemówienie?

– Dość zadowolony, dziękuję. Ale moja opinia nie ma znaczenia. Decyzję podejmiesz ty i twoi koledzy.

– Och, według mnie ta mowa była całkiem interesująca. Żałuję tylko, że Cezar nie był obecny i nie mógł jej wysłuchać.

– Wyślę mu kopię.

– Tak, proszę, nie zapomnij tego zrobić. Byłoby dobrze, gdyby ją przeczytał. Ale jak zagłosowałby w tej sprawie? Tego właśnie muszę się domyślić.

– A dlaczegoż to musisz się tego domyślać?

– Bo pragnie, bym go zastępował i oddawał głos w sposób, jaki uznam za stosowny. Wielu kolegów pójdzie za moim przykładem. Ważne jest, abym podjął właściwą decyzję – dodał, szczerząc w uśmiechu poźółkłe zęby.

– Nie mam wątpliwości, że to zrobisz. Miłego dnia, Krassusie.

– Miłego dnia, Cynceronie.

Wyszliśmy przez bramę, Cyncero klnąc cicho pod nosem, lecz zdążyliśmy przejść zaledwie kilka kroków, kiedy Krassus zawołał za nami i szybko nas dogonił.

– Jeszcze jedna sprawa – powiedział. – W obliczu tych wspaniałych zwycięstw, jakie Cezar odniósł w Galii, zastanawiałem się, czy mógłbyś być tak miły i poprzeć w senacie propozycję, aby zorganizować publiczne obchody na jego cześć.

– Jakie ma znaczenie, czy ją poprę?

– Z pewnością ją wzmocni, jeśli weźmie się pod uwagę twoje stosunki z Cezarem. Ludzie na pewno to dostrzegą. I będzie to szlachetny gest z twojej strony. Jestem pewien, że Cezar go doceni.

– Jak długo mają potrwać te publiczne obchody?

– Och... wystarczy chyba piętnaście dni.

– Piętnaście dni? To dwa razy dłużej, niż przyznano Pompejuszowi za podbój Hiszpanii!

– Ktoś mógłby dowodzić, że zwycięstwa Cezara w Galii są dwa razy ważniejsze niż Pompejusza w Hiszpanii.

– Nie jestem pewien, czy Pompejusz by się z tym zgodził.

– Pompejusz musi przyjąć do wiadomości, że triumwirat składa się z trzech osób, nie z jednej – odparował z naciskiem Krassus.

Cycero, zgrzytając zębami, pochylił głowę w ukłonie.

– To będzie zaszczyt.

Krassus również się skłonił.

– Wiem, że zrobisz, co każe ci twoje patriotyczne serce.

* * *

Nazajutrz Spinther odczytał w senacie werdykt kapłanów: jeśli Klodiusz nie przedstawi na piśmie dowodu, że konsekrował posąg zgodnie z instrukcjami ludu rzymskiego, „działka może być zwrócona Cyceronowi i nie zostanie to uznane za świętokradztwo”.

Normalny człowiek dałby za wygraną. Ale Klodiusz nie był normalny. Choć udawał plebejusza, wciąż należał do rodu Klaudiuszów – rodziny, która szczyciła się tym, że ściga swoich wrogów aż po grób. Najpierw skłamał na zgromadzeniu ludowym, mówiąc, że werdykt jest właściwie po jego myśli, i wezwał ludzi do obrony „ich” posągu. Następnie, kiedy desygnowany na konsula Marcellinus złożył w senacie wniosek o zwrot Cyceronowi jego trzech posiadłości – w Rzymie, Tusculum oraz Formiae, „wraz z wystarczającą rekompensatą, by przywrócić je do poprzedniego stanu” – Klodiusz usiłował przemawiać przez całą sesję i udałoby mu się to, gdyby po trzech godzinach zniecierpliwieni senatorowie go nie zakrzyczeli. Jego taktyka okazała się częściowo skuteczna. Bojąc się antagonizować plebs,

senat zgodził się, ku konsternacji Cyncerona, na wypłacenie rekompensaty tylko w wysokości dwóch milionów sestercji za dom na Palatynie oraz odpowiednio pół i ćwierć miliona na odbudowę Tusculum i Formiae – znacznie poniżej rzeczywistych kosztów.

Przez ostatnie dwa lata większość rzymskich robotników i rzemieślników pracowała przy zainicjowanej przez Pompejusza budowie wielkich gmachów publicznych na Polu Marsowym. Niechętnie – ponieważ każdy, kto kiedykolwiek zatrudniał robotników, przekonuje się szybko, że nie wolno ani na chwilę spuszczać ich z oczu – Pompejusz zgodził się przekazać stu swoich ludzi Cynceronowi. Natychmiast przystąpiono do pracy przy odbudowie domu na Palatynie. Pierwszego dnia Cyncero z wielką przyjemnością zamachnął się toporem i gładko ściął głowę posągowi Wolności, po czym załadował do skrzyni jego szczątki i przesłał je z wyrazami uszanowania Klodiuszowi.

Wiedziałem, że Klodiusz nie puści tego płazem, i wkrótce potem, gdy któregoś ranka pracowaliśmy z Cynceronem nad pewnymi dokumentami w tablinum Kwintusa, usłyszeliśmy głucho dudnienie, jakby ktoś stąpał po dachu ciężkimi buciorami. Wybiegłem na ulicę i miałem szczęście, że nie oberwałem w głowę spadającymi z nieba cegłami. Zza rogu wybiegli spanikowani robotnicy, krzycząc, że banda zbirów

Klodiusza napadła na plac budowy, że burzą nowe mury i ciskają gruzem w dom Kwintusa. W tym samym momencie Cycero i Kwintus wyszli na zewnątrz, żeby zobaczyć, co się dzieje, i ponownie musieli wysłać umyślnego do Milona z prośbą o pomoc jego gladiatorów. Był na to najwyższy czas, bo chwilę później zaczęły koło nas lądować płonące żagwie i pecyny smoły. Dach zajął się ogniem. Przerażeni domownicy musieli zostać ewakuowani i wszyscy, łącznie z Cycleronem i nawet Terencją, ustawili się w rzędzie, by podawać sobie z rąk do rąk kubły czerpanej z fontanny wody, starając się uchronić dom przed doszczętnym spłonieniem.

Krassus miał monopol na miejskie służby pożarnicze i na szczęście dla nas był akurat w swoim domu na Palatynie. Usłyszawszy krzyki, wyszedł na ulicę i widząc, co się dzieje, pojawił się osobiście, w sfatygowanej tunice i pantoflach, wraz z ekipą strażaków niewolników ciągnących zbiornik wody z pompami i węzami. Gdyby nie oni, dom poszedłby z dymem; lecz i tak szkody wyrządzone przez ogień i wodę sprawiły, że przestał nadawać się do zamieszkania, i musieliśmy wyprowadzić się na czas remontu. Załadowaliśmy nasze bagaże na wózki i przed nadejściem nocy ruszyliśmy doliną w stronę Kwirynału, by poszukać tymczasowego lokum u Attyka, który nadal przebywał w Epirze. Jego wąski stary dom był może odpowiedni dla starszego kawalera o ustalonych i spokojnych zwyczajach; mniej nadawał się

dla dwóch rodzin z liczną służbą i małżonkami na wojennej ścieżce. Cycero i Terencja spali w różnych częściach budynku.

Osiem dni później, idąc Via Sacra, usłyszeliśmy nagle za sobą głośnie krzyki i tupot stóp. Odwróciwszy się, zobaczyliśmy Klodiusza i kilkunastu jego zbirów, którzy wymachując pałkami i nawet mieczami, biegli, by nas zaatakować. Przy sobie mieliśmy jak zwykle drużynę osłaniających nas ludzi Milona, którzy zaczęli nas popychać w stronę wejścia do najbliższego domu. W panice przewrócili na ziemię Cycerona, który rozbił sobie głowę i skręcił kostkę, ale poza tym nic mu się nie stało. Zaskoczony właściciel domu, w którym znaleźliśmy schronienie, Tecjusz Damio, przyjął nas i poczęstował winem, a Cycero rozprawiał z nim spokojnie o poezji i filozofii do chwili, gdy napastnicy zostali odparci i droga była wolna; wtedy podziękował gospodarzowi i ruszyliśmy z powrotem w stronę posiadłości Attyka.

Cycero był w stanie uniesienia, którego doznajemy czasami, gdy o włos uniknęliśmy śmierci. Wyglądał jednak nie najlepiej – utykający, z zakrwawionym czołem i w podartym brudnym ubraniu – i Terencja krzyknęła z przerażeniem na jego widok. Nie przekonały jej tłumaczenia, że nic mu się nie stało, że Klodiusz musiał salwować się ucieczką i że jego zniżanie się do takich metod najdobitniej świadczy o tym, że wpadł w desperację. Terencja nie chciała tego słuchać.

Obleżenie, pożar, a teraz to – uparła się, że muszą natychmiast opuścić Rzym.

– Zapomniałaś, Terencjo, że raz już tego próbowałem, i wiesz, czym się to skończyło. Jedynym wyjściem jest pozostanie tutaj i odzyskanie naszej pozycji.

– Jak zamierzasz to osiągnąć, skoro nawet w biały dzień nie możesz przejść bezpiecznie ulicą?

– Znajdę jakiś sposób.

– A tymczasem jakie czeka nas tutaj życie?

– Normalne! – krzyknął nagle do niej Cyncero. – Pokonamy ich, prowadząc normalne życie! Na początek śpiąc ze sobą razem, jak mąż i żona.

Odwróciłem z zakłopotaniem wzrok.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego nie wpuszczam cię do mojego pokoju? – powiedziała Terencja. – Więc zobacz!

I ku zdumieniu Cyncerona, a już z całą pewnością mojemu, ta najcnotliwsza z rzymskich matron zaczęła rozwiązywać pas swojej sukni. Wezwała pokojówkę, by jej pomogła, po czym odwróciwszy się plecami do męża, rozchyliła suknię, a pokojówka ściągnęła ją aż do skraju pośladków, odsłaniając chude łopatki i bladą skórę, poprzecinaną okrutnie co najmniej kilkunastoma jaskrawoczerwonymi pręgami.

Cyncero z osłupieniem wpatrywał się w te ślady.

– Kto ci to zrobił?

Terencja naciągnęła z powrotem suknię i pokojówka uklęknęła, by zawiązać jej pas.

– Kto to zrobił? – powtórzył cicho Cyncero. – Klodiusz?

Odwróciła się do niego twarzą. Miała suche oczy i płonął w nich ogień.

– Sześć miesięcy temu poszłam porozmawiać z jego siostrą, jak kobieta z kobietą, i ująć się za tobą. Ale Klodia nie jest kobietą; to wcielona Furia. Powiedziała, że sama nie jestem lepsza od zdrajcy... że skałam swoją obecnością jej dom. Wezwała swego zarządcę i kazała mu wychłostać mnie i wyrzucić na ulicę. Byli z nią jej rozpustni przyjaciele. Szydzili z mojej hańby.

– Twojej hańby?! – zakrzyknął Cyncero. – To oni okryli się hańbą! Powinnaś była mi powiedzieć.

– Powiedzieć tobie? Tobie, który przywitałeś się z całym Rzymem, zanim uściskałeś własną żonę? – warknęła. – Jeśli chcesz, możesz zostać w mieście i zginąć. Ja zabieram Tulię i Marka do Tusculum i zobaczę, jak nam się będzie tam żyło.

Nazajutrz rano ona i Pomponia opuściły dom wraz z dziećmi, a kilka dni później Cyncero we łzach zegnał się z Kwintusem, który wyjeżdżał, by kupować dla Pompejusza zboże na Sardynii. Przemierzając pusty dom, dotkliwie uświadamiał sobie ich nieobecność. Mówił mi, że czuje na własnych plecach każde smagnięcie, które musiała znieść Terencja, i zadręcza się myślami, jak mógłby ją pomścić. Długo nie znajdował żadnego wyjścia, aż pewnego dnia, całkiem niespodziewanie trafiła się sposobność.

* * *

Zdarzyło się mniej więcej w tym samym czasie, że wybitny filozof Dion z Aleksandrii został zamordowany, kiedy przebywał pod dachem swojego przyjaciela i gospodarza, Tytusa Koponiusza. Zabójstwo to wywołało wielki skandal. Dion przybył podobno do Italii z dyplomatycznym immunitetem jako reprezentant stu znamienitych Egipcjan, by prosić senat o nieprzywracanie na tron ich wygnanego faraona, Ptolemeusza XII, noszącego przydomek Flecista.

Podjęcie padło naturalnie na samego Ptolemeusza, który mieszkał u Pompejusza w jego wiejskiej rezydencji w Górach Albańskich. Faraon, znienawidzony przez własny naród za mordercze podatki, oferował niebotyczną sumę sześciu tysięcy złotych talentów, jeśli Rzym pomoże mu odzyskać władzę, i senat zareagował na propozycję tej łapówki z podobnym dostojeństwem jak tłum wygłodzonych żebraków, którym jakiś bogacz ciska garść miedzianych monet. Na czele wyścigu o zaszczyt ponownego osadzenia Ptolemeusza na tronie znalazło się trzech głównych kandydatów: Lentulus Spinther, odchodzący konsul, który miał zostać namiestnikiem Cylicji, a więc mógł zgodnie z prawem dowodzić armią przy granicy Egiptu; Marek Krassus, który marzył o takiej samej sławie i bogactwach, jakie posiadali Pompejusz i Cezar; oraz sam Pompejusz, który

udawał niezainteresowanego, ale zakulisowo najaktywniej z całej trójki starał się o powierzenie mu tej misji.

Cycero nie chciał się w to mieszać. Nie widział w tym żadnego interesu. W zamian za pomoc, jakiej Spinther udzielił mu w zabiegach o powrót z wygnania, był zobligowany go wspierać i dyskretnie to czynił. Ale gdy Pompejusz zaprosił go do siebie, by porozmawiał z faraonem o okolicznościach śmierci Diona, uznał, że nie może nie stawić się na wezwanie.

Ostatnim razem odwiedziliśmy tę rezydencję przed niespełna dwu laty, kiedy Cycero pojechał prosić go o pomoc w odparciu ataków Klodiusza. Nie chcąc się z nim widzieć, Pompejusz udał wtedy, że nie ma go w domu. Nadal wspominałem z bólem jego ówczesne tchórzostwo, ale Cycero wolał do tego nie wracać.

– Gdybym to robił, stałbym się człowiekiem zgorzkniałym, a ten, kto jest zgorzkniały, robi krzywdę tylko sobie. Musimy patrzeć w przyszłość.

Zbliżając się teraz długim podjazdem do willi, mijaliśmy grupki ubranych w egzotyczne szaty mężczyzn o oliwkowym kolorze skóry, tresujących tak ukochane przez Egipcjan żółtawe charty z ostro sterczącymi uszami.

Ptolemeusz czekał na Cycerona w atrium. Był niskim, pulchnym, gładkim mężczyzną o smagłej cerze, podobnie jak ludzie z jego świty, mówiącym tak cicho, że trzeba było się do niego nachylić, by zrozumieć, co powiedział.

Zgodnie z rzymską modą miał na sobie togę. Cycero skłonił się, po czym pocałował go w rękę i mnie pozwolono zrobić to samo. Wyperfumowane palce faraona były grube i miękkie jak u dziecka, ale zauważyłem ze wstrętem, że ma połamane i brudne paznokcie. Chowając się za nim i splatając dłonie na jego brzuchu, zerkąła na nas nieśmiało jego młoda córka. Miała wielkie, czarne niczym węgiel oczy i pomalowane na rubinowy kolor usta, co – zaledwie jedenastoletniej – nadawało jej wygląd ladaczniczki w nieokreślonym wieku, w każdym razie tak mi się teraz wydaje, lecz może jestem niesprawiedliwy i patrzę na to przez pryzmat tego, co miało nastąpić, ponieważ była to przyszła królowa Kleopatra, która przysporzyła nam później tylu nieszczęść.

Kiedy wzajemne uprzejmości dobiegły końca i Kleopatra razem ze swoimi pokojówkami wyszła z atrium, Pompejusz przystąpił od razu do sedna.

– To zabójstwo Diona zaczyna być kłopotliwe, zarówno dla mnie, jak i dla Jego Wysokości. A teraz, na domiar złego, Tytus Kaponiusz, pod którego dachem przebywał Dion, wniósł razem ze swoim bratem Gajuszem oskarżenie o morderstwo. Cała sprawa jest oczywiście śmieszna, ale najwyraźniej nie sposób ich od tego odwieść.

– Kim jest oskarżony? – zapytał Cycero.

– To Publiusz Asycjusz.

Cycero próbował przypomnieć sobie to nazwisko.

– Czy nie jest to jeden z zarządców twojej posiadłości?

– Owszem. Dlatego to takie kłopotliwe.

Cycero taktownie nie zapytał, czy Asycjusz jest winien zarzucanego mu czynu. Rozwagał tę kwestię wyłącznie jako adwokat.

– Dopóki sprawa nie ucichnie – zwrócił się do Ptolemeusza – zalecałbym usilnie Waszej Wysokości, by wyjechał jak najdalej stąd.

– Dlaczego?

– Ponieważ na miejscu braci Koponiuszów postarałbym się przede wszystkim o nakaz wezwania Waszej Wysokości w celu złożenia zeznań.

– Może im się to udać? – zapytał Pompejusz.

– Będą próbować. Żeby oszczędzić Jego Wysokości kłopotów, radzę, by przebywał wiele mil stąd, kiedy nakaz zostanie wydany. Najlepiej poza Italią.

– Ale co będzie z Asycjuszem? – zapytał Pompejusz. – Jeśli uznają go za winnego, postawi mnie to w złym świetle.

– Zgadza się.

– W takim razie musi zostać uniewinniony. Mam nadzieję, że podejmiesz się jego obrony? Potraktuję to jako przysługę.

Cyceronowi wcale się to nie uśmiechało. Ale Pompejusz nalegał i ostatecznie, jak zwykle, mój pan nie miał innego wyjścia i musiał się zgodzić. Zanim

wyszliśmy, Ptolemeusz ofiarował mu w dowód wdzięczności małą starodawną jadeitową rzeźbę pawiana, który, jak wyjaśnił, wyobraża Hedj-Wera, boga pisarzy. Podejrzewam, że posąg był całkiem dużo wart, ale Cynceronowi się nie spodobał. „Co ja mam wspólnego z ich prymitywnymi błotnymi bogami?“, sarknął później i pewnie go wyrzucił. Nigdy go już nie zobaczyłem.

Złożył nam wizytę oskarżony Asycjusz. Był wcześniej dowódcą w legionach i służył pod Pompejuszem w Hiszpanii i na Wschodzie. Sprawiał wrażenie człowieka jak najbardziej zdolnego do morderstwa. Pokazał Cynceronowi nakaz. Oskarżano go, że wczesnym rankiem odwiedził dom Koponiusza, przynosząc sfalszowane referencje. Kiedy Dion otwierał list, Asycjusz wyciągnął z rękawa mały nóż i dźgnął nim starego filozofa w kark. Nie zabił go od razu. Krzyki Diona zaalarmowały domowników, którzy, jak napisano w nakazie sądowym, rozpoznali Asycjusza, nim zdążył zbiec.

Cycero nie pytał, czy to wszystko rzeczywiście miało miejsce. Dał tylko do zrozumienia Asycjuszowi, że ma największe szanse na uniewinnienie, jeśli przedstawi porządne alibi. Ktoś musiał przysiąc, że przebywał razem z nim w chwili, gdy doszło do morderstwa – i im więcej uda mu się powołać świadków, których nic nie łączy z Pompejuszem, a także z Cynceronem, tym lepiej.

– To nie będzie trudne – oświadczył Asycjusz. – Mam już kogoś takiego: człowieka, o którym wiadomo, że jest

w złych stosunkach i z Pompejuszem, i z tobą.

– Kto to taki?

– Twój dawny protegowany, Celiusz Rufus.

– Rufus? Cóż on ma z tym wspólnego?

– A co za różnica? Przysięgnie, że byłem z nim, kiedy stary został zamordowany. I nie zapominaj, że jest teraz senatorem. Jego słowo ma dużą wagę.

Cycero czuł taki wstręt do Rufusa, że spodziewałem się raczej, iż każe Asycjuszowi znaleźć sobie innego adwokata.

– Bardzo dobrze – powiedział jednak ku mojemu zaskoczeniu. – Powiedz mu, żeby do mnie przyszedł, to go powołamy.

– Rufus jest chyba przyjacielem Klodiusza – mruknął po wyjściu Asycjusza. – Czy nie mieszka w jednym z jego mieszkań? I czy Klodia nie jest przypadkiem jego kochanką?

– Z całą pewnością nią była.

– Tak też myślałem. – Wzmianka o Klodii wprawiała go w zadumę. – Więc dlaczego Rufus daje alibi człowiekowi Pompejusza?

Tego samego dnia odwiedził nas Rufus. W wieku dwudziestu pięciu lat był najmłodszym członkiem senatu i działał bardzo aktywnie w sądach. Dziwnie było patrzeć, jak wchodzi tu w senatorskiej todzie z purpurowym obszyciem. Zaledwie dziewięć lat wcześniej był uczniem Cyncerona. Później jednak zwrócił się przeciwko swemu

mentorowi i w końcu pokonał go w sądzie, doprowadzając do skazania konsularnego kolegi Cyncerona, Hybrydy. Cyncero mógł mu to wybaczyć – zawsze lubił patrzeć, jak młodzi ludzie robią karierę adwokacką – lecz zaprzyjaźniając się z Klodiuszem, Rufus dopuścił się zbyt wielkiej zdrady. Przywitał go więc bardzo lodowato i kiedy Rufus dyktował mi swoje oświadczenie, mój pan udawał, że czyta jakieś dokumenty. Musiał jednak pilnie nadstawiać ucha, bo kiedy Rufus opisał, jak gościł u siebie Asycjusza w czasie, gdy dokonano zabójstwa, i podał swój adres na Eskwilinie, Cyncero uniósł nagle wzrok znad dokumentów.

– Czy nie wynajmujesz przypadkiem domu od Klodiusza na Palatynie? – zapytał.

– Przeprowadziłem się – odparł lekkim tonem Rufus, lecz jego nonszalancja była nieco wymuszona i Cyncero natychmiast to wyczuł.

– Pokłóciliście się – powiedział, celując w niego palcem.

– Wcale nie.

– Pokłóciłeś się z tym demonem i jego siostrą piekielnicą. Dlatego wyświadczasz przysługę Pompejuszowi. Zawsze byłeś beznadziejnym kłamcą, Rufusie. Widzę cię na wskroś, jakbyś był zrobiony z wody.

Rufus roześmiał się. Odznaczał się wielkim wdziękiem; powiadano, że był najprzystojniejszym młodzieńcem w Rzymie.

– Zapomniałeś chyba, że nie mieszkam już w twoim domu, Marku Tuluszu. Nie muszę zdawać ci relacji, z kim się przyjaźnię. – Podniósł się lekko z krzesła. Był również bardzo wysoki. – Skoro dałem alibi twojemu klientowi, tak jak mnie proszono, sprawy między nami są już załatwione.

– Sprawy między nami będą załatwione, kiedy ja to powiem! – zawołał za nim wesoło Cyncero, nie zadając sobie trudu, by wstać. Odprowadziłem Rufusa do drzwi, a gdy wróciłem, Cyncero nadal się uśmiechał. – To jest to, na co czekałem, Tironie. Zadarł chyba z tymi dwoma potworami i jeśli to prawda, nie spoczną, póki go nie zniszczą. Musimy zasięgnąć języka na mieście. Dyskretnie. Jeśli będzie trzeba, sypnij groszem, ale musimy wiedzieć, dlaczego opuścił tamten dom.

* * *

Proces Asycjusza zakończył się tego samego dnia, kiedy się rozpoczął. Zeznania kilku domowych niewolników nie miały takiej wagi jak słowa senatora i wysłuchawszy oświadczenia Rufusa, pretor nakazał ławnikom uniewinnić oskarżonego. Było to pierwsze z wielu prawniczych zwycięstw, które Cyncero odniósł po powrocie do Rzymu. Wkrótce znowu stał się wziętym adwokatem i podobnie jak w swoim najlepszym okresie pojawiał się prawie codziennie na Forum.

W tym czasie w Rzymie dochodziło do coraz częstszych aktów przemocy. W niektóre dni rozprawy nie mogły się odbywać, bo zagrożone było bezpieczeństwo publiczne. Kilka dni po ataku na Cyncerona na Via Sacra Klodiusz i jego poplecznicy napadli na dom Milona i próbowali podłożyć w nim ogień. Gladiatorzy Milona odparli ich i w odwecie zajęli zagrody wyborcze, na próżno starając się nie dopuścić do wyboru Klodiusza na edyla.

Cyncero zorientował się, że może wykorzystać ten chaos. Jeden z nowych trybunów, Kaniusz Gallus, złożył przed ludem wniosek, by ponowne osadzenie Ptolemeusza na tronie Egiptu powierzyć wyłącznie Pompejuszowi. Wniosek tak rozwścieczył Krassusa, że nawet zapłacił Klodiuszowi za zorganizowanie kampanii przeciwko Pompejuszowi. A kiedy Klodiusz ostatecznie zdobył urząd edyla, wykorzystał to, by wezwać Pompejusza do złożenia zeznań w procesie, który wytoczył Milonowi.

Wysłuchanie odbyło się na Forum w obecności tysięcy obywateli. Obserwowałem je razem z Cyncerem. Pompejusz wspiął się na rostra, ale ledwie wypowiedział kilka zdań, poplecznicy Klodiusza zaczęli gwizdać i go wyklaskiwać. W tym, jak Pompejusz pochylił ramiona i po prostu czytał dalej swój tekst, było coś heroicznego. Tak to wyglądało mniej więcej przez godzinę, aż w końcu

Klodiusz, który stał kilka kroków dalej na rostrach, zaczął naprawdę podburzać tłum przeciwko Pompejuszowi.

– Kto chce zagłodzić lud na śmierć?! – zawołał.

– Pompejusz! – ryknęli jego stronnicy.

– Kto chce popłynąć do Aleksandrii?!

– Pompejusz!

– Kogo chcecie tam wysłać?!

– Krassusa!

Pompejusz wyglądał, jakby poraził go grom. Nigdy jeszcze nie upokorzono go w ten sposób. Tłum zaczął falować niczym wzburzone morze, jedna jego część nacierała na drugą, tu i tam zaczęły się przepychanki i nagle z tyłu pojawiły się drabiny, które szybko podano nad głowami do przodu, po czym oparto o rostra i wspięła się po nich grupa obwiesi – jak się okazało, obwiesi Milona, ponieważ kiedy tylko wdrapali się na podium, doskoczyli do Klodiusza i zrzucili go na widzów, dobrych dwanaście stóp w dół. Rozległy się brawa i krzyki. Nie widziałem, co działo się potem, bo słudzy Cyclerona wyprowadzili nas z Forum i dopiero później dowiedzieliśmy się, że Klodiusz zdołał ująć z tego cało.

Następnego wieczoru Cyclero wybrał się na kolację do Pompejusza i wrócił, zacierając ręce z zadowolenia.

– O ile się nie mylę, to początek końca naszego tak zwanego triumwiratu, przynajmniej jeśli chodzi o Pompejusza. Przysięga, że za wymierzonym w niego spiskiem stoi Krassus, mówi, że nigdy już mu nie zaufa,

i grozi, że jeśli okaże się to konieczne, Cezar będzie musiał wrócić do Rzymu i ponieść odpowiedzialność za szkody, które wynikły stąd, że stworzył tego potwora Klodiusza i podeptał konstytucję. Nie widziałem go jeszcze w takim gniewie. Do mnie odnosi się z największą przyjaźnią i zapewnia, że cokolwiek zrobię, mogę liczyć na jego poparcie. Ale nie dość na tym. Kiedy sobie więcej popił, wyznał mi, że Rufus zmienił front. Miałem rację: między nim a Klodią doszło do straszliwej awantury... tak wielkiej, że ona oskarża go, iż próbował ją otruć! Klodiusz stanął naturalnie po stronie siostry, wyrzucił Rufusa ze swojego domu i wezwał do spłaty długów. Rufus musiał zatem zwrócić się do Pompejusza w nadziei, że spłaci je egipskim złotem. Czy to wszystko nie jest cudowne?

Zgodziłem się, że jest cudowne, choć nie mogłem zrozumieć, dlaczego wprowadziło go w taki dobry humor.

– Daj mi listy pretorów, szybko! – zawołał Cyncero.

Przyniosłem spis rozpraw sądowych przewidzianych na najbliższe siedem dni. Cyncero kazał mi znaleźć te, w których będzie uczestniczył Rufus. Wodząc palcem po różnych sądach i różnych sprawach, znalazłem w końcu jego nazwisko. Za pięć dni miał oskarżać w sądzie konstytucyjnym w sprawie o przekupstwo.

– Kogo oskarża? – zapytał Cyncero.

– Bestię.

– Bestię? Tego drania!

Cycero położył się na sofie w pozycji, którą przybierał, gdy snuł jakąś intrygę: z dłońmi splecionymi na karku i wzrokiem utkwionym w suficie. Lucjusz Kalpurniusz Bestia był jego dawnym wrogiem, jednym z trybunów Katyliny, i miał szczęście, że nie został stracony za zdradę, wraz z innymi spiskowcami. Mimo to brał nadal czynny udział w życiu publicznym, a teraz oskarżano go, że kupował głosy przy niedawnych wyborach pretorów. Zastanawiałem się, w jaki sposób Bestia może się przydać Cycleronowi, i dopiero po dłuższej chwili, gdy wciąż się nie odzywał, odważyłem się go o to zapytać.

Jego głos wydawał się dobiegać z bardzo daleka, jakbym wyrwał go ze snu.

– Myślałem właśnie – wycedził powoli – że mógłbym się podjąć jego obrony.

V



Nazajutrz rano Cycero udał się z wizytą do Bestii, zabierając mnie ze sobą. Stary łotr miał dom na Palatynie. Mina, jaką zrobił na nasz widok, była komiczna w swoim zdumieniu. Towarzyszył mu syn, Atratynus, sprytny chłopak, który dopiero niedawno przywdział męską togę i nie mógł się doczekać, by zacząć robić karierę. Kiedy Cycero oznajmił, że chce porozmawiać na temat zbliżającego się procesu, Bestia uznał naturalnie, że otrzyma kolejne wezwanie sądowe, i zagotował się z wściekłości. Tylko dzięki interwencji chłopca, który podziwiał Cyclerona, udało się go nakłonić, by usiadł i wysłuchał, co ma do powiedzenia znamienity gość.

– Przyszedłem zaproponować ci moje usługi w charakterze obrońcy – oświadczył Cycero.

Bestia wbił w niego wzrok.

– Dlaczego, na bogów, miałbyś to robić?

– Później w tym miesiącu będę bronił Publiusza Sestiusza. Czy to prawda, że kiedy byłem na wygnaniu, uratowałeś mu życie podczas walk na Forum?

– Prawda.

– A zatem, Bestio, los choć raz stawia nas po tej samej stronie. Jeśli wystąpię jako twój obrońca, będę mógł opisać dokładnie cały incydent i to pomoże mi w obronie Sestiusza, który będzie sądzony przez ten sam sąd. Kim są twoi inni adwokaci?

– Na początek Herenniusz Balbus, a potem dołączy do niego mój syn.

– Bardzo dobrze. W takim razie będę, za twoim pozwoleniem, przemawiał jako trzeci i dokonam podsumowania... co zwykle najbardziej mi odpowiada. Nie martw się, dam niezłe przedstawienie. Powinniśmy zamknąć całą sprawę w ciągu jednego albo dwóch dni.

W tym momencie Bestia porzucił wszelkie podejrzenia, ledwie mogąc uwierzyć we własne szczęście: największy adwokat w Rzymie chciał się podjąć jego obrony. I kiedy kilka dni później Cyncero wmaszerował do sądu, rozległy się okrzyki zdumienia. Szczególnie zaskoczony był Rufus. Sam fakt, że ze wszystkich ludzi akurat Cyncero podjął się teraz obrony Bestii – który spiskował niegdyś, chcąc pozbawić go życia – gwarantował poniekąd jego niewinnienie. I tak się też

stało. Cyncero wygłosił błyskotliwą mowę, ławnicy zagłosowali i Bestię uznano za niewinnego.

Kiedy sąd zakończył posiedzenie, Rufus podszedł do Cyncerona. Tym razem ulotnił się gdzieś jego typowy wdzięk. Liczył na łatwe zwycięstwo, a tymczasem jego kariera stanęła pod znakiem zapytania.

– Cóż, mam nadzieję, że jesteś zadowolony, chociaż taki triumf przynosi ci tylko dyshonor – oświadczył z goryczą.

– Czyżbyś niczego się nie nauczył, Rufusie? – odparł Cyncero. – W sporze prawnym jest tyle samo honoru co w walce zapaśniczej.

– Nauczyłem się, Cynceronie, że wciąż masz do mnie pretensje i zrobisz wszystko, byle tylko zemścić się na swoich wrogach.

– Och, mój ty biedaku, wcale nie widzę w tobie wroga. Nie jesteś na to dość ważny. Mam na oku większe ryby.

To naprawdę rozwścieczyło Rufusa.

– Możesz powiedzieć swojemu klientowi, że jeśli będzie nadal kandydował, jutro wniosę przeciwko niemu kolejne oskarżenie. I kiedy następnym razem podejmiesz się jego obrony, uczciwie cię ostrzegam: będę na ciebie czekał!

Rufus dotrzymał słowa: wkrótce potem Bestia i jego syn pokazali Cynceronowi nowe wezwanie.

– Rozumiem, że znowu będziesz mnie bronił – powiedział z nadzieją w głosie Bestia.

– Och, to byłoby skrajną głupotą. Działanie z zaskoczenia jest skuteczne tylko za pierwszym razem. Nie, obawiam się, że nie mogę być znowu twoim adwokatem.

– Więc co mi zostaje?

– Mogę ci powiedzieć, co ja zrobiłbym na twoim miejscu.

– Co byś zrobił?

– Złożyłbym przeciwko niemu kontrpozew.

– O co?

– O dopuszczanie się politycznej przemocy. To zarzut cięższy niż przekupstwo. Dzięki temu zyskasz nad nim przewagę, bo rozprawa przeciwko niemu odbędzie się pierwsza.

Bestia naradził się z synem.

– Podoba nam się ten pomysł – oznajmił. – Ale czy naprawdę możemy mu coś zarzucić? Czy rzeczywiście dopuszczał się politycznej przemocy?

– Oczywiście – odrzekł Cyncero. – Nie słyszałeś? Był zamieszany w zamordowanie tych egipskich posłów. Popytaj na mieście – dodał. – Znajdziesz wiele osób, które mają do opowiedzenia ciekawe rzeczy. Jest zwłaszcza jeden człowiek, do którego powinieneś się zwrócić, choć naturalnie nie możesz zdradzić, że usłyszałeś jego nazwisko ode mnie; zrozumiesz dlaczego, kiedy tylko je wymienię. Powinieneś pogadać z Klodiuszem, a jeszcze lepiej z jego siostrą. Podobno Rufus był jej kochankiem

i kiedy wywietrzały mu z głowy amory, próbował się jej pozbyć za pomocą trucizny. Wiesz, co to za rodzina: nie odpuszczą nikomu. Zaproponuj, że przyłączysz się do ich pozwu. Mając po swojej stronie Klaudiuszów, będziesz niepokonany. Ale pamiętaj: ode mnie nie usłyszałeś ani słowa.

Od wielu lat współpracowałem bardzo blisko z Cynceronem. Przywykłem do jego sprytnych sztuczek i sądziłem, że nie zdoła mnie już zaskoczyć. Tego dnia przekonałem się jednak, że nie miałem racji.

Bestia wylewnie mu podziękował, przysiągł, że zachowa dyskrecję, i oddalił się bardzo zdeterminowany. Kilka dni później na Forum pojawiło się obwieszczenie, z którego wynikało, że on i Klodiusz połączyli siły i oskarżają Rufusa o napad na posłów z Aleksandrii i próbę otrucia Klodii. Wiadomość wywołała sensację. Prawie wszyscy uważali, że Rufus zostanie uznany za winnego i skazany na dożywotnie wygnanie i że kariera najmłodszego rzymskiego senatora legła w gruzach.

– Biedny Rufus – powiedział Cyncero, kiedy pokazałem mu listę zarzutów. – Musi być kompletnie zdruzgotany. Myślę, że powinniśmy mu złożyć wizytę i dodać otuchy.

Wyruszyliśmy zatem, by odnaleźć dom, w którym Rufus wynajmował mieszkanie. Cyncerona, który w wieku pięćdziesięciu lat odczuwał w chłodne zimowe poranki pewną sztywność w stawach, niesiono w lektyce, ja szedłem obok niego. Okazało się, że Rufus mieszkał na

drugim piętrze budynku w mniej eleganckiej części Eskwilinu, niedaleko bramy, przy której urzędowali przedsiębiorcy pogrzebowi. W pomieszczeniu nawet w południe panował półmrok i Cycero poprosił niewolników, by zapalili świece. W przyćmionym świetle zobaczyliśmy gospodarza skulonego na posłaniu, pod stertą koców, pogrążonego w pijackim śnie. Jęknął i odwrócił się, błagając, by zostawić go w spokoju, ale Cycero ściągnął z niego koce i kazał wstać z łóżka.

– Po co? Jestem skończony!

– Nie jesteś wcale skończony. Wprost przeciwnie: usidliliśmy tę kobietę dokładnie tak, jak tego chcieliśmy.

– My? – zapytał Rufus, zezując na Cyclerona podbiegłymi krwią oczyma. – Chcesz powiedzieć, że jesteś po mojej stronie?

– Nie tylko jestem po twojej stronie, drogi Rufusie. Mam zamiar być twoim adwokatem!

– Zaczekaj – mruknął Rufus, ostrożnie dotykając czoła, jakby chciał sprawdzić, czy nikt nie rozbił mu głowy. – Zaczekaj chwilę... czyżbyś to wszystko z góry zaplanował?

– Uznaj, że udzielono ci politycznej lekcji. A teraz zgódźmy się, że rachunki między nami są wyrównane, i skoncentrujmy na tym, jak pokonać naszego wspólnego wroga. – Rufus zaczął kląć pod nosem. Cycero słuchał go przez chwilę, po czym mu przerwał. – Uspokój się,

Rufusie. Obaj na tym skorzystamy. Ty pozbędziesz się raz na zawsze tej harpii, a ja pomuszę honor mojej żony.

Mówiąc to, wyciągnął do niego dłoń. Rufus z początku się wahał. Nadąsany mamrotał coś i potrząsał głową. Ale potem zapewne musiał sobie uświadomić, że nie ma innego wyjścia. Tak czy inaczej w końcu podał Cycleronowi rękę, ten z radością ją uścisnął i tak oto pułapka, którą zastawił na Klodię, się zatrzasnęła.

* * *

Proces miał się zacząć w pierwszych dniach kwietnia, co oznaczało, że zbiegnie się w czasie z uroczystościami ku czci Wielkiej Matki, których główną atrakcją była słynna parada wykastrowanych świętych mężów. Mimo to nikt nie wątpił, co wzbudzi większe zainteresowanie, szczególnie gdy ogłoszono, że jednym z adwokatów Rufusa będzie Cycero. Pozostałymi mieli być sam Rufus oraz Krassus, w którego domu Rufus pobierał w młodości nauki. Jestem pewien, że Krassus wolałby nie oddawać takiej przysługi swemu niegdysiejszemu protegowanemu, zwłaszcza biorąc pod uwagę obecność Cyclerona, ale wymagały tego zasady patronatu. Jako oskarżyciele ponownie występowali młody Atratynus i Herenniusz Balbus – obaj wściekli z powodu dwulicowości Cyclerona, który miał jednak w nosie ich opinię – a także Klodiusz, reprezentujący swoją siostrę.

On również z pewnością wolałby uczestniczyć w uroczystościach ku czci Wielkiej Matki, które jako edyl powinien nadzorować, ale nie mógł przecież zlekceważyć procesu, skoro stawką był tutaj honor jego rodziny.

Z przyjemnością myślę o Cyceronie w tamtym okresie, w tygodniach poprzedzających proces Rufusa. Wydawało się, że znowu, tak jak w swoich najlepszych latach, pociąga za wszystkie sznurki. Udzielał się w sądach i w senacie. Ucztował z przyjaciółmi. Przeprowadził się nawet z powrotem do swojego domu na Palatynie. Co prawda budynek nie był jeszcze całkowicie wykończony, wciąż unosił się w nim zapach wapna i farby, a robotnicy наносили błoto z ogrodu, ale Cyncero tak cieszył się, że jest znów we własnym domu, że nie zwracał na to uwagi. Z magazynu sprowadzono jego meble i książki, na ołtarzu ustawiono posągi domowych bogów, a z Tusculum wezwano Terencję razem z Tulią i małym Markiem.

Weszła ostrożnie do domu i przechadzała się po pokojach, kręcąc nosem na gryzący odór świeżych tynków. Prawdę mówiąc, nigdy nie miała serca do tej posiadłości i nie zamierzała teraz zmieniać zdania. Lecz Cyncero przekonał ją, żeby została.

– Kobieta, która zadała ci tyle bólu, już nigdy cię nie skrzywdzi. Miała odwagę podnieść na ciebie rękę. Ale obiecuję, że obedrę ją żywcem ze skóry.

Ku swojej wielkiej radości zobaczył się też znowu, po dwuletnim rozstaniu, z Attykiem, który wrócił wreszcie z Epiru i gdy tylko przekroczył bramy miasta, udał się prosto do odbudowywanego przez Cyncerona domu. W przeciwieństwie do Kwintusa Attyk w ogóle się nie zmienił. Na jego ustach nadal stale gościł uśmiech, jego wdzięk był tak samo zniewalający – „Tironie, mój drogi kamracie, dziękuję z całego serca, żeś z takim oddaniem opiekował się moim najstarszym przyjacielem” – sylwetka tak samo szczupła, a srebrzyste włosy tak samo gładkie i elegancko przystrzyżone. Jediną różnicą był fakt, że towarzyszyła mu teraz nieśmiała młoda kobieta, co najmniej o trzydzieści lat od niego młodsza, którą przedstawił Cynceronowi... jako swoją narzeczoną! Myślałem, że Cyncero padnie trupem z wrażenia. Miała na imię Pilia, pochodziła z mało znanej, niezamożnej rodziny i nie była zbyt urodziwa – zwyczajna cicha wiejska dziewczyna. Ale Attyk był w niej zadurzony. Cyncerona z początku wytrąciło to bardzo z równowagi. „Śmieszne – zrzędził w rozmowie ze mną, kiedy już sobie poszli. – Jest trzy lata starszy ode mnie. Wziął sobie żonę czy opiekunkę?”. Podejrzewam, że był urażony, bo Attyk nigdy o niej wcześniej nie wspominał, i obawiał się, że Pilia może osłabić łączącą ich bliską przyjaźń. Ale Attyk był taki szczęśliwy, a dziewczyna taka skromna i wesoła, że Cyncero wkrótce ją polubił i zauważałem czasami, jak zerka na nią niemal tęsknie, zwłaszcza gdy Terencja

ciosała mu kolki na głowie.

Pilia została szybko wielką przyjaciółką i powierniczką Tulii. Były w podobnym wieku, miały podobne temperamenty i widziałem często, jak chodzą razem, trzymając się za ręce. W tym czasie Tulia była już od roku wdową i zachęcona przez Pilię, oznajmiła, że jest gotowa wyjść ponownie za mąż. Cycero zasięgnął języka w kwestii odpowiedniego kandydata i w końcu znalazł kogoś takiego. Furiusz Krassipes był młodym, bogatym, przystojnym arystokratą ze starej, choć niezbyt znakomitej rodziny, i zależało mu bardzo na karierze senatora. Odziedziczył również ostatnio elegancki dom i park tuż za murami miasta. Tulia zapytała mnie, co o tym myślę.

– To, co myślę, nie ma znaczenia – odparłem. – Pytanie brzmi: czy ci się podoba?

– Wydaje mi się, że tak.

– Wydaje ci się czy jesteś pewna?

– Jestem pewna.

– W takim razie to wystarczy.

Prawdę mówiąc, odniosłem wrażenie, że Krassipesowi bardziej zależy na tym, by mieć Cyclerona za teścia aniżeli Tulię za żonę, ale zachowałem to dla siebie. Wyznaczono datę ślubu.

Któż potrafi zgłębić sekrety cudzego małżeństwa? Z całą pewnością nie ja. Cycero od dawna skarżył mi się na drażliwość Terencji, na jej obsesję na punkcie

pieniędzy, jej zabobonność, chłód i ostry język. A mimo to cały ten skomplikowany prawniczy spektakl, który miał zamiar odegrać w centrum Rzymu, był przeznaczony dla niej – w ten sposób rekompensował jej zło, którego doznała z powodu załamania się jego kariery. Po raz pierwszy w ciągu ich długiego małżeństwa złożył u jej stóp największy dar, jaki mógł ofiarować: swoją sztukę wymowy.

Nie oznaczało to jednak wcale, że Terencja chce być tego świadkiem. Rzadko kiedy oglądała wcześniej jego publiczne występy, nigdy nie słuchała jego mów sądowych i nie zamierzała zerwać z tym zwyczajem. Cycero musiał ją bardzo długo przekonywać i użyć całej swej elokwencji, by w dniu, w którym miał przemawiać, zgodziła się w ogóle wyjść z domu i udać się na Forum.

Był to drugi dzień rozprawy. Oskarżyciele przedstawili już zarzuty, Rufus i Krassus odpowiedzieli na nie i tylko Cycero nie został jeszcze wysłuchany. W trakcie innych wystąpień siedział, z trudem ukrywając zniecierpliwienie; szczegóły sprawy nie miały dla niego znaczenia i adwokaci go nudzili. Atratynus swoim irytująco piskliwym głosem przedstawił Rufusa jako oddającego się przyjemnościom, tonącego w długach libertyna, „urodziwego Jazona w wiecznej pogoni za złotym runem”, któremu Ptolemeusz zapłacił za zastraszenie Aleksandryjskich posłów i przygotowanie zabójstwa Diona. Następnie zabrał głos Klodiusz i opisał, jak jego

siostra, „ta cnotliwa i szanowana wdowa”, zwiedziona przez Rufusa, dała mu z dobroci serca złoto – pieniądze, które, jak sądziła, miały pójść na sfinansowanie publicznych rozrywek, ale których użył na opłacenie zabójców Diona – i jak Rufus dostarczył później truciznę jej niewolnikom, by ją uśmiercić i zatrzeć za sobą ślady. Zarówno Krassus, w swój rozwlekły sposób, jak i Rufus, z typową dla siebie werwą, odrzucili te zarzuty. Panowała jednak opinia, że oskarżyciele przedstawili je przekonująco i że młody utracjusz zostanie uznany za winnego. Taki był stan rzeczy, kiedy na Forum pojawił się Cycero.

Zaprowadziłem Terencję na jej miejsce, podczas gdy on torował sobie drogę między tysiącami widzów, by w końcu wspiąć się po schodach świątyni do sądu. Powołano siedemdziesięciu pięciu ławników. Obok nich zasiadł pretor Domicjusz Kalwinus ze swoimi liktorami i skrybami. Lewą stronę zajmowali oskarżyciele i świadkowie. Tam właśnie, w pierwszym rzędzie, siedziała skromnie odziana, ale przyciągająca powszechną uwagę Klodia. Dobiegała już czterdziestki, lecz wciąż była piękna, ze swoimi słynnymi wielkimi ciemnymi oczyma, które w jednej chwili mogły wyrażać zachętę do intymnych stosunków, a w następnej morderczą groźbę. Wiadomo było, że jest bardzo blisko związana z Klodiuszem – tak blisko, że często oskarżano ich o kazirodztwo. Widziałem, jak odwróciła lekko głowę,

by śledzić wzrokiem podążającego na swoje miejsce Cyncerona. Na jej twarzy malowała się pełna pogardy obojętność. Musiała jednak zastanawiać się, co on takiego szykuje.

Cyncero poprawił fałdy togi. Nie miał żadnych notatek. W tłumie zapadła cisza. Cyncero zerknął tam, gdzie siedziała Terencja, po czym zwrócił się do sądu:

– Ktoś, kto nie zna naszych praw i obyczajów, panowie, mógłby się dziwić, dlaczego w publiczne święto, podczas gdy inne sądy zawiesiły swoją działalność, zgromadziliśmy się tutaj, by osądzić młodego człowieka o wielkiej pracowitości i wybitnym intelekcie... zwłaszcza gdy okazuje się, że atakuje go osoba, którą kiedyś oskarżał, oraz bogata kurtyzana.

W tym momencie przez Forum przetoczył się potężny pomruk, podobny do tego, jaki wydaje tłum na początku igrzysk, gdy słynny gladiator zadaje pierwsze pchnięcie. Coś takiego właśnie przyszli usłyszeć! Klodia wpatrywała się prosto przed siebie, jakby zmieniała się w marmurowy posąg. Jestem pewien, że ona i Klodiusz nigdy nie wnieśliby tego oskarżenia, gdyby wiedzieli, że przyjdzie im się zmierzyć z Cynceronem; teraz jednak nie było już odwrotu.

Dawszy w ten sposób przedsmak tego, co trzyma w zanadrzu, Cyncero przeszedł do szczegółów. Nakreślił wizerunek Rufusa zupełnie niepodobnego do osoby znanej wszystkim pod tym imieniem – trzeźwego,

nieustrudzonego sługi republiki, którego głównym nieszczęściem było to, że „nie urodził się szpetny”, i dlatego zwrócił na siebie uwagę Klodii, „tej Medei Palatynu”, w której sąsiedztwie zamieszkał. Stojąc za Rufusem, oparł rękę na jego ramieniu.

– Zmiana miejsca zamieszkania stała się dla tego młodego człowieka źródłem wszystkich jego zgryzot i wszystkich plotek, ponieważ Klodia jest nie tylko kobietą szlachetnie urodzoną, ale też cieszącą się szczególnie złą sławą, choć na ten temat powiem wyłącznie tyle ile trzeba, by odeprzeć postawione tutaj zarzuty.

Cycero umilkł, by spotęgować dramatyczny efekt.

– Jak wielu z was zapewne wie – podjął po chwili – jestem we wrogich stosunkach z mężem tej kobiety. – Tu przerwał i z niecierpliwością pstryknął palcami. – Chciałem powiedzieć: z bratem. Stale mi się to myli.

Trafił w punkt i nawet ludzie, którzy poza tym nie mają pojęcia o Cycleronie, do dziś powtarzają ten żart. W minionych latach prawie wszyscy w Rzymie odczuli na własnej skórze arogancję Klaudiuszów i teraz chętnie patrzyli, jak stają się oni pośmiewiskiem. Dotyczyło to nie tylko widowni, ale również ławników, a nawet pretora.

– Dlaczego wszyscy się śmieją? – zapytała mnie ze zdziwieniem Terencja.

Nie wiedziałem, co mam jej odpowiedzieć.

Kiedy przywrócono porządek, Cycero kontynuował w niebezpiecznie życzliwym tonie.

– Naprawdę mi przykro, że muszę traktować tę kobietę jak wroga, tym bardziej że ze wszystkimi innymi mężczyznami jest blisko zaprzyjaźniona. Dlatego pozwólcie, że najpierw spytam ją, czy woli, bym obszedł się z nią surowo, na starodawną modłę, czy też łagodnie, na sposób współczesnych?

I nagle, ku widocznemu przerażeniu Klodii, Cycero ruszył w jej stronę. Idąc, uśmiechał się i wyciągał do niej rękę, zachęcał, by sama dokonała wyboru – prawdziwy tygrys bawiący się ze swoją ofiarą. Zatrzymał się zaledwie krok od niej.

– Jeśli preferuje dawne metody, będę musiał wezwać z zaświatów jednego z tych brodatych starożytnych mężów, by udzielił jej nagany...

Zastanawiałem się często, co powinna wtedy zrobić Klodia. Po namyśle uważam, że najlepszym dla niej wyjściem byłoby roześmiać się razem z Ciceronem, spróbować zyskać sympatię tłumu poprzez jakiś gest, który świadczyłby, że przyjmuje to wszystko za żart. Ale należała przecież do rodu Klaudiuszów. Wcześniej nikt, a już w żadnym wypadku zwykły plebs na Forum, nie ważył się publicznie z niej szydzić. Była oburzona, prawdopodobnie spanikowana, i dlatego zareagowała w najgorszy możliwy sposób: odwracając się do Cycerona plecami niczym nadąsane dziecko.

Ten wzruszył tylko ramionami.

– Znakomicie. Pozwólcie w takim razie, że wezwę członka jej własnej rodziny... a konkretnie Appiusza Klaudiusza Ślepego. Będzie to dla niego najmniej przykre, bo nie będzie musiał jej oglądać. Oto co by powiedział, gdyby się tu pojawił...

I w tym momencie Cycero odezwał się do niej upiornym głosem, zamykając oczy i podnosząc ręce; nawet Klodiusz nie mógł powstrzymać śmiechu.

– O niewiasto, cóż takiego wiąże cię z Rufusem, chłopaczną dość młodym, by być twoim synem? Dlaczego łączą cię z nim tak zażyłe stosunki, by dawać mu złoto, dlaczego wzbudziłaś w nim tak wielką zazdrość, by dać mu podstawy do podania trucizny? Dlaczego Rufus jest ci tak bliski? Czy to członek rodziny? Twój powinowaty? Przyjaciół twojego zmarłego męża? Nie! Cóż innego mogło was zbliżyć do siebie prócz ślepej namiętności? O biada! Czy po to doprowadziłem do Rzymu wodę, byście mogli pluskać się w niej po waszych rozpustnych uciechach? Czy po to zbudowałem Via Appia, byś mogła po niej podróżować z całą świtą mężów innych kobiet?

Wypowiedziawszy te słowa, duch starego Appiusza Klaudiusza rozpląnął się w powietrzu i Cycero zwrócił się do Klodii w normalny sposób.

– Ale jeśli wolisz bardziej sympatycznego krewniaka, pozwól, że przemówimy do ciebie głosem twego siedzącego tuż obok młodszego brata, który kocha cię

najgoręcej pod słońcem... który będąc faktycznie dzieckiem o wielce nerwowym usposobieniu i cierpiąc na nocne koszmary, zawsze kładł się do łóżka razem ze starszą siostrą. Wyobraź sobie, jak mówi... – Tu Cycero zaczął idealnie naśladować niedbałą pozę i plebejską przeciąglą wymowę Klodiusza. – Czym się przejmować, siostro? I cóż z tego, że spodobał ci się jakiś młodzieniaszek? Był przystojny. Wysoki. Nie mogłaś się nim nacieszyć. Wiedziałaś, że jest dość młody, by być twoim synem. Ale byłaś bogata. Kupowałaś mu więc różne rzeczy, by zdobyć jego względy. Nie trwało to długo. Nazwał cię wiedźmą. Cóż, zapomnij o nim. Znajdziesz sobie następnego, następnych dwóch albo dziesięciu. W końcu tak to zwykle załatwiasz.

Klodiusz już się nie śmiał. Patrzył na Cyclerona, jakby miał ochotę przeskoczyć przez sądowe ławy i zadusić go własnymi rękoma. Ale widzowie zarykiwali się ze śmiechu. Rozejrzałem się wokół i zobaczyłem mężczyzn i kobiety, którym łzy płynęły po policzkach. Empatia jest kwintesencją sztuki oratorskiej. Cycero miał teraz tłum po swojej stronie i kiedy już zdołał doprowadzić ludzi do śmiechu, łatwo było mu, gdy szykował się do zadania śmiertelnego ciosu, wzbudzić w nich święte oburzenie.

– Nie myślę teraz, Klodio, o krzywdach, jakie mi wyrządziłaś. Odsuwam na bok wspomnienia tego, co wycierpiałem. Przechodzę do porządku dziennego nad okrucieństwem, z jakim znęcałaś się nad moją rodziną,

kiedy nie było mnie w Rzymie. Ale zadam ci jedno pytanie: jeśli niezamężna kobieta otwiera swój dom na pragnienia wszystkich mężczyzn i publicznie prowadzi życie kurtyzany; jeśli ma zwyczaj ucztować z zupełnie nieznanymi mężczyznami; jeśli robi to w Rzymie, w swoim parku za murami miasta i pośród tłumów nad Zatoką Neapolitańską; jeśli jej uściski i pieszczoty, jej nocne przyjęcia, wyprawiane na plaży i w wodzie, świadczą, że to nie zwykła kurtyzana, lecz kurtyzana bezwstydna i rozwiązła... jeśli dopuszcza się tego wszystkiego, i okazuje się, że dotrzymuje jej towarzystwa jakiś młody mężczyzna, czy należałoby go uznać za deprawatora, czy za tego, który jest deprawowany, za uwodziciela, czy za tego, który jest uwodzony? Wszystkie zarzuty wobec mojego klienta wypływają z wrogiego, niesławnego, bezwzględnego, skażonego zbrodnią i rozpustą domu. Sfabrykowała je nieznajoma, wściekła ladaczniczka. Sędziowie! Nie pozwólcie, by Marek Celiusz Rufus padł ofiarą jej żądz. Jeśli oddacie bezpiecznie Rufusa mnie, jego rodzinie i państwu, odnajdziecie w nim osobę zobowiązaną i wdzięczną wam i waszym dzieciom; i to przede wszystkim wy, panowie, zbierzecie bogate i długotrwałe owoce jego starań i trudów.

I to był koniec. Cyncero stał, wyciągając jedną rękę w stronę ławników, a drugą w stronę Rufusa – i jeszcze przez chwilę trwała cisza. A potem jakby jakaś potężna

podziemna siła wydobyła się spod Forum i po sekundzie powietrze zadrżało od tupotu kilku tysięcy stóp i tłum głośnym rykiem wyraził swoją aprobatę. Ktoś zaczął wskazywać Klodię i krzyczeć: „Kurwa! Kurwa! Kurwa!”; bardzo szybko podchwycono to zawołanie i wszędzie wokół nas wyciągano ręce i krzyczano raz po raz: „Kurwa! Kurwa! Kurwa!”.

Klodia tkwiła nieporuszona, z niedowierzaniem tocząc wzrokiem po tym morzu nienawiści. Nie zauważyła chyba, że brat podszedł do niej i stanął obok. Po chwili jednak wziął ją pod łokieć i to wyrwało ją z zamyślenia. Spojrzała na niego i ulegając jego łagodnym namowom, pozwoliła się sprowadzić z podium i zeszła ludziom z oczu, by pogрузić się odtąd w mroku zapomnienia, w którym, można rzec śmiało, pozostawała aż do końca życia.

* * *

W ten sposób Cycero zemścił się na Klodii i odzyskał pozycję pierwszego mówcy w Rzymie. Nie muszę chyba dodawać, że Rufus został uniewinniony, a Klodiusz żywił odtąd do Cyclerona jeszcze większą nienawiść.

– Obiecuję, że pewnego dnia – syknął – usłyszysz za sobą szmer, a kiedy się odwrócisz, będę już na ciebie czekał.

Cycero roześmiał się z tak ordynarnej pogróżki, wiedząc, że jest zbyt popularny, by Klodiusz ośmielił się go napaść – przynajmniej na razie. Co się tyczy Terencji, to choć rozdrażniły ją wulgarne żarty Cycerona i przeraziło okrucieństwo tłumu, cywilna śmierć nieprzyjaciółki sprawiła jej wielką satysfakcję i wracając z Cyceronem do domu, wzięła go pod rękę – po raz pierwszy od wielu lat ujrzałem, że pozwala sobie publicznie na tak czuły gest.

Kiedy Cycero zszedł nazajutrz ze wzgórza, by uczestniczyć w posiedzeniu senatu, otoczyli go zarówno zwykli ludzie, jak i liczni senatorowie, czekający przed izbą na rozpoczęcie sesji. Przyjmując gratulacje od swoich kolegów, wyglądał całkiem tak samo jak w dniach swojej świetności i widziałem, że odurzyły go ich hołdy. Tak się złożyło, że było to ostatnie posiedzenie senatu przed corocznymi wakacjami i panował gorączkowy nastrój. Kiedy augurowie uznali, że wróżby są przychylne, i senatorowie zaczęli wchodzić do sali, Cycero wskazał mi główny punkt obrad, którego miała tego dnia dotyczyć dyskusja: przyznanie Pompejuszowi ze skarbu państwa czterdziestu milionów sestercji na zakup zboża.

– To może być interesujące – zauważył, wskazując Krassusa, który z ponurą miną wchodził właśnie na salę. – Wczoraj z nim o tym rozmawiałem. Najpierw Egipt, a teraz to... oburza go megalomania Pompejusza. Ci

złodzieje za chwilę rzucają się sobie do gardeł, Tironie. Być może nadarza się okazja, by spłatać im figła.

– Bądź ostrożny – ostrzegłem go.

– No tak, oczywiście: „Bądź ostrożny!” – powtórzył, przedrzeźniając mnie i klepiąc po głowie zwiniętym w rulon porządkiem dnia. – Po tym, co stało się wczoraj, zdobyłem trochę władzy, a wiesz, co zawsze mówię: władza jest po to, by jej używać.

Powiedziawszy to, w pogodnym nastroju wszedł do budynku senatu.

Nie zamierzałem zostawać na sesji, bo miałem dużo pracy z przygotowaniem do publikacji mowy Cyncerona z poprzedniego dnia. Teraz jednak zmieniłem zdanie i stanąłem w wejściu. Konsulem, który przewodniczył obradom, był Korneliusz Lentulus Marcellinus, patriotyczny arystokrata w starym stylu – nastawiony wrogo do Klodiusza, nieufny wobec Pompejusza i popierający Cyncerona. Zadbał o to, by na początku oddać głos mówcom, którzy co do jednego potępili przekazanie tak wielkiej sumy Pompejuszowi. Jak wskazał jeden z nich, w skarbcu i tak nie było tyle pieniędzy, bo wszystkie wolne środki szły na wdrożenie w życie dekretu Cezara, na mocy którego oddawano ziemię w Kampanii weteranom Pompejusza i miejskiej biedocie. Na sali zrobił się rozgardiasz. Poplecznicy Pompejusza usiłowali zakrzyczeć swoich przeciwników. Ci odpowiadali tym samym. (Samemu Pompejuszowi nie

wolno było brać udziału w obradach, ponieważ jako komisarz zbożowy sprawował władzę wykonawczą, która to wykluczała). Krassus wyglądał na zadowolonego z takiego obrotu sprawy. W końcu Cycero dał znak, że chce zabrać głos, i na sali zapadła cisza. Senatorowie pochylili się do przodu, by usłyszeć, co ma do powiedzenia.

– Czcigodni członkowie senatu – zaczął – pamiętajcie zapewne, że to ja sam wysunąłem propozycję, by Pompejuszowi powierzono funkcję komisarza zbożowego, trudno więc się spodziewać, że będę przeciwko temu występował. Nie możemy jednego dnia kazać komuś coś zrobić, a następnego odmówić mu środków, które umożliwią wykonanie zadania. – Stronnicy Pompejusza dali głośno wyraz swojej aprobacie. Cycero podniósł rękę. – Niemniej, jak tu elokwentnie wskazano, nasze środki są ograniczone. Skarb państwa nie może płacić za wszystko. Nie można oczekiwać, że będziemy kupować na całym świecie zboże, by wykarmić za darmo naszych obywateli, i jednocześnie przyznawać farmy żołnierzom i plebsowi. Kiedy Cezar wprowadzał to prawo, nawet on, choć odznacza się podziwu godną dalekowzrocznością, nie mógł przewidzieć, że nadejdzie kiedyś dzień... a nadchodzi on wielkimi krokami... gdy weterani i miejska biedota nie będą musieli mieć farm, by

uprawiać zboże, ponieważ to zboże będzie im po prostu rozdawane.

– Racja! – zaczęli krzyczeć ze swoich ław arystokraci. – Racja! Racja!

Wskazywali przy tym na Krassusa, który razem z Pompejuszem i Cezarem był jednym z autorów praw o rozdawnictwie ziemi. Krassus patrzył ostro na Cyncerona, ale na jego twarzy nie malowały się żadne uczucia i trudno było zgadnąć, co myśli.

– Czy nie byłoby roztropne – kontynuował Cyncero – by w obliczu owych zmieniających się okoliczności czcigodna izba ponownie przyjrzała się prawom wprowadzonym w trakcie konsulatu Cezara? Oczywiście biorąc pod uwagę, jak złożona jest to kwestia, i mając świadomość, że członkowie izby rozjeżdżają się na wakacje, wiem, że nie jest to odpowiedni moment, by gruntownie ją omawiać. Dlatego proponowałbym, by umieścić ten punkt w porządku obrad przy pierwszej nadarzającej się okazji, kiedy znów się zbierzemy.

– Popieram! – krzyknął Domicjusz Ahenobarbus, patrycjusz, który poślubił siostrę Katona i nienawidził Cezara tak mocno, że ostatnio wzywał do pozbawienia go dowództwa w Galii.

Kilkudziesięciu innych arystokratów również zerwało się z miejsc, by wyrazić swoje poparcie. Stronnicy Pompejusza nie wiedzieli chyba, jak mają zareagować: wydawało się, że Cyncero w zasadzie poparł ich szefa.

W rzeczywistości spletał im całkiem niezłego figla i kiedy usiadł i spojrzął w moją stronę, byłem prawie pewien, że puścił do mnie oko. Konsul naradził się szeptem ze skrybami, po czym oznajmił, że z uwagi na poparcie, jakiego udzielono wnioskowi Cyclerona, debata w tej sprawie odbędzie się w idy majowe. Na tym obrady zakończono i senatorowie zaczęli opuszczać salę – a najszybciej z nich Krassus, który o mało mnie nie wyrócił, tak pilno mu było do wyjścia.

* * *

Cycero był również zdecydowany zrobić sobie wakacje, czując, że zasłużył na nie po siedmiu miesiącach nieprzerwanej pracy i stresu. Wiedział nawet, dokąd pojedzie. Pewien bogaty poborca podatkowy, któremu świadczył usługi prawne, zmarł jakiś czas wcześniej i zapisał mu w testamencie nieruchomość – małą willę nad Zatoką Neapolitańską, w miejscowości Cumae, leżącej między morzem a Jeziorem Lukryńskim. (Powinienem tu dodać, że w tamtych czasach zabraniało się bezpośredniego pobierania opłat za usługi prawne, ale wolno było otrzymać za nie coś w spadku; zasady tej nie zawsze ściśle przestrzegano). Cycero nigdy nie widział tego miejsca, ale słyszał, że rozciąga się stamtąd jeden z najładniejszych widoków w całym regionie. Zapropował Terencji, że pojedą razem obejrzeć

posiadłość, a ona łaskawie się zgodziła, choć później, gdy dowiedziała się, że ja także mam uczestniczyć w wyprawie, zaczęły się jej normalne dąsy.

– Wiem, jak to będzie wyglądać – usłyszałem, jak skarży się Cynceronowi. – Będę siedziała sama przez cały dzień, podczas gdy ty zamkniesz się ze swoją ulubioną żoną!

Cyncero uspokoił ją, zapewniając, że nic takiego się nie zdarzy, a ja uważałem, żeby nie wchodzić jej w drogę. W przeddzień wyjazdu Cyncero wydał ucztę na cześć swojego przyszłego zięcia, Krassipesa, a ten wspomniał mimochodem, że Krassus, z którym łączyły go bliskie stosunki, poprzedniego dnia opuścił w pośpiechu Rzym, nie mówiąc nikomu, dokąd się udaje.

– Pewnie dowiedział się o jakiejś mieszkającej na odludziu starej wdowie, która jest już jedną nogą w grobie, i liczy, że zdoła ją przekonać, by rozstała się tanio ze swoim majątkiem – powiedział Cyncero.

Wszyscy głośno się roześmiali, tylko Krassipes zacisnął wargi.

– Jestem pewien, że wyjechał na wakacje, tak jak wszyscy – stwierdził.

– Krassus nie wyjeżdża na wakacje. Nie widzi w nich żadnego interesu – odparł Cyncero, po czym wzniósł toast za zdrowie Krassipesa i Tulii. – Niech ich związek będzie długi i szczęśliwy i niech dochowają się liczego potomstwa. Ja osobiście myślę co najmniej o trójce.

– Ojcze! – zawołała ze śmiechem Tulia, czerwieniąc się i odwracając wzrok.

– O co ci chodzi? – zapytał z niewinną miną. – Mam już siwe włosy i pasowałaby do nich gromadka wnuków.

Wstał od stołu wcześniej, bo przed wyjazdem na południe chciał jeszcze odwiedzić Pompejusza. W szczególności chciał prosić w imieniu Kwintusa, by pozwolono mu rzec się legacji i wrócić z Sardynii do domu. Cycero wybrał się tam lektyką, ale kazał tragarzom nieść się powoli, żebym mógł iść obok i żebyśmy mogli porozmawiać. Zmierzchało już. Musieliśmy pokonać mniej więcej milę, by dotrzeć do wzgórza Pincio, za murami miasta, gdzie Pompejusz miał swoją nową podmiejską willę – choć może bardziej odpowiednie byłoby słowo „pałac”. Po drodze przyglądaliśmy się rozległemu kompleksowi prawie ukończonych świątyń i teatrów na Polu Marsowym.

Wielki człowiek jadł akurat kolację ze swoją żoną i musieliśmy poczekać, aż skończą. Na dziedziniec, gdzie czekało już na załadowanie pół tuzina wozów, zastęp niewolników wynosił właśnie z sieni sterty bagażu – tyle kufrów z ubraniami, skrzyń z zastawą kuchenną, dywanów, mebli i nawet posągów, że można by pomyśleć, iż Pompejusz ma zamiar przeprowadzić się do innego domu. W końcu pojawili się małżonkowie i Pompejusz przedstawił Julię Cycleronowi, który z kolei przedstawił jej mnie.

– Pamiętam cię – zwróciła się do mnie, wątpię jednak, by było to możliwe.

Skończyła dopiero siedemnaście lat, lecz odznaczała się wielkim wdziękiem. Miała wykwintne maniery swego ojca, Cezara, oraz coś z tego, w jaki sposób przeszywał spojrzeniem rozmówcę, i nagle przypomniałem sobie z zażenowaniem jego nagie bezwłose ciało, leżące na stole do masażu w willi w Mutinie. Musiałem zamknąć oczy, by oddalić od siebie ten obraz.

Prawie od razu zostawiła nas samych, tłumacząc, że musi się wyspać przed czekającą ją nazajutrz podróżą. Pompejusz pocałował ją w rękę – słynne było oddanie, jakim ją darzył – i zabrał nas do swojego gabinetu. Była to sala wielkości sporego domu, zastawiona pochodzącymi z licznych kampanii trofeami, wśród których był również, jak twierdził z przekonaniem, płaszcz Aleksandra Wielkiego. Pompejusz usiadł na sofie zrobionej z wypchanego krokodyla, wyjaśniając, iż dostał ją od Ptolemeusza, po czym poprosił Cyncerona, by zajął miejsce naprzeciwko.

– Można by sądzić, że wybierasz się na wojnę – powiedział Cyncero.

– Tak to jest, kiedy człowiek podróżuje wraz z żoną.

– Mogę zapytać, dokąd się wybierasz?

– Na Sycylię.

– Ach, cóż za zbieg okoliczności – zauważył Cyncero. – Miałem właśnie zamiar poprosić cię o coś, co ma związek

z Sardinia – dodał, po czym zaczął w elokwentny sposób przedstawiać prośbę swego brata, podając trzy powody, dla których należałoby mu zezwolić na powrót do Rzymu: ponieważ od dłuższego czasu pozostawał poza domem; ponieważ powinien zająć się synem (który przysparzał kłopotów wychowawczych) i ponieważ był lepszym dowódcą wojskowym aniżeli cywilnym administratorem.

Pompejusz wysłuchał go, gładząc się po podbródku, rozparty na swoim egipskim krokodylu.

– Skoro tak ci na tym zależy – powiedział – może wrócić. Zresztą masz rację: marny z niego administrator.

– Dziękuję. Jestem ci jak zwykle bardzo zobowiązany.

Pompejusz zmierzył Cyncerona chytrym spojrzeniem.

– Słyszałem, że przed kilku dniami nieźle namieszałeś w senacie – powiedział.

– Zrobiłem to tylko w twoim interesie... próbowałem po prostu zabezpieczyć fundusze dla twojej komisji.

– Tak, ale przy okazji zakwestionowałeś prawa Cezara.

– Pompejusz pokiwał karcąco palcem. – To było niegrzeczne.

– Cezar nie jest nieomylnym bogiem; jego prawa nie zostały nam przekazane z Olimpu. Poza tym gdybyś tam był i widział, jak bardzo cieszą Krassusa ataki na twoją osobę, jestem pewien, że chciałbyś, abym znalazł jakiś sposób, żeby zetrzeć ten uśmiech z jego twarzy. A krytykując Cezara, na pewno zdołałem to zrobić.

Pompejusz od razu się rozchmurzył.

– W takim razie popieram to, co zrobiłeś!

– Wierz mi, że ambicje Krassusa i jego nielojalność wobec ciebie destabilizują republikę w znacznie większym stopniu niż cokolwiek, co ja mogłem uczynić.

– Całkowicie się z tobą zgadzam.

– Moim zdaniem, jeśli ktoś zagraża twojemu sojuszowi z Cezarem, to właśnie on.

– A to dlaczego?

– Nie rozumiem, jak Cezar może stać z boku i pozwalać mu, by w taki sposób spiskował przeciwko tobie, a zwłaszcza wykorzystywał w tym celu Klodiusza. Jako twój teść powinien chyba przede wszystkim myśleć o tobie, nie sądzisz? Jeśli Krassus będzie dalej tak postępował, zasieje wielką niezgodę, widzę to już teraz.

– Tak będzie. – Pompejusz pokiwał głową. Na jego twarzy znowu ukazał się chytry uśmiezek. – Oczywiście masz rację, jak zawsze. – Wstał i Cyncero zrobił to samo. Pompejusz wziął jego dłoń w swoje olbrzymie łapska. – Dziękuję, że przyszedłeś mnie odwiedzić, stary przyjacielu. Dałeś mi sporo rzeczy do przemyślenia w trakcie podróży na Sycylię. Musimy do siebie często pisywać. Gdzie dokładnie będziesz?

– W Cumae.

– Och! Zazdroszczę ci. Cumae to najpiękniejsze miejsce w Italii.

Cyncero był zadowolony ze swojej wieczornej wizyty.

– Ten ich potrójny sojusz nie może przetrwać – powiedział mi w drodze do domu. – Zaprzecza prawom natury. Muszę tylko nadal cierpliwie go podkopywać i prędzej czy później cały ten spróchniały gmach rozsypie się w gruzy.

Wyruszyliśmy z Rzymu o pierwszym brzasku – Terencja, Tulia i Marek, wszyscy w jednym powozie z Cyncerem, który był w znakomitym humorze – i podróżowaliśmy szybko, zatrzymując się na noc najpierw w willi w Tusculum, która, jak z radością zobaczył Cyncero, nadawała się znów do zamieszkania, a następnie w rodzinnej posiadłości w Arpinum, gdzie zostaliśmy na cały tydzień. Na koniec zjechaliśmy z wysokich chłodnych szczytów Apeninów na południe, w stronę Kampanii.

Z każdą milą mniej było chmur, niebo stawało się bardziej błękitne, a temperatura coraz wyższa, a kiedy jechaliśmy wiodącą wzdłuż wybrzeża drogą, bryza morską niosła balsamiczne zapachy. Cumae było wtedy o wiele mniejsze i cichsze niż dzisiaj. Gdy w Akropolis opisałem kapłanowi cel naszej podróży, skierował mnie do położonego wśród wzgórz na wschodnim brzegu Jeziora Lukryńskiego miejsca, z którego widać było lagunę, wąski przesmyk lądu, a dalej mieniące się różnymi odcieniami błękitu Morze Śródziemne. Sama willa była mała i zapuszczona i doglądało jej kilkoro starszych niewolników. Wiatr hulał między dziurawymi

ścianami i brakowało fragmentu dachu. Ale warto było znieść każdą niewygodę, tak piękna rozciągała się stamtąd panorama. Małe wiosłowe łodzie pływały po spokojnym jeziorze, a z ogrodu na tyłach domu otwierał się majestatyczny widok na porośniętą bujną zielenią piramidę Wezuwiusza. Cycero był oczarowany i natychmiast usiadł z miejscowymi budowniczymi, by ustalić zakres prac remontowych i dekoracyjnych. Marek bawił się na plaży ze swoim guwernerem. Terencja siedziała na tarasie i szyła. Tulia czytała swoje greckie księgi. Były to rodzinne wakacje, jakich nie spędzili ze sobą od wielu lat.

Jedno wszelako było zastanawiające. Cały ten odcinek wybrzeża od Cumae aż po Puteoli usiany był wówczas, podobnie jak i teraz, willami należącymi do senatorów. Cycero spodziewał się oczywiście, że kiedy tylko rozejdą się wieści o jego przyjeździe, zaczną przyjmować gości. Nikt jednak nie przychodził. W nocy Cycero stawał na tarasie, lustrował wzrokiem wybrzeże, zerkał na wzgórza i narzekał, że nie widzi prawie żadnych świateł. Czyżby nie urządzano żadnych przyjęć, żadnych uczt? Wypuszczał się plażą na milę w każdą stronę, lecz ani razu nie zobaczył senatorskiej togi.

– Coś musiało się wydarzyć – powiedział do Terencji. – Gdzie oni się wszyscy podziali?

– Nie wiem – odparła – ale jeśli o mnie chodzi, cieszę się, że nie ma tu nikogo, z kim mógłbyś dyskutować

o polityce.

Zagadka wyjaśniła się rankiem piątego dnia.

Siedząc na tarasie i odpowiadając na listy, które przychodziły do Cyncerona, zauważyłem grupkę jeźdźców, którzy zjechali z nadmorskiej drogi i zbliżali się traktem do domu. „Klodiusz!”, pomyślałem w pierwszej chwili. Wstałem, żeby mieć lepszy widok, i dostrzegłem z niepokojem, że słońce odbija się od ich hełmów i napierśników. Pięciu konnych: żołnierze.

Terencja wyszła na cały dzień z dziećmi, żeby odwiedzić w Cumae wieszczkę, która mieszkała podobno w dzbanie w jaskini. Pobiegłem uprzedzić Cyncerona i kiedy go znalazłem – wybierał właśnie wzór kolorów do jadalni – jeźdźcy wjeżdżali już ze stukotem podków na dziedziniec. Ich dowódca zeskoczył z konia i zdjął z głowy hełm. Okryty pyłem przypominał zjawę, zwiastuna śmierci. Białe nos i czoło ostro kontrastowały z pobrudzoną resztą twarzy. Wyglądał, jakby założył na twarz maskę. Znałem go jednak. Był członkiem senatu, choć niezbyt wybitnym – członkiem owej uległej, niezawodnej grupy senatorów, których określano mianem *pederia*, bo nigdy nie zabierali głosu, ale po prostu głosowali nogami. Nazywał się Lucjusz Wibuliusz Rufus i był jednym z oficerów Pompejusza, pochodzącym naturalnie z jego rodzinnego regionu, Picenum.

– Mogę zamienić z tobą słowo? – zapytał szorstko.

– Oczywiście – powiedział Cyncero. – Wejdźcie do środka wszyscy, żeby coś przekąsić. Nalegam.

– Wejdę sam – odparł Wibuliusz. – Oni zostaną tutaj i dopilnują, by nikt nam nie przeszkadzał. – Poruszał się sztywno, niczym ożywiony gliniany posąg.

– Wyglądasz na bardzo zdrożonego – zauważył Cyncero. – Z daleka przyjechałeś?

– Z Luki.

– Z Luki! – powtórzył Cyncero. – To musi być ze trzysta mil!

– Raczej trzysta pięćdziesiąt. Byliśmy w drodze przez tydzień. – Kiedy usiadł, w górę wzbił się tuman kurzu. – Odbyło się zebranie na twój temat i wysłano mnie, bym poinformował cię o jego konkluzjach. – Wibuliusz zerknął na mnie. – To, co powiem, przeznaczone jest tylko dla twoich uszu.

– To mój sekretarz – odrzekł zmieszany Cyncero, zastanawiając się chyba, czy nie ma do czynienia z szaleńcem. – Możesz przy nim mówić wszystko, co masz do powiedzenia. Cóż to za spotkanie?

– Jak sobie życzysz. – Wibuliusz ściągnął rękawice, odpiął z jednej strony napierśnik, sięgnął pod metal, wyciągnął dokument i ostrożnie rozwinął. – Przybywam z Luki, ponieważ tam właśnie spotkali się Pompejusz, Cezar i Krassus – oznajmił.

Cyncero zmarszczył czoło.

– Nie, to niemożliwe. Pompejusz wybierał się na Sycylię... sam mi to powiedział.

– Można połączyć jedno z drugim, nieprawdaż? – zauważył łagodnym tonem Wibuliusz. – Można pojechać do Lukcji, a stamtąd popłynąć na Sycylię. Właściwie mogę ci wyjaśnić, jak to się odbyło. Po twoim krótkim wystąpieniu w senacie Krassus pojechał do Rawenny, żeby spotkać się z Cezarem i powtórzyć mu, co powiedziałaś. Następnie obaj przemierzyli w poprzek Italię, żeby spotkać się z Pompejuszem, zanim wejdzie na pokład statku w Pizie. Wszyscy trzej spędzili ze sobą kilka dni, debatując o różnych sprawach... wśród nich o tym, co począć z tobą.

Poczułem nagle, jak robi mi się niedobrze. Cyncero miał więcej hartu ducha.

– Nie ma potrzeby uciekać się do impertynencji – oświadczył.

– A sedno tego, co ustalili, brzmi: zamknij się, Marku Tulliuszu! Nie wypowiadaj się w senacie na temat praw Cezara. Nie próbuj siać niezgody w Wielkiej Trójce. Nie wypowiadaj się na temat Krassusa. Generalnie rzecz biorąc, zamknij się.

– Skończyłeś? – zapytał spokojnie Cyncero. – Czy muszę ci przypominać, że jesteś gościem w moim domu?

– Nie, jeszcze nie skończyłem. – Wibuliusz zajrzał do swoich notatek. – W konferencji uczestniczył również częściowo namiestnik Sycylii, Appiusz Klaudiusz.

Przybył tam, by przyjąć pewne zobowiązania w imieniu swojego brata, w wyniku czego między Pompejuszem i Klodiuszem doszło do publicznego pojednania.

– Pojednania? – powtórzył Cyncero. W jego głosie nie słychać już było pewności siebie.

– W przyszłości będą występować razem dla dobra republiki. Pompejusz chciał, żebym ci powtórzył, że jest z ciebie bardzo niezadowolony, Marku Tulliuszu, bardzo niezadowolony. Przytaczam teraz dokładnie jego słowa. Uważa, że był wobec ciebie lojalny, prowadząc kampanię na rzecz twego powrotu z wygnania, i podjął wówczas pewne zobowiązania dotyczące twojego stosunku do Cezara, które, przypomina ci, potwierdziłeś Cezarowi na piśmie, a obecnie złamałeś. Jest zawiedziony. Jest zakłopotany. Nalega, byś w dowód przyjaźni wycofał z senatu swój wniosek odnoszący się do ustaw Cezara o rozdawnictwie ziemi i żebyś nie wypowiadał się więcej na ten temat, dopóki osobiście z nim tego nie skonsultujesz.

– Przemawiając w senacie, robiłem to tylko w interesie Pompejusza...

– Chciałby, żebyś napisał do niego list potwierdzający, że zrobisz to, o co cię prosi. – Wibuliusz zwinął dokument i schował go pod napierśnik. – To była część oficjalna. To, co ci teraz powiem, jest ściśle poufne. Rozumiesz, co mam na myśli?

Cyncero z rezygnacją machnął ręką. Rozumiał.

– Pompejusz pragnie, byś zdał sobie sprawę z sił, które są w to zaangażowane, i dlatego pozostali zgodzili się, żeby cię poinformował. W tym roku zarówno on, jak i Krassus zgłoszą swoje kandydatury w wyborach na konsulów.

– Przegrają.

– Gdyby wybory odbyły się w lecie, mógłbyś mieć rację. Ale wybory zostaną przesunięte na później.

– Dlaczego?

– Z powodu aktów przemocy w Rzymie.

– Jakiej przemocy?

– O przemoc zadba Klodiusz. W rezultacie wybory odbędą się dopiero zimą, kiedy kampania w Galii dobiegnie końca i Cezar będzie mógł wysłać tysiące swoich weteranów do Rzymu, by głosowali na jego kolegów. Wtedy na pewno zostaną wybrani. Po zakończeniu swoich kadencji Pompejusz i Krassus obejmą funkcję prokonsulów: Pompejusz w Hiszpanii, Krassus w Syrii. Zamiast trwać jak zwykle jeden rok, ich namiestnictwo zostanie przedłużone do pięciu lat. Żeby było sprawiedliwie, Cezar przedłuży też o kolejnych pięć lat swoje prokonsularne namiestnictwo w Galii.

– To się kompletnie nie mieści w głowie.

– A pod koniec swojej przedłużonej kadencji Cezar powróci do Rzymu i teraz on z kolei zostanie wybrany na konsula... Pompejusz i Krassus zadbają o to, by ich weterani byli pod ręką i na niego zagłosowali. Takie są

warunki porozumienia w Luce. Ma obowiązywać przez siedem lat. Pompejusz obiecał Cezarowi, że się do nich zastosujesz.

– A jeśli tego nie zrobię?

– Wtedy nie będzie mógł dłużej gwarantować ci bezpieczeństwa.

VI



Siedem lat – parsknął z wielką pogardą Cyncero, kiedy Wibuliusz i jego ludzie już odjechali. – Niczego w polityce nie można zaplanować na siedem lat naprzód. Czy Pompejusz kompletnie stracił rozum? Czy nie widzi, że ten diabelski pakt faworyzuje Cezara? W rezultacie obiecuje chronić jego tyłek do momentu, gdy Cezar skończy plądrować Galię i będzie mógł wrócić do Rzymu i przejąć władzę nad całą republiką, łącznie z Pompejuszem.

Siedział zrozpaczony na tarasie. Rybacy wyławiali z morza ostrygi i od brzegu dobiegały krzyki morskich ptaków. Dowiedzieliśmy się teraz, dlaczego okolica była taka wyludniona. Według Wibuliusza połowa senatu zwietrzyła, co się święci, i ponad stu senatorów pojechało na północ do Luki, żeby wziąć udział w podziale łupów.

Zignorowali słońce Kampanii, by grzać się w znacznie potężniejszym blasku władzy.

– Jestem głupcem, siedząc tutaj i licząc fale – stwierdził Cyncero – podczas gdy na drugim końcu kraju decyduje się przyszłość świata. Spójrzmy prawdzie w oczy, Tironie. Zużyłem się. Każdy człowiek ma swoją godzinę chwały, a moja już minęła.

Po południu, po wizycie w jaskini wieszczki w Cumae, Terencja wróciła do domu. Zauważyła kurz, który osiadł na dywanach i meblach, i zapytała, kto był w domu. Cyncero niechętnie opisał jej, co się wydarzyło.

Terencji zapłonęły oczy.

– Jakie to dziwne, że o tym mówisz – rzekła z przejęciem. – Wieszczka dokładnie to przewidziała. Powiedziała, że najpierw Rzym będzie rządzony przez trzech, potem przez dwóch, potem przez jednego, a na koniec przez nikogo.

Zrobiło to wrażenie nawet na Cynceronie, który traktował opowieści o wieszczce mieszkającej w dzbanie i przepowiadającej przyszłość jako oczywiste głupstwa.

– Trzej, dwaj, jeden i nikt... Wiemy świetnie, kim są ci trzej... to oczywiste. I mogę się domyślić, kim będzie ten jeden. Ale kim będą dwaj? I co miała na myśli, mówiąc, że Rzym nie będzie rządzony przez nikogo? Czy przepowiada nadejście chaosu? Jeśli tak, zgadzam się... do tego właśnie dojdzie, gdy pozwolimy Cezarowi

podeptać konstytucję. Ale choćbyście mnie kroili na kawałki, nie mam pojęcia, jak go powstrzymać.

– Dlaczego akurat ty miałbyś być tym, który go powstrzyma? – zapytała Terencja.

– Nie wiem. A któż inny mógłby to zrobić?

– Ale dlaczego zawsze na ciebie spada obowiązek powściągnięcia ambicji Cezara, skoro Pompejusz, najpotężniejszy człowiek w państwie, nie robi nic, by ci pomóc? Dlaczego to na tobie spoczywa odpowiedzialność?

Cycero przez dłuższą chwilę milczał.

– To trafne pytanie – odparł w końcu. – Być może to z mojej strony zwykła pycha. Ale czy naprawdę mogę z honorem wycofać się i nic nie robić, skoro instynkt podpowiada mi, że kraj zmierza ku katastrofie?

– Owszem! – krzyknęła z pasją. – Zdecydowanie możesz! Czy nie dość się już nacierpiałeś, stawiając opór Cezarowi? Czy jest na tym świecie ktoś, kto więcej wycierpiał? Dlaczego nie pozwolisz, by inni podjęli tę walkę? Zasłużyłeś sobie chyba na trochę spokoju? Ja z całą pewnością sobie zasłużyłam – dodała cicho.

Cycero długo się nie odzywał. Podejrzewam, że tak naprawdę, odkąd dowiedział się o porozumieniu w Luce, wiedział w głębi serca, że nie może dalej sprzeciwiać się Cezarowi – nie może tego robić, jeśli chce ocalić życie. Ktoś musiał mu to tylko wyłożyć bez ogródek – i to właśnie uczyniła Terencja.

W końcu westchnął z takim znużeniem, jakiego nigdy jeszcze u niego nie widziałem.

– Masz rację, żono. Nikt przynajmniej nie będzie mógł mi zarzucić, że nie przejrzałem na wskroś Cezara i nie starałem się go powstrzymać. Ale to prawda: jestem już zbyt stary i zmęczony, by z nim dłużej walczyć. Moi przyjaciele to rozumieją, a wrogowie potępiają mnie bez względu na to, co zrobię, więc dlaczego miałbym się przejmować ich zdaniem? Dlaczego nie mogę wreszcie trochę odpocząć i nacieszyć się słońcem razem z moją rodziną?

Mówiąc to, nachylił się i wziął ją za rękę.

* * *

Mimo to wstydził się swojej kapitulacji. Wiem o tym, bo chociaż napisał do Pompejusza na Sardynii długi list, wyjaśniający, dlaczego zmienił zdanie – swoją, jak to nazwał, „palinodię” – nigdy mi go nie pokazał i nie zachował kopii. Nie pokazał go również Attykowi. Jednocześnie napisał do konsula Marcellinusa, zawiadamiając go, że chce wycofać swój wniosek o ponowne rozpatrzenie przez senat dekretów Cezara o rozdawnictwie ziemi. Nie dołączył żadnego uzasadnienia, bo też i nie musiał: wszyscy zdawali sobie sprawę, że sytuacja polityczna się zmieniła i nowy układ raczej mu nie sprzyja.

Wróciliśmy do Rzymu, w którym huczało od plotek. Niewiele osób wiedziało dokładnie, co takiego knują Pompejusz i Krassus, ale stopniowo rozeszły się wieści, że choć się wzajemnie nie znoszą – o czym było powszechnie wiadomo – zamierzają, podobnie jak to robili wcześniej, starać się wspólnie o konsulat. Niemniej kilku senatorów miało zamiar przeciwstawić się cynizmowi i arogancji Trójki. Wyznaczono debatę na temat przydziału prowincji konsularnych i jeden z wniosków wzywał do pozbawienia Cezara namiestnictwa zarówno Galii Przedalpejskiej, jak i Zaalpejskiej. Cycero wiedział, że jeśli weźmie udział w obradach, zapytają go o zdanie. Zastanawiał się, czy nie zostać w domu. Potem jednak zdał sobie sprawę, że w końcu będzie musiał publicznie odwołać to, co mówił wcześniej, więc równie dobrze mógł to zrobić już teraz. Zaczął pracować nad swoją mową.

I nagle, w przeddzień debaty, po przeszło dwóch latach spędzonych na Cyprze, do Rzymu powrócił Marek Porcjusz Katon. Powrócił w pięknym stylu, na czele wiozącej srebro flotylli, która przy płynęła Tybrem z Ostii; towarzyszył mu bratanek, Brutus, młody człowiek, po którym spodziewano się wielkich czynów. Cały senat, wszyscy urzędnicy i kapłani, a także wielu obywateli miasta stawiało się na nabrzeżu, by powitać Katona w ojczyźnie. Ustawiono pomost z pomalowanymi słupami i wstęgami, by miał gdzie zejść ze swojego statku

i przywitać się z konsulami, lecz on minął ich, stojąc na dziobie sześciorzędowej królewskiej galery, w obszarpanej czarnej tunice, i wpatrując się prosto przed siebie, tak że widać było tylko jego ostry profil. Tłumy westchnęły i jęknęły głośno na widok takiej wyniosłości, ale zaraz potem na podstawiane jeden po drugim, zaprzężone w woły furgony zaczęto wyładowywać srebro – razem siedem tysięcy talentów, które przewieziono z portu do państwowego skarbcza w świątyni Saturna. Dzięki tej jednej kontrybucji Katon odmienił stan finansów całego państwa – pieniędzy było teraz dosyć, by zapewnić rozdawnictwo zboża na pięć lat – i senat zwołał natychmiast posiedzenie, na którym miano mu przyznać stanowisko honorowego pretora z prawem noszenia specjalnej, obszytej purpurą togi.

Wezwany przez Marcellinusa do zabrania głosu, Katon odrzucił z pogardą to, co nazwał „korupcyjnymi błyskotkami”.

– Spełniłem obowiązek nałożony na mnie przez lud rzymski... zadanie, o które wcale nie prosiłem i którego wolałbym się nie podejmować. Teraz, gdy je wykonałem, nie potrzebuję wschodnich pochlebstw i fikuśnych szat, by nadymać się pychą. Wystarczającą nagrodą jest dla mnie świadomość, że spełniłem swój obowiązek, i taką też nagrodą powinien się zadowolić każdy.

Nazajutrz pojawił się znów na debacie w sprawie prowincji, jakby ani na jeden dzień nie opuścił obrad

senatu – siedząc na swoim stałym miejscu i przeglądając tak jak zawsze rachunki skarbu państwa, by upewnić się, czy nie zmarnotrawiono publicznego grosza. Odłożył je dopiero, gdy udzielono głosu Cyceronowi.

Obrady zbliżały się do końca i większość byłych konsulów zdążyła się już wypowiedzieć. Mimo to Cycero zdołał skupić uwagę izby, atakując w pierwszej części przemówienia swoich starych wrogów, Pizona i Gabinius, namiestników odpowiednio Macedonii i Syrii. Nagle jednak konsul Marcjusz Filippus, który poślubił siostrzenicę Cezara i jak wielu innych zaczynał się już niecierpliwić, przerwał mu i zapytał, dlaczego poświęca tyle czasu na atakowanie tych dwóch marionetek, skoro tym, który w rzeczywistości doprowadził do jego wygnania, był Cezar.

To dało Cyceronowi asumpt do takiego rozpoczęcia mowy, jakiego pragnął.

– Ponieważ – odpowiedział – dobro publiczne jest dla mnie ważniejsze od osobistych pretensji. Właśnie moja odwieczna i niezłomna lojalność wobec republiki każe mi na nowo zawrzeć i odbudować przyjaźń z Gajuszem Cezarem. Nie mogę nie żywić przyjaźni do kogoś, kto oddaje dobre usługi państwu – kontynuował, podnosząc głos, by przekrzyczeć sypiące się zewsząd drwiny. – Pod dowództwem Cezara toczyliśmy w Galii wojnę, podczas gdy wcześniej odpieraliśmy tylko ataki. W przeciwieństwie do swoich poprzedników Cezar uważa, iż cała Galia powinna

znaleźć się pod naszym panowaniem. W rezultacie, odnosząc olśniewające sukcesy, zmiażdżył w boju najgroźniejsze i największe plemiona Germanii i Helwecji; pozostałe zastraszył, podbił i zmusił do uznania naszej władzy. Ale wojna jeszcze się nie skończyła. Jeśli Cezar zostanie odwołany, z żarzących się węgli mogą buchnąć płomienie. Dlatego, jako senator, nawet będąc, jak twierdzicie, jego przeciwnikiem, muszę ze względu na interes państwa odłożyć na bok osobiste animozje, bo jak mogę być wrogiem człowieka, którego meldunki, sława i posłańcy napełniają codziennie nasze uszy nazwami nowych ras, ludów i miejsc?

Nie był to jego najbardziej przekonujący występ i pod koniec grubo przesadził, próbując dowodzić, że on i Cezar nigdy nie byli prawdziwymi wrogami – przykład sofistyki, który spotkał się z szyderczą reakcją. Ale jakoś przez to przebrnął. Wniosek o odwołanie Cezara przepadł w głosowaniu i po zakończeniu obrad, mimo że najbardziej zajadli przeciwnicy Cezara, tacy jak Ahenobarbus i Bibulus, ze wzdrgnięciem odwrócili się do niego plecami, Cyncero ruszył do wyjścia z wysoko podniesioną głową. Wtedy właśnie podszedł do niego Katon. Czekalem przy drzwiach i słyszałem dobrze ich wymianę zdań.

Katon: „Bardzo mnie rozczarowałaś, Marku Tulliuszu. Przez twoją dezercję przepadła być może ostatnia szansa powstrzymania dyktatora”.

Cycero: „Dlaczego miałbym powstrzymywać człowieka, który kroczy od zwycięstwa do zwycięstwa?”.

Katon: „Ale dla kogo odnosi te zwycięstwa? Dla republiki czy dla samego siebie? I od kiedy to podbicie Galii stało się celem naszej polityki? Czy senat albo lud w ogóle upoważnili go do prowadzenia tej jego wojny?”.

Cycero: „W takim razie dlaczego nie złożysz wniosku, by ją zakończyć?”.

Katon: „Być może to zrobię”.

Cycero: „Znakomicie. Zobacysz, do czego cię to doprowadzi. A tak na marginesie, witaj w domu”.

Ale Katon nie miał ochoty wymieniać uprzejmości i odszedł, by porozmawiać z Bibulusem i Ahenobarbusem. Od tego czasu to on stał się przywódcą opozycji przeciw Cezarowi, a Cycero wycofał się do swojego domu na Palatynie i korzystał z uroków spokojnego życia.

* * *

W tym, co zrobił Cycero, nie było nic heroicznego. Zdawał sobie sprawę z utraty twarzy. *Czas pożegnać się z zasadami, szczerością i honorem!* – podsumował to w liście do Attyka.

Ale nawet po tych wszystkich latach, mając świadomość tego, co zdarzyło się później, nie bardzo widzę, co innego mógłby zrobić. Katonowi łatwiej było

stawiać opór Cezarowi. Pochodził z bogatej i wpływowej rodziny i nie zagrażał mu przez cały czas Klodiusz.

Od tego momentu wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak to zaplanowała Trójka, i Cycero nie mógł na to nic poradzić, nawet gdyby poświęcił własne życie. Najpierw Klodiusz i jego zbóje zakłócili przygotowania do wyboru konsulów i kampanię trzeba było przerwać. Następnie tak długo zastraszano i upokarzano innych kandydatów, aż jeden po drugim się wycofali. W końcu przesunięto wybory na późniejszy termin. Tylko wspierany przez Katona Ahenobarbus miał odwagę starać się dalej o stanowisko konsula, rywalizując z Pompejuszem i Krassusem. Większość senatorów przybrała na znak protestu żałobę.

Tej zimy miasto po raz pierwszy wypełnili weterani Cezara – pijący na umór, łajdaczący się i grożący pobiciem każdemu, kto nie odda hołdu podobiznie ich wodza, którą ustawiali na skrzyżowaniach dróg. W przeddzień opóźnionych wyborów Katon i Ahenobarbus udali się przy świetle pochodni do zagród wyborczych, by spróbować zabiegać o głosy, ale po drodze napadnięto ich i zabito sługę niosącego pochodnię. Katon został dźgnięty w prawą rękę i chociaż apelował do Ahenobarbusa, by się nie poddawał, ten uciekł do swojego domu, zabarykadował się tam i nie chciał wyjść. Następnego dnia Pompejusz i Krassus zostali wybrani na konsulów i wkrótce potem, zgodnie z tym, co

ustalono w Luce, zadbali o to, by przydzielono im prowincje, którymi chcieli rządzić: Hiszpania przypadła Pompejuszowi, a Syria Krassusowi, przy czym oba namiestnictwa zamiast jak zwykle na jeden rok, przyznano na pięcioletni okres, a Cezar został na kolejnych pięć lat prokonsulem w Galii. Pompejusz w ogóle nie wyjechał z Rzymu i rządził Hiszpanią przez swoich podwładnych.

Przez cały ten czas Cyncero trzymał się z dala od polityki. Kiedy nie musiał występować w sądach, zostawał w domu i nadzorował lekcje swojego syna i bratanka, którzy uczyli się gramatyki, greki i retoryki. Kolacje jadał na ogół w domu, razem z Terencją. Układał wiersze i zaczął pisać książkę o historii i sztuce wymowy.

– Nadal jestem wygnańcem – zauważył w rozmowie ze mną – tyle że teraz jestem na wygnaniu w Rzymie.

Cezar szybko dowiedział się o wolcie Cyncerona w senacie i natychmiast przysłał list z podziękowaniami. Pamiętam zdziwienie Cyncerona, gdy doręczył mu go jeden z niezwykle szybkich i niezawodnych wojskowych kurierów Cezara. Jak już wyjaśniałem, prawie cała ich korespondencja została później zarekwirowana, ale pamiętam początek, ponieważ zawsze był taki sam:

G. Cezar imperator do M. Cyncerona, pozdrowienia.

Ja i wojsko mamy się dobrze...

Ten akurat list zawierał ustęp, którego nigdy nie zapomnę: *Ciesz się, że znalazłem miejsce w Twoim sercu. Nie ma w Rzymie człowieka, którego opinii ceniłbym bardziej od Twoich. Możesz na mnie polegać we wszystkim.* Cycero był rozdarty między uczuciem wdzięczności a wstydem, między ulgą a rozpaczą. Pokazał ten list swojemu bratu Kwintusowi, który wrócił właśnie z Sardynii.

– Postąpiłeś słusznie – stwierdził Kwintus. – Okazało się, że na Pompejuszu nie można polegać. Cezar może być bardziej lojalny. Szczerze mówiąc, kiedy byłem poza Rzymem – dodał – Pompejusz traktował mnie z taką pogardą, że zastanawiałem się, czy nie powinienem raczej związać swoich losów z Cezarem.

– Dlaczego miałbyś to zrobić?

– Jestem przecież żołnierzem, czyż nie? Mógłbym poprosić o jakieś stanowisko w jego sztabie. Może ty poprosiłbyś go o nominację dla mnie?

Cycero był z początku niezdecydowany: nie miał ochoty prosić Cezara o cokolwiek. Później jednak spostrzegł, jak bardzo nieszczęśliwy jest Kwintus po powrocie do Rzymu. Częściowo wynikało to oczywiście z jego nieudanego małżeństwa z Pomponią, ale chodziło o coś więcej. Nie był adwokatem ani mówcą, jak jego starszy brat. Kariera w sądach i w senacie raczej go nie pociągała. Pełnił już wcześniej funkcję pretora i namiestnika w Azji. W polityce pozostało mu do objęcia

jedynie stanowisko konsula, a mógł na nie liczyć, tylko gdyby dopisało mu w jakiś szczególny sposób szczęście albo uzyskał patronat. I znowu jedynym miejscem, gdzie coś takiego mogło się zdarzyć, było pole bitwy...

Ta możliwość wydawała się odległa, ale rozważając sprawę, bracia nabierali przekonania, że powinni bardziej związać swe losy z Cezarem. Cyncero napisał do niego, prosząc o jakąś nominację dla Kwintusa, i Cezar odpowiedział od razu, że z przyjemnością spełni jego życzenie. Nie tylko to: w zamian poprosił Cyncerona, by nadzorował wielki plan przebudowy, który zamierzał zrealizować w Rzymie, by przyćmić inwestycje Pompejusza. Kilkaset milionów sestercji miało zostać wydanych na nowe forum w centrum miasta i długi na milę kryty pasaż na Polu Marsowym. W zamian za to Cezar pożyczył Cynceronowi osiemset tysięcy sestercji na dwa i ćwierć procent, co stanowiło połowę rynkowej stawki.

Taki właśnie był. Niczym potężny wir wsysał ludzi samą mocą swej energii i władzy, aż w końcu prawie cały Rzym znalazł się pod jego urokiem. Za każdym razem, gdy wywieszano przy gmachu Regii jego *Komentarze*, gromadziły się tam tłumy i przez cały dzień czytano o jego podbojach. W tamtym roku jego młody protegowany Decymus pokonał Celtów w wielkiej bitwie morskiej na Atlantyku, po której Cezar sprzedał cały ich naród w niewolę i kazał stracić ich przywódców. Bretania

została podbita, Pireneje spacyfikowane, Flandria uciemżona. Każda społeczność w Galii miała zapłacić haracz, choć już wcześniej splądrowano ich miasta i wywieziono starożytne skarby. Migrujące pokojowo wielkie germańskie plemiona Uzypetów i Tenkterów przekroczyły w sile czterystu trzydziestu tysięcy ludzi Ren i zapewniane przez Cezara o zawieszeniu broni, przestały mieć się na baczności; wtedy wszystkich wymordował. Jego inżynierowie wzniesli most na Renie i przez osiemnaście dni plądrowali Germanię, a potem wycofali się, demontując za sobą most. Na koniec, jakby tego było mało, wyprawił się w sile dwóch legionów przez morze, wylądował na brzegach barbarzyńskiej Brytanii – miejscu, w którego istnienie wiele osób w Rzymie raczej powątpiewało – wziął pewną liczbę niewolników i wrócił jeszcze przed nastaniem zimowych sztormów.

Żeby uczcić jego zwycięstwa, Pompejusz zwołał posiedzenie senatu, by przegłosowano kolejne dwadzieścia dni publicznych modłów za jego teścia, i doszło wtedy do sceny, której nigdy nie zapomnę. Senatorowie, wśród nich również Cycero, jeden po drugim sumiennie wstawali i wychwalali Cezara, aż w końcu Pompejuszowi pozostało tylko poprosić o zabranie głosu Katona.

– Po raz kolejny wszyscy najwyraźniej straciliście zmysły, panowie – zaczął Katon. – Wedle słów samego Cezara, wyróżnął on czterysta tysięcy mężczyzn, kobiet

i dzieci, ludzi, z którymi nie miał żadnego zatargu i z którymi nie toczył żadnej wojny, w trakcie kampanii niezatwierdzonej w głosowaniu ani przez ten senat, ani przez lud rzymski. Chciałbym złożyć tu do rozpatrzenia dwie kontrpropozycje: po pierwsze, byśmy zamiast świętować, złożyli raczej bogom ofiary przebłagalne, aby rozgniewani szaleństwami i głupotą Cezara nie obrócili się przeciwko Rzymowi i wojsku, a po drugie, by Cezar, jako przestępca wojenny, został przekazany plemionom germańskim, które zdecydują o jego losie.

Wrzaski, jakie podniosły się po tej mowie, przypominały okrzyki bólu.

– Zdrajca! Galijski pacholek! Germanin!

Kilku senatorów podbiegło do Katona i zaczęło go popychać na wszystkie strony, aż zatoczył się do tyłu. Ale był silnym, żyłastym mężczyzną i nie udało im się go przewrócić. Zapierał się mocno nogami, łypiąc na nich groźnie niczym orzeł. Zgłoszono wniosek, by Katon został niezwłocznie zabrany przez liktorów do Karceru i więziony tam, dopóki nie przeprosi za swoje słowa. Lecz Pompejusz był zbyt przebiegły, by robić z niego męczennika.

– Swym wystąpieniem Katon wyrządził sobie większą krzywdę, niż moglibyśmy to uczynić my, nakładając na niego jakąkolwiek karę – oświadczył. – Niech zachowa wolność. To nie ma znaczenia. W oczach ludu rzymskiego

i tak będzie na zawsze potępiony za swoją zdradziecką postawę.

Ja również uważałem, że Katon bardzo sobie zaszkodził w oczach ludzi o umiarkowanych i wyważonych poglądach. Powiedziałem to Cynceronowi, kiedy szliśmy do domu. Biorąc pod uwagę jego niedawne porozumienie z Cezarem, spodziewałem się, że przytaknie. Ku mojemu zdziwieniu pokręcił jednak głową.

– Całkowicie się mylisz – stwierdził. – Katon jest prorokiem. Widzi prawdę z przenikliwością szaleńca lub dziecka. Rzym jeszcze pożałuje, że związał swój los z Cezarem. Podobnie jak ja.

* * *

Nie roszczę sobie pretensji do miana filozofa, ale zauważyłem jedno: za każdym razem, gdy jakaś rzecz zbliża się do swojego zenitu, można mieć pewność, że wkrótce zacznie się jej upadek.

Tak samo było z triumwiratem, który górował nad politycznym pejzażem niczym granitowy monolit. Ale znaczyły go rysy i pęknięcia, których nikt nie dostrzegał i które dopiero z czasem miały się ujawnić. Najniebezpieczniejszymi z nich były niepohamowane ambicje Krassusa.

Przez długie lata uważano go za najbogatszego człowieka w Rzymie, z fortuną wartą osiem tysięcy talentów, czyli prawie dwieście milionów sestercji. Ostatnio wydawało się to jednak skromną sumą w porównaniu z bogactwami Pompejusza i Cezara, z których każdy miał do swojej dyspozycji zasoby całych krajów. Dlatego też Krassus uznał, że pojedzie do Syrii nie po to, by nią administrować, ale by użyć jej jako bazy wypadowej do wyprawy wojennej na imperium Partów. Ci, którzy wiedzieli coś więcej o zdradzieckich piaskach i okrutnych ludach Arabii, uważali, że plan jest bardzo ryzykowny. Jestem pewien, że zdawał sobie z tego również sprawę Pompeusz, lecz tak bardzo nie znosił Krassusa, że nie zrobił nic, by mu to wyperswadować. Cezar ze swojej strony także go zachęcał. Wysłał z Galii do Rzymu syna Krassusa, Publiusza – którego poznałem w Mutinie – żeby mógł dołączyć do ojca jako zastępca głównodowodzącego.

Cycero pogardzał Krassusem bardziej niż jakimkolwiek innym mieszkańcem Rzymu. Nawet wobec Klodiusza mógł czasami żywić pewną dozę niechętnego szacunku. Ale Krassusa uważał za cynicznego i pazernego obłudnika, który skrywa te cechy pod maską fałszywej i śliskiej serdeczności. Mniej więcej wtedy wdali się obaj w senacie w gwałtowną sprzeczkę. Cycero oskarżył ustępującego namiestnika Syrii, Gabinusa, który był jego starym wrogiem, że koniec końców przyjął łapówkę od

Ptolemeusza i osadził go na egipskim tronie. Krassus bronił człowieka, którego miał zastąpić, na co Cycero zarzucił mu przedkładanie własnych interesów nad dobro republiki. Krassus wytknął mu szyderczo, że był banitą.

– Lepszy kierujący się honorem banita niż rozbestwiony złodziej – odparował Cycero.

Krassus podszedł do niego, pchnął go mocno w pierś i trzeba było powstrzymać tych dwóch podstarzałych mężów stanu, by nie zaczęli okładać się pięściami.

Pompejusz wziął potem Cycerona na stronę i oświadczył, że nie będzie tolerował takich napaści na swego konsularnego kolegę. Cezar przysłał z Galii ostry list, w którym pisał, że traktuje każdy atak na Krassusa jak napad na siebie. Moim zdaniem martwiło ich, że ekspedycja Krassusa staje się do tego stopnia niepopularna wśród ludu, iż zaczyna to podważać autorytet Trójki. Katon i jego stronnicy dowodzili, że wojna z krajem, z którym republikę rzymską wiążą traktaty o przyjaźni, jest bezprawna i niemoralna. Przedstawili przepowiednie, z których wynikało, że obraża ona bogów i doprowadzi Rzym do ruiny.

Krassusa tak bardzo to zaniepokoiło, że szukał sposobu, by publicznie pojednać się z Cyceronem. Zwrócił się do niego za pośrednictwem swego przyjaciela Furiusza Krassipesa, który był zięciem Cycerona. Krassipes zaproponował, że zaprosi ich obu na kolację

w przeddzień wyjazdu Krassusa. Odrzucając takie zaproszenie, Cycero okazałby brak szacunku Pompejuszowi i Cezarowi. Nie mógł odmówić.

– Ale chcę, żebyś mi towarzyszył jako świadek – powiedział. – Ten łotr włoży mi w usta słowa aprobaty, których nigdy nie wypowiedziałem.

Naturalnie nie uczestniczyłem w samym posiłku. Mimo to pewne fragmenty wieczoru pamiętam bardzo wyraźnie. Krassipes miał piękny podmiejski dom, wzniesiony pośrodku parku nad Tybrem, mniej więcej milę na południe od miasta. Cycero i Terencja przyjechali tam wcześniej, by spędzić trochę czasu z Tulią, która niedawno poroniła. Była bardzo blada i wychudzona, biedactwo, i zauważyłem, z jakim chłodem odnosił się do niej mąż, krytykując ją za różne domowe zaniedbania: więdnące kwietne aranżacje i nie najlepiej przyrządzone potrawy. Krassus pojawił się godzinę później w prawdziwym konwoju powozów, które z turkotem zajęły na dziedziniec. Była z nim żona, Tertulla – starsza, wiecznie skrzywiona dama, prawie tak samo łyśa jak on – a także ich syn Publiusz i jego nowa narzeczona Kornelia, urocza siedemnastoletnia córka Scypiona Nazyki, uważana za najlepszą partię w Rzymie. Krassus zabrał ze sobą również całą świtę adiutantów i sekretarzy, których jedynym zadaniem było bieganie w tę i z powrotem z meldunkami i dokumentami i robienie wielkiego szumu. Kiedy ich pryncypał wszedł do środka,

by zjeść kolację, a oni rozsiedli się na meblach Krassipesa i żłopali jego wino, uderzył mnie kontrast między tymi nieznanymi wojskowego drylu amatorami a sprawnymi, zahartowanymi sztabowcami Cezara.

Po posiłku mężczyźni przeszli do tablinum i zaczęli omawiać strategię wojskową – ściślej biorąc, przedstawiał ją Krassus, a inni słuchali. Był już wtedy bardzo głuchy – miał sześćdziesiąt lat – i perorował o wiele za głośno.

– W porządku, ojcze. Nie musisz tak krzyczeć, nie siedzimy w drugim pokoju – rzekł zakłopotany Publiusz.

Raz czy dwa zerknął na Cyclerona i podniósł brwi, dyskretnie go przepraszając. Krassus oznajmił, że będzie maszerował na wschód, przez Macedonię, potem przez Trację, Hellespont, Galację i północną część Syrii, następnie zaś przetnie pustynie Mezopotamii, przeprawi się przez Eufrat i wkroczy do Partii.

– Muszą dobrze wiedzieć, że chcesz ich zaatakować – odezwał się Cycero. – Nie obawiasz się, że zabraknie ci elementu zaskoczenia?

Krassus parsknął drwiąco.

– Nie potrzebuję elementu zaskoczenia. Wolę element pewności. Niech drżą na myśl, że się zbliżamy.

Po drodze liczył na szereg bogatych łupów – wymienił między innymi świątynię bogini Derceto w Hierapolis i Jehowy w Jerozolimie, wysadzany drogimi kamieniami posąg Apollina w Tigranocercie, złotego Zeusa w Nicephorium i skarbce Seleucji. Cycero zażartował, że

wygląda to bardziej na wyjazd po zakupy niż na wyprawę wojenną, ale Krassus był zbyt głuchy, by to usłyszeć.

Pod koniec wieczoru dwaj starzy wrogowie uścisnęli sobie serdecznie dłonie i wyrazili głęboką satysfakcję z tego, że wszelkie drobne nieporozumienia, które mogły ich wcześniej poróżnić, zostały ostatecznie wyjaśnione.

– To były zwykłe urojenia – powiedział Cyncero, pstrykając palcami. – Wymażmy je całkowicie z pamięci. Mam nadzieję, że między takimi ludźmi jak my, których los związał z tą samą polityczną opcją, ten sojusz i przyjaźń będą trwałe ku obopólnej korzyści. Możesz być pewien, że w czasie twojej nieobecności będę niestrudzenie i z oddaniem strzegł twych interesów, a wszelkie wpływy, jakie posiadam, będą absolutnie i bezwarunkowo do twojej dyspozycji.

A potem, kiedy wsiadaliśmy do powozu, by wrócić do domu, rzekł do mnie:

– Ten człowiek to prawdziwy łotr.

Dzień albo dwa później – i całe dwa miesiące przed zakończeniem jego kadencji konsula, tak bardzo mu się śpieszyło z wyjazdem – Krassus opuścił Rzym, ubrany w czerwony płaszcz i kompletny mundur generała w służbie czynnej. Pompejusz, jego konsularny kolega, wyszedł z senatu, by go pożegnać. Trybun Ateusz Kapitan próbował aresztować go na Forum za nielegalną próbę rozpętania wojny, a kiedy odtrącili go na bok porucznicy Krassusa, pobiegł do bramy miasta i rozpałił

tam ogień w palenisku. Gdy Krassus go mijał, Ateusz wrzucił do ognia kadzidło, pokropił je winem i zaczął miotać klątwy na niego i jego ekspedycję, wypowiadając imiona dziwnych i straszliwych bóstw. Przesądni mieszkańcy Rzymu wpadli w przerażenie i wołali do Krassusa, by nie wyruszał, lecz on wyśmiał ich, po raz ostatni pomachał wesoło ręką, po czym odwrócił się plecami do miasta i spiął konia ostrogami.

* * *

Takie było życie Cyncerona w tym okresie: stąpał na palcach między trzema wielkimi mężami stanu, starając się zachowywać z każdym dobre stosunki i wykonując ich polecenia, prywatnie biadał nad przyszłością republiki, ale nie tracił nadziei na lepsze jutro.

Pociechy szukał w swoich książkach, zwłaszcza filozoficznych i historycznych, i pewnego dnia, po tym, jak Kwintus wyjechał do Galii, by dołączyć do Cezara, oświadczył mi, że sam postanowił napisać książkę. Otwarte krytykowanie obecnej sytuacji politycznej w Rzymie było zbyt niebezpieczne, stwierdził, ale mógł się do tego zabrać w inny sposób, uaktualniając *Republikę* Platona i opisując, jak mogłoby wyglądać idealne państwo.

– Któż mógłby mieć coś przeciwko temu? – zapytał.

Moim zdaniem mogło mieć coś przeciwko temu wiele osób, ale zachowałem tę opinię dla siebie.

Gdy patrzę wstecz, pisanie tej książki, które zajęło nam ostatecznie prawie trzy lata, należało do najbardziej satysfakcjonujących okresów w moim życiu. Jak przy większości utworów literackich, wiązało się z tym sporo utrapień. Pierwotnie zamierzał napisać dziewięć zwojów, ale później zmniejszył ich liczbę do trzech. Postanowił zawrzeć treść w formie wyimaginowanej rozmowy między postaciami historycznymi, wśród których prym wodził jeden z jego bohaterów, Scypion Emilianus, zdobywca Kartaginy, i które zebrały się w willi w dniu święta religijnego, by dyskutować o naturze polityki i o tym, jak powinny być zorganizowane społeczeństwa. Cycero przekonywał, że nikomu nie będzie przeszkadzać, jeśli niebezpieczne opinie włoży w usta legendarnych postaci z rzymskich dziejów.

Zaczął dyktować tę książkę w swojej nowej willi w Cumae, podczas wakacyjnej przerwy w obradach senatu. Zapoznał się ze wszystkimi antycznymi tekstami i pewnego dnia, który szczególnie utkwił mi w pamięci, pojechaliśmy do willi Faustusa Korneliusza Sulli, syna byłego dyktatora, który mieszkał trochę dalej na wybrzeżu. Sprzymierzeniec Cyclerona, Milon, coraz bardziej liczący się politycznie, ożenił się właśnie z bliźniaczą siostrą Sulli, Faustą, i podczas weselnego śniadania, w którym wziął udział Cycero, Sulla zapewnił

go, że może korzystać z jego biblioteki, kiedy tylko zapragnie. Był to jeden z najcenniejszych księgozbiorów w Italii. Woluminy zostały przywiezione przez dyktatora Sullę z Aten prawie trzydzieści lat wcześniej i co zdumiewające, była wśród nich większość oryginalnych manuskryptów Arystotelesa sprzed trzystu lat. Do końca życia nie zapomnę uczucia, które mi towarzyszyło, gdy rozwijałem kolejne zwoje jego *Polityki*: niewielkie cylindry zapisane filigranowymi greckimi literami, o brzegach zniszczonych nieco przez wilgoć panującą w jaskiniach Azji Mniejszej, gdzie przez wiele lat leżały ukryte. To było niczym sięgnięcie ręką w czasie i dotknięcie boskiego oblicza.

Ale odbiegam zbyt od tematu. Najważniejsze było to, że Cyncero po raz pierwszy wyłożył czarno na białym swoje polityczne credo i mogę streścić je krótko: polityka jest najszlachetniejszym ze wszystkich zajęć („nie ma tak naprawdę innej profesji, w której ludzka cnota zbliżałaby się tak bardzo do niebiańskiej funkcji bogów”); „najszlachetniejszym motywem, który skłania nas do uczestnictwa w życiu publicznym, jest determinacja, by nie być rządzonym przez podłych ludzi”; nie wolno pozwolić żadnej jednostce ani grupie jednostek, żeby skupiła w swoich rękach zbyt dużą władzę; polityka jest profesją, a nie zajęciem dla dyletantów (nie ma nic gorszego od rządów „błyskotliwych poetów”); mąż stanu powinien poświęcić życie na studiowanie „teorii polityki,

by osiąść całą wiedzę, która może być mu potrzebna w przyszłości”; władza w państwie musi być zawsze podzielona i z trzech znanych form rządzenia – monarchii, arystokracji i władzy ludu – najlepsza jest mieszanka wszystkich trzech, bo każda wzięta osobno może doprowadzić do katastrofy: królowie mogą okazać się kapryśni, arystokraci skłonni do prywaty, a „upajające się władzą, nieposkromione masy bardziej przerażające aniżeli wzburzone morze”.

Czytam często na nowo *O republice* i zawsze porusza mnie ta lektura, zwłaszcza ustęp pod koniec księgi szóstej, kiedy Scypion opisuje, jak we śnie ukazał mu się jego dziad i zabrał go do nieba, by pokazać mu znikomość Ziemi w porównaniu z Drogą Mleczną, gdzie przebywają jako gwiazdy duchy zmarłych mężów stanu. Opis ten został zainspirowany widokiem czystego nocnego nieba nad Zatoką Neapolitańską.

Rozglądałem się na wszystkie strony i widok był niezmiernie piękny. Widziałem gwiazdy, których nigdy nie zobaczymy z Ziemi, i wszystkie były większe, niż kiedykolwiek sobie wyobrażaliśmy. Rozgwieżdżone sfery były o wiele większe od Ziemi. Ta wydała mi się zaiste tak mała, że pogardzałem naszym imperium, które właściwie zajmuje tylko znikomą skrawek jej powierzchni.

„Jeśli tylko podniesiesz wysoko wzrok – mówi starzec Scypionowi – i pomyślisz o tym miejscu wiecznego spoczynku, przestanieś się przejmować plotkami pospólstwa i pokładać nadzieję, że nagrodzi cię ono za

twe wysiłki. Nie przetrwa też długo reputacja żadnego człowieka, ponieważ to, co mówią ludzie, umiera wraz z nimi i zaciera się w pamięci potomnych”.

Układanie takich zdań stanowiło dla Cyncerona główną pociechę w owych samotnych latach, gdy usunął się w cień. Perspektywa, że będzie miał jeszcze kiedykolwiek okazję wcielić swoje zasady w życie, wydawała się naprawdę odległa.

* * *

Trzy miesiące po tym, jak Cyncero zaczął pisać traktat *O republice*, latem roku siedemsetnego wedle rzymskiego kalendarza⁸, żona Pompejusza, Julia, powiła syna. Zaraz po otrzymaniu tej wiadomości podczas porannej godziny przyjęć Cyncero pośpieszył z prezentem do szczęśliwych rodziców, zdawał sobie bowiem sprawę, że wnuk Cezara może odegrać olbrzymią rolę w nadchodzących latach, i chciał być jednym z pierwszych, którzy złożą gratulacje rodzicom.

Choć słońce ledwie wzeszło, upał dawał się już we znaki. W dolinie nieco poniżej domu Pompejusza wznosił się jego niedawno otwarty amfiteatr, ze świątyniami, ogrodami i portykami. W oczy bił świeży biały marmur. Za ledwie kilka miesięcy wcześniej Cyncero uczestniczył w ceremonii jego poświęcenia – spektaklu, w którym pokazano walki z udziałem pięciuset lwów, czterystu

panter, osiemnastu słońi i pierwszego nosorożca, jakiego kiedykolwiek widziano w Rzymie. Wszystko to, a zwłaszcza rzeź słońi, wydało mu się odrażające. „Jakąż przyjemność może czerpać kulturalny człowiek z widoku słabej istoty ludzkiej rozrywanej na strzępy przez potężne zwierzę bądź też szlachetnego stworzenia przebijanego myśliwską włócznią?”, pytał, ale zachowywał oczywiście te myśli dla siebie.

Kiedy tylko weszliśmy do sieni olbrzymiego domu, stało się jasne, że wydarzyło się coś strasznego. Senatorowie i klienci Pompejusza stali w małych zatroskanych grupkach. Ktoś szepnął Cynceronowi, że nie wydano żadnego oświadczenia, ale fakt, że nie pojawił się Pompejusz, oraz wcześniejszy widok przebiegających przez wewnętrzny dziedziniec zapłakanych służek Julii kazały się spodziewać najgorszego. Nagle wewnątrz domu zaczęło się coś dziać, uchylły się zasłony i ukazał się Pompejusz ze switą niewolników. Jakby wstrząśnięty liczbą czekających na niego osób, zatrzymał się, szukając jakiejś znajomej twarzy. Jego wzrok padł na Cyncerona. Podniósł rękę i ruszył w jego stronę. Wszyscy go obserwowali. Z początku wydawał się całkowicie spokojny i przytomny, ale gdy podszedł do swojego starego sojusznika, wysiłek, jaki wkładał w to, by nad sobą panować, okazał się nagle zbyt wielki. Jego całe ciało i twarz jakby zapadły się w sobie.

– Ona nie żyje! – zawołał z głębokim szlochem.

W wielkim pomieszczeniu rozległ się głośny jęk – wyrażający, nie mam co do tego wątpliwości, autentyczne przerażenie i rozpacz, ale również niepokój, bo ci ludzie byli politykami i wiedzieli, że to coś o wiele ważniejszego niż śmierć jednej młodej kobiety. Cycero, sam we łzach, objął ramieniem Pompejusza, starając się go pocieszyć. Po kilku chwilach Pompejusz poprosił go, by poszedł obejrzyć ciało. Wiedząc, jak bardzo mój pan wzdraga się przed wszystkim, co ma związek ze śmiercią, myślałem, że będzie próbował odmówić. Ale to było niemożliwe. Nie został o to poproszony wyłącznie jako przyjaciel. Miał być reprezentującym senat oficjalnym świadkiem w sprawie o wadze państwowej. Wyszedł, trzymając Pompejusza za rękę, i kiedy wkrótce potem wrócił, wszyscy zgromadzili się wokół niego.

– Zaczęła krwawić krótko po porodzie – powiedział Cycero – i nie udało się zatamować krwotoku. Odeszła w spokoju i była dzielna, jak przystało na przedstawicielkę jej rodu.

– A dziecko?

– Nie dożyje wieczoru.

To oświadczenie wywołało kolejny jęk rozpaczony i wszyscy wyszli, by przekazać wieści innym.

– Biedna dziewczyna była bielsza od prześcieradła, w które ją zawinęli – powiedział do mnie Cycero. – A chłopiec urodził się ślepy i bezwładny. Naprawdę współczuję Cezarowi. Była jego jedynym dzieckiem.

Można by sądzić, że sprawdzają się przepowiednie Katona o czekającym nas gniewie bogów.

Wróciliśmy do domu i Cyncero napisał do Cezara list z kondolencjami. Pech chciał, że Cezar był akurat w najbardziej niedostępnym miejscu, w jakim mógł być, popłynął bowiem ponownie do Brytanii, tym razem w sile dwudziestu siedmiu tysięcy zbrojnych, wśród których znajdował się Kwintus. Dopiero po powrocie do Galii, kilka miesięcy później, odebrał pakiet listów informujących go o śmierci córki. Nie okazawszy, wedle wszystkich relacji, cienia emocji, zamknął się w swojej kwaterze, w ogóle o tym nie mówił i po trzech dniach oficjalnej żałoby podjął normalne obowiązki. Domyślam się, że sekretem jego sukcesów było to, że nie przejmował się niczyją śmiercią – przyjaciela czy wroga, swego jedyne dziecko czy nawet własną – chłodne usposobienie, które skrywał pod swoim słynnym urokiem.

Pompejusz odznaczał się krańcowo odmiennym charakterem. Cały był na wierzchu. Kochał swoje różne żony z ogromną (niektórzy powiadają nawet, że przesadną) czułością, a Julię najmocniej ze wszystkich. Na jej pogrzebie – któremu mimo protestów Katona nadano rangę państwowej uroczystości – rwał mu się głos, nie był w stanie wygłosić eulogii i ogólnie rzecz biorąc, sprawiał wrażenie kompletnie załamanego. Prochy zmarłej

umieszczono później w mauzoleum na terenie jednej z jego świątyń na Polu Marsowym.

Chyba dwa miesiące później zaprosił do siebie Cyncerona i pokazał mu list, który właśnie otrzymał od Cezara. Łącząc się z nim w bólu po stracie Julii i dziękując za kondolencje, Cezar zaproponował nowy, dwa razy mocniejszy układ matrymonialny: on miał oddać Pompejuszowi wnuczkę swojej siostry, Oktawię, a Pompejusz dać mu w zamian swoją córkę, Pompeję.

– I co o tym myślisz? – zapytał Pompejusz. – Moim zdaniem te barbarzyńskie miazmaty Brytanii uderzyły mu do głowy! Po pierwsze, moja córka jest już zaręczona z Faustusem Sullą... i co mam mu powiedzieć? „Bardzo mi przykro, Sullo, pojawił się ktoś ważniejszy”? Po drugie, Oktawia jest zamężna... i to nie z byle kim, ale z Gajuszem Marcellusem. Ciekawe, jak się będzie czuł, kiedy ukradnę mu żonę. I przecież sam Cezar też jest żonaty, z tą biedną szarą myszką Kalpurnią! Niech to szlag! Życie tych wszystkich ludzi ma być postawione na głowie, i to w czasie, gdy nie ostygło jeszcze łożo mojej słodkiej małej Julii. Wiesz, że nie miałem serca sprzątnąć nawet jej szczotek do włosów?

Cyncero ten jedyny raz uznał, że musi się wstawić za Cezarem.

– Jestem pewien, że ma na względzie wyłącznie stabilność republiki – powiedział.

Ale Pompejusz nie dał się przekonać.

– Po prostu tego nie zrobię. Jeśli ożenię się po raz piąty, sam znajdę sobie wybrankę. A co do Cezara, będzie musiał sobie poszukać innej narzeczonej.

Cycero, który uwielbiał plotki, nie mógł się oprzeć, by nie powtórzyć treści tego listu kilku przyjaciołom, każąc każdemu przysiąc, że zachowa ją dla siebie. Naturalnie każdy z nich powtórzył to kilku swoim przyjaciołom, zobowiązawszy ich do podobnej przysięgi, i wkrótce cały Rzym wiedział o propozycji Cezara. Zwłaszcza Marcellus był oburzony, że Cezar traktuje jego żonę jak swoją własność. Cezar znalazł się w niezręcznej sytuacji i winił Pompejusza o to, że ujawnił jego plany. Pompejusz nie zamierzał go przeproszać, bo on z kolei winił Cezara za nieudolne swaty. Na monolicie pojawiła się kolejna rysa.

VII



Rok później, podczas przerwy w obradach senatu, Cyncero wyjechał jak zwykle z rodziną do Cumae, by pracować nad swoją książką o polityce; ja zaś jak zwykle mu towarzyszyłem. Zbliżały się moje pięćdziesiąte urodziny.

Przez większość życia cieszyłem się dobrym zdrowiem. Ale kiedy robiąc przerwę w podróży, wjechaliśmy na chłodne wyżyny Arpinum, dostałem dreszczy, a nazajutrz rano nie mogłem prawie poruszać członkami. Starając się dołączyć do reszty, zemdlałem i trzeba było mnie zanieść do łóżka. Cyncero nie mógł mi okazać większej troski. Opóźnił wyjazd w nadziei, że mi się polepszy, ale niestety, trawiła mnie coraz silniejsza gorączka i powiedziano mi potem, że spędził długie godziny przy moim łożu. Ostatecznie musiał mnie

zostawić, wydawszy wcześniej polecenie domowym niewolnikom, by otoczyli mnie taką samą opieką, jaką otoczyliby jego. Dwa dni później napisał do mnie z Cumae, że wysyła mi greckiego lekarza, Andrykusa, a także kucharza. *Jeśli ci na mnie zależy, postaraj się wydobrzyć i dołącz do nas, kiedy w dostatecznym stopniu odzyskasz siły. Do zobaczenia.*

Andrykus dawał mi leki na przeczyszczenie i upuszczał krew. Kucharz przyrządzał wyśmienite posiłki, których nie mogłem jeść, tak źle się czułem. Cyncero stale do mnie pisał.

Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo martwię się o twoje zdrowie. Jeśli uspokoisz mnie w tej mierze, rozproszę wszystkie zaprzatające cię troski. Powinienem pisać częściej, ale nie wiem, czy czytanie nie kosztuje cię zbyt wiele wysiłku. Zaprzęgnij do dzieła swój błyskotliwy umysł, który tak wysoko cenię, i postaraj się przetrwać ze względu na nas obu.

Mniej więcej po tygodniu gorączka ustąpiła, ale było zbyt późno, bym jechał do Cumae. Cyncero napisał, żebym dołączył do niego w Formiae, kiedy będzie wracał do Rzymu.

Chcę cię tam zastać, mój drogi Tironie, w pełni zdrowia. Moje (nasze) literackie pomysły więdną z tęsknoty za tobą. Dotrzymuje mi towarzystwa Attyk, który jest w pogodnym nastroju. Chciał wysłuchać tego, co piszę, ale powiedziałem mu, że w trakcie twojej nieobecności opuściła mnie twórcza wena. Musisz przywrócić głos moim muzom. Daną ci obietnicę spełnię w wyznaczonym dniu. Dbaj o to, by się wykurować. Wkrótce się spotkamy. Do zobaczenia.

Rozproszę wszystkie zaprzatające cię troski... Daną ci obietnicę spełnię w wyznaczonym dniu... Czytałem kilkakrotnie oba listy, starając się dociec sensu tych dwóch zdań. Uznałem w końcu, że musiał mi coś obiecać, kiedy byłem w malignie, nie miałem jednak pojęcia, o co chodziło.

Zgodnie z naszymi ustaleniami przybyłem do willi w Formiae dwudziestego ósmego kwietnia po południu, w moje pięćdziesiąte urodziny. Z tego, co pamiętam, pogoda była niepomyślna, chłodna i dżdżysta, a wiejący od morza wiatr zacinał deszczem. Nadal czułem się słaby. Staralem się jak najszybciej dotrzeć do domu, by nie przemoknąć, i od wysiłku kręciło mi się w głowie. Willa wydawała się opuszczona i przyszło mi do głowy, że źle zrozumiałem otrzymane instrukcje. Chodziłem od pokoju do pokoju, nawołując domowników, aż w końcu usłyszałem dobiegający z triklinium stłumiony chłopcę śmiech. Odsunąwszy zasłonę, ujrzałem, że jadalnię wypełnia tłum ludzi, którzy starali się zachować milczenie. Byli tam Cyncero, Terencja, Tulia, Marek, młody Kwintus Cyncero, cała służba, a także (co jeszcze bardziej mnie zadziwiło) pretor Gajusz Marcellus ze swymi liktorami – ten sam szlachetny Marcellus, którego żonę Cezar chciał wydać za Pompejusza i który miał w pobliżu swoją willę. Na widok mojej zaskoczonej miny wszyscy wybuchnęli śmiechem, a potem Cyncero wziął mnie za rękę i zaprowadził na środek pokoju, podczas gdy inni

usunęli się, by zrobić nam miejsce. Poczulem, jak uginają się pode mną kolana.

– Kto pragnie dzisiaj wyzwolić tego niewolnika? – zapytał Marcellus.

– Ja – powiedział Cyncero.

– Czy jesteś jego prawowitym właścicielem?

– Jestem.

– Na jakiej podstawie ma zostać wyzwolony?

– Okazał wielką lojalność i odkąd urodził się w niewoli, służył przykładnie całej naszej rodzinie, a w szczególności mnie oraz państwu rzymskiemu. Ma prawy charakter i zasłużył na to, by być wolny.

Marcellus pokiwał głową.

– Możecie kontynuować.

Liktor dotknął urzędową różgą mojej głowy. Cyncero stanął przede mną, wziął mnie za ramiona i wyrecytował prostą formułę:

– Ten człowiek ma być wolny.

Mówiąc to, miał łzy w oczach, podobnie jak ja. Delikatnie obrócił mnie dokoła, tak że stanąłem odwrócony do niego plecami, a potem puścił, tak jak ojciec puszcza dziecko, by postawiło pierwsze kroki.

Trudno mi opisać radość z uzyskanej wolności. Najlepiej wyraził to Kwintus, kiedy napisał do mnie z Galii: *Wierz mi, drogi Tironie, nic nie mogłoby mi sprawić większej przyjemności. Wcześniej byłeś naszym niewolnikiem, teraz jesteś naszym przyjacielem.* Na pozór

niewiele się zmieniło. Nadal mieszkałem pod dachem Cyclerona i wykonywałem te same obowiązki. Ale w głębi serca byłem innym człowiekiem. Zmieniłem tunikę na togę – szatę, która była niewygodna i ciężka, ale którą nosiłem z wielką dumą. I po raz pierwszy w życiu snułem własne plany. Zacząłem pisać obszerny słownik wszystkich symboli i skrótów, których używałem w moim systemie stenotypii, wraz z instrukcjami, jak je stosować. Ułożyłem plan książki o łacińskiej gramatyce. W wolnych chwilach przeglądałem również moje pudła z notatkami i spisywałem szczególnie zabawne lub błyskotliwe powiedzonka Cyclerona, które wygłosił w ciągu tych wszystkich lat. Pomysł książki, w której zgromadzone byłyby jego sentencje i mądrości, bardzo mu się spodobał. Wygłosiwszy jakieś szczególnie trafne spostrzeżenie, przerywał teraz i mówił: „Zanotuj to, Tironie... przyda się do twojego kompendium”.

Stopniowo zacząłem sobie zdawać sprawę, że jeśli go przeżyję, napiszę jego biografię.

Zapytałem go kiedyś, dlaczego tak długo zwlekał z moim wyzwoleniem i dlaczego postanowił to zrobić właśnie w tamtym momencie.

– Wiesz chyba, że bywam często samolubny i całkowicie na tobie polegam – odparł. – Myślałem sobie: jeśli go uwolnię, co powstrzyma go przed odejściem i związaniem się z Cezarem, Krassusem czy kim tam jeszcze? Na pewno dużo mu zapłacą za to wszystko, co

o mnie wie. A potem zachorowałeś w Arpinum i uświadomiłem sobie, jak bardzo byłoby niesprawiedliwe, gdybyś umarł w niewoli. Dlatego złożyłem ci tę obietnicę, mimo że miałeś zbyt wysoką gorączkę, by zrozumieć, co mówię. Jeśli był kiedykolwiek człowiek, który zasłużył sobie na przywilej wolności, to jesteś nim właśnie ty, Tironie. Poza tym – dodał, mrużąc oko – nie mam już teraz tajemnic, które warto byłoby sprzedać.

Choć bardzo go kochałem, chciałem dożyć swoich dni pod własnym dachem. Miałem trochę oszczędności, a teraz dostawałem pensję. Marzyłem, by nabyć sobie kawałek ziemi w pobliżu Cumae, gdzie trzymałbym kozy i kury i uprawiał własną winorośl i oliwki. Bałem się jednak samotności. Pewnie mógłbym pójść na targ niewolników i kupić sobie towarzyszkę życia, ale ten pomysł budził we mnie odrazę. Wiedziałem, z kim chciałbym dzielić to marzenie o wspólnym życiu: nazywała się Agathe i była grecką niewolnicą, którą poznałem w domu Lukullusa. Zanim wraz z Cynceronem poszedłem na wygnanie, prosiłem Attyka, by wykupił ją w moim imieniu. Attyk potwierdził, że zrobił to, o co go prosiłem, i że została wyzwolona. Jednak choć starałem się dowiedzieć, co się z nią stało, i wciąż wypatrywałem jej w Rzymie, zniknęła gdzieś w gęsto zaludnionej Italii.

* * *

Nie było mi dane cieszyć się długo w spokoju moją wolnością. Rzeczywistość zadrwiła sobie z moich skromnych planów, tak jak czyni to z planami wszystkich. Jak ujął to Plaut:

*Czegokolwiek oczekuje umysł,
Przyszłość jest w rękach bogów.*

Kilka tygodni po moim wyzwoleniu, w miesiącu, który wtedy nosił miano *Quintilis*, a obecnie każą nam go nazywać *Julius*, podążając szybko Via Sacra i starając się nie potknąć o poły mojej nowej togi, zobaczyłem nagle przed sobą okazały tłum. Ludzie zastygli w śmiertelnym bezruchu – zachowywali się zupełnie inaczej niż wówczas, gdy na białej tablicy wywieszano wiadomości o kolejnych zwycięstwach Cezara. Przyszło mi natychmiast do głowy, że musiało dojść do straszliwej klęski. Przystanąłem na skraju cizby i zapytałem stojącego przede mną mężczyznę, co się stało. Poirytowany obejrzał się przez ramię.

– Krassus nie żyje – mruknął ze smutkiem.

Zostałem tam jeszcze chwilę, by dowiedzieć się więcej szczegółów, po czym ruszyłem prędko z powrotem, żeby zawiadomić Cyncerona. Pracował w swoim gabinecie. Kiedy zdyszany przekazywałem mu złe wiadomości, wstał z fotela, jakby nie godziło się ich przyjmować w pozycji siedzącej.

– Jak do tego doszło?

– Piszą, że poległ w bitwie. Na pustyni w Mezopotamii, niedaleko miasta, które nazywa się Carrhae.

– A jego armia?

– Pokonana... starta z powierzchni ziemi.

Cycero wpatrywał się we mnie przez kilka chwil, po czym krzyknął do jednego z niewolników, by przyniósł mu jego buty, a do drugiego, by przygotował lektykę. Zapytałem, dokąd się wybiera.

– Oczywiście do Pompejusza... ty też chodź.

O dominującej pozycji Pompejusza świadczył fakt, że przy każdym większym kryzysie państwa ludzie podążali do jego domu – zarówno zwyczajni obywatele, którzy tamtego dnia tłoczyli się w milczeniu na przyległych ulicach, jak i czołowi senatorowie, którzy przybywali w lektykach i byli wprowadzani przez podwładnych Pompejusza do jego wewnętrznego sanktuarium. Traf chciał, że obaj wybrani konsulowie, Kalwinus i Messala, zostali oskarżeni o przekupstwo i dlatego nie mogli objąć urzędu. Zamiast nich obecne było nieformalne kierownictwo senatu, wśród nich konsulowie Kotta, Hortensjusz i starszy Kurion, a także młodszy politycy: Ahenobarbus, Scypion Nazyka i Marek Emiliusz Lepidus. Spotkanie poprowadził Pompejusz. Nikt lepiej od niego nie znał wschodnich rubieży imperium; w końcu to on przecież zdobył znaczną ich część. Oznajmił, że otrzymał właśnie list od legata Krassusa, Gajusza Kasjusza Longinusa, któremu udało się uciec z wrogiego

terytorium i dotrzeć do Syrii; i że jeśli nikt nie zgłasza sprzeciwu, przeczyta go zgromadzonym.

Kasjusz był surowym, chłodnym w obyciu mężczyzną – „bladym i chudym”, jak opowiadał później Cezar – mało skłonny do przechwalania się lub kłamstw, z tym większym więc szacunkiem wysłuchano jego słów. Według tego, co pisał, w przeddzień inwazji król Partów, Orodes II, wysłał do Krassusa posła z wiadomością, że jako staremu człowiekowi pragnie okazać mu miłosierdzie i pozwala mu wrócić w spokoju do Rzymu. Jednak Krassus chełpliwie odparł, że udzieli mu odpowiedzi w stolicy Partów, Seleucji, na co poseł wybuchnął śmiechem i pokazał mu wewnętrzną stronę swojej dłoni.

– Prędzej tu mi włosy wyrosną, Krassusie, niż ty zobaczysz Seleucję! – powiedział.

Oddziały rzymskie w sile siedmiu legionów, plus osiem tysięcy konnicy i łuczników, przekroczyły Eufrat w Zeugmie podczas burzy z piorunami – co już było złym omenem – a w trakcie składania tradycyjnej ofiary bogom Krassus nagle upuścił na piasek wnętrzości poświęconego zwierzęcia. Chociaż próbował z tego żartować – „Tak to już bywa na starość, chłopcy, ale potrafię jeszcze krzepko dzierżyć miecz w dłoni!” – żołnierze jęknęli głośno, pamiętając o przekleństwach towarzyszących ich wymarszowi z Rzymu. *Już wtedy wyczuwali, że czeka ich zguba*, napisał Kasjusz.

Po przekroczeniu Eufratu posuwaliśmy się coraz bardziej w głąb pustyni, nie mając dostatecznych zapasów wody i jasno wytyczonego celu i trasy. Teren jest tam pozbawiony traktów, płaski, bez jednego drzewa, które mogłoby użyzyć cienia. Po przebrnięciu z pełnymi jukami pięćdziesięciu mil przez miękkiego piasek, kiedy to bez ustanku stawialiśmy czoło pustynnym burzom i setki naszych żołnierzy zmarły z gorąca i pragnienia, dotarliśmy do rzeki o nazwie Balissus. Tutaj nasi zwiadowcy po raz pierwszy spostrzegli na przeciwległym brzegu siły przeciwnika. Na rozkaz Marka Krassusa przekroczyliśmy w południe rzekę i ruszyliśmy w pościg. Przeciwnik jednak zdążył całkowicie zniknąć. Przez kilka godzin maszerowaliśmy dalej, aż znaleźliśmy się pośrodku pustkowia. Nagle usłyszeliśmy wokół siebie bicie kotłów. I zaraz potem jakby spod ziemi wyłoniły się zewsząd hordy konnych łuczników. Za nimi widać było jedwabne sztandary dowódcy Partów, Sillacesa.

Wbrew radom bardziej doświadczonych oficerów Marek Krassus rozkazał wojsku ustawić się w jednym wielkim kwadracie po dwanaście kohort z każdego boku. Następnie wysłano do przodu naszych łuczników, by nawiązali bój z wrogiem. Niestety wkrótce musieli się wycofać w obliczu przeważających sił Partów i ich błyskawicznego działania. Ich strzały siały zniszczenie w naszych gęsto ustawionych szeregach. Śmierć nie była też szybka ani łatwa. Nasi ludzie wili się w konwulsjach bólu; kiedy próbowali wyciągać strzały z ran, zadziory grotów rozrywały im żyły i mięśnie. Wielu zginęło w ten sposób i nawet ci, którzy ocalili, nie byli w stanie walczyć dalej. Ich ręce były przygwożdżone do tarcz, a stopy przybite do ziemi, tak że nie mogli ani uciec, ani się bronić. Wszelkie nadzieje, że wróg przestanie zasypywać nas tym morderczym gradem, pierzchły na widok karawany wielbłądów, które przybyły na pole bitwy z nowym ładunkiem strzał.

Zdając sobie sprawę, że wojsko zostanie wkrótce wybite do nogi, Publiusz Krassus poprosił ojca, by ten pozwolił mu wziąć konnicę, a także pewną liczbę piechoty i łuczników i przebić się przez okrążenie. Marek Krassus zaaprobował ten plan. Oddział uderzeniowy w sile sześciu tysięcy ludzi ruszył naprzód i Partowie szybko ustąpili. Jednak chociaż Publiuszowi wyraźnie zakazano ścigać wroga, nie zastosował się do tych instrukcji. Jego ludzie zniknęli z oczu głównym siłom armii,

a tymczasem za nimi pojawili się Partowie. Nagle okrążony, Publiusz wycofał się ze swoimi ludźmi na wąską grań, gdzie stanowili łatwy cel ataków. Kolejny raz łucznicy wroga zaczęli siać śmierć i zniszczenie. Widząc, że sytuacja jest beznadziejna, i bojąc się, że trafi do niewoli, Publiusz pożegnał się ze swoimi żołnierzami, mówiąc, by sami zadbali o swoje bezpieczeństwo. Następnie, ponieważ nie mógł użyć własnej ręki, która była przebita strzałą, odwrócił się bokiem do swojego tarczownika i kazał mu przeszyć się mieczem. Jego oficerowie poszli w większości za przykładem dowódcy i sami zadali sobie śmierć.

Zająwszy rzymskie pozycje, Partowie ucięli Publiuszowi głowę i zatknęli ją na włócznie, po czym wrócili pod główne rzymskie pozycje i jeździli z nią wzdłuż naszych linii, nawołując Marka Krassusa, by wyszedł i zobaczył swojego syna. Widząc, co się stało, Krassus zwrócił się do naszych ludzi w te słowa: „Rzymianie, rozpacz, jaką odczuwam, to moja prywatna sprawa. Ale na was, którzy jesteście zdrowi i cali, spoczywa odpowiedzialność za wielkość i chwałę Rzymu. A teraz, jeśli współczujecie temu, który utracił najlepszego z synów, okażcie to, nacierając z furią na wroga”.

Niestety, żołnierze nie wzięli sobie tego do serca. Wprost przeciwnie, ten widok bardziej niż inne straszne rzeczy, które się naonczas wydarzyły, złamał w nich ducha i sparaliżował wolę walki. Sypiące się z nieba strzały znów zbierały swoje krwawe żniwo i z pewnością wybito by nas do nogi, gdyby nie zapadła noc i Partowie się nie wycofali, wykrzykując, że w nocy Krassus może opłakiwać syna, a rano wrócą i rozprawią się z nami do końca.

Zyskaliśmy w ten sposób pewną szansę. Ponieważ zdjęty rozpaczą i żalem Marek Krassus nie był już w stanie wydawać rozkazów, przejąłem dowództwo naszych oddziałów i w ciszy, pod osłoną ciemności, ci z nas, co mogli chodzić, dotarli forsownym marszem do miasta Carrhae, zostawiając, wśród żalosnych płaczów i błagań, około czterech tysięcy rannych, którzy nazajutrz zostali dobicci lub wzięci do niewoli przez Partów.

W Carrhae rozdzieliliśmy nasze siły. Ja poprowadziłem pięciuset ludzi w kierunku Syrii, podczas gdy Marek Krassus wyruszył z trzonem naszych ocalałych oddziałów w stronę gór Armenii. Z raportów wywiadu wynika, że w pobliżu twierdzy Sinnaca natknął się na armię dowodzoną przez wasala króla Partów, który zaproponował

zawieszenie broni. Buntujący się legionieści zmusili Marka Krassusa do podjęcia negocjacji, chociaż słusznie obawiał się, że może to być pułapka. Udając się do kwatery wroga, zwrócił się do nich w te słowa: „Wzywam wszystkich obecnych tutaj rzymskich oficerów na świadków, że zmuszono mnie, bym postąpił w ten sposób. Widzieliście, w jak haniebnym i brutalnym sposobie mnie potraktowano. Ale jeśli uda wam się uciec i dotrzeć bezpiecznie do domu, powiedzcie wszystkim, że Krassus zginął, ponieważ został oszukany przez wroga, a nie dlatego, że przekazali go Partom jego rodacy”.

To ostatnie jego słowa, jakie znamy. Został zabity razem z dowódcami swoich legionów. Poinformowano mnie, że jego uciętą głowę Sillaces dostarczył osobiście królowi Partów w trakcie przedstawienia „Bachantek” i że użyto jej jako rekwizytu na scenie. Następnie król kazał wlać w usta Krassusa roztopione złoto, mówiąc: „Nażryj się tym metalem, którego tak pożądałeś za życia”.

Czekam na rozkazy Senatu.

Kiedy Pompejusz skończył czytać, zapadła cisza.

– Mamy jakieś pojęcie, ilu ludzi straciliśmy? – zapytał wreszcie Cyncero.

– Około trzydziestu tysięcy.

Wśród zgromadzonych senatorów dał się słyszeć jęk rozpaczki. Ktoś powiedział, że jeśli to prawda, jest to największa klęska, odkąd przed stu pięćdziesięciu laty Hannibal pokonał armię senatu pod Kannami.

– Treść tego dokumentu – powiedział Pompejusz, podnosząc raport Kasjusza – nie może wyjść poza ściany tego pokoju.

– Zgadza się – poparł go Cyncero. – Prywatnie można podziwiać szczerą Kasjusza, ale dla opinii publicznej trzeba przygotować mniej zatrważającą wersję, kładąc nacisk na odwagę naszych legionistów i ich dowódców.

– Ci ludzie zginęli bohaterską śmiercią – oznajmił Scypion, który był teściem Publiusza. – To właśnie musimy powiedzieć wszystkim. I to z pewnością zamierzam powiedzieć mojej córce. Biedna dziewczyna została wdową w wieku dziewiętnastu lat.

– Przekaż jej, proszę, moje kondolencje – rzekł Pompejusz.

– I co teraz będzie? – odezwał się Hortensjusz. Były konsul miał już ponad sześćdziesiąt lat i powoli wycofywał się z działalności publicznej, ale wciąż słuchano go z uwagą. – Partowie najprawdopodobniej na tym nie skończą. Zdając sobie sprawę z naszej słabości, zaatakują w odwecie Syrię. Nie wiem, czy uda nam się sformować jeden legion do obrony, i nie mamy tam namiestnika.

– Proponuję powołać Kasjusza na pełniącego obowiązki namiestnika – powiedział Pompejusz. – To twardy, bezwzględny człowiek... właśnie taki, jakiego wymaga sytuacja. Co do armii... musi sformować i wyszkolić nową tam na miejscu.

– Wszyscy nasi najlepsi żołnierze walczą w Galii – odezwał się Ahenobarbus, który nigdy nie tracił okazji, by osłabić pozycję Cezara. – Cezar ma dziesięć legionów... to potężna siła. Dlaczego nie rozkażemy mu, by wysłał dwa do Syrii, żeby uzupełnić braki?

Na wzmiankę o Cezarze w pokoju dało się odczuć wrogie nastawienie.

– To on powołał pod broń te legiony – zauważył Pompejusz. – Zgadzam się, że bardziej przydałyby się nam na wschodzie, lecz on uważa, że należą do niego.

– Więc trzeba mu przypomnieć, że do niego nie należą. Mają służyć republice, a nie jemu.

Cycero stwierdził później, że dopiero spoglądając na senatorów, którzy pokiwali energicznie głowami, zdał sobie sprawę, co tak naprawdę wynika ze śmierci Krassusa.

– Bo czego, drogi Tironie, nauczyliśmy się, pisząc traktat *O republice*? Kiedy władzę w państwie podzieli się między trzech, zachowana jest równowaga. Kiedy podzieli się ją między dwóch, wcześniej czy później jedna strona postara się zdominować drugą. Takie jest prawo natury. Bez względu na to, jak Krassus był nikczemny, pomagał zachować równowagę między Pompejuszem i Cezarem. Kto przejmie jego rolę teraz, gdy go zabrakło?

* * *

Tak oto dryfowaliśmy ku katastrofie. Cycero był dość przenikliwy, by chwilami zdawać sobie z tego sprawę. „Czy można liczyć na to, że konstytucja nakreślona przed kilkoma stuleciami, by zastąpić monarchię, oparta na obywatelskiej milicji, wystarczy, żeby rządzić imperium, które przekroczyło swoimi rozmiarami najambitniejsze marzenia jej twórców? Czy też stała obecność armii pod

bronią i niewyobrażalne bogactwa nieuchronnie zniszczą naszą demokrację?”.

Kiedy indziej odsuwał od siebie te katastroficzne wizje i przekonywał, że republika doznała już w przeszłości wielu klęsk – inwazji, rewolucji, wojen domowych – i zawsze udawało jej się przetrwać. Dlaczego tym razem miałyby być inaczej?

Tym razem jednak miało być inaczej.

Wybory w tamtym roku zdominowali dwaj ludzie. Klodiusz chciał zostać pretorem. Milon ubiegał się o konsulat. Korupcja i akty przemocy przekraczały wszystko, co miasto widziało do tej pory, i znowu trzeba było wielokrotnie odraczać dzień wyborów. Minął już ponad rok, odkąd republika wybrała prawowitych konsulów. Obradom senatu przewodniczyli zmieniający się co pięć dni interrexowie, ludzie często zupełnie mierni; różgi konsulów złożono symbolicznie w świątyni Libitiny, bogini zmarłych. *Wracaj szybko do Rzymu* – pisał Cyncero do Attyka, kiedy ten udał się w kolejną podróż w interesach. – *Wracaj i przyjrzyj się pustym łupinom prawdziwej starej rzymskiej republiki, jaką niegdyś znaliśmy.*

O tym, jak fatalna stawała się sytuacja, mógł świadczyć fakt, że Cyncero pokładał wszystkie swoje nadzieje w Milonie, choć ten był przecież jego absolutnym przeciwieństwem: nieokrzesany i brutalny, pozbawiony daru elokwencji i właściwie wszelkich innych

politycznych talentów z wyjątkiem umiejętności urządzania igrzysk gladiatorских, które uwielbiali wyborcy i których koszty całkowicie go zrujnowały. Przestał być przydatny Pompeuszowi, który nie chciał już z nim mieć więcej do czynienia i popierał jego przeciwników, Scypiona Nazykę oraz Plaucjusza Hypseusza. Ale Cycero wciąż go potrzebował. *Skupiłem wszystkie moje wysiłki, mój czas, zaangażowanie, troskę i myśli, jednym słowem cały swój umysł, by Milon zdobył stanowisko konsula.* Widział w nim jedyne zabezpieczenie na wypadek, gdyby stało się to, czego obawiał się najbardziej: gdyby Klodiusz objął konsulat.

Podczas tej kampanii Cycero często prosił mnie o oddanie drobnych przysług Milonowi. Przejrzałem na przykład nasze zapiski i sporządziłem listę naszych dawnych popleczników, by mógł ubiegać się o ich głosy. Przygotowywałem również jego spotkania z klientami Cicerona w siedzibach różnych trybusów. Nosilem także worki z pieniędzmi, które Cycero otrzymywał od bogatych ofiarodawców.

Pewnego dnia w nowym roku Cycero poprosił, abym wyświadczył mu uprzejmość i spędził jakiś czas z Milonem, obserwując bezpośrednio jego kampanię.

– Mówiąc prosto z mostu, obawiam się, że przegra. Znasz się na kampaniach wyborczych równie dobrze jak ja. Obserwuj go, kiedy spotyka się z wyborcami. Zobacz, czy da się coś zrobić, by zwiększyć jego szanse. Nie muszę

ci mówić, że jego przegrana i wygrana Klodiusza będzie dla mnie katastrofą.

Nie mogę powiedzieć, by uradowało mnie owo zlecenie, ale uczyniłem to, o co mnie poprosił, i osiemnastego stycznia stawilem się w domu Milona, wznoszącym się na najbardziej stromym zboczu Palatynu, za świątynią Saturna. Na zewnątrz zebrał się apatyczny tłum, lecz po przyszłym konsulu nie było ani śladu. Uświadomiłem sobie wtedy, że z kandydaturą Milona mogą być kłopoty. Jeśli ktoś staje do wyborów i czuje, że ma szansę je wygrać, nie powinien ani na chwilę ustawać w wysiłkach. Tymczasem Milon pojawił się dopiero późnym rankiem i od razu wziął mnie na stronę, by poskarżyć się na Pompejusza, który, jak powiedział, właśnie tego ranka przyjął Klodiusza w swoim wiejskim domu na Wzgórzach Albańskich.

– Niewdzięczność tego człowieka jest niebywała! Pamiętasz czasy, kiedy tak bał się Klodiusza i jego bandy, że nie ośmielił się nawet wystawić nosa z domu, dopóki nie wezwałem swoich gladiatorów, żeby zaprowadzili porządek na ulicach? A teraz przyjmuje tego węża pod własnym dachem, podczas gdy mnie nie raczy zaszczycić nawet słowem powitania!

Powiedziałem, że mu współczuję – wszyscy wiedzieliśmy, jaki jest Pompejusz: wielki człowiek, ale skupiony wyłącznie na sobie – następnie zaś próbowałem porozmawiać na temat jego kampanii. Zbliżał się dzień

wyborów. Gdzie Milon zamierzał spędzić te nadzwyczaj ważne ostatnie godziny?

– Dzisiaj jadę do Lanuvium, rodzinnego miasta mego przybranego dziada – oświadczył.

Nie wierzyłem własnym uszom.

– Opuszczasz Rzym na parę dni przed głosowaniem?

– To tylko dwadzieścia mil. Ma tam zostać wyświęcony nowy kapłan świątyni Junony Zbawczyni. To lokalna bogini, co oznacza, że w ceremonii weźmie udział mnóstwo ludzi... zobaczysz, będą tam setki wyborców.

– Zważywszy jednak, że to twoje rodzinne miasto, tamtejszych wyborców możesz chyba być pewien. Czy nie wykorzystałbyś lepiej czasu, starając się o głosy tych, którzy nie są jeszcze zdecydowani?

Ale Milon nie chciał o tym dłużej dyskutować. Jego odmowa była tak stanowcza, że patrząc wstecz, zastanawiam się, czy w gruncie rzeczy nie stracił już wówczas nadziei, że odniesie zwycięstwo w głosowaniu, i nie postanowił zamiast tego poszukać kłopotów. Lanuvium leży przecież także na Wzgórzach Albańskich i prowadząca tam droga biegnie tuż obok domu Pompejusza. Musiał liczyć na to, że spotka gdzieś po drodze Klodiusza. Dzięki temu miałyby okazję do wszczęcia burdy, której tak pragnął.

Zanim wyruszyliśmy po południu, zdążył sformować cały konwój z bagażami i służącymi, który jak zwykle osłaniała jego mała prywatna armia uzbrojonych

w miecze i oszczepy niewolników i gladiatorów. On sam, razem ze swoją żoną, Faustą, jechał w powozie na czele tego złowrogiego orszaku. Chciał, żebym się do nich dosiadł, lecz ja wolałem znosić niewygody konnej jazdy, niż dzielić powóz z tą słynącą z porywczosci parą. Potoczyliśmy się z turkotem po Via Appia, zmuszając arogancko inne pojazdy, by ustępowały nam z drogi – co również, jak sądzę, nie było najlepszą taktyką wyborczą – i po jakichś dwóch godzinach oczywiście spotkaliśmy na przedmieściach Bovillae podążającego z przeciwka, w stronę Rzymu, Klodiusza.

Jechał konno z mniej więcej trzydziestoosobową świtą – nie tak dobrze uzbrojoną jak ludzie Milona i zdecydowanie nie tak liczną. Ja znajdowałem się w środku naszej kolumny. Mijając mnie, spojrział mi w oczy. Znał mnie całkiem dobrze jako sekretarza Cyncerona. Jego spojrzenie z pewnością nie było przyjazne.

Reszta jego orszaku podążyła za nim. Odwróciłem wzrok. Nie chciałem żadnych kłopotów. Chwilę później z tyłu dobiegł mnie jednak krzyk i szcęk stali uderzającej o stal. Obejrzawszy się, zobaczyłem, że doszło do starcia między naszymi gladiatorami, którzy zamykali tyły, a kilkoma ludźmi Klodiusza. Sam Klodiusz, który nieco się już oddalił, spiął konia, odwrócił się i w tym samym momencie Birria, gladiator, który pełnił czasami funkcję ochroniarza Cyncerona, cisnął w niego oszczepem. Trafił

go nie w pierś, ale w bok, gdy Klodiusz właśnie się obracał, lecz siła uderzenia i tak o mało nie zrzuciła go z siodła, a grot oszczepu wbił się głęboko w jego ciało. Przyjrzał mu się ze zdumieniem, krzyknął i złapał oburącz drzewce. Biała toga poczerwieniała od krwi.

Jego ludzie spięli konie i otoczyli go ciasnym kręgiem. Nasz konwój się zatrzymał. Zauważyłem, że dziwnym zrządzeniem losu jesteśmy blisko tej samej tawerny, przy której owej nocy, gdy Cycero uciekał z Rzymu, zatrzymaliśmy się, by odebrać konie. Milon, dobywając miecza, wyskoczył z powozu i pobiegł poboczem, żeby zobaczyć, co się dzieje. Nasi ludzie zsiadali już z koni. Towarzysze Klodiusza wyciągnęli mu oszczep spomiędzy żeber i ruszyli z rannym do tawerny. Był na tyle przytomny, by iść sam, tylko przez nich podtrzymywany. Tymczasem w kilku miejscach na drodze i przylegającym do niej polu walczyły grupki mężczyzn, wywijając wściekle bronią, niektórzy konno, inni pieszo – w takim ścisku, że z początku nie mogłem odróżnić swoich od obcych. Stopniowo jednak docierało do mnie, że nasi wygrywają, mieliśmy bowiem trzykrotną przewagę liczebną. Zobaczyłem, że paru ludzi Klodiusza, zwątpiwszy w zwycięstwo, na znak poddania podniosło ręce albo padło na kolana. Inni po prostu porzucili broń, odwrócili się i zaczęli uciekać. Nikomu nie chciało się ich ścigać.

Kiedy walka dobiegła końca, Milon podparł się pod boki i przyglądając się poboju, dał znak Birrii i kilku innym, by przynieśli Klodiusza z tawerny.

Zsiadłem z konia. Nie miałem pojęcia, co się teraz wydarzy. Podeszedłem do Milona. W tym samym momencie z tawerny dobiegł głośny krzyk i czterech gladiatorzy wynieśli stamtąd Klodiusza, trzymając go za ręce i nogi. Milon musiał teraz zdecydować, co mu się bardziej opłaca: darować Klodiuszowi życie i ponieść konsekwencje czy zabić go i mieć to już za sobą? Położyli go na drodze u jego stóp. Milon wziął oszczep od stojącego przy nim gladiatora, sprawdził grot palcem, po czym oparł go na piersi Klodiusza, złapał mocniej drzewce i pchnął z całej siły. Z ust Klodiusza trysnęła fontanna krwi. A potem wszyscy po kolei masakrowali jego zwłoki, ale ja nie mogłem już na to patrzeć.

* * *

Normalnie marny ze mnie jeździec, ale pogalopowałem z powrotem do Rzymu z szybkością, której mógłby mi pozazdrościć kawalerzysta. Zmusiłem wyczerpanego wierzchowca, by wspiął się na Palatyn, i uświadomiłem sobie, że po raz drugi w ciągu tego półrocza przynoszę Cynceronowi wiadomość, że jeden z jego wrogów – tym razem największy z nich – nie żyje.

Cycero nie okazał wcale radości. Oceniał ten fakt na zimno.

– Gdzie jest teraz Milon? – zapytał, bębniąc palcami po stole.

– Sądzę, że pojechał na ceremonię w Lanuvium, zgodnie z tym, co planował.

– A zwłoki Klodiusza?

– Kiedy widziałem je po raz ostatni, wciąż leżały przy drodze.

– Milon nie starał się ich ukryć?

– Nie, stwierdził, że to nie ma sensu... było zbyt wielu świadków.

– Chyba miał rację... to bardzo uczęszczane miejsce. Czy widziało cię dużo ludzi?

– Nie sądzę. Rozpoznał mnie Klodiusz, ale nie inni.

Cycero cierpko się uśmiechnął.

– Przynajmniej nie musimy się już obawiać Klodiusza – powiedział. Przez chwilę się zastanawiał, po czym pokiwał głową. – To dobrze... dobrze, że nikt cię nie widział. Moim zdaniem będzie lepiej, jeśli uzgodnimy, że byłeś tu ze mną przez całe popołudnie.

– Dlaczego?

– Nie powinienem być w to zamieszany, nawet pośrednio.

– Przewidujesz, że ta sprawa przysporzy ci kłopotów?

– O, jestem tego całkowicie pewien. Pytanie tylko: jak dużych?

Czekaliśmy, aż wiadomość o tym, co się stało, dotrze do Rzymu. W zapadającym zmierzchu trudno mi było wymazać z pamięci widok Klodiusza umierającego niczym zarzynana świnia. Byłem już wcześniej świadkiem cudzej śmierci, ale po raz pierwszy zobaczyłem, jak zabijają człowieka tuż na moich oczach.

Mniej więcej na godzinę przed zmrokiem rozległ się gdzieś w pobliżu przeszywający kobiecy krzyk. Rozległ się – i nie ustawał: przerażający, nieziemski lament.

Cycero podszedł do drzwi tarasu i przez chwilę nasłuchiwał.

– Jeśli się nie mylę, czcigodna Fulwia dowiedziała się właśnie, że została wdową – powiedział ze spokojem.

Wysłał służącego na wzgórze, żeby zobaczył, co się dzieje. Po powrocie mężczyzna poinformował, że ciało Klodiusza przybyło do Rzymu w lektyce należącej do senatora Sekstusa Tediusza, który znalazł je przy Via Appia. Trupa przetransportowano do domu Klodiusza i przekazano Fulwii, która w swojej furii i gniewie rozebrała go do naga, zostawiając tylko sandały na nogach, oparła o ścianę i siedziała teraz przy nim na ulicy, przy świetle płonących pochodni, krzycząc, że wszyscy powinni przyjść i zobaczyć, co zrobiono jej mężowi.

– Będzie podburzała motłoch – powiedział Cycero i kazał podwoić na noc strażę w domu.

Nazajutrz rano Cycero i inni czołowi senatorowie woleli nie wychodzić z domu, uznając, że grozi im zbyt

wielkie niebezpieczeństwo. Patrzyliśmy z tarasu, jak prowadzony przez Fulwię olbrzymi tłum eskortuje na Forum leżące na marach ciało i wnosi je na rostra, a potem słyszeliśmy, jak przybocznicy Klodiusza doprowadzają plebs do stanu wrzenia. Po wygłoszeniu gorzkich mów pogrzebowych żałobnicy włamali się do budynku senatu, wnieśli tam ciało Klodiusza, a potem pobiegli przez Forum na Argiletum i zaczęli wyciągać z księgarń ławy, stoły i wypełnione księgami skrzynie. Z przerażeniem zdaliśmy sobie sprawę, że wznoszą stos pogrzebowy.

Koło południa przez umieszczone wysoko na sali posiedzeń senatu małe okienka zaczął się wydobywać dym. Pomarańczowe płomienie i strzępy płonących ksiąg wirowały na tle nieba, a ze środka budynku dochodził nieprzerwany i przerażający huk, jakby otworzyły się wnętrza ziemi. Godzinę później dach załamał się od jednego do drugiego końca: tysiące dachówek i płonące belki zniknęły nam bezgłośnie z oczu; nastąpiła dziwna chwila ciszy, a potem dotarł do nas, niczym podmuch gorącego wiatru, potężny łoskot.

Tumany dymu, kurzu i popiołów przez kilka dni unosiły się nad centrum Rzymu, aż wreszcie zmył je deszcz; i w ten oto sposób doczesne szczątki Publiusza Klodiusza Pulchera oraz starożytny budynek zgromadzeń, którym pogardzał przez całe swoje życie, zniknęły razem z powierzchni ziemi.

VIII



Spalenie budynku senatu mocno wstrząsnęło Cynceronem. Następnego dnia poszedł na dół, z silną ochroną, i dzierżąc w rękę gruby kij, chodził po pogorzeliisku. Poczerniałe cegły wciąż były ciepłe. Wiatr wpadał ze świstem przez ziejące w ścianach dziury i od czasu do czasu jakieś szczątki dachu spadały z głuchym łoskotem na zwały popiołu. Ta świątynia stała tutaj od sześciuset lat – była świadkiem najwspanialszych chwil w dziejach Rzymu i w jego własnym życiu – a teraz zniknęła w niespełna jedno popołudnie.

Wszyscy, łącznie z Cynceronem, byli przekonani, że Milon uda się na dobrowolne wygnanie, a w każdym razie będzie się trzymał z daleka od Rzymu. Nie doceniali jednak tupetu tego człowieka. Nie zamierzając wcale się ukrywać, tego samego popołudnia pojawił się w mieście

na czele jeszcze większego oddziału gladiatorów i zabarykadował się w swoim domu. Pograżeni w żałobie stronnicy Klodiusza natychmiast zaczęli go oblegać, ale z łatwością zostali przepłoszeni strzałami. Udali się zatem na poszukiwanie mniej warownej twierdzy, na której mogliby wyładować swój gniew, i znaleźli takową w postaci domu interrexa, Marka Emiliusza Lepidusa.

Choć miał dopiero trzydzieści sześć lat i nie pełnił dotąd nawet funkcji pretora, Lepidus należał do Kolegium Kapłańskiego i z braku wybranych w głosowaniu konsulów to wystarczyło, by objął tymczasowo najwyższy urząd. Szkody, jakie wyrządzono w jego domu, były niewielkie – połamano weselne łóżce jego żony i zniszczono jej krosna – ale w senacie napaść została przyjęta z oburzeniem i paniką.

Lepidus, bardzo czuły na punkcie należnego mu szacunku, wykorzystał ten incydent, jak tylko się dało; w gruncie rzeczy od tego momentu tak naprawdę zaczęła się jego kariera. (Cycero lubił powtarzać, że Lepidus jest najszcześniejszym znanym mu politykiem, bo za każdym razem, kiedy coś zepsuł, obsypywano go zaszczytami – „Jest na swój sposób geniuszem miernoty”). Młody interrex zwołał posiedzenie senatu za murami miasta, w nowym teatrze Pompejusza na Polu Marsowym – duża sala w obrębie kompleksu musiała z tego powodu zostać specjalnie poświęcona – i zaprosił na nie Pompejusza.

Działo się to trzy dni po spaleniu budynku senatu.

Pompejusz skorzystał z zaproszenia, udając się tam ze swojego pałacu w otoczeniu dwustu legionistów w pełnym bojowym rynsztunku – przy czym ta demonstracja siły była całkowicie legalna, ponieważ był namiestnikiem Hiszpanii. Mimo to od czasów Sulli nie widziano czegoś podobnego. Zostawił ich w portyku teatru, a sam wszedł do środka i przysłuchiwał się skromnie, gdy jego stronnicy domagali się, by mianowano go na sześć miesięcy dyktatorem, co umożliwiłoby podjęcie kroków niezbędnych do zaprowadzenia porządku: powołania pod broń rezerwistów w Italii, zaprowadzenia w Rzymie godziny policyjnej, zawieszenia zbliżających się wyborów i wymierzenia sprawiedliwości zabójcom Klodiusza.

Cycero od razu wyczuł zagrożenie i wstał, by zabrać głos.

– Nikt nie darzy Pompejusza większym szacunkiem ode mnie – zaczął – ale starajmy się nie wyręczać naszych wrogów. Jak można dowodzić, że w celu zachowania naszych wolności musimy zawiesić nasze wolności; że w celu zabezpieczenia wyborów musimy je odwołać; że broniąc się przed dyktaturą, musimy powołać dyktatora? Jaka w tym logika? Mamy wyznaczoną datę wyborów. Mamy zgłoszonych kandydatów, którzy zakończyli ubieganie się o głosy. Żeby pokazać, iż mamy zaufanie do naszych instytucji, najlepiej jest pozwolić im normalnie funkcjonować i wybrać naszych urzędników, tak jak

nauczyli nas to robić nasi przodkowie w dawnych czasach.

Pompejusz pokiwał głową na znak, że sam nie mógłby tego wyłożyć lepiej, i pod koniec sesji urządził cały spektakl, gratulując Cycleronowi, że tak bezkompromisowo stanął na straży konstytucji. Ale Cycero nie dał się nabrać. Widział dokładnie, co planuje Pompejusz.

Tej nocy przybył do domu Cyclerona Milon, żeby odbyć naradę wojenną. Brał w niej udział także Celiusz Rufus, obecnie trybun, długoletni stronnik i przyjaciel Milona. Z doliny dochodziły odgłosy przepychanek, szczekanie psów i co jakiś czas krzyki i płacze. Przez Forum przebiegła grupa mężczyzn z płonącymi pochodniami. Jednak większość obywateli zbyt się bała, by wychodzić na ulice, i siedziała w swoich domach za zaryglowanymi drzwiami. Milon najwyraźniej uznał, że zwycięstwo wyborcze ma w kieszeni. Pozbył się w końcu Klodiusza, za co większość przyzwoitych ludzi była mu wdzięczna, a spalenie senatu i przemoc na ulicach przeraziły większość wyborców.

– Zgadzam się, Milonie, że jeśli wybory odbyłyby się jutro, prawdopodobnie byś je wygrał – oświadczył Cycero.

– Ale się nie odbędą. Zadbaj o to Pompejusz.

– Jak może to zrobić?

– Wykorzysta kampanię, by doprowadzić do zbiorowej hysterii, i wtedy senat oraz lud będą musiały się do niego

zwrócić, żeby odwołał wybory.

– Pompejusz blefuje – powiedział Rufus. – Nie ma takiej władzy.

– Wprost przeciwnie: ma taką władzę i o tym wie. Musi tylko poczekać, aż sytuacja dojrzeje.

Zarówno Milon, jak Rufus odrzucili obawy Cyncerona, uznając, że wynikają ze starczej bojaźliwości, i następnego dnia ze świeżą energią kontynuowali kampanię wyborczą. Ale Cyncero miał rację: atmosfera w Rzymie zrobiła się zbyt nerwowa, by organizować wybory, i Milon wpadł prosto w zastawioną przez Pompejusza pułapkę. Pewnego ranka, wkrótce po ich spotkaniu, Cyncero otrzymał pilne wezwanie do Pompejusza. Okazało się, że dom wielkiego człowieka otaczają żołnierze, a sam Pompejusz czeka na niego w swoim położonym wysoko ogrodzie, którego pilnuje podwójna obstawa. W portyku siedział razem z nim niejaki Licyniusz, właściciel jadłodajni nieopodal Circus Maximus. Pompejusz kazał Licyniuszowi, by powtórzył swoją historię, i ten skwapliwie opowiedział, jak to podsłuchał grupkę gladiatorów Milona, którzy snuli plany zamordowania Pompejusza, a gdy zorientowali się, że on ich słucha, próbowali go uciszyć, dźgając nożem; na dowód tego pokazał Cynceronowi niewielką ranę tuż pod żebrami.

Oczywiście, jak powiedział mi później Cyncero, cała ta historia była absurdalna. „Na początek, czy ktoś kiedyś

słyszał o tak niezdarnych gladiatorach? Jeśli taki człowiek chce cię uciszyć, jesteś uciszony”. Ale to nie miało znaczenia. Spisek z jadłodajni, jak o nim później mówiono, złączył w jedno wszystkie plotki krążące o Milonie – że zmienił swój dom w arsenał pełen mieczy, tarcz i oszczepów; że poukrywał w całym mieście, by je podpalić, składy drewna na opał; że przewiózł Tybrem broń do swojej willi w Otriculum; i że zabójcy, którzy zamordowali Klodiusza, będą bezkarnie mordować jego przeciwników w wyborach...

Podczas następnej sesji senatu nie kto inny jak Marek Bibulus, niegdysiejszy konsularny kolega Cezara i jego zawzięty wróg, wstał z ławy, by zaproponować w tych nadzwyczajnych okolicznościach powierzenie Pompejuszowi funkcji jedyne konsula. Już to samo było znamienne, nikt jednak nie przewidział reakcji Katona. Przez ławy przeszedł szmer, kiedy wstał z miejsca.

– Sam nie zgłosiłbym takiego wniosku – oświadczył – ale skoro już został wysunięty, proponuję, byśmy go zaakceptowali, widząc w nim sensowny kompromis. Jakakolwiek władza jest lepsza od braku władzy; rządy jednego konsula są lepsze od dyktatury, a Pompejusz bardziej niż ktokolwiek inny zdolny jest mądrze sprawować władzę.

Wydawało się niemal nieprawdopodobne, że coś takiego słyszymy z ust Katona – użył słowa „kompromis”

chyba po raz pierwszy w swoim życiu – i nikt nie wydawał się bardziej zdumiony od samego Pompejusza. Opowiadano, że zaprosił później Katona do swojego domu, chcąc mu osobiście podziękować i poprosić, by w przyszłości był jego prywatnym doradcą we wszelkiego rodzaju sprawach państwowych. „Nie musisz mi dziękować – odparł Katon – bo uczyniłem tylko to, co moim zdaniem jest w interesie republiki. Jeśli zechcesz porozmawiać ze mną na osobności, z całą pewnością będę do twojej dyspozycji. Ale nie powiem ci prywatnie niczego, czego nie mógłbym powiedzieć gdzie indziej, i nigdy nie będę się wstrzymywał z publicznym wygłaszaniem swoich opinii, by cię zadowolić”.

Cycero obserwował to nowe porozumienie z głębokim niepokojem.

– Jak myślisz, dlaczego tacy ludzie jak Katon i Bibulus łączą nagle swoje losy z Pompejuszem? Wyobrażasz sobie, że wierzą w te wszystkie bzdury o planach zamachu na jego życie? Sądzisz, że zmienili nagle zdanie na jego temat? Absolutnie nie. Dają mu wyłączną władzę, bo widzą w nim jedyne go człowieka, który jest w stanie powściągnąć ambicje Cezara. Jestem pewien, że Pompejusz zdaje sobie z tego sprawę i uważa, że zdoła ich kontrolować. I tu się myli. Nie zapominaj, że go znam. Jego wadą jest próżność. Będą mu pochlebiać i obsypywać go stanowiskami i honorami, a on w ogóle nie dostrzeże, że to robią, aż któregoś dnia będzie już za

późno i dojdzie do jego konfrontacji z Cezarem. I wtedy będziemy mieli wojnę.

Prosto z posiedzenia senatu Cyncero udał się do Milona i oznajmił mu bez ogródek, że musi przerwać swoją kampanię wyborczą.

– Jeżeli przed zachodem słońca napiszesz list do Pompejusza i ogłosisz, że w imię narodowej jedności wycofujesz swoją kandydaturę w wyborach na konsula, możesz jeszcze uniknąć procesu. Jeśli tego nie zrobisz, jesteś skończony.

– A czy będziesz mnie bronił, jeżeli zostanę oskarżony? – zapytał chytrze Milon.

Spodziewałem się, że Cyncero powie, że to niemożliwe. Tymczasem on westchnął i przeczesał palcami włosy.

– Posłuchaj mnie, Milonie... posłuchaj uważnie. Kiedy byłem w najgorszym momencie mojego życia, sześć lat temu w Tesalonikach, ty jeden dałeś mi nadzieję. Dlatego możesz być spokojny: cokolwiek się wydarzy, nie odwrócę się do ciebie plecami. Ale na litość boską, nie pozwól, by doszło do najgorszego. Napisz dzisiaj do Pompejusza.

Milon obiecał, że się nad tym zastanowi, i oczywiście nie wycofał swojej kandydatury. Trudno było liczyć, że ostrożność i zdrowy rozsądek okiełznają jego wybujałe ambicje, które sprawiły, że w ciągu zaledwie sześciu lat przebył drogę od zwykłego właściciela szkoły gladiatorów do kandydata na urząd konsula. Poza tym jego długi były

tak olbrzymie (niektórzy mówili, że pożyczył siedemdziesiąt milionów sestercji), że wygnanie groziło mu bez względu na to, co by zrobił; poddając się teraz, niczego nie zyskiwał. Kontynuował więc kampanię, a Pompejusz, dłużej się z nim nie patyczkując, wszczął śledztwo, pod przewodnictwem Domicjusza Ahenobarbusa, w sprawie wydarzeń w dniach osiemnastego i dziewiętnastego stycznia – to jest zamordowania Klodiusza, spalenia budynku senatu i napaści na dom Lepidusa. Żeby ustalić fakty, poddano torturom niewolników Milona i Klodiusza i bałem się, że któryś z tych zdesperowanych nieszczęśników przypomni sobie, że widział mnie na miejscu przestępstwa, co mogłoby postawić w niezręcznej sytuacji Cyncerona. Najwyraźniej jednak los obdarzył mnie powierzchownością, na którą nikt nie zwraca uwagi – dlatego też zapewne udało mi się przeżyć, by spisać tę relację – i nikt o mnie nie wspomniał.

Śledztwo doprowadziło do wytoczenia Milonowi na początku kwietnia procesu o morderstwo i Cyncero musiał spełnić złożoną obietnicę i podjąć się jego obrony. Jedyny raz widziałem wtedy, jak zawiodły go nerwy. Pompejusz obstawił centrum miasta wojskiem, by zapewnić porządek. Wywołało to jednak wręcz przeciwny efekt. Żołnierze zablokowali wszystkie ulice prowadzące do Forum i strzegli głównych gmachów publicznych. Wszystkie sklepy były pozamykane. W mieście

wyczuwało się strach i napięcie. Sam Pompejusz przybył, by obserwować przebieg procesu, i otoczony żołnierzami zasiadł wysoko na stopniach świątyni Saturna. Mimo tej demonstracji siły pozwolono, by licznie zgromadzeni zwolennicy Klodiusza poniżali sąd, obrzucając szyderstwami i zagłuszając Milona oraz Cyncerona za każdym razem, gdy próbowali coś powiedzieć. Emocje i oburzenie tłumu były po stronie tamtych – przyczyniły się do tego brutalność zbrodni, przedstawienie, jakie urządziła lamentująca wdowa i osierocone dzieci, a przede wszystkim ta przedziwna skłonność do wybielania każdego, nawet najbardziej bezwartościowego polityka, którego kariera zostaje przerwana w szczytowym momencie.

Jako główny obrońca, któremu na mocy specjalnych przepisów pozwolono tylko na dwugodzinną przemowę, Cyncero miał przed sobą zadanie prawie nie do wykonania. Nie mógł raczej dowodzić, że Milon, który otwarcie przechwalał się tym, co zrobił, nie jest winny zarzucanego mu czynu. W gruncie rzeczy niektórzy ze stronników Milona, wśród nich Rufus, uważali, że Cyncero powinien uczynić z tego cnotę i dowodzić, że zabójstwo było nie zbrodnią, lecz przysługą oddaną społeczności. Cyncero odrzucał taką linię obrony. „Co ty opowiadasz, Rufusie? Że każdy człowiek może być skazany na śmierć bez procesu i w trybie doraźnym stracony przez swoich wrogów, jeśli tylko pochwała to dość ludzi? To oznacza

rządy motłochu, czyli właśnie to, dokładnie to, w co wierzył Klodiusz, i nie będę przedstawiał w rzymskim sądzie takiej argumentacji”.

Jedynym możliwym wyjściem było udowodnienie, że zabójstwo popełniono w samoobronie – trudno jednak dawało się to pogodzić z zeznaniami, z których wynikało, że Klodiusz został wywleczony z tawerny i zaszlachtowany z zimną krwią. Mimo to sprawa nie była do końca przegrana. Pamiętałem, że Cyncero potrafił wygrywać w gorszych okolicznościach. Poza tym napisał dobrą mowę. Jednak w dniu, gdy miał ją wygłosić, obudził się targany straszliwym niepokojem. Z początku nie zwracałem na to uwagi. Często denerwował się przed wygłoszeniem ważnych przemówień, dostawał biegunki i wymiotów. Tego ranka jednak było inaczej. Nie odczuwał obaw, które czasami nazywał „zimną siłą” i nad którymi nauczył się panować; tym razem zwyczajnie obleciał go strach i nie pamiętał ani słowa z tego, co miał powiedzieć.

Milon zasugerował, że powinien udać się na Forum w zamkniętej lektyce i starając się uspokoić nerwy, zaczekać gdzieś w ustronnym miejscu do chwili, gdy trzeba będzie zabrać głos. Skorzystaliśmy z jego rady. Na prośbę Cyncerona Pompejusz zapewnił mu na czas procesu obstawę, która oddzieliła kordonem część gaju westalek i nie dopuszczała tam nikogo, podczas gdy odpoczywający pod grubym wyszywanym baldachimem

mówca uczył się na pamięć swego wystąpienia, co jakiś czas pochylając się, by zwymiotować na świętą ziemię. Ale chociaż nie widział tłumu, słyszał w pobliżu jego ryki i śpiewy i było to chyba jeszcze gorsze. Gdy przyszedł po nas w końcu urzędnik pretora, pod Cyceronem tak bardzo ugięły się kolana, że z trudem się podniósł. Kiedy szliśmy na Forum, hałas był straszliwy i oślepiało nas słońce odbijające się od zbroi i broni żołnierzy.

Stronnicy Klodiusza powitali Cycerona wrzaskami, które przybrały na sile w momencie, gdy próbował zabrać głos. Jego zdenerwowanie tak bardzo rzucało się w oczy, że bez ogródek przyznał się do niego już w pierwszym zdaniu.

– Obawiam się, panowie przysięgli, że przyjdzie mi bronić najdzielniejszego z ludzi w najbardziej niestosownych warunkach – oświadczył i swój stan przypisał wyłącznie zmanipulowanemu przebiegowi rozprawy. – Gdziekolwiek spojrzę, na próżno szukam znajomych atrybutów sądu i normalnej procedury prawnej.

Niestety, najłatwiej poznać tego, który wie, że przegra, po tym, że skarży się na okoliczności, w jakich rozgrywa się starcie, i choć Cycero przedstawił kilka celnych argumentów – „Przypuśćmy, panowie, że przekonaliśmy was, byście uniewinnili Milona, ale tylko pod warunkiem, że Klodiusz powróci między żywych... skąd biorą się te przerażone miny?” – mowę można ocenić jako dobrą,

tylko jeśli dobrze się ją wygłosiło. Trzydziestoma ośmioma głosami przeciwko trzynastu przysięgli uznali Milona za winnego i skazali na dożywotnie wygnanie. Jego majątek rozprzedano szybko i za bezcen, by spłacić dłużników, i Cycero kazał zarządcy Terencji, Filotymusowi, wykupić potajemnie jego znaczną część, aby sprzedać go później i przekazać zysk żonie Milona, Fauście, która dała jasno do zrozumienia, że nie uda się razem z mężem na wygnanie. Dzień albo dwa później Milon w zadziwiająco dobrym humorze wyjechał do Massalii w południowej Galii. Zachowywał się jak gladiator, który i tak wie, że w końcu przegra, i cieszy się, że udało mu się tak długo przeżyć. Cycero próbował mu to jakoś wynagrodzić, publikując mowę, którą wygłosiłby, gdyby nie zjadły go nerwy. Wysłał jeden egzemplarz Milonowi, który kilka miesięcy później odpowiedział w czarującym stylu, iż cieszy się, że Cycero jej nie wygłosił, „bo w przeciwnym razie nie zajadałbym się teraz pysznymi massalskimi barwenami”.

* * *

Wkrótce po wyjeździe Milona z Rzymu Pompejusz zaprosił Cyclerona na kolację, by pokazać, że nie ma do niego żalu. Cycero pojechał do niego, głośno zrzedząc, a wrócił później do domu w stanie takiego zdumienia, że przyszedł mnie zbudzić, bo przy stole zastał tam nie kogo

innego jak wdowę po Publiusz Krassusie, nastoletnią Kornelię – którą Pompejusz wziął sobie właśnie za żonę!

– Złożyłem mu oczywiście gratulacje – powiedział. – To piękna i dobrze wykształcona dziewczyna, choć jest dość młoda, by być jego wnuczką. A potem spytałem go mimowolnie, co sądzi Cezar o jego ożenku. Wtedy rzucił mi lekceważące spojrzenie i oznajmił, że w ogóle nie poinformował o nim Cezara. Dlaczegoż Cezara miałyby to obchodzić? Ma pięćdziesiąt trzy lata i może się żenić, z kim mu się żywnie podoba! Odparłem jak najłagodniej, że Cezar może mieć na ten temat inne zdanie... pragnął w końcu wspartego małżeństwem sojuszu i dostał kosza, a ojciec panny młodej niekoniecznie dał się poznać jako jego przyjaciel. Na co Pompejusz udzielił mi takiej odpowiedzi: „Och, nie przejmuj się Scypionem, jest mi całkowicie przychylny. Mianuję go moim konsularnym kolegą do końca kadencji!”. Czy ten człowiek oszalał? Jak ci się wydaje? Cezar zwróci wzrok na Rzym i uzna, że cała władza przeszła tutaj w ręce partii arystokratycznej, z Pompejuszem na czele.

Cycero jęknął i zamknął oczy. Domyślałem się, że raczej sporo wypił.

– Mówiłem ci, że do tego dojdzie – dodał. – Jestem Kassandra: człowiekiem skazanym na to, że widzi przyszłość i nikt mu nie wierzy.

Będąc czy nie będąc Kassandra, Cycero nie przewidział jednej z konsekwencji specjalnego konsulatu

Pompejusza. Żeby zwalczyć polityczną korupcję, postanowił on zreformować prawa regulujące obsadzanie namiestników w czternastu prowincjach. Do tej chwili konsulowie i pretorowie natychmiast po zakończeniu swojej kadencji udawali się do przydzielonych im prowincji. Z racji olbrzymich sum, jakie można było uzyskać, będąc namiestnikiem, powstała praktyka polegająca na tym, że kandydaci zapożyczali się pod zastaw spodziewanych zysków i finansowali w ten sposób swoją kampanię. Okazując zdumiewającą hipokryzję, gdy się zważy, jak sam wykorzystał ten system, Pompejusz postanowił z tym wszystkim skończyć. Od tej pory między zakończeniem sprawowania urzędu w Rzymie a objęciem namiestnictwa w prowincji musiało upłynąć pięć lat. Aby znaleźć kandydatów na wakujące stanowiska w okresie przejściowym, zadekretowano, że każdemu senatorowi w randze pretora, który nie pełnił dotąd urzędu namiestnika, przydzielili się w drodze losowania jakąś prowincję.

Cycero zdał sobie nagle z przerażeniem sprawę, że grozi mu coś, czego starał się unikać przez całe życie: kiszzenie się w jakimś zapadłym zakątku imperium i wymierzanie sprawiedliwości krajowcom. Poszedł do Pompejusza błagać go o zwolnienie z tego obowiązku. Skarżył się na podupadające zdrowie. Mówił, że się starzeje. Zasugerował nawet, żeby za sprawowanie urzędu za granicą uznać czas, który spędził na wygnaniu.

Pompejusz nie chciał o tym słyszeć. W gruncie rzeczy sprawiało mu jakąś złośliwą satysfakcję wyliczanie wszystkich miejsc, w których Cycero mógł się znaleźć w roli namiestnika, i przedstawianie ich najprzeróżniejszych, jedynych w swoim rodzaju mankamentów: wyjątkowe oddalenie od Rzymu, buntownicze plemiona, okrutne obyczaje, surowy klimat, dzikie bestie, nieprzejezdne drogi, nieuleczalne miejscowe choroby i tak dalej. Losy, które miały zdecydować, komu przypadnie jaka prowincja, ciągnięto na specjalnej sesji senatu pod przewodnictwem Pompejusza. Cycero podszedł do urny, wyciągnął swój los i podał go Pompejuszowi, który oznajmił z uśmiechem:

– Marek Tulliusz wylosował Cylicję.

Cylicję! Cycero z trudem krył przygnębienie. Ta górzysta prymitywna ojczyzna piratów, położona w najdalszym wschodnim zakątku Morza Śródziemnego i administracyjnie obejmująca również wyspę Cypr, znajdowała się tak daleko od Rzymu, jak to tylko możliwe. Graniczyła również z Syrią, co sprawiało, że była w zasięgu armii Partów, gdyby Kasjuszowi nie udało się utrzymać ich w szachu. Na domiar złego namiestnikiem Cylicji był w tym momencie brat Klodiusza, Appiusz Klodiusz Pulcher, co do którego można było mieć pewność, że maksymalnie utrudni życie swojemu następcy.

Wiedziałem, że Cyncero oczekuje, że z nim pojedę, i rozpaczliwie starałem się wymyślić jakąś wymówkę, by zostać w Italii. Właśnie ukończył traktat *O republice*. Powiedziałem, że moim zdaniem bardziej przydam mu się tu, w Rzymie, pilnując jego publikacji.

– Nonsens – odparł. – Kopiowaniem i rozpowszechnianiem zajmie się Attyk.

– Chodzi również o moje zdrowie – dodałem. – Tak naprawdę nigdy nie doszedłem do siebie po tej febrze, którą złapałem w Arpinum.

– W takim razie podróż morska dobrze ci robi.

I tak to wyglądało. Każdy mój argument spotykał się z kontrargumentem. Cyncero zaczął się czuć urażony. Ta wyprawa budziła jednak we mnie złe przeczucia. Chociaż przysięgał, że wyjeżdżamy tylko na rok, czułem, że potrwa to dłużej. Rzym wydawał mi się dziwnie nietrwały. Może wynikało to stąd, że musiałem codziennie mijać wypalone ruiny senatu, a może z mojej wiedzy o pogłębiającym się rozdzwieku między Pompejuszem a Cezarem. Bez względu na to, co podpowiadał mi rozum, żywiłem zabobonną obawę, że jeśli wyjadę, mogę tu już nigdy nie wrócić, a jeśli nawet wrócę, to będzie już zupełnie inne miasto.

– Nie mogę cię zmusić do wyjazdu – stwierdził w końcu Cyncero. – Jesteś teraz wolnym człowiekiem. Ale wydaje mi się, że jesteś mi winien tę ostatnią przysługę, i spróbuję dobić z tobą targu. Po powrocie dam ci

pieniądze, byś mógł sobie kupić ziemię, o której zawsze marzyłeś, i nie będę naciskał, żebyś dalej mi służył. Reszta twojego życia będzie należeć do ciebie.

Ponieważ trudno mi było odrzucić taką ofertę, postarałem się zignorować złe przeczucia i zacząłem mu pomagać w przygotowaniach do objęcia urzędu.

Jako namiestnik Cylicji Cyncero miał mieć pod swoimi rozkazami liczącą czternaście tysięcy żołnierzy armię, która, na co wiele wskazywało, mogła lada dzień stoczyć wojnę. Z tego względu postanowił powołać dwóch legatów posiadających wojskowe doświadczenie. Jednym z nich był jego stary druh, Gajusz Pomptinus, który pomógł mu osaczyć spiskowców Katyliny. O objęcie urzędu drugiego legata zwrócił się do swojego brata Kwintusa, który już wcześniej wyraził silne życzenie powrotu z Galii. Jego służba pod rozkazami Cezara okazała się z początku wielkim sukcesem. Wziął udział w inwazji na Brytanię i gdy wrócił, Cezar powierzył mu dowództwo legionu, który wkrótce potem został zaatakowany na zimowych leżach przez przeważające siły Galów. Walki były nader zacięte; dziewięciu na dziesięciu Rzymian odniosło rany. Ale Kwintus, chociaż wyczerpany i chory, zachował chłodny umysł i legion przetrwał długie oblężenie, aż Cezar przyszedł im na ratunek; później doczekał się pochwalnej wzmianki w jego *Komentarzach*.

W lecie następnego roku przyznano mu dowództwo nowo sformowanego legionu czternastego. Tym razem jednak nie zastosował się do rozkazów Cezara. Zamiast zatrzymać wszystkich ludzi w obozie, wysłał w poszukiwaniu żywności kilkuset niedoświadczonych rekrutów, którzy zostali odcięci przez najeźdźcze siły Germanów. Zaskoczeni na otwartym terenie, stali, wpatrując się w swoich dowódców, i zupełnie nie wiedzieli, co robić. Kiedy próbowali uciekać, połowa zginęła. *Dobra opinia, jaką miał o mnie Cezar, legła w gruzach* – napisał ze smutkiem Kwintus do brata. – *Traktuje mnie grzecznie, ale wyczuwam pewien chłód i wiem, że na boku konsultuje się z młodszymi oficerami; krótko mówiąc, obawiam się, że nigdy już nie odzyskam jego zaufania.* Cyncero napisał do Cezara, pytając, czy jego brat może mu towarzyszyć w Cylicji. Cezar chętnie się zgodził i dwa miesiące później Kwintus pojawił się z powrotem w Rzymie.

Z tego, co wiem, Cyncero nigdy nie robił wymówek bratu. Niemniej coś się zmieniło w ich stosunkach. Sądzę, że Kwintusem owładnęło silne poczucie klęski. Miał nadzieję zdobyć w Galii sławę, fortunę i niezależność, a zamiast tego wrócił ze zszarganą reputacją, bez bogactw i jeszcze bardziej zależny od słynnego brata. W jego małżeństwie nadal działało się nie najlepiej. Dużo pił. A jego jedyny syn, młody Kwintus, który skończył już piętnaście lat, odznaczał się wszystkimi przywarami swego wieku,

będąc ponurym, skrytym, bezczelnym i dwulicowym młodzieńcem. Cyncero uważał, że ojciec powinien mieć na niego baczniejsze oko, i zaproponował, by młody Kwintus pojechał z nami do Cylicji wraz z jego własnym synem, Markiem. I tak już niskie oczekiwania, jakie wiązałem z tą wyprawą, spadły jeszcze bardziej.

Opuszczając Rzym na początku przerwy w obradach senatu, tworzyliśmy pokaźny orszak. Jako namiestnik Cyncero zobowiązany był podróżować z sześcioma liktorami, a także wielką karawaną niewolników wiozących cały nasz bagaż na zagraniczną misję. Terencja pokonała z nami pewien odcinek drogi, by odprowadzić męża, i to samo zrobiła Tulia, z którą właśnie rozwiódł się Krassipes. Zbliżyła się w tym okresie do ojca bardziej niż kiedykolwiek i czytała mu w drodze poezję. Zwierzał mi się na osobności, że martwi się o jej przyszłość: dwudziestopięcioletnia, bez dziecka i bez męża... Kiedy zatrzymaliśmy się w Tusculum, żeby pożegnać się z Attykiem, Cyncero poprosił go, by miał na nią oko i spróbował podczas jego nieobecności znaleźć jej nowego kandydata na męża.

– Oczywiście, że to zrobię – odrzekł Attyk – a czy ty w zamian też mógłbyś mi oddać pewną przysługę? Czy mógłbyś wpłynąć na Kwintusa, żeby był trochę miłszy dla mojej siostry? Wiem, że Pomponia jest trudną kobietą, ale po powrocie z Galii Kwintus jest stale w fatalnym

nastroju i ich bezustanne kłótnie mają zły wpływ na ich syna.

Cycero zgodził się i kiedy spotkaliśmy się z Kwintusem i jego rodziną w Arpinum, wziął brata na stronę i powtórzył mu to, co usłyszał od Attyka. Kwintus obiecał, że się postara. Niestety, z Pomponią naprawdę trudno było wytrzymać i wkrótce potem małżonkowie nie tylko przestali dzielić łożę, ale nawet ze sobą rozmawiać i rozstali się bardzo chłodno.

Stosunki między Terencją i Ciceronem układały się bardziej poprawnie, z wyjątkiem jednej dziedziny, która była chyba źródłem antagonizmów przez cały okres trwania ich związku – mam na myśli pieniądze. W przeciwieństwie do swojego męża Terencja powitała z radością jego nominację na namiestnika, widząc tu wspaniałą okazję do wzbogacenia się. Zabrała nawet ze sobą na południe swego zarządcę Filotymusa, by ten podsunął Ciceronowi różne pomysły, jak można się obłowić. Cycero wciąż odwlekał rozmowę z nim, a Terencja stale go do niej nakłaniała, aż w końcu ostatniego dnia stracił nad sobą panowanie.

– Ta twoja obsesja na punkcie zarabiania pieniędzy jest naprawdę bardzo niestosowna – oznajmił.

– Nie mam innego wyboru, skoro ty masz obsesję na punkcie ich wydawania! – odparowała.

Cycero odczekał chwilę, by ochłonąć, po czym spróbował jej to wyjaśnić na spokojnie.

– Najwyraźniej czegoś nie rozumiesz. Człowiek na moim stanowisku nie może sobie pozwolić na jakiegokolwiek uchybienie. Moi wrogowie szukają tylko okazji, żeby wytoczyć mi proces o korupcję.

– Zamierzasz zatem być jedynym namiestnikiem prowincji w dziejach, który wróci do Rzymu biedniejszy, niż był, gdy z niego wyjeżdżał?

– Moja droga żono, gdybyś przeczytała choć jedno słowo z tego, co kiedykolwiek napisałem, wiedziałabyś, że mam właśnie wydać traktat o dobrym rządzeniu. Jak można będzie to pogodzić z opiniami, że kradłem, sprawując swój urząd?

– Księgi! – prychnęła z wielką pogardą Terencja. – Jaki jest pożytek z ksiąg?

Załagodźli spór w wystarczającym stopniu, by zjeść razem kolację, i chcąc ją udobruchać, Cyncero obiecał, że w nadchodzącym roku przynajmniej wysłucha propozycji Filotymusa – ale tylko pod warunkiem, że będą zgodne z prawem.

Nazajutrz rano, pośród wielu wylanych łez i uścisków, rodzina się rozstała – Cyncero i Marek, który miał teraz czternaście lat, ruszyli konno na południe, ramię przy ramieniu, a Terencja i Tulia zostały przy bramie rodzinnej posiadłości, machając im na pożegnanie. Pamiętam, że tuż przed zakrętem po raz ostatni obejrzałem się za siebie. Terencja weszła już wtedy do

środka, ale Tulia nadal śledziła nas wzrokiem – jej krucha postać rysowała się na tle majestatycznych gór.

* * *

W pierwszą część podróży morskiej do Cylicji mieliśmy wyruszyć z Brundisium i kiedy tam zmierzaliśmy, Cycero otrzymał w Wenuzji zaproszenie od Pompejusza. Wielki człowiek zażywał właśnie zimowego słońca w swojej willi w Tarencie i proponował, by Cycero zabawił u niego przez parę dni, „żeby omówić sytuację polityczną”. Ponieważ Tarent dzieli tylko czterdzieści mil od Brundisium, a w drodze i tak mijalibyśmy jego posiadłość, no i ponieważ Pompejusz nie był człowiekiem, któremu się odmawia, Cycero musiał przyjąć zaproszenie.

Kolejny raz zastaliśmy Pompejusza wielce ukontentowanego domowym życiem z młodą małżonką: jakby niemal bawili się w męża i żonę. Dom był zaskakująco skromny; jako namiestnik Hiszpanii Pompejusz miał do ochrony zaledwie piętnastu legionistów, którzy rozlokowali się w sąsiednich posiadłościach. Poza tym, od kiedy złożył urząd konsula, powszechnie chwalony za swoją mądrość, nie dzierżył żadnej władzy wykonawczej. W gruncie rzeczy znajdował się wówczas, moim zdaniem, u szczytu popularności. Tłumy miejscowych otaczały posiadłość w nadziei, że go

zobaczą. Raz czy dwa razy dziennie wychodził do nich, by uścisnąć dłonie starszym i pogłodzić po głowach dzieci. Był teraz całkiem korpulentny, cierpiał na zadyszkę, a jego cera przybrała niezdrowy, lekko fioletowy odcień. Kornelia krzątała się przy nim niczym mała mamuśka, starając się ograniczać jego żarłoczność podczas posiłków i zachęcając go do spacerów wzdłuż wybrzeża, w trakcie których towarzyszyli mu w dyskretnej odległości strażnicy. Był rozleniwiony, ospały, pod pantoflem Kornelii. Cycero ofiarował mu kopię traktatu *O republice*. Bardzo się ucieszył, ale natychmiast odłożył ją na bok i nie widziałem, żeby ją otworzył.

Za każdym razem, gdy wspominam to trzydniowe interludium, jawi mi się ono jako oświetlona słońcem polana pośrodku rozległego i ciemnego lasu. Obserwując tych dwóch starzejących się mężów stanu, jak rzucają piłkę Markowi albo z podkasanymi togami puszczają kaczki na wodzie, trudno było uwierzyć, że nadciąga jakaś nawałnica i że tym razem nie rozejdzie się po kościach. Pompejusz emanował absolutną pewnością siebie.

Nie byłem wtajemniczony we wszystko, co ustalili, ale Cycero zrelacjonował mi później większą część rozmów. Sytuacja polityczna była w skrócie następująca: Cezar zakończył podbój Galii. Jej przywódca, Wercyngetoryks, poddał się i przebywał w niewoli. Armia przeciwnika została zlikwidowana (ostatnim epizodem wojny było

zajęcie górskiej twierdzy Uxellodunum, bronionej przez dwa tysiące galijskich żołnierzy, którym na rozkaz Cezara, jak sam pisze w *Komentarzach*, ucięto ręce, a następnie odesłano ich do domów, *by wszyscy mogli zobaczyć, jaka kara czeka każdego, kto podważa władzę Rzymu*; od tej pory w Galii zapanował spokój).

W związku z tym wszystkim rodziło się pytanie, co począć z Cezarem. On sam życzyłby sobie, by pozwolono mu ubiegać się o drugi konsulat *in absentia*, tak by mógł wkroczyć do Rzymu chroniony immunitetem przed karą za wszystkie przestępstwa i wykroczenia, które popełnił, sprawując ten pierwszy; w ostateczności chciał przynajmniej przedłużyć swoje dowództwo, by pozostać władcą Galii. Jego oponenti, pod przewodnictwem Katona, uważali, że powinien wrócić do Rzymu i poddać się woli elektoratu, tak jak każdy normalny obywatel. Gdyby zaś tego nie uczynił, trzeba pozbawić go dowództwa armii, bo nie godziło się, by człowiek mający teraz pod swoimi rozkazami jedenaście legionów stacjonował tuż przy granicy Italii i dyktował senatowi, co ma robić.

– A co o tym sądzi Pompejusz? – zapytałem.

– Poglądy Pompejusza zmieniają się w zależności od tego, o jakiej porze dnia go spytasz. Rankiem uważa, że jest całkowicie słuszne, aby jego dobremu przyjacielowi Cezarowi w uznaniu wielkich osiągnięć pozwolono ubiegać się o konsulat bez wkraczania do Rzymu. Po

obiedzie wzdycha i zastanawia się, dlaczego Cezar nie może po prostu wrócić do domu i prowadzić kampanii wyborczej jak każdy inny kandydat: w końcu to właśnie zrobiłby on sam na jego miejscu i co w tym jest niegodnego? A wieczorem, kiedy wbrew staraniom czcigodnej Kornelii uderza mu do głowy wino, zaczyna krzyżeć: „Niech piekło pochłonie tego parszywego Cezara! Rzygać mi się chce, gdy ciągle o nim słyszę! Niech tylko spróbuje postawić stopę w Italii razem ze swoimi cholernymi legionami, to zobaczysz, co zrobię! Tupnę nogą i sto tysięcy ludzi zgłosi się pod moje rozkazy, by bronić senatu!”.

– A co twoim zdaniem się wydarzy?

– Uważam, że gdybym tu został, prawdopodobnie zdołałbym go przekonać, żeby postąpił we właściwy sposób i nie dopuścił do wojny domowej, która byłaby ostateczną katastrofą. Obawiam się jednak – dodał – że kiedy przyjdzie czas podejmowania kluczowych decyzji, ja będę tysiąc mil od Rzymu.

IX



Nie zamierzam opisywać szczegółowo okresu, gdy Cyncero sprawował stanowisko namiestnika Cylicji. Jestem przekonany, że z historycznej perspektywy czas ten okaże się mało ważny. Cyncero oceniał go w ten sposób już wtedy.

Dotarliśmy do Aten wiosną i zatrzymaliśmy się na dziesięć dni u Arystusa, profesora i zwierzchnika Akademii, który był w owym czasie największym żyjącym przedstawicielem filozofii Epikura. Podobnie jak Attyk, również zagorzały epikurejczyk, Arystus miał dość praktyczny, przyziemny pogląd na to, co jest potrzebne do szczęśliwego życia: zdrowa dieta, umiarkowane ćwiczenia fizyczne, przyjemne otoczenie, wesołe towarzystwo oraz unikanie stresujących sytuacji. Cyncero, dla którego bogiem był Platon i którego życie obfitowało

w stres, nie chciał się z tym zgodzić. Jego zdaniem epikureizm był swego rodzaju antyfilozofią.

– Powiadasz, że szczęście zależy od fizycznego dobrostanu. Ale dobre samopoczucie nie zależy od naszej woli. Jeśli na przykład kogoś dotyka bolesna choroba, albo jest torturowany, to wedle twojej filozofii nie może być szczęśliwy.

– Pewnie nie może być w całej pełni – zgodził się Arystus – ale wciąż dostępna jest mu jakaś forma szczęścia.

– Nie, nie, on w ogóle nie może być szczęśliwy – upierał się Cyncero – ponieważ jego szczęście jest całkowicie zależne od stanu fizycznego. Tymczasem najwspanialszą i najbardziej płodną obietnicą w całej historii filozofii jest maksyma: *nic nie jest dobre prócz tego, co jest moralnie dobre*. Z czego możemy wyciągnąć wniosek, że *dobro moralne samo w sobie wystarczy, by człowiek wiódł szczęśliwe życie*. I stąd wynika trzecia maksyma: *dobro moralne jest jedynym rodzajem dobra, jakie istnieje*.

– Ale gdybym cię torturował – zaprotestował Arystus, śmiejąc się znacząco – byłbyś w każdym calu tak samo nieszczęśliwy jak ja.

Cyncero potraktował to jednak bardzo poważnie.

– Nie, nie, ponieważ gdybym pozostał moralnie dobry... swoją drogą, wcale nie twierdzę, że jest to łatwe, a co dopiero, że mi się to udało... wówczas musiałbym

pozostać szczęśliwy bez względu na to, jak wielki byłby doznawany przeze mnie fizyczny ból. Nawet gdyby mój oprawca padł z wyczerpania, wciąż istniałoby coś poza stroną fizyczną, do czego nie miałyby dostępu.

Naturalnie upraszczam tutaj długą i skomplikowaną dyskusję, która trwała kilka dni, kiedy to zwiedzaliśmy budynki i zabytki Aten. Ale do tego sprowadzał się zasadniczy spór i czułem, że Cycero nosi się z zamiarem napisania jakiegoś dzieła filozoficznego, które byłoby raczej praktycznym poradnikiem wskazującym, jak dobrze żyć, niż zestawem wydumanych abstrakcji.

Z Aten nasza licząca dwanaście statków flotylla pożeglowała na południe wzdłuż wybrzeża, a potem od wyspy do wyspy, przez Morze Egejskie. Rodyjskie statki były duże, niezgrabne i powolne; kołysały się i kiwały nawet przy niewielkiej fali i nie dawały schronienia przed żywiołami. Pamiętam, jak dygocząc, mokłem na deszczu, kiedy mijaliśmy Delos, tę melancholijną skałę, gdzie podobno w ciągu jednego dnia sprzedano w niewolę dziesięć tysięcy ludzi. Wszędzie gromadziły się olbrzymie tłumy, żeby powitać Cycerona; spośród Rzymian tylko Pompejusz i Cezar oraz, jak przypuszczam, Katon mogli przewyższać go sławą. W Efezie nasz liczny orszak, składający się z legatów, liktorów i wojskowych trybunów wraz z ich niewolnikami i całym bagażem, sformował konwój wozów zaprzężonych w woły

i jucznych mułów i ruszyliśmy przez zapyłone górskie drogi w głąb Azji Mniejszej.

Dopiero po pięćdziesięciu dwóch dniach od opuszczenia Italii dotarliśmy do Laodycei, pierwszego miasta na terenie Cylicji, gdzie Cycero musiał zacząć natychmiast sprawować sądy. Ubóstwo i wycieńczenie prostych ludzi, niezmierzone kolejki powłóczących nogami petentów w mrocznej bazylice i na oślepiająco białym marmurowym forum; bezustanne lamenty i skargi na celników i poborców podatkowych; wszechobecna drobna korupcja, muchy, upał i dyzenteria; wiszący stale w powietrzu nieznośny odór owczego i koziego łąjna; gorzkie wino i tłuste, palące gardło jedzenie; niewielkie rozmiary miasteczka i brak czegoś pięknego, co można by zobaczyć, czegoś interesującego, co można by usłyszeć, i czegoś smacznego, co można by zjeść – och, jak bardzo Cycero zżymał się na to, że musi siedzieć w tej zapadłej dziurze, podczas gdy losy świata rozstrzygały się bez niego w dalekiej Italii! Ledwie zdążyłem wyjąć mój inkaust i rylec, a już zaczął mi dyktować listy do wszystkich, którzy przychodzili mu na myśl, i błagał ich, by postarali się ograniczyć okres jego namiestnictwa do jednego roku.

Nie zabawiliśmy tam długo, gdy nadeszła wiadomość od Kasjusza, który donosił, że syn króla Partów najechał Syrię na czele tak dużej armii, że on, Kasjusz, musiał wycofać swoje legiony do ufortyfikowanego miasta

Antiochia. Oznaczało to, że Cyncero powinien natychmiast dołączyć do swojej własnej armii u podnóża gór Taurus, potężnej naturalnej bariery oddzielającej Cylicję od Syrii. Kwintus był tym wielce podekscytowany i przez miesiąc mogło się wydawać, że Cyncero będzie dowodził obroną całej wschodniej flanki imperium. Później jednak otrzymaliśmy kolejny raport od Kasjusza: Partowie odstąpili od niezdojanych murów Antiochii, a on puścił się za nimi w pościg i pokonał ich w bitwie; syn króla zginął i niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Nie wiem, czy Cynceronowi sprawiło to większą ulgę, czy zawód. Udało mu się jednak stoczyć jakąś wojnę. Część miejscowych plemion wykorzystała kryzys partyjski, by powstać przeciwko władzy Rzymu. Siły rebeliantów zgromadziły się w twierdzy o nazwie Pindessium i Cyncero przystąpił do jej oblężenia.

Przez dwa miesiące mieszkaliśmy w wojskowym obozie w górach i Kwintus był szczęśliwym niczym chłopiec, budując rampy i wieże, kopiąc rowy i ściągając artylerię. Dla mnie cała ta awantura była niesmaczna i tak też, jak sądzę, odbierał ją Cyncero, ponieważ powstańcy nie mieli żadnych szans. Dzień po dniu ciskaliśmy do miasta kamienie i płonące żagwie, aż w końcu się poddało i nasi legionieści weszli do środka, żeby je splądrować. Kwintus kazał stracić przywódców. Resztę zakuto w kajdany i wysłano na wybrzeże, skąd

mieli popłynąć do Delos i zostać sprzedani w niewolę. Cycero przyglądał się im z ponurą miną.

– Przypuszczam, że gdybym był wielkim wodzem w rodzaju Cezara, kazałbym im wszystkim uciąć ręce. Czyż nie tak właśnie zaprowadza się pokój w tych stronach? Nie mogę jednak powiedzieć, by sprawiało mi wielką satysfakcję używanie wszelkich wynalazków cywilizacji po to, żeby obrócić w zgliszcza kilka barbarzyńskich chałup.

Tak czy inaczej jego żołnierze obwołali go w polu imperatorem i potem kazał mi napisać sześćset listów, do każdego członka senatu z osobna, z żądaniem, by pozwolono mu na triumfalny wjazd do Rzymu – co w prymitywnych obozowych warunkach przysporzyło mi tyle pracy, że mało nie padłem ze zmęczenia.

* * *

Zimą Cycero powierzył dowództwo armii Kwintusowi i wrócił do Laodycei. Był trochę wstrząśnięty tym, z jaką lubością jego brat stłumił rebelię, a także jak obcesowo traktował swoich podwładnych (*jest drażliwy, ordynarny i niedbały*, pisał w liście do Attyka); nie podobało mu się też zbyt zachowanie bratanka – *chłopiec ma przesadne wyobrażenie na swój temat*. Kwintus Junior starał się, by wszyscy wiedzieli, kim jest – zapewniało to już samo jego nazwisko – i traktował miejscowych z wielką pogardą.

Mimo to Cyncero starał się spełniać obowiązki kochającego stryja i na wiosennym święcie Liberaliów przewodniczył, w zastępstwie ojca chłopaka, ceremonii pasowania młodego Kwintusa na mężczyznę, osobiście pomagając mu ogolić rzadką bródkę i wdziać po raz pierwszy togę.

Jeśli chodzi o jego własnego syna, to młody Marek przysparzał mu innego rodzaju trosk. Chłopak był miły, ale leniwy, lubił sport i niezbyt szybko przyswajał sobie wiedzę. Zamiast studiować grekę i łacinę, wolał przestawać z oficerami i ćwiczyć szermierkę oraz rzucanie oszczepem.

– Kocham go z całej duszy – zwierzał mi się Cyncero – i chłopak z pewnością ma dobre serce, ale czasami zastanawiam się, skąd, na bogów, się wziął... nie odkrywam w nim żadnej własnej cechy.

Na tym jednak nie kończyły się jego rodzinne troski. Wybór nowego męża dla Tulii pozostawił jej samej i Terencji, dając po prostu jasno do zrozumienia, że chciałby mieć za zięcia spokojnego, wartościowego i szanowanego młodego arystokratę w rodzaju Tyberiusza Nerona albo syna jego starego przyjaciela Serwiusza Sulpicjusza. Tymczasem kobiety wybrały Publiusza Korneliusza Dolabellę, zdaniem Cyncerona najmniej odpowiedniego kandydata. Choć miał dopiero dziewiętnaście lat – siedem lat mniej od Tulii – cieszył się złą sławą rozpustnika i co ciekawe, był już raz żonaty, ze znacznie starszą od siebie kobietą.

Kiedy Cycero dostał list zawiadamiający o ich decyzji, było już za późno na interwencję – wesele miało się odbyć, nim do Rzymu dotarłaby jego odpowiedź – i kobiety musiały o tym dobrze wiedzieć.

– Co mi pozostaje? – zwrócił się do mnie, wzdychając. – No cóż, takie jest życie... niechaj bogowie pobłogosławią to, co się stało. Rozumiem, dlaczego chciała tego Tulia: Publiusz jest bez wątpienia przystojnym, czarującym mężczyzną, a ona bardziej niż ktokolwiek inny zasługuje na to, żeby zakosztować życia. Ale Terencja! Co ona sobie wyobraża? Wygląda to, jakby sama zakochała się w tym młokosie. Nie wiem, czy potrafię ją jeszcze zrozumieć.

I tu dochodzę do największej ze wszystkich osobistych trosk, jakie nękały Cyclerona: podejrzeń, że coś jest nie w porządku z Terencją. Nie tak dawno otrzymał pełen wyrzutów list od Milona, żądającego wyjaśnień, co się stało z całym majątkiem, który Cycero tak tanio kupił na wyprzedazy; jego żona Fausta nie dostała z niego dotąd ani sestercji. Tak się złożyło, że pośrednik, który występował wtedy w imieniu Cyclerona – zarządca Terencji, Filotymus – nadal żywił nadzieję, że uda mu się go nakłonić do jakichś wątpliwych pieniężnych operacji, i miał przyjechać do Laodycei.

Cycero przyjął go w mojej obecności i oznajmił mu bez ogródek, że nie ma mowy o tym, by on lub ktokolwiek z jego podwładnych czy rodziny uczestniczył w szemranych interesach.

– Jeśli więc o to chodzi, możesz sobie oszczędzić czasu, a zamiast tego powiedz mi, co się stało z wyprzedanym majątkiem Milona. Pamiętasz, że transakcja była ustawiona w ten sposób, żebyś kupił go za bezcen, a potem sprzedał i przekazał zyski Fauście?

Filotymus, pulchniejszy niż kiedykolwiek i pocący się w letnim skwarze, jeszcze bardziej się zaczerwienił i wyjąkał, że nie przypomina sobie dokładnie szczegółów; działo się to przed ponad rokiem i musiałby zajrzeć do swoich rachunków, które zostały w Rzymie.

Cycero wyrzucił w górę ręce.

– Daj spokój, człowieku, przecież musisz to pamiętać. Nie minęło aż tak dużo czasu. Mówimy o dziesiątkach tysięcy sestercji. Co się z nimi stało?

Ale Filotymus powtarzał tylko bez końca tę samą bajeczkę: jest mu bardzo przykro, nic nie pamięta, musiałby sprawdzić.

– Zaczynam myśleć, że sam zagarnąłeś te pieniądze.

Filotymus zaprzeczył.

– Czy wie o tym moja żona? – zapytał nagle Cycero.

Na wzmiankę o Terencji w Filotymusie zaszła wyraźna zmiana. Przestał się motać i plątać, zamilkł i choć Cycero starał się go przycisnąć do muru, nie powiedział już ani słowa. W końcu Cycero kazał mu się wynosić.

– Zauważyłeś tę jego ostatnią impertynencję? – zapytał mnie po jego wyjściu. – Mówię o obronie honoru damy...

tak jakby uważał, że nie godzi się, bym wymieniał imię własnej żony.

Zgodziłem się, że to zastanawiające.

– Zastanawiające... można to tak określić. Zawsze byli ze sobą bardzo blisko, ale odkąd poszedłem na wygnanie...

Pokręcił głową i nie dokończył zdania. Nie odezwałem się. Nie czułem się upoważniony, by to komentować. Po dziś dzień nie mam pojęcia, czy jego podejrzenia były słuszne. Mogę tylko powiedzieć, że cała ta historia głęboko nim wstrząsnęła i napisał zaraz do Attyka, by zbadał dyskretnie sytuację. *Nie potrafię wyrazić słowami wszystkich swoich obaw*, pisał.

* * *

Na miesiąc przed oficjalnym zakończeniem swojej kadencji Cycero, eskortowany przez liktorów, wyruszył z powrotem do Rzymu, zabierając ze sobą mnie i dwóch chłopców i powierzając pieczę nad prowincją kwestorowi.

Wiedział, że może go spotkać krytyka za przedwczesne opuszczenie posterunku i pozostawienie Cylicji w rękach senatora pierwszego roku, liczył jednak, że w obliczu zbliżającego się końca rządów Cezara w Galii ludzie będą mieli inne sprawy na głowie. W drodze powrotnej zahaczyliśmy o wyspę Rodos, którą chciał pokazać Kwintusowi i Markowi. Chciał również odwiedzić

grób Apoloniusza Molona, wielkiego nauczyciela sztuki wymowy – przed trzydziestu laty pobierał u niego lekcje, które zapoczątkowały jego polityczną karierę. Znaleźliśmy nagrobek Molona na cyplu wrzynającym się w morze od zachodniej strony. Na prostym bloku marmuru wyryto nazwisko oratora, a pod spodem, po grecku, jedną z jego ulubionych maksym: *Nic nie wysycha szybciej niż łza*. Cycero stał tam bardzo długo.

Niestety, wypad na Rodos opóźnił znacznie nasz powrót. Tego lata wiejące z północy etezyjskie wiatry⁹ były niezwykle silne i na trzy tygodnie uwięziły w porcie nasze statki. W tym czasie sytuacja polityczna w Rzymie gwałtownie się pogorszyła i kiedy dotarliśmy do Efezu, na Cycerona czekało mnóstwo alarmujących wiadomości. *Im bliższe wydaje się starcie, tym wyraźniej widać zagrożenia* – napisał Rufus. – *Pompejusz nie ma zamiaru pozwolić, by Cezar został wybrany na konsula, nie zdawszy wcześniej dowództwa nad armią i prowincją; tymczasem Cezar jest przekonany, że bez armii nie ma szans przetrwać. A więc tym kończy się ich romans, ich skandaliczna unia – nie ukradkowym podgryzaniem, lecz otwartą wojną!*

Tydzień później w Atenach Cycero odebrał kolejne listy, w tym także od Pompejusza i Cezara. Każdy z nich skarżył się na drugiego i apelował do jego lojalności. *Jeśli o mnie chodzi, może zostać konsulem albo może zachować swoje legiony* – pisał Pompejusz – *jestem jednak pewien, że*

nie może mieć i jednego, i drugiego; zakładam, że zgodzisz się z moim stanowiskiem i tak jak to zawsze czyniłeś, staniesz zdecydowanie po mojej stronie i po stronie senatu. Cezar również na niego liczył: Obawiam się, że szlachetny charakter Pompejusza nie pozwala mu dostrzec prawdziwych intencji osobników, którzy zawsze życzyli mi jak najgorzej; mam nadzieję, drogi Cynceronie, że przekażesz mu, iż nie mogę być, nie powinienem być i nie będę bezbronny.

Te dwa listy wprawiły Cyncerona w stan wielkiego wzburzenia. Siedział w bibliotece Arystusa, trzymając oba przed sobą i spoglądając to na jeden, to na drugi. *Wydaje mi się, że będę świadkiem największych zmagania, jakie zna historia – napisał do Attyka. – Czeka nas straszliwa rozgrywka między nimi. Każdy uważa mnie za swojego sojusznika. I cóż mam począć? Będą chcieli, żebym opowiedział się po którejś ze stron. Uśmiejesz się, gdy to powiem, ale najchętniej wróciłbym zaraz do mojej prowincji.*

Tej nocy, mimo panującego w Atenach upału, leżałem wstrząsany dreszczami, szcękając zębami i wyobrażając sobie, że Cyncero dyktuje mi list, którego kopie miałem wysłać jednocześnie do Pompejusza i do Cezara i w którym zapewniał każdego z nich o swoim poparciu. Ale fraza, która zadowoliłaby jednego, mogła doprowadzić do wściekłości drugiego i godzina po godzinie usiłowałem, spanikowany, ułożyć zdania, które byłyby całkowicie

neutralne. Za każdym razem, gdy mi się to udawało, słowa rozsypywały się nagle w moim umyśle i musiałem zaczynać od nowa. To było kompletne szaleństwo, a jednak rzecz wydawała się całkowicie realna i z nadejściem poranka zdałem sobie sprawę, że zapadłem ponownie na chorobę, której nabawiłem się już niegdyś w Arpinum.

Tego dnia mieliśmy znów wsiąść na statek i popłynąć do Koryntu. Próbowałem zachowywać się normalnie, ale musiałem chyba wyglądać niedobrze: upiornie blady, z zapadniętymi oczyma. Cyncero namawiał mnie, żebym coś zjadł, lecz ja nie mogłem utrzymać jedzenia w żołądku. Chociaż udało mi się wejść na pokład, cały dzień byłem półprzytomny i kiedy dopłynęliśmy wieczorem do Koryntu, musiano znieść mnie ze statku i położyć do łóżka.

Powstało pytanie, co ze mną począć. Za żadne skarby nie chciałem, by zostawiono mnie w Koryncie, a i Cyncero nie chciał się ze mną rozstawać. Musiał jednak wracać do Rzymu, po pierwsze, by w miarę swoich skromnych możliwości postarać się zapobiec wojnie domowej, po drugie, by zabiegać o triumfalny wjazd, na który, nie bacząc na ogólną sytuację, nadal miał jakąś nadzieję. Nie mógł tracić czasu w Grecji, czekając, aż jego sekretarz poczuje się lepiej. Patrząc wstecz, widzę, że powinienem zostać w Koryncie. Tymczasem doszliśmy do wniosku, że starczy mi sił na dwudniową podróż do Patras, gdzie

czekał statek mający nas zawieźć do Italii. Była to głupia decyzja. Opatulonego kocami i ułożonego z tyłu powozu, wieziono mnie w wielkiej niewygodzie nadmorską drogą. Kiedy dotarliśmy do Patras, błagałem, by odpłynęli beze mnie. Byłem pewien, że nie przeżyję długiej morskiej podróży. Cyncero nadal się wahał, lecz w końcu uległ. Umieszczono mnie w znajdującej się przy porcie willi greckiego kupca Lizona. Cyncero, Marek i młody Kwintus stanęli przy moim łóżku, by się pożegnać. Każdy z nich uścisnął mi rękę. Cyncero płakał. Słabym głosem zażartowałem, że nasza scena rozstania przypomina ostatnie chwile przy łożu śmierci Sokratesa. A potem odeszli.

* * *

Następnego dnia Cyncero napisał do mnie list, który przysłał za pośrednictwem Maria, jednego ze swych najbardziej zaufanych niewolników.

Sądziłem, że mogę bez ciebie jakoś wytrzymać, ale szczerze mówiąc, twoja nieobecność jest nie do zniesienia. Czuję, że zostawiając cię, źle zrobiłem. Gdybyś po zjedzeniu pożywnego posiłku uznał, że zdołasz mnie jeszcze dogonić, decyzja jest w twoich rękach. Przemyśl to sobie w tej swojej sprytniej głowie. Brakuje mi ciebie, ale jednocześnie cię kocham. Ponieważ cię kocham, chcę, byś był sprawny i zdrowy. Ponieważ mi ciebie brakuje, chcę cię jak najszybciej zobaczyć. To pierwsze jest ważniejsze od drugiego. Dbaj więc przede wszystkim o to, żeby wydobrzedł. Ze wszystkich niezliczonych przysług, jakie mi oddałeś, ta jest w tej chwili najważniejsza.

W trakcie mojej choroby napisał do mnie wiele takich listów – raz wysłał aż trzy jednego dnia. Naturalnie tęskniłem za nim tak samo mocno, jak on tęsknił za mną. Ale byłem naprawdę ciężko chory. Nie mogłem wybrać się w podróż. Upłynęło aż osiem miesięcy, nim znów go zobaczyłem, a wtedy jego świat, nasz świat, zmienił się nie do poznania.

Lizon był troskliwym gospodarzem i sprowadził własnego lekarza, podobnie jak on Greka, o imieniu Askłapos. Ten zastosował kurację oczyszczającą, siódme poty, głodówkę oraz nawodnienie: wszystkie zabiegi przewidziane w leczeniu febry, podczas gdy tak naprawdę potrzebowałem tylko odpoczynku. Cycero obawiał się jednak, że Lizon może się okazać *trochę niesumienny: to cecha wszystkich Greków*, i po kilku dniach załatwił, by przeniesiono mnie do większego i bardziej spokojnego domu na wzgórzu, daleko od portowych hałasów. Willa należała do jego przyjaciela z dzieciństwa, Maniusza Kuriusza: *Pokładam w Kuriuszu wszelkie nadzieje, że zapewni ci właściwe leczenie i opiekę. To człowiek gołębiego serca i żywi do mnie najszczerzą przyjaźń. Możesz się bez obaw oddać w jego ręce.*

Kuriusz był w rzeczy samej przemiłym, kulturalnym mężczyzną, wdowcem, bankierem z zawodu, i troskliwie o mnie zadbał. Dostałem pokój z tarasem wychodzącym na zachód, na morze, i później, kiedy odzyskałem trochę siły, siadywałem tam przez godzinę po południu,

obserwując wpływające do portu i wypływające statki handlowe. Kuriusz miał regularne kontakty z najróżniejszymi ludźmi w Rzymie – senatorami, ekwitami, poborcami podatkowymi i armatorami – i dzięki otrzymywanym przez niego oraz przeze mnie listom, a także faktowi, że Patras stanowiło, geograficznie rzecz biorąc, bramę do Grecji, polityczne wieści docierały do nas tak szybko, jak tylko było to możliwe w tej części świata.

Pewnego dnia pod koniec stycznia – od wyjazdu Cyncerona musiało już minąć około trzech miesięcy – Kuriusz wszedł do mojego pokoju z posępną miną i zapytał, czy czuję się dość dobrze, by usłyszeć złe wiadomości.

– Cezar najechał na Italię – powiedział, kiedy pokiwałem głową.

Wiele lat później Cyncero często się zastanawiał, czy te trzy tygodnie, które zmitrężyliśmy na Rodos, mogły zaważyć na losach wojny i pokoju. Gdyby tylko, lamentował, udało mu się dotrzeć do Rzymu miesiąc wcześniej! Należał do nielicznych ludzi, z których zdaniem liczyły się obie strony, i w tym krótkim czasie, gdy przebywał na obrzeżach Rzymu, jeszcze przed wybuchem konfliktu – trwało to niespełna tydzień – zaczął, jak mi powiedział, wypracowywać warunki kompromisu: Cezar miał oddać Galię i wszystkie legiony z wyjątkiem jednego, a w zamian za to pozwolono by mu

ubiegać się o konsulat *in absentia*. Ale wtedy było już za późno. Pompejusz miał wątpliwości co do takiego układu; senat odrzucił go; a Cezar, jak Cycero podejrzewał, już wcześniej podjął decyzję, że uderzy, doszedłszy do wniosku, że nigdy nie będzie tak silny jak w tamtej chwili. „Mówiąc w skrócie, znalazłem się pośród szaleńców prących do wojny”.

Kiedy tylko usłyszał o wkroczeniu Cezara do Italii, udał się prosto do willi Pompejusza na wzgórzu Pincio, by zapewnić go o swoim poparciu. Byli tam już przywódcy partii wojennej – Katon, Ahenobarbus, konsulowie Marcellinus i Lentulus; łącznie piętnaście, dwadzieścia osób. Pompejusz był wściekły i spanikowany. Sądził mylnie, że Cezar prowadzi całą swoją armię, w sile około pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy, podczas gdy w rzeczywistości ten niepoprawny ryzykant przekroczył Rubikon z zaledwie jedną dziesiątą tych sił i liczył na efekt szoku, jaki wywoła jego agresja. Ale Pompejusz jeszcze tego nie wiedział i dlatego zarządził, że miasto ma zostać opuszczone. Rozkazał, by wszyscy senatorowie wyjechali z Rzymu. Każdy, kto tego nie uczyni, będzie uznany za zdrajcę. Kiedy Cycero zaprotestował, twierdząc, że to szaleństwo, Pompejusz napadł na niego: „To dotyczy również ciebie, Cyceronie!”. Ta wojna nie rozstrzygnie się w Rzymie, oświadczył, ani nawet nie w Italii – godząc się na to, poszliby na rękę Cezarowi. To będzie wojna światowa, tocząca się w Hiszpanii, w Afryce, na

wschodnich rubieżach Morza Śródziemnego, a przede wszystkim na morzu. On, Pompejusz, zablokuje Italię. Głodem weźmie przeciwnika, aż ten się podda. Cezar będzie rządził trupiarnią.

Wzdrygnąłem się, słysząc, jakiego rodzaju wojnę zamierza toczyć – napisał Cyncero do Attyka – okrutną i totalną, ponad wszelkie ludzkie wyobrażenie. Wstrząsnęła nim również wrogość, z jaką odniósł się do niego Pompejusz. Zgodnie z rozkazem Cyncero opuścił Rzym, schronił się w Formiae i rozważał, co ma robić dalej. Oficjalnie powierzono mu obronę wybrzeża i rekrutację w północnej Kampanii, ale praktycznie nie robił nic. Pompejusz przysłał utrzymany w chłodnym tonie list, w którym przypominał mu o jego obowiązkach. Mając na uwadze Twój niezłomny i szczery patriotyzm, wzywam cię gorąco, byś do nas dołączył, abyśmy mogli wspólnie pomóc i dać wytchnienie naszemu udręczonemu krajowi.

Mniej więcej w tym samym czasie Cyncero napisał do mnie; otrzymałem jego list ze trzy tygodnie po tym, jak dowiedziałem się o wybuchu wojny.

Cyncero do swojego drogiego Tirona, pozdrowienia.

Życie moje, życie wszystkich porządných ludzi i przyszłość całej republiki zawisły na włosku, czego możesz się domyślać, wiedząc, że zostawiliśmy na zatracenie i pastwę płomieni nasze domy i rodzinne miasto. Ogarnięty dziwnym szaleństwem, zapominając, jakie nosi imię i jakich dostąpił zaszczytów, Cezar zajął Ariminium, Pisaurum, Ankone i Arretium. Opuściliśmy zatem Rzym – nie warto spierać się, czy było to przejawem odwagi, czy roztropności. Dotarliśmy do punktu, w którym

tylko jakiś bóg albo przypadek może przyjść nam na ratunek. Na domiar złego mój zięć Dolabella dołączył do Cezara.

Chciałem, byś o tym wszystkim wiedział. Nie pozwól, by te fakty wprawiły cię w przygnębienie i zakłóciły twój powrót do zdrowia. Ponieważ nie możesz być ze mną w chwili, gdy najbardziej potrzebuję twoich usług i lojalności, pod żadnym pozorem się nie śpiesz i nie bądź taki głupi, by wybierać się w podróż w złym stanie zdrowia bądź w zimie.

Zastosowałem się do jego instrukcji i upadek republiki rzymskiej śledziłem złożony niemocą – w mojej pamięci trawiąca mnie gorączka i rozgrywające się w Italii szaleństwo na zawsze połączyły się w jeden bolesny koszmar. Pompejusz ze swoją pośpiesznie sformowaną armią skierował się do Brundisium, żeby wypłynąć do Macedonii i rozpocząć tę ich światową wojnę. Cezar popędził za nim, by go zatrzymać. Próbował zablokować port, ale się spóźnił i tylko patrzył, jak żagle floty Pompejusza znikają w oddali. Zawrócił więc i ruszył tą samą drogą, którą przebył, w stronę Rzymu. Maszerując wzdłuż Via Appia, znalazł się tuż obok posiadłości Cyncerona w Formiae.

Formiae, 29 marca

Cycero do swojego drogiego Tirona, pozdrowienia.

Widziałem w końcu tego szaleńca – pierwszy raz od dziewięciu lat, możesz w to uwierzyć? Trochę twardszy, smuklejszy, z bardziej poszarzałą i może głębiej pobrużdżoną twarzą; wydaje się jednak, że to zbójeckie życie dobrze mu służy. Są ze mną Terencja, Tulia i Marek (nawiasem mówiąc, przesyłają pozdrowienia).

Oto co się wydarzyło. Przez cały wczorajszy dzień szeregi jego legionistów mijały naszą bramę – wyglądali groźnie, ale się nam nie

naprzykrzali. Zasiadaliśmy właśnie do kolacji, kiedy rejwach przy bramie zasygnalizował nam przybycie grupy konnych. Jakaż świta, jakież zakazane gęby! Sam wielki człowiek – jeśli jest jeszcze człowiekiem, a można się nad tym zastanawiać – był czujny, zuchwały i bardzo się śpieszył. Czy to rzymski generał, czy może raczej Hannibal? „Nie mogłem, przejeżdżając tak blisko, nie wstąpić, by cię zobaczyć”. Zupełnie jakby był sąsiadem z okolicy. Do Terencji i Tulii odnosił się z największym uszanowaniem. Odmówił jakiegokolwiek poczęstunku („Czas mnie goni”) i weszliśmy do mojego gabinetu, żeby porozmawiać. Byliśmy zupełnie sami. Od razu przystąpił do rzeczy. Za cztery dni zwoływał posiedzenie senatu.

– Na mocy jakiego prawa? – zapytałem.

– Takiego – odparł, dotykając rękojeści miecza. – Dołącz do nas i pracuj na rzecz pokoju.

– Według własnego uznania?

– Oczywiście. Kimże jestem, by dyktować ci zasady?

– Znakomicie, w takim razie oświadczę, że senat nie powinien przyjąć twojego planu wysyłania oddziałów do Hiszpanii i Grecji, by tam walczyły z wojskiem republiki. I będę miał dużo do powiedzenia w obronie Pompejusza.

W tym momencie zaprotestował, mówiąc, że nie tego rodzaju rzeczy spodziewa się ode mnie usłyszeć.

– Tak też przypuszczałem – odrzekłem – i właśnie dlatego nie chcę tam być obecny. Albo mnie tam nie będzie, albo będę przemawiał w tym stylu i poruszę wiele innych spraw, przed których skomentowaniem nie zdołam się pewnie powstrzymać, kiedy już się tam znajdę.

Zareagował na to bardzo chłodno. Stwierdził, że w gruncie rzeczy opowiadam się przeciwko niemu i że jeśli nie chcę przejść na jego stronę, inni też nie będą zbyt chętni. Powiedział mi, że powinienem to jeszcze przemyśleć i dać mu znać.

– Jeszcze jedno – dodał, wstając. – Chciałbym móc korzystać z twoich rad, ale jeśli mi ich nie udzielisz, poszukam ich wszędzie, gdzie to możliwe, i nie cofnę się przed niczym.

W tym nastroju się rozstaliśmy. Nie wątpię, że nasze spotkanie nie usposobiło go do mnie przychylnie. Staje się jeszcze bardziej oczywiste, że nie mogę tu dłużej zostać. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Nie wiedziałem, co na to odpisać, a poza tym bałem się, że każdy wysłany przeze mnie list zostanie przejęty, ponieważ Cycero odkrył, że jest otoczony szpiegami Cezara. Jednym z jego informatorów okazał się na przykład Dionizjusz, wychowawca chłopców, który towarzyszył nam w Cylicji. Był nim również, co znacznie bardziej wstrząsnęło Cycleronem, jego własny bratanek, młody Kwintus, który poprosił o spotkanie z Cezarem bezpośrednio po jego wizycie w Formiae i powiedział mu, że stryj ma zamiar przejść do obozu Pompejusza.

Cezar był w tym czasie w Rzymie. Realizując plan, który przedstawił Cycleronowi, zwołał posiedzenie senatu. Mało kto wziął w nim udział: senatorowie opuszczali Italię prawie przy każdym przypływie, by dołączyć do Pompejusza w Macedonii. Jednak dając nieprawdopodobny przykład niekompetencji, w ferworze ucieczki Pompejusz zapomniał opróżnić skarbiec w świątyni Saturna. Cezar ruszył tam na czele kohorty żołnierzy, by go przejąć. Trybun Lucjusz Cecyliusz Metellus zabarykadował się w środku i wygłosił mowę na temat świętości prawa, na co Cezar odpowiedział: „Jest czas na rządy prawa i jest czas na rządy miecza. Jeśli nie podoba ci się to, co robię, oszczędź mi swoich mów i zejdz mi z drogi”. A kiedy Metellus nadal nie chciał się usunąć, dodał: „Zejdz mi z drogi albo każę cię zabić, młody człowieku, i wiedz, że zrobienie tego budzi we mnie mniejszą niechęć niż konieczność powtarzania ci tego

dwa razy”. Słyszając to, Metellus bardzo szybko dał za wygraną.

Taki był człowiek, któremu Kwintus doniósł na swojego stryja. Pierwszym sygnałem wskazującym na jego zdradę był list, który Cyncero otrzymał od Cezara, będącego już w drodze do Hiszpanii, gdzie miał zamiar stawić czoło armiom Pompejusza.

W drodze do Massalii, 16 kwietnia

Cezar imperator do Cyncerona imperatora.

Zaniepokoiły mnie pewne doniesienia i dlatego czuję, że powinienem do Ciebie napisać i w imię naszych wzajemnych stosunków zaapelować, byś nie podejmował żadnych pośpiesznych i nieroztropnych kroków. Robiąc to, zadałbyś poważny cios naszej przyjaźni. Trzymanie się z dala od wewnętrznych sporów jest z pewnością najbardziej odpowiednią drogą dla każdego dobrego, miłującego pokój człowieka i dla każdego obywatela. Część tych, którzy chcieliby ją obrać, nie uczyniła tego z obawy o własne bezpieczeństwo. Jeśli zważysz dobrze świadectwo mojego życia i oszczędzisz naszą przyjaźń, nie znajdziesz bezpieczniejszego i bardziej honorowego wyjścia aniżeli trzymanie się z dala od całego konfliktu.

Cyncero powiedział mi później, że dopiero po przeczytaniu tego listu uświadomił sobie z całą pewnością, że musi wsiąść na statek – „niech to będzie nawet wiosłowa łódź” – i dołączyć do Pompejusza, nie mógł bowiem ścierpieć, by w sposób tak ordynarny i niedwuznaczny mu grożono. Wezwał do Formiae młodego Kwintusa i porządnie go obsztorcował. W skrytości ducha był mu jednak całkiem wdzięczny i przekonał swego brata, by nie karciał młodzieńca zbyt

surowo. „Cóż złego w końcu zrobił poza wyjawieniem, co czuję w głębi duszy... i czego nie miałem odwagi powiedzieć w oczy Cezarowi? A kiedy później usłyszałem od niego propozycję, bym schował się do mysiej dziury i przesiedział tam bezpiecznie całą wojnę, podczas gdy inni będą ginąć za sprawę republiki, uświadomiłem sobie nagle, na czym polega mój obowiązek”.

W największym zaufaniu wysłał mi za pośrednictwem Attyka i Kuriusza zaszyfrowaną wiadomość, że udaje się *do miejsca, gdzie po raz pierwszy odwiedził nas Milon i jego gladiator, i jeśli pozwoli ci na to twoje zdrowie i zechcesz do mnie ponownie dołączyć, nic nie sprawi mi większej radości.*

Wiedziałem od razu, że ma na myśli Tesaloniki, w których gromadziły się teraz wojska Pompejusza. Udział w wojnie domowej wcale mi się nie uśmiechał. Wydawało mi się to czymś skrajnie niebezpiecznym. Z drugiej strony byłem oddany Cynceronowi i pochwalałem jego decyzję. Choć Pompejusz nie był wolny od wad, udowodnił ostatecznie, że jest skłonny przestrzegać porządku prawnego: po zamordowaniu Klodiusza powierzono mu najwyższą władzę i po pewnym czasie ją oddał. Prawo stało po jego stronie: to Cezar, a nie on, najechał Italię i niszczył republikę.

Trawiąca mnie gorączka ustąpiła i wróciłem do zdrowia. Ja też wiedziałem, co muszę zrobić. Dlatego pod koniec lipca pożegnałem się z Kuriuszem, z którym

zdążyłem się już zaprzyjaźnić, i wyruszyłem, by szukać szczęścia na wojnie.

X



Podróżowałem głównie drogą morską – na wschód przez Zatokę Koryncką, a potem na północ wzdłuż wybrzeża Morza Egejskiego. Kuriusz zaproponował mi jako służącego jednego ze swoich niewolników, ale wolałem podróżować sam – będąc nie tak dawno własnością innego człowieka, źle bym się czuł w roli pana. Oglądając z pokładu statku starodawny spokojny pejzaż z gajami oliwnymi, stadami owiec, świątyniami i rybakami, człowiek nigdy by się nie domyślił, że świat stał się areną tytanicznych zmaganiań. Dopiero gdy okrążyliśmy skalisty cypel i zobaczyliśmy przed sobą Tesaloniki, wszystko się zmieniło. Wejście do portu było zablokowane setkami okrętów i statków zaopatrzeniowych. Można było niemal przejść po nich suchą nogą z jednego krańca zatoki na drugi. W samym

porcie, gdziekolwiek spojrzeć, widziało się oznaki bliskiej wojny – tłumy żołnierzy, konie, wozy załadowane bronią, zbrojami i namiotami, maszyny oblężnicze, a także niezmierzone zastępy gapiów, którzy zawsze towarzyszą szyczącą się do boju wielkiej armii.

Nie miałem pojęcia, gdzie pośród tego chaosu znaleźć Cyncerona, znałem jednak kogoś, kto mógł mi w tym pomóc. Epifanes w pierwszej chwili mnie nie poznał, być może dlatego, że miałem na sobie togę, a on nigdy nie brał mnie za obywatela Rzymu. Ale kiedy przypomniałem mu nasze dawne sprawy, zakrzyknął radośnie, chwycił moją rękę i przycisnął ją do serca. Sądząc po drogich pierścieniach na jego palcach i umalowanej henną młodej niewolnicy, która leżała nadąsana na sofie, zdążył się już wzbogacić na wojnie, lecz na mój użytek głośno lamentował z jej powodu. Cyncero, poinformował mnie, zamieszkał w tej samej willi, którą zajmował dziesięć lat wcześniej.

– Niechaj bogowie dadzą wam szybkie zwycięstwo – zawołał za mną – ale może dopiero po tym, jak ubijemy z wami dobry interes!

Jak dziwnie było pokonywać znowu tę znajomą trasę, wejść do niezmienionego domu i znaleźć Cyncerona siedzącego na dziedzińcu, na tej samej kamiennej ławie, i wpatrującego się w przestrzeń z takim samym wyrazem skrajnego zniechęcenia na twarzy. Na mój widok zerwał

się z miejsca, otworzył szeroko ramiona i przycisnął mnie do serca.

– Strasznie schudłeś! – wykrzyknął, macając moje kościste ramiona. – Ani chybi znowu zachorujesz. Musimy cię podtuczyć!

Zawołał innych, by zobaczyli, kto przyszedł, i z różnych stron nadeszli kolejno jego syn Marek, teraz odziany w togę barczysty szesnastolatek o bujnej czuprynie, bratanek Kwintus, lekko onieśmielony, bo musiał wiedzieć, że Cyncero poinformował mnie o jego nieopatrzonym chlapaniu jęzorem, i na koniec Kwintus senior, który uśmiechnął się na mój widok, ale na jego twarzy szybko pojawił się z powrotem wyraz melancholii. Widać było, że z wyjątkiem młodego Marka, który szkolił się na kawalerzystę i uwielbiał spędzać czas razem z żołnierzami, domownicy są w niewesołym nastroju.

– Cała nasza strategia jest do niczego – poskarżył mi się Cyncero wieczorem przy kolacji. – Siedzimy tu beczynn timer, podczas gdy Cezar plądruje Hiszpanię. Według mnie zbyt wiele uwagi poświęca się augurom... badanie lotu ptaków i wnętrzości ma oczywiście znaczenie dla rządów cywilnych, ale słabo sprawdza się, kiedy trzeba dowodzić armią. Czasami zastanawiam się, czy Pompejusz jest rzeczywiście takim wojskowym geniuszem, za którego uchodzi.

Cyncero nie byłby Cynceronem, gdyby zachował takie opinie tylko dla domowników i nie dzielił się nimi

z każdym, kto chciał go w Tesalonicach słuchać. Wkrótce zdałem sobie sprawę, że zaczęto go uważać za kogoś w rodzaju defetysty. Nic dziwnego, że Pompejusz prawie się z nim nie spotykał, choć z drugiej strony mogło to wynikać z faktu, że bardzo często wyjeżdżał, by szkolić swoje nowe legiony. Kiedy tam przyjechałem, w Tesalonicach było prawie dwustu senatorów, wielu z nich w podeszłym wieku. Nie mając nic do roboty, wystawali wokół świątyni Apollina, kłócili się ze sobą. Wszystkie wojny są straszne, ale wojny domowe straszniejsze od innych. Kilku najbliższych przyjaciół Cyclerona, między innymi młody Celiusz Rufus, walczyło pod rozkazami Cezara. Jego nowy zięć, Dolabella, dowodził nawet flotyllą Cezara na Adriatyku. Pierwsze słowa, jakie Cycero usłyszał od Pompejusza po przyjeździe, brzmiały: „Gdzie jest twój nowy zięć?”. Na co odrzekł: „Z twoim dawnym teściem”. Pompejusz mruknął coś pod nosem i odszedł.

Kiedy zapytałem Cyclerona, jakim człowiekiem jest Dolabella, przewrócił oczyma.

– To awanturnik, podobnie jak wszyscy podwładni Cezara. Zimny drań i cynik, zbyt ulegający zwierzęcym instynktom, by mu to wyszło na dobre... właściwie nawet go lubię. Ale biedna droga Tulia! Cóż za mąż trafił jej się tym razem! Tuż przed moim wyjazdem z Cumae kochana dziewczyna urodziła przedwcześnie dziecko, ale nie dożyło wieczoru. Obawiam się, że kolejny

poród może ją zabić. I oczywiście im bardziej Dolabella ma dosyć jej i jej chorób... jest od niego starsza... tym bardziej rozpaczliwie ona go kocha. W dodatku nadal nie zapłaciłem mu drugiej raty posagu. Sześćset tysięcy sestercji! Ale gdzie, tkwiąc tutaj, mam znaleźć taką sumę?

To lato było jeszcze bardziej upalne niż wtedy, gdy Cyncero przebywał na wygnaniu – zresztą teraz na wygnaniu przebywała razem z nim połowa Rzymu. Marnieliśmy w wilgotnym powietrzu rojnego miasta. Czasami trudno mi było nie odczuwać pewnej ponurej satysfakcji na widok tylu ludzi, którzy ignorowali ostrzeżenia Cyncerona na temat Cezara (który naprawdę spodziewał się, iż Cyncero wyniesie się z Rzymu, by prowadzić spokojne życie), a teraz na własnej skórze poznali, jak to jest być daleko od domu i mieć przed sobą niepewną przyszłość.

Gdyby tylko powstrzymano wcześniej Cezara! Ten lament powtarzali wszyscy. Lecz było już za późno i losy wojny sprzyjały Cezarowi. W szczytowym momencie letnich upałów do Tesalonik przybyli posłańcy z wiadomością, że armia senatu w Hiszpanii poddała mu się po kampanii, która trwała zaledwie czterdzieści dni. Przyjęto to z wielką konsternacją. Wkrótce potem pojawili się we własnych osobach dowódcy pokonanej armii: Lucjusz Afraniusz, najwierniejszy z oficerów Pompejusza, oraz Marek Petrejusz, który przed czternastu laty pokonał Katylinę na polu bitwy. Senat na

uchodźstwie osłupiał na ich widok. Katon wstał, by zapytać ich o to, o czym myśleli wszyscy.

– Dlaczego nie zginęliście lub nie trafiliście do niewoli?

Afraniusz zaczął z pewnym wstydem tłumaczyć, że Cezar ich ułaskawił i że wszystkim żołnierzom, którzy walczyli w armii republiki, pozwolono wrócić do domów.

– Ułaskawił was?! – zakrzyknął Katon. – Cóż to znaczy „ułaskawił”? Czyżby został królem? Jesteście prawowitymi dowódcami legalnej armii. On jest renegatem. Powinniście raczej zadać sobie śmierć, niż przyjąć łaskę zdrajcy! Po co żyć dalej, skoro straciliście honor? Czy może sensem waszej egzystencji jest teraz szczenie z przodu i sranie z tyłu?

Afraniusz dobył miecza i oznajmił nieco drżącym głosem, że nikt, nawet Katon, nie będzie go nazywał tchórzem. Kto wie, czy nie doszłoby do rozlewu krwi, gdyby ich od siebie nie odciągnięto.

Cycero powiedział mi później, że ze wszystkich sprytnych posunięć Cezara najbardziej genialna była jego polityka ułaskawień. Wbrew pozorom nie różniła się wiele od odsyłania do domu żołnierzy z garnizonu Uxellodunum po tym, jak ucięto im ręce. Ci dumni ludzie zostali upokorzeni, praktycznie wykastrowani; ich zdumieni towarzysze widzieli w nich żywy dowód władzy Cezara. Samą swoją obecnością obniżali morale całej armii, bo jak Pompejusz miał zachęcać swoich żołnierzy do walki na śmierć i życie, skoro wiedzieli, że jeśli do niej

dojdzie, mogą zawsze złożyć broń i wrócić do swoich rodzin?

Pompejusz zwołał naradę wojenną, by omówić kryzys. Wzięli w niej udział przywódcy armii i senatu. Cyncero, który nadal był oficjalnie namiestnikiem Cylicji, naturalnie w niej uczestniczył i w drodze do świątyni towarzyszyli mu liktorzy. Chciał zabrać tam brata, ale adiutant Pompejusza zatrzymał Kwintusa przy wejściu, więc ten, wściekły i zakłopotany, musiał zostać na zewnątrz razem ze mną. Wśród tych, których wpuszczono do środka, byli: Afraniusz, którego postępowania w Hiszpanii Pompejusz zdecydowanie broniał; Domicjusz Ahenobarbus, któremu udało się uciec z obleganej przez Cezara Massalii i teraz widział zdrajców za każdym rogiem; Tytus Labienus, dawny sojusznik Pompejusza, który był zastępcą Cezara w Galii, ale nie przekroczył razem ze swoim wodzem Rubikonu; Marek Bibulus, dawny konsularny kolega Cezara, a obecnie admirał wielkiej, liczącej pięćset okrętów floty senatu; Katon, któremu obiecywano dowództwo floty, dopóki Pompejusz nie stwierdził, że nieroztropnie byłoby dawać tyle władzy tak zrzedliwemu koledze; a także Marek Juniusz Brutus, który miał dopiero trzydzieści sześć lat i był bratankiem Katona, ale jego przybycie, jak powiadano, ucieszyło Pompejusza bardziej niż kogokolwiek innego, ponieważ dawno temu, w czasach

dyktatury Sulli, Pompejusz zabił ojca Brutusa i oba rody były odtąd zwaśnione.

Zdaniem Cycerona Pompejusz emanował pewnością siebie. Zeszczupłał, narzucił sobie reżim ćwiczeń i wyglądał dziesięć lat młodziej niż w Italii. Utratę Hiszpanii uznał za rzecz pozbawioną znaczenia, błaHOSTKĘ. „Posłuchajcie mnie, panowie, posłuchajcie tego, co zawsze mówiłem: ta wojna zostanie wygrana na morzu” – powtarzał. Według jego szpiegów w Brundisium, Cezar miał dwa razy mniej okrętów, niż liczyła ich flota senatu. Była to kwestia prostej arytmetyki: brakowało mu statków transportowych, by wyekspediować z Italii oddziały mogące stawić czoło legionom Pompejusza, i dlatego znalazł się w pułapce. „Jest tam, gdzie chcemy, by był, i zaatakujemy go, kiedy będziemy gotowi. Ta wojna będzie się odtąd toczyć na moich warunkach i zgodnie z moim kalendarzem”.

* * *

Mniej więcej trzy miesiące później obudziło nas w środku nocy wściekłe walenie do drzwi. Zebraliśmy się zaspani w tablinum, gdzie czekali liktorzy wraz z oficerem z kwatery głównej Pompejusza. Cztery dni wcześniej wojska Cezara wylądowały na wybrzeżu Ilirii, niedaleko Dyrrachium; Pompejusz wydał całej armii

rozkaz wymarszu o świcie, żeby stawić im czoło. Do pokonania mieliśmy trzysta mil.

– Czy Cezar jest razem ze swoją armią? – zapytał Cyncero.

– Tak sądzimy.

– Ale podobno był w Hiszpanii – zauważył Kwintus.

– Rzeczywiście był w Hiszpanii – rzekł oschle Cyncero – ale najwyraźniej teraz jest tutaj. To dziwne: pamiętam, jak nas kategorycznie zapewniano, że to niemożliwe, bo nie ma tylu okrętów.

O świcie podeszliśmy do Bramy Egnatiańskiej, by spróbować dowiedzieć się czegoś więcej. Ziemia drżała od tupotu maszerującego drogą wojska – przez miasto szła długa kolumna, licząca w sumie czterdzieści tysięcy żołnierzy. Powiedziano mi, że rozciągała się na długości trzydziestu mil, ale my widzieliśmy oczywiście tylko jej fragment: niosących ciężkie tornistry pieszych legionistów, jeźdźców ze lśniącymi oszczepami, las sztandarów i orłów, opatrzonych budzącym dreszcz napisem „SPQR” („Senat i Lud Rzymski”), a poza tym trębaczy, łuczników, procarzy, artylerzystów, niewolników, kucharzy, skrybów i chirurgów, wozy wyładowane bagażami, juczne muły dźwigające namioty, narzędzia, żywność i broń, konie i woły ciągnące kusze i balisty.

Późnym rankiem dołączyliśmy do kolumny i nawet ja, który z wojskowością nie mam nic wspólnego, poczułem,

jak ogarnia mnie podniecenie. Cycero też chyba nabrał większej pewności siebie. Co do młodego Marka, był w siódmym niebie i jeździł w tę i z powrotem między naszą sekcją a konnicą. My także dosiadaliśmy koni. Przed nami maszerowali liktorzy z różgami przybranymi liśćmi laurowymi. W miarę jak posuwaliśmy się przez równinę w stronę gór, droga zaczęła się wznosić i daleko przed sobą ujrzałem wzbijany przez stopy i kopyta czerwonawobrazowy pył, w którym czasami błyskało odbite od stalowego hełmu albo oszczepu słońce.

O zmierzchu dotarliśmy do pierwszego obozu, otoczonego rowem, ziemnym wałem i palisadą. Namioty były już rozbite, ogniska zapalone; w ciemniejące niebo wzbijał się wspaniały zapach pieczonego mięsa. Pamiętam huk kowalskich młotów, rzenie i tupanie koni w zagrodach, a także silny zapach skóry dobiegający od strony namiotów, z których największy, oddalony nieco od innych, przeznaczony był dla Cyclerona. Stał przy skrzyżowaniu dróg, w samym środku obozu, blisko zatkniętych w ziemię sztandarów i ołtarza, przy którym Cycero przewodniczył tego wieczoru w tradycyjnym złożeniu ofiary Marsowi. Następnie wykąpał się, został namaszczoney, zjadł dobrą kolację, wyspał się na świeżym powietrzu i nazajutrz rano ruszyliśmy dalej.

I tak to mniej więcej wyglądało przez piętnaście dni, kiedy maszerowaliśmy przez góry Macedonii w stronę granicy z Ilirią. Cycero spodziewał się, że Pompejusz

wezwie go, by się z nim naradzić, ale wezwanie nie przychodziło. Nie wiedzieliśmy nawet, gdzie jest głównodowodzący, chociaż czasami Cycero dostawał listy, które pozwalały nam z grubsza odtworzyć, co się dzieje. Czwartego dnia stycznia Cezar wylądował na czele kilku legionów liczących razem może piętnaście tysięcy żołnierzy i całkowicie zaskoczywszy obronę, opanował port Apollonia, mniej więcej trzydzieści mil na południe od Dyrrachium. Ale to była tylko połowa jego armii. Po zajęciu przyczółka jego statki transportowe odpłynęły z powrotem do Italii, by przywieźć drugą połowę. (Pompejusz nigdy nie uwzględnił w swoich wyliczeniach, że przeciwnik może przepłynąć Adriatyk dwa razy). W tym momencie jednak Cezara opuściło jego słynne szczęście. Naszemu admirałowi, Bibulusowi, udało się przejąć trzydzieści jego statków. Podpalił je wraz z załogami, które spłonęły żywcem, następnie zaś tak rozlokował swoją wielką flotę, że uniemożliwił statkom Cezara zawinięcie do portów Ilirii.

Cezar znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Zbliżała się zima, a on był odwrócony plecami do morza, zablokowany, bez szans na uzupełnienie kontyngentu, i miał przeciwko sobie znacznie większe siły.

Kiedy zbliżaliśmy się do celu, Cycero otrzymał kolejny list od Pompejusza.

Pompejusz imperator do Cyclerona imperatora.

Cezar zaproponował, żebyśmy odbyli natychmiast rozmowy pokojowe, rozformowali w ciągu trzech dni nasze armie, przysięgli sobie na nowo przyjaźń i wrócili razem do Italii. Moim zdaniem nie świadczy to o jego pokojowych intencjach, lecz wynika ze słabości i uświadomienia sobie, iż nie zdoła wygrać tej wojny. W związku z tym, wiedząc, że się ze mną zgodzisz, odrzuciłem jego propozycję, która, jak podejrzewam, była wyłącznie podstępem.

– Czy ma rację? – zapytałem Cyncerona. – Zgodziłbyś się z nim?

– Nie – odparł – i on świetnie zdaje sobie z tego sprawę. Zrobiłbym wszystko, by zapobiec tej wojnie... i oczywiście dlatego w ogóle nie zapytał mnie o zdanie. Nie widzę przed nami niczego poza rzezią i zniszczeniem.

W tamtym momencie uznałem, że to stanowisko jest, nawet jak na niego, zbyt defetystyczne. Pompeusz rozlokował swoją wielką armię w okolicach Dyrrachium i wbrew oczekiwaniom znowu nie podejmował żadnych zaczepnych kroków. Nikt w najwyższej radzie wojennej nie mógł podważyć jego rozumowania: że z każdym mijającym dniem sytuacja Cezara staje się coraz gorsza; że ostatecznie głód może go skłonić do poddania się bez walki; i że najlepiej będzie zaatakować go na wiosnę, przy lepszej pogodzie.

Cynceronów zakwaterowano w willi na cyplu nieopodal Dyrrachium. Było to ustronne miejsce, ze wspaniałym widokiem na morze, i nie mogłem się nadziwić, że w odległości zaledwie trzydziestu mil na południe obozuje Cezar. Czasami wychylałem się z tarasu

i wykręcałem szyję w nadziei, że zobaczę jakiś ślad jego obecności, ale naturalnie nigdy mi się to nie udało.

A potem, na początku kwietnia, zobaczyliśmy niezwykle spektakl. Po kilku dniach spokojnej pogody nadeszła od południa nagła burza. Krople deszczu bębniły po dachu i wiatr hulał wokół naszego stojącego w odsłoniętym miejscu domu. Cyncero pisał właśnie list do Attyka, który doniósł mu z Rzymu, że Tulia rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy. Z pierwszej raty posagu przepadło gdzieś sześćdziesiąt tysięcy sestercji i Cyncero znów podejrzewał Filotymusa o nieczyste machlojki. Dyktował mi właśnie zdanie: *Piszesz, że wszystkiego jej brakuje; błagam Cię, nie pozwól, by to trwało dalej*, gdy do pokoju wbiegł Marek i oznajmił, że na morzu widać liczne okręty i że doszło chyba do bitwy morskiej.

Włożyliśmy płaszcze i wybiegliśmy do ogrodu. I rzeczywiście, mniej więcej milę od brzegu ujrzeliśmy liczącą kilkaset jednostek wielką flotę, gnaną wiatrem i miotaną przez potężne fale. Przypomniałem sobie naszą podróż do Dyrrachium, kiedy to o mało nie zatonęliśmy. Obserwowaliśmy okręty przez godzinę, aż w końcu wszystkie zniknęły nam z oczu, a potem stopniowo zaczęła się pojawiać druga flota – płynąca, jak mi się zdawało, zdecydowanie wolniej, ale najwyraźniej starająca się dogonić okręty, które przepłynęły wcześniej. Nie mieliśmy pojęcia, co rozgrywa się przed naszymi oczyma. Do kogo należały te upiornie szare okręty? Czy

doszło do bitwy na morzu? A jeśli tak, to czy ją wygraliśmy, czy przegraliśmy?

Nazajutrz rano Cyncero wysłał Marka do kwatery głównej Pompejusza, żeby czegoś się wywiedziało. Młodzieniec wrócił o zmierzchu, nader podekscytowany. O świcie armia miała zwinąć obóz. Sytuacja była niejasna, lecz wszystko wskazywało na to, że z Italii przy płynęła druga część armii Cezara. Nie udało im się wylądować przy przyczółku Cezara w Apollonii, częściowo z powodu naszej blokady, a częściowo z powodu sztormu, który zagnał ich teraz ponad sześćdziesiąt mil dalej na północ. Nasza flota próbowała ich ścigać, ale bez powodzenia. Z raportów wynikało, że żołnierze schodzą na ląd w okolicy portu Lissus. Pompejusz zamierzał rozbić ich, nim zdążą się połączyć z Cezarem.

Następnego ranka dołączyliśmy do armii i ruszyliśmy na północ. Krążyły pogłoski, że nowo przybyłym generałem, z którym przyjdzie nam się zmierzyć, jest Marek Antoniusz, zastępca Cezara. Cyncero miał nadzieję, że to prawda, bo znał Antoniusza – liczący sobie trzydzieści cztery lata dowódca cieszył się opinią niedyscyplinowanego i szalonego; według Cyncerona nie był nawet w przybliżeniu tak dobrym taktykiem jak Cezar. Ale kiedy podeszliśmy pod Lissus, gdzie miał wylądować Antoniusz, zastaliśmy tylko porzucony obóz z dopalającymi się kilkudziesięcioma ogniskami – spalono w nich cały sprzęt, którego jego ludzie nie mogli

zabrać ze sobą. Okazało się, że poprowadził ich przez góry na wschód.

Wykonaliśmy zatem nagły zwrot i pomaszerowaliśmy z powrotem na południe. Myślałem, że wrócimy do Dyrrachium, zamiast tego jednak minęliśmy je w pewnej odległości, podążając wciąż na południe, i po czterodniowym marszu zajęliśmy nowe pozycje wokół małego miasteczka Apsos. Teraz wyszło na jaw, jak genialnym wodzem jest Cezar, dowiedzieliśmy się bowiem, że w jakiś sposób udało mu się połączyć siły z Antoniuszem, który przeprowadził swoją armię przez górskie przełęcze. I chociaż połączone siły Cezara były mniej liczne od naszych, wykaraskał się z beznadziejnej sytuacji i teraz to on przejął inicjatywę, rozbijając obóz na naszych tyłach i odcinając nas od Dyrrachium. Nie oznaczało to jakiegóż wielkiej katastrofy – flota Pompejusza wciąż kontrolowała wybrzeże i jeśli morze nie było zbyt wzburzone, statki z zaopatrzeniem mogły dobijać do plaży. Ale ludzie mieli nieprzyjemne poczucie okrążenia. Czasami widzieliśmy daleko na zboczach żołnierzy Cezara, który zajął wznoszące się nad nami wzgórze. A potem rozpoczął zakrojone na dużą skalę prace inżynierskie – ścinał drzewa, budował drewniane forty, kopał rowy i sypał wały z wykopanej ziemi.

Nasi dowódcy starali się oczywiście przeszkadzać w prowadzeniu tych działań i dochodziło do wielu potyczek – czasami nawet czterech albo pięciu w ciągu

dnia. Ale prace trwały w zasadzie nieprzerwanie przez kilka miesięcy i w końcu Cezar zbudował długie na piętnaście mil fortyfikacje, które biegły szerokim łukiem wzdłuż naszych pozycji, poczynając od plaży na północy aż po klify na południu. Po naszej stronie utworzyliśmy własny system okopów i obie strony dzieliło czasami tylko pięćdziesiąt, a czasami sto kroków. Ustawiono maszyny oblężnicze i artylerzyści miotali na pozycje wroga kamienie i płonące żagwie. Oddziały zwiadowców przedzierały się w nocy przez linie i podrzynały gardła ludziom siedzącym w okopach po drugiej stronie. Kiedy cichł wiatr, słyszeliśmy, jak rozmawiają. Często obrzucali nas wyzwiskami; nasi ludzie nie pozostawiali im dłużni. Pamiętam atmosferę ciągłego napięcia. Zaczynało nam to grać na nerwach.

Cycero zachorował na dyzenterię i spędzał większość czasu, czytając i pisząc listy w swoim namiocie. Określenie „namiot” jest nieco mylące. Mogło się zdawać, że on i inni czołowi senatorowie biorą udział w konkursie na najbardziej luksusowe urządzenie swoich kwater. W środku były przywiezione z Italii dywany, sofy, posągi i srebrna zastawa, na zewnątrz ściany z darni i przystrojone liśćmi altanki. Zapraszali się wzajemnie na kolacje i razem się kąpali, zupełnie jakby wciąż mieszkali na Palatynie. Cycero zaprzyjaźnił się szczególnie blisko z bratankiem Katona, Brutusem, który mieszkał w sąsiednim namiocie i rzadko kiedy można go było

zobaczyć bez jakiejś książki filozoficznej w rękę. Dyskutowali ze sobą godzinami, aż do późnej nocy. Cyncero lubił go za jego szlachetny charakter i czytanie, ale martwił się, że ma głowę tak wypełnioną filozoficznymi rozważaniami, że nie wiadomo, czy zdoła z niej zrobić jakiś praktyczny użytek. „Czasami obawiam się, że wykształcenie odebrało mu rozum” mawiał.

Jedną z osobliwości tego rodzaju wojny pozycyjnej polegała na tym, że można było całkiem przyjaźnie kontaktować się z wrogiem. Chociaż nasi oficerowie surowo karali za taką fraternizację, szeregowi żołnierze spotykali się co jakiś czas na ziemi niczyjej, żeby pogadać lub pograć w kości. Nad liniami okopów przerzucano listy. Cyncero dostał drogą morską kilka wiadomości od Rufusa, przebywającego w Rzymie, a nawet jedną od Dolabelli, który stacjonował razem z Cezarem pięć mil dalej i wysłał kuriera z białą flagą.

Rad jestem, jeśli dobrze się czujesz. Ja sam czuję się dobrze, podobnie jak nasza Tulia. Terencja trochę chorowała, ale wiem na pewno, że już jej się polepszyło. Poza tym wszystkie twoje domowe sprawy są w jak najlepszym porządku.

Dostrzegasz chyba, w jakiej sytuacji znalazł się Pompejusz. Wyparty z Italii, utracił Hiszpanię, a teraz na domiar złego został okrążony w swoim obozie – upokorzenie, którego, jak mi się zdaje, nie zaznał wcześniej żaden rzymski generał. Proszę cię przynajmniej o jedno: jeżeli uda mu się wykaraskać z tej opresji i ucieknie ze swoją flotą, zadbaj o własne interesy. I na dłuższą metę bądź raczej przyjacielem dla siebie niżli dla kogokolwiek innego.

Mój najdroższy Cynceronie, jeśli okaże się, że Pompejusz zostanie wyparty również z tego rejonu, by szukać szczęścia gdzie indziej, mam

nadzieję, że wyjedziesz do Aten albo jakiegoś innego spokojnego miejsca, które ci odpowiada. Wszelkie dotyczące twojego bezpieczeństwa gwarancje, których potrzebujesz od głównodowodzącego, uzyskasz z największą łatwością od kogoś tak dobrze usposobionego jak Cezar. Ufam, że wiedziony nakazami honoru i uprzejmości dopilnujesz, by kurier, którego do Ciebie posłałem, mógł do mnie wrócić i doręczyć mi list od Ciebie.

Cyconowi trudno było opanować sprzeczne emocje, które wzbudził w nim ten niezwykły list – czuł radość, że Tulia ma się dobrze, oburzenie z powodu zuchwalstwa zięcia, podszytą poczuciem winy ulgę, że nadal obejmuje go polityka „laskawości” Cezara, a także lęk, że to pismo mogłoby wpaść w ręce fanatyka w rodzaju Ahenobarbusa, który z pewnością wykorzystałby je, żeby oskarżyć go o zdradę...

Skreślił krótką odpowiedź, informując, że ma się dobrze i że nadal opowiada się po stronie senatu, po czym kazał odprowadzić kuriera pod eskortą do linii okopów.

Z nastaniem upałów życie w obozie stało się mniej przyjemne. Cezar potrafił genialnie zagradzać strumienie i odwracać bieg rzek – dzięki temu właśnie zdobywał oblegane twierdze w Galii i Hiszpanii – i teraz posłużył się tą taktyką przeciwko nam. Spływające z gór rzeki i strumienie przebiegały przez teren, który zajął, i jego inżynierowie je zagrodzili. Trawa pożółkła i pobrązowiała. Wodę trzeba było sprowadzać w tysiącach amfor i zaczęto ją racjonować. Z rozkazu Pompejusza zakazano codziennych kąpiei senatorów. Co ważniejsze, z powodu

odwodnienia i braku paszy zaczęły padać konie. Wiedzieliśmy, że żołnierze Cezara są w jeszcze gorszej sytuacji – w przeciwieństwie do nas nie mogli liczyć na dostawę drogą morską i byli odcięci od Grecji i Macedonii. Piekli chleb z wykopywanych z ziemi korzonków. Jednak zahartowani w bojach weterani Cezara byli twardsi od naszych ludzi; nie wyglądało na to, by słabli.

Nie wiem, jak długo to jeszcze mogło potrwać. Ale mniej więcej cztery miesiące po naszym przybyciu do Dyrrachium doszło do przełomu. Cyclerona wezwano na jedną z nieregularnie zwoływanych porad wojennych, do stojącego pośrodku obozu wielkiego namiotu Pompejusza, i kilka godzin później wrócił niemal w radosnym nastroju. Powiedział nam, że dwaj Galowie służący w formacjach pomocniczych armii Cezara zostali złapani na okradaniu swoich legionowych towarzyszy i skazani na śmierć przez chłostę. Udało im się jakoś uciec, przeszli na naszą stronę i w zamian za ocalenie życia zaoferowali informacje. Jak powiedzieli, fortyfikacje Cezara są osłabione na odcinku dwustu kroków, blisko morza. Zewnętrzne obwarowania wydają się mocne, ale nie zabezpiecza ich druga linia. Pompejusz ostrzegł Galów, że umrą straszliwą śmiercią, jeśli to, co mówią, okaże się kłamstwem, lecz oni przysięgali, że to prawda, i błagali, by się pośpieszył, zanim fortyfikacje zostaną wzmocnione. Pompejusz nie widział powodu, by im nie

wierzyć, i zdecydował, że natarcie rozpocznie się nazajutrz o świcie.

Przez całą noc nasze oddziały po kryjomu zajmowały pozycje. W natarciu miał wziąć udział młody Marek, który był teraz oficerem konnicy. Cycero nie mógł zasnąć z obawy o jego bezpieczeństwo i o pierwszym brzasku on, ja i Kwintus wyjechaliśmy wraz z liktorami, by obejrzeć bitwę. Pompejusz zaangażował naprawdę wielkie siły. Ponieważ nie udało nam się podjechać dość blisko, by widzieć, co się dzieje, Cycero zsiadł z konia i ruszyliśmy wzdłuż plaży. Fale chlupotały wokół naszych stóp. Ćwierć mili od brzegu stały zakotwiczone w rzędzie nasze okręty. Przed sobą słyszeliśmy zlewający się z rykiem morza bitewny zgiełk. Niebo było ciemne od strzał, co jakiś czas rozświetlały je płonące pociski. Na plaży musiało być z pięć tysięcy ludzi. Jeden z wojskowych trybunów poprosił nas, żebyśmy nie zapuszczali się dalej, bo to niebezpieczne, usiedliśmy więc pod drzewem mirtowym i coś zjedliśmy.

Koło południa nasz legion przesunął się dalej i podążyliśmy ostrożnie jego śladem. Drewniany fort, który ludzie Cezara zbudowali na wydmach, przeszedł w nasze ręce i na ciągnącej się za nim równinie widać było tysiące ludzi. Panował okropny upał. Wszędzie leżały ciała przebite oszczepami i strzałami lub ze strasznymi ziejącymi ranami. Po prawej stronie zobaczyliśmy kilka szwadronów konnicy galopującej w stronę walczących.

Cycero był przekonany, że zobaczył wśród nich Marka, i zaczęliśmy wszyscy głośno wiwatować, ale potem Kwintus rozpoznał ich barwy i oznajmił, że to konnica Cezara. W tym momencie liktorzy Cycerona czym prędzej zabrali nas z pola bitwy i wróciliśmy do obozu.

Bitwa pod Dyrrachium, jak ją później nazwano, zakończyła się naszym wielkim zwycięstwem. Linia obrony Cezara została przerwana i cała jego armia znalazła się w potrzasku. W gruncie rzeczy mógł tego dnia ponieść ostateczną klęskę, gdyby nie system obwarowań, które spowolniły nasze natarcie i sprawiły, że musieliśmy się okopać przed nadejściem nocy. Pompejusz został na polu bitwy obwołany imperatorem i wróciwszy w bojowym rydwaniu, objechał ze swoją eskortą cały obóz, a potem, pozdrawiany głośno przez legionistów, przemierzał przy blasku pochodni uliczki między namiotami.

Nazajutrz późnym rankiem z miejsca, gdzie znajdował się obóz Cezara, zaczęły się unosić słupy dymu. Jednocześnie zewsząd dochodziły meldunki, że okopy za naszymi liniami są puste. Nasi żołnierze zapuścili się tam z początku ostrożnie, ale już wkrótce zwiedzali fortyfikacje przeciwnika, zadziwieni, że tak szybko porzucił coś, co zajęło mu tyle miesięcy pracy. Nie było jednak co do tego wątpliwości: legionści Cezara odmaszerowali na wschód przez Via Egnatia. Widzieliśmy

unoszący się nad drogą pył. Sprzęt, którego nie zdołali ze sobą zabrać, spalili. Oblężenie dobiegło końca.

Późnym popołudniem Pompejusz zwołał posiedzenie senatu, by zdecydować, co należy dalej robić. Cycero poprosił, żebym towarzyszył jemu i Kwintusowi, bo chciał mieć zapisane czarno na białym, co zostało postanowione. Pilnujący namiotu Pompejusza strażnicy wpuścili mnie, nie zadając żadnych pytań, i razem z innymi sekretarzami i adiutantami stanąłem dyskretnie z boku. Na ławach siedziało chyba ze stu senatorów. Pompejusz, który przez cały dzień inspekcjonował fortyfikację Cezara, przybył ostatni i powitano go owacją na stojąco, za co podziękował, dotykając buławą swojej słynnej grzywy.

Przedstawił sytuację obu armii po bitwie. Po stronie przeciwnika zginęło około tysiąca ludzi, trzystu było wziętych do niewoli. Labienus natychmiast zaproponował, by wszyscy jeńcy zostali straceni.

– Boję się, że mogą nakłaniać do zdrady naszych żołnierzy, którzy ich pilnują. Poza tym stracili prawo do życia – oświadczył.

Cycero skrzywił się z niesmakiem i wstał, żeby zaprotestować.

– Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo. Koniec wojny jest w zasięgu wzroku. Czy nie nadeszła pora, by okazać wspaniałomyślność?

– Nie – odparł Labienus. – Trzeba ich ukarać dla przykładu.

– Wiedząc, co ich czeka, jeśli się poddadzą, żołnierze Cezara będą walczyli z jeszcze większą zaciekłością.

– Trudno. Taktyka Cezara polegająca na udzielaniu łaski stanowi wielkie zagrożenie dla naszego morale. – Labienus spojrział znacząco na Afraniusza, który pochylił głowę. – Jeśli nie będziemy brać jeńców, Cezar będzie zmuszony postępować tak samo.

– Zgadzam się z Labienusem – oświadczył stanowczo Pompejusz, chcąc zakończyć ten spór. – Poza tym ludzie Cezara to zdrajcy, którzy chwycili nielegalnie za broń przeciwko swoim rodakom. Dlatego zaliczają się do zupełnie innej kategorii niż nasi żołnierze. Przejdźmy do kolejnych spraw.

Cycero nie zamierzał jednak dać za wygraną.

– Chwileczkę. Czy walczymy o cywilizowane zasady, czy też jesteśmy dzikimi bestiami? Chciałbym, żeby zapisano, że moim zdaniem to błąd – powiedział.

– A ja chciałbym, żeby zapisano – odezwał się Ahenobarbus – że zdrajcami są nie tylko ci, którzy walczą otwarcie po stronie Cezara, ale także wszyscy, którzy próbują zachować neutralność, namawiają do zawarcia pokoju albo kontaktują się z wrogiem.

Ahenobarbusa nagrodzono gorącymi brawami. Cycero zaczerwienił się i umilkł.

– W takim razie sprawa jest załatwiona – stwierdził Pompejusz. – Moja propozycja jest taka, żeby cała armia, z wyjątkiem może piętnastu kohort, ruszyła w pogoń za Cezarem i przy pierwszej sposobności wydała mu bitwę.

Tę brzemienne w skutki propozycję powitano głośnymi pomrukami aprobaty.

Cycero rozejrzał się dokoła i po krótkim wahaniu znowu wstał z miejsca.

– Wygląda na to, że odgrywam rolę wiecznego oponenta. Wybaczcie... ale czy to nie jest najlepszy moment, żeby wykorzystać okazję i zamiast iść za Cezarem na wschód, popłynąć do Italii i zająć z powrotem Rzym? W końcu o to chyba toczy się ta wojna.

Pompejusz pokręcił głową.

– Nie, to byłby strategiczny błąd. Jeśli wrócimy do Rzymu, nic nie powstrzyma Cezara przed podbiciem Macedonii i Grecji.

– Niech je podbija. W każdej chwili zamieniłbym Macedonię i Grecję na Italię i Rzym. Zresztą mamy tam przecież armię pod dowództwem Scypiona.

– Scypion nie zdoła pokonać Cezara – odparł Pompejusz. – Tylko ja jestem w stanie go zwyciężyć. A ta wojna nie skończy się wyłącznie dlatego, że wrócimy do Rzymu. Ta wojna skończy się dopiero wraz ze śmiercią Cezara.

* * *

Pod koniec narady Cyncero podszedł do Pompejusza i poprosił, by ten pozwolił mu nie iść dalej z armią, tylko zostać w Dyrrachium. Pompejusz, wyraźnie poirytowany jego krytycznymi uwagami, zmierzył go lekko pogardliwym spojrzeniem i pokiwał głową.

– To chyba dobry pomysł – mruknął, po czym odwrócił się od Cyncerona, jakby go odprawiał, i zaczął dyskutować z jednym ze swoich oficerów na temat szyku, w jakim miały nazajutrz wymaszerować legiony.

Cyncero czekał, aż przestaną rozmawiać, chcąc prawdopodobnie życzyć mu powodzenia. Jednak Pompejusz był tak zaabsorbowany albo udawał tak zaabsorbowanego logistyką wymarszu, że Cynceronowi nie pozostało w końcu nic innego, jak wyjść.

Kiedy szliśmy do naszego namiotu, Kwintus zapytał go, dlaczego nie chce iść dalej z armią.

– Ta globalna strategia Pompejusza – odparł Cyncero – oznacza, że możemy tam utknąć na długie lata. Nie mogę dłużej tego wspierać. I szczerze mówiąc, nie jestem w stanie znieść kolejnej podróży przez te cholerne góry.

– Ludzie powiedzą, że się boisz.

– Ależ ja się boję, bracie. I ty też powinieneś się bać. Jeśli wygramy, dojdzie do masakry porządnych Rzymian... słyszałeś Labienusa. A jeśli przegramy... – Złowieszco zawiesił głos.

Kiedy wróciliśmy do namiotu, próbował bez większego przekonania namawiać syna, by też nie brał

udziału w wymarszu. Choć nie robił sobie większych nadziei: Marek odznaczył się pod Dyrrachium wielką odwagą i mimo młodego wieku otrzymał dowództwo własnego szwadronu konnicy. Rwał się do boju. Syn Kwintusa także był zdecydowany walczyć.

– No cóż, jedźcie, skoro musicie – powiedział Cycero. – Podziwiam waszego ducha. Ja jednak zostanę tutaj.

– Ależ ojciec – zaprotestował Marek – ludzie będą przez tysiąc lat mówili o tych wspaniałych wojennych zmaganiach.

– Jestem zbyt stary, by walczyć, i zbyt wrażliwy, by patrzeć, jak robią to inni. W naszej rodzinie to wy trzej jesteście żołnierzami. – Cycero zmierzwił Markowi włosy i uszczypnął go w policzek. – Przywieź mi głowę Cezara na pice, dobrze, kochany chłopcze? – dodał, po czym oznajmił, że musi udać się na spoczynek, i odwrócił się, by nikt nie widział, że płacze.

Pobudkę wyznaczono na godzinę przed świtem. Cierpiałem wówczas na bezsenność i wydawało mi się, że dopiero co przyłożyłem głowę do poduszki, kiedy rozległo się piekielne zawodzenie wojennych rogów. Legionowi niewolnicy weszli do środka i zaczęli składać namiot. Wszystko było dokładnie zaplanowane. Na dworze słońce nie pokazało się jeszcze nad granią. Góry wciąż kryły się w cieniu, ale niebo nad nimi było bezchmurne i krwście czerwone.

Zwiadowcy wyruszyli o świcie, pół godziny później podążył za nimi oddział bityńskiej kawalerii, a po kolejnej półgodzinie, ziewając głośno, Pompejusz w otoczeniu swoich sztabowców i obstawy. Naszemu legionowi przypadł zaszczyt maszerowania w straży przedniej i dlatego miał wyruszyć następny. Cycero stał przy bramie i kiedy mijali go brat, syn i bratanek, podniósł rękę i każdego z nich pozdrowił. Tym razem nie próbował nawet kryć łez. Dwie godziny później wszystkie namioty były zwinięte, ogniska się dopalały i ostatnie juczne muły opuszczały wyludniony obóz.

* * *

Po wymarszu armii wyruszyliśmy, eskortowani przez liktorów, do odległego o trzydzieści mil Dyrrachium. Nasza droga wiodła obok dawnych linii obronnych Cezara i wkrótce znaleźliśmy się w miejscu, gdzie Labienus dokonał masakry na jeńcach. Poderżnięto im gardła i ekipa niewolników zakopywała trupy w jednym z porzuconych okopów. Smród rozkładających się w upale zwłok i widok krążących w górze sępów należą do wielu wspomnień z tej kampanii, do których wolałbym nie wracać. Spięliśmy ostrogami konie i pojechaliśmy dalej. Do Dyrrachium dotarliśmy przed zmierzchem.

Tym razem, ze względów bezpieczeństwa, zakwaterowano nas daleko od nadmorskiego klifu, w obrębie murów miejskich. Dowództwo garnizonu powinien właściwie otrzymać Cyncero, który był ekskonsulem i jako namiestnik Cylicji wciąż posiadał swoje *imperium*. O nieufności, jaką do niego żywiono, świadczył fakt, że Pompejusz powierzył jednak to stanowisko Katonowi, który wcześniej był zaledwie pretorem. Ale Cyncero nie czuł się urażony. Wprost przeciwnie, cieszyło go, że uniknął takiej odpowiedzialności: oddziały, które Pompejusz zostawił w Dyrrachium, należały do najmniej pewnych i Cyncero poważnie wątpił w ich lojalność, gdyby doszło do walk.

Dni wlokły się niemiłosiernie wolno. Senatorowie, którzy podobnie jak Cyncero nie dołączyli do armii, zachowywali się tak, jakby wojna była już wygrana. Sporządzali na przykład listy pozostałych w Rzymie obywateli, których po naszym powrocie miano zabić, a ich posiadłości przejąć na spłatę wojennych długów. Jednym z bogatych obywateli, którzy znaleźli się na ich listach proskrypcyjnych, był Attyk. Następnie sprzeczekali się, kto zajmie czyj dom. Inni senatorowie bezwstydnie wyklócali się o stanowiska i tytuły, które będą do objęcia po śmierci Cezara i jego podwładnych. Pamiętam, że Spinther upierał się, że powinien zostać najwyższym kapłanem. „Jedyną rzeczą gorszą od przegrania tej wojny będzie jej wygranie”, powiedział do mnie Cyncero.

Jeśli o niego chodzi, stale się czymś zamartwiał. Tulii nadal brakowało pieniędzy i choć prosił Terencję, by sprzedała część jego majątku, druga rata posagu nadal nie była zapłacona. Wróciły wszystkie dawne obawy, jakie budziły w nim relacje żony z Filotymusem i ich wspólne upodobanie do podejrzanych machinacji finansowych. Krył swój gniew i podejrzenia, pisząc do Terencji z rzadka, krótkie i chłodne listy, w których nawet nie zwracał się do niej po imieniu.

Jednak jego największe obawy związane były z Markiem i Kwintusem, którzy nadal maszerowali gdzieś razem z Pompejuszem. Od ich odejścia minęły dwa miesiące. Armia senatu ścigała Cezara przez góry aż do równiny otaczającej Tesaloniki, a potem skręciła na południe – tyle było wiadomo. Ale nikt nie wiedział, gdzie dokładnie się znajdują, i im dalej Cezar odciągał ich od Dyrrachium, im dłużej trwała cisza, tym gorsza stawała się atmosfera w garnizonie.

Dowódca floty, Gajusz Koponiusz, był niegłupim, choć dość porywczym senatorem, wierzącym w najróżniejsze znaki i omeny, a przede wszystkim w prorocze sny. Zachęcał swoich marynarzy, by opowiadali je dowódcom. Pewnego dnia, kiedy nadal nie mieliśmy żadnych wiadomości od Pompejusza, przyszedł na kolację do Cyncerona. Przy stole byli także Katon i Marek Terencjusz Warron, wielki uczony i poeta, który dowodził legionem

w Hiszpanii i którego Cezar ułaskawił, podobnie jak Afraniusza.

– Tuż przed przyjściem tutaj miałem nieprzyjemną rozmowę – oznajmił Koponiusz. – Widzieliście tę wielką rodyjską tryremę, *Europę*, która stoi na kotwicy niedaleko wybrzeża? Przyprawiono do mnie jednego z jej wioślarzy, żeby opowiedział mi swój sen. Twierdzi, że przyśniła mu się straszliwa bitwa na wysokiej greckiej równinie, z wsiąkającymi w ziemię potokami krwi i okaleczonymi, jęczącymi żołnierzami, a potem miasto, w którym teraz stacjonujemy, oblegane przez wroga. Uciekaliśmy wszyscy na okręty i oglądając się, widzieliśmy, jak miasto trawia płomienie.

Była to mroczna przepowiednia z gatunku tych, z których normalnie Cyncero lubił się wyśmiewać, tym razem jednak sobie darował. Katon i Warron też popadli w zadumę.

– I jak skończył się ten sen? – zapytał Katon.

– Dla wioślarza bardzo dobrze. On i jego towarzysze wrócili szybko na Rodos. Więc przypuszczam, że sugeruje to pewną nadzieję.

Przy stole znów zapadło milczenie.

– Według mnie kryje się w tym niestety sugestia, że opuszczą nas nasi rodyjscy sojusznicy – powiedział w końcu Cyncero.

Pierwsze pogłoski o tym, że doszło do strasznej katastrofy, zaczęły do nas docierać z portu. Jacyś rybacy

z wyspy Kerkyra, położonej mniej więcej w odległości dwóch dni morskiej podróży na południe, twierdzili, że widzieli grupkę obozujących na plaży na stałym lądzie mężczyzn, którzy krzyczeli, że są niedobitkami armii Pompejusza. Tego samego dnia do portu zawinął kolejny statek handlowy z tą samą opowieścią – o zdesperowanych, wygłodzonych mężczyznach, którzy poszukiwali w rybackich wioskach łodzi, by uciec, jak wołali, przed ścigającym ich wojskiem.

Cycero starał się dodać otuchy sobie i innym, przekonując, że na każdej wojnie szerzą się najróżniejsze plotki, które często okazują się nieprawdziwe, i że być może te zjawy były zwykłymi dezertkami albo niedobitkami po jakiejś drobnej potyczce, a nie wielkiej bitwie. Wydaje mi się jednak, że w głębi serca wiedział, iż bogowie wojny sprzyjają Cezarowi. Sądzę, że od początku to przewidywał i dlatego nie dołączył do Pompejusza.

Potwierdzenie nadeszło nazajutrz wieczorem, kiedy otrzymaliśmy pilne wezwanie do Katona. Poszedłem tam z Ciceronem. W dowództwie garnizonu panowała atmosfera paniki i rozpacz. Sekretarze palili w ogrodzie listy i księgi rachunkowe, żeby nie wpadły w ręce wroga. Wewnątrz Katon, Warron, Koponiusz i kilku innych czołowych senatorów siedziało z ponurymi minami wokół brodatego, brudnego mężczyzny z paskudną raną na twarzy. Mieliśmy przed sobą dumnego niegdyś Tytusa Labienusa, dowódcę konnicy Pompejusza, człowieka,

który wyróżnął jeńców Cezara. Razem z kilkoma swoimi ludźmi przez dziesięć dni bez spoczynku przedzierał się przez góry i był kompletnie wyczerpany. Czasami gubił wątek, zapominał, co chce powiedzieć, albo się powtarzał – kilka razy na dobre umilkł – dlatego moje notatki są niespójne i może lepiej będzie, jeśli po prostu zrelacjonuję to, co w końcu ustaliliśmy.

Bitwa, która w owym czasie nie miała nazwy, a którą później zaczęto nazywać bitwą pod Farsalos, zdaniem Labienusa w ogóle nie powinna zostać przegrana. Mówiąc o niej, gorzko krytykował Pompejusza, który według niego jako strateg nie dorastał Cezarowi do pięt. (Co ciekawe, z usłyszanych przez nas później relacji wynikało, że klęska była w jakiejś części zawiniona przez Labienusa). Pompejusz zajmował lepsze pozycje, miał przewagę liczebną – jego konnica była siedem razy liczniejsza niż Cezara – i mógł wybrać moment rozpoczęcia bitwy. Mimo to wahał się, czy w ogóle ją wydawać. Dopiero kiedy kilku innych dowódców, wśród nich Ahenobarbus, otwarcie oskarżyło go o tchórzostwo, ustawił swoje oddziały w bitewnym szyku.

– Wtedy właśnie zorientowałem się, że nie ma serca do walki – powiedział Labienus. – Wbrew temu, co nam powtarzał, nigdy nie czuł się na siłach, by pokonać Cezara.

Dwie armie stanęły więc naprzeciwko siebie na szerokiej równinie i wróg, któremu w końcu dano szansę,

zaatakował.

Cezar od samego początku musiał wiedzieć, że najsłabszym elementem jego armii jest konnica, dlatego sprytnie schował za nią liczący około dwóch tysięcy żołnierzy oddział najlepszej piechoty. I kiedy jeźdźcy Labienusa rozbili szarżę przeciwnika i zaczęli go ścigać, mając zamiar oskrzydlić Cezara, nagle zobaczyli maszerujących na nich legionistów. Atak konnicy załamał się pod naporem oszczepów i tarcz niezłomnych weteranów i jeźdźcy Labienusa, mimo starań usiłującego ich zatrzymać dowódca, pierzchli z pola walki. (Kiedy o tym mówił, przez cały czas myślałem o zuchwałym młodym Marku; on z pewnością nie należał do tych, którzy uciekli). Wyeliminowawszy w ten sposób konnicę przeciwnika, żołnierze Cezara runęli na nieosłoniętych łuczników i starli ich z powierzchni ziemi. Potem bitwa zmieniła się właściwie w rzeź: spanikowani piechurzy Pompejusza nie byli zdolni dorównać zahartowanym, zdyscyplinowanym oddziałom Cezara.

– Ilu straciliśmy ludzi? – zapytał Katon.

– Trudno powiedzieć... tysiące.

– Gdzie był Pompejusz w trakcie tego wszystkiego?

– Kiedy zobaczył, co się dzieje, jakby go sparaliżowało.

Nie był w stanie nie tylko wydawać rozkazów, ale w ogóle składnie mówić. Razem ze swoją obstawą opuścił pole bitwy i wrócił do obozu. Potem go już nie widziałem. – Labienus schował głowę w dłoniach, a my przez chwilę

czekaliśmy, aż dojdzie do siebie. – Powiedziano mi, że leżał w swoim namiocie, dopóki wojska Cezara nie przełamały obrony. Wtedy uciekł wraz z garstką innych; ostatnio widziano, jak jechał na północ do Larissy.

– A Cezar?

– Nikt tego nie wie. Jedni twierdzą, że ruszył z małym oddziałem w pościg za Pompejuszem. Inni, że zmierza na czele całej armii w tę stronę.

– Zmierza w tę stronę?

Biorąc pod uwagę upodobanie Cezara do forsownych marszów i szybkość, z jaką mogły się przemieszczać jego oddziały, Katon zaproponował, żeby Dyrrachium zostało natychmiast ewakuowane. Był bardzo spokojny. Ku zdziwieniu Cyclerona ujawnił, że przedyskutował już wcześniej tę ewentualność z Pompejuszem, i postanowiono, że w przypadku klęski całe ocalałe przywództwo senatu powinno spróbować się dostać na Kerkyrę, która jako wyspa mogła być odizolowana i broniona przez flotę.

Wieści o klęsce Pompejusza rozeszły się tymczasem po garnizonie i już w trakcie narady dotarły do nas meldunki o tym, że żołnierze odmawiają wykonywania rozkazów i że zaczęli plądrować miasto. Uzgodniono, że odpłyniemy nazajutrz. Zanim wróciliśmy do domu, Cycero położył dłoń na ramieniu Labienusa i zapytał go, czy wie, co stało się z Markiem i Kwintusem. Labienus podniósł wzrok i spojrzał na niego tak, jakby szaleństwem

było zadawanie podobnych pytań – jego wytrzeszczone, przekrwione oczy były zasnuwane mgłą, jak gdyby wciąż widział rzeź tysięcy.

– Cóż ja mogę wiedzieć? – mruknął. – Powiem ci tylko, że nie widziałem ich martwych. Miałeś rację – dodał, gdy Cyncero odwracał się, żeby odejść. – Powinniśmy byli wrócić do Rzymu.

XI



Tak spełniła się przepowiednia rodyjskiego wiosłarza i następnego dnia uciekliśmy z Dyrrachium. Spichlerze zostały splądrowane i pamiętam, że drogocenne ziarno leżało na ulicach i chrzęściło pod naszymi stopami. Liktorzy musieli torować drogę Cyceronowi, siekąc różgami ogarnięty paniką tłum. Ale kiedy dotarliśmy do portu, okazało się, że jest tam jeszcze bardziej tłoczno niż na ulicach. Zdawało się, że kapitan każdej zdatnej do żeglugi łajby jest oblegany przez ludzi oferujących mu pokaźne sumy za przewiezienie w bezpieczne miejsce. Oglądałem najżałośniejsze sceny – rodziny z całym dobytkiem, łącznie z papugami i psami, próbujące dostać się na jakikolwiek statek; matrony zrywające z palców pierścienie i oferujące najcenniejsze rodzinne pamiątki w zamian za miejsce w lichej łodzi wiosłowej; białe

niczym lalka ciało dziecka, które zatoneło, upuszczone w zamęcie i panice przez matkę niosącą je po trapie. Oto była wojna w całej swojej odrażającej chwale.

Port był tak wypełniony statkami, że trwało kilka godzin, nim szalupa zabrała nas i dobiła do burty okrętu wojennego. Zapadał już zmierzch. Duża rodyjska tryrema zniknęła; Rodos, zgodnie z tym, co przepowiedział Cyncero, nie popierało już sprawy senatu. Na pokład wszedł Katon, a w ślad za nim inni przywódcy, i natychmiast podnieśliśmy kotwicę – kapitan wolał płynąć w nocy, niż ryzykować pozostanie w pobliżu Dyrrachium. Po pokonaniu kilku mil obejrzeliśmy się i zobaczyliśmy na niebie wielką czerwoną łunę; później dowiedzieliśmy się, że zbuntowani żołnierze podpalili wszystkie stojące w porcie statki, żeby nie zmuszono ich do popłynięcia na Kerkyrę i dalszej walki.

Płynęliśmy przez całą noc. Spokojne morze i skaliste wybrzeże srebrzyły się w blasku księżyca. W ciemności słyhać było tylko plusk wiosł i stłumione męskie głosy. Cyncero przez długi czas rozmawiał z Katonem. Później powiedział mi, że Katon był nie tylko spokojny, ale i pogodny.

– To są skutki kierowania się przez całe życie filozofią stoicyzmu. Jeśli o niego chodzi, postępował zgodnie z głosem sumienia i niczego sobie nie wyrzuca. Całkowicie pogodził się ze śmiercią. Na swój sposób jest tak samo niebezpieczny jak Cezar i Pompejusz.

Zapytałem go, co ma na myśli.

– Pamiętasz, co pisałem w swojej krótkiej pracy na temat polityki? – odezwał się po dłuższej chwili. – Jak odległe wydaje się to w czasie! „Podobnie jak celem kapitana statku jest zapewnienie bezpiecznego rejsu, a lekarza wyleczenie pacjenta, tak celem męża stanu musi być dobro jego kraju”. Ani Cezar, ani Pompejusz nigdy nie widzieli swojej roli w ten sposób. Dla nich liczyła się wyłącznie osobista chwała. To samo można powiedzieć o Katonie. Mówię ci, ten człowiek jest właściwie całkiem zadowolony, że miał rację, mimo że to właśnie jego zasady doprowadziły nas do tego, że w świetle księżyca żeglujemy teraz wzdłuż obcego wybrzeża na tym wątlym statku.

Jeśli chodzi o całą sytuację, Cyncero był skrajnie – prawdę mówiąc, niebezpiecznie – pozbawiony złudzeń. Dopłynąwszy do Kerkyry, przekonaliśmy się, że ta piękna wyspa pełna jest uciekinierów spod Farsalos. Opowieści o chaosie i niekompetencji były przerażające. O Pompejuszu nic nie było wiadomo. Jeśli żył, nie wysłał żadnej wiadomości; jeśli zginął, nikt nie widział jego ciała. Po prostu zniknął z powierzchni ziemi. Pod nieobecność głównodowodzącego Katon zwołał posiedzenie senatu w świątyni Zeusa, na cyplu wrzynającym się w morze, żeby podjąć decyzję, jak dalej prowadzić wojnę. Liczne niegdyś zgromadzenie skurczyło się teraz mniej więcej do pięćdziesięciu mężczyzn. Cyncero miał nadzieję, że trafi

na swego syna i brata, ale nie można ich było nigdzie znaleźć. Zamiast tego ujrzelśmy innych ocalałych z bitwy – Metellusa Scypiona, Afraniusza i młodego Gnejusza, syna Pompejusza, który przekonał sam siebie, że klęska jego ojca była wyłącznie rezultatem zdrady. Zauważyłem, z jaką wrogością zerka na Cyncerona; bałem się, że może być niebezpieczny. Obecny był również Kasjusz. Brakowało natomiast Ahenobarbusa – okazało się, że jest jednym z wielu senatorów, którzy zginęli w bitwie. Na zewnątrz było upalnie i świeciło jasne słońce; w świątyni panował chłód i półmrok. Kamienny Zeus, dwa razy większy od normalnego mężczyzny, przyglądał się obojętnie narodom pokonanych śmiertelników.

Pierwszy zabrał głos Katon, stwierdzając, że pod nieobecność Pompejusza senat musi wybrać nowego głównodowodzącego.

– Zgodnie ze starodawnym zwyczajem stanowisko to powinno przypaść najstarszemu z obecnych wśród nas byłych konsulów, dlatego proponuję, żeby to był Cyncero.

Cyncero wybuchnął śmiechem. Zwróciły się ku niemu wszystkie głowy.

– Mówicie poważnie, panowie? – odparł z wielkim niedowierzaniem. – Poważnie? Po wszystkim, co się stało, uważacie, że mam pokierować tą katastrofą? Gdybyście chcieli mojego przywództwa, powinniście byli wcześniej posłuchać moich rad. Wtedy nie znaleźlibyśmy się

w obecnej rozpaczliwej sytuacji. Stanowczo odmawiam przyjęcia tego zaszczytu.

Postąpił niemądrze, przemawiając tak ostro. Był wyczerpany i podenerwowany, ale to samo dałoby się powiedzieć o innych, a niektórzy w dodatku byli ranni. Katon uciszył w końcu tych, którzy głośno wyrazili swoje oburzenie.

– Z tego, co mówi Cyncero, wnoszę, że uważa on naszą sytuację za beznadziejną i że starałby się zawrzeć pokój.

– Zrobiłbym to z całą pewnością. Czy w imię twojej filozofii nie poległo już dość dobrych ludzi?

– Ponieśliśmy porażkę – odezwał się Scypion – ale nie jesteśmy pokonani. Na świecie mamy jeszcze lojalnych sojuszników, wśród nich króla Jubę w Afryce.

– A więc tak nisko upadliśmy? Żeby walczyć przeciwko naszym rodakom Rzymianom u boku numidyjskich barbarzyńców?

– Tak czy owak nadal mamy siedem orłów.

– Siedem orłów wystarczyłoby nam, gdybyśmy wojowali z kawkami – odparł Cyncero.

– Co ty możesz wiedzieć o wojnie, żalosny stary tchórz?! – wrzasnął Gnejusz Pompejusz, po czym wyciągnął miecz i podbiegł do Cyncerona. Byłem pewien, że nic już nie ocali mojego pana, lecz Gnejusz, z wprawą biegłego fechtmistrza, wstrzymał w ostatniej chwili sztych i ostrze miecza tylko dotknęło szyi. – Proponuję, żebyśmy zabili tego zdrajcę, i proszę senat, by pozwolił

mi to zrobić właśnie teraz – powiedział, wbijając miecz nieco głębiej, tak że Cyncero musiał odchylić głowę do tyłu, by szpic nie przekłuł mu krtani.

– Nie rób tego, Gnejuszu! – zawołał Katon. – Okryjesz hańbą swojego ojca! Cyncero jest jego przyjacielem. Pompejusz nie chciałby, żeby obrażano Cyncerona w ten sposób. Nie zapominaj, gdzie się znajdujesz, i odłóż miecz.

Wątpię, by ktokolwiek inny zdołał powstrzymać Gnejusza, gdy zagotowała się w nim krew. Młody zabijaka wahał się jeszcze przez chwilę, a potem opuścił miecz, zaklął i odszedł na swoje miejsce. Cyncero wyprostował się i popatrzył prosto przed siebie. Strużka krwi popłynęła mu po szyi i splamiła przód jego togi.

– Posłuchajcie mnie, panowie – ponownie zabrał głos Katon. – Znacie moje poglądy. Kiedy republika była w niebezpieczeństwie, uważałem, że mamy prawo i obowiązek zmusić wszystkich obywateli, w tym również tych niezdecydowanych i niegodziwych, do poparcia naszej sprawy i obrony państwa. Ale teraz republika jest zgubiona. – Przerwał i rozejrzał się dokoła, lecz nikt nie zaprotestował. – Teraz, kiedy republika jest zgubiona – powtórzył cicho – nawet ja uważam, że byłoby czymś bezsensownym i okrutnym zmuszanie każdego, by uczestniczył w jej upadku. Niechaj ci, którzy chcą kontynuować walkę, pozostaną tutaj i omówią wraz z nami dalszą strategię. A ci, którzy chcą się wycofać,

niechaj opuszczą to zgromadzenie... i niech włos nie spadnie im z głowy.

Z początku nikt się nie poruszył. A potem, bardzo powoli, Cycero wstał ze swojego miejsca. Skinął głową Katonowi, zdając sobie sprawę, że ten uratował mu przed chwilą życie, po czym odwrócił się i wyszedł ze świątyni – wycofując swoje poparcie dla sprawy senatu, wycofując się z wojny i wycofując się z życia publicznego.

* * *

Obawiał się, że jeśli zostanie na wyspie, straci życie – zamordowany przez Gnejusza albo przez któregoś z jego towarzyszy. Dlatego jeszcze tego samego dnia opuściliśmy Kerkyrę. Nie mogliśmy pożeglować z powrotem na północ, bo nie wiadomo było, czy wybrzeże nie jest już zajęte przez wroga. Popłynęliśmy więc dalej na południe i kilka dni później zawinęliśmy do portu w Patras, gdzie niegdyś chorowałem i dochodziłem do zdrowia. Kiedy tylko statek przycumował do nabrzeża, Cycero wysłał jednego z liktorów do swojego przyjaciela Kuriusza, by zawiadomił go, że jesteśmy w mieście, po czym, nie czekając na odpowiedź, wynajęliśmy lektyki i tragarzy, żeby zanieśli nas i nasze bagaże do jego domu.

Nasz liktor musiał chyba zabłądzić, a może skusiła go patraska tawerna, bo od wyjazdu z Cylicji cała ich szóstka wpadła, pewnie z nudy, w nałóg pijaństwa. Tak czy owak

dotarliśmy do willi jeszcze przed naszym posłańcem i dowiedzieliśmy się, że Kuriusz wyjechał na dwa dni w interesach. Z wnętrza domu dobiegały głosy, które wydały się nam znajome. Popatrzyliśmy na siebie, nie do końca wierząc własnym uszom, a potem, mijając zarządcę, wbiegliśmy do tablinum i zobaczyliśmy siedzących razem Kwintusa, Marka oraz Kwintusa Juniora. Wszyscy trzej spojrzeli na nas zaskoczeni i na ich twarzach dostrzegłem zakłopotanie. Jestem prawie pewien, że musieli mówić coś na nasz temat – a raczej na temat Cyncerona – i nie były to życzliwe słowa. Powinienem dodać, że ta niezręczna chwila trwała bardzo krótko – Cyncero nawet się nie zorientował – i zaraz padliśmy sobie w objęcia, z najszczerzą radością ściskając się i całując. Wstrząsnęło mną to, jak bardzo byli wynędzniali. Choć starali się tego nie okazywać, widać było, że podobnie jak inni, którzy ocaleli z rzezi pod Farsalos, nie mogą się pozbierać po klęsce.

– To najbardziej cudowny zbieg okoliczności! – zawołał Kwintus. – Wynajęliśmy statek i dowiedziawszy się, że na Kerkyrze obraduje senat, zamierzaliśmy tam jutro popłynąć. I pomyśleć, że mogliśmy się minąć! Co się stało? Czy obrady skończyły się wcześniej, niż planowano?

– Nie, z tego, co wiem, nadal trwają – odparł Cyncero.

– Ale ty nie bierzesz w nich udziału?

– Pomówimy o tym później. Najpierw chciałbym usłyszeć, co się z wami działo.

Niczym przekazujący sobie pałeczkę biegacze w sztafecie opowiadali po kolei o tym, co się wydarzyło – o trwającej miesiąc pogoni za Cezarem, o drobnych potyczkach i na koniec o wielkiej konfrontacji pod Farsalos. W nocy przed bitwą Pompejuszowi śniło się, że jest w Rzymie, wchodzi do świątyni Wenus Zwycięskiej, a ludzie oklaskują go, gdy składa bogini w ofierze wojenne łupy. Obudził się zadowolony, uznając to za dobry omen, ale potem ktoś zauważył, że Cezar twierdzi, iż pochodzi w prostej linii od Wenus, i Pompejusz natychmiast doszedł do wniosku, że sen oznacza coś zupełnie przeciwnego.

– Od tej chwili – rzekł Kwintus – chyba pogodził się z myślą, że poniesie klęskę, i odpowiednio do tego się zachowywał.

Obaj Kwintusowie walczyli w drugiej linii i uniknęli najgorszego. Ale Marek znalazł się w samym środku bitwy. Oceniał, że zabił co najmniej czterech żołnierzy wroga – jednego oszczepem, trzech mieczem – i był pewien zwycięstwa do momentu, gdy kohorty legionu dziesiątego wyłoniły się niemal jak spod ziemi.

– Nasze oddziały poszły w rozsypkę. To była masakra, ojczy – powiedział.

Zanim dotarli na zachodnie wybrzeże, prawie przez miesiąc spali pod gołym niebem i ukrywali się przed

patrolami Cezara.

– A co z Pompejuszem? – zapytał Cyncero. – Są o nim jakieś wieści?

– Żadnych – odparł Kwintus – ale domyślam się chyba, dokąd mógł się udać: na Lesbos. Tam właśnie wysłał Kornelię, żeby czekała na wiadomość o jego zwycięstwie. Jestem pewien, że po klęsce będzie szukał u niej pociechy... wiesz, jaki jest w stosunku do swych żon. Cezar też się chyba tego domyśla. Podąża za nim niczym łowca nagród ścigający zbiegłego niewolnika. W tej akurat gonitwie postawiłbym pieniądze na Cezara. A jeśli go złapie, jak twoim zdaniem odbije się to na losach wojny?

– Och, sądzę, że wojna będzie toczyła się dalej, bez względu na to, co się wydarzy... ale będzie się toczyła beze mnie – oświadczył Cyncero i opowiedział im, co zdarzyło się na Kerkyrze.

Jestem pewien, że nie chciał, by zabrzmiało to nonszalancko. Był po prostu szczęśliwy, że jego bliscy nie zginęli, i ten pogodny nastrój wpłynął na ton jego relacji. Ale kiedy z niejaką satysfakcją powtórzył swój żart o orłach i kawkach, a potem wykpiwał pomysł, że miałby objąć przywództwo „tej przegranej sprawy”, i szydził z głupoty Gnejusza – „Przy nim nawet jego ojciec może się wydać inteligentny” – zobaczyłem, że Kwintus zaciska szczękę; nawet Marek spoglądał na ojca z dezaprobatą.

– A zatem jest już po wszystkim? – zapytał Kwintus chłodnym, twardym tonem. – Jeśli chodzi o tę rodzinę, to koniec?

– Nie zgadzasz się?

– Uważam, że należałoby spytać mnie o zdanie.

– Jak mogłem spytać cię o zdanie, skoro cię tam nie było?

– Nie, nie było mnie tam. Jakim cudem mógłbym się tam znaleźć? Walczyłem na wojnie, do czego sam mnie zachęciłeś, a potem starałem się ocalić własne życie, a także życie twojego syna i bratanka!

Cycero zbyt późno zrozumiał, że potraktował tę sprawę zbyt lekko.

– Drogi bracie, zapewniam cię, że zawsze mam przede wszystkim na względzie twoje dobro... dobro was wszystkich.

– Oszczędź mi swojej kazuistyki, Marku. Zawsze masz przede wszystkim na względzie siebie samego: swój honor, swoją karierę i swoje interesy. Dlatego kiedy inni idą na wojnę i giną, ty siedzisz ze starcami i kobietami, szlifując swoje mowy i swoje jałowe aforyzmy!

– Proszę cię, Kwintusie... nie mów niczego, czego byś później musiał żałować.

– Jedyne, czego żałuję, to tego, że nie powiedziałem tego wszystkiego już dawno temu. Więc pozwól, że teraz ci to powiem, a ty wyświadczy mi tę grzeczność, siedź cicho i choć raz mnie wysłuchaj! Całe moje życie było

zawsze najwyżej dodatkiem do twojego... jestem dla ciebie tak samo ważny jak tu obecny biedny Tiron, który służąc ci, zmarnował zdrowie... a właściwie mniej ważny, bo nie potrafię tak biegle robić notatek. Kiedy pojechałem do Azji jako namiestnik, sprawiłeś, że pozostałem tam nie przez rok, ale przez dwa lata, dzięki czemu miałeś dostęp do moich funduszy i spłaciłeś swoje długi. Kiedy byłeś na uchodźstwie, o mało nie zginąłem, walcząc z Klodiuszem na ulicach Rzymu, a po twoim powrocie musiałem w nagrodę znów się pakować i jechać na Sycylię, żeby zadowolić Pompejusza. A teraz, w dużej mierze przez ciebie, wziąłem udział w wojnie domowej i znalazłem się wśród przegranych, podczas gdy całkiem honorowym wyjściem byłoby opowiedzenie się za Cezarem, który powierzył mi dowództwo legionu w Galii...

Kwintus przemawiał jeszcze jakiś czas w tym samym stylu. Cyncero słuchał tego bez słowa komentarza i bez ruchu, zaciskając tylko co jakiś czas palce na poręczach fotela. Marek patrzył na niego, poblady z przerażenia. Młody Kwintus uśmiechał się i kiwał głową. Co do mnie, miałem ochotę wyjść, ale nie byłem w stanie: coś przygwoździło moje stopy do podłogi.

Kwintus doprowadził się do takiej furii, że pod koniec zaczęło brakować mu tchu i pierś unosiła mu się i opadała, jakby dźwigał jakiś olbrzymi ciężar.

– To, że nie pytając mnie o zdanie i nie biorąc pod uwagę moich interesów, porzuciłeś sprawę senatu, jest

twoim ostatecznym samolubnym ciosem. Nie zapominaj, że ja nie jestem w tak wygodnie dwuznacznej sytuacji jak ty: ja walczyłem pod Farsalos... jestem napiętnowany. Teraz więc nie mam wyboru: muszę spróbować odnaleźć Cezara, gdziekolwiek jest, i prosić go o łaskę. I możesz mi wierzyć, że kiedy się z nim zobaczę, będę miał mu o tobie wiele do powiedzenia.

Powiedziawszy to, Kwintus, wraz ze swoim synem, wymaszerował z pokoju; Marek po krótkim wahaniu podążył w ślad za nimi. W grobowej ciszy, która zapadła po ich wyjściu, Cyncero nadal siedział, w ogóle się nie poruszając. W końcu zapytałem, czy mam mu coś przynieść, a kiedy dalej nie reagował, przestraszyłem się, że dostał jakiegoś ataku. Po pewnym czasie usłyszałem kroki. To wracał Marek.

– Pożegnałem się z nimi, ojciec – rzekł, przyklękając przy fotelu. – Zostaję z tobą.

Cyncero złapał go za rękę, ten jeden raz nie wiedząc, co ma powiedzieć, a ja wycofałem się, by mogli porozmawiać.

* * *

Cyncero położył się do łóżka i przez kilka następnych dni nie opuszczał swojego pokoju. Nie życzył sobie odwiedzin lekarza – „Mam złamane serce i żaden grecki konował nic na to nie poradzi” – i zamknął drzwi na

klucz. Miałem nadzieję, że Kwintus wróci i że się pogodzą, lecz on spełnił to, co zapowiedział, i opuścił miasto. Kiedy Kuriusz przyjechał ze swojej podróży w interesach, wyjaśniłem mu, najdyskretniej jak mogłem, co się wydarzyło, a on zgodził się ze mną i z Markiem, że najlepszym wyjściem jest dla nas wynajęcie statku i powrót do Italii jeszcze przed zimowymi sztormami. Paradoks polegał na tym, że Cyncero mógł czuć się bezpieczniej w rządzonej przez Cezara Italii aniżeli w Grecji, gdzie wspierające republikę zbrojne bandy polowały na ludzi uważanych za zdrajców.

Zaprobował ten plan, kiedy tylko otrząsnął się z przygnębienia i zaczął myśleć o przyszłości. „Wolę umrzeć w Italii niż tutaj”, oznajmił i kiedy powiał sprzyjający południowo-wschodni wiatr, weszliśmy na pokład statku. Rejs był udany i po czterech dniach ujrzeliśmy na horyzoncie wielką latarnię morską w Brundisium. Ten widok napełnił radością nasze serca. Cyncero przebywał poza ojczyzną od półtora roku, ja od ponad trzech lat.

Obawiając się o to, jak zostanie przyjęty, Cyncero pozostał w kajucie pod pokładem, a ja zszedłem na ląd razem z Markiem, by poszukać jakiegoś miejsca, gdzie moglibyśmy się zatrzymać. Na tę pierwszą noc udało nam się znaleźć tylko hałaśliwą gospodę niedaleko nabrzeża i uznaliśmy, że dla Cyncerona najbezpieczniej będzie zejść na ląd po zmierzchu, w zwyczajnej todzie

należącej do Marka, a nie w jego własnej, obszytej senatorską purpurą. Dodatkową komplikacją była absurdalna obecność sześciu liktorów, przypominających chór w greckiej tragedii – bo choć Cyncero był obecnie kompletnie bezsilny, formalnie rzecz biorąc, jako namiestnikowi Cylicji nadal przysługiwały mu insygnia *imperium* i nawet teraz nie chciał łamać prawa i odsyłać liktorów, a oni nie chcieli odejść, dopóki nie dostaną zapłaty. Ich też należało zatem przebrać w inne stroje, zapakować różgi do worków i zapewnić nocleg.

Wszystko to było dla Cyncerona tak upokarzające, że po bezsennej nocy postanowił ujawnić swoją obecność najwyższemu przedstawicielowi Cezara w mieście i pogodzić się z tym, co zgotuje mu los. Kazał mi odszukać w swojej korespondencji gwarantujący mu bezpieczeństwo list od Dolabelli – *Wszelkie dotyczące twojego bezpieczeństwa gwarancje, których potrzebujesz od głównodowodzącego, uzyskasz z największą łatwością od kogoś tak dobrze usposobionego jak Cezar* – i idąc do dowództwa wojskowego, zadbałem o to, by mieć go przy sobie.

Nowym dowódcą regionu okazał się uważany powszechnie za najbrzydszego mężczyznę w Rzymie Publiusz Watyniusz, dawny przeciwnik Cyncerona. To właśnie Watyniusz, będąc trybunem, pierwszy zaproponował, by przyznano Cezarowi na pięć lat namiestnictwo obu prowincji Galii i dowództwo nad

armią. Walczył pod rozkazami swojego wodza w bitwie pod Dyrrachium i wrócił, żeby przejąć kontrolę nad całą południową Italią. Ale szczęśliwy traf sprawił, że Cycero pogodził się z nim kilka lat wcześniej i bronił go w sprawie o przekupstwo. Dowiedziawszy się o moim przybyciu, Watyniusz kazał mnie do siebie wprowadzić i serdecznie się ze mną przywitał.

Bogowie, ależ był z niego brzydal! Miał zeza, a twarz i szyję pokryte skrofulicznymi purpurowymi krostami. Ale jakie ma znaczenie wygląd? Nie spojrzawszy prawie na list Dolabelli, zapewnił mnie, że poczytuje sobie za zaszczyt, iż może powitać Cycerona w Italii, że będzie chronił jego godność tak, jak z pewnością by sobie tego życzył Cezar, i że w oczekiwaniu na instrukcje z Rzymu przygotuje dla niego odpowiednie kwatery.

Jego ostatnie słowa trochę mnie zaniepokoiły.

– Czy mogę spytać, kto wyda te instrukcje?

– No cóż... to celne pytanie. Wciąż jesteśmy w trakcie organizowania naszej administracji. Cezar został na rok mianowany dyktatorem przez senat... to znaczy nasz senat – dodał, mrugając porozumiewawczo – ale nadal ściga waszego byłego głównodowodzącego, więc pod jego nieobecność władzę sprawuje dowódca jazdy.

– A któż to taki?

– Marek Antoniusz.

Usłyszawszy to, jeszcze bardziej upadłem na duchu.

Tego samego dnia Watyniusz wysłał pluton legionistów, pod których eskortą przenieśliśmy się do willi w cichszej dzielnicy miasta. Cycerona przez całą drogę niesiono w zamkniętej lektyce, żeby zachować jego obecność w sekrecie.

Dom był mały, stary, z grubymi ścianami i niewielkimi oknami. Przy drzwiach postawiono wartownika. Na początku Cycero odczuwał po prostu ulgę, że jest z powrotem w Italii. Dopiero stopniowo zaczął uświadamiać sobie, że znalazł się praktycznie w areszcie domowym. Nie chodziło o to, że nie wolno mu było opuścić willi – nigdy i tak nie wyszedł poza bramę, więc nie dowiedzieliśmy się, jakie rozkazy otrzymali strażnicy. Watyniusz, który odwiedził nas, by sprawdzić, jak urządził się jego gość, dał raczej do zrozumienia, że wyjeżdżając, naraziłby się na niebezpieczeństwo, a co gorsza, okazałby brak szacunku goszczącemu go Cezarowi. Po raz pierwszy zakosztowaliśmy życia pod dyktaturą: zniesiono wolności obywatelskie, nie było sędziów ani sądów; człowiek był zdany na widzimisię władcy.

Cycero napisał do Marka Antoniusza, prosząc o zezwolenie na przyjazd do Rzymu, ale nie robił sobie większych nadziei. Chociaż Antoniusz był wobec niego zawsze grzeczny, istniała między nimi zadawniona wrogość wynikająca z faktu, że ojczym Antoniusza, Publiusz Lentulus Sura, należał do uczestników spisku

Katyliny, których Cycero kazał stracić. Dlatego też nie zdziwiliśmy się zbyt, kiedy nie zgodził się na jego przyjazd. To Cezar, stwierdził, rozstrzygnie, jaki będzie los Cycerona, i dopóki nie wyda decyzji, ten musi pozostać w Brundisium.

Skłonny jestem sądzić, że następne miesiące były najgorszymi w całym życiu Cycerona – gorszymi nawet od tych, które spędził na wygnaniu w Tesalonikach. Wtedy istniała jeszcze przynajmniej republika, o którą można było walczyć, a swoje zmagania toczył z honorem i wspierała go rodzina. Teraz nie było o tym mowy – zewsząd osaczały nas niesława i śmierć. I to ile śmierci! Już w pierwszych dniach naszego pobytu w Brundisium odwiedził nas Gajusz Marcjusz Kalwena, bogaty ekwita i bliski towarzysz Cezara. Dowiedzieliśmy się od niego, że zarówno Milon, jak i Celiusz Rufus zginęli, próbując wspólnie wywołać zamieszki w Kampanii – Milon, dowodzący partyzancką armią złożoną z jego dawnych gladiatorów, poległ w bitwie z ręki jednego z poruczników Cezara; Rufus został zabity przez jakichś hiszpańskich i galijskich jeźdźców, których próbował przekupić. Śmierć Rufusa, który zginął w wieku zaledwie trzydziestu czterech lat, była dla Cycerona szczególnie bolesnym ciosem i płakał, gdy o niej usłyszał – czego nie zrobił, gdy dowiedział się o losie Pompejusza.

Tę ostatnią wiadomość przekazał nam sam Watyniusz, z tej okazji oblekając swą szpetną twarz w maskę smutku.

– Nie ma co do tego żadnych wątpliwości? – zapytał Cyncero.

– Absolutnie żadnych. Mam tutaj list od Cezara: widział jego uciętą głowę.

Cyncero pobladł i usiadł, a ja wyobraziłem sobie tę potężną głowę z gęstą grzywą włosów i ten byczy kark; odcięcie jej od tułowia musiało wymagać nie lada siły, pomyślałem, i jej widok musiał wyrzucić duże wrażenie na Cezarze.

– Cezar płakał, gdy mu ją pokazano – dodał Watyniusz, jakby czytał w moich myślach.

– Kiedy to się stało? – zapytał Cyncero.

– Dwa miesiące temu.

Watyniusz przeczytał na głos relację Cezara. Wynikało z niej, że Pompejusz zrobił dokładnie to, co przewidział Kwintus: uciekł spod Farsalos na Lesbos, żeby szukać pocieszenia u Kornelii; był u niej również jego najmłodszy syn, Sekstus. Razem wsiedli na pokład tryremy i popłynęli do Egiptu, Pompejusz miał bowiem nadzieję, że poprze go faraon. Zarzuciwszy kotwicę niedaleko Peluzjum, wysłał wiadomość o swoim przybyciu. Ale Egipcjanie wiedzieli już o klęsce pod Farsalos i woleli trzymać stronę zwycięzcy. Zamiast po prostu odesłać Pompejusza, dostrzegli jednak sposobność, by przypodobać się Cezarowi i wyręczyć go w przykrym zadaniu. Pompejusz został zaproszony na brzeg na rozmowy. Wysłano po niego szalupę – byli w niej generał

armii egipskiej Achilles oraz kilku wyższych oficerów rzymskich, którzy służyli wcześniej pod Pompejuszem, a teraz dowodzili rzymskimi oddziałami chroniącymi faraona.

Mimo błagań żony i syna Pompejusz wszedł do szalupy. Zabójcy poczekali, aż zejdzie na ląd, i wtedy jeden z nich, trybun wojskowy Lucjusz Septymiusz, przeszył go od tyłu mieczem. Achilles dźgnął go wówczas sztyletem i to samo zrobił drugi rzymski oficer, Salwiusz.

Cezar chce, by wiadano, że Pompejusz dzielnie zakończył życie. Według naocznych świadków zarzucił sobie togę na twarz i padł na piasek. Nie prosił i nie błagał o łaskę, jęczał tylko cicho, gdy go dobijali. Ze statku słychać było krzyki Kornelii, która widziała to morderstwo.

Cezar podjął za Pompejuszem z trzydniowym opóźnieniem. Kiedy przybył do Aleksandrii, pokazano mu głowę Pompejusza oraz pierścień z wrytym lwem trzymającym w łapach miecz; dołącza go do listu jako dowód na prawdziwość tej relacji. Ciało spalono już wcześniej na miejscu zgonu; Cezar rozkazał, by prochy odesłano wdowie.

Watyniusz zwinął list i oddał go swojemu adiutantowi.

– Moje kondolencje – powiedział i zasalutował. – Był z niego dobry żołnierz.

– Ale nie dość dobry – skomentował Cyncero po jego wyjściu.

Później pisał o tym do Attyka:

Nigdy nie miałem żadnych wątpliwości co do tego, jak skończy Pompejusz, albowiem wszyscy władcy i wszystkie narody zostały tak skutecznie przekonane o beznadziejności sprawy, której bronił, że spodziewałem się takiego obrotu rzeczy, dokądkolwiek by się udał. Nie mogę nie ubolewać nad jego losem. Znałem go jako człowieka

o porządnym charakterze i poważnych zasadach, prowadzącego czyste życie.

To wszystko, co miał do powiedzenia. Nigdy go nie opłakiwał, a później raczej nie słyszałem, by kiedykolwiek wspomniał jego imię.

* * *

Terencja nie zaproponowała, że odwiedzi Cyncerona, on zaś nie prosił, by przyjeżdżała. Wręcz przeciwnie. Nie ma powodu, byś opuszczała obecnie dom, napisał do niej. – *Podróż tutaj jest długa i niebezpieczna i nie widzę, po co miałabyś przyjeżdżać.* Grzejąc się tej zimy przy ogniu, zamartwiał się tym, co stało się z jego rodziną. Jego brat i bratanek nadal przebywali w Grecji, pisząc i mówiąc o nim najgorsze rzeczy: zarówno Watyniusz, jak Attyk dostarczyli mu kopie ich listów. Jego żona, z którą nie miał się ochoty spotykać, nie chciała mu przesłać żadnych pieniędzy, by mógł płacić za swoje utrzymanie; załatwiwszy w końcu z Attykiem przekazanie pewnej sumy gotówką za pośrednictwem miejscowego bankiera, odkrył, że pobrała z niej dwie trzecie na własne potrzeby. Jego syn godzinami przebywał poza domem, popijając z miejscowymi żołnierzami i nie starając się nawet ukryć pogardy dla sytuacji ojca.

Najbardziej jednak Cyncero zamartwiał się o córkę.

Dowiedział się od Attyka, że Dolabella, który wrócił do Rzymu jako trybun ludu, kompletnie ignoruje teraz Tulię. Opuścił dom, w którym z nią mieszkał, i romansował po całym mieście, najczęściej z Antonią, żoną Marka Antoniusza (niewierność żony doprowadzała do wściekłości tego ostatniego, mimo że sam całkiem otwarcie żył ze swoją faworytą, aktorką mimiczną, Wolumnią Cyteris; później rozwiódł się z Antonią i poślubił Fulwię, wdowę po Klodiuszu). Dolabella nie dawał Tulii pieniędzy na utrzymanie, a Terencja – mimo ponawianych próśb Cyncerona – nie chciała spłacać jej wierzycieli, twierdząc, że to obowiązek jej męża. Za swoje niepowodzenia w życiu publicznym i prywatnym Cyncero winił wyłącznie siebie. *Poniosłem klęskę na własne życzenie – pisał do Attyka. – Spotykające mnie nieszczęścia nie są dziełem przypadku. To ja ponoszę za nie winę. Gorsze jednak niż wszelkie moje utrapienia razem wzięte jest to, że przeze mnie ta biedna dziewczyna pozbawiona jest ojca, swojego dziedzictwa, wszystkiego, co miało do niej należeć...*

Na wiosnę, nadal nie mając żadnych wieści od Cezara, który przebywał podobno w Egipcie ze swoją ukochaną, królową Kleopatrą, Cyncero dostał list od Tulii, która informowała go, że zamierza przyjechać do Brundisium. Fakt, że chciała odbyć sama tę niebezpieczną podróż, wzbudził jego wielki niepokój. Było już jednak za późno, by ją powstrzymać – Tulia zadbała o to, by wyruszyć

w drogę, zanim ojciec dowie się o jej planach – i nigdy nie zapomnę jego przerażenia, gdy w końcu się pojawiła, po trwającej miesiąc wędrówce, wyłącznie w asyście pokojówki i starego niewolnika.

– Najdroższa córko, nie mów mi, że to cała twoja świta... Jak twoja matka mogła na to pozwolić? Mogli cię obrabować albo jeszcze gorzej.

– Nie ma sensu teraz się tym martwić, ojcze. Dotarłam tu przecież cała i zdrowa, czyż nie? I warto było podjąć każde ryzyko i znieść wszelkie niewygody, by cię zobaczyć.

Ta podróż świadczyła o sile ducha, który ożywiał to wątłe ciało, i już wkrótce dzięki obecności Tulii zrobiło się jaśniej w całym domu. Pozamykane na zimę pokoje wysprzątało i na nowo urządzono. Pojawiły się kwiaty. Poprawiła się jakość posiłków. Nawet młody Marek zachowywał się przy niej w bardziej cywilizowany sposób. Ważniejsze jednak od tych domowych zmian było to, jak bardzo jej obecność podniosła na duchu Cyncerona. Tulia była bystrą młodą kobietą; gdyby urodziła się mężczyzną, zostałaby dobrym adwokatem. Czytała poezję i filozofię i – co było o wiele trudniejsze – rozumiała je w wystarczającym stopniu, by prezentować własne stanowisko w dyskusjach z ojcem. Nie skarżyła się i pomniejszała swoje kłopoty. *Uważam, że po ziemi nie chodził jeszcze ktoś taki*, napisał Cyncero do Attyka.

Im bardziej ją podziwiał, tym trudniej było mu wybaczyć Terencji, że tak ją potraktowała. „Jaka matka pozwala córce przebyć setki mil bez eskorty albo usuwa się na bok i pozwala, by upokarzali ją sklepikarze, którym nie jest w stanie spłacić należności?” – mruzczał czasami do mnie. Pewnego wieczoru przy kolacji zapytał córkę wprost, co według niej może tłumaczyć zachowanie Terencji.

– Pieniądze – odparła krótko Tulia.

– Ależ to żałosne. Pieniądze... to takie poniżające.

– Wbiła sobie do głowy, że Cezar będzie musiał zebrać wielką sumę, by pokryć koszty wojny, i że jedynym sposobem, w jaki zdoła to zrobić, będzie skonfiskowanie majątku jego oponentów... zwłaszcza twojego.

– I z tego powodu pozwala ci żyć w ubóstwie? Gdzie tu logika?

Tulia nie od razu mu odpowiedziała.

– Ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnęła, ojcze, to dokładać ci zmartwień. Dlatego do tej pory nic ci nie mówiłam. Ale teraz, kiedy wydajesz się silniejszy, powinienes chyba wiedzieć, dlaczego chciałam tu przyjechać i dlaczego matka chciała mnie powstrzymać. Ona i Filotymus od wielu miesięcy... być może nawet od wielu lat grabią twoje posiadłości. Mówię nie tylko o czynszach dzierżawnych, ale też o samych domach. Niektórych pewnie w ogóle byś nie poznał... zostały prawie całkowicie ogołoczone.

W pierwszej chwili Cyncero zareagował na to niedowierzaniem.

– To nie może być prawda. Dlaczego? Jak ona może robić takie rzeczy?

– Mogę ci tylko powtórzyć, co mi powiedziała: „On niech sobie popada w ruinę z powodu swoich szaleństw, ale nie pozwolę, żeby zrujnował i mnie”. Jeśli chcesz znać prawdę – dodała po chwili Tulia – uważam, że odbiera swój posag.

W tym momencie Cyncero zaczął uświadamiać sobie, o co chodzi.

– Masz na myśli, że chce wziąć ze mną rozwód?

– Nie sądzę, by była do końca zdecydowana. Uważam jednak, że zabezpiecza się na wypadek, gdyby do tego doszło, a ty nie miałbyś środków, żeby ją spłacić. – Tulia pochyliła się nad stołem i wzięła go za rękę. – Postaraj się na nią nie gniewać, ojczy. Pieniądze to dla niej jedyny sposób zachowania niezależności. Wciąż żywi do ciebie silne uczucia, wiem o tym.

Cyncero, nie potrafiąc opanować emocji, wstał od stołu i wyszedł do ogrodu.

* * *

Ze wszystkich katastrof i zrad, których doznał w ostatnich latach, ta była najgorsza. Dopełniła miary jego nieszczęść. Był całkowicie zdruzgotany. Co gorsza,

Tulia błagała go, żeby nic nie mówił do czasu, gdy będzie mógł rozmówić się z Terencją w cztery oczy. W przeciwnym razie dowiedziałyby się, kto go poinformował. Perspektywa spotkania wydawała się odległa. I nagle, jak grom z jasnego nieba, kiedy letnie upały zrobiły się nie do zniesienia, przyszedł list od Cezara.

Cezar dyktator do Cyclerona imperatora.

Otrzymałem różne wiadomości od twojego brata, który donosi mi, że byłeś wobec mnie nieuczciwy, i tłumaczy, że gdyby nie twoje naciski, nigdy nie podniósłby przeciwko mnie broni. Przesłałem te listy Balbusowi, żeby ci pokazał. Możesz z nimi zrobić, co chcesz. Ułaskawiłem Kwintusa i jego syna. Mogą zamieszkać, gdzie im się podoba. Nie pragnę jednak odnawiać z nim stosunków. Jego zachowanie wobec ciebie potwierdza niską opinię, jaką wyrobiłem sobie o nim w Galii.

Podróżuję przed swoją armią i wrócę do Italii w przyszłym miesiącu, wcześniej, niż się spodziewano. Wyląduję w Tarencie i liczę, że będziemy mogli się tam spotkać, żeby raz na zawsze ustalić pewne sprawy dotyczące twojej przyszłości.

Tulia była bardzo podekscytowana, gdy to przeczytała; uznała, że to „wielkoduszny list”. Ale Cyncero, choć tego nie zdradzał, był skonfundowany. Miał wcześniej nadzieję, że wolno mu będzie wrócić do Rzymu bez wielkiego rozgłosu. Perspektywa spotkania z Cezarem budziła w nim poważne obawy. Wiedział, że dyktator bez wątpienia będzie odnosić się do niego przyjaźnie, nawet jeśli otaczali go ludzie nieokrzesani i aroganccy. Jednak żadne piękne słówka nie mogły skryć podstawowej

prawdy: że będzie błagał o życie najeźdźcę, który podeptał konstytucję. Tymczasem codziennie przychodziły nowe raporty z Afryki, gdzie Katon formował wielką nową armię, która miała bronić republiki.

Cycero robił dobrą minę do złej gry na użytek Tulii, ale kiedy udał się na spoczynek, zaczęło nękać go sumienie.

– Wiesz, że zawsze starałem się postępować we właściwy sposób, zastanawiając się, jak historia oceni moje czyny. W tym przypadku mogę być pewien, jaki zapadnie werdykt. Historia uzna, że Cycero nie stanął po właściwej stronie razem z Katonem, bo ostatecznie okazało się, że jest tchórzem. Och, jak bardzo się w tym wszystkim zaplątałem, Tironie! Właściwie uważam, że Terencja całkiem słusznie próbuje ocalić co się da z tej ruiny i wziąć ze mną rozwód.

Wkrótce potem Watyniusz poinformował nas, że Cezar wylądował w Tarencie i za dwa dni chce się spotkać z Cyceronem.

– Dokąd konkretnie mamy się udać? – zapytał Cycero.

– Zatrzymał się w dawnej willi Pompejusza nad samym morzem. Wiesz, gdzie to jest?

Cycero pokiwał głową. Na pewno przypomniał sobie swoją ostatnią wizytę, kiedy on i Pompejusz puszczały kaczki na wodzie.

– Wiem.

Chociaż oznajmił, że wolałby podróżować bez ostentacji, Watyniusz uparł się, że zapewni mu wojskową eskortę.

– Obawiam się, że to nie podlega dyskusji: okolica jest zbyt niebezpieczna. Mam nadzieję, że spotkamy się kiedyś w bardziej sprzyjających okolicznościach. Życzę powodzenia z Cezarem. Jestem pewien, że okaże się wspaniałomyślny – powiedział.

A potem, gdy odprowadzałem go do drzwi, rzekł do mnie:

– Cyncero nie wydaje się zbyt szczęśliwy.

– Czuje się upokorzony. Fakt, że będzie musiał się ukorzyć w domu swego byłego zwierzchnika, jeszcze bardziej go przygnębia.

– Dam o tym znać Cezarowi.

Wyruszyliśmy nazajutrz rano – dziesięciu jeźdźców z przodu, za nimi sześciu liktorów, potem Cyncero, Tulia i ja w powozie, Marek w siodle, dalej juczne muły i służący, a na koniec dziesięciu jeźdźców, którzy zamykali orszak. Nad płaską kalabryjską równiną unosiły się tumany pyłu. Z wyjątkiem nielicznych pasterzy i pracujących w gajach oliwnych rolników nie zobaczyliśmy po drodze żywej duszy i zdałem sobie sprawę, że przydzielono nam eskortę nie dla ochrony, ale po to, by Cyncero nie uciekł. Zatrzymaliśmy się na noc w zarezerwowanym dla nas w Urii domu i nazajutrz rano kontynuowaliśmy naszą podróż, gdy nagle koło południa,

w odległości zaledwie dwóch albo trzech mil od Tarentu, zobaczyliśmy zmierzającą w naszą stronę długą kolumnę jeźdźców.

W kurzu i upale robili z początku wrażenie upiorów. Dopiero gdy znaleźli się w odległości kilkuset kroków, poznałem po pióropuszcach na hełmach, że to żołnierze. Nasz orszak stanął w miejscu, a dowódca eskorty zeskoczył z siodła, podbiegł do powozu i zakomunikował Cyceronowi, że zbliżająca się konnica ma osobiste insygnia Cezara. To byli jego pretorianie i towarzyszył im dyktator.

– O bogowie, myślicie, że chce mnie zarębać na poboczu drogi?! – wykrzyknął Cycero. – To był żart, moje dziecko – dodał szybko, widząc przerażenie na twarzy Tulii. – Gdyby chciał mnie zabić, zrobiłby to o wiele wcześniej. Cóż, miejmy to już za sobą. Lepiej dotrzymaj mi towarzystwa, Tironie. Będiesz miał o czym pisać w swojej książce.

Wygramolił się z powozu i zawołał do Marka, żeby nam towarzyszył.

Oddział Cezara zbliżył się mniej więcej na sto kroków i ustawił w szyku, jakby gotował się do bitwy. Był bardzo znaczny: mógł liczyć czterystu albo pięciuset jeźdźców. Ruszyliśmy pieszo w ich stronę: Cycero pośrodku, ja i Marek po jego prawej i lewej stronie. Z początku nie wiedziałem, który z nich to Cezar. Ale potem wysoki mężczyzna zeskoczył z siodła, zdjął hełm, podał go

swojemu adiutantowi i podążył ku nam, przyglądając dłonią rzadkie włosy.

Jakże nierealnie było patrzeć na tego zbliżającego się tytana, który od tylu lat zajmował myśli wszystkich – podbijał kraje, decydował o życiu i śmierci tysięcy, wysyłał to tu, to tam rzesze maszerujących żołnierzy i rozbił starodawną republikę w pył, jakby była starą, niemodną, poszczerbioną wazą – patrzeć na niego i ujrzyć... zwykłego śmiertelnika! Szedł bardzo szybko, stawiając krótkie kroki – zawsze wydawało mi się, że jest w nim coś ptasiego: ta wąska mała czaszka i lśniąco czujne ciemne oczy. Zatrzymał się tuż przed nami. Stałem dość blisko, by widzieć czerwone ślady, jakie hełm zostawił na jego zaskakująco miękkiej bladej skórze.

– Cieszę się, widząc cię w dobrym zdrowiu – oznajmił swoim schrypniętym głosem, przyglądając się od stóp do głów Cynceronowi. – Właśnie tak jak się tego spodziewałem! A z tobą jeszcze się policzę – dodał, wskazując na mnie palcem, i poczułem, jak żołądek podchodzi mi do gardła. – Dziesięć lat temu zapewniałeś mnie, że twój pan jest jedną nogą w grobie. Odparłem wtedy, że jeszcze mnie przeżyje.

– Cieszy mnie twoja przepowiednia, Cezarze – odezwał się Cyncero – choćby dlatego, że jesteś jedynym człowiekiem, który może zadbać o to, by się spełniła.

Cezar odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– No tak, brakowało mi ciebie! Spójrz tylko... widzisz, że wyjechałem z miasta, żeby okazać ci szacunek? Przejdźmy się tam, dokąd zmierzałeś, i porozmawiajmy.

Przeszli zatem razem może pół mili w stronę Tarentu, mijając po drodze żołnierzy, którzy rozstąpili się, by ich przepuścić. Za nimi szło kilku członków obstawy, jeden z nich prowadził za uzdę konia Cezara. Marek i ja podążaliśmy kilka kroków za nimi. Nie słyszałem, co mówili, ale dostrzegłem, że Cezar brał co jakiś czas Cycerona pod łokieć, gestykulując drugą ręką. Cycero ocenił potem, że rozmowa prowadzona była w dość przyjaznym tonie, i z grubsza streścił ją w następujący sposób:

Cezar: „Więc co chciałbyś teraz robić?”.

Cycero: „Wrócić do Rzymu, jeśli na to pozwolisz”.

Cezar: „Możesz przyrzec, że nie będziesz mi przysparzał kłopotów?”.

Cycero: „Przysięgam”.

Cezar: „Co będziesz tam robił? Nie wiem, czy chcę, byś wygłaszał mowy w senacie, a wszystkie sądy są zamknięte”.

Cycero: „Och, jako polityk jestem skończony, wiem o tym. Wycofam się z życia publicznego”.

Cezar: „I co będziesz robił?”.

Cycero: „Myślałem o tym, żeby pisać dzieła filozoficzne”.

Cezar: „Znakomicie. Cenię mężów stanu, którzy piszą dzieła filozoficzne. To oznacza, że porzucili wszelką nadzieję na zdobycie władzy. Możesz wracać do Rzymu. Czy oprócz pisania o filozofii będziesz również jej nauczał? Mógłbym podesłać ci kilku moich najbardziej obiecujących podwładnych, żebyś ich wyszkolił”.

Cycero: „Nie obawiasz się, że mógłbym ich zdeprawować?”.

Cezar: „Jeśli o ciebie chodzi, niczego się nie obawiam. Czy chciałbyś prosić o coś jeszcze?”.

Cycero: „Chciałbym się pozbyć tych liktorów”.

Cezar: „Załatwione”.

Cycero: „Czy tej sprawy nie musi przegłosować senat?”.

Cezar: „Ja jestem głosem senatu”.

Cycero: „Ach. Wnoszę z tego, że nie masz zamiaru przywracać republiki?”.

Cezar: „Nie można odbudować czegoś, używając spróchniałego drewna”.

Cycero: „Powiedz mi: czy zawsze miałeś na celu ustanowienie dyktatury?”.

Cezar: „Nigdy. Pragnąłem tylko szacunku odpowiadającego mojej randze i zasługom. Co do reszty, człowiek dostosowuje się po prostu do okoliczności w miarę, jak się pojawiają”.

Cycero: „Zastanawiam się czasami, czy gdybym pojechał do Galii jako twój legat... co byłeś uprzejmy mi

kiedyś zaproponować... można byłoby uniknąć tego wszystkiego”.

Cezar: „Tego, mój drogi Cynceronie, nigdy się już nie dowiemy”.

– Był pod każdym względem uroczy – podsumował Cyncero. – Ani na chwilę nie odsłonił przede mną tych monstrualnych otchłani. Widziałem tylko spokojną i lśniącą powierzchnię.

Na koniec rozmowy Cezar uścisnął dłoń Cynceronowi. Następnie dosiadł konia i pogalopował w kierunku willi Pompejusza. Zaskoczyło to nieco jego pretorian, którzy podążyli za nim w pośpiechu, tak że obaj z Cyncerem musieliśmy zeskoczyć do rowu, żeby nas nie stratowali.

Kopyta ich koni wzbily w górę olbrzymi tuman kurzu. Krztusząc się i zanosząc kaszlem, zczekaliśmy, aż przejadą, po czym wspięliśmy się z powrotem na drogę, żeby się otrzepać. Przez chwilę patrzyliśmy, jak Cezar i ci, którzy za nim jechali, znikają w upalnym, rozfalowanym powietrzu, a potem ruszyliśmy w drogę powrotną do Rzymu.

Część druga POWRÓT 47–43 rok p.n.e.

Defendi rem publicam adulescens; non deseram senex.

„Broniłem republiki w młodości; nie opuszczę jej w podeszłym wieku”.

Cycero, Druga Filipika, 44 rok p.n.e.

XII



Tym razem, gdy Cyncero wracał do domu, nie było tłumów wiwatujących na jego cześć. Na wojnę poszło tylu mężczyzn, że pola, które mijaliśmy, wydawały się nieuprawiane, a miasta zrujnowane i wyludnione. Ludzie patrzyli na nas ponuro albo odwracali się. Pierwszy przystanek zrobiliśmy w Wenezji. Tam Cyncero podyktował chłodny list do Terencji.

Pojadę chyba do Tusculum. Bądź uprzejma dopilnować, by wszystko było gotowe na mój przyjazd. Mam ze sobą pewną liczbę ludzi i prawdopodobnie zostanę tam na dłużej. Jeśli w łazience nie ma wanny, każ ją wstawić; dotyczy to również innych rzeczy niezbędnych dla zdrowia i normalnej egzystencji. Żegnaj.

W liście nie było żadnych czułości, żadnego słowa o tym, że cieszy się na ich spotkanie, a nawet zaproszenia,

by tam na niego czekała. Zorientowałem się, że bez względu na to, co mogła postanowić Terencja, on zdecydował się z nią rozwieść.

Na dwie noce zatrzymaliśmy się w Cumae. Willa była zamknięta na trzy spusty, większość niewolników sprzedano. Cycero przemierzał duszne, niewietrzone pokoje, próbując sobie uświadomić, czego brakuje – stołu z cytrusowego drewna w jadalni, popiersia Minerwy, które stało w tablinum, taboretu z kości słoniowej w jego gabinecie. Przystanąwszy w sypialni Terencji, przyglądał się ogołoconym półkom i alkowom. Tak samo wyglądało to w Formiae; zabrała wszystkie swoje osobiste rzeczy – ubrania, grzebienie, perfumy, wachlarze i parasolki. „Czuję się jak duch odwiedzający miejsca, w których toczyło się moje życie”.

W Tusculum czekała na nas. Wiedzieliśmy, że jest w domu, bo jedna z jej pokojówek wypatrywała nas przy bramie.

Obawiałem się, że będę świadkiem kolejnej strasznej sceny, podobnej do tej, która rozegrała się między Ciceronem a jego bratem. Tym razem jednak Terencja była łagodniejsza niż kiedykolwiek. Przypuszczam, że sprawił to fakt, iż po tak długim i bolesnym rozstaniu zobaczyła ponownie syna – to on był oczywiście pierwszą osobą, do której podbiegła, i mocno go uściskała. Jedyne raz w ciągu trzydziestu lat widziałem wtedy, jak płacze. Następnie uściskała Tulię i w końcu zwróciła się do męża.

Cycero powiedział mi później, że kiedy do niego podeszła, ulotniła się cała wypełniająca go gorycz, zobaczył bowiem, jak bardzo się postarzała. Zmartwienia naznaczyły jej twarz zmarszczkami; włosy miała przyprószone siwizną; zgarbiły się niegdyś dumnie wyprostowane plecy. „Dopiero w tamtym momencie zdałem sobie sprawę, ile wycierpiała, mieszkając w zajęтым przez Cezara Rzymie i będąc moją żoną. Nie mogę powiedzieć, że nadal ją kochałem, ale poczułem wielki żal, czułość i smutek, i wtedy właśnie postanowiłem, że nie będę poruszał kwestii pieniędzy i majątku... jeśli o mnie chodzi, sprawa była zamknięta”. Przywarli do siebie niczym dwoje obcych rozbitków po katastrofie statku, a potem odsunęli się i do końca życia nigdy się już nie objęli.

* * *

Nazajutrz rano Terencja wróciła do Rzymu, już rozwiedziona. To, że małżeństwo, obojętnie, jak długo trwało, może być unieważnione tak łatwo, bez żadnej ceremonii ani dokumentu prawnego, niektórzy uznają za zagrożenie dla moralności publicznej. Ale takie jest starodawne prawo i przynajmniej w tym wypadku chęć zakończenia związku była obopólna. Naturalnie nie byłem obecny przy ich prywatnej rozmowie. Cycero stwierdził, że przebiegła w przyjaznym duchu. „Zbyt

długo żyliśmy oddzielnie; pośród wielu politycznych wstrząsów osłabły łączące nas intymne więzi”. Uzgodniono, że Terencja będzie mieszkała w domu w Rzymie, dopóki nie przeprowadzi się do własnej posiadłości. Cyncero na razie pozostawał w Tusculum. Marek postanowił wrócić do miasta z matką; Tulia, której niewierny mąż Dolabella miał wypłynąć razem z Cezarem do Afryki, by walczyć z wojskami Katona, została z ojcem.

O ile jednym z utrapień ludzkiego żywota jest to, że można w ułamku chwili odebrać komuś szczęście, o tyle jedną z jego radości jest to, że można je równie niespodziewanie odzyskać. Cyncero od dawna marzył o tym, że będzie mógł zaznać spokoju i pooddychać świeżym powietrzem w swej posiadłości na wzgórzach Frascati; teraz mógł się tym cieszyć bez żadnych przeszkód, w towarzystwie ukochanej córki. Ponieważ ten dom miał się odtąd stać jego głównym miejscem zamieszkania, opiszę go dokładniej. Na górnym tarasie było gymnasium, które prowadziło do biblioteki i któremu na cześć Arystotelesa nadał miano Liceum. Tam właśnie Cyncero przechadzał się rankami, układał listy i rozmawiał z gośćmi, a dawniej ćwiczył swoje mowy. Widać było stamtąd siedem rzymskich wzgórz, oddalonych o piętnaście mil. Ponieważ jednak teraz nie miał żadnego wpływu na to, co się tam dzieje, mógł bez reszty koncentrować się na swoich książkach – pod tym

względem dyktatura, w paradoksalny sposób, obdarzyła go wolnością. Pod tarasem był ogród z ocienionymi alejkami, jak u Platona, na którego cześć Cycero nazwał go Akademią. Oba te miejsca, Liceum i Akademia, ozdobione były pięknymi greckimi statuami w brązie i w marmurze, spośród których najbardziej lubił Hermathenę, janusowe popiersie Hermesa i Ateny patrzących w przeciwległe strony. Dostał tę rzeźbę od Attyka. Z różnych fontann dochodziła cicha muzyka lejącej się wody i w połączeniu ze śpiewem ptaków i zapachem kwiatów tworzyło to atmosferę elizejskiego spokoju. Okolica była cicha, bo senatorowie, do których należały sąsiednie wille, w większości uciekli albo zginęli.

Tutaj właśnie Cycero mieszkał wraz z Tulią przez cały następny rok, jeśli nie liczyć rzadkich wypadów do Rzymu. Później uznał ten okres za najszcześniejszy w swoim życiu, a także za najbardziej twórczy, bo dotrzymał obietnicy danej Cezarowi, że poświęci teraz całą energię na pisanie. I taka była moc tej energii, której nie rozpraszał już na kwestie polityczne i prawne, ale skupiał ją wyłącznie na twórczości literackiej, że w ciągu tego jednego roku napisał tyle ksiąg na temat filozofii i retoryki, ile większość uczonych mogłaby wypichcić w ciągu całego życia, i płodził je jedna po drugiej, bez żadnej przerwy. Miał zamiar przyswoić łacinie wszystkie najważniejsze problemy greckiej filozofii. Jego metodę pisarską można określić jako szybką. Wstawał o świcie

i od razu szedł do swojej biblioteki, gdzie zaglądał do tekstów, które go interesowały, i robił z nich notatki – miał paskudny charakter pisma: należałem do nielicznych, którzy potrafili je odczytać – a potem, gdy po kilku godzinach do niego dołączałem, dyktował mi, przechadzając się po Liceum. Często pozostawiał mi znalezienie cytatów albo napisanie całych ustępów wedle jego wskazówek; najczęściej nie zaprzętał sobie głowy sprawdzaniem tych tekstów, ponieważ nauczyłem się bardzo dobrze imitować jego styl.

Pierwszym dziełem, jakie ukończył w tamtym roku, była historia sztuki oratorskiej; by uhonorować Marka Juniusza Brutusa, zatytułował je *Brutus*, jednocześnie mu je dedykując. Nie widział swego młodego przyjaciela od czasów, gdy ich namioty sąsiadowały ze sobą w wojskowym obozie pod Dyrrachium. Prowokacyjny był sam wybór tematu, jeśli się zważy, że sztuka wymowy nie była już ceniona w kraju, gdzie wybory, obrady senatu i posiedzenia sądów znajdowały się pod kontrolą dyktatora.

Nie bez powodu boleję, że urodziłem się tak późno i że noc, która spowiła republikę, zapadła, nim moja ziemską podróż dobiegła końca. Ale serce boli mnie jeszcze bardziej, gdy patrzę na ciebie, młody Brutusie, którego triumfy i podziwianą powszechnie karierę pokrzyżował zły los.

Pokrzyżował zły los... Dziwiło mnie, że Cyncero naraża się na ryzyko, publikując takie słowa, zwłaszcza że Brutus

był teraz ważnym urzędnikiem administracji Cezara. Dyktator ułaskawił go po bitwie pod Farsalos i mimo że Brutus nigdy nie sprawował funkcji pretora, a tym bardziej konsula, mianował go nie tak dawno namiestnikiem Galii Przedalpejskiej. Ludzie mówili, że stało się tak, ponieważ był synem dawnej kochanki Cezara, Serwili, i że nominacja jest ukłonem w jej stronę, ale Ciceró odrzucał takie spekulacje. „Cezar nie robi niczego z sentymentu. Powierzył mu to stanowisko po części dlatego, że Brutus jest utalentowany, ale przede wszystkim dlatego, że jest bratankiem Katona i dla Cezara to dobry sposób, by zasiać niezgodę pośród swoich nieprzyjaciół”.

Brutusowi, który wraz z pewnym wzniosłym idealizmem odziedziczył po stryju wiele jego uporu i nieustępliwości, nie spodobała się praca nazwana jego imieniem, podobnie jak towarzyszący jej tom pod tytułem *Orator*, który Ciceró napisał wkrótce potem i również mu zadedykował. Przesłał z Galii list, w którym twierdził, że styl oratorski Cicerona był dobry w poprzedniej epoce, ale jest zbyt górnołotny zarówno na jego gust, jak i na dzisiejsze czasy – za dużo w nim kalamburów, dowcipów i żartobliwego tonu: w dzisiejszej dobie potrzebna jest pozbawiona emocji, absolutna szczeróść. To, że przyznał sobie prawo pouczenia największego oratora swej epoki, jak ma publicznie przemawiać, wydało mi się przejawem typowego dlań

zarozumiałstwa, ale Cycero zawsze szanował Brutusa za jego uczciwość i nie poczuł się urażony.

To były dziwnie szczęśliwe, powiedziałbym nawet, beztroskie dni. Sąsiednia, od długiego czasu niezamieszkała dawna posiadłość Lukullusa została sprzedana i nowym właścicielem okazał się Aulus Hircjusz, wymuskany młody adiutant Cezara; poznałem go przed laty w Galii. Był teraz pretorem, ale rozprawy sądowe odbywały się tak rzadko, że siedział przeważnie w domu, w którym mieszkał ze starszą siostrą. Pewnego ranka wstąpił, by zaprosić Cycerona na kolację. Był znanym smakoszem i zajadając takie rarytasy jak łabędzie i pawie mózdzki, bardzo się zaokrąglił. Jak prawie wszyscy, którzy należeli do najbliższego otoczenia Cezara, nie skończył jeszcze czterdziestki i odznaczał się nienagannymi manierami i wyrafinowanym gustem literackim. Powiadano, że to on napisał wiele fragmentów *Komentarzy Cezara*, które Cycero wychwalał w *Brutusie* (*są niczym nagie posągi, wyprostowane i piękne, pozbawione wszelkich ornamentów i ozdób, jakby zrzuciły z siebie szaty, podyktował mi, a potem dodał, nie do publikacji: „i tak samo pozbawione wyrazu jak figurki narysowane na piasku przez dziecko”*). Nie widział powodu, by odrzucić zaproszenie Hircjusza. Tego samego dnia wieczorem udał się do niego wraz z Tulią i tak zaczęła się ich niezwykła przyjaźń; ja też byłem tam często zapraszany.

Pewnego dnia Cyncero zapytał Hircjusza, czy mógłby mu się jakoś odwdziaczyć za te wszystkie wspaniałe uczyty, na których gości, a ten odparł, że owszem, tak się składa, że może to zrobić: otóż Cezar nakłaniał go, by gdyby okazało się to możliwe, zgłębił „u samego Mistrza” zasady filozofii i retoryki, dlatego on będzie mu wdzięczny za jakieś wskazówki. Cyncero zgodził się i zaczął udzielać Hircjuszowi lekcji deklamacji podobnych do tych, które sam pobierał jako młody człowiek u Apoloniusza Molona. W trakcie tych zajęć, które odbywały się w Akademii, przy wodnym zegarze, uczył go, jak zapamiętać mowę, jak oddychać, jak ustawiać głos i w jaki sposób używać dłoni, by podkreślić znaczenie tego, co się mówi. Hircjusz przechwalał się swymi nowymi umiejętnościami przed przyjacielem, Gajuszem Wibiuszem Pansą, kolejnym oficerem z galijskiego sztabu Cezara, który pod koniec roku miał zastąpić Brutusa na stanowisku namiestnika Galii Przedalpejskiej. W rezultacie Pansa również stał się w tamtym roku częstym gościem w willi Cyncerona i on także nauczył się lepiej przemawiać publicznie.

Trzecim uczniem tej nieoficjalnej szkoły został Kasjusz Longinus, zaprawiony w bojach weteran ekspedycji Krassusa do Partii i były namiestnik Syrii, z którym Cyncero spotkał się po raz ostatni na naradzie wojennej na Kerkyrze. Podobnie jak Brutus, którego siostrę poślubił, ukorzył się przed Cezarem i został ułaskawiony; teraz

niecierpliwie czekał na awans. Był to człowiek małowówny i ambitny i raczej nie przepadałem za jego towarzystwem. Cynceronowi też niezbyt się podobały jego poglądy, bo Kasjusz był zaprzysięgłym epikurejczykiem: mało co jadł, nie tykał wina i przywiązywał wielką wagę do ćwiczeń fizycznych. Zwierzył się raz Cynceronowi, że w życiu najbardziej żałuje tego, iż ukorzył się przed Cezarem, że od samego początku nie daje mu to spokoju i że sześć miesięcy po ułaskawieniu próbował zabić Cezara, kiedy dyktator wrócił z Egiptu po śmierci Pompejusza. Udałoby mu się, gdyby Cezar przycumował tamtej nocy przy tym samym brzegu rzeki Cydnus, przy którym stały tryremy Kasjusza; niestety, wybrał drugi brzeg, a była późna noc i Kasjusz miał zbyt dużą odległość do pokonania. Nawet Cyncero, który niełatwo dawał się wytrącić z równowagi, był wstrząśnięty jego niedyskrecją i poradził mu, by nie powtarzał nikomu tych opowieści, a już na pewno nie pod dachem jego willi, gdzie mogli go usłyszeć Hircjusz i Pansa.

Na koniec muszę wspomnieć o czwartym gościu, którego obecność w willi Cyncerona najtrudniej sobie wyobrazić, mam bowiem na myśli Dolabellę, wiarołomnego męża Tulii. Była przekonana, że Dolabella jest w Afryce i walczy pod rozkazami Cezara przeciwko wojskom Katona i Scypiona, ale z nastaniem wiosny Hircjusz otrzymał raport, że kampania dobiegła końca i Cezar odniósł wielkie zwycięstwo. W związku z tym

przerwał lekcje i pośpieszył do Rzymu, a kilka dni później wczesnym rankiem przybył posłaniec z listem do Cyncerona.

Dolabella do swojego drogiego teścia, Cyncerona.

Mam zaszczyt poinformować Cię, że Cezar pokonał przeciwnika i że Katon odebrał sobie życie. Przybyłem dziś rano do Rzymu, by zdać o tym relację w senacie. Odwiedziłem też swój dom i powiedziano mi, że Tulia mieszka u Ciebie. Czy pozwolisz, że przyjadę do Tusculum i zobaczę się z dwojgiem ludzi, którzy są mi najdrożsi na świecie?

– Istne pasmo nieszczęść – zauważył Cyncero. – Republika upadła, Katon nie żyje, a teraz mój zięć prosi o pozwolenie, by zobaczyć się z żoną. Bez Katona świat nigdy już nie będzie taki sam – dodał, patrząc ponuro nad polami i lasami w stronę rzymskich wzgórz, które wczesnym wiosennym rankiem spowijała błękitna mgiełka.

Wysłał niewolnika po Tulię, a kiedy przyszła, pokazał jej list. Tak często opowiadała o okrucieństwie, z jakim traktował ją Dolabella, że podobnie jak Cyncero zakładałem, iż będzie nalegała, by się z nim nie spotykał. Tymczasem oświadczyła, że jest jej wszystko jedno i pozostawia decyzję ojcu.

– Skoro tak uważasz – odparł Cyncero – powinienem chyba pozwolić mu przyjechać... choćby po to, by powiedzieć mu, co sędzę o tym, jak cię traktował.

– Nie, ojczy, błagam, żebyś tego nie robił – poprosiła go natychmiast. – Jest zbyt dumny, by wysłuchiwać

wymówek, a poza tym sama jestem sobie winna... Przed ślubem wszyscy mnie ostrzegali, jaki z niego gagatek.

Cycero nie wiedział, co robić, ostatecznie jednak pragnienie, by dowiedzieć się z pierwszej ręki o tym, co stało się z Katonem, wzięło górę nad niechęcią do goszczenia pod własnym dachem takiego szubrawca – którym Dolabella okazał się, trzeba dodać, nie tylko jako mąż, ale również jako polityczny wichrzyciel, ulepiony z tej samej gliny co Katylina i Klodiusz i opowiadający się za anulowaniem wszelkich długów. Cycero poprosił mnie, żebym niezwłocznie wybrał się do Rzymu i zawiązał zaproszenie dla Dolabelli. Tuż przed moim wyjazdem Tulia wzięła mnie na stronę i poprosiła, bym przekazał jej list od męża. Spełniłem naturalnie jej prośbę i dopiero później odkryłem, że sama nie miała od niego żadnego listu i ten chciała zachować na pamiątkę.

Dotarłem do Rzymu w południe – minęło całe pięć lat, odkąd po raz ostatni postawiłem stopę w tym mieście. Na uchodźstwie często wyobrażałem sobie jego piękne świątynie, ozdobione marmurem i złotem portyki, przechadzających się szerokimi ulicami eleganckich, kulturalnych obywateli. Zamiast tego znalazłem brud, smród i ubóstwo, błotniste, poryte koleinami drogi, o wiele węższe od tych, które zapamiętałem, oraz nieodbudowane budynki i żebrzących na Forum kalekich weteranów. Budynek senatu był nadal wypaloną ruiną. Dziedzińce przed świątyniami, gdzie niegdyś odbywały

się posiedzenia sądów, były opustoszałe. Z przeprowadzonego później w tym samym roku spisu wynikało, że w porównaniu z czasem sprzed wojny domowej liczba ludności zmniejszyła się o ponad połowę.

Myślałem, że znajdę Dolabellę na obradach senatu, ale nikt nie wiedział, gdzie się toczą i czy obecnie senat w ogóle się zbiera. W końcu udałem się pod adres na Palatynie, który dała mi Tulia, dodając, że tam właśnie ostatnio mieszkała z mężem, i rzeczywiście, znalazłem tam Dolabellę w towarzystwie elegancko ubranej kobiety – jak się później dowiedziałem, była to Metella, córka Klodii. Zachowując się jak pani domu, kazała mi podać krzesło i coś do picia – i natychmiast zdałem sobie sprawę, jak beznadziejna jest sytuacja Tulii.

Co się tyczy Dolabelli, w jego postaci zwracały uwagę trzy rzeczy: urodziwe, choć nieco dzikie rysy twarzy, oczywista siła fizyczna oraz niski wzrost. („Kto przywiązał mojego zięcia do tego miecza?”, zażartował kiedyś Cyncero). Ten kieszonkowy Adonis, do którego, choć nigdy dotąd go jeszcze nie spotkałem, żywiłem gorącą niechęć ze względu na to, jak traktował Tulię, przeczytał zaproszenie i oznajmił, że od razu ze mną pojedzie.

– Mój teść pisze, że ten list przekaże mi jego zaufany przyjaciel, Tiron – powiedział. – Czy jesteś tym samym Tironem, który wymyślił słynny system stenotypii? W takim razie ogromnie się cieszę, mogąc cię poznać! Moja żona zawsze mówiła o tobie same dobre rzeczy,

jakbyś był dla niej kimś w rodzaju drugiego ojca. Czy mogę uścisnąć ci dłoń?

Łajdak miał w sobie tyle uroku, że poczułem, iż moja wrogość wobec niego powoli topnieje.

Poprosił Metellę, by wysłała za nim niewolników z jego bagażem, po czym wsiadł ze mną do powozu i pojechaliśmy razem do Tusculum. Przez większą część podróży spał. Kiedy dotarliśmy do willi, niewolnicy szykowali się do podania kolacji i Cycero kazał dać dodatkowe nakrycie. Dolabella podszedł prosto do sofy, na której siedziała Tulia, i położył się, kładąc głowę na jej kolanach. Zauważyłem, że po chwili zaczęła gładzić go po włosach.

Był przyjemny wiosenny wieczór, w gałęziach drzew śpiewały słowiki i kontrast między otaczającym nas spokojem a okropnościami, o których opowiadał Dolabella, sprawiał, że były jeszcze bardziej wstrząsające. Najpierw mówił o samej bitwie pod Tapsus, w której Scypion, sprzymierzony z królem Numidów, Jubą, dowodził liczącymi siedemdziesiąt tysięcy żołnierzy wojskami republiki. Żeby przerwać linie Cezara, użyli podczas szarży słoni, ale zasypywane gradem strzał i wystrzeliwanymi z balist ognistymi pociskami, nieszczęsne bestie wpadły w panikę, zawróciły i stratowały własną piechotę. Potem wyglądało to tak samo jak pod Farsalos: republikańskie linie pękły pod naporem żelaznej dyscypliny legionów Cezara, tyle że

tym razem wódz nakazał, by nie brano jeńców: dziesięć tysięcy tych, którzy się poddali, zostało wyrżniętych.

– A co z Katonem? – zapytał Cyncero.

– Nie walczył w bitwie, bo dowodził garnizonem w Utice, w odległości trzech dni drogi. Cezar natychmiast tam ruszył. Jechałem razem z nim na czele armii. Zależało mu bardzo, by ująć Katona żywego i go ułaskawić.

– Mógłbym was uprzedzić, że nie warto było się trudzić, bo Katon nigdy nie poprosiłby Cezara o łaskę.

– Cezar był przekonany, że to zrobi. Ale jak zwykle masz rację. Katon zabił się w przeddzień przybycia naszych wojsk do Utiki.

– W jaki sposób?

Dolabella wyduł wargi.

– Powiem ci, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, ale to nie jest opowieść dla kobiecych uszu.

– Nie przejmuj się, jestem dość silna, by to usłyszeć – odezwała się stanowczym tonem Tulia.

– Myślę jednak, że lepiej będzie, jeżeli się oddalisz.

– Z całą pewnością tego nie zrobię!

– A co sądzi na ten temat twój ojciec?

– Tulia jest silniejsza, niż na to wygląda – powiedział Cyncero. – Musiała być – dodał znacząco.

– Cóż, sami się o to prosiliście. Według niewolników Katona, ich pan, dowiedziawszy się, że nazajutrz można się spodziewać Cezara, wykąpał się, zjadł kolację,

podyskutował ze swymi towarzyszami na temat Platona, po czym poszedł do siebie. Kiedy został sam, wyciągnął miecz i ciął się, o tutaj... – Dolabella wbił palec pod mostkiem Tulii. – Wypłynęły z niego wszystkie wnętrzności.

– Nieźle – mruknęła Tulia, a Cycero, jak zawsze wrażliwy, skrzywił się.

– No tak – podjął Dolabella. – Ale to nie koniec tej historii. Katon nie zdołał zadać sobie śmiertelnej rany i miecz wyślizgnął mu się z zakrwawionej ręki. Jego podwładni usłyszeli, że jęczy z bólu, i wpadli do środka. Wezwali chirurga. Ten wepchnął wnętrzności z powrotem i zaszył ranę. Dodam tutaj, że przez cały czas Katon był przytomny. Przyrzekł, że nie będzie więcej próbował się zabić, i podwładni mu uwierzyli, lecz na wszelki wypadek zabrali mu miecz. Kiedy tylko wyszli, rozerwał palcami ranę i ponownie wywlókł z siebie wnętrzności. To go zabiło.

* * *

Śmierć Katona wywarła wielkie wrażenie na Cyceronie. Kiedy makabryczne szczegóły stały się powszechnie znane, pojawili się ludzie, którzy uznali to za dowód, że Katon był niespełna rozumu; Hircjusz z całą pewnością podzielał ten pogląd. Cycero był innego zdania.

– Mógł zadać sobie łatwiejszą śmierć – powiedział. – Mógł skoczyć z budynku, otworzyć sobie żyły w ciepłej kąpieli albo połknąć truciznę. Zamiast tego wybrał tę szczególną metodę... wywlekając swoje wnętrzności, jakby składał samego siebie w ofierze... po to, by zademonstrować swą siłę woli i pogardę wobec Cezara. W kategoriach filozoficznych to była dobra śmierć: śmierć człowieka, który niczego się nie boi. Właściwie jestem gotów stwierdzić, że umarł szczęśliwy. Ani Cezar, ani żaden inny człowiek, ani cokolwiek na tym świecie nie mogło go dotknąć.

Wrażenie, jakie ta śmierć wywarła na Brutusie i Kasjuszu – którzy obaj byli blisko związani z Katonem, jeden przez więzy krwi, drugi przez małżeństwo – było jeszcze mocniejsze. Brutus wysłał z Galii list do Cyncerona, prosząc go o napisanie eulogii na cześć wuja. W tym samym czasie Cyncero dowiedział się, że Katon wyznaczył go w testamencie na jednego z opiekunów swego syna. Podobnie jak innych, których ułaskawił Cezar, samobójstwo Katona mocno go zawstydziło. Dlatego nie bacząc na to, że może narazić się dyktatorowi, spełnił prośbę Brutusa i w ciągu niespełna tygodnia podyktował krótkie dziełko pod tytułem *Katon*.

Słusznego wzrostu i słusznych poglądów; obojętny na to, co mówili o nim ludzie; brzydzący się chwałą, tytułami i laurami, a jeszcze bardziej tymi, którzy ich pożąдали; obrońca praw i wolności; strażnik interesu publicznego; pogardzający tyranami, ich wulgarnością i tupetem; marzyciel, fanatyk, mistyk i żołnierz, wolał ostatecznie

wydrzeć z siebie własne wnętrze, aniżeli poddać się zdobywcy – tylko republika rzymska mogła zrodzić kogoś takiego jak Katon i tylko w republice rzymskiej człowiek taki jak Katon chciał żyć dalej.

Mniej więcej w tym samym czasie Cezar powrócił z Afryki i wkrótce potem, w samym środku lata, wyprawił w końcu, dzień po dniu, cztery kolejne triumfy, które miały uczcić jego zwycięstwa w Galii, nad Morzem Czarnym, w Afryce i nad Nilem – dając taki spektakl samouwielbienia, jakiego nie oglądano jeszcze nawet w Rzymie. Cyncero przeniósł się do swojego domu na Palatynie, by w nich uczestniczyć – choć prawdę mówiąc, nie miał na to wielkiej ochoty. *W wojnie domowej* – napisał do swojego starego przyjaciela Sulpicjusza – *każde zwycięstwo jest bezczelnością*. W ramach uroczystości odbyło się pięć polowań na dzikie bestie, inscenizowana bitwa z udziałem słoni w Circus Maximus, bitwa morska na wykopanym nieopodal Tybru stawie, przedstawienia w każdej dzielnicy miasta, zawody atletyczne na Polu Marsowym, wyścigi rydwanów, igrzyska ku czci córki dyktatora, Julii, oraz uczta dla całego miasta, na której podawano mięso zwierząt złożonych w ofierze; było też rozdawanie pieniędzy, rozdawanie chleba, niekończące się parady żołnierzy, łupów i jeńców – szlachetny przywódca Galów, Wercyngetoryks, po sześciu latach spędzonych w niewoli został uduszony w Karczerze – i dzień po dniu słyszeliśmy z tarasu wulgarne przyśpiewki legionistów:

*Nasz łysy kurwiarz wraca w dom,
Rzymianie, pilnujcie swych żon!
Całe pożyczone przez was złoto.
Wydał na galijskie dziwki z ochotą!*

Jednak nad wszystkimi tymi obchodami, mimo ich bombastyczności, a może właśnie z tej racji, unosił się surowy duch Katona. Gdy podczas triumfu poświęconego wojnie w Afryce pokazano scenę, kiedy wyrwał z siebie wewnętrżności, przez tłum przeszedł głośny jęk. Powiadano, że śmierć Katona miała szczególną religijną wymowę: że zrobił to, co zrobił, by ściągnąć gniew bogów na głowę Cezara. A kiedy tego samego dnia w triumfalnym rydwanie pękła oś i dyktator runął na ziemię, uznano to za oznakę boskiego niezadowolenia, a Cezar potraktował niepokój tłumów na tyle poważnie, że w nocy wyprawił najbardziej niezwykły ze swoich spektakli: w asyście czterdziestu słoni, dosiadanych przez ludzi z płonącymi pochodniami, wspiął się na kolanach na wzgórze Kapitolu, by przebłagać Jupitera za swoje grzechy.

* * *

Podobnie jak pewne szczególnie wierne psy kładą się ponoć przy grobach swych panów, nie przyjmując do wiadomości, że zmarli, tak też w Rzymie można było spotkać osoby, które żywiły nadzieję, iż można jeszcze wskrzesić dawną republikę. Nawet Cycero padł na krótko

ofiara tego złudzenia. Kiedy świętowanie triumfów dobiegło końca, postanowił wziąć udział w obradach senatu. Nie miał zamiaru zabierać głosu. Poszedł tam częściowo ze względu na dawne czasy, a częściowo dlatego, że wiedział, iż Cezar mianował kilkuset nowych senatorów, i chciał im się przyjrzeć. „W izbie było pełno obcych ludzi – powiedział mi później. – Widziałem kilku autentycznych cudzoziemców, wielu wcale nie pochodzących z wyborów, a jednak czuło się, że to wciąż jest senat”.

Obrady odbywały się na Polu Marsowym, w tej samej sali wewnątrz wzniesionego przez Pompejusza kompleksu teatrów, gdzie zwołano nadzwyczajną sesję po spaleniu starego budynku senatu. Cezar pozwolił nawet, by na miejscu pozostał wielki marmurowy posąg fundatora, i widok siedzącego na podium dyktatora, za którym stał posąg Pompejusza, napełnił Cyncerona nadzieją. Debatowano nad tym, czy pozwolić na powrót do Rzymu byłemu konsulowi Markowi Marcellusowi, który był jednym z najbardziej nieprzejednanych przeciwników Cezara, a po bitwie pod Farsalos udał się na wygnanie i zamieszkał na Lesbos. Jego brat Gajusz – sędzia, który usankcjonował moją manumisję – apelował o udzielenie mu łaski i kiedy kończył przemawiać, na sali nie wiadomo skąd pojawił się ptak, który trzepocząc skrzydłami, przeleciał nad głowami senatorów i wyfrunął przez drzwi. Teść Cezara, Lucjusz Kalpurniusz Pizo,

natychmiast wstał i oznajmił, że to dobry znak: bogowie uważają, iż Marcellusowi powinno się pozwolić wrócić do domu. Po chwili wszyscy senatorowie, łącznie z Cyncerem, powstali jak jeden mąż i podeszli do Cezara, by apelować o łaskę; Gajusz Marcellus i Pizo padli nawet na kolana u jego stóp.

Cezar nakazał gestem, by wrócili na miejsca.

– Człowiek, za którym się wstawiacie – powiedział – obrzucił mnie większym stosem śmiertelnych obelg niż ktokolwiek inny. Mimo to wzruszają mnie wasze prośby, a wróżby wydają się szczególnie pomyślne. Nie muszę stawiać mej godności wyżej od jednomyślnego pragnienia tej izby; przeżyłem już dość lat i zdobyłem dość sławy. Dlatego niech Marcellus wróci do domu i zamieszka bezpiecznie w mieście swych szacownych przodków.

Przyjęto tę wypowiedź głośnym aplauzem i kilku senatorów siedzących obok Cyncerona zaczęło go nakłaniać, by wstał i wyraził wdzięczność Cezarowi w ich imieniu. Scena wywarła na nim takie wrażenie, że zapomniał o postanowieniu, iż nigdy nie zabierze głosu w nielegalnym senacie Cezara, i spełnił ich prośbę, chwając dyktatora w najbardziej wyszukany sposób.

– Teraz gdy zwróciłeś pokonanym wszystko, co przyniosła ci wiktoria, może się zdawać, że i ją pokonałeś. Zaiste jesteś niezwyciężony!

Nagle uwierzył, że Cezar może rządzić jako „pierwszy pomiędzy równymi”, a nie jako tyran. *Wydawało mi się, że widzę początek przywracania konstytucyjnych wolności*, napisał do Sulpicjusza. Miesiąc później zwrócił się o łaskę dla kolejnego uchodźcy, Kwintusa Ligariusza – senatora, którego Cezar nie znosił prawie tak samo mocno jak Marcellusa – i dyktator ponownie okazał łaskę.

Ale opinia, że zmierza do przywrócenia republiki, była złudzeniem. Kilka dni później musiał opuścić w pośpiechu Rzym, by jechać do Hiszpanii i stłumić powstanie wzniecone przez synów Pompejusza, Gnejusza i Sekstusa. Hircjusz zdradził Cynceronowi, że Cezar wpadł w szal. Wielu uczestników powstania było ludźmi, których ułaskawił pod warunkiem, że już nigdy się przeciwko niemu nie zwrócą; teraz nadużyli jego wielkoduszności. Nie będzie więcej aktów łaski, ostrzegł Hircjusz, nie będzie pojednawczych gestów. Ze względu na własne dobro Cyncero powinien trzymać się z daleka od senatu, spuścić głowę i skupić się na filozofii.

„Tym razem to będzie walka na śmierć i życie”.

* * *

Tulia ponownie zaszła w ciążę z Dolabellą – stało się to, jak mi wyjawiała, podczas wizyty jej męża w Tusculum. Z początku była zachwycona, wierząc, że ocali w ten sposób swoje małżeństwo. Dolabella też wydawał się

szczęśliwy. Ale kiedy wróciła razem z ojcem do Rzymu, żeby uczestniczyć w triumfach Cezara, i poszła do domu, w którym mieszkała z Dolabellą, by sprawić mu niespodziankę, zastała w swoim łóżku śpiącą Metellę. Był to dla niej straszliwy szok i po dziś dzień nie mogę sobie wybaczyć, że nie ostrzegłem jej i nie powiedziałem, co tam zobaczyłem podczas swojej wcześniejszej wizyty.

Zapytała mnie o radę i odparłem, że powinna niezwłocznie rozwieść się z Dolabellą. Dziecko miało się urodzić za cztery miesiące. Gdyby nadal była wtedy zamężna, Dolabella mógłby je na mocy prawa zabrać; gdyby jednak była rozwiedziona, sytuacja okazałaby się bardziej skomplikowana. Dolabella musiałby pójść z nią do sądu, by udowodnić swoje ojcostwo, a tam Tulia dysponowałaby, w osobie swego ojca, najlepszą pomocą prawną, jaką można sobie wyobrazić. Porozmawiała z Cyncerem i ten zgodził się z nią: to dziecko mogło się stać jego jedynym wnuczęciem i nie zamierzał się godzić, by odebrano je Tulii i powierzono opiece Dolabelli i córce Klodii.

Dlatego więc w dniu, kiedy Dolabella miał wyjechać z Cezarem na wojnę do Hiszpanii, Tulia udała się rankiem, w towarzystwie Cyncerona, do jego domu i poinformowała go, że ich małżeństwo jest skończone, ale pragnie opiekować się ich dzieckiem. „Ten szubrawiec wrzucił po prostu ramionami – relacjonował mi później Cyncero – życzył jej wszystkiego najlepszego z dzieckiem

i dodał, że musi ono oczywiście pozostać z matką. Następnie wziął mnie na stronę i oznajmił, że w tym momencie nie może w żaden sposób spłacić jej posagu i ma nadzieję, że nie zepsuje to naszych stosunków! Cóż mogłem na to odpowiedzieć? Trudno, żebym robił sobie wroga z jednego z najbliższych towarzyszy Cezara, a poza tym nadal nie odczuwam do niego wielkiej antypatii”.

Bardzo go to przygnębiło i uważał, że ponosi winę za to, że w ogóle doszło do takiej sytuacji. „Powinienem był nalegać, by wzięła z nim rozwód, kiedy tylko dowiedziałem się, jak ją traktuje. I cóż ona teraz pocnie? Porzucona trzydziestoletnia matka, słabego zdrowia i bez posagu, nie jest najlepszą kandydatką na żonę”.

Zdawał sobie ze smutkiem sprawę, że jeśli ktoś tu powinien wziąć ślub, to raczej on sam. Nic nie budziło w nim większej niechęci. Polubił swój nowy kawalerski stan i wolał żyć pośród książek niż z nową żoną. Skończył już sześćdziesiąt lat i choć nadal był przystojny, popęd płciowy – którego nigdy, nawet w młodości, mocno nie odczuwał – powoli zanikał. To prawda, że z wiekiem zaczął częściej flirtować. Lubił uczyty, w których brały udział młode ładne kobiety – siedział raz nawet przy jednym stole z faworytą Marka Antoniusza, aktorką mimiczną Wolumnją Cyteris, rzecz wcześniej nie do pomyslenia. Ale wszystko kończyło się na wypowiedzianych szeptem przy stole komplementach

i czasami miłosnym wierszu, doręczonym później przez posłańca.

Niestety, teraz musiał się żenić, by zdobyć trochę pieniędzy. Potajemne wycofanie posagu przez Terencję nadwątlilo jego finanse; wiedział, że Dolabella nigdy go nie spłaci, i chociaż miał dużo posiadłości – w tym również dwie nowe, w Asturze na wybrzeżu, niedaleko Ancjum, i w Puteoli nad Zatoką Neapolitańską – z trudem je utrzymywał. Można się zastanawiać, dlaczego w takim razie któreś z nich nie sprzedał. Ale to nie byłoby w jego stylu. Jego maksyma brzmiała: „Dochód trzeba dostosować do wydatków, nie odwrotnie”. Obecnie, kiedy nie mógł już zwiększyć dochodów dzięki praktyce prawnej, jedynym wyjściem był ponowny bogaty ożenek.

To niezbyt chlubna historia. Ale przyrzekłem na początku, że będę mówił samą prawdę, więc muszę to opisać. Do wyboru były trzy kandydatki. Pierwszą była Hircja, starsza siostra Hircjusza. Jej brat podczas kampanii w Galii niezmiernie się wzbogacił i chcąc pozbyć się z domu tej nieznośnej kobiety, gotów był zaproponować Cynceronowi posag w wysokości dwóch milionów sestercji. Ale, jak ujął to Cyncero w liście do Attyka, Hircja była *wprost niebywale brzydka*, i zachowanie pięknych posiadłości za cenę umieszczenia w nich szpetnej żony wydawało mu się czymś absurdalnym.

Drugą była Pompeja, córka Pompejusza, do niedawna żona posiadacza rękopisów Arystotelesa, Faustusa Sulli, który poległ w Afryce, walcząc po stronie senatu. Ale gdyby się z nią ożenił, Gnejusz – człowiek, który groził mu śmiercią na Kerkyrze – stałby się jego zięciem. To było nie do pomyślenia. Poza tym Pompeja bardzo przypominała z twarzy swego ojca. „Wyobrażasz sobie, że miałbym się co rano budzić obok Pompejusza?”, zapytał mnie i aż się wzdrygnął.

Pozostawała mu zatem trzecia, najmniej stosowna możliwość. Publilia miała zaledwie piętnaście lat. Jej ojciec, Marek Publiliusz, bogaty ekwita i przyjaciel Attyka, zmarł, zostawiając córce majątek w zarządzie powierniczym aż do jej zamążpójścia. Głównym powiernikiem był Cyncero. To był pomysł Attyka – nazywał to „eleganckim rozwiązaniem”. Chodziło o to, by Cyncero poślubił Publię i uzyskał w ten sposób dostęp do jej fortuny. Nie było w tym nic zdrożnego. Matka i wuj dziewczyny jak najbardziej to pochwalali: pochlebiało im, że nawiążą stosunki rodzinne z tak wybitnym obywatelem. A sama Publilia, gdy Cyncero poruszył nieśmiało ten temat, oświadczyła, że będzie zaszczycona, zostając jego żoną.

– Jesteś tego pewna? – zapytał. – Jestem od ciebie czterdzieści pięć lat starszy... dość stary, by być twoim dziadkiem. Nie uważasz tego za... nienormalne?

– Nie – odrzekła, patrząc mu prosto w oczy.

– No cóż, wygląda na to, że mówi prawdę – stwierdził Cyncero po jej wyjściu. – Nie ważyłbym się na to, gdyby mój widok napawał ją wstrętem. Chyba będę musiał się zdecydować. Ale ludziom na pewno się to nie spodoba – dodał, wzdychając ciężko i kręcąc głową.

– To nie tym, co powiedzą ludzie, musisz się przejmować – zauważyłem, nie mogąc się powstrzymać.

– O czym ty mówisz?

– Oczywiście, że o Tulii – odparłem, zdumiony, że o tym nie pomyślał. – Jak twoim zdaniem będzie się czuła?

Zerknął na mnie z autentycznym zdziwieniem.

– Dlaczego Tulii miałyby się to nie spodobać? Robię to w równym stopniu dla niej, jak i dla siebie.

– Przekonasz się, że będzie ci miała to za złe – powiedziałem oględnie.

I miała. Cyncero wyznał mi, że kiedy jej o tym zakomunikował, zemdląca i przez kilka godzin bał się o zdrowie jej i dziecka. Odzyskawszy przytomność, chciała wiedzieć, jak w ogóle mógł wpaść na taki pomysł. Czy naprawdę uważał, że będzie nazywała tę dzierlatkę swoją macochą? Czy mają mieszkać pod jednym dachem? Jej zdecydowana reakcja przykro go zaskoczyła. Ale było za późno, żeby się wycofać. Licząc na fortunę nowej żony, zdążył już zapożyczyć się u lichwiarzy. Żadne z jego dzieci nie wzięło udziału w weselnym śniadaniu. Tulia na ostatnie miesiące ciąży przeniosła się

do matki, a Marek prosił ojca, by pozwolił mu jechać do Hiszpanii, gdzie chciał walczyć w szeregach armii Cezara. Cyncero zdołał go przekonać, że robiąc to, byłby nie w porządku wobec swych dawnych towarzyszy broni, zamiast tego pojechał więc, bardzo hojnie zaopatrzony, do Aten, gdzie mieli mu wbić do zakutego łba trochę filozofii.

Ja wziąłem udział w weselu, które odbyło się w domu panny młodej. Poza mną gośćmi ze strony pana młodego byli tylko Attyk i jego żona Pilia – która sama też była o trzydzieści lat młodsza od swojego męża, lecz przy drobniutkiej Publilii wydawała się prawdziwą matroną. Panna młoda, cała w bieli, z upiętymi w górze włosami i w poświęconym pasie, wyglądała jak kosztowna lalka. Być może pewnym mężczyznom wszystko to nie przysporzyłoby żadnych kłopotów – Pompejusz na przykład w ogóle by się, moim zdaniem, nie przejmował – ale Cyncero był w tak oczywisty sposób skrępowany, że kiedy musiał wyrecytować prostą przysięgę („Gdzie ty, Gaja, tam i ja, Gajusz”), pomylił imiona, co przyjęto za zły znak.

Po długim uroczystym przyjęciu orszak weselny przeszedł o zmierzchu do domu Cyncerona. W nadziei, że zachowa małżeństwo w tajemnicy, Cyncero przemykał niemal ulicami, unikając wzroku przechodniów i trzymając żonę za rękę tak mocno, że wyglądało to, jakby ją ciągnął. Ale weselny orszak zawsze zwraca

uwagę, a jego twarz była zbyt znana, dlatego gdy dotarliśmy do Palatynu, podążał za nami liczący co najmniej pięćdziesiąt osób tłum. Na szczęście przed domem czekali wiwatujący klienci, którzy obrzucili szczęśliwą parę kwiatami. Obawiałem się, że próbując przenieść pannę młodą przez próg, Cycero nadwyręży sobie kręgosłup, ale podniósł ją bez trudu i wchodząc do środka, syknął do mnie, żebym szybko zamknął za nimi drzwi. Publilia od razu udała się do pokojów Terencji, gdzie pokojówki rozpakowały już jej rzeczy, by przygotować ją na noc poślubną. Cycero namawiał mnie, żebym został jeszcze chwilę i napił się z nim wina, ale wymówiłem się zmęczeniem.

* * *

Małżeństwo od samego początku okazało się katastrofą. Cycero nie miał pojęcia, jak traktować swoją młodą żonę. Można było odnieść wrażenie, że zamieszkała u niego córka przyjaciela. Czasami odgrywał rolę miłego wujka, zachwycając się jej grą na lirze albo haftami. Kiedy indziej był zniecierpliwionym nauczycielem, którego przerażała jej ignorancja w dziedzinie historii i literatury. Najczęściej jednak starał się jej unikać. Zwierzył mi się raz, że jedyną możliwą podstawą ich związku mogłoby się okazać pożądanie, ale on po prostu go nie odczuwał. Biedna Publilia – im

bardziej sławny mąż ją ignorował, tym bardziej do niego lgnęła, a on był tym bardziej zirytowany.

Ostatecznie pojechał do Tulii i prosił ją, by znowu z nim zamieszkała. Może urodzić dziecko w jego domu, mówił – poród mógł nastąpić w każdej chwili – a on odeśle Publilię, a właściwie poprosi Attyka, by się tym zajął, ponieważ cała ta sytuacja go przerosła. Tulia, bardzo poruszona, że widzi ojca w takim stanie, spełniła jego prośbę, a znoszący to wszystko bez słowa skargi Attyk musiał odwiedzić matkę i wuja Publilii i wytłumaczyć im, dlaczego młoda kobieta wraca do domu niespełna miesiąc po zawarciu małżeństwa. Miał nadzieję, że kiedy już dziecko się urodzi, para nawiąże bliższe stosunki, ale w tej chwili życzenia Tulii były najważniejsze. Nie mieli innego wyjścia, jak się zgodzić.

W styczniu Tulia wróciła do domu. Tragarze przynieśli ją w lektyce pod same drzwi i pomogli wejść do środka. Pamiętam, że był chłodny zimowy dzień, wszystko zdawało się jasne, wyraźne i wyostrzone. Poruszała się z trudem. Cyncero krzątał się przy niej, kładąc służącemu zamknąć drzwi, dorzucić więcej drewna do ognia, martwiąc się, że się przeziębii. Powiedziała, że chce pójść do swojego pokoju i się położyć. Cyncero posłał po doktora. Ten zbadał ją i oznajmił, że zaczął się poród. Sprowadzono Terencję wraz z akuszerką i jej pomocnicami i wszyscy zniknęli w pokoju Tulii.

Skowyt bólu, który słyhać było w całym domu, w ogóle nie przypominał głosu Tulii. Nie przypominał żadnych ludzkich dźwięków. Był gardłowy i pierwotny – ból zatarł wszelkie ślady człowieczeństwa. Zastanawiałem się, jak to się ma do poglądów filozoficznych Cyncerona. Czy szczęście może, choć w odległy sposób, wiązać się z takim cierpieniem? Powiedzmy, że może. Ale on nie mógł znieść tych krzyków i wycia, uciekł do ogrodu i przemierzał bez końca, godzina po godzinie, alejki, nie zwracając uwagi na chłód. W końcu zapadła cisza i wrócił do środka. Spojrzał na mnie. Czekałmy. Po dłuższym czasie usłyszeliśmy kroki i pojawiła się Terencja. Miała pobladłą, ściągniętą twarz, ale w jej głosie słyhać było triumf.

– To chłopiec – powiedziała. – Zdrowy chłopiec... i ona też czuje się dobrze.

* * *

Czuła się dobrze. Tylko to liczyło się dla Cyncerona. Chłopiec był krzepki i nazwano go Publiusz Lentulus po przybranym dziadku. Ale Tulia nie miała mleka i karmienie powierzono mamce. Mijały kolejne dni po ciężkim porodzie, a jej stan wcale się nie polepszał. Tamtej zimy w Rzymie było bardzo chłodno: w powietrzu unosiło się sporo dymu, a wrzawa dochodząca z Forum nie pozwalała Tulii zasnąć. Postanowiono, że wraz

z Cynceronem wróci do Tusculum, gdzie spędzili razem szczęśliwy rok i gdzie wśród spokojnych wzgórz Frascati mogłaby teraz dochodzić do zdrowia, podczas gdy on, z moją pomocą, zająłby się swoimi filozoficznymi pismami. Zabraliśmy ze sobą doktora. Synek podróżował z mamką i całym orszakiem niewolników, którzy mieli go doglądać.

Tulia źle zniosła podróż. Była zdyszana i rozgorączkowana, ale oczy miała szeroko otwarte i spokojne. Mówiła, że jest zadowolona: nic jej nie dolega, tylko czuje się zmęczona. Kiedy dotarliśmy do willi, doktor nakazał, by od razu położyła się do łóżka. Potem wziął mnie na bok i powiedział, że jego zdaniem to ostatnie stadium suchot i Tulia nie dożyje ranka. Czy ma poinformować o tym jej ojca, czy może lepiej będzie, jeśli ja to zrobię?

Odparłem, że ja to zrobię. Zebrawszy się w sobie, znalazłem Cyncerona w bibliotece. Wziął z półek kilka zwojów, ale nawet ich nie rozwinął. Siedział, wpatrując się prosto przed siebie, w pustkę. Nie odwrócił się, by na mnie spojrzeć.

– Ona umiera, prawda? – zapytał.

– Obawiam się, że tak.

– Czy o tym wie?

– Doktor jej nie powiedział, ale jest chyba zbyt bystra, by nie zdawać sobie z tego sprawy.

Cyncero pokiwał głową.

– Dlatego tak jej zależało, żeby tu przyjechać. Do miejsca, z którego zachowała najlepsze wspomnienia. Tutaj chce umrzeć. – Potarł oczy. – Chyba pójdę i z nią posiedzę.

Czekając w Liceum, patrzyłem, jak za wzgórzami Rzymu zachodzi słońce. Kilka godzin później, kiedy zrobiło się już zupełnie ciemno, jedna z jej pokojówek przyszła po mnie i przyświecając sobie świeczką, zaprowadziła mnie do pokoju Tulii. Leżała nieprzytomna na łóżku, z rozrzuconymi na poduszce włosami. Cycero siedział z boku, trzymając ją za rękę. Po drugiej stronie łóżka spało jej dziecko. Oddech miała płytki i urywany. W pokoju były inne osoby – jej pokojówki, mamka, doktor – ale kryły się w cieniu i nie pamiętam ich twarzy.

Cycero zobaczył mnie i dał znak, żebym podszedł bliżej. Pochyliłem się i ucałowałem jej wilgotne czoło, a potem cofnąłem się w półmrok, dołączając do innych. Wkrótce potem Tulia zaczęła wolniej oddychać. Przerwy między oddechami stawały się coraz dłuższe i za każdym razem myślałem, że chyba umarła, ale potem znowu łapała powietrze. Koniec, gdy nastąpił, był odmienny i nie pozostawiał żadnych wątpliwości – długie westchnienie, któremu towarzyszyło drżenie całego ciała, a potem kompletny bezruch, kiedy odeszła z tego świata.

XIII



Pogrzeb odbył się w Rzymie. Wynikła stąd tylko jedna dobra rzecz: gdy wróciliśmy do domu, brat Cyclerona, Kwintus, który nie utrzymywał z nim stosunków od czasu owej strasznej kłótni w Patras, zaszedł, by złożyć kondolencje, i obaj mężczyźni usiedli bez słowa przy marach, trzymając się za ręce. Żeby przypieczętować ich pojednanie, Cycero poprosił Kwintusa o wygłoszenie eulogii: wątpił, by sam zdołał to zrobić.

Z tym jednym wyjątkiem, była to najsmutniejsza uroczystość, w jakiej kiedykolwiek uczestniczyłem: długi orszak sunący w mroźnym zmierzchu w kierunku Pola Eskwilińskiego; żałobne pienia muzyków zlewające się z krakaniem wron w świętym gaju Libitiny; okryta całunem drobna postać leżąca na marach; udręczona twarz Terencji, która, mogło się zdawać, niczym Niobe

obróciła się z rozpacz w kamień; Attyk, wspierający Cyclerona, gdy ten przykładał pochodnię do stosu; i na koniec wielki płomień, który buchnął nagle w górę, oświetlając czerwoną łuną nasze twarze, przypominające maski w greckiej tragedii.

Nazajutrz przed drzwiami pojawiła się Publilia razem ze swoją matką i wujem, nadąsana, że nie zaproszono jej na pogrzeb, i zdecydowana wprowadzić się z powrotem do domu. Wygłosiła krótką mowę, którą najwyraźniej jej napisano i której nauczyła się na pamięć.

– Mężu, wiem, że twojej córce trudno było pogodzić się z moją obecnością, lecz teraz, gdy ta przeszkoda została usunięta, mam nadzieję, że możemy wznowić nasze małżeńskie pożycie i że pomogę ci ukoić twój smutek.

Ale Cycero nie chciał ukoić swego smutku. Chciał się w nim pogrążyć, chciał się w nim zatracić. Nie mówiąc Publilii, dokąd się udaje, tego samego dnia uciekł z domu, zabierając ze sobą urnę z prochami Tulii. Wprowadził się do domu Attyka na Kwirynale, gdzie na całe dni zamykał się w bibliotece, z nikim się nie widując i pracując nad wielkim dziełem podsumowującym wszystko, co filozofowie i poeci pisali o zmaganiu się ze smutkiem i śmiercią. Nadał mu tytuł *Pocieszenie*. Opowiadał mi, że pracując, słyszał pięcioletnią córkę Attyka bawiącą się obok w swoim pokoju, całkiem tak samo, jak to robiła Tulia, kiedy on był młodym

adwokatem. „Słuchając jej, miałem wrażenie, jakby rozżarzona igła wbijała mi się w serce; to nie pozwalało mi się oderwać od mego zadania”.

Kiedy Publilia odkryła, gdzie się zaszył, zaczęła dręczyć Attyka, by pozwolił jej go odwiedzić, Cycero uciekł więc ponownie, do najnowszej i najbardziej odciętej od świata ze swoich posiadłości – willi położonej na małej wysepce Astura, przy ujściu rzeki, sto kilkadziesiąt kroków od wybrzeża zatoki Ancjum. Wyspa była całkowicie opuszczona i porośnięta zagajnikami i krzewami, między którymi wiodły zacienione ścieżki. W tym odludnym miejscu mógł stronić od wszelkich kontaktów z ludźmi. Wczesnym rankiem krył się w gęstym, ciernistym lesie, gdzie jego medytacji nie zakłócało nic oprócz śpiewu ptaków, i wyłaniał się stamtąd dopiero wieczorem. *Czym jest dusza? – pytał w Pocieszeniu. – Nie jest wilgotna ani ognista, nie składa się z powietrza ani ziemi. W tych żywiołach nie ma nic, co wyjaśniałoby obecność pamięci, rozumu i myśli, tłumaczyłoby, dlaczego pamiętamy przeszłość, przewidujemy przyszłość i rozumiemy teraźniejszość. Dusza musi więc zostać uznana za piąty żywioł – boski i z tego względu wieczny.*

Zostałem w Rzymie i doglądałem jego spraw – finansowych, domowych, literackich i nawet małżeńskich, bo teraz to ja musiałem odprawiać z niczym biedną Publilię i jej krewnych, udając, że nie wiem, gdzie

się podział. Z upływem kolejnych tygodni jego nieobecność stawała się coraz trudniejsza do wyjaśnienia, nie tylko wobec żony, ale również klientów i przyjaciół, i zdawałem sobie sprawę, że cierpi na tym jego reputacja – tak kompletne zatracenie się w smutku uważano za niemęskie. Nadeszło wiele listów z kondolencjami, w tym również lakoniczny od Cezara, i wszystkie odsyłałem Cynceronowi.

Publilia odkryła w końcu jego kryjówkę i napisała do niego, uprzedzając, że ma zamiar odwiedzić go wraz z matką. Chcąc uniknąć niebezpiecznej konfrontacji, opuścił wyspę, zabierając ze sobą prochy Tulii, i zmobilizował się na tyle, by napisać do żony list, w którym wyjawiał, że pragnie się z nią rozwieść. Bał się jej to powiedzieć w twarz, co było bez wątpienia przejawem tchórzostwa. Uważał jednak, że brak współczucia, jaki okazała po śmierci Tulii, sprawił, że ten od początku nieprzemyślany związek stracił wszelką rację bytu. Zostawiwszy Attykowi załatwienie szczegółów finansowych, które obejmowały sprzedaż jednego z jego domów, zaprosił mnie do Tusculum, twierdząc, że chciałby ze mną omówić pewien projekt.

Kiedy tam dotarłem, była połowa maja. Nie widziałem go przez trzy miesiące. Czytał coś w swojej Akademii i słysząc moje kroki, odwrócił się do mnie ze smutnym uśmiechem. Wstrząsnęło mną to, jak wyglądał. Bardzo wychudł, szczególnie wokół szyi. Włosy miał bardziej

siwe, dłuższe i nieuczestane. Ale prawdziwa zmiana zaszła pod powierzchnią. Wyczuwało się w nim jakąś rezygnację. Świadczyły o tym powolne ruchy, łagodność w zachowaniu – jakby połamano go i poskładano od nowa.

Przy kolacji zapytałem, czy powrót do miejsca, w którym spędził tyle czasu z Tulią, nie był dla niego zbyt bolesny.

– To oczywiste, że bałem się tu wracać – odrzekł. – Ale kiedy już przyjechałem, nie było tak źle. Doszedłem do przekonania, że człowiek radzi sobie ze smutkiem albo nie myśląc o tym, co go spowodowało, albo myśląc o tym bez przerwy. Wybrałem tę drugą drogę, a tutaj otaczają mnie przynajmniej wspomnienia Tulii, a jej prochy pogrzebane są w ogrodzie. Przyjaciele okazali się bardzo mili, zwłaszcza ci, którzy ponieśli podobną stratę. Widziałeś list, który dostałem od Sulpicjusza? – dodał, podając mi go nad stołem.

Chcę ci opowiedzieć o czymś, co przyniosło mi wcale niemalą pociechę – w nadziei, że być może ukoi to w pewnym stopniu i Twój smutek. Wracając z Azji i żeglując z Eginy do Megary, zacząłem się przyglądać otaczającym mnie krajobrazom. Za mną była Egina, przede mną Megara, po prawej stronie Pireus, po lewej Korynt: niegdyś kwitnące miasta, teraz leżące przed nami w ruinach. I pomyślałem sobie: „Ech! Jak my, małe kukielki, mamy czelność zalewać się łzami i złorzeczyć, gdy któraś z nas, ulotnych istot, umrze lub polegnie, podczas gdy zgłiszczą tylu miast leżących tutaj opuszczonych w jednym miejscu? Ogarnij się, Serwiuszu, i pamiętaj, żeś urodził się śmiertelny”. Ta myśl, zapewniam cię, wielce mnie wzmocniła. Czy naprawdę mogła Cię aż tak bardzo poruszyć utrata jednej kruchej drobnej kobiety?

Gdyby jej koniec nie nadszedł teraz, i tak musiałaby umrzeć parę lat później, albowiem była śmiertelna.

– Nie sądziłem, że Sulpicjusz potrafi być taki elokwentny – zauważyłem.

– Ja też. Widzisz, jak wszyscy staramy się, nieszczęśni, nadać jakiś sens śmierci, nawet taki zasuszony stary jurysta jak on? To podsunęło mi pewien pomysł. Przypuśćmy, że uda nam się stworzyć dzieło filozoficzne, które pomoże uwolnić ludzi od strachu przed śmiercią.

– To byłoby wielkie osiągnięcie.

– *Pocieszenie* szuka sposobów, by pogodzić się ze śmiercią tych, których kochamy. A teraz spróbujemy pokazać, jak pogodzić się z własną śmiercią. Gdyby nam się udało... no powiedz sam, co mogłoby przynieść ludzkości większą ulgę i wybawić ją przed trwogą?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nie sposób było mu odmówić. Ciekawiło mnie, jak sobie z tym wszystkim poradzi. I tak zrodziło się dzieło, znane obecnie jako *Rozmowy tuskulańskie*, nad którym zaczęliśmy pracować już nazajutrz. Od samego początku Cycero zaplanował je w postaci pięciu ksiąg:

1. *O strachu przed śmiercią*
2. *O znoszeniu bólu*
3. *O łagodzeniu cierpienia*
4. *O pozostałych udrękach duszy*
5. *O tym, czy cnota wystarcza do szczęśliwego życia*

Znów zastosowaliśmy naszą dawną metodę pracy. Podobnie jak jego ulubieniec Demostenes, który nienawidził, gdy o świcie wyprzedzali go w pracy robotnicy, Cyncero wstawał po ciemku i aż do brzasku czytał w bibliotece przy świetle lampy; następnie rankiem przedstawiał mi to, co obmyślił, a ja poddawałem próbie jego rozumowanie, zadając pytania; po południu ucinał sobie drzemkę, ja zaś, korzystając z notatek, sporządzałem pierwszy szkic, który on poprawiał; wieczorem, przy kolacji, omawialiśmy i korygowaliśmy to, co udało nam się stworzyć danego dnia, i na koniec, przed udaniem się na spoczynek, ustalaliśmy tematy na następny dzień.

Letnie dni były długie i praca szła nam szybko, głównie dlatego, że Cyncero postanowił zawrzeć wywód w formie dialogu między filozofem i uczniem. Ja na ogół grałem rolę ucznia, a on filozofa, ale czasami było odwrotnie. Nasze *Rozmowy* są nadal szeroko dostępne, więc mam nadzieję, że nie muszę ich dokładnie omawiać. To suma tego, w co wierzył Cyncero po ciągach, jakie zebrał od losu w ostatnich latach – a mianowicie, że dusza posiada boski pierwiastek, odmienny od ciała, i dlatego jest wieczna; i że nawet jeśli nie jest wieczna i czeka nas tylko pustka, taki stan nie powinien budzić w nas lęku, ponieważ nie będzie w nim żadnych odczuć, a zatem również cierpienia i bólu (*umarli nie są nieszczęśliwi, to żywi są nieszczęśliwi*); że powinniśmy stale myśleć

o śmierci, by szykować się na jej nieuchronne nadejście (jak powiada Sokrates, całe życie filozofa jest przygotowaniem do śmierci); oraz że jeśli mamy w sobie dość determinacji, możemy nauczyć się znosić śmierć i ból tak, jak to czynią ci, którzy zajmują się walką profesjonalnie.

Czyż nawet zwykły gladiator kiedykolwiek wydał jęk albo zmienił się na twarzy? Czy któryś okrył się hańbą, chroniąc gardło, gdy po upadku kazano mu przyjąć śmiertelny cios? Taka jest moc wyszkolenia, praktyki i zwyczaju. Czyżby gladiator miał być do tego zdolny, a człowiek, który jest zrodzony dla chwały, okazał się tak wątłego ducha, że nie zdoła go wzmocnić poprzez systematyczne przygotowania?

W księdze piątej Cyncero zawarł praktyczne zasady postępowania. Człowiek może się przygotować na śmierć tylko w jeden sposób – musi prowadzić życie, które jest moralnie dobre, to znaczy: nie pragnąć zbyt wiele, być zadowolonym z tego, co ma; być całkowicie samowystarczalnym, tak aby bez względu na to, co utraci, mógł egzystować dalej; nie czynić nikomu krzywdy; wiedzieć, że lepiej jest otrzymywać rany, niż je zadawać; przyjąć do wiadomości, że życie jest długiem, który zaciągamy u Natury bez wyznaczonego terminu spłaty, i że może ona jej zażądać w każdej chwili; i że najbardziej tragiczną postacią na tym świecie jest tyran, który złamał te wszystkie zasady.

Takie były lekcje, które Cyncero pobrał i którymi pragnął się podzielić ze światem w sześćdziesiątej drugiej wiosnie swego życia.

* * *

W połowie czerwca, mniej więcej miesiąc po tym, jak zaczęliśmy pracę nad *Rozmowami*, odwiedził nas Dolabella. Wracał do Rzymu z Hiszpanii, gdzie znów walczył pod rozkazami Cezara. Dyktator odniósł zwycięstwo; resztki sił Pompejusza zostały zmiażdżone. Ale Dolabella odniósł rany w bitwie pod Mundą. Ciężo go od ucha aż po obojczyk i utykał: jego koń, którego trafiono oszczepem, przygniół go, padając na ziemię. Mimo to jak zwykle tryskał zwierzęcą energią. Przede wszystkim chciał obejrzeć swojego syna, który był wówczas u Cyncerona, a poza tym odwiedzić miejsce, gdzie pogrzebane były prochy Tulii.

Czteromiesięczny Lentulus był dużym, różowym niemowlakiem, wyglądającym równie zdrowo, jak jego matka wydawała się wątła. Można było odnieść wrażenie, że wyssał z niej całe życie, i jestem pewien, że to było powodem, dla którego nigdy nie widziałem, by Cyncero trzymał go na rękach i w ogóle zwracał na niego większą uwagę – nie do końca mógł mu wybaczyć, że żyje, podczas gdy ona zmarła. Dolabella wziął dziecko od niańki, obrócił je w rękach, jakby przyglądał się wazie, po

czym oznajmił, że chciałby zabrać je ze sobą do Rzymu. Cyncero nie miał nic przeciwko temu.

– Zaopatrzyłem go w swoim testamencie – oznajmił. – Gdybyś chciał porozmawiać na temat jego wykształcenia, moje drzwi są dla ciebie zawsze otwarte.

Podeszli razem tam, gdzie pogrzebane były prochy Tulii: w nasłonecznionym miejscu, obok ulubionej fontanny Cyncerona. Powiedział mi później, że Dolabella ukląkł, położył kilka kwiatów na jej grobie i zapłakał. „Widząc jego łzy, przestałem się na niego gniewać. Tulia powtarzała zawsze, że wie, za jakiego rodzaju mężczyznę wychodzi. I jeśli jej pierwszy mąż był dla niej kimś na kształt szkolnego kolegi, a drugi pomógł jej po prostu wyzwolić się spod kurateli matki, przynajmniej trzeci był kimś, kogo namiętnie pokochała, i cieszę się, że zaznała tego przed śmiercią”.

Przy kolacji Dolabella, który z powodu swojej rany nie mógł się wygodnie ułożyć, lecz siedział na wysokim krześle, niczym barbarzyńca, opisał kampanię w Hiszpanii i zdradził nam, że o mało nie zakończyła się klęską. W pewnym momencie bitwy załamała się linia obrony i Cezar musiał zeskoczyć z konia, złapać tarczę i zagrzewać do boju uciekających legionistów.

– „Dzisiaj po raz pierwszy walczyłem o życie”, powiedział nam, kiedy było już po wszystkim. Zabiliśmy trzydzieści tysięcy żołnierzy przeciwnika, nie braliśmy żadnych jeńców. Na rozkaz Cezara nabito głowę Gnejusza

Pompejusza na pal i publicznie ją pokazywano. Nie było to zbyt przyjemne, powiadam ci, i obawiam się, że kiedy Cezar wróci do kraju, ty i twoi przyjaciele przekonacie się, że nie jest już taki łaskawy jak niegdyś.

– Jeżeli zostawi mnie w spokoju i pozwoli mi pisać książki, to z pewnością nie przysporzę mu kłopotów.

– Ty bardziej niż inni, drogi Cyceronie, nie masz powodu do zmartwień. Cezar cię kocha. Zawsze powtarza, że ty i on jesteście ostatnimi, którzy pozostali.

Późnym latem Cezar wrócił do Italii i wszyscy ambitni ludzie w Rzymie pośpieszyli złożyć mu uszanowanie. Cycero i ja nadal pracowaliśmy na prowincji. Skończyliśmy *Rozmowy* i Cycero przesłał je Attykowi, by zespół niewolników mógł je przepisać i rozpowszechnić – zależało mu zwłaszcza, by jeden egzemplarz wysłano Cezarowi – następnie zaś zaczął pisać dwa nowe traktaty, *O naturze bogów* i *O wróżeniu*. Czasami pogrążał się w smutku i wycofywał na kilka godzin w odległe rejony posiadłości. Coraz częściej jednak był zadowolony z życia. „Iluż zgryzot może sobie zaoszczędzić człowiek, jeśli nie ma do czynienia z pospółstwem. Nie mieć żadnej posady, zajmować się wyłącznie literaturą to najwspanialsza rzecz na świecie”.

Ale nawet w Tusculum docierały do nas – niczym odgłosy odległej burzy – echa powrotu dyktatora. Dolabella miał rację. Cezar, który wrócił z Hiszpanii, różnił się od Cezara, który tam wyjechał. I nie chodziło

wyłącznie o to, że nie tolerował najmniejszych przejawów sprzeciwu; wydawało się, że zatracił niegdyś tak zatrwajająco precyzyjne poczucie rzeczywistości. Najpierw rozpowszechnił wulgarną ripostę na napisaną przez Cyncerona eulogię dla Katona; zatytułował ją *Antykaton* i napisał, że zmarły był pijakiem i wariatem. Ponieważ prawie każdy Rzymianin żywił (w najgorszym razie niechętny) szacunek do Katona, a większość wprost go uwielbiała, małostkowość pamfletu zaszkodziła bardziej reputacji dyktatora niż zmarłego. („Skąd się wzięło to przemożne pragnienie, by nad każdym dominować? – zastanawiał się na głos Cyncero, kiedy go przeczytał. – Dlaczego musi deptać nawet groby zmarłych?”). Następnie postanowił urządzać kolejny triumf, tym razem dla uczczenia swojego zwycięstwa w Hiszpanii, choć większość Rzymian uważała, że wyróżnienie tysięcy współobywateli, w tym syna Pompejusza, nie jest raczej powodem do chwały. Nie podobało im się również jego trwające od dłuższego czasu zauroczenie Kleopatrą; niechęć budziło już to, że umieścił ją w pałacu z parkiem niedaleko Tybru, ale kiedy kazał ustawić w świątyni Wenus złoty posąg swojej cudzoziemskiej kochanki, uraził uczucia zarówno pobożnych, jak i patriotów. Siebie też ogłosił bogiem – „Boskim Juliuszem” – z własnymi kapłanami, świątynią i podobiznami, i niczym bóg zaczął wtrącać się we wszystkie dziedziny codziennego życia, ograniczając

senatorom podróże zagraniczne oraz zakazując wystawnych uczt i nabywania luksusowych dóbr – do tego stopnia, że posyłał na targi szpiegów, którzy włamywali się w środku kolacji do domów obywateli, żeby przeszukiwać, konfiskować i aresztować.

Wreszcie, jakby w ostatnich latach przelano nie dość krwi, by zaspokoić jego ambicje, ogłosił, iż wiosną wyruszy na kolejną wojnę, na czele olbrzymiej, liczącej trzydzieści sześć legionów armii, aby najpierw, w odwecie za śmierć Krassusa, zająć Partię, następnie zaś obejść szerokim łukiem Morze Czarne, podbijając po drodze Hyrkanie, terytoria Scytów, wszystkie kraje graniczące z Germanią, a na koniec samą Germanię, z której zamierzał wrócić do Italii przez Galię. Senat nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia. Podobnie jak ludzie, którzy budowali piramidy dla faraonów, senatorowie byli tylko niewolnikami realizującymi wielkie plany władcy.

W grudniu Cycero zaproponował, żebyśmy przenieśli się w cieplejsze strony. Niedawno zmarł jego bogaty klient, Marek Kluwiusz, zapisawszy mu okazałą posiadłość w Puteoli, nad Zatoką Neapolitańską, i tam właśnie wyruszyliśmy, by po tygodniu, w przeddzień Saturnaliów, dotrzeć do celu. Zbudowana przy samym brzegu willa była duża i luksusowa, jeszcze piękniejsza od pobliskiego domu Cyclerona w Cumae. Majątek obejmował również kilka dochodowych nieruchomości w mieście oraz posiadłość tuż za jego granicami. Cycero

cieszył się jak dziecko z nowego nabytku i natychmiast po przyjeździe zdjął buty, podkasał togę i zszedł na plażę, by zanurzyć stopy w wodzie.

Nazajutrz rano, gdy wręczyliśmy już wszystkim niewolnikom prezenty z okazji Saturnaliów, wezwał mnie do gabinetu i dał mi piękne pudełko z drewna sandałowego. Sądziłem, że podarkiem jest samo pudełko, ale kiedy mu podziękowałem, kazał je otworzyć. W środku był akt własności ziemi nieopodal Puteoli. Przepisał ją na mnie. Byłem tym równie oszołomiony jak tamtego dnia, gdy darował mi wolność.

– Drogi stary przyjacielu – powiedział – żałuję, że nie mogę darować ci więcej i że nie zrobiłem tego wcześniej. Ale oto masz w końcu tę ziemię, której zawsze pragnąłeś... i niech przyniesie ci tyle samo radości i pociechy, ile ty przyniosłeś mi przez wszystkie te lata.

* * *

Chociaż były święta, Cycero pracował dalej. Nie miał już rodziny, z którą mógłby świętować – jedni pomarli, drudzy odeszli, a inni byli daleko – i przypuszczam, że pisanie pozwalało mu lepiej znieść samotność. Ale nie wpadał w melancholię. Zaczął pracę nad nowym dziełem, filozoficzną analizą podeszłego wieku, i sprawiało mu to dużą przyjemność (*Zaiste nieszczęsny jest ten starzec, co w trakcie długiego życia nie nauczył się, że śmiercią nie*

należy się przejmować). Nalegał jednak, bym ja tak czy inaczej wziął sobie dzień wolny, wybrałem się więc na długi spacer wzdłuż plaży, próbując oswoić się z niewiarygodnym faktem, że jestem teraz posiadaczem ziemi – prawdziwym rolnikiem. Czułem, że to koniec jednej części mojego życia i początek kolejnej – zapowiedź, że moja praca u Cyclerona jest już prawie wykonana i wkrótce się rozstaniemy.

Wzdłuż całego tego odcinka wybrzeża wznosiły się duże wille zwrócone na zachód, w stronę przylądka Mizenum. Dom sąsiadujący z posiadłością Cyclerona należał do Lucjusza Marcjusza Filippusa, kilka lat młodszego od Cyclerona, byłego konsula, który podczas wojny domowej znalazł się w niezręcznej sytuacji, ponieważ był teściem Katona, a jednocześnie mężem najbliższej żyjącej krewnej Cezara, jego siostrzenicy Acji. Obie strony pozwoliły mu nie angażować się w konflikt i osiadł właśnie tutaj, zachowując ostrożną neutralność, która idealnie współgrała z jego nerwowym charakterem.

Zbliżając się teraz do granicy jego posiadłości, zobaczyłem na plaży żołnierzy, którzy nie pozwalali ludziom przechodzić przed domem. Przez chwilę zastanawiałem się, co się dzieje, a kiedy to do mnie dotarło, obróciłem się na pięcie i pośpieszyłem z powrotem, żeby zawiadomić Cyclerona, który, jak się okazało, otrzymał już wiadomość.

Pozdrowienia.

Jestem w Kampanii na inspekcji moich weteranów i spędzę część Saturnaliów z moją siostrzenicą Acją w willi Lucjusza Filippusa. Jeśli nie będzie Ci to przeszkadzało, ja i moi towarzysze moglibyśmy Cię odwiedzić trzeciego dnia świąt. Proszę, powiadom o swojej decyzji oficera.

– I jakiej udzieliłeś odpowiedzi? – zapytałem.

– A cóż innego można odpowiedzieć bogu?

Oczywiście, że się zgodziłem!

Udawał, że znalazł się pod ścianą, ale widziałem, że w głębi duszy mu to pochlebiało, choć kiedy zapytał, jak duża ma być świta Cezara, którą też miał wyżywić, i usłyszał, że liczy dwa tysiące osób, trochę zrzędnęła mu mina. Służba, która z okazji świąt dostała wolne, musiała wrócić do pracy i przez resztę tego dnia oraz przez cały następny trwały gorączkowe przygotowania, w trakcie których ogołociliśmy targi z żywnością w Puteoli i pożyczaliśmy sofę i stoły od sąsiadów. Na polu za domem rozbito obóz i postawiono wartowników. Otrzymaliśmy listę dwudziestu osób, które miały jeść w samym domu: Cezar na pierwszym miejscu, a dalej Filippus, Lucjusz Korneliusz Galba i Gajusz Oppiusz – ci dwaj ostatni byli najbliższymi towarzyszami Cezara – oraz kilkunastu oficerów, których nazwisk nie pamiętam. Wizyta zorganizowana była niczym wojskowe manewry, z dokładnie ustalonymi godzinami. Cyclerona poinformowano, że do południa Cezar będzie pracował w domu Filippusa ze swoimi sekretarzami, następnie

planuje intensywne godzinne ćwiczenia fizyczne przy brzegu morza i będzie wdzięczny za zapewnienie mu kąpeli przed obiadem. Co do jadłospisu, dyktator zażywał środki wymiotne, więc mógł spożywać z równym apetytem wszystko, co zostanie podane, ale szczególną przyjemność sprawiłyby mu ostrygi i przepiórki, gdyby udało się je zdobyć.

W tym momencie Cyncero naprawdę żałował, że zgodził się na tę wizytę. „Skąd ja mu wezmę przepiórki w grudniu? Czy uważa mnie za Lukullusa?”.

Tak czy owak miał zamiar, jak to ujął, „pokazać Cezarowi, że potrafimy korzystać z uroków życia”, i zadał sobie wiele trudu, by zdobyć najlepsze produkty, od pachnących olejków do kąpeli po falerneńskie wino. I nagle, tuż przed spodziewanym nadejściem dyktatora, wpadł wiecznie rozdygotany Filippus z wiadomością, że główny inżynier Cezara, Marek Mamurra – człowiek, który dokonał wielu wspaniałych rzeczy, między innymi zbudował most na Renie – zmarł na apopleksję. Przez chwilę wydawało się, że cała impreza zostanie odwołana. Ale kiedy główny gość pojawił się, zaczerwieniony po forsownym marszu, i Cyncero przekazał mu złe wieści, ten nawet nie mrugnął okiem.

– To fatalnie. Gdzie przygotowano dla mnie kąpiel?

O Mamurrze więcej już nie wspomniano – a przecież, jak zauważył Cyncero, od ponad dekady musiał być jednym z najbliższych towarzyszy Cezara. Co dziwne, tę

krótką chwilę dającą pojęcie o uczuciowym chłdzie dyktatora zapamiętałem najwyraźniej z całej wizyty, bo już wkrótce dom wypełnił się hałaśliwym tłumem rozsadzonych w trzech jadalniach mężczyzn, a ja oczywiście nie jadłem przy tym samym stole co Cezar. Przy moim siedzieli sami żołnierze, którzy z początku byli dość grzeczni, ale szybko się upili i w przerwach między daniami biegali na plażę, żeby wymiotować. Wszystkie rozmowy dotyczyły Partii i zbliżającej się kampanii. Później zapytałem Cyncerona, jak przebiegło jego spotkanie z Cezarem.

– Było naprawdę zaskakująco miłe – odrzekł. – Unikaliśmy wszelkich wzmianek o polityce i rozmawialiśmy głównie o literaturze. Powiedział, że skończył właśnie czytać *Rozmowy tuskulańskie*, i obsypał mnie komplementami. „Muszę ci jednak rzec, że jestem żywym dowodem obalającym twoją główną tezę”, oświadczył. „Jaką tezę?”, zapytałem. „Twierdzisz, że jedynym sposobem stłumienia lęku przed śmiercią jest prowadzenie przykładowego życia. Tymczasem, według twojej definicji, ja z pewnością takiego nie prowadzę, a mimo to nie boję się śmierci. Jak brzmi twoja odpowiedź?”. Odparłem, że jak na człowieka, który nie boi się śmierci, podróżuje z zaskakująco dużą obstawą.

– Roześmiał się?

– Otóż nie! Bardzo spoważniał, jakbym go obraził, i oznajmił, że jako głowa państwa ma obowiązek

zachować odpowiednie środki ostrożności; że gdyby mu się coś stało, zapanowałyby chaos, ale to wcale nie oznacza, że boi się śmierci... w żadnym wypadku. Zacząłem więc dalej drążyć temat i zapytałem, dlaczego się nie boi: czy wierzy, że dusza jest wieczna, czy też uważa, że każdy umiera wraz z ciałem.

– I co na to odpowiedział?

– Stwierdził, że nie wie, jak to wygląda w przypadku innych, ale on z całą pewnością nie umrze razem z ciałem, ponieważ jest bogiem. Spojrzałem na niego, biorąc to za żart, ale teraz nie jestem już taki pewien, że żartował. W tym momencie, powiem ci szczerze, przestałem mu zazdrościć całej tej jego władzy i chwały. To wszystko doprowadziło go do obłądu.

Tamtego wieczoru zobaczyłem Cezara ponownie dopiero, gdy wychodził. Wyłonił się z głównej jadalni, wsparty na ramieniu Cyncerona, śmiejąc się z czegoś, co tamten właśnie powiedział. Robił wrażenie lekko wstawionego, co było rzadkością, bo jeśli w ogóle pił, to przeważnie bardzo niewiele. Jego legioniści sformowali szpaler i razem z Filippusem oraz swoimi oficerami zniknął w mroku nocy.

Nazajutrz Cyncero opisał tę wizytę w liście do Attyka: *Dziwne, że tak uciążliwy gość zostawił po sobie tak sympatyczne wrażenie. Ale jeden raz wystarczy. Nie jest osobą, której można powiedzieć: „Wpadnij, kiedy następnym razem będziesz w okolicy”.*

Z tego, co wiem, był to ostatni raz, kiedy Cyncero i Cezar rozmawiali ze sobą.

* * *

W przeddzień naszego wyjazdu do Rzymu pojechałem obejrzeć moją posiadłość. Trudno ją było znaleźć. Prawie niewidoczna z nadmorskiej drogi, leżała przy samym końcu wiodącego w stronę wzgórz traktu. Z pokrytego bluszczem budynku roztaczał się przepiękny widok na wyspę Capri. Był tam gaj oliwny i niewielka winnica otoczona kamiennym murkiem. Na polach i pobliskich zboczach pasły się kozy i owce, a zawieszane na ich szyjach dzwoneczki brzęczały niczym dzwonki rurowe; poza tym nic nie zakłócało ciszy.

Gospodarstwo było skromne, ale w pełni wyposażone: był tam dziedziniec z portykiem, stodoły z prasą do tłoczenia oliwy, zagrodami dla zwierząt i paśnikami, a także staw rybny, ogródek warzywny i zielny, gołębnik, kurnik i zegar słoneczny. Na cieniście tarasie za drewnianą furtą rosły drzewa figowe i rozciągał się stamtąd widok na morze. Wewnątrz domu wchodziło się po kamiennych schodkach do wyłożonego terakotą dużego, suchego pomieszczenia, gdzie mogłem trzymać swoje książki i pisać; poprosiłem zarządcę, żeby zamontował tam półki. Posiadłością opiekowało się sześciu niewolników i z zadowoleniem stwierdziłem, że

wszyscy byli zdrowi, niezakuci w kajdany i dobrze odżywieni. Zarządca mieszkał z żoną i dzieckiem na terenie; potrafili pisać i czytać. Mogłem zapomnieć o Rzymie i całym imperium: niczego więc nie potrzebowałem do szczęścia. Powinienem był tam zostać i powiedzieć Cynceronowi, by wracał do miasta bez mnie – już wtedy zdawałem sobie z tego sprawę. Ale robiąc tak, marnie odwdzięczyłbym się za jego hojność, a poza tym wciąż miał jeszcze książki do napisania i potrzebna mu była moja pomoc. Pożegnałem się zatem z moim małym gospodarstwem, przyrzekając sobie, że przyjadę tu najszybciej, jak to będzie możliwe, i ruszyłem z powrotem do Cyncerona.

* * *

Spartański władca Likurg zauważył podobno przed siedmiuset laty:

*Kiedy ktoś ściągnie na siebie gniew bogów,
Pierwej odbierają mu rozum.*

Podobny los czekał Cezara. Jestem pewien, że Cyncero miał rację: dyktator rzeczywiście oszalał. Sukcesy uczyniły go próżnym, a próżność zupełnie go oślepiła.

Mniej więcej w tym czasie rozkazał zmienić na swoją cześć nazwę siódmego miesiąca na Julius – „ponieważ wszystkie dni tygodnia były już zajęte”, jak zażartował

Cycero. Już wcześniej ogłosił się bogiem i nakazał, by podczas religijnych procesji jego posąg wożono na specjalnym rydwanie. Jego imię wymieniane było teraz, obok imion Jowisza i rzymskich Penatów – bóstw opiekuńczych strzegących ogniska domowego – w każdej oficjalnej przysiędze. Przyznano mu dożywotni tytuł Dyktatora. Mienił się Imperatorem i Ojcem Narodu. Przewodniczył obradom senatu, siedząc na złotym tronie, ubrany w specjalną purpurowo-złotą togę. Do stojących na Kapitolu posągów siedmiu starożytnych królów Rzymu dodał ósmy – swój własny – a jego wizerunek zaczęto wybijać na monetach, co stanowiło kolejną prerogatywę królów.

Nikt już nie mówił o przywróceniu wolności konstytucyjnych – to, kiedy ogłosi się monarchą, było z pewnością tylko kwestią czasu. W lutym, podczas obchodów poświęconych bogowi pasterzy Luperkaliów, które na Forum oglądał wielki tłum, Marek Antoniusz rzeczywiście włożył mu na głowę koronę i nikt nie potrafił powiedzieć, czy miała to być kpina, czy też zrobił to na serio; ale tak czy inaczej został ukoronowany i ludziom się to nie spodobało. Na posągu Brutusa – dalekiego przodka naszego współczesnego Brutusa – który wypędził z Rzymu królów i ustanowił władzę konsulów, pojawił się napis: „Szkoda, że już nie żyjesz!”. A na posągu Cezara ktoś napisał:

Brutusa wybrano na konsula,

*Kiedy wypędził królów precz;
Cezar kazał konsulom się pakować,
Cezar jest dziś naszym królem.*

Osiemnastego marca miał opuścić Rzym i rozpocząć swoją kampanię zmierzającą do podboju świata. Wcześniej musiał ogłosić rezultaty wszystkich wyborów na najbliższe trzy lata. Opublikowano listę. Do końca roku konsulami mieli zostać Marek Antoniusz razem z Dolabellą; w następnym mieli ich zastąpić Hircjusz i Pansa; później Decymus Brutus (którego odtąd będę nazywał Decymusem, by odróżnić go od jego krewniaka) oraz Lucjusz Munacjusz Plankus. Brutusowi miało przypaść stanowisko pretora, a potem namiestnika Macedonii; i tak dalej, i tak dalej. Na liście były setki nazwisk; przypominała schemat organizacyjny armii.

Cycero, kiedy tylko ją zobaczył, pokręcił głową, nie mogąc się nadziwić pysze, jaka z niej emanowała. „Bóg Juliusz najwyraźniej zapomniał o tym, o czym nigdy nie powinien zapominać Juliusz polityk: że za każdym razem, gdy kogoś nominujesz, zyskujesz wdzięczność jednego człowieka, a wrogość dziesięciu”. Przed wymarszem Cezara Rzym pełen był wściekłych, zawiedzionych senatorów. Na przykład Kasjusz, już wcześniej urażony, że nie weźmie udział w kampanii partyjskiej, bolał nad tym, że Brutus obejmie stanowisko pretora, wyższe od jego urzędu. Ale największe pretensje miał Marek Antoniusz, nie mogąc się pogodzić z tym, że

będzie dzielić konsulat z Dolabellą – człowiekiem, o którym sądził, że nie dorasta mu do pięt, i któremu nigdy nie wybaczył tego, że sypiał z jego żoną; zazdrość zaślepiała go tak mocno, że wykorzystując swoją funkcję augura, próbował zablokować nominację Dolabelli pod pretekstem, że dotyczące jej wróżby są niepomysłne. Na piętnastego marca, trzy dni przed wymarszem Cezara, zwołano w portyku Pompejusza sesję senatu, by raz na zawsze rozstrzygnąć wszelkie wątpliwości. Krążyły plotki, że na tej samej sesji dyktator zażąda, by obwołano go królem.

Cycero bardzo starał się unikać obrad senatu. Nie mógł patrzeć na jego siedzibę. „Czy wiesz, że niektórzy z tych mianowanych przez Cezara parweniuszy z Galii i Hiszpanii nie mówią nawet po łacinie?” – gderał. Czuł się stary i niepotrzebny. Pogorszył mu się wzrok. Mimo to postanowił uczestniczyć w zwołanej na idy marcowe sesji – i nie tylko uczestniczyć, ale choć raz zabrać głos, by poprzeć Dolabellę i zaatakować Marka Antoniusza, w którym widział kolejnego kandydata na tyrana. Zaproponował, bym podobnie jak to się działo w dawnych czasach, dotrzymał mu towarzystwa, „choćby po to, by zobaczyć, co Boski Juliusz robi z naszą republiką zwykłych śmiertelników”.

Wyruszyliśmy dwie godziny po świcie, w dwóch lektykach. Tego dnia przypadało święto państwowe. Później zaplanowano walki gladiatorów i ulice wokół

teatru Pompejusza, gdzie miały się one odbyć, były już wypełnione widzami. Lepidus, uznany trafnie przez Cezara za dość słabego, by nadawał się na jego zastępcę, i z tego względu mianowany nowym dowódcą jazdy, trzymał przy Tybrze legion gotowy do wypłynięcia do Hiszpanii, której miał zostać namiestnikiem; wielu jego żołnierzy chciało po raz ostatni obejrzyć igrzyska.

Wewnątrz portyku, w cieniu bezlistnych platanów, około stu gladiatorów należących do Decymusa, namiestnika Galii Przedalpejskiej, ćwiczyło finty i wypady na oczach swojego właściciela oraz tłumu wielbicieli. Decymus był jednym z najzdolniejszych dowódców dyktatora w Galii i mówiono, że Cezar traktuje go prawie jak syna. Ale w mieście nie był szeroko znany i prawie go nie widywałem. Tęgi i barczysty, sam też mógłby uchodzić za gladiatora. Pamiętam, że dziwiłem się, po co ściągnął tylu zawodników na niezbyt ważne igrzyska. W arkadach, w wygodnym miejscu, bo bliżej senatu niż Forum, przyjmowało petycje kilku pretorów, wśród nich Kasjusz i Brutus. Cycero wychylił się i kazał tragarzom postawić nasze lektyki w słonecznym miejscu, byśmy mogli nacieszyć się wiosną. Spełnili jego polecenie i kiedy rozparł się na poduszkach i zaczął czytać swoją mowę, poczułem na twarzy promienie słońca.

Po jakimś czasie zobaczyłem przez zmrużone oczy, jak przez bramę wnoszą do sali senatu złoty tron Cezara. Pokazałem to Cycleronowi, który zwinął swoją mowę.

Dwóch niewolników pomogło mu wstać i dołączyliśmy do tłumu senatorów stojących w kolejce do wejścia. Musiało tam ich być co najmniej trzystu. Kiedyś znałem imię prawie każdego członka tej szlacheckiej izby, wiedziałem, z jakiego kto pochodzi rodu i trybusu, i jakie konkretnie reprezentuje interesy. Ale tamten dawny senat wykrwawił się na śmierć na polach bitew pod Farsalos, Tapsus i Mundą.

Weszliśmy na salę. Widna i przestronna, w nowoczesnym stylu, z wyłożonym czarno-białą mozaiką centralnym przejściem, różniła się od tej w starej siedzibie senatu. Po obu stronach wznosiły się trzy szerokie, niskie stopnie z ustawionymi na nich naprzeciwko siebie ławami. Na samym końcu stał na podwyższeniu tron Cezara, a za nim posąg Pompejusza, na którego głowie jakiś wywrotowiec umieścił wieniec laurowy. Jeden z niewolników Cezara, podskakując, próbował go strącić, ale bez rezultatu, ku uciechu patrzących na to senatorów. W końcu przyniósł taboret, stanął na nim i nagrodzony kpiącym aplauzem zdjął obraźliwy symbol. Zgorszony takim brakiem powagi Cycero pokręcił głową i uniósł oczy, po czym poszedł znaleźć sobie miejsce. Ja zostałem przy drzwiach, razem z innymi widzami.

Od tego momentu minęło dość dużo czasu – moim zdaniem przynajmniej godzina. W końcu ponownie pojawili się czterej słudzy Cezara, podeszli do tronu,

z pewnym trudem (bo był zrobiony z litego złota) dźwignęli go na ramiona i wynieśli. Przez salę przetoczył się pomruk zniecierpliwienia. Wielu senatorów wstało, by rozprostować nogi; niektórzy wyszli. Nikt nie wiedział chyba, co się dzieje. Cycero zbliżył się do mnie.

– Tak czy inaczej nie mam wielkiej ochoty wygłaszać tej mowy. Pewnie wrócę do domu. Możesz sprawdzić, czy sesja została ostatecznie odwołana?

Ruszyłem do bramy. Gladiatorzy wciąż tam byli, ale Decymus zniknął. Brutus i Kasjusz przestali przyjmować petentów i rozmawiali ze sobą. Obu ich znałem na tyle, by do nich podejść: Brutus, szlachetny filozof, nadal wyglądający jak młodzieniec mimo czterdziestki na karku, Kasjusz w tym samym wieku, ale z siwymi włosami i bardziej surowym obliczem. Kilkunastu senatorów stało wokół nich, przysłuchując się rozmowie – wśród nich bracia Kaska, Tiliusz Cymber, Minucjusz Bazylus i Gajusz Treboniusz, który został wyznaczony przez Cezara na namiestnika Azji. Pamiętałem również Kwintusa Ligariusza, wygnańca, któremu Cezar na prośbę Cycerona pozwolił wrócić do domu, oraz Marka Rubriusza Rugę, starego żołnierza, który również został ułaskawiony i nie mógł sobie tego darować. Kiedy do nich podszedłem, umilkli i zmierzyli mnie czujnym wzrokiem.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panowie, ale Cycero chciałby wiedzieć, co się dzieje – powiedziałem.

Senatorowie popatrzyli na siebie z ukosa.

– Jak to „co się dzieje”? – zapytał podejrzliwie Kasjusz.

– Chciałby po prostu wiedzieć, czy będziemy dzisiaj obradować – odparłem speszony.

– Wróżby nie są pomyślne i Cezar nie chce opuścić domu – wyjaśnił Brutus. – Decymus poszedł przekonać go, żeby jednak przyszedł. Powiedz Cycleronowi, żeby zachował cierpliwość.

– Powiem mu, ale chyba chce stąd iść.

– W takim razie przetłumacz mu, żeby został – rzekł z naciskiem Kasjusz.

Wydało mi się to dziwne, lecz wszedłem na salę i przekazałem ich słowa Cycleronowi.

– Dobrze, poczekajmy jeszcze chwilę – powiedział, wzruszając ramionami.

Wrócił na swoje miejsce i znowu zaczął przeglądać tekst mowy. Senatorowie podchodzili do niego, zamieniali kilka słów i odchodzili. Pokazał Dolabelli, co ma zamiar powiedzieć. Ponownie zaczęło się długie czekanie. W końcu, po kolejnej godzinie, wniesiono z powrotem tron Cezara i postawiono na podwyższeniu. Najwyraźniej Decymus przekonał go, by jednak przyszedł. Senatorowie, którzy stali i rozmawiali w przejściu, zajęli swoje miejsca i wszystkim udzielił się nastrój oczekiwania.

Usłyszałem na zewnątrz wiwaty. Odwróciwszy się, zobaczyłem przez otwarte drzwi wlewający się tłum. W środku ciżby widziałem, niczym bojowe

insygnia, różgi dwudziestu czterech liktorów Cezara i kołyszący się nad ich głowami złoty baldachim jego lektyki. Zdziwił mnie brak jakiejkolwiek wojskowej obstawy. Dopiero później dowiedziałem się, że Cezar zwolnił niedawno wszystkie te kohorty żołnierzy, z którymi zwykle podróżował, mówiąc: „Lepiej umrzeć raz w wyniku zdrady, niż stale się jej obawiać”. Zastanawiałem się często, czy ten przejaw brawury miał coś wspólnego z rozmową, którą odbył z Cynceronem trzy miesiące wcześniej. Tak czy inaczej lektykę przeniesiono przez otwarty teren i postawiono na zewnątrz, a kiedy liktorzy pomogli mu z niej wysiąść, ludzie mogli podejść do niego bardzo blisko. Wciskali mu do ręki petycje, które natychmiast przekazywał adiutantowi. Był ubrany w specjalną, wyszywaną złotem purpurową togę, którą na mocy postanowienia senatu tylko on miał prawo nosić. Z całą pewnością wyglądał jak król; brakowało mu tylko korony. Mimo to od razu spostrzegłem, że czuje się skrępowany. Miał zwyczaj szybko obracać głowę i rozglądać się wokół siebie, niczym drapieżny ptak, jakby wypatrywał kryjącej się w leśnym runie zwierzyny. Na widok otwartych drzwi senatu zrobił ruch, jak gdyby chciał się cofnąć, ale Decymus wziął go za rękę i przypuszczam, iż w tym, że mu uległ, odegrała pewną rolę doniosłość samej chwili; jeśli cofnąłby się i wrócił do domu, z pewnością straciłby twarz. Krążyły już plotki, że jest chory.

Liktorzy utorowali przed nim drogę i wszedł do środka. Minął mnie w odległości dwóch kroków, tak blisko, że poczułem słodki i korzenny zapach olejków, którymi namaszczone go po kąpieli. Decymus wślizgnął się w ślad za nim. Marek Antoniusz podążał tuż za Decymusem i też chciał wejść, ale Treboniusz zastąpił mu nagle drogę i pociągnął go na bok.

Senatorowie wstali. Cezar ruszył w ciszy między ławami, zamyślony i chmurny, obracając w palcach rylce, który trzymał w dłoni. Kilku skrybów szło za nim, niosąc kasetki z dokumentami. Cycero siedział w pierwszym rzędzie, przeznaczonym dla ekskonsulów. Cezar nie pozdrowił ani jego, ani nikogo innego. Zerkał to tu, to tam, w górę i w dół, kręcąc młynka tym rylcem. Wspiął się na podwyższenie, odwrócił twarzą do senatorów, nakazał gestem, by usiedli, po czym zasiadł na tronie.

Różne osoby natychmiast wstały i podeszły do niego z petycjami. Teraz gdy sama debata nie miała już znaczenia, stało się to normalną praktyką; obrady dawały jedną z rzadkich okazji, by wręczyć coś osobiście dyktatorowi. Pierwszym, który do niego podszedł – z lewej strony, z rękoma wyciągniętymi w błagalnym geście – był Tiliusz Cymber. Wiadomo było, że stara się o łaskę dla brata, który został wygnany. Zamiast jednak unieść skraj togi dyktatora i ją ucałować, złapał nagle fałdy tkaniny przy karku Cezara i pociągnął za nie tak mocno, że ten przechylił się na bok i praktycznie nie

mógł się poruszyć. Wydał gniewny okrzyk, ale głos miał zdławiony i nie słyszałem dobrze, co mówi. Brzmiało to jakby „Ależ to gwałt!”. Chwilę później jeden z braci Kaska, Publiusz, podszedł do Cezara z drugiej strony i wbił sztylet w jego odsłonięty bark. Nie wierzyłem własnym oczom – to było nierealne, jak sen lub coś, co widzi się w teatrze.

– Co robisz, Kaska, ty draniu?

Mimo że skończył już pięćdziesiąt pięć lat, dyktator był nadal silnym mężczyzną. Zdołał złapać sztylet Kaski lewą ręką – musiał sobie poharatać palce aż do kości – wyrwać się z uścisku Cymbera, wziąć zamach i wbić Kasce w ramię swój rylec.

– Pomóż mi, bracie! – krzyknął po grecku Kaska i chwilę później jego brat Gajusz dźgnął Cezara w żebra.

Jęk dyktatora, który osunął się na kolana, odbił się głośnym echem w całej izbie. Ponad dwadzieścia odzianych w togi postaci weszło na podwyższenie i otoczyło Cezara ciasnym kręgiem. Decymus przebiegł obok mnie, by do nich dołączyć. Zamachowców ogarnął morderczy szal. Senatorowie wstali z miejsc, żeby zobaczyć, co się dzieje. Później ludzie pytali mnie często, dlaczego żaden z tych kilkuset mężczyzn, którzy związali z Cezarem swoje losy i zawdzięczali mu swoje kariery, nie próbował przyjść mu na ratunek. Nie potrafię na to odpowiedzieć. To rozegrało się tak szybko, było tak gwałtowne i nieoczekiwane, że wszyscy osłupieli.

Nie widziałem już Cezara między zamachowcami. Dowiedziałem się później od Cycerona, który znajdował się bliżej, że jakimś nadludzkim wysiłkiem dyktator zdołał stanąć na nogi i próbował wyrwać się z kręgu. Ale taka była siła, desperacki pośpiech i bliskość tej napaści, że ucieczka okazała się niemożliwa. Jego zabójcy poranili nawet siebie nawzajem. Kasjusz dźgnął w rękę Brutusa, a Minucjusz Bazylus wbił Rufusowi nóż w udo. Powiadają, że ostatnimi słowami dyktatora była gorzka wymówka skierowana do Decymusa, który nakłonił go do przyjścia: „Nawet ty?”. Może to prawda. Zastanawiam się jednak, czy był wówczas zdolny powiedzieć cokolwiek. Lekarze naliczyli na jego ciele dwadzieścia trzy rany.

Dokonawszy swego dzieła, zabójcy odsunęli się od tego, co jeszcze przed chwilą było bijącym sercem imperium, a teraz stało się podziurawionym truchłem. Ich ręce były unurzane we krwi. Wysoko unieśli zbroczone nią sztylety. Wykrzyknęli kilka sloganów: „Wolność!”, „Pokój!”, „Republika!”. A Brutus nawet zawołał: „Niech żyje Cycero!”. Następnie zbiegli z podwyższenia w swych poplamionych niczym rzeźnicze fartuchy togach i tocząc dokoła dzikim wzrokiem, pognali w stronę portyku.

Kiedy zniknęli z pola widzenia, mogło się zdawać, że złamane zostało zaklęcie. Wybuchło pandemonium. Ogarnięci paniką senatorowie przeskakiwali przez ławy, przez siebie nawzajem, rzucając się do ucieczki. O mało

mnie nie stratowali. Nie zamierzałem jednak stamtąd wyjść bez Cyncerona. Uchylając się i przeciskając między napierającymi na mnie ciałami, w końcu do niego dotarłem. Nadal siedział, wbijając wzrok w ciało Cezara, które niepilnowane przez nikogo – jego niewolnicy uciekli – leżało na plecach, ze zwróconymi w stronę posągu Pompejusza stopami i zwisającą z krawędzi podwyższenia głową.

Powiedziałem, że musimy wyjść, ale Cyncero chyba mnie nie słyszał. Wpatrywał się w zwłoki jak zamurowany.

– Zobacz, nikt nie śmie do niego podejść – mruknął.

Jeden z butów dyktatora zsunął mu się ze stopy; toga podwinęła się na udach, odkrywając jego gołe wydepilowane nogi; imperialna purpura była podarta i skrwawiona; cięcie na policzku odsłoniło białą kość; ciemne oczy jakby z gniewem patrzyły na pustoszejącą salę; krew z rany płynęła na ukos przez czoło i kapłała na biały marmur.

Wszystkie te szczegóły widzę dzisiaj tak samo wyraźnie jak wtedy, gdy zobaczyłem je przed czterdziestu laty. Pomyślałem przez chwilę o przepowiedni wieszczki: że Rzym będzie rządzony przez trzech, potem przez dwóch, potem przez jednego i wreszcie przez nikogo. Z trudem oderwałem wzrok od trupa, wziąłem Cyncerona pod ramię i pomogłem mu wstać. W końcu, niczym

lunatyk, pozwolił się wyprowadzić z sali i wyszliśmy razem na światło dnia.

XIV



W portyku panował chaos. Zabójcy wycofali się pod eskortą gladiatorów Decymusa. Nikt nie wiedział dokąd. Ludzie biegali w tę i z powrotem, by dowiedzieć się, co się stało. Liktorzy dyktatora odrzucili insygnia jego władzy i uciekli. Senatorowie również śpiesznie się oddalali; kilku ściągnęło nawet togi, by nikt nie wiedział, kim są, i próbowało zmieszać się z tłumem. Tymczasem w drugim końcu portyku widzowie, oglądający walki gladiatorów w przyległym teatrze, usłyszeli tumult i biegli już zobaczyć, co się dzieje.

Wyczułem, że Cyncero jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Choć w ogóle nie miał pojęcia o spisku, Brutus wykrzyknął jego imię; wszyscy to słyszeli. Stał się oczywistym celem dla tych, którzy pragnęli zemsty. Ludzie wierni Cezarowi mogli nawet

uznać, że był przywódcą zamachowców. Krew domagała się krwi.

– Musimy stąd jak najszybciej odejść – powiedziałem.

Ku mojej uldze pokiwał głową, nadal zbyt oszołomiony, by się ze mną spierać. Nasi tragarze uciekli, porzucając lektyki. Musieliśmy wracać pieszo. Tymczasem igrzyska nadal trwały w najlepsze. Z teatru Pompejusza dochodził ryk dopingującej gladiatorów widowni. Ktoś postronny nigdy by nie zgadł, co się przed chwilą wydarzyło, i im bardziej oddalaliśmy się od portyku, tym normalniej wszystko wyglądało. Kiedy minęliśmy Bramę Karmentalską i weszliśmy do miasta, można było odnieść wrażenie, że to zwyczajny świąteczny dzień, a zabójstwo tylko nam się przyśniło.

Niemniej jednak niesione przez bystronogich posłańców i przekazywane szeptem wieści wędrowały przez zaułki i rynki szybciej od nas i kiedy dotarliśmy do domu na Palatynie, okazało się, że jakimś cudem nas wyprzedziły: z różnych stron, ze zniekształconymi wersjami tego, co się wydarzyło, zdążali już ku nam brat Cyclerona, Kwintus, i Attyk. Nie wiedzieli zbyt wiele: w senacie doszło do napaści, Cezar został ranny.

– Cezar nie żyje – sprostował Cycero i opowiedział im, co właśnie zobaczyliśmy.

W jego relacji wydawało się to jeszcze bardziej fantastyczne, niż było w rzeczywistości. Obaj mężczyźni

z początku mu nie dowierzali, a potem nie kryli radości z powodu śmierci dyktatora. Attyk nawet podskoczył.

– Naprawdę nie miałeś pojęcia, co się święci? – zapytał Kwintus.

– Najmniejszego – odparł Cyncero. – Specjalnie to przede mną ukrywali. Powinienem czuć się urażony, ale szczerze mówiąc, cieszę się, że oszczędzili mi emocji. To wymagało o wiele więcej zuchwałości, niż zdołałbym z siebie kiedykolwiek wykrzesać. Żeby przyjść do senatu z ukrytą bronią, potem tak długo czekać, zachowywać zimną krew, ryzykować śmierć z ręki stronników Cezara, a wreszcie spojrzeć tyranowi prosto w oczy i zatopić sztylet w jego sercu... przyznaję, że nigdy bym się na to nie poważył.

– Ja bym się poważył! – zawołał Kwintus.

Cyncero się roześmiał.

– Cóż, bardziej ode mnie przywykłeś do widoku krwi.

– Czyżby żaden z was nie żałował Cezara po prostu jako człowieka? – zapytałem. – W końcu zaledwie przed trzema miesiącami – zwróciłem się do Cyncerona – zaśmiewałeś się wraz z nim przy kolacji.

Cyncero spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Zdumiewa mnie, że pytasz o takie rzeczy. Mam wrażenie, że czuję się tak samo, jak ty musiałeś się czuć w dniu, gdy zostałeś wyzwolony. Bez względu na to, czy Cezar był łagodnym, czy okrutnym panem, był naszym

panem i uczynił z nas niewolników. Więc nie mów mi nic o żalu.

Powiedziawszy to, wysłał sekretarza, by spróbował się dowiedzieć, gdzie uciekli Brutus i inni spiskowcy. Ten wkrótce powrócił i oznajmił, że podobno schronili się na Kapitolu.

– Muszę tam natychmiast iść i zaoferować im swoją pomoc – stwierdził Cycero.

– Czy to na pewno roztropne? – zapytałem. – W obecnej sytuacji nie ponosisz żadnej odpowiedzialności za zamach. Ale jeśli tam się udasz i publicznie ich poprzesz, stronnicy Cezara nie dostrzegą większej różnicy między tobą a Kasjuszem czy Brutusem.

– Niech nie dostrzegają. Mam zamiar podziękować ludziom, którzy zwrócili mi wolność.

Pozostali zgodzili się z nim i wszyscy czterej wyruszyliśmy natychmiast, z kilkoma niewolnikami do obrony, idąc najpierw stokiem Palatynu, następnie zaś schodząc po stopniach w dolinę i po przekroczeniu Vicus Jugarius¹⁰ docierając do podnóża Skały Tarpejskiej. Powietrze stało dziwnie nieruchome i gęste przed zbliżającą się burzą; ulica, zwykle wypełniona zaprzężonymi w woły wozami, była pusta, tylko kilka osób zmierzało w stronę Forum. Na ich twarzach malowały się osłupienie, konsternacja i lęk. I rzeczywiście, gdyby ktoś szukał dokoła zapowiedzi nieszczęścia, wystarczyło spojrzeć na niebo. Ciężkie

czarne chmury wydawały się opierać o dachy świątyń i kiedy zaczęliśmy się wspinać po stopniach, błysnęło i rozległ się odgłos gromu. Deszcz był zimny i rześisty. Stopnie zrobiły się śliskie. W połowie schodów musieliśmy się zatrzymać, by złapać oddech. Spływający obok nas po omszałej skale strumień zmienił się w wodospad; niżej widziałem zakole Tybru, mury miasta i Pole Marsowe. Zdałem sobie sprawę, jak sprytnym strategicznie posunięciem było wycofanie się po zamachu prosto na Kapitol: strome urwiska czyniły zeń naturalną niedostępną twierdzę.

W końcu dotarliśmy do bramy na samym szczycie, której strzegli gladiatorzy, groźnie wyglądający obwiesie z Galii Przedalpejskiej. Był wśród nich jeden z oficerów Decymusa, który rozpoznał Cyncerona i kazał swoim ludziom nas przepuścić, po czym zaprowadził nas do ogrodzonego murami kompleksu, obok uwięzanych na łańcuchach psów, które pilnowały miejsca w nocy, następnie zaś do świątyni Jowisza, gdzie w półmroku zebrało się co najmniej stu mężczyzn.

Wchodzącego Cyncerona powitano brawami, a on obszedł zabójców, ściskając dłonie wszystkim z wyjątkiem Brutusa, którego ręka, zraniona przypadkiem przez Kasjusza, była obandażowana. Zmienili zakrwawione ubrania na świeżo uprane togi i mieli poważne, a nawet posępne miny: nic nie zostało z euforii, w jaką wpadli zaraz po zamachu. Zdumiała

mnie liczba bliskich stronników Cezara, którzy do nich przystali. Był tam na przykład Lucjusz Korneliusz Cynna, brat pierwszej żony Cezara i wuj Julii; Cezar mianował go pretorem, a on mimo to znalazł się tutaj, pośród zabójców swego byłego szwagra. Był tam również Dolabella – notorycznie niewierny Dolabella – który nie ruszył nawet palcem, by obronić Cezara w senacie, a teraz obejmował ramieniem Decymusa, człowieka, który zwabił w śmiertelną pułapkę swego dawnego dowódcę. Podszedł do nas, by przyłączyć się do rozmowy, jaką Cyncero prowadził z Brutusem i Kasjuszem.

– Pochwalasz zatem to, co uczyniliśmy? – zapytał Brutus.

– Czy pochwalam? To najwspanialszy czyn w dziejach republiki. Ale powiedz mi – poprosił Cyncero, rozglądając się po ponurym wnętrzu – dlaczego zaszyliście się tutaj wszyscy niczym przestępcy? Dlaczego nie zeszliście na Forum, by przekonać ludzi do swojej sprawy?

– Jesteśmy patriotami, nie demagogami. Naszym celem było usunięcie tyrana, nic więcej.

Cyncero posłał mu zdumione spojrzenie.

– W takim razie kto rządzi krajem? – zapytał.

– W tym momencie nikt – odparł Brutus. – Następnym krokiem będzie utworzenie nowego rządu.

– Czy nie powinniście ogłosić po prostu, że jesteście nowym rządem?

– To byłoby niezgodne z prawem. Nie po to obaliliśmy tyrana, by zająć jego miejsce.

– Cóż, w takim razie zwołajcie posiedzenie senatu tu, w tej świątyni... macie do tego prawo jako pretorzy... i niech senat ogłosi stan wyjątkowy do czasu wyborów. To będzie całkowicie legalne posunięcie.

– Naszym zdaniem, będzie bardziej zgodne z konstytucją, jeżeli to Marek Antoniusz, jako konsul, zwoła posiedzenie senatu.

– Marek Antoniusz? – Zdziwienie Cyncerona przerodziło się w niepokój. – Nie wolno wam pozwolić, by się w to wmieszał. Ma wszystkie najgorsze wady Cezara i ani jednej jego zalety – stwierdził i poprosił Kasjusza, żeby go poparł.

– Zgadzam się z tobą – oznajmił Kasjusz. – Uważałem, że powinniśmy go zabić razem z Cezarem. Ale Brutus nie chciał o tym słyszeć. Dlatego Treboniusz odciągnął go na bok i pozwolił mu się oddalić.

– I gdzie jest teraz?

– Pewnie w swoim domu.

– Znając go, bardzo w to wątpię – wtrącił Dolabella. – Na pewno coś knuje.

Podczas tej wymiany zdań zauważyłem, że Decymus rozmawia z kilkoma ze swoich gladiatorów. Po chwili podszedł do nas z posępną miną.

– Dostaliśmy meldunki, że Lepidus zabiera swój legion z Wyspy Tyberyjskiej – powiedział.

– Będziemy to mogli stąd zobaczyć na własne oczy – stwierdził Kasjusz.

Wyszliśmy na zewnątrz i w ślad za Kasjuszem i Decymusem okrążyliśmy wielką świątynię. Z wybrukowanego dziedzińca po północnej stronie rozciągał się widok na Pole Marsowe i dalej. I nie było cienia wątpliwości: legionieści maszerowali przez most na rzece i gromadzili się na bliższym brzegu.

Brutus nerwowo przytupywał, nie potrafiąc ukryć niepokoju.

– Kilka godzin temu wysłałem posłańca do Lepidusa, ale nie dostałem odpowiedzi – oznajmił.

– To jest jego odpowiedź. – Kasjusz wskazał ręką.

– Błagam cię, Brutusie... błagam was wszystkich – odezwał się Cyncero. – Zejdźcie na Forum i powiedzcie ludziom, co zrobiliście i dlaczego to zrobiliście. Technijcie w nich ducha dawnej republiki. W przeciwnym razie Lepidus zamknie was tutaj w pułapce, a Antoniusz przejmie kontrolę nad miastem.

Nawet Brutus widział teraz słuszność takiego rozwiązania, dlatego spiskowcy – względnie zabójcy lub bojownicy o wolność i wyzwoliciele: dotąd nie uzgodniono, jak ich dokładnie nazwać – zeszli krętą drogą, która prowadziła ze szczytu Kapitolu na Forum. Za radą Cyncerona nie zabrali ze sobą złożonej z gladiatorów obstawy. „Najlepiej przekonamy ich o naszych szczerych zamiarach, idąc tam sami i bez broni; poza tym jeśli

dojdzie do jakichś kłopotów, zdołamy się dość szybko wycofać”.

Przestało padać. Na Forum zgromadziło się trzystu albo czterystu obywateli, którzy stali apatycznie w miejscu, najwyraźniej czekając, aż coś się wydarzy. Zobaczyli nas, kiedy byliśmy jeszcze dość daleko, i ruszyli w naszą stronę. Nie miałem pojęcia, jak zareagują. Cezar był zawsze ulubieńcem pospólstwa, choć ostatnio ludziom znudziły się jego królewskie obyczaje – bali się czekających Rzym wojen i tęsknili za dawnymi czasami, gdy startujący w wyborach kandydaci ubiegali się o ich względy, używając łapówek i pochlebstw. Czy będą wiwatowali na naszą cześć, czy też rozedrą nas na strzępy? W tym wypadku nie stało się ani jedno, ani drugie. Tłum obserwował w całkowitym milczeniu, jak wchodzimy na Forum, po czym rozstąpił się, pozwalając nam przejść. Pretorzy – Brutus, Kasjusz i Cynna – weszli na rostra, by przemówić do ludu, a pozostali, wśród nich Cyncero, stanęli z boku i ich obserwowali.

Na początek przemówił Brutus i choć dobrze pamiętam jego posępne pierwsze słowa – „Podobnie jak mój szlachetny przodek Juniusz Brutus wypędził z miasta króla tyrana Tarkwiniusza, tak ja uwolniłem nas dzisiaj od tyranii dyktatora Cezara” – resztę zapomniałem. I tu leżał cały problem. Bez wątpienia przez wiele dni Brutus pracował nad tym tekstem, który jako esej na temat niegodziwości despotyzmu mógł być nawet ciekawy. Ale

jak od dawna starał się go przekonać Cyncero, przemówienie to spektakl, a nie filozoficzna rozprawa; musi trafiać w większym stopniu do emocji niż do intelektu. Płomienna oracja mogła w tym momencie odmienić sytuację – mogła przekonać ludzi, że powinni bronić Forum i swoich wolności przed wojskiem, które właśnie gromadziło się na Polu Marsowym. Niestety Brutus dał im wykład, który w trzech czwartych dotyczył historii, a w jednej czwartej teorii politycznej. Słyszałem, jak stojący obok mnie Cyncero mruczy coś pod nosem. Na domiar złego w trakcie przemówienia Brutusowi zaczęła krwawić rana pod bandażem i krwawe przypomnienie tego, co uczynił, odwracało uwagę słuchaczy od jego słów.

Brutus przemawiał, jak się zdawało, bardzo długo i nagrodzono go aplauzem, który najlepiej określić mianem ostrożnego. Następnie zabrał głos Kasjusz i nie wypadł najgorzej, bo w Tusculum brał przecież lekcje u Cyncerona. Był jednak zawodowym żołnierzem, który spędził w Rzymie mało czasu; szanowano go, lecz niezbyt dobrze znano i z pewnością nie darzono uczuciem. Zebrał oklaski jeszcze mizerniejsze niż Brutus. Prawdziwą katastrofą okazał się jednak występ Cynny. Był mówcą wywodzącym się ze starożytniejszej melodramatycznej szkoły i próbował wnieść trochę pasji w swoje wystąpienie, zdzierając z siebie pretoriańskie szaty, zrzucając je z rostrów i nazywając darem despoty, który

wstydzi się nosić. Naprawdę trudno było znieść taką hipokryzję.

– Wczoraj mówiłeś co innego! – zawołał ktoś.

Jego okrzyk nagrodzono brawami i ośmieliło to innego krzykacza.

– Bez Cezara byłbyś nikim, stary rupieciu! – wrzasnął i głośne gwizdy zagłuszyły dalszą część mowy Cynny.

Wiec został przerwany.

– To fiasko – stwierdził Cyncero.

– Jesteś oratorem – powiedział Decymus. – Nie powiesz czegoś, by ratować sytuację?

Ku swojemu przerażeniu zorientowałem się, że Cyncero ma ochotę to zrobić. W tej samej chwili Decymusowi doręczono jednak nowy meldunek, z którego wynikało, że legion Lepidusa wchodzi w głąb miasta. Dał znak pretorom, by szybko zeszli z rostrów, i starając się zachować resztki godności, wycofaliśmy się wszyscy z powrotem na Kapitol.

* * *

O nieżyciowej postawie Brutusa świadczyło to, że do ostatniej chwili wierzył, iż Lepidus nie złamie prawa, nie naruszy świętej granicy miasta i nie wprowadzi wojska do Rzymu. Przekonywał Cyncerona, że zna przecież bardzo dobrze dowódcę jazdy: Lepidus był mężem jego siostry

Junii Sekundy (z kolei Kasjusz był mężem jego przyrodniej siostry Tercji).

– Wierz mi, to patrycjusz do szpiku kości. Nie uczyni niczego, co byłoby nielegalne. Zawsze zachowywał godność i trzymał się ściśle protokołu.

Z początku mogło się zdawać, że Brutus miał rację, bo legion po przejściu przez most i wkroczeniu w obręb murów miasta zatrzymał się na Polu Marsowym i rozbił obóz mniej więcej pół mili od nas. Ale potem, krótko po północy, rozległo się żalosne zawodzenie wojennych rogów. Słyszając je, psy w świątynnym kompleksie zaczęły czekać, a my wybiegliśmy na zewnątrz, by zobaczyć, co się dzieje. Gęste chmury zasłoniły księżyc i gwiazdy, lecz w oddali wyraźnie było widać obozowe ognie, które na naszych oczach zaczęły się dzielić i układać w kształt płomiennych węży.

– Maszerują z pochodniami – stwierdził Kasjusz.

Chwiejna migocząca linia skierowała się w stronę Bramy Karmentalskiej. Po pewnym czasie usłyszeliśmy stukot żołnierskich butów. Brama była prawie dokładnie pod nami, zasłonięta przez skały. Żołnierze przedniej straży Lepidusa odkryli, że jest zamknięta, i zaczęli w nią walić i wołać odźwiernego. Ten jednak musiał chyba uciec. Przez dłuższy czas nic się nie działo, a potem sprowadzono taran. Po serii ciężkich łomotów rozległ się trzask pękającego drewna i głośnie wiwaty. Wychylając się przez balustradę, widzieliśmy, jak legionieści

z pochodniami przemykają szybko przez wyłamana bramę, ustawiają posterunki wokół Kapitolu i biegną na Forum, żeby zabezpieczyć główne gmachy publiczne.

– Myślicie, że zaatakują nas dziś w nocy? – zapytał Kasjusz.

– Po co mieliby to robić, skoro mogą nas spokojnie dopaść w biały dzień? – odparł cierpko Decymus. Jego gniewny ton wskazywał, że odpowiedzialnością za ten stan rzeczy obarcza innych i najwyraźniej uważa, że przystał do idiotów. – Twój szwagier, Brutusie, okazał się bardziej ambitny i śmiały, niż mi mówiłeś.

Bez przerwy przytupujący Brutus w ogóle na to nie zareagował.

– Zgadzam się, nocne natarcie mogłoby się okazać zbyt ryzykowne – powiedział Dolabella. – Zaatakują jutro.

– Zasadniczą kwestią jest to, czy Lepidus działa w porozumieniu z Antoniuszem – odezwał się Cyncero. – Jeśli tak, to nasza sytuacja jest, szczerze mówiąc, beznadziejna. Jeżeli nie, to wątpię, by Antoniusz chciał pozwolić Lepidusowi cieszyć się chwałą tego, który dopadł zabójców Cezara. Obawiam się, panowie, że to nasza jedyna nadzieja.

Cyncero był teraz zmuszony złączyć swój los z innymi – próba oddalenia się z Kapitolu po ciemku, kiedy wzgórze otoczyło potencjalnie wrogie wojsko, a w mieście grasował Antoniusz, obarczona była zdecydowanie zbyt wielkim ryzykiem. Nie pozostało nam zatem nic innego,

jak spędzić tutaj noc. Sprzyjał nam fakt, że na Kapitol można było dotrzeć tylko czterema drogami: po schodach Moneta na północnym wschodzie, po Stu Schodach na południowym zachodzie oraz dwiema trasami, które prowadziły z Forum – jedną były kolejne schody, a drugą strome podejście. Decymus wzmocnił strażę przy każdej z tych dróg i wróciliśmy wszyscy do świątyni Jowisza.

Nie mogę powiedzieć, byśmy porządnie odpoczęli. Wnętrze świątyni było wilgotne i chłodne, ławy twarde, a wspomnienie wydarzeń tego dnia zbyt żywe. Przyćmione światło lamp i świec migotało na surowych obliczach bogów; spod pogrążonego w mroku sklepienia spoglądały na nas z pogardą drewniane orły. Cycero rozmawiał przez jakiś czas z Kwintusem i Attykiem – półgłosem, żeby inni go nie słyszeli. Trudno mu było uwierzyć, że zamach został tak źle przygotowany.

– Czy kiedykolwiek dokonano czynu, któremu towarzyszyłoby tak męskie zdecydowanie, a zarazem tak dziecinny osąd sytuacji? Dlaczego nie zdradzili mi swoich zamiarów? Powiedziałbym im przynajmniej, że jeśli chcą zgładzić demona, nie wolno im pozostawić przy życiu jego ucznia. I jak mogli nie pomyśleć o Lepidusie i jego legionie? Pozwolić, by upłynął cały dzień, i nie próbować w tym czasie przejąć władzy?

Siedzący w pobliżu Brutus i Kasjusz musieli usłyszeć brzmiającą w jego głosie frustrację, bo zobaczyłem, że

zerkają z ukosa na Cyncerona i marszczą brwi. On też to zauważył i umilkł. Siedząc oparty o kolumnę, owinięty swoją togą, dumął niewątpliwie o tym, co zostało i co nie zostało zrobione i co można było jeszcze uczynić.

Z nadejściem świtu mogliśmy zobaczyć najważniejszą rzecz, która wydarzyła się w nocy. Lepidus przesunął do miasta może tysiąc żołnierzy. Nad Forum unosił się dym z ognisk, na których gotowali strawę. Pozostałe trzy tysiące obozowały dalej na Polu Marsowym.

Kasjusz, Brutus i Decymus zebrali wszystkich, żeby omówić dalsze posunięcia. Zgłoszona poprzedniego dnia propozycja Cyncerona, by zwołać posiedzenie senatu na Kapitolu, stała się nieaktualna. Zamiast tego uradzono, że delegacja byłych konsulów, z których żaden nie brał udziału w zamachu, uda się do domu Marka Antoniusza i poprosi go oficjalnie, jako konsula, by zwołał sesję senatu. W skład delegacji zgłosili się na ochotnika Serwiusz Sulpicjusz, Klaudiusz Marcellus i brat Lepidusa, Lucjusz Emiliusz Paulus, ale Cyncero nie chciał z nimi iść, dowodząc, że cała grupa powinna się raczej zwrócić bezpośrednio do Lepidusa.

– Nie ufam Antoniuszowi – powiedział. – Poza tym jakiegokolwiek zawarte z nim porozumienie i tak będzie musiało zostać zaaprobowane przez Lepidusa, który w tym momencie dzierży realną władzę, więc dlaczego nie negocjować właśnie z nim i nie zignorować Antoniusza?

Przeważało jednak zdanie Brutusa, że Antoniusz, choć nie podlega mu wojsko, ma władzę nominalną, i późnym rankiem byli konsulowie ruszyli na dół, poprzedzani przez sługę niosącego białą flagę.

Mogliśmy teraz tylko czekać i obserwować wydarzenia na Forum – obserwować w sensie dosłownym, bo jeśli ktoś chciał zejść na dach publicznego archiwum, miał stamtąd dobry widok na to, co się działo. Cały plac był nabity żołnierzami i cywilami słuchającymi mów, które wygłaszano z rostrów. Ludzie stali na stopniach świątyń i tłoczyli się przy kolumnach; kolejni próbowali dostać się na Forum od strony Via Sacra i Argiletum, które jak sięgnąć okiem, wypełniała zbita cizba. Niestety znajdowaliśmy się zbyt daleko, by usłyszeć, co mówią z rostrów. Koło południa zabrał głos mężczyzna w pełnym wojskowym uniformie i czerwonym płaszczu generała i przemawiał do tłumu przez dobrą godzinę, otrzymując długie brawa; powiedziano mi, że to Lepidus. Niedługo potem na podwyższeniu pojawił się kolejny żołnierz – jego herkulesowa postura i gęste czarne włosy nie pozostawiały żadnych wątpliwości, że to Marek Antoniusz. Nie słyszałem, co mówi, ale ważna była sama jego obecność, więc pośpieszyłem z powrotem, by poinformować Cyncerona, że Lepidus i Antoniusz najwyraźniej zawarli sojusz.

Napięcie na Kapitolu sięgało szczytu. Przez cały dzień mieliśmy bardzo mało jedzenia. Nikt za wiele nie spał tej nocy. Brutus i Kasjusz spodziewali się w każdej chwili ataku. Nasz los nie zależał już od nas. Mimo to Cyncero był dziwnie spokojny. Czuje, że znalazł się po właściwej stronie, powiedział mi, i jest gotów ponieść konsekwencje.

Kiedy nad Tybrem zaczęło zachodzić słońce, wróciła delegacja ekskonsulów.

– Antoniusz zgodził się zwołać posiedzenie senatu jutro o godzinie pierwszej¹¹ w świątyni Tellus – oznajmił w imieniu pozostałych Sulpicjusz.

Pierwszą część jego oświadczenia powitano okrzykami radości, drugą jękiem zawodu.

– To pułapka – stwierdził od razu Kasjusz. – Chcą nas wywabić z naszych silnych pozycji. Na pewno nas zabiją.

– Możliwe, że masz rację – powiedział Cyncero. – Ale wy możecie tu wszyscy zostać, a ja pójdę. Wątpię, żeby mnie zabili. A jeśli to zrobią... jakie to w końcu ma znaczenie? Jestem stary i trudno o lepszą śmierć niż ta poniesiona w obronie wolności.

Jego słowa podniosły nas na duchu. Przypomniały nam, dlaczego się tu znaleźliśmy. Uzgodniono od razu, że zamachowcy zostaną na miejscu, a Cyncero będzie przewodniczył delegacji, która w ich imieniu przemówi w senacie. Postanowiono również, że zamiast spędzać kolejną noc w świątyni, on i inni, którzy nie brali udziału

w zamachu, wróćą do domów, by odpocząć przed debatą. W związku z tym, po bardzo emocjonalnym pożegnaniu, ruszyliśmy z białą flagą w dół po Stu Schodach. Zapadał zmierzch. Żołnierze Lepidusa, którzy ustawili na dole posterunek, zażądali, by Cyncero wystąpił do przodu. Na szczęście został rozpoznany i kiedy zaręczył za pozostałych, pozwolono nam wszystkim przejść.

* * *

Cyncero do późnej nocy pracował nad swoim przemówieniem. Zanim poszedłem spać, zapytał, czy będę mógł mu towarzyszyć następnego dnia do senatu, by je zapisać. Uważał, że może to być jego najlepsza mowa, i chciał ją zachować dla potomności: podsumowanie wszystkiego, co sądził na temat wolności i republiki, uzdrawiającej roli męża stanu oraz moralnego prawa do zamordowania tyrana. Nie mogę powiedzieć, że chętnie podjąłem się tego zadania, lecz oczywiście nie mogłem odmówić.

Z setek debat, w których uczestniczył Cyncero w ciągu minionych trzydziestu lat, żadna nie zapowiadała się na tak trudną. Miała się rozpocząć o świcie, a to oznaczało, że musieliśmy opuścić dom po ciemku i przemykać opustoszałymi ulicami, co samo w sobie było nie lada wyzwaniem. Obrady miały się toczyć w świątyni, w której senat nie zbierał się nigdy wcześniej, otoczonej przez

tłum żołnierzy. Oprócz legionistów Lepidusa było tam wielu zahartowanych w boju weteranów Cezara, którzy dowiedziawszy się o śmierci swego dawnego wodza, przybyli zbrojnie do miasta, by bronić swoich praw i zemścić się na zabójcach. I kiedy w końcu, ścigani apelami i przekleństwami, przedarliśmy się przez kordon i weszliśmy do świątyni, okazało się, że panuje w niej ogromny ścisk i tuż obok siebie stoją ludzie, którzy nienawidzili się i nie ufali sobie wzajemnie. Wyczuwało się, że najdrobniejsza nieprzemyślana uwaga może doprowadzić do krwawej łaźni.

A jednak od chwili, kiedy Antoniusz podniósł się z miejsca, by zabrać głos, stało się jasne, że debata będzie inna, niż spodziewał się Cyncero. Antoniusz nie przekroczył jeszcze czterdziestki – przystojny, śniady, o posturze zapaśnika, która sprawiała, że lepiej wyglądał w zbroi niż w todze. Mimo to miał dźwięczny, dobrze postawiony głos i przemawiał ze swadą.

– Ojcowie narodu – zaczął – nie cofniemy tego, co się stało, choć budzi to mój głęboki żal, gdyż Cezar był mi najdroższym przyjacielem. Ale kocham mój kraj jeszcze bardziej, niż kochałem Cezara, jeśli to w ogóle możliwe, i w naszym postępowaniu musimy kierować się tym, co jest najlepsze dla republiki. Zeszłego wieczoru byłem u wdowy po Cezarze i pośród łez i smutku czcigodna Kalpurnia powiedziała, co następuje: „Powiedz senatowi, że w mojej nieutulonej rozpaczycy pragnę tylko dwóch

rzeczy: by mojemu mężowi urządzono pogrzeb odpowiedni dla rangi, jaką osiągnął za życia, i by nie doszło do dalszego przelewu krwi”.

Te słowa przyjęto głośnym, gardłowym pomrukiem aprobaty i z zaskoczeniem zdałem sobie sprawę, że większość jest za kompromisem, nie za odwetem.

– Brutus, Kasjusz i Decymus – kontynuował Antoniusz – to tacy sami patrioci jak my, członkowie najbardziej szacownych rodów w kraju. Nawet potępiając brutalność obranej przez nich metody, możemy uznać, że przyświecał im szlachetny cel. Moim zdaniem, w ciągu ostatnich pięciu lat przelano już dość krwi. Dlatego proponuję, abyśmy okazali zabójcom Cezara taką samą łaskę, jaką charakteryzowały się jego rządy... abyśmy w imię pokoju społecznego ułaskawili ich, zagwarantowali im bezpieczeństwo i poprosili, by zeszli z Kapitolu i wzięli udział w naszych obradach.

Było to imponujące wystąpienie, ale przecież dziadek Antoniusza uważany był przez wielu, w tym i Cyncerona, za jednego z największych rzymskich mówców, więc może jego wnuk miał to we krwi. Tak czy inaczej narzucił izbie ton szlachetnego umiarkowania – do tego stopnia, że Cyncero, który zabrał głos tuż po nim, był kompletnie zaskoczony i mógł tylko pochwalić go za mądrość i wielkoduszność. Jedynym punktem, w którym nie zgadzał się z Antoniuszem, było użycie przez niego słowa „łaska”:

– Według mnie łaska oznacza darowanie winy, a wina oznacza zbrodnię. Zamordowanie dyktatora można określić na wiele sposobów, ale nie było zbrodnią. Wolałbym użyć innego określenia. Pamiętacie historię Trazybula, który przed ponad trzystu laty obalił Trzydziestu Despotów w Atenach? Później wprowadził dla swoich oponentów coś, co nazwał „amnestią”... koncept wzięty z greckiego słowa *amnesia* oznaczającego „zapomnienie”. Tego właśnie w tym przypadku potrzebujemy: wielkiego narodowego aktu nie wybaczenia, lecz zapomnienia, żebyśmy mogli w przyjaźni i pokoju odtworzyć naszą republikę wolną od wzajemnej wrogości.

Cycero dostał takie same oklaski jak Antoniusz, po czym Dolabella natychmiast zgłosił wniosek, żeby uchwalić amnestię dla tych, którzy wzięli udział w zabójstwie, a także zaprosić ich do senatu. Sprzeciwił się temu jedynie Lepidus: na pewno nie z powodów zasadniczych – Lepidus nigdy nie był człowiekiem zasad – lecz dlatego, że oddalała się szansa, iż będzie się pławił w sławie. Wniosek przeszedł i wyprawiono posłańca na Kapitol. W przerwie, kiedy to załatwiano, Cycero podszedł do drzwi, żeby ze mną porozmawiać.

– Przybyłem tutaj przekonany, że rozerwą mnie na strzępy – powiedział, kiedy pogratulowałem mu udanej mowy – tymczasem leją miód na moje serce. Jak sądzisz, jaką grę prowadzi Antoniusz?

– Może nie prowadzi żadnej gry. Może jest szczerzy.

Cycero pokręcił głową.

– Nie, on ma jakiś plan, ale go nie ujawnia. Z całą pewnością jest bardziej szczerwany, niż byłem gotów wcześniej przyznać.

Kiedy wznowiono obrady, szybko zmieniły się one w coś na kształt negocjacji. Najpierw Antoniusz ostrzegł, że kiedy wiadomość o zabójstwie dotrze do prowincji, a zwłaszcza do Galii, może to doprowadzić do powszechnej rebelii przeciwko rządowi Rzymu.

– W celu zachowania silnej władzy w okresie przejściowym proponuję, żeby senat zatwierdził wszystkie prawa ustanowione przez Cezara, a także wszystkie nominacje na konsulów, pretorów i namiestników, dokonane przez idami marcowymi.

– Oczywiście łącznie z twoją nominacją? – zapytał Cycero, wstając z miejsca.

– Tak, oczywiście łącznie z moją... chyba że masz coś przeciwko temu – odparł Antoniusz, po raz pierwszy z ukrytą groźbą w głosie.

– I łącznie z nominacją Dolabelli jako twojego konsularnego kolegi? Z tego, co pamiętam, taka też była wola Cezara, dopóki nie zablokowałeś jej, powołując się na złe wróżby.

Zerknąłem na Dolabellę, który pochylił się nagle do przodu.

Naturalnie była to dla Antoniusza gorzka pigułka do przełknięcia – ale ją przełknął.

– Tak, w interesie jedności, jeśli taka jest wola senatu, łącznie z Dolabellą.

– I z tego względu potwierdzasz również, że zarówno Brutus, jak i Kasjusz będą dalej pretorami, a później namiestnikami Galii Przedalpejskiej i Syrii – cisnął Cyncero. – I że Decymus przejmie tymczasem władzę w Galii Przedalpejskiej, mając do dyspozycji dwa legiony już wcześniej oddane pod jego rozkazy?

– Tak, tak i tak. – W ławach rozległy się gwizdy i jęki zaskoczenia, ale też oklaski. – Czy teraz wasza strona zgodzi się, żeby wszystkie prawa i nominacje wydane przed śmiercią Cezara zostały zatwierdzone przez senat? – zapytał Antoniusz.

Później Cyncero zdradził mi, że zanim wstał, by udzielić odpowiedzi, próbował wyobrazić sobie, co uczyniłby w takiej sytuacji Katon. „I oczywiście zdałem sobie sprawę, że utrzymywałyby, iż skoro władza Cezara była nielegalna, to wszystkie jego prawa były nielegalne i powinniśmy rozpisać nowe wybory. Ale potem spojrzałem w stronę drzwi, zobaczyłem żołnierzy i zapytałem sam siebie, jak możemy pozwolić sobie na wybory w tych okolicznościach... Skończyłyby się niewątpliwie krwawą łaźnią”.

Cyncero wstał powoli z miejsca.

– Nie mogę mówić za Brutusa, Kasjusza i Decymusa – oświadczył – ale jeśli o mnie chodzi, ponieważ jest to z korzyścią dla państwa i jeśli spełniony zostanie warunek, że to, co dotyczy jednego, będzie dotyczyło wszystkich... owszem, zgadzam się, by zatwierdzić nominacje dokonane przez dyktatora.

„Nie żałuję tego – powiedział mi później – bo nie mogłem uczynić nic innego”.

* * *

Senat kontynuował obrady przez cały dzień. Antoniusz i Lepidus złożyli wniosek, by senat zatwierdził również nadania, jakie Cezar poczynił dla swoich żołnierzy, a ponieważ na zewnątrz czekały setki weteranów, Cycero raczej nie mógł się temu sprzeciwić. W zamian Antoniusz zaproponował zniesienie raz na zawsze tytułu i funkcji dyktatora: wniosek przeszedł jednogłośnie. Mniej więcej godzinę przed zachodem słońca, po wydaniu różnych edyktów dla namiestników prowincji, senatorowie zawiesili obrady i przeszli przez zadymioną i nędzną Suburę na Forum, gdzie Antoniusz i Lepidus zdali czekającemu tłumowi relację z tego, co zostało uzgodnione. Wieści przyjęto z ulgą i radością i ten widok harmonii między senatem i ludem pozwalał niemal uwierzyć, że uda się przywrócić dawną republikę. Antoniusz zaprosił nawet Cycerona na rostra i starzejący

się mąż stanu znalazł się tam po raz pierwszy, odkąd przemawiał do ludu po swoim powrocie z wygnania. Przez chwilę był zbyt wzruszony, by się odezwać.

– Ludu rzymski – powiedział w końcu, uciszając gestem owację. – Po męczarniach i przemocy nie tylko kilku ostatnich dni, ale kilku ostatnich lat, nie pozwólmy, by zawładnęły nami żale i rozgoryczenie. – W tym momencie promień słońca przebił się przez chmury, złocąc brązowy dach świątyni Jowisza na Kapitolu, gdzie wyraźnie widać było białe togi spiskowców. – Spójrzcie na słońce Wolności – zawołał Cyncero, wykorzystując okazję – które zaświeciło ponownie nad rzymskim Forum! Niech ogrzeje nas... niech ogrzeje całą ludzkość swoimi miłosiernymi, uzdrawiającymi promieniami.

Wkrótce potem Brutus i Kasjusz wysłali do Antoniusza wiadomość, że w obliczu tego, co postanowiono w senacie, gotowi są opuścić swoją fortecę, ale tylko pod warunkiem, że on i Lepidus wyślą na Kapitol zakładników, którzy pozostaną tam na noc jako gwarancja ich bezpieczeństwa. Kiedy Antoniusz wszedł na rostra i przeczytał na głos ich list, rozległy się oklaski.

– Dając dowód mojej dobrej woli, pragnę posłać do nich własnego syna... zaledwie trzyletniego chłopca, którego, bogowie wiedzą, kocham bardziej niż kogokolwiek na świecie. Lepidusie – wyciągnął dłoń do stojącego obok dowódcy jazdy – czy ty uczynisz to samo ze swoim synem?

Lepidus nie miał innego wyboru, jak się zgodzić, w związku z czym dwóch chłopców – z których jeden był małym berbeciem, a drugi nastolatkiem – zabrano z domów i wysłano wraz ze sługami na Kapitol. Kiedy zapadł zmierzch, pojawili się, schodząc bez eskorty po schodach, Brutus i Kasjusz. I znowu tłum głośnym pomrukiem wyraził swoją radość, zwłaszcza kiedy podali sobie dłonie z Antoniuszem i Lepidusem i przyjęli publicznie wystosowane zaproszenie, by na znak pojednania zjedli z nimi razem kolację. Zaproszono również Cynceron, lecz on odmówił i skrajnie wyczerpany po trudach ostatnich dwóch dni, wrócił do domu, żeby się przespać.

* * *

Nazajutrz o świcie senat ponownie zebrał się w świątyni Tellus; a ja ponownie udałem się tam razem z Cynceronem.

Niezwykłe było zobaczyć Brutusa i Kasjusza siedzących w odległości zaledwie kilku kroków od Antoniusza i Lepidusa, a nawet od teścia Cezara, Lucjusza Kalpurniusza Pizona. Przy drzwiach stało znacznie mniej żołnierzy i panował nastrój tolerancji i specyficznego czarnego humoru. Na przykład otwierając obrady, Antoniusz powitał z nazwiska Kasjusza i dodał, że ma nadzieję, iż tym razem nie chowa w rękawie sztyletu, na

co tamten odparł, że nie, ale z pewnością przyniesie ze sobą duży, jeśli Antoniusz kiedykolwiek spróbuje zostać tyranem. Wszyscy się roześmiali.

Załatwiono różne sprawy. Cyncero zaproponował, by podziękować Antoniuszowi za jego godne męża stanu zachowanie, dzięki któremu udało się uniknąć wojny domowej; wniosek przeszedł jednomyślnie. Antoniusz zgłosił wówczas wniosek uzupełniający, aby podziękować Brutusowi i Kasjuszowi za zachowanie pokoju; to także przyjęto bez sprzeciwu. Na koniec Pizo podziękował Antoniuszowi za to, że wysłał straż, która w noc zabójstwa chroniła jego córkę Kalpurnię i cały majątek Cezara.

– Pozostaje nam teraz zdecydować, co zrobić z ciałem Cezara i jego testamentem – podjął. – Co się tyczy ciała, przeniesiono je z Pola Marsowego do pomieszczeń najwyższego kapłana, gdzie zostało namaszczone i czeka na kremację. Co się tyczy testamentu, muszę poinformować izbę, że sześć miesięcy temu, w idy wrześniowe, Cezar spisał w swojej willi pod Lavicum nowy, który zapieczętował i powierzył przełożonej westalek. Nikt nie zna jego treści. W duchu otwartości i zaufania, które teraz zapanowały, wnoszę, aby oba te wydarzenia, pogrzeb i odczytanie testamentu, odbyły się publicznie.

Antoniusz mocno poparł tę propozycję. Jedyńm senatorem, który się jej sprzeciwił, był Kasjusz.

– Wydaje mi się to niebezpiecznym posunięciem – powiedział. – Pamiętajcie, co zdarzyło się, kiedy ostatnim razem urządzono publiczny pogrzeb zamordowanego przywódcy i stronnicy Klodiusza spalili budynek senatu? Teraz gdy udało nam się ustanowić kruchy pokój, szaleństwem byłoby narażanie go na szwank.

– Z tego, co słyszałem, pogrzeb Klodiusza wymknął się spod kontroli wskutek działań osób, którym mogło na tym zależeć – odparł Antoniusz i przerwał, czekając na wybuch śmiechu; wszyscy wiedzieli, że poślubił Fulwię, wdowę po Klodiuszu. – Jako konsul będę przewodniczył pogrzebowi Cezara i mogę was zapewnić, że nic nie zakłóci porządku.

Kasjusz dał gniewnym gestem do zrozumienia, że nadal jest przeciwko. Przez chwilę wydawało się, że nie dojdzie między nimi do porozumienia. I wtedy zabrał głos Brutus.

– Weterani Cezara, którzy przebywają w mieście, nie pojmą, dlaczego ich wodzowi odmawia się publicznego pochówku. Poza tym co sobie pomyślą Galowie, którzy zastanawiają się już podobno, czy nie wzniecić rebelii, jeśli wrzucimy ciało ich pogromcy do Tybru? Podzielał niepokój Kasjusza, ale prawdę mówiąc, nie mamy innego wyjścia. Dlatego w imię pojednania i zgody popieram tę propozycję.

Cycero nie zabrał głosu i wniosek przeszedł.

* * *

Odczytanie testamentu Cezara odbyło się następnego dnia w domu Antoniusza. Cycero dobrze znał to miejsce. Było główną rezydencją Pompejusza, zanim przeniósł się on do swego pałacu przy Polu Marsowym. Antoniusz, któremu powierzono spieniężenie dóbr skonfiskowanych przeciwnikom Cezara, sprzedał posiadłość za psie pieniądze samemu sobie. Niewiele się tam zmieniło. W zewnętrznych murach wciąż tkwiły słynne tarany z pirackich tryrem – trofea wspaniałych morskich zwycięstw Pompejusza. Wymyślne dekoracje wewnątrz willi były prawie nietknięte.

Wracając tam, Cycero czuł się nieswojo – tym bardziej gdy zobaczył skrzywioną w gniewnym grymasie twarz nowej pani domu, Fulwii. Nienawidziła go, kiedy była żoną Klodiusza, i nie zmieniło się to, gdy została żoną Antoniusza – i wcale nie próbowała tego ukryć. Ujrzawszy Cyclerona, odwróciła się ostentacyjnie i zaczęła rozmawiać z kimś innym.

– Cóż za bezwstydna para cmentarnych hien – szepnął do mnie Cycero – i jakie to typowe dla tej harpii, że się tu wprosiła. Właściwie czemu ma służyć jej obecność? Nie ma tu nawet wdowy. Co za interes ma Fulwia w wysłuchiwanie ostatniej woli Cezara?

Ale taka była Fulwia. Bardziej niż jakakolwiek inna kobieta w Rzymie – bardziej nawet niż dawna kochanka

Cezara, Serwilia, która miała przynajmniej dość taktu, by pociągać za sznurki zza kulis – Fulwia uwielbiała wtrącać się do polityki. I patrząc, jak podchodzi do kolejnych gości i kieruje ich w stronę sali, w której miał być odczytany testament, poczułem nagły niepokój: może to ona stała za zręczną polityką pojednania, jaką prezentował Antoniusz? To postawiłoby całą rzecz w zupełnie innym świetle.

Pizo stanął na niskim stole, by wszyscy go widzieli, i mając po jednej stronie Antoniusza, po drugiej przełożoną westalek, a przed sobą wszystkich najwybitniejszych obywateli republiki, pokazał najpierw woskową pieczęć, żeby każdy przekonał się, iż jest nienaruszona, a następnie złamał ją i zaczął czytać testament.

Prześląknięta prawniczym żargonem treść wydawała się początkowo całkowicie niewinna. Cezar zapisywał wszystkie swoje majątki synowi, jeśli narodziłby mu się jakiś po sporządzeniu dokumentu. Gdyby tak się nie stało, majątek mieli przejąć trzej męscy potomkowie jego zmarłej siostry, to znaczy Lucjusz Pinariusz, Kwintus Pediusz oraz Gajusz Oktawiusz, przy czym dwóm pierwszym miało przypaść po jednej ósmej, a Oktawiusz, którego niniejszym adoptował jako syna i który miał się odtąd nazywać Gajusz Juliusz Cezar Oktawian, dostawał trzy czwarte całości.

Pizo przestał czytać i zmarszczył brwi, jakby nie do końca zdawał sobie sprawę, co przed chwilą ogłosił. Adoptowany syn? Cyncero zerknął na mnie, mrużąc oczy i próbując sobie przypomnieć, o kim mowa. „Oktawiusz?”, szepnął do mnie bezgłośnie. Tymczasem Antoniusz wyglądał, jakby ktoś wymierzył mu policzek. W przeciwieństwie do Cyncerona dobrze wiedział, kim jest Oktawiusz – był to osiemnastoletni syn siostrzenicy Cezara, Acji – i ten zapis musiał być dla niego gorzkim rozczarowaniem i kompletnym zaskoczeniem; z pewnością spodziewał się, że zostanie głównym spadkobiercą dyktatora. Zamiast tego wspomniano o nim wyłącznie jako o spadkobiercy drugiego stopnia – to znaczy takim, który odziedziczy coś, tylko jeżeli pierwsi spadkobiercy umrą albo odrzucą spadek – i dzielił ten zaszczyt razem z Decymusem, jednym z zabójców! Dodatkowo Cezar obdarował każdego z obywateli Rzymu sumą trzystu sestercji i zarządził, by jego posiadłość nad Tybrem stała się publicznym parkiem.

Zebrani podzielili się na skonsternowane grupki i później, wracając do domu, Cyncero nie krył złych przeczuć. „Ten testament to istna puszka Pandory... pośmiertny zatruty dar dla świata, który sprowadzi nań wszelkiego rodzaju zło”. I raczej nie miał na myśli nieznanego Oktawiusza, przemianowanego teraz na Oktawiana, którego znaczenie wydawało się krótkotrwałe – nie przebywał nawet w kraju, tylko był w Ilirii; jego

niepokój wzbudziła wzmianka o Decymusie i podarunkach dla ludu.

Przez resztę tego dnia i cały następny na Forum trwały przygotowania do pogrzebu Cezara. Cyncero obserwował je ze swojego tarasu. Na rostrach wzniesiono złoty postument, przypominający świątynię Wenus Zwycięskiej, na którym miało spocząć ciało. Ustawiono bariery, by utrzymać w ryzach tłum. Trwały próby aktorów i muzyków. Na ulicach pojawiły się kolejne setki uzbrojonych weteranów Cezara; niektórzy przebyli nawet sto mil, by uczestniczyć w pogrzebie. Attyk odwiedził Cyncerona, wyrzucając mu, że pozwolił na urządzenie takiego widowiska.

– Ty, Brutus i inni straciliście chyba wszyscy rozum.

– Łatwo ci tak mówić – odparł Cyncero – ale jak można było temu zapobiec? Nie kontrolujemy ani miasta, ani senatu. Kluczowe błędy zostały popełnione jeszcze przed zamachem, a nie po nim... małe dziecko potrafiłoby przewidzieć, jakie będą konsekwencje usunięcia Cezara i poprzestania tylko na tym. A teraz musimy na dodatek borykać się z testamentem dyktatora.

Brutus i Kasjusz wysłali wiadomość, że cały dzień pogrzebu zamierzają spędzić w domach. Wynajęli strażę i radzili Cynceronowi, żeby zrobił to samo. Decymus zabarykadował się ze swoimi gladiatorami w domu i zamienił go w fortecę. Cyncero nie przedsięwziął takich środków ostrożności, na wszelki wypadek jednak

postanowił nie pokazywać się publicznie. Zasugerował, żebym to ja wziął udział w pogrzebie i zdał mu później relację.

Nie miałem nic przeciwko temu. Wiedziałem, że nikt mnie nie rozpozna. Poza tym chciałem to zobaczyć. W skrytości ducha darzyłem pewnym szacunkiem Cezara, który przez wszystkie te lata zawsze traktował mnie uprzejmie. W związku z tym jeszcze przed świtem wyszedłem na Forum (od zabójstwa minęło pięć dni – w nawale wydarzeń trudno było zachować poczucie czasu). Centrum miasta wypełniał wielotysięczny tłum, składający się w mniejszym stopniu ze spokojnych obywateli, a w większym z byłych żołnierzy, miejskiej biedoty, wielu niewolników i dużej grupy Żydów, którzy szanowali Cezara za to, że pozwolił im odbudować mury Jerozolimy. Udało mi się przecisnąć przez ciżbę aż do rogu Via Sacra, którą miał przejść kondukt, i kilka godzin po brzasku zobaczyłem w oddali, jak pochód opuszcza oficjalną rezydencję najwyższego kapłana.

Przeszli tuż przede mną i zadziwiło mnie, jak dokładnie wszystko zostało zaplanowane: Antoniusz i, jestem tego pewien, Fulwia nie zapomnieli o niczym, co mogłoby rozpaścić dodatkowe emocje. Pierwsi szli muzycy, grając ściskające za serce, melancholijne nuty; potem przebrani za duchy z Zaświatów tancerze, którzy podbiegali z krzykiem do widzów, wykrzywiając twarze w grymasach smutku i przerażenia; za nimi domowi

niewolnicy i wyzwoleńcy niosący popiersia Cezara; następnie nie jeden, lecz aż pięciu aktorów ukazujących kolejne triumfy dyktatora, z nałożonymi na twarze woskowymi maskami, które były tak niesamowicie wierne, że można by pomyśleć, iż Cezar pięciokrotnie powstał z martwych w całej swej chwale; dalej niesiono w otwartej lektyce naturalnej wielkości model ciała, nagiego z wyjątkiem opaski na biodrach, z każdą z zadanych mu ran, w tym także tą na twarzy, przedstawioną jako ciemnoczerwone szramy na białej woskowej skórze – na ten widok widzowie wzdychali i krzyczeli głośno, a niektóre kobiety mdlały; następnie samo ciało, osłonięte purpurową i złotą materią, spoczywające na ławie z kości słoniowej, niesionej na ramionach przez senatorów i żołnierzy; za nimi, w asyście krewnych, szły wdowa po Cezarze, Kalpurnia, i jego siostrzenica Acja, podtrzymujące się wzajemnie i okryte czarnymi welonami; i na samym końcu Antoniusz, Pizo, Dolabella, Hircjusz, Pansa, Balbus, Oppiusz i wszyscy czołowi zwolennicy Cezara.

Po przejściu konduktu nastąpiła dziwna przerwa, kiedy wnoszono ciało po stopniach na rostra. Ani wcześniej, ani później nigdy nie słyszałem, by w środku dnia tak głęboka cisza zapadła w centrum Rzymu. W trakcie tej złowrogiej pauzy główni żałobnicy wspięli się na podwyższenie i kiedy w końcu pojawiło się ciało, weterani Cezara zaczęli walić mieczami w tarcze, tak jak

to musieli robić na polu bitwy – straszliwy, agresywny, przerażający łomot. Ciało zostało ostrożnie złożone na złotym postumencie, a Antoniusz, który miał wygłosić mowę pogrzebową, dał krok do przodu i podniósł ręce, prosząc o ciszę.

– Nie przybyliśmy tu pożegnać tyrana! – oznajmił, a jego potężny głos odbił się echem od świątyń i posągów.
– Przybyliśmy tu pożegnać wielkiego człowieka zamordowanego podle, w poświęconym miejscu, przez tych, których ułaskawił i wyniósł na stanowiska!

Wcześniej zapewnił senat, że będzie przemawiał z umiarkowaniem. Złamał tę obietnicę w pierwszych słowach i przez następną godzinę urabiał widzów, i tak już poruszonych tym, co zobaczyli podczas procesji, doprowadzając ich do rozpacz i furii. Rozpościerał szeroko ramiona. Padał niemal na kolana. Bił się w pierś. Wyciągał ręce do nieba. Wyliczał dokonania Cezara. Opowiedział im o jego testamencie – o podarunku dla każdego obywatela, o publicznym parku, o gorzkiej ironii, jaką było uhonorowanie przez niego Decymusa.

– A przecież ten sam Decymus, którego traktował niczym syna... a także Brutus, Kasjusz, Cynna i inni... ci ludzie złożyli przysięgę... złożyli święte przyrzeczenie, że będą wiernie służyć Cesarowi i go bronić! Senat objął ich amnestią, ale na Jowisza, jakąż zemstę chciałbym im wymierzyć, gdyby nie powstrzymywała mnie rozwaga!

Mówiąc w skrócie, zastosował wszelkie oratorskie sztuczki, przed których użyciem wzbraniał się surowy Brutus. A potem zadał ostatni mistrzowski cios – choć może jego autorką była Fulwia? Wezwał na podium jednego z aktorów z realistyczną maską Cezara na twarzy, który chropawym głosem wygłosił słynną kwestię z tragedii Pakuwiusza *Próba broni*:

*Czyżbym, nieszczęsny, miał oszczędzić
Nędzników, co wtręcili mnie do grobu!*

Aktor wspaniale wcielił się w rolę. To było niczym głos z zaświatów. Następnie, przy akompaniamencie okrzyków grozy, wspomagany jakimś mechanicznym urządzeniem, manekin Cezara został podniesiony i zatoczył pełen krąg, by ludzie mogli obejrzeć jego wszystkie rany.

Od tego momentu wydarzenia potoczyły się w podobny sposób jak podczas pogrzebu Klodiusza. Ciało Cezara miało zostać spalone na stosie wzniesionym już wcześniej na Polu Marsowym. Ale kiedy znośono je z rostrów, gniewne głosy zaczęły się domagać, by spalono je w izbie senatu Pompejusza, gdzie popełniono tę zbrodnię, albo na Kapitolu, gdzie schronili się spiskowcy. Potem tłum, wiedziony jakimś zbiorowym impulsem, zmienił zdanie i postanowił, że powinno się je spalić na miejscu. Antoniusz nie robił nic, by temu zapobiec, i patrzył spokojnie, jak po raz kolejny splądrowano

księgarnie Argiletum, a sądowe ławy zostały zaciągnięte na środek Forum i użyte do wzniesienia całopalnego stosu. Mary Cezara ustawiono na szczycie i podpalono. Aktorzy, tancerze i muzycy zdarli z siebie stroje i maski i cisnęli je w ogień. Tłum poszedł za ich przykładem. Ogarnięci histerią ludzie ściągali z siebie ubrania i rzucali je w płomień razem ze wszystkim, co dało się spalić. Kiedy tłum zaczął krążyć ulicami w poszukiwaniu domów zabójców, straciłem w końcu zimną krew i wróciłem na Palatyn. Po drodze minąłem biednego Helwiusza Cynnę, trybuna i poetę, którego tłuszcza wzięła omyłkowo za jego imiennika, pretora Korneliusza Cynnę, wymienionego przez Antoniusza w mowie pogrzebowej. Wleczono go krzyczącego, z pętlą zawiązaną na szyi, a później paradowano po Forum z jego głową zatknietą na pice.

Gdy dowlokłem się do domu i opowiedziałem Cyceronowi, co się wydarzyło, skrył twarz w dłoniach. Przez całą noc słychać było odgłosy dewastacji, a niebo rozświetlały łuny palonych domów. Nazajutrz Antoniusz wysłał do Decymusa list, w którym ostrzegał, że życie zamachowców nie może już być dłużej chronione, i nakłaniał ich, by opuścili Rzym. Cycero radził, by zrobili to, co proponował Antoniusz: żywi byli bardziej użyteczni dla sprawy niż martwi. Decymus wyprawił się do Galii Przedalpejskiej, by spróbować objąć rządę w przydzielonej mu prowincji. Treboniusz w tym samym

celu udał się okreśną drogą do Azji. Brutus i Kasjusz
schronili się na wybrzeżu Ancjum. Cycero podążył na
południe.

XV



Ma dość polityki, oświadczył. Ma dość Italii. Pojedzie do Grecji. Zamieszka ze swoim synem w Atenach. Będzie pisał dzieła filozoficzne.

Zabraliśmy z jego bibliotek w Rzymie i Tusculum większość książek, których potrzebował, i wyruszyliśmy z dużą świtą, w której skład wchodził dwaj sekretarze, kucharz, doktor i sześciu ludzi z obstawy. Od czasu zamachu pogoda była chłodna i deszczowa, co potraktowano oczywiście jako kolejny znak, że bogowie potępiają zabójstwo Cezara. Z tych dni spędzonych w podróży najlepiej pamiętam Cyncerona, który pisał w powozie, z kocem na kolanach, i deszcz bębniący nieustannie w cienki drewniany dach. Zatrzymaliśmy się na jedną noc u ekwity Macjusza Kalweny, który rozpaczał nad przyszłością narodu: „Skoro ktoś tak genialny jak

Cezar nie zdołał znaleźć rozwiązania, komu może się to udać?”. Jednak w przeciwieństwie do tego, co widzieliśmy w Rzymie, poza Kalweną nie znaleźliśmy nikogo, kto nie cieszyłby się z upadku dyktatora. „Niestety – zauważył Cyncero – żaden z tych ludzi nie ma pod swoimi rozkazami legionu”.

Szukał zapomnienia w pracy i kiedy w idy kwietniowe dotarliśmy do Puteoli, ukończył już jedną całą księgę, *O wrózeniu*, połowę następnej, *O przeznaczeniu*, zaczął trzecią, *O sławie* – trzy przykłady jego geniuszu, które będą żyły dopóty, dopóki ludzie nie utracą zdolności czytania. I kiedy tylko wysiadł z powozu i rozprostował nogi, spacerując po wybrzeżu, zaczął szkicować konspekt czwartej księgi, *O przyjaźni* (z wyjątkiem *mądrości uważam ją za największy z wszystkich darów, jakie bogowie ofiarowali ludziom*), którą miał zamiar zadedykować Attykowi. Realny świat mógł stać się dla niego wrogim i niebezpiecznym miejscem, lecz w jego myślach panowały wolność i spokój.

Antoniusz zawiesił obrady senatu do pierwszego czerwca i w wielkich willach nad Zatoką Neapolitańską zaczęli się stopniowo pojawiać czołowi obywatele Rzymu. Nowo przybyli, w rodzaju Hircjusza i Pansy, byli przeważnie nadal wstrząśnięci śmiercią Cezara. Ci dwaj mieli pod koniec roku zostać konsulami i w ramach przygotowań do objęcia tej funkcji prosili Cyncerona, by dał im kolejne lekcje sztuki oratorskiej. Nie miał na to

wielkiej ochoty – odciągało go to od pisania, a ich biadolenie na temat Cezara zaczynało go irytować – ostatecznie jednak zabrakło mu stanowczości, by odmówić. Zabierał ich na plażę i podobnie jak czynił to Demostenes, kazał przemawiać z ustami pełnymi kamyków do łamiących się fal, dzięki czemu mieli nauczyć się prawidłowej wymowy i emisji głosu. Przy kolacji zasypywali go opowieściami o arogancji Antoniusza: o tym, jak w noc po zamachu skłonił Kalpurnię, by pozwoliła mu przejąć prywatne papiery, a także majątek nieżyjącego męża, i jak teraz twierdził, że są wśród nich różne edykty mające moc prawa, podczas gdy tak naprawdę fałszował je w zamian za kolosalne łapówki.

– Więc położył ręce na całych pieniądzach? – zapytał Cyncero. – Ale wydawało mi się, że trzy czwarte majątku Cezara miało przypaść temu chłopcu, Oktawianowi?

Hircjusz przewrócił oczyma.

– Oby w ogóle coś z tego uszczknął! – powiedział.

– Będzie musiał się najpierw zgłosić po ten majątek, a nie daję mu na to większych szans – dodał Pansa.

Dwa dni po tej rozmowie, gdy schroniwszy się przed deszczem w portyku, czytałem traktat starszego Katona o rolnictwie, podszedł do mnie zarządca i oznajmił, że Lucjusz Korneliusz Balbus chce się widzieć z Cynceronem.

– W takim razie powiedz panu, że ma gościa.

– Ale nie jestem pewien, czy powinienem. Dał wyraźne polecenie, żeby mu nie przeszkadzać, bez względu na to, kto go odwiedzi.

Westchnąłem i odłożyłem książkę. Balbus, Hiszpan zajmujący się interesami Cezara w Rzymie, był jedynym człowiekiem, którego należało przyjąć. Cyncero dobrze go znał i raz nawet bronił w sądzie, gdy próbowano go pozbawić obywatelstwa. Miał teraz pięćdziesiąt kilka lat i był właścicielem dużej willi w sąsiedztwie. Czekał w tablinum, razem z odzianym w togę młodzieńcem, którego w pierwszej chwili wziąłem za jego syna albo wnuka, lecz przyjrząwszy mu się bliżej, stwierdziłem, że to niemożliwie, bo Balbus był śniady, a ten chłopak miał wilgotne blond włosy, fatalnie przycięte „pod garnek”; poza tym był raczej niski i szczupły, z ładnymi rysami twarzy, ale ziemistą i pryszczatą cerą.

– Ach, Tironie! – zawołał Balbus. – Czy możesz łaskawie odciągnąć Cyncerona od jego książek? Powiedz mu, że przyprowadziłem adoptowanego syna Cezara... Gajusza Juliusza Cezara Oktawiana... to powinno wystarczyć.

Młody człowiek niepewnie się do mnie uśmiechnął, pokazując nierówne, rzadkie zęby.

Naturalnie Cyncero, wiedziony ciekawością, od razu się pojawił, pragnąc koniecznie zobaczyć tę egzotyczną istotę, która, mogło się zdawać, spadła prosto z nieba

w sam środek burzliwej rzymskiej polityki. Balbus przedstawił mu młodzieńca.

– To jeden z największych zaszczytów w moim życiu, że mogę cię poznać – powiedział, kłaniając się, Oktawian.

– Czytałem wszystkie twoje mowy i dzieła filozoficzne. Od lat marzyłem o tej chwili. – Miał przyjemny głos: cichy i świadczący o starannym wykształceniu.

Cyceron wyraźnie połechtał ten komplement.

– Miło mi to słyszeć. Zanim przejdziemy dalej, powiedz, jak mam cię nazywać.

– Publicznie wolałbym, by nazywano mnie Cezarem. Dla przyjaciół i rodziny jestem Oktawianem.

– Cóż, ponieważ w moim wieku trudno byłoby mi przywyknąć do kolejnego Cezara, może wolno mi będzie również zwać cię Oktawianem.

Młody człowiek znowu się uklonił.

– Będę zaszczycony.

I tak zaczęły się dwa dni nieoczekiwanie przyjaznych rozmów. Okazało się, że Oktawian mieszka obok, razem ze swoją matką Acją i ojczymem Filippusem, i całkiem swobodnie przemieszczał się między dwoma domami. Często pojawiał się sam, mimo że zabrał ze sobą z Ilirii switę przyjaciół i żołnierzy, a kolejni dołączyli do niego w Neapolu. On i Cycero rozmawiali w willi albo przechadzali się wzdłuż wybrzeża w przerwach między deszczami. Kiedy ich obserwowałem, przypominało mi się zdanie z traktatu Cycerona o starości: *Tak jak cenię*

młodego człowieka, u którego można dostrzec oznaki dojrzałości, tak samo mam uznanie dla starca, który zachował w sobie powab młodości... Co ciekawe, z nich dwóch to czasami Oktawian mógł się wydawać starszy: poważny, grzeczny, pełen szacunku i przenikliwy, a Cyncero był tym, który dowcipkował i puszczał kaczki na wodzie. Powiedział mi, że z Oktawianem nie prowadzi się luźnej pogawędki. Interesowały go wyłącznie rady polityczne. Fakt, że Cyncero jest publicznie związany z zabójcami człowieka, który adoptował Oktawiana, nie robił na nim większego wrażenia. Jak szybko powinien wyprawić się do Rzymu? Jak ma postępować wobec Antoniusza? Co powinien powiedzieć weteranom Cezara, których wielu kręciło się wokół domu? Jak uniknąć wojny domowej?

Cyncero był pełen podziwu. „Widzę teraz doskonale, co zobaczył w nim Cezar: ma w sobie pewien chłód, tak rzadki u kogoś w jego wieku. Jeśli zdoła przetrwać, może kiedyś zostać wielkim mężem stanu”. Co do otaczających go ludzi, miał inne zdanie. Byli wśród nich dawni dowódcy armii Cezara, ludzie o twardych, martwych oczach zawodowych zabójców, oraz kilku młodych towarzyszy, w szczególności dwaj: Marek Wipsaniusz Agrypa, niespełna dwudziestoletni, ale już zahartowany w bojach, mało mówny i dziwnie złowrogi, nawet gdy się nie odzywał; a także Gajusz Cilniusz Mecenas, nieco

starszy, zniewieściały, wiecznie rozchichotany i cyniczny. „Ci ludzie wcale mi się nie podobają”, stwierdził Cyncero.

Tylko raz miałem okazję obserwować przez dłuższy czas Oktawiana. To było w ostatnim dniu jego pobytu, kiedy przyszedł na kolację razem z matką i ojczymem, a także Agrypą i Mecenasem. Cyncero zaprosił Hircjusza i Pansę; ja byłem dziewiąty. Zauważyłem, jak młody człowiek unikał wina, jaki był milczący, jak jego jasnoszare oczy przeskakiwały od jednego do drugiego zabierającego głos gościa i jak uważnie ich słuchał, pragnąc, zdawało się, zapamiętać każde wypowiedziane przez nich słowo. Acja, która wyglądała niczym kobieta pozująca do posągu idealnej rzymskiej matrony, była zdecydowanie zbyt dobrze wychowana, by wypowiadać się publicznie na tematy polityczne. Za to Filippus, który z pewnością nie unikał wina, stawał się coraz bardziej elokwentny.

– Jeśli ktoś chce znać moje zdanie – oznajmił pod koniec wieczoru – uważam, że Oktawian powinien upomnieć się o swój spadek.

– Czy ktoś chce poznać jego zdanie? – szepnął do mnie Mecenas i zakrył usta serwetą, by stłumić śmiech.

– A co skłania cię do tej opinii, ojcze? – zapytał łagodnie Oktawian.

– Jeśli mam być szczery, mój chłopcze, możesz oczywiście nazywać się Cezarem, ile dusza zapragnie, ale to wcale nie uczyni cię Cezarem i im bliżej się znajdziesz

Rzymu, tym większe będzie ci groziło niebezpieczeństwo. Naprawdę uważasz, że Antoniusz odda ci te wszystkie miliony? I dlaczego weterani Cezara mieliby pójść razem z tobą, a nie z Antoniuszem, który dowodził całym skrzydłem pod Farsalos? Imię Cezara jest tylko tarczą strzelniczą na twoich plecach. Zabiją cię, nim pokonasz pięćdziesiąt mil.

Hircjusz i Pansa pokiwali głowami.

– Możemy go całkiem bezpiecznie dowieźć do Rzymu – powiedział cicho Agrypa.

– A co ty o tym sądzisz? – zwrócił się Oktawian do Cyncerona.

Cyncero wytarł starannie usta serwetą, zanim odpowiedział.

– Zaledwie przed czterema miesiącami twój przybrany ojciec jadł kolację dokładnie tu, gdzie ty siedzisz teraz, i zapewniał mnie, że nie boi się śmierci. Prawda jest taka, że nasze życie wisi na włosku. Nigdzie nie jesteśmy bezpieczni i nikt nie potrafi przewidzieć, co się stanie. Kiedy byłem w twoim wieku, marzyłem tylko o sławie. Co ja bym wtedy dał, żeby znaleźć się na twoim miejscu!

– Więc pojechałbyś do Rzymu?

– Pojechałbym.

– I co byś zrobił?

– Stanąłbym do wyborów.

– Ale on ma dopiero osiemnaście lat – powiedział Filippus. – Nie może nawet głosować.

– Tak się składa, że jest wolne stanowisko trybuna – odparł Cyncero. – Cynna zginął zamordowany przez motłoch podczas pogrzebu Cezara... pomylili go z kimś innym, nieszczęśnika. Powinieneś zgłosić się na jego miejsce.

– Ale przecież Antoniusz z pewnością na to nie pozwoli – zauważył Oktawian.

– To nie ma znaczenia – stwierdził Cyncero. – Taki krok pokaże, że jesteś zdecydowany kontynuować politykę Cezara i bronić interesów plebsu; ludziom się to spodoba. A kiedy Antoniusz wystąpi przeciwko tobie... co musi zrobić... uznają, że występuje przeciwko nim.

Oktawian pokiwał powoli głową.

– To nie jest zły pomysł. Może mógłbyś ze mną pojechać?

Cyncero się roześmiał.

– Nie, wyjeżdżam do Grecji studiować filozofię.

– Wielka szkoda.

Po kolacji, kiedy goście szykowali się do wyjścia, usłyszałem, jak Oktawian mówi do Cyncerona:

– Mówiłem poważnie. Ceniłbym sobie twoje rady.

Cyncero pokręcił głową.

– Obawiam się, że moje sympatie polityczne leżą gdzie indziej, po stronie ludzi, którzy obalili twojego przybranego ojca. Ale gdyby wyłoniła się możliwość pojednania między wami... w takich okolicznościach,

w interesie państwa, zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

– Nie jestem przeciwko pojednaniu. Pragnę mojego spadku, nie odwetu.

– Czy mogę im to powtórzyć?

– Oczywiście. Dlatego to powiedziałem. Żegnaj. Napiszę do ciebie.

Uścisnęli sobie dłonie i Oktawian wyszedł na drogę. Był wiosenny wieczór, jeszcze nie zapadł zmierzch i przestało padać, ale w powietrzu czuć było wilgoć. Ku mojemu zaskoczeniu w sinym półmroku po drugiej stronie ulicy stało w milczeniu ponad stu żołnierzy. Na widok Oktawiana wszczęli taki sam zgiełk jak podczas pogrzebu Cezara, waląc mieczami w tarcze, by wyrazić swój szacunek; okazało się, że to weterani dyktatora z okresu wojen galijskich, którzy osiedlili się nieopodal w Kampanii. Oktawian poszedł razem z Agrypą, żeby z nimi porozmawiać. Cyncero przyglądał im się przez chwilę, a potem cofnął się do środka, żeby go nie zobaczyli.

– Dlaczego nakłaniasz go, żeby jechał do Rzymu? – zapytałem, zamknąwszy drzwi. – Chyba ostatnią rzeczą, jakiej byś chciał, jest stworzenie nowego Cezara?

– Jeśli pojedzie do Rzymu, przysporzy problemów Antoniuszowi. Podzieli ich frakcję.

– A jeśli jego zamysł się uda?

– Nie uda się. Filippus ma rację. To miły chłopak i mam nadzieję, że przeżyje, ale żaden z niego Cezar... wystarczy spojrzeć.

Niemniej był tak zaintrygowany tym, co stanie się z Oktawianem, że odłożył swój wyjazd do Aten i zastanawiał się, czy nie wziąć udziału w sesji senatu, którą Antoniusz zwołał na pierwszego czerwca. Jednak kiedy pod koniec maja przybyliśmy do Tusculum, wszyscy mu to odradzali. Warron napisał do niego, ostrzegając, że byłoby to samobójstwo. Hircjusz podzielał jego zdanie.

– Nawet ja tam nie idę – powiedział – a nikt nigdy nie oskarżał mnie o nielojalność wobec Cezara. Ale na ulicach jest zbyt wielu starych żołnierzy, którzy czekają tylko na pretekst, żeby wyciągnąć broń. Pamiętaj, co przytrafiło się Cynnie.

Tymczasem Oktawian przybył bez szwanku do miasta i przysłał Cynceronowi list:

Gajusz Juliusz Cezar Oktawian do Marka Tulliusza Cyncerona, pozdrowienia.

Chciałem, żebyś wiedział, że wczoraj Antoniusz w końcu zgodził się ze mną spotkać w swoim domu: tym, który kiedyś należał do Pompejusza. Kazał mi czekać ponad godzinę – głupia taktyka, która, jak uważam, świadczy bardziej o jego słabości niż mojej. Na początku podziękowałem mu, że zaopiekował się w moim imieniu majątkiem mego przybranego ojca, i poprosiłem, by na pamiątkę zabrał sobie z niego jakie tylko chce błyskotki, ale resztę natychmiast mi przekazał. Powiedziałem mu, że potrzebuję pieniędzy, by zgodnie z testamentem mego ojca ofiarować każdemu z trzystu tysięcy obywateli wyznaczoną sumę w gotówce. Poprosiłem, by moje inne wydatki zostały pokryte

z pożyczki zaciągniętej w skarbie państwa. Poinformowałem go również, iż mam zamiar ubiegać się o wakujące stanowisko trybuna, i poprosiłem, by pokazał mi różne edykty, które, jak głosi, odnalazł w papierach mojego ojca.

Odparł z wielkim oburzeniem, że Cezar nie był królem i nie przekazał mi w spadku władzy w państwie, a zatem on nie musi mnie informować o jego publicznych aktach; że jeśli chodzi o pieniądze, majątek mojego ojca nie był wcale tak duży i pozostawił on finanse publiczne w ruinie, więc stamtąd też nic się nie uzyska; co się zaś tyczy stanowiska trybuna, moja kandydatura byłaby nielegalna i jest wykluczona.

Uważa, że ponieważ jestem młody, może mnie zastraszyć. Myli się. Rozstaliśmy się w złych stosunkach. Jednak przez lud i przez żołnierzy mojego ojca zostałem przyjęty równie gorąco jak przez Antoniusza chłodno.

Cycero cieszył się z wrogości, jaka zapanowała między Antoniuszem a Oktawianem, i pokazał list kilku osobom. „Widzicie, jak ten szczeniak ciągnie za ogon starego lwa?”, powtarzał. Poprosił, żebym pierwszego czerwca udał się w jego imieniu do Rzymu i potem opowiedział mu, co zdarzyło się na posiedzeniu senatu.

Zgodnie z ostrzeżeniami wszystkich, zastałem w Rzymie masę żołnierzy, przeważnie weteranów Cezara, których Antoniusz wezwał do miasta, żeby służyli mu w charakterze prywatnej armii. Wystawali głodni i ponurzy na rogach ulic, pomiatając każdym, kto robił wrażenie bogatego. W rezultacie w posiedzeniu wzięło udział niewielu senatorów i nie znalazł się nikt odważny, kto sprzeciwiłby się najbardziej bezczelnej propozycji Antoniusza: że Decymusa należy pozbawić

namiestnictwa Galii Przedalpejskiej i że to on, Antoniusz, powinien na następne pięć lat przejąć obie galijskie prowincje wraz z dowództwem stacjonujących tam legionów – koncentrując w swoich rękach dokładnie taką samą władzę, jaka doprowadziła Cezara do dyktatury. Jakby tego nie było dosyć, ogłosił też, że wezwał do kraju trzy stacjonujące w Macedonii legiony, których Cezar zamierzał użyć w kampanii partyjskiej, i także objął nad nimi dowództwo. Wbrew oczekiwaniom Dolabella nie sprzeciwił się temu, ponieważ miał otrzymać Syrię, również na pięć lat; Lepidus został przekupiony sprawowanym wcześniej przez Cezara stanowiskiem najwyższego kapłana. Na koniec, ponieważ te ustalenia pozbawiały Brutusa i Kasjusza przyznanych im prowincji, Antoniusz zaproponował im w zamian pochodzące jeszcze z czasów Pompejusza stanowiska komisarzy zbożowych – jedno w Azji, drugie na Sycylii. Było to skrajnie upokarzające, bo nie wiązała się z nimi żadna władza. Tak wyglądało jego pojednanie.

Wszystkie te decyzje zostały zaaprobowane przez pusty w połowie senat i następnego dnia Antoniusz przedstawił je na Forum, do zatwierdzenia przez lud. Pogoda była nadal pod psem. W trakcie obrad rozpętała się burza – co stanowiło tak fatalny omen, że zgromadzenie należałoby natychmiast rozwiązać. Ale Antoniusz był augurem: oświadczył, że nie widzi błyskawic, i głosowanie trwało dalej. Pod wieczór osiągnął

to, czego chciał. Nie było ani śladu Oktawiana. Gdy skierowałem się w stronę wyjścia, zobaczyłem Fulwię obserwującą wszystko z lektyki. Zupełnie przemokła na deszczu, ale nie zwracała na to uwagi, tak bardzo pochłonął ją triumf męża. Zakonotowałem sobie, by ostrzec Cyncerona, że ta kobieta, którą już wcześniej uważał za utrapienie, stała się teraz o wiele bardziej niebezpiecznym wrogiem.

Nazajutrz rano poszedłem spotkać się z Dolabellą. Przyjął mnie w pokoju dzieciennym i pokazał wnuka Cyncerona, małego Lentulusa, który nauczył się właśnie stawiać pierwsze nieporadne kroki. Od pogrzebu Tulii minęło już ponad piętnaście miesięcy, ale Dolabella nadal nie spłacił jej posagu. Na prośbę Cyncerona poruszyłem ten temat („Pamiętaj, zrób to grzecznie: nie mogę go do siebie zrazić”), lecz on od razu mi przerwał.

– Obawiam się, że to wykluczone. Zamiast tego możesz mu dać to – odparł, rzucając na stół imponujący dokument z czarnymi wstążkami i czerwoną pieczęcią. – To ostatecznie zakończy nasze rozliczenia. Jest warte więcej niż pieniądze. Mianowałem go swoim legatem w Syrii. Nie martw się, możesz mu powiedzieć, że nie będzie musiał niczego robić. Ale to oznacza, że może honorowo opuścić kraj, i daje mu immunitet na następne pięć lat. Powiedz, że radzę mu jak najszybciej wyjechać. Sytuacja pogarsza się z dnia na dzień i nie możemy już gwarantować mu bezpieczeństwa.

Zawiozłem tę wiadomość do Tusculum i przekazałem ją słowo w słowo Cycleronowi, który siedział w ogrodzie przy grobie Tulii. Przystudiował nominację na legata.

– A więc ten mały skrawek papieru kosztował mnie milion sestercji? Czy on naprawdę sądzi, że wymachując tym przed nosem jakiemuś niepiśmiennemu, pijanemu legioniście, powstrzymam go przed wbiciem mi miecza w gardło? – Słyszał już, co działo się w senacie i na Forum, ale chciał, żebym przeczytał mu streszczenia mów. – Więc nie było żadnych sprzeciwów? – zapytał w końcu.

– Żadnych.

– Widziałeś w ogóle Oktawiana?

– Nie.

– Oczywiście, że nie... dlaczego miałbyś go widzieć? Antoniusz ma pieniądze i legiony i jest konsulem. Oktawian ma tylko pożyczone nazwisko. Co do nas, boimy się nawet pokazać w Rzymie. – Zrozpaczony, oparł się o mur. – Powiem ci coś, Tironie, tylko do twojej wiadomości: zaczynam żałować, że w ogóle doszło do id marcowych.

Siódmego czerwca w Ancjum miała się odbyć rodzinna konferencja z udziałem Brutusa i Kasjusza, żeby zdecydować, co robić dalej. Cycero został na nią zaproszony i poprosił mnie, bym mu towarzyszył.

Wyruszyliśmy wcześniej, zjeżdżając ze wzgórz o wschodzie słońca, i przez bagniste tereny podążyliśmy w kierunku wybrzeża. Nad polami unosiła się mgła.

Pamiętam rechotanie żab i krzyki mew. Cyncero prawie się nie odzywał. Tuż przed południem dotarliśmy do willi Brutusa. Był to elegancki stary budynek stojący tuż przy brzegu z wykutymi w skale stopniami, które prowadziły w dół do morza. Brama była pilnowana przez silną straż złożoną z gladiatorów; kolejni patrolowali teren, jeszcze inni chodzili po plaży – oceniam, że musiało tam być ze stu uzbrojonych mężczyzn. Brutus czekał wraz z innymi w loggii wypełnionej greckimi posągami. Wydawał się bardzo spięty: jego nerwowe przytupywanie rzucało się w oczy bardziej niż zwykle. Powiedział nam, że od dwóch miesięcy nie opuścił domu – zdumiewające, zważywszy, że był miejskim pretorem i nie powinien przebywać poza Rzymem dłużej niż dziesięć dni w roku. U szczytu stołu siedziała jego matka Serwilia. Obecne były także jego żona Porcja i siostra Tercja, żona Kasjusza; poza tym Marek Fawoniusz, były pretor, przezywany Małą Katona ze względu na jego przywiązanie do tegoż. Tercja poinformowała nas, że Kasjusz jest już w drodze.

Cyncero zaproponował, żebym wypełnił czas oczekiwania, dokładnie relacjonując niedawne debaty w senacie i zgromadzeniu ludowym. W tym momencie Serwilia, która do tej pory mnie ignorowała, rzuciła mi ostre spojrzenie.

– Ach, więc to jest ten twój słynny szpieg? – powiedziała do Cyncerona.

Była Cezarem w kobiecych szatach – tak najlepiej mogę ją opisać: inteligentna, urodziwa, wyniosła i twarda jak skała. Dyktator nie szczędził jej prezentów, wśród których były posiadłości skonfiskowane wrogom i drogocenne kamienie zdobyte podczas podbojów, ale kiedy jej syn ukartował na niego zamach i poinformował ją o tym, co się wydarzyło, jej oczy pozostały tak samo suche jak klejnoty, które od niego otrzymała. W tym także była podobna do Cezara. Cyncero trochę się jej bał.

Zacinając się i przez cały czas czując na sobie wzrok Serwili, odczytałem swoje notatki.

– Komisarz zbożowy w Azji! – fuknęła w końcu z wielką pogardą. – To po to zginął Cezar? Żeby mój syn mógł zostać handlarzem zboża?

– Mimo to uważam, że powinien przyjąć to stanowisko – powiedział Cyncero. – To lepsze niż nic... z pewnością lepsze niż pozostanie tutaj.

– Zgadzam się z tobą przynajmniej w tym ostatnim punkcie – stwierdził Brutus. – Nie mogę się tu dłużej ukrywać. Z każdym dniem tracę należny mi szacunek. Ale Azja? Nie, tak naprawdę powinienem pojechać do Rzymu i zająć się tym, co o tej porze roku zawsze należy do obowiązków pretora miejskiego: urządzić igrzyska ku czci Apollina i pokazać się ludowi Rzymu. – Na jego wrażliwej twarzy malowało się cierpienie.

– Nie możesz jechać do Rzymu – odparł Cyncero. – To zdecydowanie zbyt niebezpieczne. Posłuchaj, reszta z nas

jest w mniejszym lub większym stopniu do zastąpienia, ale nie ty, Brutusie... z twoim nazwiskiem i otaczającym cię splendorem jesteś wielkim chorążym wolności. Radzę ci, żebyś przyjął stanowisko komisarza, popracował trochę dla dobra publicznego w jakimś bezpiecznym miejscu poza Italią i poczekał, aż sytuacja się zmieni: w polityce zawsze się zmienia.

W tym momencie przybył Kasjusz i Serwilia poprosiła Cyncerona, by powtórzył to, co przed chwilą powiedział. Ale podczas gdy Brutus znosił przeciwności losu ze szlachetną rezygnacją, Kasjusza doprowadzały one do szału i zaczął walić pięścią w stół.

– Nie po to przeżyłem masakrę pod Carrhae i ocalałem Syrię przed Partami, żeby teraz magazynować zboże na Sycylii! To zniewaga!

– Co w takim razie zrobisz? – zapytał Cyncero.

– Opuszczę Italię. Wyjadę za granicę. Do Grecji.

– W Grecji zapanuje wkrótce duży tłok – zauważył Cyncero – a Sycylia jest po pierwsze, bezpieczna, po drugie, będziesz tam spełniał obywatelski obowiązek, jak dobremu konstytucjonaliście przystało, a po trzecie, pozostaniesz bliżej Italii, by wykorzystać sprzyjające okoliczności, gdyby takie się pojawiły. Musisz być naszym głównym dowódcą wojskowym.

– O jakich sprzyjających okolicznościach mówisz?

– Mówię na przykład o Oktawianie, który może przysporzyć Antoniuszowi wszelkiego rodzaju kłopotów.

– Oktawian? Chyba żartujesz! Oktawian prędzej rzuci się nam do gardeł, niż pójdzie na udry z Antoniuszem.

– W żadnym wypadku. Widziałem się z tym młodzieńcem, kiedy byłem nad Zatoką Neapolitańską, i nie jest do was tak źle nastawiony, jak moglibyście się spodziewać. „Pragnę mojego spadku, nie odwetu”, powiedział. Jego prawdziwym wrogiem jest Antoniusz.

– W takim razie Antoniusz go zmiażdży.

– Ale najpierw będzie musiał zmiażdżyć Decymusa i wtedy właśnie zacznie się wojna: kiedy Antoniusz spróbuje mu odebrać Galię Przedalpejską.

– Decymus zawiódł nas bardziej niż ktokolwiek inny – stwierdził z goryczą Kasjusz. – Pomyśl tylko, czego moglibyśmy dokonać z jego dwoma legionami, gdyby sprowadził je w marcu na południe. Ale teraz jest już za późno. Macedońskie legiony Antoniusza dwukrotnie przewyższają je liczebnie.

Wzmianka o Decymusie jakby przerwała tamę. Każdy z siedzących przy stole miał mu coś do zarzucenia, szczególnie Flawoniusz, który uważał, że Decymus powinien ich uprzedzić, że jest wymieniony w testamencie Cezara. „To bardziej niż cokolwiek innego zwróciło przeciwko nam nastroje ludu”.

Cycero przysłuchiwał się temu z rosnącym niepokojem. W końcu wtrącił się do rozmowy, oznajmiając, że nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, i nie mógł się powstrzymać, by nie dodać:

– Poza tym jeśli mówicie o popełnionych błędach, nie obwiniajcie Decymusa. Nasza obecna sytuacja wynika przede wszystkim z faktu, że nie udało wam się zwołać posiedzenia senatu, nie udało wam się przekonać do naszej sprawy ludu i nie udało wam się przejąć władzy w republice.

– A niech mnie! – zawołała Serwilia. – Nigdy jeszcze czegoś takiego nie słyszałam... że też ze wszystkich ludzi akurat ty oskarżasz nas o niezdecydowanie!

Cycero spiorunował ją wzrokiem i natychmiast umilkł, z płonącymi ze złości albo wstydu policzkami. Niedługo potem spotkanie dobiegło końca. Z moich notatek wynika, że zakończyło się tylko dwiema konkluzjami. Po pierwsze, Brutus i Kasjusz zgodzili się przynajmniej rozważyć przyjęcie stanowisk komisarzy zbożowych (stało się to dopiero po tym, jak Serwilia z typową dla siebie wyniosłością oświadczyła, że postara się, by dotyczące tej sprawy uchwały senatu zostały zredagowane w bardziej dla nich pochlebny sposób). I po drugie, Brutus niechętnie przyznał, że nie może w tej sytuacji udać się do Rzymu i że igrzyska, którymi miał się zająć jako pretor, będą musiały się odbyć pod jego nieobecność. Poza tym narada zakończyła się porażką, nie podjęto żadnych decyzji. Jak wyjaśnił Cycero w liście do Attyka, podyktowanym, gdy wracaliśmy do domu, mieliśmy do czynienia z sytuacją, w której „każdy odpowiadał za siebie”: *Odkryłem statek, który rozpadał się*

na części, a właściwie jego rozproszone szczątki. Żadnego planu, żadnego pomysłu, żadnej metody. Dlatego, mimo że już wcześniej nie miałem większych wątpliwości, jestem teraz jeszcze bardziej zdecydowany uciekać stąd, i to jak najprędzej.

Kości zostały rzucone. Postanowił wyjechać do Grecji.

* * *

Co do mnie, zbliżałem się do sześćdziesiątki i w skrytości ducha podjąłem decyzję, że nadeszła pora, bym porzucił służbę u Cycerona i przeżył samotnie to, co mi z życia zostało. Z tego, co mówił, widziałem, że nie spodziewa się, iż się rozstaniemy. Zakładał, że zamieszkamy wspólnie w jakiejś willi w Atenach i będziemy pisać razem dzieła filozoficzne, aż jeden albo drugi umrze ze starości. Nie mogłem się jednak zdecydować na ponowne opuszczenie Italii. Szwankowało mi zdrowie. I choć kochałem go z całego serca, przestała mi odpowiadać rola zwykłego dodatku do jego umysłu.

Białem mu się to powiedzieć i wciąż odkładałem tę brzemienną w skutki chwilę. Cycero postanowił odbyć coś w rodzaju nostalgicznej wyprawy na południe Italii, żegnając się ze wszystkimi swoimi posiadłościami i odświeżając dawne wspomnienia, aż wreszcie na początku miesiąca, który teraz nosił miano *Julius*, a który

on uparcie nazywał dalej *Quintilis*, dotarliśmy do Puteoli. Została mu jeszcze jedna willa do odwiedzenia, w Pompejach nad Zatoką Neapolitańską, i zdecydował, że wyruszy stamtąd w pierwszy etap podróży za granicę, trzymając się blisko wybrzeża, aż do Sycylii, i wchodząc na pokład statku handlowego w Syrakuzach (oceniał, że żegluga z Brundisium jest zbyt niebezpieczna, bo lada dzień miały tam przybyć legiony z Macedonii). Do przewozu wszystkich jego książek, majątku i domowników wynająłem trzy dziesięciowiosłowe łodzie. Żeby nie myśleć o podróży, której się obawiał, zaczął rozważać, jakim utworem literackim powinniśmy się zająć na morzu. Pracował jednocześnie nad trzema traktatami, przechodząc od jednego do drugiego w zależności od tego, dokąd wiodły go jego lektury i ochota: *O przyjaźni*, *O obowiązkach* i *O cnotach*. Na nich miał zakończyć swój wielki projekt przyswojenia łacinie greckiej filozofii i przekształcenia jej przy tym ze zbioru abstrakcji w praktyczne zasady życia.

– Zastanawiam się, czy to nie będzie odpowiednia okazja, żeby napisać naszą wersję *Topików* Arystotelesa – powiedział. – Spójrzmy prawdzie w oczy: co może być bardziej użyteczne w tej erze chaosu od nauczania ludzi, jak używać dialektyki do konstruowania rozumnej argumentacji? Można to przedstawić w formie dialogu podobnego do *Rozmów*: ty będziesz grał jedną rolę, ja drugą. Co o tym sądzisz?

– Mój przyjacielu, jeśli wolno mi cię tak nazwać – odparłem z wahaniem. – Od jakiegoś czasu chciałem z tobą porozmawiać, ale nie byłem pewien, jak się do tego zabrać.

– To brzmi złowrogo! Powiedz lepiej, o co chodzi. Znowu jesteś chory?

– Nie, ale muszę ci wyznać, że postanowiłem, iż nie będę ci towarzyszył do Grecji.

– Ach. – Cyncero wpatrywał się we mnie przez, jak mi się zdawało, bardzo długą chwilę, poruszając lekko szczęką, co robił często, kiedy starał się znaleźć odpowiednie słowo. – Dokąd się zatem udasz? – zapytał w końcu.

– Do posiadłości, którą mi tak łaskawie podarowałaś.

– Rozumiem – rzekł bardzo cicho. – I kiedy chcesz to zrobić?

– Kiedy tylko będzie ci to odpowiadało.

– Im szybciej, tym lepiej?

– Wszystko mi jedno kiedy.

– Jutro?

– Jeśli ci to odpowiada, może być jutro. Ale to nie jest konieczne. Nie chcę, żeby ci to w czymś przeszkodziło.

– W takim razie jutro – skwitował i pochylił się z powrotem nad swoim Arystotelesem.

– Czy mógłbym pożyczyć ze stajni młodego Erosa i mały powóz, żeby przewiózł moje rzeczy? – zapytałem po krótkim wahaniu.

– Oczywiście – powiedział, nie podnosząc wzroku. – Weź, czego tylko potrzebujesz.

Zostawiłem go samego i spędziłem resztę tego dnia i wieczór, pakując swoje rzeczy i wynosząc je na dziedziniec. Cycero nie pojawił się na kolacji. Nazajutrz rano nadal nie było po nim śladu. Młody Kwintus, który miał nadzieję służyć u Brutusa i przebywał u nas, podczas gdy jego wuj starał się umówić go na spotkanie, powiedział, że Cycero wyjechał bardzo wcześnie, żeby odwiedzić dawny dom Lukullusa na wyspie Nesis.

– Prosił, żeby pożegnał cię w jego imieniu – dodał, kładąc mi w geście pocieszenia dłoń na ramieniu.

– Nie powiedział nic więcej? Tylko żebyś mnie pożegnał?

– Wiesz, jaki on jest.

– Wiem, jaki jest. Możesz mu powtórzyć, że za kilka dni wrócę, żeby się we właściwy sposób pożegnać?

Czułem się fatalnie, ale nie płakałem. Już podjąłem decyzję. Eros odwiózł mnie do mojej posiadłości. To było niedaleko, tylko dwie albo trzy mile, ale odległość wydawała się o wiele większa, jakbym przenosił się z jednego do drugiego świata.

Zarządca z żoną nie spodziewali się mnie tak szybko, lecz ucieszyli się chyba na mój widok. Wezwano ze stodoły jednego z niewolników, by wniósł do domu moje bagaże. Skrzynie z książkami i dokumentami powędrowały od razu na górę, do pomieszczenia

z belkowanym sufitem, które wybrałem już wcześniej na swoją małą bibliotekę. Okiennice były tam zamknięte i panował chłód. Wstawiono półki, o które prosiłem – nieheblowane i proste, ale wcale mi to nie przeszkadzało – i od razu zabrałem się do rozpakowywania rzeczy. Jest pewne wspaniałe zdanie w jednym z listów Cyncerona do Attyka, gdy opowiada, jak wprowadził się do nowego miejsca: *Wstawiłem swoje książki i teraz dom ma już duszę*. Tak właśnie się czułem, opróżniając moje skrzynie. I nagle ku swojemu zdziwieniu znalazłem oryginalny rękopis traktatu *O przyjaźni*. Zaskoczony, rozwinąłem zwój, sądząc, że musiałem go zabrać przez pomyłkę. Widząc jednak, że na górze zwoju Cyncero wpisał drżącą ręką cytat z tekstu, o tym, jak ważne jest posiadanie przyjaciół, zdałem sobie sprawę, że to pożegnalny dar.

Gdyby człowiek wstąpił do nieba i oglądał całą wspaniałą maszynę wszechświata i piękno gwiazd, lecz musiał to wszystko zachować dla siebie, widok ten nie sprawiłby mu wiele satysfakcji. A przecież nie posiadałby się z radości, gdyby tylko był ktoś, komu mógłby opisać ten spektakl. Natura nie cierpi samotności.

Odczekałem dwa dni, nim wróciłem do willi w Puteoli, by się we właściwy sposób pożegnać: musiałem się upewnić, że wytrwam w swym postanowieniu i nic nie zdoła mnie od niego odwieść. Zarządca poinformował mnie jednak, że Cyncero wyruszył już do Pompei, i wróciłem od razu do domu. Z mojego tarasu miałem rozległy widok na całą zatokę i często łapałem się na tym,

że stojąc tam i lustrując wzrokiem błękitny przestwór, ciągnący się od zamglonego zarysu Capri aż po cypel przy Mizenum, zastanawiam się, czy jeden z niezliczonych statków, które widzę, nie należy do niego. Stopniowo jednak wciągała mnie praca w gospodarstwie. Zbliżała się pora zbiorów oliwek i winobranie i choć chrupało mi w kolanach i miałem miękkie dłonie skryby, wdziałem tunikę oraz słomiany kapelusz z szerokim rondem i pracowałem na polu razem z innymi; wstawałem z kurami i kładłem się spać o zachodzie słońca, zbyt wyczerpany, by myśleć. Poprzednie życie, niczym dywan zostawiony na słońcu, stopniowo blakło w mojej pamięci. Tak mi się w każdym razie zdawało.

Mógłbym w ogóle nie opuszczać swojej posiadłości, gdyby nie to, że nie było tu łaźni. Oprócz rozmów z Cyceronem najbardziej brakowało mi porządnej kąpieli. Nie mogłem przywyknąć do mycia się wyłącznie w zimnej wodzie z górskiego potoku. W związku z tym zleciłem budowę łaźni w jednej ze stodół, ale prace mogły się zacząć dopiero po zbiorach, więc na razie co dwa albo trzy dni jeździłem do jednej z publicznych łaźni, których pełno było na tym odcinku wybrzeża. Odwiedziłem wiele różnych przybytków – w Puteoli, w Bauli i w Baiae – aż w końcu uznałem, że łaźnia w Baiae jest najlepsza ze względu na naturalne ciepłe siarkowe źródła, z których słynie ta okolica. Klientela była tam wyrafinowana i składała się między innymi z wyzwoleńców służących

u senatorów, którzy mieli w pobliżu wille; kilku z nich znałem. Choć specjalnie mi na tym nie zależało, wpadały mi w ucho najnowsze plotki z Rzymu.

Dowiedziałem się, że igrzyska Brutusa okazały się udane. Mimo że odbyły się pod nieobecność pretora, nie szczędzono na nie grosza. Brutus zgromadził na tę okazję setki dzikich zwierząt i rozpaczliwie pragnąc zyskać popularność, rozkazał, żeby wszystkie co do jednego zostały wykorzystane podczas walk i polowań. Odbyły się także koncerty muzyczne i przedstawienia, w tym również inscenizacja tragedii Akcjusza *Tereusz*, w której było wiele odniesień do zbrodni popełnianych przez tyranów. Aluzje podobno zrozumiano i spektakl nagrodzono oklaskami. Jednak na nieszczęście dla Brutusa jego igrzyska zostały szybko przyćmione przez jeszcze bardziej wystawne spektakle ku czci Cezara, które urządził zaraz potem Oktawian. Był to czas słynnej komety, włochatej gwiazdy, która wschodziła codziennie na godzinę przed południem – mogliśmy ją oglądać nawet na bezchmurnym niebie Kampanii – i Oktawian twierdził, że to po prostu Cezar wstępujący do nieba. Weteranom dyktatora, jak mi mówiono, bardzo przypadła do gustu taka interpretacja, a sława i reputacja młodego człowieka rosły wraz z kometa.

Niedługo potem, kiedy leżałem pewnego popołudnia w gorącej sadzawce na tarasie z widokiem na morze, dołączyli do mnie jacyś mężczyźni, którzy, jak wkrótce

domyśliłem się z ich rozmowy, służyli u Kalpurniusza Pizona. Miał on prawdziwy pałac, położony mniej więcej dwadzieścia mil dalej, w Herkulanum, i przypuszczam, że jadąc z Rzymu, przerwali podróż na jeden dzień, by podjąć ją następnego dnia. Nie zamierzałem ich bynajmniej podsłuchiwać, ale miałem zamknięte oczy i pomyśleli pewnie, że śpię. Tak czy inaczej szybko wyłowiłem z ich rozmowy sensacyjną informację, że Pizo, ojciec wdowy po Cezarze, przypuścił w senacie otwarty atak na Antoniusza, oskarżając go o złodziejstwo, fałszerstwo i zdradę, chęć ustanowienia nowej dyktatury, a także popychanie narodu do kolejnej wojny domowej.

– Teraz, kiedy nasi tak zwani wyzwoliciiele albo się ukrywają, albo uciekli za granicę, w Rzymie nie ma już nikogo innego, kto miałby odwagę to powiedzieć – rzekł jeden z nich i pomyślałem z żalem o Cynceronie, którego z pewnością by nie ucieszyło, że w roli chorążego wolności zastąpił go nie kto inny jak Pizo.

Zaczekałem, aż odejdą, i dopiero wtedy wyszedłem z sadzawki. Pamiętam, że rozmyślając o tym, co przed chwilą usłyszałem, postanowiłem, że wezmę masaż. Idąc w stronę zacienionego miejsca, w którym rozstawiono stoły, minąłem nagle kobietę ze świeżo wypranymi ręcznikami. Nie mogę powiedzieć, że od razu ją poznałem – od czasu, gdy widzieliśmy się po raz ostatni, musiało już minąć piętnaście lat – ale po przejściu kilku kroków przystanąłem i obejrzałem się. Ona zrobiła to samo.

Wtedy wiedziałem już, kim jest. To była niewolnica Agathe, którą wykupiłem z niewoli, zanim razem z Cycleronem udałem się na wygnanie.

* * *

To jest opowieść o Cycleronie, nie o mnie; i z całą pewnością nie jest to opowieść o Agathe. Niemniej jednak losy naszej trójki przeplatały się ze sobą, więc uważam, że zasługuje ona na pewną wzmiankę, zanim wrócę do głównego tematu mojej historii.

Poznałem ją, gdy miała siedemnaście lat i była niewolnicą w pomieszczeniach łaźni we wspaniałej willi Lukullusa w Mizenum. Wraz ze swoimi rodzicami, wtedy już nieżyjącymi, została wzięta do niewoli w Grecji i przewieziona do Italii z innymi wojennymi łupami Lukullusa. Jej uroda, łagodność i ciężki los głęboko mnie poruszyły. Kiedy zobaczyłem ją ponownie, mieszkała w Rzymie i była jedną z sześciorga powołanych na świadków domowych niewolników, którzy mieli potwierdzić oskarżenie Lukullusa, iż jego szwagier Klodiusz popełnił w Mizenum kazirodztwo i cudzołóstwo z jego byłą żoną. Później zobaczyłem ją już tylko raz, gdy Cycero odwiedził Lukullusa przed udaniem się na wygnanie. Zrobiła wtedy na mnie wrażenie załamanej i na pół martwej. Mając odłożone niewielkie oszczędności, przekazałem je, kiedy uciekaliśmy

z Rzymu, Attykowi, by wykupił ją w moim imieniu od Lukullusa i wyzwolił. Później wypatrywałem jej przez długie lata w Rzymie, niestety bezskutecznie.

Miała teraz trzydzieści sześć lat i nadal wydawała mi się piękna, choć po zmarszczkach na jej twarzy i zniszczonych dłoniach poznałem, że wciąż musi ciężko pracować. Sprawiała wrażenie skrepowanej i wierzchem dłoni wciąż odsuwała na bok luźne kosmyki siwych włosów. Po kilku uprzejmościach zapadło między nami niezręczne milczenie.

– Wybacz – powiedziałem w końcu – zawracam ci głowę, a ty masz pewnie dużo pracy. Możesz mieć nieprzyjemności ze strony właściciela.

– Jeśli o to chodzi, nie musisz się martwić – odparła, po raz pierwszy się śmiejąc. – To ja jestem właścicielką.

Po tej uwadze zaczęliśmy rozmawiać bardziej swobodnie. Powiedziała mi, że po wyzwoleniu próbowała mnie odnaleźć, ale byłem wtedy oczywiście w Tesalonikach. W końcu wróciła w okolice Zatoki Neapolitańskiej, do miejsca, które najlepiej знаła i które przypominało jej Grecję. Dzięki doświadczeniu, jakiego nabyła w domu Lukullusa, mogła łatwo znaleźć pracę zarządcy w miejscowych łaźniach. Po dziesięciu latach jacyś bogaci klienci, kupcy z Puteoli, kupili jej te łaźnie i teraz należały do niej.

– Ale to wszystko stało się możliwe dzięki tobie. Jak w ogóle mogę ci podziękować za twoją dobroć?

Prowadź dobre życie – mówił Cyncero – naucz się, że cnota jest pierwszym warunkiem szczęścia. Kiedy siedliśmy razem na ławce w słońcu, poczułem, że mam dowód na słuszność przynajmniej tego fragmentu jego filozofii.

* * *

Spędziłem w mojej posiadłości czterdzieści dni.

Czterdziestego pierwszego dnia, w przeddzień Wulkanaliów, święta boga ognia, pracowałem akurat późnym popołudniem w winnicy, kiedy jeden z niewolników zawołał do mnie i wskazał na drogę. Powóz, któremu towarzyszyło dwudziestu konnych, podskakiwał na wybojach, wzbijając w promieniach letniego słońca tyle kurzu, że można by pomyśleć, iż unosi się na złocistych obłokach. Zajechał pod dom i wysiadł z niego Cyncero. Przypuszczam, że w głębi serca od początku wiedziałem, że przyjedzie mnie szukać. Nie dane mi było uciec. Idąc ku niemu, ściągnąłem z głowy słomiany kapelusz i przysięgłem sobie, że pod żadnym pozorem nie dam się przekonać, by wrócić z nim do Rzymu. Nie będę go słuchał, szeptałem bezgłośnie. Nie będę go słuchał... nie będę go słuchał...

Poznałem po zamaszystym ruchu ramion, kiedy odwracał się w moją stronę, że jest w wybornym nastroju. Ulotniło się gdzieś całe jego niedawne

zniechęcenie. Widząc mnie, wziął się pod boki i ryknął głośnym śmiechem.

– Zostawiłem cię na jeden miesiąc i zobacz, co się z tobą stało! Zmieniłeś się w ducha starszego Katona!

Kazałem dać jego ludziom coś do picia, a my dwaj przeszliśmy na ocieniony taras i wypiliśmy trochę zeszłorocznego wina, które uznał za całkiem niezłe.

– Co za widok! – zawołał. – Co za wspaniałe miejsce, żeby przeżyć schyłek życia! Masz własne wino, własne oliwki...

– Owszem – przyznałem ostrożnie – bardzo mi to odpowiada. Nigdzie nie zamierzam się stąd ruszać. A ty jakie masz plany? Co z Grecją?

– No cóż, zdążyłem dotrzeć do Sycylii, ale południowe wiatry nie pozwoliły nam wyjść z portu, i zacząłem się zastanawiać, czy bogowie nie usiłują dać mi czegoś do zrozumienia. I kiedy utknęliśmy w Regium, czekając na lepszą pogodę, dowiedziałem się o tym niezwykłym ataku, który Pizo przypuścił na Antoniusza. Musiały cię dojść o nim słuchy nawet tutaj. A potem przyszły listy od Brutusa i Kasjusza, którzy donosili, że pozycja Antoniusza zdecydowanie słabnie. Zaproponował im jednak namiestnictwo prowincji i napisał do nich, wyrażając nadzieję, iż będą mogli wkrótce przybyć do Rzymu. Zwołał posiedzenie senatu na pierwszy wrześnień, a Brutus wysłał listy do wszystkich byłych konsulów i pretorów, prosząc ich, by wzięli w nim udział. Zapytałem więc sam

siebie: czy naprawdę mam zamiar uciec akurat w momencie, kiedy wyłania się jakaś szansa? Czy chcę przejść do historii jako tchórz? Mówię ci, Tironie, czułem się tak, jakby spowijająca mnie od miesięcy gęsta mgła nagle się rozwiała, i zobaczyłem, na czym polega mój obowiązek. Zawróciłem i pożeglowałem z powrotem. Tak się złożyło, że Brutus był w Velii, szykując się do podniesienia żagli, i praktycznie padł na kolana, żeby mi podziękować. Dostał namiestnictwo Krety, a Kasjuszowi przydzielono Cyrenajkę.

Nie mogłem nie zauważyć, że to marna rekompensata za Macedonię i Syrię, które mieli otrzymać pierwotnie.

– Oczywiście – potwierdził Cycero – i dlatego postanowili, że zignorują Antoniusza i jego żałosne nielegalne edykty i udadzą się do przyznanych im wcześniej prowincji. Brutus ma przecież swoich stronników w Macedonii, a Kasjusza obwołano w Syrii bohaterem. Sformują tam legiony i będą walczyć z uzurpatorem o republikę. Natchnął nas całkowicie nowy duch: wysublimowany i czysty.

– A ty jedziesz do Rzymu?

– Tak, na posiedzenie senatu, które ma się odbyć za dziewięć dni.

– Wydaje mi się, że z całej trójki tobie przypadło najbardziej niebezpieczne zadanie.

Cycero machnął lekceważąco ręką.

– I cóż z tego, jeśli wydarzy się najgorsze? Zginę. I bardzo dobrze. Skończyłem już sześćdziesiąt lat, dobiegłem do mety. Będzie to przynajmniej dobra śmierć... która, jak wiesz, jest najważniejszym celem dobrego życia. – Nachylił się do mnie. – Sam powiedz: nie wydaję ci się szczęśliwy? – zapytał.

– Owszem, sprawiasz takie wrażenie.

– To dlatego, że tkwiąc w Regium, zdałem sobie sprawę, że przewyciężyłem w końcu lęk przed śmiercią. Stało się tak dzięki filozofii, naszej wspólnej pracy. Och, wiem, że ty i Attyk na pewno mi nie uwierzycie. Będzie wam się zdawać, że w głębi ducha wciąż jestem takim samym lęklwym stworzeniem, jakim zawsze byłem. Ale to nieprawda.

– I pewnie oczekujesz, że pojedę razem z tobą.

– Nie, w żadnym wypadku... wprost przeciwnie! Masz swoją farmę i swoje literackie studia. Nie chcę cię narażać na kolejne niebezpieczeństwa. Ale nasze wcześniejsze pożegnanie nie wyglądało tak jak powinno, więc nie mogłem przejechać obok twojego domu, nie próbując tego naprawić. – Cyncero wstał i otworzył szeroko ramiona. – Żegnaj, stary przyjacielu. Słowa nigdy nie wyrażą, jak bardzo jestem ci wdzięczny. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Przyciągnął mnie do siebie tak blisko i trzymał tak długo, że poczułem, jak mocno i równo bije jego serce.

A potem odsunął się ode mnie i pomachawszy mi na pożegnanie, ruszył w stronę swojego powozu i obstawy.

Patrzyłem, jak odchodzi, poznając znajome gesty: to, jak prostuje ramiona, poprawia fałdy tuniki, jak machinalnie podaje dłoń, by ktoś pomógł mu wejść do powozu. Spojrzałem na moje winorośla i oliwki, na moje kozy i kury, moje murki i moje owce. Nagle wydały mi się małym światem... bardzo małym światem.

– Zaczekaj! – zawołałem za nim.

XVI



Gdyby Cyncero błagał, bym wrócił wraz z nim do Rzymu, prawdopodobnie nigdy bym tego nie zrobił. Jednak gotowość, z jaką chciał rozpocząć bez mnie największą przygodę swojego życia, uraziła moją dumę i kazała mi za nim pośpieszyć. To, że zmieniłem zdanie, oczywiście go nie zaskoczyło. Za dobrze mnie znał. Kiwnął po prostu głową i kazał mi szybko zabrać wszystko, czego będę potrzebował w podróży.

– Musimy jeszcze pokonać sporo drogi przed nocą.

Zwołałem na dziedzińcu moich nielicznych domowników i życzyłem im pomyślnych zbiorów. Nie mieli najmniejszego pojęcia o polityce i o Cynceronie. Na ich twarzach malowało się zdumienie. Stojąc w szeregu, patrzyli, jak odjeżdżam. W ostatniej chwili odwróciłem

się jeszcze, by pomachać im na pożegnanie, ale oni wrócili już na pola.

Dotarcie do Rzymu zajęło nam osiem dni i mimo straży przydzielonej Cycleronowi przez Brutusa, na każdej mili czyhało na nas zawsze to samo niebezpieczeństwo: dawni żołnierze Cezara, którzy przysięgli, że dopadną ludzi odpowiedzialnych za jego śmierć. Fakt, że Cycero nie miał pojęcia o spisku, w ich oczach wcale nie uwalniał go od winy. Nasza trasa wiodła przez żyzne ziemie, które przyznano weteranom Cezara, by je uprawiali, i co najmniej dwukrotnie – raz, kiedy przejeżdżaliśmy przez miasteczko Aquinum, i wkrótce potem w okolicach Fregellae – ostrzeżono nas przed zasadzkami i musieliśmy się zatrzymać i poczekać, aż droga zostanie zabezpieczona.

Widzieliśmy spalone wille i pola, wybity żywy inwentarz, a raz nawet zwisającego z gałęzi trupa, na którego szyi dyndała tabliczka z napisem: „Zdrajca”. Zdemobilizowani legioniści Cezara grasowali po Italii w małych bandach, zupełnie jakby znaleźli się z powrotem w Galii, i docierało do nas wiele opowieści o plądrowaniu, gwałtach i okrucieństwach. Za każdym razem, gdy Cycero został rozpoznany przez zwykłych obywateli, garnęli się do niego, całowali po rękach i ubraniu i błagali, by ocalił ich od terroru. Oddanie, jakie okazywała mu miejscowa ludność, nigdzie nie było bardziej widoczne niż przy bramach Rzymu, do których

dotarliśmy w przeddzień posiedzenia senatu. Witano go jeszcze goręcej niż wówczas, gdy wracał z wygnania. Tyle było deputacji, petycji, uścisków dłoni i dziękczynnych ofiar, że przejazd przez miasto zajął mu prawie cały dzień.

Jeśli chodzi o reputację i renomę, był teraz chyba najważniejszą postacią w państwie. Wszyscy jego wielcy rywale – Pompejusz, Cezar, Katon, Krassus i Klodiusz – zginęli gwałtowną śmiercią.

– Pozdrawiają mnie nie jako konkretną osobę, lecz jako uosobienie republiki – powiedział mi, kiedy weszliśmy w końcu do domu. – Nie pochlebiam sobie... jestem po prostu ostatnim jej symbolem. I oczywiście demonstrowanie poparcia dla mnie jest bezpiecznym sposobem protestu przeciwko Antoniuszowi. Ciekawi mnie, co on myśli o dzisiejszym wybuchu zbiorowych emocji. Na pewno ma ochotę mnie zniszczyć.

Przywódcy opozycji wobec Antoniusza jeden po drugim wspinali się na wzgórze, by złożyć Cynceronowi uszanowanie. Nie było ich zbyt wielu, lecz zwłaszcza dwóch muszę wymienić z nazwiska. Pierwszym był Serwiliusz Watia Izaurykus, syn zmarłego w wieku dziewięćdziesięciu lat starego konsula; trudny w obejściu i arogancki człowiek, który silnie popierał Cezara i po niedawnym powrocie z Azji, gdzie był namiestnikiem, głęboko zazdrościł Antoniuszowi jego dominującej pozycji w państwie. O drugim już wspomniałem: był to

ojciec wdowy po Cezarze, Lucjusz Kalpurniusz Pizo, który pierwszy opowiedział się przeciwko nowemu reżimowi. Zgarbiony brodaty starzec, o ziemistej cerze i zepsutych zębach, pełnił funkcję konsula, gdy Cyncero udał się na wygnanie, i przez długie lata nienawidzili się wzajemnie, lecz teraz obaj darzyli jeszcze większą nienawiścią Antoniusza i przynajmniej w polityce czyniło ich to przyjaciółmi. Odwiedzili nas i inni, ale tych dwóch liczyło się najbardziej i obaj ostrzegali Cyncerona, żeby nie brał nazajutrz udziału w obradach senatu.

– Antoniusz zastawił na ciebie pułapkę – powiedział Pizo. – Ma zamiar zgłosić jutro wniosek, by dodatkowo uhonorować pamięć Cezara.

– Dodatkowo uhonorować! – zawołał Cyncero. – Ten człowiek jest już niemal bogiem. Jakich jeszcze honorów potrzebuje?

– Antoniusz będzie wnosił, żeby podczas każdego święta dziękczynienia składano ofiarę ku czci Cezara. I zażąda, byś ustosunkował się do tego wniosku. Sala posiedzeń będzie otoczona przez weteranów Cezara. Jeśli poprzysz propozycję Antoniusza, twój powrót do życia publicznego zakończy się, zanim jeszcze się rozpoczął: ten sam tłum, który wiwatował dziś na twoją cześć, okrzyknie cię zdrajcą. Jeśli się sprzeciwisz, nie wrócisz do domu żywy.

– Ale jeśli nie wezmę udziału w obradach, uznają mnie za tchórza. Czy tak ma wyglądać przywództwo?

– Wyślij wiadomość, że czujesz się zbyt zmęczony po podróży – poradził mu Serwiliusz. – Jesteś już w podeszłym wieku. Ludzie to rozumieją.

– Mimo jego wezwań żaden z nas nie idzie na posiedzenie – dodał Pizo. – Okaze się tyranem, którego nikt nie słucha. Wyjdzie na głupca.

Nie był to heroiczny powrót do życia publicznego, jaki wymarzył sobie Cyncero, i niezbyt mu się uśmiechało ukrywanie się w domu. Dostrzegał jednak słuszność ich argumentacji i nazajutrz wysłał do Antoniusza wiadomość, że nie przyjdzie na obrady, tłumacząc to zmęczeniem. Antoniusz wpadł w szal. Według Serwiliusza Sulpicjusza, który zdał Cynceronowi pełną relację, w obecności całego senatu zagroził, że wyśle do domu Cyncerona ekipę robotników i żołnierzy, żeby wyważyli drzwi i zaciągnęli go na posiedzenie. Przed wcieleniem w życie tych gróźb powstrzymała go jedynie interwencja Dolabelli, który wskazał, że Pizo, Watia Izaurykus i kilku innych również nie uczestniczą w obradach, a raczej nie może ściągnąć na nie wszystkich. Odbyła się debata i zgłoszone przez Antoniusza propozycje uczczenia Cezara zostały przyjęte, ale tylko w wyniku presji.

Cyncero wściekł się na wieść o tym, co powiedział Antoniusz. Uparł się, że następnego dnia uda się do senatu i wygłosi mowę, bez względu na konsekwencje. „Nie po to wróciłem do Rzymu, by chować się pod pierzyną!”. Między nim a innymi przez jakiś czas krążyły

wiadomości i w końcu uznawszy, że Antoniusz nie ośmielił się zmasakrować ich wszystkich, uzgodnili, że razem wezmą udział w obradach. Nazajutrz rano, chronieni przez obstawę, Cyncero, Pizo, Watia Izaurykus, Serwiusz Sulpicjusz i Wibiusz Pansa (Hircjusz nie mógł do nich dołączyć, bo naprawdę się rozchorował) przeszli falangą z Palatynu i mijając wiwatujące tłumy, dotarli do świątyni Konkordii po drugiej stronie Forum, gdzie odbywały się obrady. Dolabella, który czekał na schodach ze swoim krzesłem kurulnym, podszedł do Cyncerona i poinformował go, że Antoniusz jest chory, i że to on, w jego zastępstwie, będzie przewodniczył obradom.

Cyncero się roześmiał.

– Spadło na nas tyle chorób... całe państwo wydaje się niedomagać! Można niemal dojść do wniosku, że Antoniusz posiada cechę właściwą wszystkim ciemiężcom, którzy chętnie wymierzaliby karę innym, ale sami nie chcą się jej poddać.

– Wierzę, że nie powiesz dziś niczego, co naraziłoby na szwank naszą przyjaźń – odparł chłodno Dolabella. – Pogodziłem się z Antoniuszem i każdą napaść na niego potraktuję jak atak na moją osobę. Chciałbym ci również przypomnieć, że dałem ci stanowisko legata w mojej administracji w Syrii.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym raczej zwrot posagu mojej najdroższej Tulii. A co się tyczy Syrii... na twoim miejscu szybko bym się tam wybrał,

młody przyjacielu, bo w przeciwnym razie Kasjusz może dotrzeć do Antiochii przed tobą.

Dolabella spiorunował go wzrokiem.

– Widzę, że nie jesteś już tak serdeczny jak zwykle. Bardzo dobrze, ale miej się na baczności, starcze. Gra robi się brutalna – dodał i sztywno się oddalił.

Cycero popatrzył za nim z satysfakcją.

– Od dawna chciałem mu to powiedzieć – mruknął.

Przypomina Cezara, pomyślałem, odsyłającego przed bitwą swego konia na tyły: był zdecydowany wygrać to starcie albo zginąć.

To właśnie w świątyni Konkordii Cycero przewodniczył przed wielu laty jako konsul obradom senatu, który debatował, jaką karę wymierzyć spiskowcom Katyliny; i stamtąd powiódł ich na śmierć do Karceru. Nie postawiłem w niej odtąd stopy i czułem tam przytłaczającą obecność wielu duchów. Cycero wydawał się jednak odporny na tego rodzaju wspomnienia. Zasiadł w pierwszej ławie, między Pizonem a Watią Izaurykusem, i cierpliwie czekał, aż Dolabella udzieli mu głosu – co tamten uczynił najpóźniej, jak to było możliwe, i w wyjątkowo obcesowy sposób.

– Zanim przystąpię do omawiania spraw publicznych – zaczął Cycero cicho, jak to miał w zwyczaju – chciałbym poskarżyć się krótko na krzywdę, którą wyrządził mi wczoraj Antoniusz. Dlaczego zostałem tak ostro potępiony? Jakaż to pilna sprawa wymagała wnoszenia

do tej izby ludzi złożonych niemocą? Czyżby Hannibal stanął u bram miasta? Czy ktoś kiedykolwiek słyszał, by grożono senatorowi napaścią na jego dom, bo nie pojawił się, by dyskutować o publicznym dziękczynieniu? A zresztą czyż sądzicie, że poparłbym jego propozycję, gdybym tu wczoraj był? Powiadam wam: jeśli mamy składać dziękczynienie zmarłemu, złożmy je starszemu Brutusowi, który uratował państwo przed despotyzmem królów i który zostawił potomków gotowych prawie pięćset lat później popisać się podobnym męstwem, by osiągnąć podobne cele!

Rozległo się zbiorowe westchnienie. Ludzie tracą na ogół siłę głosu, posuwając się w latach; nie dotyczyło to jednak tego dnia Cyncerona.

– Nie boję się mówić. Nie boję się śmierci. Ubolewam, że senatorowie, którzy osiągnęli rangę konsula, nie poparli w czerwcu Lucjusza Pizona, kiedy potępiał wszystkie nadużycia popełniane obecnie w państwie. Ani jeden był konsul nie wsparł go swoim głosem... nie wsparł go nawet spojrzeniem. Skąd się bierze to zniewolenie? Moim zdaniem tym ludziom zabrakło tego, czego wymaga ich ranga.

Cyncero wziął się pod boki i potoczył wzrokiem po sali. Większość senatorów nie ośmielała się patrzeć mu w oczy.

– W marcu zaakceptowałem wniosek, by ustawy Cezara uznać za legalne, nie dlatego, że się z nimi

zgadzałem... któż mógłby się z nimi zgodzić?... lecz w imię pojednania i publicznej harmonii. Mimo to każda ustawa, która nie spodobała się Antoniuszowi, jak choćby ta ograniczająca pełnienie funkcji namiestnika do dwóch lat, była odrzucona, podczas gdy inne dekrety dyktatora odnalazły się w cudowny sposób i opublikowano je, dzięki czemu przestępcy zostali ściągnięci z wygnania... przez nieboszczyka. Całym plemionom i prowincjom zostało przyznane obywatelstwo... przez nieboszczyka! Nałożone zostały podatki... przez nieboszczyka! Żałuję, że nie ma tu Marka Antoniusza i nie może się wytłumaczyć, najwyraźniej jednak źle się poczuł: przyznaje sobie przywilej, którego wczoraj mi odmówił. Słyszę, że jest na mnie wściekły. Cóż, w takim razie złożę mu propozycję... uczciwą propozycję. Jeśli będę dezawuować jego życie albo jego charakter, może się ogłosić moim najbardziej zapięklonym wrogiem. Niech trzyma przy sobie uzbrojoną straż, jeśli potrzebuje ochrony. Ale niech ta straż nie zastrasza ludzi, którzy wyrażają własne nieskrępowane opinie na temat państwa. Czyż można uczciwiej postawić sprawę?

Na sali po raz pierwszy rozległy się głosy poparcia.

– Odebrałem już wystarczającą nagrodę za swój powrót, czcigodni zgromadzeni, mogąc wygłosić tych kilka zdań. Cokolwiek mi się przytrafi, dochowam wierności swoim przekonaniom. Jeśli będę mógł tu znów swobodnie przemówić, zrobię to. Jeśli okaże się to

niemożliwe, pozostanę w gotowości na wypadek, gdyby potrzebowało mnie państwo. Przeżyłem już dość lat i zdobyłem dość sławy. Czas, który mi pozostał, nie należy do mnie, ale będzie poświęcony służbie republice.

Cycero usiadł, nagrodzony pomrukami aprobaty i tupaniem. Ci, którzy siedzieli w pobliżu, pokleпали go po ramieniu.

Kiedy sesja dobiegła końca, Dolabella wymknął się ze swoimi liktorami, bez wątpienia zmierzając prosto do Antoniusza, by poinformować go, co się wydarzyło. Ja i Cycero wróciliśmy do domu.

* * *

Przez następne dwa tygodnie senat nie obradował i Cycero spędził je zabarykadowany w swoim domu na Palatynie. Najął kolejnych strażników, kupił nowego ostrego psa obronnego i ufortyfikował wille, montując żelazne okiennice i drzwi. Attyk użyczył mu kilku skrybów i zaprzągnął ich do przepisywania jego bezkompromisowej mowy w senacie. Przesłał ją potem wszystkim, których mogła zainteresować – Brutusowi w Macedonii, Kasjuszowi podróżującemu do Syrii, Decymusowi w Galii Przedalpejskiej, dwóm dowódcom wojskowym w Galii Zaalpejskiej: Lepidusowi i Lucjuszowi Munacjuszowi Plankusowi, oraz wielu innym. Nazwał ją, pół żartem, pół serio, „swoją filipiką”, nawiązując do

słynnych oracji, które Demostenes wygłosił przeciwko macedońskiemu tyranowi, Filipowi Drugiemu. Jedna z kopii musiała dotrzeć do Antoniusza, bo dał do zrozumienia, że odpowie na nią w senacie, na sesji, którą zwoła dziewiętnastego września.

Nie było w ogóle mowy o tym, by Cyncero uczestniczył w niej osobiście: czym innym jest nie bać się śmierci, czym innym popełnić samobójstwo. Zamiast tego poprosił, żebym to ja tam poszedł i zapisał, co powie Antoniusz. Zgodziłem się, przekonany, że jak zwykle ochroni mnie moja anonimowość.

Wszedłszy na Forum, dziękowałem bogom, że Cyncero został w domu, bo Antoniusz obstawił je całe swoją prywatną armią. Na schodach świątyni Konkordii umieścił nawet szwadron itureańskich łuczników – słynących z okrucieństwa, dziko wyglądających tubylców z pogranicza Syrii. Przyglądali się każdemu wchodzącemu do świątyni senatorowi, co jakiś czas zakładając strzały na cięciwy łuków i udając, że w niego celują.

Udało mi się wcisnąć z tyłu i właśnie wyjąłem rylec i tabliczkę, gdy wkroczył Antoniusz. Oprócz domu Pompejusza w Rzymie zarekwirował on również posiadłość Metellusa Scypiona w okolicy Tyburu i powiadano, że tam właśnie układał swoją mowę. Kiedy mnie mijał, wydał mi się potężnie skacowany, a dotarwszy do podwyższenia, pochylił się i obficie zwymiotował na

posadzkę. Wzbudziło to śmiech i aplauz jego stronników: znany był z tego, że często wymiotował publicznie. Za moimi plecami jego niewolnicy zamknęli i zablokowali drzwi. Branie w ten sposób senatorów jako zakładników było niezgodne ze zwyczajem i najwyraźniej miało na celu ich zastraszenie.

Co do jego tyrady przeciwko Cycleronowi, stanowiła w zasadzie kontynuację wcześniejszych wymiotów. Wypluł z siebie zbieraną przez lata żółć. Zatoczył ręką krąg i przypomniał senatorom, że właśnie w tej świątyni Cycero doprowadził swoimi knowaniami do nielegalnej egzekucji pięciu rzymskich obywateli, wśród nich jego ojczyma, Publiusza Lentulusa Sury, którego zwłok nie chciał później wydać pragnącej wyprawić mu godny pogrzeb rodzinie. Oskarżył Cyclerona („tego nurzającego się we krwi rzeźnika, który woli, by to inni zadawali za niego śmiertelne ciosy”), że zaplanował zabójstwo Cezara, podobnie zresztą jak zamach na Klodiusza. Utrzymywał, że to Cycero rozmyślnie popsuł stosunki między Pompejuszem i Cezarem, co doprowadziło do wojny domowej. Wiedziałem, że są to wszystko wysane z palca kłamstwa, ale również, że będą one miały druzgoczący efekt, podobnie jak bardziej osobiste zarzuty, które sformułował – że Cycero jest psychicznym i moralnym tchórzem, człowiekiem próżnym i chełpliwym, a przede wszystkim hipokrytą, wiecznie zmieniającym front, żeby przypodobać się różnym frakcjom, do tego stopnia, że

nawet jego własny brat i bratanek opuścili go i zadenuncjowali Cezarowi. Przeczytał fragment prywatnego listu, który Cyncero napisał do niego, tkwiąc uwięziony w Brundisium. *Będę zawsze, bez wahania i z całego serca robił wszystko, co mogę, by postępować zgodnie z twoimi życzeniami i interesami.* Na te słowa sala zatrzęsa się ze śmiechu. Wyciągnął nawet sprawę jego rozwodu z Terencją i późniejszego małżeństwa z Publilią. „Jakimiż drżącymi, rozpustnymi i pożądliwymi palcami ten wyniosły filozof rozbierał swą piętnastoletnią oblubienicę w jej noc poślubną i jak nieudolnie wypełniał męzowskie obowiązki, skoro wkrótce potem to biedne dziecko uciekło od niego przerażone i skoro jego własna córka wolała umrzeć, niż żyć w hańbie!”.

Wszystko to było straszliwie skuteczne i gdy odryglowano drzwi i wypuszczono nas na zewnątrz, z lękiem myślałem o tym, że muszę wrócić do Cyncerona i mu to powtórzyć. On jednak chciał usłyszeć wszystko co do słowa. Za każdym razem, kiedy próbowałem ominąć jakiś fragment albo frazę, natychmiast to wyczuwał i kazał mi się cofnąć. Pod koniec wydawał się kompletnie zdruzgotany. „No cóż, taka jest polityka”, mruknął, próbując to zbyć wzruszeniem ramion. Widziałem jednak, że jest wstrząśnięty. Wiedział, że musi w jakiś sposób zareagować albo wycofać się z podkulonym ogonem. Odpowiadanie na to osobiście w senacie kontrolowanym, tak jak to miało miejsce, przez Dolabelle

i Antoniusza, byłoby zbyt niebezpieczne. Z tego względu kontratak powinien mieć formę pisemną, a z chwilą jego opublikowania nie było już dla niego drogi odwrotu. Przy tak zajadłym przeciwniku jak Antoniusz Cyncerona czekał pojedynek na śmierć i życie.

Na początku października Antoniusz opuścił Rzym, aby zapewnić sobie lojalność legionów, które sprowadził z Macedonii i które biwakowały teraz pod Brundisium. Po jego wyjeździe Cyncero również postanowił wycofać się na kilka tygodni z Rzymu i skoncentrować na układaniu riposty, którą nazwał już swoją Drugą Filipiką. Wyjechał nad Zatokę Neapolitańską, a mnie powierzył pilnowanie jego interesów.

Pora była melancholijna. Jak zawsze późną jesienią niebo nad Rzymem pociemniało od tysięcy przylatujących z północy szpaków i ich jazgotliwy świergot wydawał się ostrzegać przed jakąś rychłą katastrofą. Uwiły sobie gniazda w lasku nad Tybrem i co rusz wzbijały się w powietrze wielkimi czarnymi chorągwiami, by łopocząc dziko, przelatywać w tę i z powrotem nad głowami, jakby ogarnęła je panika. Dni zrobiły się chłodne, noce dłuższe: zbliżała się zima, a wraz z nią nieuchronna wojna. Oktawian przebywał w Kampanii, bardzo blisko miejsca, gdzie zatrzymał się Cyncero, i werbował w Casilinum i w Calatii żołnierzy spośród weteranów Cezara. Antoniusz próbował przekupić legionistów w Brundisium. Decymus formował

nowy legion w Galii Przedalpejskiej. Lepidus i Plankus czekali ze swoimi wojskami za Alpami. Brutus i Kasjusz wzniesli sztandary w Macedonii i Syrii. To dawało łącznie siedem armii, sformowanych i formujących się. Pozostawało wyłącznie pytanie, kto uderzy pierwszy.

W tym przypadku ten honor – jeśli honor jest odpowiednim słowem – przypadł Oktawianowi. Zgromadził prawie cały legion, obiecując weteranom zawrotną sumę dwóch tysięcy sestercji na głowę – pieniądze zapewnił Balbus – i pisał teraz do Cyncerona, błagając go o radę. Cyncero przesłał mi tę sensacyjną wiadomość, prosząc, bym przekazał ją Attykowi.

Jego cele są proste: wojna przeciwko Antoniuszowi i objęcie stanowiska głównodowodzącego. Wygląda więc na to, że za kilka dni będziemy pod bronią. Ale kogo mamy poprzeć? Weź pod uwagę jego imię; weź pod uwagę jego wiek. Chciał, żebym mu poradził, czy powinien zmierzać z trzema tysiącami weteranów do Rzymu, czy zająć Kapuę i zablokować drogę Antoniuszowi, czy też dołączyć do maszerujących teraz wzdłuż wybrzeża Adriatyku trzech macedońskich legionów, które ma nadzieję przeciągnąć na swoją stronę. Nie chcieli, jak twierdzi, przyjąć pieniędzy od Antoniusza, wygwizdali go i zostawili w polu, gdy próbował ich pouczać. Krótko mówiąc, Oktawian proponuje, że zostanie naszym przywódcą, i spodziewa się, że go poprze. Ze swojej strony poradziłem mu, żeby udał się do Rzymu. Sądzę, że będzie miał za sobą plebs, a także uczciwych ludzi, jeśli przekona ich o swojej szczerości.

Oktawian poszedł za radą Cyncerona i dziesiątego listopada wkroczył do Rzymu. Jego żołnierze zajęli Forum. Widziałem, jak maszerują przez centrum miasta,

zabezpieczając świątynie i gmachy publiczne. Pozostali na swoich pozycjach przez całą noc i następny dzień, a Oktawian założył kwaterę w domu Balbusa i próbował zwołać posiedzenie senatu. Ale wszyscy najwyżsi urzędnicy wyjechali: Antoniusz usiłował przeciągnąć na swoją stronę legiony macedońskie; Dolabella udał się do Syrii; połowa pretorów, wśród nich Brutus i Kasjusz, uciekła z Italii – miasto było pozbawione przywódców. Rozumiałem, dlaczego Oktawian tak usilnie prosił Cyncerona, by dołączył do jego eskapady, pisząc do niego raz, a czasami nawet dwa razy dziennie: tylko Cyncero cieszył się tak wysokim autorytetem moralnym, by zmobilizować senat. On jednak nie miał ochoty podporządkować się młodzikowi dowodzącemu zbrojną insurekcją, z niewielkimi szansami na sukces, i przezornie trzymał się na uboczu.

Wypełniając swoją rolę oczu i uszu Cyncerona, dwunastego listopada poszedłem na Forum, by wysłuchać mowy Oktawiana. Porzucił on już wówczas zamiar wystąpienia na posiedzeniu senatu i zamiast tego przekonał sprzyjającego mu trybuna, Tyberiusza Kanucjusza, by zwołał zgromadzenie ludowe. Czekając, aż udzieli mu głosu, stał na rostrach pod szarym niebem – smukły niczym trzcina, jasnowłosy, blady i spięty; widok ten, jak napisałem Cynceronowi, „miał w sobie coś śmiesznego, a mimo to był dziwnie fascynujący, niczym scena z legendy”. Kiedy Oktawian zaczął mówić, okazał

się jednak wcale niezłym mówcą i Cyncero był zachwycony jego potępieniem Antoniusza („ten fałszerz dekretów, ten destruktor prawa, ten złodziej prawowitych spadków, ten zdrajca, który stara się wypowiedzieć wojnę całemu państwu...”). Mniej ucieszyło go, gdy opisałem, jak wskazał stojącą na rostrach statuetkę Cezara i zaczął go wychwalać. „Oto największy Rzymianin wszech czasów, którego śmierć pomszczę i którego pokładane we mnie nadzieje, przysięgam wam na wszystkich bogów, z pewnością spełnię”. Powiedziawszy to, zszedł z podium, przy głośnym aplauzie tłumu, i wkrótce potem, zaalarmowany doniesieniami, że Antoniusz zbliża się, prowadząc o wiele większe siły, razem ze swoimi żołnierzami opuścił miasto.

Wypadki potoczyły się teraz bardzo szybko. Antoniusz zatrzymał swoją armię – w której skład wchodził legion piąty Cezara, czyli słynne Skowronki – zaledwie dwanaście mil od Rzymu, w Tyburze, i wkroczył do miasta z obstawą tysiąca żołnierzy. Zwołał posiedzenie senatu na dwudziesty czwarty listopada i ogłosił, że Oktawian zostanie na nim uznany za wroga publicznego. Niestawienie się na sesji miało być poczytywane za sprzyjanie zdrajcy i karane śmiercią. Armia Antoniusza czekała w gotowości, by wejść do miasta, gdyby jego woli nie stało się zadość. Rzym zamarł w przecuciu nieuchronnej masakry.

Nastał dwudziesty czwarty listopada, senat się zebrał – ale sam Antoniusz się nie pojawił. Okazało się, że jedna z macedońskich jednostek, które go wcześniej wygwizdały, obozujący w Albie Fucens, sześćdziesiąt mil od Rzymu, legion Marsowy opowiedział się nagle za Oktawianem, przekupiony sumą pięć razy wyższą od tego, co proponował im wcześniej Antoniusz. Popędził teraz, by spróbować ich ponownie przeciągnąć na swoją stronę, jednak legioniści wyszydili go otwarcie za skąpstwo. Wracając do Rzymu, zwołał posiedzenie senatu na dwudziesty ósmy listopada, tym razem na nadzwyczajnej sesji w nocy. Najstarsi ludzie nie pamiętali, by senat zbierał się po zmierzchu; było to sprzeczne z wszelkimi zwyczajami i uświęconym prawem. Kiedy zszedłem na Forum z zamiarem sporządzenia relacji dla Cycerona, ujrzałem, że cały plac zajęli legioniści z pochodniami. Widok był tak złowrogi, że opuściła mnie odwaga i nie ośmieliwszy się wejść do świątyni, stanąłem w tłumie na zewnątrz. Zobaczyłem, jak prosto z Alby przybywa Antoniusz, w towarzystwie swojego brata Lucjusza, jeszcze bardziej od niego dziko wyglądającego mężczyzny, który walczył niegdyś jako gladiator w Azji i poderżnął gardło swemu przyjacielowi. I wciąż tam stałem, gdy godzinę później obaj wyszli w pośpiechu. Nigdy nie zapomnę wyrazu przerażenia na twarzy Antoniusza, gdy zbiegał po stopniach świątyni. Poinformowano go właśnie, że kolejny legion, czwarty,

poszedł za przykładem Marsowego i również opowiedział się za Oktawianem. Teraz to on miał przeciwko sobie przeważające siły przeciwnika. Tej samej nocy uciekł z miasta i udał się do Tyburu, by zagrzewać do boju swoją armię i werbować nowych rekrutów.

* * *

Kiedy działo się to wszystko, Cycero ukończył swoją tak zwaną Drugą Filipikę i wysłał ją do mnie wraz z instrukcją, żebym wynajął dwudziestu skrybów od Attyka i zadbał o to, by ją jak najszybciej skopiowano i zaczęto rozpowszechniać. Rzecz miała formę długiego przemówienia – gdyby je wygłoszono, zajęłoby to dobre dwie godziny – i dlatego zamiast kazać każdemu skrybie sporządzać pojedynczą kopię, podzieliłem zwój na dwadzieścia części i dałem każdemu jedną. Dzięki temu, po sklejeniu dostarczonych przez nich fragmentów, mogliśmy uzyskiwać cztery albo pięć kopii dziennie. Wysyłaliśmy je do przyjaciół i sprzymierzeńców z prośbą, żeby albo sami sporządzali kolejne kopie, albo organizowali przynajmniej spotkania, na których Druga Filipika mogłaby zostać przeczytana na głos.

Więści o niej szybko się rozchodziły. Dzień po wycofaniu się Antoniusza z miasta wywieszono ją na Forum. Wszyscy chcieli ją przeczytać, nie tylko dlatego, że zawierała najbardziej jadowite plotki, na przykład że

Antoniusz był w młodości homoseksualną prostytutką, że upijał się do nieprzytomności i że miał za kochankę aktorkę mimiczną. Niezwykłą popularność tego tekstu przypisuję jednak w większym stopniu temu, że pełno w nim było szczegółowych informacji, których wcześniej nikt nie ważył się ujawnić – że Antoniusz skradł siedemset milionów sestercji ze świątyni opiekunki rolników Ops i użył części tej sumy do spłacenia swoich osobistych długów w wysokości czterdziestu milionów; że on i Fulwia sfalszowali dekrety Cezara, żeby wyciągnąć dziesięć milionów sestercji od króla Galacji; i że para zawłaszczyła klejnoty, meble, wille, farmy i gotówkę, dzieląc je między siebie i swoją świtę aktorów, gladiatorów, wróżbitów i medyków.

Dziewiątego grudnia Cycero wrócił w końcu do Rzymu. Nie spodziewałem się go. Usłyszałem szczekanie psa i wyszedłszy na korytarz, zobaczyłem tam pana domu stojącego razem z Attykiem. Nie było go prawie dwa miesiące i wydawało się, że jest w wyjątkowo dobrym zdrowiu i nastroju. Nie zdejmując nawet płaszcza i kapelusza, wręczył mi list, który otrzymał poprzedniego dnia od Oktawiana:

Przeczytałem twoją nową filipikę i uważam, że jest po prostu wspaniała – godna samego Demostenesa. Żałuję, że nie mogę zobaczyć twarzy naszego współczesnego Filipa, kiedy ją czyta. Dowiaduję się, że postanowił mnie tutaj nie atakować, bez wątpienia bojąc się, że jego ludzie nie staną w polu przeciwko synowi Cezara, i zamiast tego szybko

ruszył wraz z armią do Galii Przedalpejskiej z zamiarem odebrania tej prowincji twojemu przyjacielowi Decymusowi.

Musisz się zgodzić, mój drogi Cynceronie, że moja pozycja jest silniejsza, niż mogliśmy sobie w ogóle wyobrazić, spotykając się w twoim domu w Puteoli. Jestem teraz w Etrurii i zbieram nowych rekrutów, którzy tłumnie do mnie przybywają. Mimo to jak zawsze brakuje mi twoich mądrych rad. Czy nie moglibyśmy zorganizować spotkania? Nie ma na świecie nikogo innego, z kim tak bardzo chciałbym porozmawiać.

– I cóż o tym sądzisz? – zapytał z uśmiechem Cyncero.

– List jest bardzo satysfakcjonujący – odparłem.

– Satysfakcjonujący? Daj spokój... użyj wyobraźni! Chodzi o coś więcej! Nie mogę o nim przestać myśleć, odkąd go dostałem.

Kiedy niewolnik pomógł mu zdjąć wierzchnie okrycie, Cyncero dał znak Attykowi i mnie, żebyśmy weszli z nim do gabinetu, i kazał mi zamknąć drzwi.

– Oto jak oceniam sytuację. Gdyby nie Oktawian, Antoniusz zająłby Rzym i nasza sprawa byłaby już przegrana. Lęk przed Oktawianem sprawił, że wilk w ostatniej chwili porzucił swoją zdobycz i pomknął na północ, by pożreć zamiast tego Galie Przedalpejską. Jeśli pokona tej zimy Decymusa i zajmie prowincję... co mu się prawdopodobnie uda... będzie miał oparcie finansowe i armię, żeby wrócić na wiosnę do Rzymu i nas wykończyć. Jedyłą siłą, która stoi między nim a nami, jest Oktawian.

– Naprawdę uważasz, że Oktawian sformował armię, żeby bronić tego, co pozostało z republiki? – zapytał

sceptycznie Attyk.

– Nie, ale z drugiej strony, czy zajęcie Rzymu przez Antoniusza jest w jego interesie? Oczywiście, że nie. Na tym etapie jego prawdziwym wrogiem jest Antoniusz: człowiek, który przywłaszczył sobie jego spadek i nie uznaje jego roszczeń. Jeśli zdołam przekonać Oktawiana, żeby popatrzył na to w ten sposób, może uda nam się uniknąć katastrofy.

– Niewykluczone... ale tylko po to, by republika wpadła ze szpon jednego tyrana w szpony innego, i to takiego, który nazywa się Cezarem.

– Och, nie wiem, czy ten chłopak jest tyranem... Sądzę, że będę mógł użyć swojego wpływu, by utrzymać go na ścieżce cnoty. Przynajmniej do czasu, kiedy pozbędziemy się Antoniusza.

– Jego list z pewnością wskazuje, że jest skłonny cię słuchać – powiedziałem.

– No właśnie. Wierz mi, Attyku, gdyby chciało mi się ich poszukać, mógłbym pokazać ci ze trzydzieści takich listów, poczynając od kwietnia. Dlaczego tak mu zależy na moich radach? Prawda jest taka, że temu chłopcu brakuje kogoś, kto zastąpiłby mu ojca. Jego prawdziwy ojciec nie żyje, ojczym jest głupcem, a przybrany ojciec zostawił mu największe dziedzictwo w dziejach, lecz bez żadnych wskazówek, jak je przejąć. Jakimś trafem wszedłem w rolę jego ojca, co jest błogosławieństwem... nie tyle dla mnie, ile dla republiki.

– Więc co zamierzasz zrobić? – zapytał Attyk.

– Pojadę się z nim spotkać.

– W Etrurii, w środku zimy, w twoim wieku? To sto mil stąd. Chyba zwariowałeś.

– Trudno oczekiwać, żeby Oktawian przyjechał do Rzymu – odezwałem się.

Cycero zbył te zastrzeżenia machnięciem dłoni.

– W takim razie spotkamy się w połowie drogi. Ta willa, którą kupiłeś kilka lat temu nad jeziorem Volsinii... myślę, że świetnie by się do tego nadawała, Attyku. Czy jest zamieszкана?

– Nie, ale nie mogę ręczyć, że będzie wygodna.

– To nie ma znaczenia. Tironie, napisz w moim imieniu list do Oktawiana, proponując spotkanie w Volsinii, najszybciej jak będzie mógł.

– Ale co z senatem? – zapytał Attyk. – Co z desygnowanymi na konsulów? Nie masz upoważnienia, by prowadzić z kimkolwiek negocjacje w imieniu republiki. A już na pewno nie z przywódcą armii rebeliantów.

– Nikt nie dzierży już władzy w republice. W tym rzecz. Władza leży w pyle na ulicy, czekając na tego, kto ją podniesie. Dlaczego nie miałbym być tym, kto to robi?

Attyk nie znalazł na to odpowiedzi i w ciągu godziny wysłane zostało zaproszenie do Oktawiana. Po trzech dniach niecierpliwego oczekiwania Cycero dostał od niego wiadomość: *Nic nie sprawi mi większej radości, niż*

możność ponownego zobaczenia się z Tobą. Możemy się spotkać w Volsinii szesnastego, tak jak proponujesz, chyba że dowiem się, że nie odpowiada Ci ta data. Sugeruję, żebyśmy zachowali nasze spotkanie w tajemnicy.

* * *

Nie chcąc, by ktoś dowiedział się, co szykuje, Cycero nalegał, byśmy wyjechali na długo przed świtem, czternastego grudnia. Musiałem przekupić wartowników, żeby specjalnie dla nas otworzyli Bramę Fontynaliańską.

Wiedząc, że zapuszczamy się w krainę bezprawia, gdzie grasują bandy uzbrojonych rzezimieszków, podróżowaliśmy w zamkniętym powozie eskortowanym przez liczny orszak sług i strażników. Przejechawszy przez Pons Mulvius, skręciliśmy w lewo i podążyliśmy wzdłuż brzegu Tybru i dalej Via Cassia, drogą, którą nigdy wcześniej nie jechałem. Koło południa znaleźliśmy się w górzystej okolicy. Attyk obiecywał mi wspaniałe widoki, ale fatalna pogoda, która panowała w Italii od zamordowania Cezara, nadal nas prześladowała, i odległe szczyty porośniętych sosnami gór ginęły we mgle. Przez całe dwa dni naszej podróży słońce prawie w ogóle nie wyjrzało zza chmur.

Po wcześniejszym ożywieniu Cycerona nie zostało już ani śladu. W nietypowy dla siebie sposób milczał. Z pewnością zdawał sobie sprawę, że od nadchodzącego

spotkania może zależeć przyszłość republiki. Po południu drugiego dnia, kiedy dotarliśmy do brzegu wielkiego jeziora i zobaczyliśmy przed sobą cel podróży, zaczął się skarżyć na zimno. Drżał i chuchał w dłonie, ale kiedy chciałem przykryć mu kolana kocem, strącił go niczym rozdrażnione dziecko, mrużąc, że może być w podeszłym wieku, ale nie jest inwalidą.

Attyk kupił swoją posiadłość jako inwestycję i odwiedził ją wcześniej tylko raz; mimo to miał świetną pamięć, jeśli chodziło o sprawy finansowe, i szybko przypominał sobie, jak tam trafić. Duża zniszczona willa – fragmenty jej murów pamiętały jeszcze czasy Etrusków – stała nieopodal miejskich murów Volsinii, tuż przy skraju wody. Żelazna brama była otwarta. Na mokrym dziedzińcu gniły sterty zeschniętych liści, na dachu z terakoty widać było czarne mchy i porosty. O tym, że dom jest zamieszkały, świadczyła tylko unosząca się z komina cienka wstążka dymu. Widząc pusty dziedziniec, doszliśmy do wniosku, że Oktawian jeszcze nie przyjechał. Ale kiedy wysiadaliśmy z powozu, podbiegł do nas zarządca z informacją, że wewnątrz czeka jakiś młodzieniec.

Siedział w tablinum razem ze swoim przyjacielem Agrypą i wstał na nasz widok. Przyjrzałem mu się, by zobaczyć, czy spektakularna odmiana losu odbiła się w jakiś sposób na jego zachowaniu lub powierzchowności, lecz wyglądał dokładnie tak samo jak

wcześniej: cichy, skromny, uważny, z tą samą niemodną fryzurą i krostami na twarzy. Przyjechał bez żadnej eskorty, oznajmił, z wyjątkiem dwóch woźniców rydwanów, którzy zabrali swoje zaprzęgi do miasta, by nakarmić i napoić konie. („Nikt nie wie, jak wyglądam, więc wolę nie zwracać na siebie uwagi; lepiej jest ukrywać się na widoku, nie sądzisz?”). Uścisnęli sobie bardzo serdecznie dłonie z Cynceronem.

– Pomyślałem, że tu obecny Tiron może zanotować to, co uzgodnimy, i każdy z nas zatrzyma kopię – powiedział Cyncero, kiedy wszyscy zostaliśmy sobie przedstawieni.

– Więc masz upoważnienie, żeby negocjować? – zapytał Oktawian.

– Nie, ale lepiej będzie mieć coś, co można pokazać przywódcom senatu.

– Osobiście, jeśli nie masz nic przeciwko, wolałbym, żeby nic nie zostało zapisane. Dzięki temu będziemy mogli swobodniej rozmawiać.

Z tego względu nie ma dokładnego zapisu ich słów, jednak na prywatny użytek Cyncerona natychmiast po zakończeniu spotkania spisałem obszerną relację. Na początek Oktawian przedstawił w skrócie sytuację wojskową, tak jak ją widział. Dysponował albo wkrótce miał dysponować czterema legionami: weteranów z Kampanii, żołnierzy zaciężnych, których werbował w Etrurii, legionem Marsowym oraz legionem czwartym. Antoniusz miał trzy legiony, w tym Skowronki, ale

również jeden kompletnie niezaprawiony w boju, i zbliżał się do Decymusa, który, jak donosili informatorzy Oktawiana, schronił się w Mutinie, gdzie wyrzynał bydło i solił mięso, szykując się na długie oblężenie. Cycero oświadczył, że senat ma w Galii Zaalpejskiej jedenaście legionów: siedem pod rozkazami Lepidusa i cztery pod dowództwem Plankusa.

– Tak, ale stacjonują po niewłaściwej stronie Alp i są potrzebne do utrzymania Galii. Poza tym obaj wiemy, że na ich dowódcach nie można specjalnie polegać. Zwłaszcza na Lepidusie.

– W tej kwestii nie będę się z tobą spierać – odparł Cycero. – Sprawa sprowadza się do tego: ty masz żołnierzy, ale nie masz legitymacji, natomiast my mamy legitymację, lecz nie mamy żołnierzy. Tym, co nas łączy, jest wspólny wróg: Antoniusz. I wydaje mi się, że gdzieś w tym całym chaosie musi istnieć podstawa do porozumienia.

– Do którego zawarcia, jak właśnie nas poinformowałeś, nie masz upoważnienia – odezwał się Agrypa.

– Wierz mi, młody człowieku, że jeśli chcecie dogadać się z senatem, jestem waszą jedyną nadzieją. I powiem ci coś jeszcze: przekonanie ich nie będzie wcale takie łatwe, nawet dla mnie. Będzie tam wielu, którzy powiedzą: „Nie po to pozbyliśmy się jednego Cezara, żeby sprzymierzać się z następnym”.

– Zgadza się, i wielu po naszej stronie – odparował Agrypa – którzy powiedzą: „Dlaczego mamy walczyć w obronie ludzi, którzy zamordowali Cezara? To tylko podstęp, by przeciągnąć nas na ich stronę do czasu, gdy będą dość silni, by nas zniszczyć”.

Cycero uderzył dłońmi w poręcz fotela.

– Skoro tak uważacie, to niepotrzebnie tu jechałem.

Pochylił się, jakby miał zamiar wstać, ale Oktawian położył mu rękę na ramieniu.

– Nie tak szybko, mój drogi przyjacielu. Nie musisz się obrażać. Zgadzam się z twoją analizą. Moim jedynym celem jest pokonanie Antoniusza i zdecydowanie wolałbym to zrobić z poparciem legalnej władzy senatu.

– Postawmy sprawę jasno – powiedział Cycero. – Czy wolałbyś to zrobić, nawet gdybyś musiał poprosić o pomoc Decymusa, człowieka, który zwabił twojego przybranego ojca w śmiertelną pułapkę?

Oktawian zmierzył go swoimi chłodnymi szarymi oczyma.

– Nie mam z tym żadnego problemu – oznajmił.

Od tego momentu nie miałem wątpliwości, że Cycero i Oktawian dojdą do porozumienia. Nawet Agrypa w widoczny sposób się odprężył. Uzgodniono, że Cycero zaproponuje w senacie, by Oktawianowi, mimo jego młodego wieku, powierzono *imperium* i prawo do prowadzenia wojny z Antoniuszem. W zamian za to Oktawian miał się poddać władzy konsulów. Nie ustalono

dokładnie, co może się zdarzyć w dłuższej perspektywie czasowej, po pokonaniu Antoniusza. Nic nie zostało zapisane.

– Będiesz mógł poznać, czy wypełniłem swoją część porozumienia, czytając moje mowy, które będę ci wysyłał, a także ustawy, które przejdą przez senat – powiedział Cyncero. – A ja po ruchach twoich legionów będę mógł wiedzieć, czy wypełniłeś swoją.

– Jeśli o to chodzi, nie miej żadnych wątpliwości – odparł Oktawian.

Attyk wyszedł, by odszukać zarządcę, i po chwili wrócił z dzbankiem toskańskiego wina i czterema srebrnymi kubkami, które napełnił i rozdał. Cyncero dał krok do przodu, żeby przemówić.

– W tym dniu młodość i doświadczenie, miecz i toga, połączyły się w solennym przymierzu, by ratować republikę. Niechaj każdy z nas uda się stąd na swój posterunek, by jej służyć.

– Za republikę! – powiedział Oktawian, podnosząc swój kubek.

– Za republikę! – powtórzyliśmy wszyscy jak jeden mąż i wypiliśmy.

Oktawian i Agrypa wymówili się grzecznie i nie zostali na noc. Wyjaśnili, że muszą przed zmierzchem dotrzeć do swego pobliskiego obozu, ponieważ nazajutrz zaczynały się Saturnalia i Oktawian miał rozdać podarki swoim ludziom. Po trwającym bardzo długo poklepywaniu się

po plecach i zapewnianiu o wzajemnej dożgonnej sympatii Cycero i Oktawian wreszcie się pożegnali. Do dziś pamiętam słowa, które na odchodnym wypowiedział młodzieniec: „Twoje mowy i mój miecz stworzą alians, którego nic nie pokona”. Po ich odejściu Cycero wyszedł na taras i chodził w kółko na deszczu, żeby uspokoić nerwy, a ja, z przyzwyczajenia, uprzątnąłem kubki z winem. Oktawian, zauważyłem, nie wypił ani kropli.

XVII



Cycero zamierzał zwrócić się do senatu dopiero pierwszego stycznia, kiedy Hircjusz i Pansa mieli objąć funkcje konsulów. Ale po naszym powrocie okazało się, że za dwa dni odbędzie się zwołane przez trybunów nadzwyczajne posiedzenie, na którym miano dyskutować o zbliżającej się wojnie między Antoniuszem a Decymusem. Cycero uznał, że im szybciej spełni obietnicę daną Oktawianowi, tym lepiej. Dlatego wczesnym rankiem poszedł do świątyni Konkordii, by pokazać, że ma zamiar zabrać głos. Ja jak zwykle mu towarzyszyłem i stanąłem przy drzwiach, by spisać jego uwagi.

Kiedy rozeszła się wieść, że Cycero wrócił na swoje miejsce, ludzie zaczęli napływać na Forum. Senatorowie, którzy w innym wypadku raczej nie wzięliby udziału

w posiedzeniu, również postanowili przyjść i wysłuchać tego, co miał do powiedzenia. W ciągu godziny wszystkie ławy się zapełniły. Wśród tych, którzy zmienili plany, był również desygnowany na konsula Hircjusz. Po raz pierwszy od kilku tygodni wstał z łoża boleści i gdy wszedł do świątyni, wzbudził swoim wyglądem głośne westchnienia. Pulchny młody sybaryta, który pomagał Cezarowi pisać *Komentarze* i zapraszał Cyncerona na łabędzie i pawie mózdzki, zmienił się we własny cień, niewiele różniący się od szkieletu. Przypuszczam, że cierpiał na przypadłość, którą Hipokrates, ojciec greckiej medycyny, nazywał *carcino*; na szyi miał bliznę w miejscu, gdzie ostatnio usunięto guz.

Trybunem, który przewodniczył obradom, był Apulejusz, przyjaciel Cyncerona. Zaczął od odczytania wydanego przez Decymusa edyktu, w którym zabraniał on Antoniuszowi wstępu do Galii Przedalpejskiej, ponownie zapewniał o determinacji, z jaką będzie walczył, by prowincja pozostała lojalna wobec senatu, i potwierdzał, że umieścił swoje wojsko w Mutinie. To właśnie w tym mieście doręczyłem przed laty Cezarowi list od Cyncerona i pamiętałem jego krzepkie mury i potężne bramy; wiele zależało od tego, czy wytrzyma długie oblężenie ze strony przeważających sił Antoniusza.

– Za parę dni... a może nawet wcześniej, republika po raz kolejny stanie w ogniu wojny domowej – powiedział Apulejusz, skończywszy czytać. – Pytanie brzmi: co

mamy czynić? Wzywam Cycerona, by przedstawił nam swój pogląd.

Kiedy Cycero wstał z miejsca, setki głów pochyliły się do przodu w oczekiwaniu na to, co powie.

– To spotkanie, szanowni zgromadzeni, nie zostało zwołane ani trochę za wcześnie. Niegodziwa wojna wymierzona w nasze domowe ogniska i ołtarze, w nasze życie i majątki, nie jest już szykowana, ale toczy się, prowadzona przez rozpustnego i próżnego człowieka. Nie ma sensu czekać do pierwszego stycznia, nim coś przedsięwzięmiemy. Antoniusz nie czeka. Atakuje już czcigodnego i szlachetnego Decymusa. I grozi, że z Galii Przedalpejskiej ruszy na Rzym. W gruncie rzeczy zrobiłby to wcześniej, gdyby nie pewien młody człowiek... a właściwie chłopiec, lecz chłopiec odznaczający się niezwykłą i niemal boską inteligencją i odwagą... który sformował armię i ocalił państwo.

W tym momencie przerwał, by jego słowa zostały właściwie zrozumiane. Senatorowie odwracali się jeden do drugiego, by upewnić się, czy dobrze słyszą. W świątyni rozległ się pomruk zdziwienia, któremu towarzyszyły oburzone i podniecone głosy. Czy naprawdę powiedział, że chłopiec ocalił państwo? Dopiero po dłuższej chwili Cycero mógł mówić dalej.

– Owszem, tak właśnie uważam, czcigodni zgromadzeni, tak właśnie to widzę: gdyby nie ten jeden młodzieniec, który stawiał czoło szaleńcowi, naszą

republikę spotkałaby zagłada. To jemu dziś... a jesteśmy tu w tym momencie i możemy się swobodnie wypowiadać tylko dzięki niemu... musimy przyznać prawo obrony republiki nie jako coś, czego po prostu sam się podjął, lecz jako zadanie, które mu powierzyliśmy.

Z grona stronników Antoniusza dobiegło kilka okrzyków: „Nie!” i „Kupił cię!”, ale zagłuszyły je brawa pozostałych senatorów. Cycero wyciągnął rękę w kierunku drzwi.

– Nie dostrzegacie tłumu na Forum i tego, że w ludzie rzymskim wezbrała nadzieja na odzyskanie wolności? Że widząc, jak tłumnie się tu zgromadziliśmy, liczą na to, że po długiej przerwie spotkaliśmy się jako wolni ludzie?

Tak zaczęło się to, co określano później mianem Trzeciej Filipiki. Cycero zatrzęsł w niej posadami polityki Rzymu. Nie szczędził pochwał Oktawianowi, a właściwie Cezarowi, jak nazwał go po raz pierwszy. („Kto jest bardziej cnotliwy od tego młodzieńca? Kto bardziej skromny? Jaki mamy jaśniejszy przykład staroświeckiej czystości wśród młodzieży?”). Wskazywał strategię, która mogła jeszcze przynieść ratunek republice. („Nieśmiertelni bogowie dali nam tych obrońców: Cezara miastu, Decymusa Galii”). I co było chyba jeszcze ważniejsze dla znudzonych i stroskanych serc, po miesiącach i latach bezwolnej uległości natchnął senat duchem walki.

– Dzisiaj, pierwszy raz po długiej przerwie, stajemy się wolni. Urodziliśmy się dla chwały i wolności. A jeśli w długich dziejach naszej republiki nadszedł już jej ostatni epizod, zachowajmy się tak, jak czynią to najlepsi z gladiatorów, którzy przyjmują śmierć z podniesionym czołem; zadbajmy o to, byśmy my również, skoro przodujemy pośród wszystkich innych narodów na ziemi, raczej polegli z honorem, niż poddali się w hańbie.

Te słowa wywarły na zgromadzonych tak wielkie wrażenie, że kiedy Cyncero usiadł, duża część senatorów wstała i pośpieszyła, by mu pogratulować. Było jasne, że w tym momencie odniósł całkowity sukces. Z jego inicjatywy zgłoszono wniosek, by podziękować Decymusowi za obronę Galii Przedalpejskiej, wyrazić uznanie Okawianowi za jego „pomoc, odwagę i trzeźwy osąd sytuacji” i obiecać mu przyszłe zaszczyty, kiedy tylko konsulowie elektowie zwołają posiedzenie senatu w nowym roku. Ustawa przeszła ogromną większością głosów. Następnie, co niezwykle, trybunowie poprosili Cyncerona, żeby to on, a nie urzędujący dostojnik, wyszedł na Forum i poinformował lud o decyzjach senatu.

Zanim wyjechał, by spotkać się z Oktawianem, mówił nam, że władza w Rzymie leży w pyle na ulicy, czekając po prostu na tego, kto ją podniesie. To właśnie uczynił owego dnia. Obserwowany przez senatorów, wspiął się na rostra i stanął przed tymi wszystkimi tysiącami obywateli.

– Wasza nieprzebrana liczba, Rzymianie – zawołał do nich – a także rozmiary tego zgromadzenia... największego, jakie pamiętam... każą mi bronić republiki i dają nadzieję na jej przywrócenie! Mogę wam powiedzieć, że senat podziękował właśnie Gajuszowi Cezarowi, który bronił i broni państwa oraz waszej wolności!

Tłum przyjął jego słowa z potężnym aplauzem.

– Dziękuję wam! – krzyknął Cyncero, starając się, by jego głos dotarł do wszystkich. – Dziękuję wam, Rzymianie, za to, że zareagowaliście gorącymi brawami na imię tego najszlachetniejszego z młodzieńców. Boskie i nieśmiertelne zaszczyty należą mu się za boskie i nieśmiertelne usługi, jakie nam oddał! Toczycie walkę, Rzymianie, z wrogiem, z którym niemożliwe jest zawarcie pokoju. Antoniusz jest nie tylko niegodziwym łotrem. Jest też potworną i dziką bestią. Nie chodzi o to, na jakich warunkach pozwoli się nam żyć, lecz czy w ogóle ocalimy życie, czy też sześniemy w mękach i hańbie! Co do mnie, nie będę szczędził wysiłków na waszą rzecz. Dzisiaj pierwszy raz po długiej przerwie, za moją radą i na mój wniosek zaświtała nam nadzieja wolności!

Powiedziawszy to, cofnął się o krok, by zasygnalizować, że mowa jest skończona, a tłum ryknął i zatupał nogami na znak aprobaty. Tak zaczęła się

ostatnia i najbardziej chwalebna faza publicznej kariery Cyncerona.

* * *

Na podstawie swoich notatek odtworzyłem obie mowy i kolejny raz zatrudniono zespół skrybów, żeby je skopiowali. Następnie wywieszono je na Forum i wysłano do Brutusa, Kasjusza, Decymusa i innych mężów stanu wspierających sprawę republiki. Naturalnie obie mowy trafiły także do Oktawiana, który natychmiast je przeczytał i po tygodniu nadeszła jego odpowiedź:

Gajusz Cezar do swojego przyjaciela i mentora Marka Cyncerona.

Pozdrowienia!

Bardzo mi się spodobały Twoje najnowsze filipiki „Cnotliwy... skromny... czystość... boska inteligencja” – doprawdy płoną mi uszy! Mówiąc serio, nie przesadzaj z tymi pochwałami, mój stary, bo jeszcze cię rozczaruję. Bardzo chciałbym porozmawiać z Tobą pewnego dnia o niuansach oratorstwa – wiem, ile mógłbym się od Ciebie nauczyć w tej i innych dziedzinach. A zatem – naprzód! Kiedy tylko dowiem się od Ciebie, że moje wojsko zostało uznane za legalne i mam niezbędne upoważnienia, by prowadzić wojnę, wyślę moje legiony na północ i zaatakuję Antoniusza.

Wszyscy czekali teraz niecierpliwie na następne posiedzenie senatu, które miało się odbyć pierwszego stycznia. Cyncero wściekał się, że tracimy drogocenny czas. „Najważniejszą zasadą w polityce jest kuć żelazo, póki gorące”, mówił. Odwiedził nawet Hircjusza i Pansę i namawiał ich, żeby zwołali sesję wcześniej, oni jednak

odmówili, twierdząc, że nie mają do tego prawa. Mimo to wierzył, że mu ufają i że będą w trójkę tworzyli wspólny front. Lecz kiedy z nastaniem nowego roku złożono, zgodnie z tradycją, ofiarę na Kapitolu i senat przeszedł do świątyni Jowisza, by debatować na temat stanu państwa, Cyncero doznał nie milego wstrząsu. Zarówno Pansa, który przewodniczył obradom i wygłosił mowę na otwarcie, jak i Hircjusz, który przemówił po nim, wyrazili nadzieję, że choć sytuacja jest trudna, być może uda się jednak znaleźć pokojowe rozwiązanie z Antoniuszem. Nie takie słowa chciał usłyszeć.

Jako były konsul spodziewał się, że to on będzie mógł teraz zabrać głos, i wstał z miejsca. Pansa zignorował go jednak i udzielił głosu swojemu teściowi, dawnemu stronnikowi Klodiusza i kompanowi Antoniusza, Kwintusowi Kalenusowi, który nigdy nie został wybrany na konsula, lecz sprawował ten urząd z nominacji dyktatora. Był to przysadzisty, krzepki mężczyzna o posturze kowala. Nie uchodził za wielkiego mówcę, ale walił prawdę prosto w oczy i słuchano go z szacunkiem.

– Ten kryzys określony został przez uczonego i czcigodnego Cyncerona jako wojna, którą republika prowadzi przeciwko Markowi Antoniuszowi. To nie odpowiada prawdzie, panowie. Mamy do czynienia z wojną między trzema różnymi stronami: Antoniuszem, który został namiestnikiem Galii Przedalpejskiej w wyniku głosowania senatu i ludu; Decymusem, który

nie chce zdać dowództwa; oraz chłopcem, który sformował prywatną armię i zadowolony się wszystkim, co uda mu się zdobyć. Z tej trójki znam i osobiście popieram Antoniusza. Być może, idąc na kompromis, moglibyśmy mu zaoferować namiestnictwo Galii Zaalpejskiej? A jeśli to dla was za dużo, proponuję, żebyśmy zachowali przynajmniej neutralność.

Kiedy usiadł, Cyncero ponownie wstał z miejsca. Ale Pansa ponownie go zignorował i udzielił głosu Lucjuszowi Pizonowi, byłemu teściowi Cezara, którego Cyncero uważał naturalnie za sojusznika. Pizo wygłosił jednak długą mowę, której sens sprowadzał się do tego, że zawsze widział w Antoniuszu zagrożenie dla państwa, lecz przeżywszy już jedną wojnę domową, nie chce przeżyć następnej i sądzi, że senat powinien podjąć ostatnią próbę ratowania pokoju, wysyłając do Antoniusza delegację, by przedłożyć mu warunki jego zawarcia.

– Moim zdaniem, powinien poddać się woli senatu i ludu, odstąpić od oblężenia Mutiny i wycofać swoją armię na italski brzeg Rubikonu, ale nie bliżej niż dwieście mil od Rzymu. Jeśli tak uczyni, to nawet w ostatniej chwili będzie można uniknąć wojny. A jeśli tak nie uczyni i wojna wybuchnie, świat nie będzie miał przynajmniej wątpliwości, kto ponosi za to winę.

Kiedy Pizo skończył mówić, Cyncero nie zadał sobie nawet trudu, by wstać, tylko siedział ze spuszczoną głową, wbijając wściekły wzrok w podłogę. Następnym

mówcą był jego kolejny domniemany sojusznik, Serwiliusz Watia Izaurykus, który wygłosił mnóstwo frazesów i mówił gorzko o Antoniuszu, ale jeszcze bardziej gorzko o Oktawianie. Był spowinowacony z Brutusem i Kasjuszem i podniósł kwestię, nad którą w duchu zastanawiało się wielu.

– Od przybycia do Italii Oktawian wypowiadał się w najbardziej agresywny sposób, przysięgając, że pomści śmierć swego tak zwanego ojca i wymierzy sprawiedliwość jego zabójcom. Tym samym wysuwa groźby wobec najznakomitszych obywateli naszego państwa. Czy zapytano ich, co sądzą o zaszczytach, które planuje się teraz dla adoptowanego syna Cezara? Jakie mamy gwarancje, że jeśli uczynimy tego ambitnego i niedojrzałego watażkę „mieczem i tarczą senatu”, jak sugeruje szlachetny Cyncero, nie zmieni on frontu i nie użyje tego miecza przeciwko nam?

Tych pięciu mówców, którzy zabrali głos po uroczystym otwarciu obrad, zajęło cały krótki styczniowy dzień i Cyncero wrócił do domu, nie wygłosivszy przygotowanej wcześniej mowy. „Pokój!”, prychnął, jakby wypluwał z siebie to słowo. W przeszłości był zawsze orędownikiem pokoju; teraz już nie. „Cóż za para pozbawionych kręgosłupa miernot – skarżył się na konsulów, wysunąwszy wojowniczo podbródek. – Tyle godzin uczyłem ich, jak we właściwy sposób przemawiać! I co mi z tego przyszło? Lepiej bym zrobił, ucząc ich, jak

prawidłowo myśleć!”. Co się tyczy Kalenusa, Pizona i Serwiliusza, uznał ich za „głupawych asekurantów”, „tchórzy” i „politycznych dziwolągów” – po jakimś czasie przestałem spisywać sypiące się z jego ust obelgi. Oddalił się do gabinetu, by napisać na nowo swoje przemówienie, i nazajutrz rano wyruszył na drugi dzień debaty, niczym wojenny okręt w pełnym rynsztunku bojowym.

Już na samym początku sesji wstał z miejsca i nie siadał, sygnalizując, iż oczekuje, że będzie poproszony o zabranie głosu jako następny, i nie zamierza się pogodzić z odmową. Siedzący za nim jego stronnicy wykrzykiwali jego imię i w końcu Pansa nie miał innego wyjścia i wskazał gestem, że udziela mu głosu.

– Niczego w życiu, czcigodni zgromadzeni, nie oczekiwałem tak niecierpliwie jak nadejścia nowego roku, a wraz z nim posiedzenia senatu. Czekaliśmy... lecz ci, którzy prowadzą wojnę przeciwko państwu, nie marnowali czasu. Czy Marek Antoniusz pragnie pokoju? Jeżeli tak, niech złoży broń. Niech poprosi o pokój. Niech zaapeluje do nas o łaskę. Ale śłanie posłów do człowieka, którego przed trzynastu dniami odsądziliśmy od czci i wiary, nie jest wcale śmieszne. To jest... muszę powiedzieć szczerze, co o tym myślę... to jest szaleństwo.

Zupełnie jakby wyrzucał pociski z jakiejś potężnej balisty, Cyncero zbijał jeden po drugim argumenty swoich oponentów. Antoniusz nie miał prawnego tytułu do rządzenia w Galii Przedalpejskiej: jego nominacja została

zatwierdzona przez pozbawione stosownych prerogatyw zgromadzenie podczas burzy z piorunami. Był fałszerzem. Był złodziejem. Był zdrajcą. Powierzenie mu Galii Zaalpejskiej byłoby oddaniem mu dostępu do „paliwa wojny: nieograniczonych finansów” – cały ten pomysł był absurdalny.

– I właśnie do tego człowieka, wielkie nieba, mamy słać posłów? On nigdy nie posłucha niczyich posłów! Dobrze znam arogancję i szaleństwo tego osobnika. W ten sposób jednak zmitrzymy sporo czasu. Przygotowania do wojny zwolnią tempo... już teraz osłabły w wyniku naszej opieszałości i zwłoki. Gdybyśmy działali szybciej, w ogóle uniknęlibyśmy wojny. Każde zło łatwo zmiażdżyć, gdy dopiero się rodzi; kiedy pozwoli mu się okrzepnąć, zawsze nabiera siły. Proponuję więc, panowie, żebyśmy nie wysyłali żadnych posłów. Zamiast tego powinno się ogłosić stan wyjątkowy, zamknąć sądy, przywdziać mundury wojskowe, zacząć werbowanie wojska, zawiesić w Rzymie i w całej Italii zwolnienia od służby wojskowej i uznać Antoniusza za wroga publicznego...

Spontaniczny ryk aplauzu i tupanie nogami zagłuszyły dalsze słowa, ale on mówił dalej:

– ...jeśli zrobimy to wszystko, Antoniusz poczuje, że wypowiedział wojnę państwu. Zazna na własnej skórze, co znaczy energia i siła jednomyślnego senatu. Mówi, że to wojna partii. Jakich partii? Tę wojnę wznieciły nie

żadne partie, lecz on sam! A teraz przejdę do osoby Gajusza Cezara, do którego mój przyjaciel Watia Izaurykus żywi tak silne obawy i uprzedzenia. Jednak gdyby nie on, któż z nas zachowałby życie? Jakież bóg podarował ludowi rzymskiemu tego zesłanego z niebios chłopca? To dzięki niemu upadła tyrania Antoniusza. Dlatego powierzmy Cezarowi niezbędne dowództwo, bez którego nie sposób administrować sprawami wojskowymi, formować armii ani prowadzić wojny. Niech zostanie propretorem z maksymalnymi pełnomocnictwami przynależnymi tej nominacji. Na nim opiera się nasza nadzieja na wolność. Znam tego młodego człowieka. Nie ma dlań nic droższego od dobra republiki, nic ważniejszego od reprezentowanej przez was władzy, nic bardziej pożądanego od opinii szlachetnych mężów, nic słodsze od prawdziwej chwały. Ośmielę się nawet dać wam swoje słowo, czcigodni zgromadzeni... wam i ludowi Rzymu: obiecuję, przyrzekam i uroczyście przysięgam, że Gajusz Cezar będzie zawsze takim obywatelem, jakim jest dzisiaj, obywatelem, jakim wszyscy szczerze pragniemy i modlimy się, by pozostał.

Ta mowa, a w szczególności ta obietnica zmieniły wszystko. Uważam, że można śmiało stwierdzić – a coś takiego rzadko zdarza się w przypadku jakiegokolwiek oracji – że gdyby Cyncero nie wygłosił swojej Piątej Filipiki, historia potoczyłaby się innym torem, ponieważ zdania w senacie były podzielone prawie po równo i dopóki nie

zabrał głosu, debata szła po myśli Antoniusza. Słowa Cyclerona zmieniły jej kierunek i teraz więcej mówców opowiadało się za wojną. W gruncie rzeczy mógłby przeforsować wszystkie swoje wnioski, gdyby jeden z trybunów, niejaki Salwiusz, nie zgłosił weta, przedłużając debatę o kolejny dzień i dając żonie Antoniusza, Fulwii, możliwość stawienia się przy drzwiach świątyni i błagania o łaskę. Razem z nią pojawili się jej małoletni syn – ten, którego posłano ongiś na Kapitol jako zakładnika – oraz leciwa matka Antoniusza, Julia, która była kuzynką Cezara i którą powszechnie podziwiano za szlachetną prezencję. Wszyscy ubrani byli na czarno i ich widok łapał za serce: trzy pokolenia sunące przejściem między ławami, z dłońmi uniesionymi w błagalnym geście. Każdy senator zdawał sobie sprawę, że jeśli uzna się Antoniusza za wroga publicznego, jego majątek zostanie zarekwirowany i cała trójka wyląduje na bruku.

– Błagamy was, oszczędźcie nam tego poniżenia! – zawołała Fulwia.

Głosowanie, by uznać Antoniusza za wroga państwa, zostało w związku z tym przegrane; przeszedł wniosek, by posłać do niego delegację, która przedstawi ostateczne warunki pokoju. Jednak wszystkie inne decyzje zgodne były z tym, co proponował Cycero: armia Oktawiana została uznana za legalną i połączona z armią Decymusa pod insygniami senatu; Oktawianowi mimo młodego wieku nadano godność senatora i powierzono mu

stanowisko propretora wraz z *imperium*; mając na względzie przyszłość, obniżono również o dziesięć lat wiek, w którym można się było ubiegać o konsulat (choć Oktawianowi nadal brakowało do tego wymogu trzynastu lat). Zapewniono sobie lojalność Plankusa i Lepidusa, potwierdzając, że pierwszy zostanie w następnym roku konsulem, i honorując drugiego połączonym konnym posągiem na rostrach; nakazano także natychmiast rozpoczęcie werbowania nowej armii i wprowadzenie w Rzymie i w całej Italii stanu militarnej gotowości.

Po raz kolejny trybunowie poprosili Cyncerona, a nie konsulów, o przedstawienie decyzji senatu tysiącom zebranych na Forum. Kiedy powiedział im, że do Antoniusza ma zostać wysłana delegacja pokojowa, rozległ się zbiorowy jęk zawodu. Cyncero podniósł ręce w uspokajającym geście.

– Domyślam się, Rzymianie, że wy także, podobnie jak ja, jesteście temu przeciwni, i macie słuszne powody. Proszę was jednak o cierpliwość. Powiem wam to samo, co powiedziałem wcześniej w senacie. Przewiduję, że Marek Antoniusz zignoruje posłów, spustoszy ziemię, będzie oblegać Mutinę i zwerbujecie kolejne oddziały. I nie sądzę, że kiedy dowie się, co powiedziałem, zmieni plany i podporządkuje się senatowi, by pokazać, jak bardzo się myliłem. Posunął się już zbyt daleko, by to zrobić. Stracimy trochę cennego czasu, ale nie lękajcie się; i tak

przypadnie nam ostateczne zwycięstwo. Inne narody mogą znieść niewolę, ale najcenniejszą rzeczą, jaką posiada naród rzymski, jest wolność.

* * *

Nazajutrz z Forum wyruszyła delegacja pokojowa. Cyncero, chcąc nie chcąc, wybrał się tam, by ją pożegnać. Na posłów wybrano trzech byłych konsulów: Lucjusza Pizona, który był autorem całego pomysłu i w związku z tym nie bardzo mógł odmówić; ojczyzna Oktawiana, Marka Filippusa, którego udział w delegacji Cyncero określił jako „coś odrażającego i skandalicznego”; oraz jego starego przyjaciela, Serwiusza Sulpicjusza, który był w tak fatalnym stanie zdrowia, że Cyncero błagał go o zmianę decyzji.

– To dwieście pięćdziesiąt mil w środku zimy, przez zasypany śniegiem kraj, w którym grasują wilki i bandyci, a na samym końcu czekają cię surowe warunki obozu wojskowego. Na litość boską, drogi Serwiuszu, wymów się chorobą i pozwól, by znaleźli na twoje miejsce kogoś innego.

– Zapominasz, że walczyłem u boku Pompejusza pod Farsalos. Widziałem, jak giną tam najlepsi synowie ojczyzny. Ostatnią usługą, jaką chciałbym oddać republice, będzie próba sprawienia, by coś takiego nigdy nie wydarzyło się ponownie.

– Twoje motywy są jak zwykle szlachetne, ale słabo orientujesz się w sytuacji. Antoniusz roześmieje ci się w twarz. Cała twoja udręka pójdzie na marne, spowoduje, że wojna będzie trwała dłużej.

Serwiusz posłał mu smętne spojrzenie.

– Co się stało z moim przyjacielem, który tak bardzo nienawidził żołdactwa i kochał swoje książki? Trochę mi go brakuje. Z całą pewnością wolałem go od podżegacza, który wznieca w motłochu żądzę krwi.

Z tymi słowami wsiadł do lektyki i wyruszył wraz z innymi w długą podróż.

Tak jak przewidywał Cycero i przed czym ostrzegał, przygotowania do wojny wyraźnie zwolniły tempo. Rzymianie czekali na wynik misji pokojowej. Choć w całej Italii odbywał się zaciąg do nowych legionów, bezpośrednio niebezpieczeństwo wydawało się zażegnane i sprawy nie traktowano jako pilnej. Tymczasem jedynymi oddziałami pozostającymi do dyspozycji senatu były dwa legiony – Marsowy i czwarty – które obozowały w pobliżu Rzymu i opowiedziały się wcześniej za Oktawianem. Uzyskawszy od niego pozwolenie, zgodziły się pomaszerować pod rozkazami jednego z konsulów na północ, by wesprzeć obleganego Decymusa. O tym, który z konsulów obejmie dowództwo, miało zgodnie z prawem rozstrzygnąć losowanie i przez okrutny żart bogów wygrał je chory Hircjusz. Patrząc na upiornie wyglądającego konsula, który z widocznym

bólem wspiął się w swym czerwonym płaszczu po stopniach Kapitolu, złożył Jowiszowi tradycyjną ofiarę z białego byka i odjechał na wojnę, Cycero nie mógł się uwolnić od złych przeczuć.

* * *

Minął prawie miesiąc, zanim miejski herold ogłosił, że do miasta zbliżają się powracający z misji pokojowej posłowie. Pansa tego samego dnia zwołał posiedzenie senatu, by wysłuchać ich sprawozdania. Tylko dwóch weszło do świątyni – Pizo i Filippus. Pizo wystąpił do przodu i posępnym głosem oznajmił, że waleczny Serwiusz zaraz po dotarciu do kwatery głównej Antoniusza zmarł z wyczerpania. Ponieważ stało się to w dużej odległości od Rzymu, do którego podróż w zimie trwałaby bardzo długo, zamiast wieźć ciało do domu, spalono je na miejscu.

– Muszę wam powiedzieć, panowie, że Antoniusz otoczył Mutinę potężnym systemem machin oblężniczych i przez cały nasz pobyt w obozie bezustannie zasypywał miasto pociskami. Nie pozwolił nam bezpiecznie przekroczyć linii frontu, żebyśmy mogli porozmawiać z Decymusem. Co się tyczy warunków, które z waszego upoważnienia mu przedstawiliśmy, odrzucił je i przedłożył własne. – Pizo wyjął list i zaczął czytać. – Zrezygnuje ze stanowiska namiestnika Galii

Przedalpejskiej, ale tylko jeśli w zamian otrzyma na pięć lat namiestnictwo Galii Zaalpejskiej wraz z dowództwem armii Decymusa. W ten sposób będzie miał pod swoimi rozkazami łącznie sześć legionów. Domaga się, by wszystkie dekrety, które wydał w imieniu Cezara, uznano za legalne; by zamknięto dochodzenie w sprawie zniknięcia skarbu państwa ze świątyni Ops; by amnestionowano jego popleczników; i na koniec, żeby jego żołnierze dostali zaległy żołd i by poza tym przydzielono im ziemię. – Pizo zwinął dokument i schował go do rękawa. – Zrobiliśmy, co w naszej mocy, panowie. Nie będę ukrywał, że jestem rozczarowany. Obawiam się, że ta izba będzie musiała uznać, iż republika znajduje się w stanie wojny z Markiem Antoniuszem.

Cycero wstał z miejsca, ale Pansa ponownie udzielił głosu swojemu teściowi, Kalenusowi.

– Nie zgadzam się, by używać w tym kontekście słowa „wojna”. Wprost przeciwnie, uważam, panowie, że mamy tutaj podstawy do zawarcia honorowego pokoju. To ja pierwszy powiedziałem w tej izbie, że powinno się zaoferować Antoniuszowi Galię Zaalpejską, i cieszę się, że przyjął tę propozycję. Przystał na wszystkie nasze główne warunki. Decymus nadal będzie namiestnikiem. Mieszkańcom Mutiny zaoszczędzi się dalszej udręki. Rzymianin nie podniesie broni na Rzymianina. Po tym, jak Cycero kręci głową, widzę, że nie podoba mu się to, co

mówię. To gniewny człowiek. Ośmielę się powiedzieć więcej: to gniewny starzec. Pozwólcie, że mu przypomnę, iż w tej nowej wojnie nie będą ginęli ludzie w naszym wieku. Będzie ginąć jego syn, mój syn i wasi synowie, szanowni zgromadzeni... twój, twój i twój. Powiadam wam: zawrzyjmy rozejm z Antoniuszem i spróbujmy w pokojowy sposób przewyciężyć dzielące nas różnice, tak jak pokazali nam nasi waleczni koledzy, Pizo, Filippus i nieodżałowany Serwiusz.

Mowa Kalenusa została ciepło przyjęta. Było jasne, że Antoniusz wciąż ma w senacie popleczników, wśród nich swojego legata, filigranowego Kotylę, którego wysłał na południe, by informował go o nastrojach panujących w Rzymie. Kiedy Pansa udzielał głosu kolejnym mówcom – w tym także wujowi Antoniusza, Lucjuszowi Cezarowi, który oznajmił, że z racji więzów krwi zobowiązany jest bronić swojego siostrzeńca – Kotyla ostentacyjnie notował ich uwagi, prawdopodobnie po to, by móc przekazać je swojemu pryncypałowi. Zgromadzonym dziwnie działało to na nerwy i pod koniec dnia większość izby, w tym Pansa, przegłosowała, żeby z wniosku wykreślić słowo „wojna” i ogłosić zamiast tego, że państwo znajduje się w stanie „tumultu”.

Pansa udzielił głosu Cycleronowi dopiero nazajutrz rano. Ponownie jednak obróciło się to na jego korzyść. Nie tylko oczekiwano z wielką uwagą jego wystąpienia,

ale też mógł teraz zbić argumenty poprzednich mówców. Zaczął od Lucjusza Cezara.

– Tłumaczy to, jak zagłosował, rodzinnymi koneksjami. Jest wujem. W porządku. Ale czy pozostali też jesteście wujami?

I kiedy już rozśmieszył swoją publiczność – kiedy, jeśli można tak powiedzieć, grunt został przygotowany – starł ich w pył lawiną inwektyw i drwiny.

– Decymus jest atakowany... to nie jest wojna. Oblegana jest Mutina... nawet to nie musi oznaczać wojny. Pustoszy się Galię... czyż może być coś bardziej pokojowego? Mamy do czynienia z wojną, panowie, jakiej nikt jeszcze wcześniej nie widział! Bronimy świątyń nieśmiertelnych bogów, bronimy naszych murów, domów i praw, które przysługują nam od urodzenia. Bronimy naszych ołtarzy, domowych ognisk i grobów przodków, naszych sądów, wolności, żon, dzieci i ojczyzny. A po drugiej stronie Marek Antoniusz walczy, żeby zniszczyć to wszystko i splądrować państwo. W tym momencie mój dzielny i energiczny przyjaciel Kalenus przypomina mi o korzyściach płynących z pokoju. Ale pytam cię, Kalenusie: jaki pokój masz na myśli? Czy niewolę nazywasz pokojem? Trwają ciężkie walki. Wysłaliśmy trzech czołowych reprezentantów senatu, żeby interweniowali. Antoniusz potraktował ich z pogardą. A mimo to pozostajesz jego najbardziej nieugiętym obrońcą! Jakąż hańbą okrył nas wczorajszy

dzień! „Och, a może byśmy tak zawarli rozejm?”. Rozejm? W obecności tych posłów, na ich oczach, zasypywał Mutinę pociskami. Pokazywał im swoje fortyfikacje i maszyny oblężnicze. Ani na jeden moment, choć byli tam nasi senatorowie, nie odstąpił od murów miasta. Posłować do tego człowieka? Paktować z nim? Powiem to bardziej ze smutkiem, niż żeby kogoś obrazić: jesteśmy osieroceni, panowie. Osieroceni przez naszych przywódców. Na jak wiele pozwoliliśmy Kotyli, posłowi Marka Antoniusza? Choć z mocy prawa bramy tego miasta powinny być przed nim zamknięte, wpuszczono go do tej świątyni. Przyszedł na posiedzenie senatu. Zapisywał, jak głosowaliście i co mówiliście. Nawet ci, którzy zajmują najwyższe stanowiska, starają się o jego względy, hańbiąc swój urząd. O nieśmiertelni bogowie! Gdzie się podziała dawna odwaga naszych przodków?! Niech Kotyla wraca do swojego wodza, ale pod warunkiem, że jego noga nigdy więcej nie postanie w Rzymie.

Senatorowie oniemieli. Od czasów Katona nikt ich tak bardzo nie zawstydził. Na koniec Cycero zgłosił nowy wniosek: żeby tym, którzy walczą pod rozkazami Antoniusza, dać czas do id marcowych; później ci, którzy będą dalej służyli w jego armii lub do niego dołączają, zostaną uznani za zdrajców. Propozycja przeszła ogromną większością głosów. Nie było już mowy

o żadnym rozejmie, pokoju i paktowaniu. Cyncero miał swoją wojnę.

* * *

Dzień albo dwa po pierwszej rocznicy zabójstwa Cezara – która przeszła prawie niezauważenie, jeśli nie liczyć kwiatów złożonych na jego grobie – Pansa podążył w ślad za swoim kolegą Hircjuszem na wojnę. Konsul wyruszył z Pola Marsowego na czele armii składającej się z czterech legionów: prawie dwadzieścia tysięcy ludzi ściągniętych z każdego zakątka Italii. W kategoriach potęgi militarnej wyglądało to jednak mniej imponująco, niż mogło się wydawać. Większość stanowili surowi rekruci – rolnicy, stajenni, piekarze i pracze, którzy nawet nie nauczyli się jeszcze równo maszerować. W rzeczywistości ich siła była symboliczna. Republika zbroiła się przeciwko uzurpatorowi Antoniuszowi.

Po wyjeździe obu konsulów najwyższym obecnym w mieście urzędnikiem stał się pretor miejski Marek Kornutus – żołnierz wybrany przez Cezara za swoją lojalność i dyskrecję. Choć miał znikome kwalifikacje polityczne, okazało się, że musi teraz przewodniczyć obradom senatu. Wkrótce oddał się całkowicie w ręce Cyncerona, który w ten sposób, w wieku sześćdziesięciu trzech lat, stał się po raz pierwszy od czasów swojego konsulatu sprzed dwudziestu lat rzeczywistym władcą

Rzymu. To do Cyserona wszyscy namiestnicy prowincji adresowali swoje sprawozdania. To on decydował, kiedy ma się zebrać senat. To w jego rękach były nominacje na wszystkie główne stanowiska. To w jego domu tłoczyli się od rana do wieczora petenci.

W lekkim tonie tak opisywał swój powrót do władzy w liście do Oktawiana:

Chyba się nie przechwalam, twierdząc, że w tych dniach nic nie może się zdarzyć w tym mieście bez mojej aprobaty. W gruncie rzeczy to nawet lepsze od konsulatu, ponieważ nikt nie wie, gdzie zaczyna się, a gdzie kończy moja władza; w związku z tym, żeby mnie przypadkiem nie urazić, wszyscy ze mną wszystko konsultują. Właściwie, kiedy się nad tym zastanowić, to nawet lepsze od dyktatury, ponieważ nikt nie będzie mnie winił, jeśli coś pójdzie nie tak! To dowód, że człowiek nigdy nie powinien mylić tytularnego urzędu z rzeczywistą władzą – kolejna ojcowska rada pochodząca od Twojego starego przyjaciela i mentora, którą będziesz mógł wykorzystać w czekającej cię świetlanej przyszłości, mój chłopcze.

Pod koniec marca Oktawian odpisał na ten list, informując, że robi to, co obiecał: jego licząca prawie dziesięć tysięcy żołnierzy armia zwijała obóz na południe od Bononii¹², przy Via Aemilia, i ruszała, by dołączyć do wojsk Hircjusza i Pansy idących na ratunek oblężonej Mutinie.

Oddaję się pod rozkazy konsulów. W ciągu najbliższych dwóch tygodni spodziewamy się stoczyć wielką bitwę z Antoniuszem. Obiecuję, że będę się starał walczyć w polu tak samo mężnie, jak Ty czynisz to w senacie. Jak to mówili spartańscy wojownicy? „Wróć z tarczą albo na tarczy”.

Mniej więcej w tym samym czasie do Cyncerona zaczęły napływać wieści o wydarzeniach na wschodzie. Od Brutusa, który przebywał w Macedonii, dowiedział się, że Dolabella – podążający na czele niewielkich sił do Syrii – dotarł aż do Smyrny na wschodnim wybrzeżu Morza Egejskiego, gdzie spotkał się z namiestnikiem Azji, Treboniuszem. Treboniusz potraktował go dość uprzejmie i pozwolił nawet ruszyć dalej. Jednak w nocy Dolabella potajemnie zawrócił, wkroczył do miasta, uwięził Treboniusza i przez dwa dni i dwie noce poddawał go okrutnym torturom, łamiąc kołem, biczując i przypalając gorącym żelazem, by dowiedzieć się, gdzie ukrył swój skarb. Następnie na rozkaz Dolabelli złamano Treboniuszowi kark i ucięto głowę, którą żołdacy Dolabelli doszczętnie zmasakrowali, kopiąc w tę i z powrotem po ulicach miasta. Jego ciało zostało okaleczone i wystawione na widok publiczny. „Tak umarł pierwszy z zabójców, którzy zamordowali Cezara – oznajmił podobno Dolabella. – Pierwszy, ale z pewnością nie ostatni”.

Szcątki Treboniusza przewieziono do Rzymu i przed oddaniem ich rodzinie do spalenia zbadano je, by potwierdzić, w jaki sposób zginął. Jego żaloszny los wywarł potężne wrażenie na Cynceronie i innych przywódcach republiki. Wiedzieli teraz, czego mogą się spodziewać, jeśli wpadną w ręce swoich wrogów, zwłaszcza po tym, jak Antoniusz wystosował list otwarty do konsulów,

zapewniając o swojej lojalności wobec Dolabelli i wyrażając zadowolenie z tego, co spotkało Treboniusza: *To, że złoczyńca poniósł karę, jest powodem do radości.* Cycero przeczytał ten list na głos w senacie i wzmocnił on determinację zgromadzonych, by nie zawierać żadnego kompromisu. Dolabella został uznany za wroga publicznego. Cycleronem wstrząsnęło zwłaszcza to, że jego były zięć okazał się zdolny do takiego okrucieństwa. „I pomyśleć – żalił mi się potem – że ten potwór mieszkał pod moim dachem i dzielił łożę z moją biedną najdroższą córką; pomyśleć, że właściwie lubiłem tego drania... któż wie, jakie bestie drzemią w ludziach, którzy są nam bliscy?”.

Nie da się opisać nerwowego napięcia, w jakim pozostawał w te dni na początku kwietnia, czekając na wieści spod Mutiny. Najpierw nadeszły dobre wiadomości. Po miesiącach bez słowa kontaktu odezwał się w końcu Kasjusz, informując, że objął całkowitą kontrolę nad Syrią: że wszystkie strony konfliktu – cezarianie, republikanie i niedobitki pompejańczyków – garną się do niego i że ma pod swoim dowództwem armię liczącą nie mniej niż jedenaście legionów. *Chcę, byś wiedział, że Ty i Twoi przyjaciele w senacie macie potężne wsparcie i możecie bronić państwa z nadzieją i odwagą.* Brutus także odnosił sukcesy i zebrał w Macedonii kolejnych pięć legionów, czyli około dwudziestu pięciu tysięcy żołnierzy. Był z nim młody Marek, który

werbował i szkolił kawalerzystów: *Twój syn zdobył moje uznanie swoją energią, wytrwałością, ciężką pracą i bezinteresownością, faktycznie w każdej dziedzinie służby.*

Później jednak nadeszły złowrogie wiadomości. Po ponadczteromiesięcznym oblężeniu Mutiny Decymus był w srogich opałach. Mógł komunikować się ze światem zewnętrznym tylko za pośrednictwem gołębi pocztowych i kilka ptaków, którym udało się przedostać, przyniosło wieści o głodzie, chorobach i niskim morale. Tymczasem Lepidus maszerował ze swoimi legionami tam, gdzie miała się rozegrać bitwa z Antoniuszem, i namawiał Cyncerona oraz senat, żeby rozważyli nową ofertę rozmów pokojowych. Cyncerona tak rozdrażnił tupet tego aroganckiego i słabego człowieka, że podyktował mi list, który został wysłany tej samej nocy.

Cyncero do Lepidusa.

Ciesz się moim pragnieniem zaprowadzenia pokoju między obywatelami, ale tylko jeśli potrafisz odróżnić ów pokój od niewoli. W przeciwnym razie powinieneś zrozumieć, że wszyscy rozsądni ludzie wolą śmierć od poddaństwa. W mojej ocenie postępuj mądrzej, jeśli nie będziesz się już więcej wtrącał w tę sprawę, bo jest to nie do zaakceptowania zarówno dla senatu i ludu, jak i dla każdego uczciwego człowieka.

Cyncero nie miał złudzeń. W mieście i w senacie wciąż można było znaleźć setki popleczników Antoniusza. Wiedział, że jeśli Decymus się podda albo jeśli armie Hircjusza, Pansy i Oktawiana poniosą klęskę, on będzie

pierwszym, którego pojną i stracą. Na wszelki wypadek kazał wrócić do kraju dwóm z trzech stacjonujących w Afryce legionów, które miały bronić Rzymu. Mogły jednak przybyć dopiero w połowie lata.

Krzyzys wybuchł dwudziestego kwietnia. Wczesnym rankiem pretor miejski Kornutus wspiął się na Palatyn. Razem z nim był kurier wysłany przez Pansę przed sześcioma dniami. Kornutus miał ponurą minę

– Powtórz Cycleronowi, co mi przed chwilą powiedziałaś – rzekł do kuriera.

– Wibiusz Pansa z przykrością donosi o katastrofalnej klęsce – oznajmił kurier drżącym głosem. – Wraz ze swoją armią został zaskoczony przez siły Marka Antoniusza pod wioską Forum Gallorum. Natychmiast dał o sobie znać brak doświadczenia naszych ludzi. Nasze linie szybko przełamano i zaczęła się regularna rzeź. Konsulowi udało się uciec, ale jest ranny.

Cycero poszarzał na twarzy.

– A Hircjusz i Oktawian? Czy coś o nich wiemy? – zapytał.

– Nie – odparł Kornutus. – Pansa zmierzał do ich obozu, ale został zaatakowany, zanim do nich dołączył.

Cycero jęknął głośno.

– Czy mam zwołać posiedzenie senatu? – zapytał Kornutus.

– Nie, wielcy bogowie, nie! – zawołał Cycero. – Powiedz mi prawdę – zwrócił się do posłańca. – Czy w Rzymie wie

o tym ktoś jeszcze?

Posłaniec pochylił głowę.

– Pojechałem najpierw do domu konsula. Był tam jego teść.

– Kalenus!

– Niestety o wszystkim się dowiedział – stwierdził ponuro Kornutus. – Jest w tym momencie w portyku Pompejusza, dokładnie tam, gdzie zaatakowano Cezara, i opowiada każdemu, kto chce tego słuchać, że płacimy cenę za to bezbożne zabójstwo. Oskarża cię, że zamierzasz przejąć władzę jako dyktator. Udało mu się chyba zebrać całkiem pokaźny tłum.

– Powinniśmy cię ewakuować z Rzymu – powiedziałem do Cyclerona.

– Nie, nie – odparł, kręcąc stanowczo głową. – To oni są zdrajcami, nie ja. Do diabła, na pewno nie ucieknę. Znajdź Apulejusza – rozkazał pretorowi miejskiemu, jakby ten był jego głównym zarządcą. – Powiedz, żeby zwołał zgromadzenie ludowe, a potem po mnie przyszedł. Przemówię do ludzi. Muszę ich uspokoić. Trzeba im przypomnieć, że na wojnie zawsze zdarzają się złe wiadomości. A ty – zwrócił się do posłańca – nie piśnij już nikomu ani słowa, bo każę cię zakuć w kajdany. Rozumiesz?

Nigdy nie podziwiałem Cyclerona bardziej niż tamtego dnia, gdy zajrzała mu w oczy zguba. Poszedł do swojego gabinetu, by ułożyć przemówienie, a ja obserwowałem

z tarasu, jak na Forum zaczynają się zbierać obywatele. Panika ma swoje szczególne właściwości. Przez długie lata nauczyłem się je rozpoznawać. Ludzie podbiegają jeden do drugiego. Grupy tworzą się i rozchodzą. Czasami przestrzeń publiczna całkiem pustoszeje. Przypomina to tuman kurzu unoszący się i wirujący przed burzą.

Apulejusz, zgodnie z poleceniem, wdrapał się z mozołem na wzgórze i zaprowadziłem go do Cyncerona. Oznajmił, że krążą plotki, iż Cyncero ma otrzymać różgi dyktatora. Był to oczywiście podstęp – prowokacja, która miała się stać pretekstem do jego zamordowania. Stronnicy Antoniusza zamierzali następnie, biorąc przykład z Brutusa i Kasjusza, zająć Kapitol i próbować go utrzymać aż do czasu, gdy do miasta przybędzie ich pryncypał.

– Czy możesz mi zagwarantować bezpieczeństwo, jeśli zejde na Forum i przemówię do ludu? – zwrócił się Cyncero do Apulejusza.

– Nie mogę ci dać absolutnej gwarancji, ale spróbujemy cię chronić.

– Przyślij jak największą eskortę i daj mi godzinę, żebym mógł się przygotować.

Trybun odszedł i ku mojemu zdumieniu Cyncero oświadczył, że weźmie kąpiel, ogoli się i przebierze w świeże ubranie.

– Postaraj się wszystko zapisać. To będzie świetne zakończenie twojej książki – powiedział mi, po czym

oddalił się w towarzystwie domowych niewolników.

Kiedy godzinę później wyszedł z kąpieli, Apulejusz zgromadził już na ulicy silną straż składającą się głównie z gladiatorów, innych trybunów i ich sług. Cycero wziął głęboki oddech, drzwi otworzyły się i miał właśnie przekroczyć próg, gdy zobaczył nadbiegających liktorów pretora, którzy torowali drogę Kornutusowi. Pretor trzymał w ręku list, po twarzy płynęły mu łzy. Zbyt zdyszany i przejęty, by się odezwać, wcisnął ją po prostu Cycleronowi w rękę.

Hircjusz do Kornutususa. Pod Mutiną.

Przesyłam ci to w pośpiechu. Dzięki wstawiennictwu bogów udało nam się odwrócić wcześniejszą klęskę i odnieść wielkie zwycięstwo nad wrogiem. To, co utraciliśmy w południe, odzyskaliśmy przed zmierzchem. Poprowadziłem dwadzieścia kohort legionu czwartego, żeby odbić Pansę, i runąłem na żołnierzy Antoniusza, którzy świętowali zwycięstwo. Zdobyliśmy dwa legionowe orły i sześćdziesiąt innych znaków. Antoniusz wraz z niedobitkami armii uciekł do swojego obozu, gdzie go otoczyliśmy. Teraz to on zakosztuje uroków oblężenia. Stracił większość oddziałów weteranów; ma tylko konnicę. Znalazł się w beznadziejnej sytuacji. Mutina jest uratowana. Pansa został ranny, ale wydobrzeje. Niech żyje senat i lud rzymski! Przekaż wiadomość Cycleronowi.

XVIII



To, co nastąpiło potem, było najwspanialszym dniem w życiu Cyncerona – trudniej wywalczonym niż jego zwycięstwo nad Werresem, bardziej emocjonującym niż objęcie konsulatu, bardziej radosnym niż pokonanie Katyliny, bardziej historycznym aniżeli powrót z wygnania. Wszystkie te triumfy zbladły w porównaniu z ocaleniem republiki.

Tego dnia odebrałem największą nagrodę za wiele dni znoju i nieprzespanych nocy – napisał Cyncero do Brutusa. – Cała ludność Rzymu zgromadziła się przed moim domem i eskortowała mnie na Kapitol, a potem, wśród burzliwej owacji, zawiiodła na mównicę.

Triumf był tym słodszy, im bardziej gorzka była poprzedzająca go desperacja.

– To jest wasze zwycięstwo! – zawołał z rostrów do zgromadzonych na Forum tysiący.

– Nie! – odkrzyknęli. – To twoje zwycięstwo!

Nazajutrz w senacie zaproponował, by uhonorować Panse, Hircjusza i Oktawiana bezprecedensowym, trwającym pięćdziesiąt dni dziękczynieniem, a także wznieść pomnik ku czci poległych.

– Krótkie jest życie, które dała nam natura, ale pamięć o życiu oddanym w szlachetnej sprawie trwa wiecznie.

Żaden z jego wrogów nie śmiał mu się sprzeciwić: zostali w domach albo głosowali tak, jak tego żądał. Oklaskiwano go za każdym razem, gdy przekraczał próg domu. Był u szczytu sławy. Potrzebował jeszcze tylko oficjalnego potwierdzenia, że Antoniusz zginął.

Tydzień później nadszedł list od Oktawiana.

Gajusz Cezar do swojego przyjaciela Cycerona.

Piszę ten list przy świetle lampy wieczorem dwudziestego pierwszego. Chciałem jako pierwszy zawiadomić Cię, że odnieśliśmy drugie wielkie zwycięstwo nad wrogiem. Przez cały tydzień moje legiony, współdziałając ściśle z legionami walecznego Hircjusza, szukały słabego punktu w liniach obronnych obozu Antoniusza. Zeszłej nocy znaleźliśmy odpowiednie miejsce i dziś rano zaatakowaliśmy. Walka była krwawa i zażarta, rzeź okrutna. Uczestniczyłem w niej w samym środku. Mój chorąży padł martwy tuż obok mnie. Wziąłem na ramię legionowego orła i poniosłem go dalej. To zagrzało do boju naszych ludzi. Decymus, widząc, że nadszedł decydujący moment, wyprowadził w końcu swoje siły z Mutiny i dołączył do bitwy. Większa część armii Antoniusza została rozgromiona. Sam łajdak uciekł ze swoją konnicą i sądząc po tym, jaki obrał kierunek, ma zamiar przekroczyć Alpy.

Tyle dobrych wieści. Teraz muszę Ci jednak przekazać gorsze. Hircjusz, mimo szwankującego zdrowia, walczył z wielkim animuszem i zapędziwszy się do środka nieprzyjacielskiego obozu, dotarł do namiotu samego Antoniusza, gdzie został fatalnie ugodzony mieczem w szyję. Zabrałem jego ciało i wysłałem je do Rzymu, gdzie, jestem pewien, dopilnujesz, by pochowano go z honorami należnymi dzielnemu konsulowi. Napiszę ponownie, kiedy tylko będę mógł. Może zawiadomisz jego siostrę.

Skończywszy czytać, Cyncero przekazał mi list, po czym zacisnął pięści i wzniosł wzrok do nieba.

– Dziękuję bogom, że pozwolili mi dożyć tej chwili – powiedział.

– Choć wielka szkoda, że Hircjusz stracił życie – dodałem, myśląc o wszystkich tych kolacjach pod gwiazdami w Tusculum.

– To prawda. Boleję nad jego losem. Mimo to o wiele lepiej jest zginąć szybką i chwalebnią śmiercią, aniżeli powoli i boleśnie konać w łóżu. Ta wojna czekała na swojego bohatera. Postaram się wynieść Hircjusza na wakujący piedestał.

Tego ranka zabrał ze sobą list Oktawiana do senatu, mając zamiar przeczytać go na głos, wygłosić „eulogię, która zaćmi wszystkie eulogie”, i zaproponować państwowy pogrzeb dla Hircjusza. Miarą jego euforii było to, jak mało się przejął śmiercią konsula. Na schodach świątyni Konkordii spotkał się z przybywającym właśnie pretorem miejskim. Ze wszystkich stron nadchodzili senatorowie. Przeprowadzano auspicia. Kornutus szeroko się uśmiechał.

– Po twojej minie wnoszę, że ty także wiesz już o ostatecznej klęsce Antoniusza? – zapytał.

– Jestem wniebowzięty. Teraz musimy dopilnować, żeby łajdak nam się nie wymknął.

– Och, możesz wierzyć staremu żołnierzowi: mamy dość ludzi, żeby go dorwać. Ale wielka szkoda, że kosztowało nas to życie konsula.

– To prawda... fatalnie się stało. – Obaj mężczyźni zaczęli ramię przy ramieniu wspinać się po schodach prowadzących do wejścia. – Pomyślałem sobie, że jeśli nie masz nic przeciwko temu, mógłbym wygłosić eulogię – rzekł Cyncero.

– Oczywiście, chociaż Kalenus zapytał mnie już wcześniej, czy może coś powiedzieć.

– Kalenus! A cóż on ma z tym wspólnego?

Kornutus zatrzymał się i spojrział ze zdziwieniem na Cyncerona.

– No cóż, Pansa był w końcu jego zięciem...

– O czym ty mówisz? Źle to wszystko zrozumiałeś. Pansa żyje; to Hircjusz stracił życie.

– Nie, nie. Zapewniam cię, że Pansa. Wczoraj wieczorem dostałem wiadomość od Decymusa. – Kornutus podał Cynceronowi list. – Píše, że zaraz po zakończeniu oblężenia udał się do Bononii, by naradzić się z Pansą w kwestii pościgu za Antoniuszem. Okazało się jednak, że Pansa zmarł z ran odniesionych w pierwszej bitwie.

Cycero nie chciał w to wierzyć. Dopiero przeczytawszy list Decymusa, musiał uznać, że to prawda.

– Ale Hircjusz również nie żyje: zabito go podczas szturm na obóz Antoniusza – powiedział. – Mam tutaj list od młodego Cezara, potwierdzający, że zajął się jego zwłokami.

– Obaj konsulowie nie żyją?

– To się nie mieści w głowie. – Cycero był do tego stopnia oszołomiony, że pomyślałem, iż może się zachwiać i spaść ze schodów. – W całych dziejach republiki tylko ośmiu konsulów zmarło w trakcie pełnienia urzędu. Ośmiu! Przez prawie pięćset lat! A teraz tracimy dwóch w jednym tygodniu!

Kilku przechodzących senatorów zatrzymało się i spojrzało na nich. Zdając sobie sprawę, że mogą zostać podsłuchani, Cycero odciągnął Kornutusa na bok.

– To fatalny moment, ale musimy sobie jakoś poradzić – powiedział do niego cichym, nagłym tonem. – Nic nie może nam przeszkodzić w dopadnięciu i zniszczeniu Antoniusza. To jest najważniejszy punkt naszej strategii. Wielu naszych kolegów będzie chciało wykorzystać tę tragedię do swoich niecznych celów.

– Owszem, ale kto ma dowodzić naszą armią po śmierci konsulów?

Cycero wydał z siebie dźwięk będący czymś pośrednim między jękiem a westchnieniem i przyłożył

rękę do czoła. Jakże pokrzyżowało mu to szyki, zakłóciło misternie tworzoną równowagę sił!

– Cóż, obawiam się, że nie ma innego wyjścia – mruknął. – To musi być Decymus. Jest najstarszy i najbardziej doświadczony. I jest namiestnikiem Galii Przedalpejskiej.

– A co z Oktawianem?

– Oktawiana zostaw mnie. Ale jeśli chcemy go utrzymać w naszym obozie, musimy przegłosować przyznanie mu najwyższych honorów i złożenie dziękczynienia.

– Czy rozsądnie jest tak bardzo wzmacniać jego pozycję? Któregoś dnia zwróci się przeciwko nam, jestem tego pewny.

– Być może masz rację. Ale z nim będziemy mogli uporać się później. Może zostać wyniesiony, nagrodzony i skreślony.

Była to jedna z tych cynicznych uwag, które Cycero wygłaszał często, żeby się popisać: gra słów, żart dla wtajemniczonych, nic więcej.

– Świetne, muszę to zapamiętać: wyniesiony, nagrodzony i skreślony – powiedział Kornutus.

Następnie zaczęli dyskutować o tym, w jaki sposób poinformować o wszystkim senat, jakie zgłosić wnioski oraz jak zorganizować głosowanie. Wreszcie weszli obaj do świątyni.

– W jednej i tej samej chwili naród odniósł triumf i doświadczył tragedii – zwrócił się Cycero do milczącego senatu. – Śmiertelne niebezpieczeństwo zostało zażegnane, ale odbyło się to kosztem śmiertelnych ofiar. Właśnie nadeszła wiadomość, że odnieśliśmy drugie i decydujące zwycięstwo pod Mutiną. Antoniusz wraz z garstką swoich popleczników salwował się ucieczką. Nie wiemy, dokąd zmierza: na północ, w stronę gór, czy do bram samego piekła! (Odnutowałem w tym momencie oklaski). Ale muszę wam zakomunikować, panowie, że Hircjusz nie żyje. Pansa nie żyje. – (Okrzyki żalu i zdumienia, protesty). – Bogowie domagali się ofiary, żebyśmy odkupili niedołęstwo i szaleństwa ostatnich miesięcy i lat, i nasi dwaj waleczni konsulowie zapłacili najwyższą cenę. W stosownym czasie ich ziemskie szczątki dotrą do miasta. Pochowamy ich z najwyższymi honorami. Na cześć ich męstwa wzniesiemy wielki pomnik, który ludzie będą oglądać przez tysiąc lat. Ale oddamy im największy hołd, jeśli doprowadzimy do końca zadanie, które prawie wykonali, i raz na zawsze pozbędziemy się Antoniusza! – (Oklaski). – Proponuję, by w związku ze śmiercią naszych konsulów pod Mutiną oraz koniecznością dalszego prowadzenia wojny Decymus Juniusz Albinus został głównodowodzącym walczących w polu wojsk senatu, a Gajusz Juliusz Cezar Oktawian jego zastępcą we wszelkich kwestiach. Żeby w uznaniu ich znakomitych umiejętności dowódczych,

bohaterstwa i sukcesów imię Decymusa Juniusza Albinusa umieszczono w rzymskim kalendarzu dla uwiecznienia na zawsze dnia jego urodzin, a Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi Oktawianowi przyznano zaszczyt owacji, kiedy tylko będzie mógł przybyć do Rzymu, by go przyjąć.

Debata, która nastąpiła po tej przemowie, przyniosła wiele złego. *Zdałem sobie tego dnia sprawę, że w senacie można o wiele pręcej liczyć na mściwość niż na wdzięczność*, napisał Cyncero do Brutusa. Wacia Izaurykus, tak samo zazdroszczący Oktawianowi, jak wcześniej zazdrościł Antoniuszowi, zakwestionował pomysł wyprawienia mu owacji, co pozwoliłoby na paradę jego legionów w Rzymie. Ostatecznie Cyncero zdołał przeforsować tę propozycję tylko dzięki temu, że zgodził się przyznać Decymusowi jeszcze większy zaszczyt odprawienia triumfu. Powołano liczącą dziesięć osób komisję, która miała nagrodzić w gotówce i w ziemi wszystkich żołnierzy: chodziło o to, by odciągnąć ich od Oktawiana, zredukować obiecane im sumy i umieścić na żołdzie senatu. Żeby jeszcze bardziej upokorzyć obu dowódców, ani Oktawiana, ani Decymusa nie zaproszono do tej komisji. Kalenus, cały w żałobie, domagał się również, by w celu ustalenia, czy Pansa nie został zamordowany, ujęto i przesłuchano – jeśli okaże się to konieczne, z zastosowaniem tortur – jego lekarza Glykona.

– Pamiętajcie, że na początku zapewniano nas, że jego obrażenia nie są groźne, a teraz widzimy, że pewne osoby bardzo skorzystały na jego śmierci – powiedział, w oczywisty sposób pijąc do Oktawiana.

Generalnie wszystko potoczyło się w tym dniu nie tak, jak powinno, i Cycero musiał tego wieczoru usiąść i napisać do Oktawiana, by wyjaśnić mu sytuację.

Posyłam Ci przez tego samego kuriera uchwały, które zostały dzisiaj uzgodnione w senacie. Mam nadzieję, że podobnie jak podporządkowałeś się wcześniej konsulom, zaakceptujesz teraz logikę, zgodnie z którą Ty i Twoi żołnierze znajdziecie się pod dowództwem Decymusa. Komisja Dziesięciu to czysta głupota, którą spróbuję odkręcić, tylko daj mi trochę czasu. Powinieneś tam być, mój drogi przyjacielu, i słyszeć te peany! Sklepienie drżało, gdy sławiono Twoją odwagę i lojalność, i z przyjemnością zawiadamiam Cię, że w historii republiki będziesz najmłodszym dowódcą, który dostąpił zaszczytu owacji. Nie ustawaj w pościgu za Antoniuszem i zachowaj w swoim sercu miejsce dla mnie, podobnie jak ja zachowuję dla ciebie.

Po tym liście zapadła cisza.

* * *

Przez dłuższy czas Cycero nie miał żadnej wiadomości z teatru działań wojennych. Trudno się temu dziwić. Walki toczyły się w odludnych, niegościnnych okolicach. Pocieszał się, wyobrażając sobie, że Antoniusz z nieliczną garstką żołnierzy przedziera się przez niedostępne górskie przełęcze, podczas gdy Decymus usiłuje odciąć mu drogę ucieczki. Dopiero trzynastego maja przyszły

listy od Decymusa – i jak to się często zdarza, nie jeden, lecz od razu trzy. Zniosłem je bezzwłocznie do Cyncerona, który siedział w gabinecie; otworzył czym prędzej kasetkę z dokumentami i po kolei je przeczytał. Pierwszy był datowany dwudziestego dziewiątego kwietnia i bardzo zaniepokoił Cyncerona. *Będę próbował nie dopuścić do tego, by Antoniusz utrzymał się w Italii. Natychmiast ruszę za nim w pościg.*

– Natychmiast? – spytał ze zdziwieniem Cyncero, ponownie sprawdzając datę w nagłówku listu. – O czym on mówi? Pisze to osiem dni po tym, jak Antoniusz uciekł spod Mutiny...

Następny list został napisany tydzień później, kiedy Decymus w końcu odtrąbił wymarsz.

Przyczyny, mój drogi Cynceronie, dla których nie mogłem od razu ścigać Antoniusza, są następujące: nie miałem konnicy, nie miałem zwierząt jucznych. Nie wiedziałem o śmierci Hircjusza. Nie ufałem Cezarowi, dopóki się z nim nie spotkałem i nie porozmawiałem. Tak minął pierwszy dzień. Rankiem następnego dostałem list od Pansy, który wzywał mnie do Bononii. W drodze otrzymałem wiadomość o jego śmierci. Pośpieszyłem więc z powrotem do tego, co zostało z mojej własnej armii. Niestety jej liczebność bardzo spadła i jest w marnym stanie z powodu braku najniezbędniejszych rzeczy. Antoniusz zyskał nade mną dwa dni przewagi i jako ścigany pokonywał o wiele większe odległości niż ja jako ścigający, ponieważ posuwał się skokami, a ja w regularnym szyku. Gdziekolwiek zawitał, otwierał baraki z niewolnikami i zabierał ze sobą mężczyzn, nie zatrzymując się nigdzie aż do Vady. Wygląda na to, że zgromadził całkiem znaczne siły. Możliwe, że uda się do Lepidusa.

Gdyby Cezar mnie posłuchał i przekroczył Apeniny, zdołałbym osaczyć Antoniusza i wykończyłby go brak zaopatrzenia, a nie chłodna

stal. Ale Cezar nie przyjmuje niczyich rozkazów, a jego armia nie przyjmuje ich od niego – jedno i drugie jest bardzo złe. Jestem zaniepokojony, bo nie wiem, jak zmienić tę sytuację. Nie mam czym karmić moich ludzi.

Trzeci list napisany był dzień po drugim i wysłany z podnóża Alp. *Antoniusz jest w marszu. Zmierza do Lepidusa. Proszę, postaraj się dalej działać w Rzymie. Jeśli zdołasz, przeciwstaw się gromom, które spadną na mnie zewsząd.*

– Pozwolił mu uciec – powiedział Cyncero, opierając głowę na dłoni i czytając jeszcze raz jego listy. – Pozwolił mu uciec! A teraz twierdzi, że Oktawian nie może albo nie chce go słuchać jako głównodowodzącego. Mamy tu niezły pasztet!

Odpisał natychmiast Decymusowi, żeby kurier mógł zabrać list.

Z tego, co piszesz, wynika, że ogień wojny wcale nie wygasł, ale płonie coraz silniej. Byliśmy przekonani, że zdesperowany Antoniusz zbiegł z kilkoma nieuzbrojonymi i zdemoralizowanymi stronnikami. Skoro w rzeczywistości starcie z nim mogłoby się okazać niebezpieczne, wnoszę, że bynajmniej nie uciekł spod Mutiny, ale po prostu przeniósł działania wojenne w inne miejsce.

Nazajutrz orszak pogrzebowy Hircjusza i Pansy dotarł do Rzymu w eskorcie oddelegowanej przez Oktawiana konnej straży honorowej. Przeszedł przez ulice o zmierzchu, na oczach milczących i przygnębionych ludzi. Pod rostrami na Forum czekali, by go powitać,

senatorowie, wszyscy w czarnych togach. Kornutus wygłosił eulogię, którą napisał mu Cycero, a potem cały senat ruszył w ślad za marami na Pole Marsowe, gdzie wzniesiono stosy pogrzebowe. Powodowani patriotycznym uniesieniem grabarze, aktorzy i muzycy nie wzięli żadnej zapłaty; Cycero żartował, że kiedy grabarz nie chce od ciebie pieniędzy, wiesz, że jesteś bohaterem. Mimo okazywanej publicznie brawury był w istocie głęboko zatroskany. Kiedy przytknięto pochodnie do stosów i płomienie strzeliły w górę, jego twarz wydawała się w blasku ognia stara i zapadnięta.

Prawie tak samo niepokojące jak fakt, że Antoniuszowi udało się uciec, było to, że Oktawian nie chciał albo nie mógł oddać się pod rozkazy Decymusa. Cycero napisał do niego, prosząc, by podporządkował się edyktowi senatu i przeszedł wraz ze swoimi legionami pod dowództwo namiestnika. *Odlóżmy rozstrzygnięcie wszelkich różnic do czasu, gdy odniesione zostanie zwycięstwo; wierz mi, że najpewniejszą drogą do uzyskania największych zaszczytów w państwie będzie odegranie możliwie dużej roli w pokonaniu jego największego wroga.* Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, co nie wróżyło nic dobrego.

A potem znów przyszedł list od Decymusa.

Labeo Seguliusz opowiadał mi, że był razem z Oktawianem i że dużo o Tobie rozmawiali. Podobno Oktawian w ogóle się na Ciebie nie skarżył, z wyjątkiem jednej uwagi, którą Ci przypisuje: „Ten młody

człowiek powinien być wyniesiony, nagrodzony i skreślony”. Dodawał, że w żadnym wypadku nie pozwoli się skreślić. Co do weteranów, wyrażają się o Tobie bardzo niepochlebnie i grozi Ci z ich strony niebezpieczeństwo. Mają zamiar Cię zastraszyć i zastąpić tym młodym człowiekiem.

Od dawna ostrzegałem Cyncerona, że jego upodobanie do żarcików i zabawnych aforyzmów przysporzy mu któregoś dnia kłopotów. On jednak nie potrafił się powstrzymać. Zawsze cieszył się opinią kostycznego prześmiewcy i w miarę, jak się starzał, wystarczyło, że otworzył usta, by ludzie gromadzili się wokół niego, gotowi wybuchnąć śmiechem. Jego celne komentarze krążyły z ust do ust, a czasami przypisywano mu komentarze, których nigdy nie wygłosił; tak się składa, że skompilowałem całą księgę tych apokryfów. Cezar uwielbiał jego żarty, nawet gdy sam był ich celem – kiedy na przykład zmienił kalendarz i ktoś dopytywał się, czy Psia Gwiazda wzejdzie tego samego dnia co zwykle, Cyncero odparł: „Zrobi to, co jej kazano”. Cezar zanosił się podobno od śmiechu. Ale jego adoptowanemu synowi, mimo innych cennych przymiotów, brakowało nieco poczucia humoru i Cyncero raz w życiu wziął sobie do serca moją radę i napisał do niego list z przeprosinami.

Dowiaduję się, że ten pomyłony głupiec Seguliusz opowiada każdemu, kto ma ochotę tego słuchać, o jakimś żarcie, na który jakoby sobie pozwoliłem, i że dotarł on ostatnio do Twoich uszu. Nie pamiętam, bym coś takiego mówił, ale nie będę się wypierał, bo brzmi to jak coś, co mógłbym od niechcienia rzucić – lekka uwaga poczyniona pod wpływem chwili, niewarta tego, by traktować ją jako poważne

oświadczenie. Wiem, że nie muszę Cię zapewniać, jak ciepłe żywię do Ciebie uczucia, jak pilnie strzegę Twoich interesów, jak bardzo zależy mi, byś odgrywał czołową rolę w naszych sprawach w nadchodzącym czasie; ale jeżeli Cię uraziłem, jest mi naprawdę przykro.

Jego list doczekał się takiej oto odpowiedzi:

Gajusz Cezar do Cyncerona.

Moje uczucia do Ciebie nie uległy zmianie. Niepotrzebne są żadne przeprosiny, chociaż jeśli masz ochotę je złożyć, naturalnie je przyjmuję. Niestety moi poplecznicy nie są tak wielkoduszni. Ostrzegają mnie codziennie, że jestem głupcem, pokładając zaufanie w Tobie i w senacie. Twoja nieostrożna uwaga stała się wodą na ich młyn. Naprawdę... ten edykt senatu! Jak można było oczekiwać, że oddam się pod rozkazy człowieka, który zwabił mojego ojca w śmiertelną pułapkę? Moje stosunki z Decymusem są poprawne, ale nigdy się ze sobą nie zaprzyjaźnimy, a moi żołnierze, którzy są weteranami mojego ojca, nigdy za nim nie pójdą. Tylko jedna rzecz, mówią, mogłaby ich skłonić do tego, by walczyli bez zastrzeżeń pod sztandarami senatu: gdybym został konsulem. Czy to jest niemożliwe? Oba stanowiska konsulów są przecież nieobsadzone, a jeśli mogłem zostać w wieku dziewiętnastu lat propretorem, dlaczego nie mogę być konsulem?

Cyncero pobladł, czytając ten list. Odpisał natychmiast, przekonując go, że chociaż jest zesłany przez bogów, senat nigdy nie zgodzi się, by ktoś, kto nie skończył jeszcze dwudziestu lat, został konsulem. Oktawian odpowiedział mu tak samo szybko.

Wygląda na to, że moja młodość nie stanowi przeszkody, bym dowodził armią w polu, ale nie pozwala mi zostać konsulem. Jeśli wiek jest jedynym problemem, czy nie mógłbym mieć za konsularnego kolegę kogoś równie starego, jak ja jestem młody, kogoś, czyja polityczna mądrość i doświadczenie rekompensowałyby moje braki?

Cycero pokazał ten list Attykowi.

– Co o tym sądzisz? Czy on proponuje to, co ja sądzę, że proponuje?

– Jestem przekonany, że to właśnie ma na myśli. Gotów byłbyś to zrobić?

– Nie będę udawał, że taki zaszczyt nie ma dla mnie znaczenia... bardzo niewiele osób pełniło dwa razy urząd konsula; zyskałbym w ten sposób nieśmiertelną chwałę, a i tak przecież wykonuję nieoficjalnie jego obowiązki. Ale za jaką cenę! Musieliśmy już stawić czoło jednemu Cezarowi, gdy domagał się nienależnego mu stanowiska konsula, i w rezultacie stoczyliśmy wojnę, żeby go powstrzymać. Czy teraz mamy stawić czoło kolejnemu i tym razem posłusznie mu się poddać? Co na to powie senat, co powiedzą Brutus i Kasjusz? Kto podsuwa takie pomysły temu młodzieńcowi?

– Być może nikt nie musi mu ich podsuwać – odparł Attyk. – Być może rodzą się całkiem spontanicznie.

Cycero nie odpowiedział. Wolał nie rozpatrywać takiej ewentualności.

* * *

Dwa tygodnie później dostał list od Lepidusa, który obozował ze swoimi siedmioma legionami nieopodal Pons Argenteus w południowej Galii. Przeczytawszy go,

pochylił się do przodu, oparł głowę na stole i przesunął list w moją stronę.

Przyjaźnimy się od bardzo dawna, ale nie mam wątpliwości, że w obecnym gwałtownym i niespodziewanym kryzysie politycznym moi wrogowie przekazali Ci o mnie fałszywe i niegodne informacje, które mogą przyprawić o smutek Twe patriotyczne serce. Mam do Ciebie jedną gorącą prośbę, drogi Cynceronie. Jeśli moje wcześniejsze życie i postęпки, sumiennosc i dobra wiara, z jakimi zajmowałem się sprawami publicznymi, były wedle Twojej wiedzy godne nazwiska, które noszę, błagam Cię, byś spodziewał się po mnie w nadchodzącym czasie takich samych albo większych rzeczy, za co będę Ci jeszcze bardziej zobowiązany.

– Nie rozumiem – powiedziałem. – Co cię tak przygnębiło?

Cyncero westchnął i usiadł prosto. Ku swojemu przerażeniu spostrzegłem, że ma łzy w oczach.

– Ponieważ ten list oznacza, że ma zamiar połączyć siły z Antoniuszem i szuka dla siebie na zapas jakichś wymówek. Jego dwulicowość jest tak nieudolna, że aż ujmująca.

Miał oczywiście rację. Tego samego dnia, gdy otrzymał owe fałszywe zapewnienia, trzydziestego maja, Antoniusz we własnej osobie – z długimi włosami i brodą, po czterdziestu dniach ucieczki – pojawił się na brzegu rzeki naprzeciwko obozu Lepidusa. Odziany w ciemny płaszcz, przeszedł w bród rzekę, zbliżył się do palisady i zaczął rozmawiać z legionistami. Wielu znało go z wojen galijskich i z wojny domowej i garnęło się, by wysłuchać,

co ma do powiedzenia. Następnego dnia przeprowadził przez rzekę wszystkich swoich ludzi i żołnierze Lepidusa powitali ich z otwartymi rękoma. Zburzyli fortyfikacje i pozwolili nieuzbrojonemu Antoniuszowi wejść do obozu. Ten odnosił się do Lepidusa z największym szacunkiem, nazywał go „ojcem” i obiecywał, że jeśli się do niego przyłączy, zachowa rangę i przywileje generała. Żołnierze wiwatowali. Lepidus się zgodził.

Taką przynajmniej wysmażyli razem bajeczkę. Cycero był przekonany, że spiskowali ze sobą od samego początku i ich spotkanie było wcześniej umówione. Udając, że musiał skapitulować przed siłą wyższą, Lepidus chciał po prostu uchodzić za mniejszego zdrajcę.

Jego list informujący o tym katastrofalnym obrocie rzeczy dotarł do senatu po dziewięciu dniami, ale posłańca poprzedziły budzące panikę plotki. Kornutus przeczytał go na głos w świątyni Konkordii.

Wzywam na świadków bogów i ludzi, jak bardzo całym sercem i umysłem skłaniałem się ku republice i wolności. Już wkrótce dałbym wam tego dowód, gdyby los nie zdecydował za mnie. Moja cała armia, wierna przekonaniu, że należy zawsze oszczędzać życie Rzymian i starać się zachować pokój, podniosła bunt i prawdę mówiąc, zmusiła mnie, bym się do niej przyłączył. Błagam Was i pokornie proszę, byście współczucia okazanego w tym konflikcie przeze mnie i przez moich żołnierzy nie traktowali jako zbrodni.

Kiedy pretor miejski skończył czytać, dało się słyszeć głośne zbiorowe westchnienie, prawie jęk, jakby cała izba wstrzymywała oddech w nadziei, że pogłoski okażą się

nieprawdziwe. Kornutus dał znak Cycleronowi, żeby otworzył debatę. W ciszy, która zapadła, kiedy Cycero podniósł się z miejsca, wyczuwało się niemal dziecinne pragnienie, by usłyszeć słowa otuchy. Ale Cycero nie miał żadnych na podorędziu.

– Ta wiadomość z Galii, wiadomość, której od dawna się spodziewaliśmy i której się baliśmy, nie jest dla nas, czcigodni zgromadzeni, zaskoczeniem. Wstrząsać może tylko tupet, z jakim Lepidus bierze nas wszystkich za idiotów. Błaga nas, pokornie prosi, zaklina... ta kreatura! Nie, nawet nie kreatura... ta nędzna gorzka popłuczyna po szlachetnym rodzie, która przybrała tylko kształt istoty ludzkiej... błaga nas, byśmy nie traktowali jego zdrady jako zbrodni. Co z niego za tchórz! Miałbym dla niego więcej szacunku, gdyby wygarnął nam prosto z mostu prawdę: że ujrzał okazję, by zaspokoić swoje monstrualne ambicje, i znalazł innego złodzieja, by wspólnie z nim dokonać zbrodni. Proponuję, by niniejszym ogłosić go wrogiem publicznym, a cały jego majątek skonfiskować, dzięki czemu będziemy mogli opłacić świeże legiony, które zastąpią te ukradzione przez niego państwu.

Jego słowa spotkały się z głośnym aplauzem.

– Ale sformowanie nowych oddziałów zajmie nam trochę czasu, a na razie musimy zdać sobie sprawę z faktu, że nasza sytuacja strategiczna jest skrajnie niebezpieczna. Jeśli ogień rebelii w Galii rozprzestrzeni

się na cztery legiony Plankusa... a obawiam się, że trzeba być przygotowanym na taką ewentualność... możemy mieć przeciwko sobie prawie sześćdziesiąt tysięcy ludzi pod bronią.

Cycero uznał już wcześniej, że nie będzie pomniejszał rozmiarów kryzysu. W ciszy, która zapadła, dały się słyszeć pomruki niepokoju.

– Nie powinniśmy wpadać w rozpacz – podjął – tym bardziej że sami też mamy taką liczbę żołnierzy, pozostających pod rozkazami szlachetnego Brutusa i walecznego Kasjusza... ale stacjonują oni w Macedonii, stacjonują w Syrii, stacjonują w Grecji. Nie ma ich w Italii. Mamy również jeden legion świeżych rekrutów w Lacjum i dwa legiony afrykańskie, które w tym momencie płyną morzem do domu, żeby bronić stolicy. No i są jeszcze armie Decymusa i Cezara... chociaż jedna z nich jest osłabiona, a druga niezdyscyplinowana. Innymi słowy mamy wszelkie szanse na to, by wygrać. Ale nie można tracić ani chwili. Proponuję, by senat rozkazał Brutusowi i Kasjuszowi wysłać natychmiast do Italii siły, które pozwoliłyby nam obronić Rzym; byśmy przyśpieszyli zaciąg do nowych legionów i ustanowili nadzwyczajny podatek, wynoszący jeden procent od wszelkiej własności, na zakup broni i sprzętu. Jeżeli wszystko to zrobimy i jeżeli będzie nas ożywiał duch naszych przodków oraz wiara w słuszność naszej sprawy,

gorąco wierzę, że w ostatecznym rozrachunku zatriumfuje wolność.

Cycero zakończył mowę z tym samym co zwykle wigorem i siłą, ale kiedy usiadł, oklaski były dość wątłe. W powietrzu unosił się ostry niczym płonąca smoła odór strachu przed klęską.

Następny zabrał głos Watia Izaurykus. Do tej pory ten wyniosły i ambitny patrycjusz był w senacie jednym z najbardziej zaciekłych przeciwników bezczelnego Oktawiana. Sprzeciwiał się powierzeniu mu urzędu propretora; próbował nawet pozbawić go skromnego zaszczytu owacji. Teraz jednak wygłosił na cześć młodego Cezara pean pochwalny, który wszystkich zaskoczył.

– Doszedłem do przekonania, że jeśli Rzym ma się oprzeć zakusom Antoniusza, którego wsparł teraz Lepidus ze swymi legionami, to musimy przede wszystkim polegać na Cezarze. To jego imię jest w stanie powoływać z niebytu całe armie, które maszerują i walczą. To jego przebiegłość może nam przynieść pokój. Na dowód wiary, jaką w nim pokładam, wyznam wam, panowie, że zaproponowałem mu ostatnio rękę mojej córki, i mogę z radością oznajmić, że ją przyjął.

Cycero wzdrygnął się nagle na swojej ławie, jakby coś go ugryzło. Ale Watia mówił dalej:

– Żeby jeszcze bardziej związać tego znakomitego młodzieńca z naszą sprawą i zachęcić jego żołnierzy do walki z Markiem Antoniuszem, składam następujący

wniosek: żeby w obliczu trudnej sytuacji militarnej, spowodowanej zdradą Lepidusa, i w uznaniu zasług, jakie Gajusz Juliusz Cezar Oktawian już oddał republice, zmienić konstytucję w taki sposób, by wolno mu było starać się o urząd konsula *in absentia*.

Cycero przeklinał się później za to, że nie spostrzegł, co się święci. Gdyby się nad tym zastanowił, byłoby jasne, że jeśli Oktawian nie zdoła namówić go, by postarał się o urząd konsula jako jego partner, zwróci się z tym do kogoś innego. Lecz czasami nawet najbardziej przebiegłemu mężowi stanu umykają rzeczy oczywiste i w tym momencie Cycero znalazł się w niezręcznej sytuacji. Musiał zakładać, że Oktawian dobił już targu ze swoim ewentualnym teściem. Czy powinien się z tym pogodzić, czy też zgłosić sprzeciw? Nie miał czasu tego rozważyć. Na ławach wokół niego trwały gorączkowe spekulacje. Watia Izaurykus siedział ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, najwyraźniej bardzo zadowolony z tego, iż wzbudził taką sensację. Kornutus poprosił Cyclerona, by ustosunkował się do propozycji.

Cycero wstał powoli z miejsca, poprawił fałdy togi, rozejrzał się dokoła, odchrząknął – stosując wszystkie znane sztuczki, by zyskać trochę czasu na zebranie myśli.

– Chciałbym przede wszystkim pogratulować szlachetnemu Watii Izaurykusowi znakomitych rodzinnych koneksji, o których właśnie nas poinformował. Wiem, że ów młodzieniec jest patriotą,

człowiekiem honorowym, umiarkowanym, skromnym, walecznym w boju i obdarzonym umiejętnością trzeźwego, chłodnego osądu... jednym słowem posiada wszystkie przymioty, które powinny cechować idealnego zięcia. Nie miał w tym senacie większego orędownika ode mnie. Czekają go w republice pewna i świetlana przyszłość. Jestem przekonany, że zostanie konsulem. Inną kwestią jest jednak to, czy zostanie konsulem w wieku niespełna dwudziestu lat, wyłącznie dlatego, że ma pod swoimi rozkazami armię. Rozpoczęliśmy tę wojnę z Antoniuszem, szanowni zgromadzeni, w imię zasady głoszącej, że żaden człowiek, bez względu na to, jak bardzo jest utalentowany, potężny i złąkniony chwałą, nie może stać ponad prawem. Za każdym razem, gdy w trakcie tych trzydziestu lat, odkąd pełnię służbę publiczną, ulegaliśmy pokusie i ignorowaliśmy prawo... często, jak nam się wówczas wydawało, ze słusznych powodów... posuwaliśmy się o krok w kierunku przepaści. Pomogłem w uchwaleniu specjalnych przepisów, które dawały Pompejuszowi bezprecedensową władzę w wojnie przeciwko piratom. Ta wojna zakończyła się naszym wielkim sukcesem. Ale jej najbardziej trwałą konsekwencją nie była klęska piratów; było nią ustanowienie precedensu, który pozwolił Cezarowi władać Galią przez prawie dziesięć lat i urosnąć w siłę tak bardzo, że państwo nie mogło go kontrolować. Nie twierdzę, że młody Cezar jest podobny

do starego. Ale twierdę, że jeśli uczynimy go konsulem i w rezultacie damy mu władzę nad całą armią, to zdradzimy główną zasadę, o którą walczymy... zasadę, która kazała mi wrócić do Rzymu, gdy miałem zamiar pożeglować do Grecji... że republika rzymska, ze swoim podziałem władzy, ze swoimi corocznymi wolnymi wyborami na każdy urząd publiczny, ze swoimi sądami i ławami przysięgłych, z równowagą sił między senatem i ludem, z wolnością słowa i myśli, jest najszlachetniejszym dziełem rodzaju ludzkiego. I prędeż legnę na ziemi, krztusząc się własną krwią, aniżeli zdradzę zasadę, na której to wszystko się opiera, a która polega na bezwzględnym prymacie rządów prawa.

Jego słowa spotkały się z gorącym przyjęciem i całkowicie zmieniły kierunek debaty – do tego stopnia, że Watia Izaurykus, patrząc na niego spode łba, wycofał później swoją propozycję i w ogóle nie poddano jej pod głosowanie.

* * *

Zapytałem Cyncerona, czy ma zamiar napisać do Oktawiana i wyjaśnić mu swoje stanowisko. W odpowiedzi pokręcił głową.

– Uzasadnienie mojego stanowiska jest zawarte w przemówieniu, a on już wkrótce je dostanie... zadbają o to moi wrogowie – powiedział.

W następnych dniach był zajęty bardziej niż zwykle – pisząc do Brutusa i Kasjusza i nalegając, by przyszli z pomocą chwiejącej się republice (*znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie z powodu zbrodniczej głupoty Marka Lepidusa*), nadzorując działania zbierających podatki inspektorów, objeżdżając kuźnie, by zachęcić kowali do wytwarzania większej ilości broni, a także prowadząc wraz z Kornutusem, który został mianowany dowódcą obrony Rzymu, inspekcję nowo powołanych legionów. Wiedział jednak, że sprawa jest przegrana, zwłaszcza gdy zobaczył Fulwię, którą w towarzystwie licznej świty otwarcie obnoszono w lektyce po Forum.

– Myślałem, że pozbyliśmy się przynajmniej tej zołzy – poskarżył się przy kolacji – a mimo to nadal jest w Rzymie i paraduje po mieście, choć jej mąż został uznany za wroga publicznego. Czy można się dziwić, że znaleźliśmy się w takich opałach? Jak to jest możliwe, skoro cały jej majątek miał być skonfiskowany?

– Pożyczyłem jej trochę pieniędzy – po krótkiej chwili oświadczył cicho Attyk.

– Ty? – Cycero pochylił się nad stołem i popatrzył na niego, jakby ten był jakimś tajemniczym nieznanym. – Dlaczego, na bogów?

– Zrobiło mi się jej żal.

– Nie, to nieprawda. Chciałeś, żeby Antoniusz był ci zobowiązany. To zabezpieczenie. Uważasz, że przegramy.

Attyk nie zaprzeczył temu i Cycero odszedł od stołu.

* * *

Pod koniec tego przekłętego miesiąca, który nosił teraz miano *Julius*, do senatu dotarły wieści, że armia Oktawiana zwinęła obóz w Galii Przedalpejskiej, przekroczyła Rubikon i maszeruje na Rzym. Choć Cyncero chyba się tego spodziewał, ta wiadomość była dla niego bolesnym ciosem. Dał wcześniej słowo ludowi Rzymu, że jeśli ten „zesłany z niebios chłopiec” otrzyma *imperium*, będzie wzorowym obywatelem. *Wszystko sprzysięgło się przeciwko nam w tej wojnie* – skarżył się w liście Brutusowi. – *Piszę to w wielkiej rozpacz, ponieważ wygląda na to, że nie zdołam dotrzymać obietnic dotyczących tego młodzieńca, prawie chłopca, za którego wcześniej tak mocno ręczyłem.* To wtedy właśnie zapytał mnie, czy moim zdaniem honor wymaga, by odebrał sobie życie, i po raz pierwszy spostrzegłem, że nie mówi tego, by się popisać. Odparłem, że moim zdaniem jest na to jeszcze za wcześnie.

– Może i tak, ale muszę być przygotowany. Nie chcę, by ci weterani Cezara zamęczyli mnie na śmierć, tak jak Treboniusza. Pytanie: jak mam to zrobić? Nie wiem, czy starczy mi odwagi, by posłużyć się ostrzem... sądzisz, że potomni będą mieli o mnie gorsze mniemanie, jeśli wybiorę metodę sokratejską i użyję cykuty?

– Z pewnością nie.

Poprosił, bym kupił trochę trucizny w jego imieniu, i tego samego dnia udałem się do doktora, który dał mi mały słoiczek. Nie pytał, do czego jej potrzebuję; przypuszczam, że się domyślał. Mimo woskowej pieczęci czułem przykry odór mikstury, przypominający zapach mysich bobków.

– Specyfik robi się z nasion – wyjaśnił doktor – najbardziej trującej części rośliny, którą rozciera się na proszek. Wystarczy najmniejsza dawka, nie więcej niż szczypta, popita wodą.

– Po jakim czasie osiąga się zamierzony skutek?

– Mniej więcej po trzech godzinach.

– Czy to bolesne?

– Specyfik powoduje powolne dławienie się... Sam sobie odpowiedz.

Wsadziłem słoiczek do pudła, a pudło włożyłem do zamkniętej skrzyni w moim pokoju, jakby można było, chowając go, odroczyć godzinę śmierci.

Nazajutrz na Forum zaczęły się pojawiać grupki legionistów Oktawiana. Wysłał ich przodem czterystu, pragnąc wymusić na senacie przyznanie mu urzędu konsula. Za każdym razem, kiedy spostrzegli jakiegoś senatora, otaczali go, potracali i pokazywali swe miecze, choć na razie ich nie dobywali. Stary wiarus Kornutus nie dał się zastraszyć. Zdecydowany złożyć wizytę Cyceronowi na Palatynie, pretor miejski odpychał ich tak długo, aż w końcu pozwolili mu przejść. Poradził jednak

Cyceronowi, by w żadnym wypadku nie wychodził z domu bez silnej eskorty.

– Uważają, że jesteś odpowiedzialny za śmierć Cezara tak samo jak Decymus i Brutus.

– Żałuję, że nie jestem odpowiedzialny! Wtedy załatwilibyśmy również Antoniusza i nie wpadlibyśmy w tarapaty, w jakich dziś jesteśmy.

– Mam dla ciebie i lepsze wiadomości: wczoraj w nocy przyplłynęły legiony z Afryki i nie straciliśmy ani jednego okrętu. W chwili gdy to mówię, w Ostii wyokrętowuje się osiem tysięcy piechurów i tysiąc kawalerzystów. Wystarczy, by stawić opór Oktawianowi, przynajmniej do czasu, aż Brutus i Kasjusz przyślą nam wsparcie.

– Ale czy są lojalni?

– Zapewnili mnie o tym ich dowódcy.

– W takim razie sprowadź ich tutaj jak najszybciej.

Legiony zeszyły na ląd w odległości zaledwie jednego dnia marszu od Rzymu. Kiedy zbliżyły się do miasta, ludzie Oktawiana wymknęli się na wieś. Po dotarciu straży przedniej do składów soli Kornutus rozkazał kolumnie przemaszerować na oczach zgromadzonych tłumów przez bramę Trigemina i Forum Boarium, mając nadzieję, że podniesie to morale mieszkańców. Następnie legioniści zajęli pozycje na Janikulum. Z tego strategicznego wzniesienia kontrolowali zachodnie podejście do Rzymu i mogli zostać natychmiast użyci do odparcia najeźdźczych oddziałów. Kornutus zapytał

Cycerona, czy nie mógłby się tam udać i wygłosić do żołnierzy budującej mowy. Cycero zgodził się i pod eskortą pięćdziesięciu pieszych legionistów wyniesiono go w lektyce z miasta. Ja pojechałem na mule.

Był gorący, parny dzień bez jednego tchnienia wiatru. Przeszliśmy przez Pons Sublicius¹³ na Tybrze i przez jakiś czas telepaliliśmy się drogą po zaschniętym błocie, mijając dzielnice nędzy, które odkąd pamiętam, zajmowały płaską równinę Vaticanum. W lecie tereny te sływały z malarycznego powietrza i roiło się tam od dokuczliwych owadów. Lektyka Cycerona wyposażona była w siatkę przeciwko komarom, lecz ja jej nie miałem i owady bzyczały mi koło uszu. Cała okolica cuchnęła ludzkimi odchodami. Dzieci ze spuchniętymi z głodu brzuchami gapiły się na nas apatycznie spod drzwi rozpadających się chałup, podczas gdy wszędzie dokoła kręciły się setki dziobiących w śmieciach, nieodganianych wron, które gnieździły się w pobliskim świętym gaju. Minęliśmy bramy Janikulum i zaczęliśmy wspinać się pod górę. Na stoku pełno było żołnierzy, którzy rozbili namioty wszędzie, gdzie tylko znaleźli trochę wolnego miejsca.

Na płaskim szczycie wzniesienia Kornutus ustawił cztery kohorty – prawie dwa tysiące ludzi. Stali w szeregach na skwarze. Odbite od ich hełmów słońce raziło tak mocno, że musiałem osłaniać oczy. Kiedy Cycero wysiadł z lektyki, zapadła kompletna cisza.

Kornutus zaprowadził go na niskie podwyższenie obok ołtarza. Złożono w ofierze owcę. Jej wnętrzności zostały wyciągnięte i zbadane przez haruspików, którzy orzekli, że znaki są pomyślne: „Ostateczne zwycięstwo nie budzi wątpliwości”. W górze krążyły wrony. Kapłan odmówił modlitwę. A potem głos zabrał Cycero.

Nie pamiętam dokładnie, co mówił. Z jego ust padły wszystkie te same co zwykle słowa – o wolności, przodkach, domowych ogniskach, ołtarzach, prawach i świątyniach – ale tym razem słyszałem je, nie słuchając. Patrzyłem na twarze legionistów. Były opalone, szczupłe, obojętne. Niektórzy żuli mastyks. Zobaczyłem tę scenę ich oczyma. Zostali zwerbowani przez Cezara, by walczyć przeciwko królowi Jubie i armii Katona. Wyrznęli tysiące ludzi i od tego czasu utknęli w Afryce. Przepłynęli setki mil, stłoczeni na ciasnych statkach. Mieli za sobą dzień forsownego marszu. Teraz ustawiono ich w szeregach na palącym słońcu, a jakiś starzec mówił coś o wolności, przodkach, domowych ogniskach i ołtarzach – i nic to dla nich nie znaczyło.

Cycero skończył mówić. Zapadła cisza. Kornutus rozkazał im wznieść trzykrotny wiwat. Cisza trwała nadal. Cycero zszedł z podwyższenia, wsiadł do lektyki i wróciliśmy na dół, mijając wygłodzone dzieci z oczyma jak spodki.

* * *

Kornutus przyszedł do Cyncerona nazajutrz rano i poinformował go, że legiony afrykańskie podniosły w nocy bunt. Wyglądało na to, że ludzie Oktawiana zakradli się po ciemku do ich obozów i obiecali żołnierzom dwa razy tyle, ile mógł im zapłacić senat. Tymczasem, jak donoszono, główne siły Oktawiana przemieszczały się na południe wzdłuż Via Flaminia i znajdowały się zaledwie o dzień drogi od Rzymu.

– Co teraz zrobisz? – zapytał Cyncero.

– Zabiję się – odparł Kornutus i uczynił to tego samego wieczoru.

Wolał przystawić sobie czubek miecza do brzucha i upaść nań, niż się poddać.

Był człowiekiem honoru i zasługuje na to, by go pamiętano nie tylko dlatego, że okazał się jedynym członkiem senatu, który wybrał takie wyjście. Kiedy Oktawian zbliżył się do miasta, większość czołowych patrycjuszy wyszła mu na spotkanie i eskortowała go w drodze do Rzymu. Cyncero siedział w swoim gabinecie za zamkniętymi okiennicami. W dusznym, zastałym powietrzu trudno było oddychać. Zaglądałem do niego od czasu do czasu, ale w ogóle się nie poruszał. Patrzył prosto przed siebie i w padającym od okna nikłym świetle jego szlachetna głowa przypominała marmurowe popiersie w opuszczonej świątyni. W końcu mnie zauważył i zapytał, gdzie Oktawian założył swoją kwaterę.

Odparłem, że wprowadził się do domu swojej matki i ojczyzna na Kwirynale.

– Może wysłałbyś wiadomość do Filippusa i zapytał go, co według niego powinienem uczynić.

Zrobiłem, o co prosił, i posłaniec wrócił ze skreśloną naprędce odpowiedzią, że Cyncero powinien przyjść i porozmawiać z Oktawianem. „Moim zdaniem jest do ciebie łaskawie usposobiony”.

Cyncero podniósł się ciężko z fotela. Wielki dom, w którym normalnie roiło się od gości, był pusty. Można by pomyśleć, że od dłuższego czasu nikt w nim nie mieszkał. Pograżone w ciszy sale wyglądały w blasku popołudniowego słońca, jakby wyrzeźbiono je w bursztynie i złocie.

Udaliśmy się razem, w dwóch lektykach, z niewielką eskortą, do domu Filippusa. Ulicy i frontowych drzwi pilnowali wartownicy, ale musieli dostać rozkaz, żeby przepuścić Cyncerona, bo od razu się rozstąpili. Przekraczając próg, zobaczyliśmy wychodzącego Watię Izaurykusa. Oczekiwałem, że jako przyszły teść Oktawiana uśmiechnie się z triumfem i wyższością do Cyncerona, ale on łypnął tylko na niego okiem i przemknął obok nas.

Za ciężkimi otwartymi drzwiami widzieliśmy Oktawiana stojącego w rogu tablinum i dyktującego list sekretarzowi. Dał nam znak, żebyśmy weszli, i dyktował dalej; specjalnie mu się nie śpieszyło. Miał na sobie

zwykłą wojskową tunikę. Jego zbroja, hełm i miecz leżały bezładnie na sofie, tam gdzie je rzucił. Wyglądał niczym młody rekrut. Wreszcie skończył dyktować i odesłał sekretarza.

– Jesteś ostatnim z moich przyjaciół, którzy przyszli mnie przywitać – powiedział, przyglądając się Cycleronowi rozbawionym wzrokiem, który przypomniawszy mi jego przybranego ojca.

– Przypuszczałem, że będziesz zajęty.

– Ach tak? – Oktawian roześmiał się, odsłaniając te swoje paskudne zęby. – Sądziłem, że nie aprobujesz moich działań.

Cycero wzruszył ramionami.

– Świat jest taki, jaki jest. Zerwałem ze zwyczajem aprobowania i dezaprobowania. Jakie to ma znaczenie? Ludzie robią, co im się podoba, bez względu na to, co myślę.

– Więc co chciałbyś teraz robić? Chcesz zostać konsulem?

Przez ułamek sekundy na twarzy Cyclerona pojawiła się chyba ulga i radość, ale potem zrozumiał, że Oktawian tylko żartuje, i światło w jego oczach znów zgasło.

– Teraz stroisz sobie ze mnie żarty – mruknął.

– Rzeczywiście. Wybacz. Moim konsularnym kolegą będzie Kwintus Pediusz, mój daleki krewny, o którym nigdy niczego nie usłyszysz, i na tym polega jego główna zaleta.

– A więc nie Watia?

– Nie. Zaszło tu chyba jakieś nieporozumienie. Nie poślubię również jego córki. Spędzę tutaj trochę czasu, porządkując sprawy, a potem muszę opuścić Rzym i stawić czoło Antoniuszowi i Lepidusowi. Ty też, jeśli chcesz, możesz wyjechać z Rzymu.

– Mogę?

– Owszem, możesz wyjechać z Rzymu. Możesz pisać swoje dzieła filozoficzne. Możesz udać się wszędzie, gdzie chcesz, w granicach Italii. Nie wolno ci jednak podczas mojej obecności wrócić do Rzymu i uczestniczyć w obradach senatu. Nie możesz pisać pamiętników i żadnych prac politycznych. Nie możesz wyjechać z kraju i udać się do Brutusa lub Kasjusza. Czy to jest do przyjęcia? Dasz mi na to swoje słowo? Zapewniam cię, że moi ludzie nie okazaliby takiej wielkoduszności.

Cycero skłonił głowę.

– To istotnie wielkoduszna propozycja. I do przyjęcia. Daję ci moje słowo. I dziękuję.

– W zamian za to, w imię naszej dawnej przyjaźni, gwarantuję ci bezpieczeństwo. – Oktawian wziął do ręki list na znak, że audiencja dobiegła końca. – Jeszcze jedno – dodał, kiedy Cycero odwrócił się do wyjścia. – To nie ma wielkiego znaczenia, ale chciałbym wiedzieć: czy to był żart, czy naprawdę gotów byłbyś mnie skreślić?

– Zrobiłbym pewnie to samo, co ty robisz teraz – odpowiedział Cycero.

XIX



Po tym spotkaniu bardzo szybko upodobnił się do starca. Nazajutrz wyjechał do Tusculum i natychmiast zaczął się skarżyć na coraz słabszy wzrok. Nie chciał nic pisać ani nawet czytać: twierdził, że boli go od tego głowa. Nie znajdował pociechy w swoim ogrodzie. Nikogo nie odwiedzał i z wyjątkiem jego brata nikt nie składał mu wizyt. Siedzieli godzinami na ławce w Liceum, przeważnie się nie odzywając. Jedynym tematem, jaki Kwintus mógł podjąć, by skłonić go do rozmowy, była odległa przeszłość – ich wspólne wspomnienia z dzieciństwa i okresu dojrzewania w Arpinum – i po raz pierwszy usłyszałem, jak Cyncero opowiada długo o swoim ojcu i matce. Akurat jego trudno było oglądać tak bardzo odizolowanego od świata. Przez całe życie zawsze chciał znać najnowsze wieści z Rzymu. Kiedy teraz mówiłem

mu, co obilo mi się o uszy – że Oktawian ustanowił specjalny trybunał, który miał sędzić zabójców Cezara, a nawet że wyruszył z miasta na czele ośmiu legionów, żeby pokonać Antoniusza – nie wygłaszał żadnego komentarza poza jednym: że woli o tym nie myśleć. Jeszcze kilka tygodni takiej egzystencji, pomyślałem sobie, i umrze.

Ludzie pytają mnie często, dlaczego nie próbowałem uciec. Oktawian nie kontrolował przecież w pełni całego kraju. Pogoda była nadal sprzyjająca. Porty nie były obserwowane. Cycero mógł wymknąć się z Italii i dołączyć do swojego syna w Macedonii; jestem przekonany, że Brutus chętnie udzieliłby mu schronienia. Jednak prawdę mówiąc, brakowało mu siły woli, by podjąć tak zdecydowane działania. „Mam dosyć uciekania”, rzekł do mnie z westchnieniem. Nie znajdował w sobie nawet dość energii, by pojechać nad Zatokę Neapolitańską. Poza tym Oktawian zagwarantował mu przecież bezpieczeństwo.

Minął już chyba miesiąc od naszego wyjazdu do Tusculum, kiedy odszukał mnie któregoś ranka i oznajmił, że chciałby przejrzeć swoje stare listy.

– Te ciągłe rozmowy z Kwintusem o naszej młodości odświeżyły moją pamięć – powiedział.

Zachowałem je wszystkie, choć czasami tylko we fragmentach, przychodzące i wychodzące, z ponad trzech dziesięcioleci, posortowane według korespondentów

i ułożone chronologicznie w zwojach. Przyniosłem teraz cylindry do biblioteki, Cycero położył się na sofie, a jeden z sekretarzy zaczął mu je czytać. Było tam wszystko, całe jego życie: wczesne potyczki, by zostać wybranym do senatu, setki spraw sądowych, które brał, by rozśłać swoje nazwisko, i których kulminacją był wielki proces przeciwko Werresowi, a później wybór na edyla, na pretora i wreszcie na konsula, boje z Katyliną i Klodiuszem, wygnanie i powrót, stosunki z Cezarem, Pompejuszem i Katonem, wojna domowa, idy marcowe, powrót do władzy, Tulia i Terencja...

Przez ponad tydzień odtwarzał na nowo swoje życie i pod koniec odzyskał chyba trochę dawnej siły ducha.

– Cóż to była za przygoda – zwierzył mi się, przeciągając się na sofie. – Wszystko to teraz do mnie wróciło, rzeczy dobre i złe, szlachetne i podłe. Naprawdę uważam, że nie chwaląc się, mogę powiedzieć, iż te listy tworzą najbardziej kompletny obraz epoki historycznej, jaki kiedykolwiek sporządził czołowy mąż stanu. I cóż to była za epoka! Nikt inny nie widział tak wiele i nie pisał o tym, kiedy wrażenia były wciąż świeże. To jest historia pisana na żywo, a nie z perspektywy czasu. Przychodzi ci na myśl cokolwiek, do czego można by to przyrównać?

– Za tysiąc lat ludzie będą to czytali z olbrzymim zainteresowaniem – powiedziałem, chcąc podtrzymać w nim ten nowy pogodny nastrój.

– Och, nie chodzi tylko o zainteresowanie! To są dowody, które można przytoczyć na moją obronę! Mogłem przegrać przeszłość i przegrać teraźniejszość, ale zastanawiam się, czy dzięki temu zbiorowi nie mogę jeszcze wygrać przyszłości.

Niektóre listy pokazywały go w złym świetle – jako próżnego, dwulicowego, chciwego i omylnego – i spodziewałem się, że wyłowi najbardziej dobitne tego przykłady i każe mi je zniszczyć. Kiedy jednak zapytałem, które listy powinienem, jego zdaniem, wyrzucić, odparł, że musimy zachować wszystkie.

– Nie mogę zaprezentować się potomności jako wzór wszelkich cnót, bo nikt w to nie uwierzy. Jeżeli to archiwum ma się odznaczać niezbędną autentycznością, muszę stanąć przed muzą historii nagi niczym grecki posąg. Niech przyszłe pokolenia wyśmiewają się, ile chcą, z moich szaleństw i pretensji... ważne jest to, że będą musiały mnie czytać, i na tym będzie polegać moje zwycięstwo.

Ze wszystkich powiedzeń przypisywanych Cynceronowi najsłynniejsze i najbardziej charakterystyczne jest to: „Póki życia, póty nadziei”. Nadal miał swoje życie – a przynajmniej coś na jego kształt; a teraz ujrzał przed sobą słaby promyk nadziei.

Począwszy od tego dnia, całą energię skupił na tym, by ocalić wszystkie swoje papiery. Attyk w końcu zgodził mu się pomóc, ale pod warunkiem, że wolno mu będzie

zabrać wszystkie listy, jakie kiedykolwiek do niego napisał. Cyncero odniósł się raczej pogardliwie do tego przejawu ostrożności, ostatecznie jednak przystał na ten warunek. „Jeśli chce pozostać w dziejach jako marny cień, to jego prawo”. Z pewną niechęcią zwróciłem Attykowi korespondencję, którą tak skrupulatnie gromadziłem przez wiele lat, i patrzyłem, jak zapala węgle w koszu i nie powierzwszy tego zadania żadnemu ze służących, własnoręcznie pali wszystkie zwoje, na których zachowały się jego listy. Następnie zaprzął do pracy swoich skrybów. Sporządzono trzy pełne egzemplarze listów zebranych. Cyncero miał jeden, Attyk drugi, a ja trzeci. Swój egzemplarz wysłałem do mojej posiadłości, wraz z zamkniętymi skrzyniami, w których były wszystkie sporządzone według mojego systemu notatki rejestrujące tysiące spotkań, przemówień, rozmów, powiedzonek i kąśliwych uwag, a także podyktowane przez niego konspekty książek. Napisałem nadzorcy, że całość ma być ukryta w jednej ze stodół, a gdyby coś mi się stało, przekazana Agathe Licynii, wyzwolonej niewolnicy, właścicielce łaźni Venus Libertina w Baiae. Nie byłem pewien, co zrobi z tym Agathe, ale czułem, że mogę jej zaufać bardziej niż komukolwiek innemu na świecie.

Pod koniec listopada Cyncero poprosił mnie, żebym pojechał do Rzymu i sprawdził, czy wszystkie jego papiery są zabrane z gabinetu, a także przeprowadził

ogólną inspekcję. Dom został sprzedany w jego imieniu przez Attyka i wiele mebli już wyniesiono. Zaczynała się zima. Ranek był chłodny, niebo zachmurzone. Włóczyłem się po pustych pokojach, jakbym był niewidzialnym duchem, i wyobrażałem sobie, jak się ponownie zaludniają. Zobaczyłem tablinum znów wypełnione dyskutującymi o przyszłości republiki mężami stanu, usłyszałem w jadalni śmiech Tulii, ujrzałem Cyncerona, jak pochyla się nad swoimi dziełami filozoficznymi w bibliotece i próbuje wytłumaczyć, dlaczego lęk przed śmiercią jest nielogiczny... W oczach stanęły mi łzy; poczułem ból w sercu.

Nagle rozległo się wycie psa – tak głośne i rozpaczliwe, że wszystkie moje słodko-gorzkie fantazje pierzchyły w jednej chwili. Stanąłem w miejscu i zacząłem nasłuchiwać. Nasz stary pies zdechł. To musiał być pies sąsiadów. Wkrótce zawtórowały mu inne. Wyszedłem na taras. Niebo pociemniało od zataczających kręgi szpaków i w całym Rzymie psy wyły niczym wilki. Później rzeczywiście powiadano, że właśnie w tym momencie widziano wilka przebiegającego przez Forum; że z posągów sączyła się krew i przemówiło nowo narodzone dziecko. Usłyszałem tupot stóp i spoglądając w dół, zobaczyłem grupkę mężczyzn pokrzykujących radośnie, biegnących ku rostrom i rzucających do siebie coś, co z początku wziąłem za piłkę, ale potem zdałem sobie sprawę, że to ludzka głowa. Na ulicy zaczęła nagle

krzyżeć jakaś kobieta. Nie zastanawiając się nad tym, co robię, wybiegłem na zewnątrz, by zobaczyć, kim jest, i zobaczyłem klęczącą w rynsztoku żonę naszego leciwego sąsiada, Cezecjusza Rufusa, a za nią pozbawionego głowy trupa, z którego szyi krew lała się przez próg domu. Jej zarządca, którego całkiem dobrze znałem, biegł bezradnie w tę i z powrotem. Spanikowany, złapałem go za ramię i zacząłem nim potrząsać, aż w końcu powiedział mi, co się stało. Oktawian, Antoniusz i Lepidus połączyli siły i opublikowali liczącą setki nazwisk listę senatorów i ekwitów, którzy mieli zostać zabici, a ich majątki skonfiskowane. Wyznaczyli nagrodę w wysokości stu tysięcy sestercji za każdą głowę, która będzie im dostarczona. Na liście figurowali obaj bracia Cynceronowie, a także Attyk.

– To nie może być prawda – zapewniłem go. – Uzyskaliśmy solenną obietnicę.

– To prawda! – zawołał. – Widziałem tę listę na własne oczy.

Pobiegłem z powrotem do domu, gdzie w atrium zebrali się kilku pozostałych jeszcze, wystraszonych niewolników.

– Wszyscy musimy stąd uciekać – powiedziałem im. – Jeśli któregoś z nas złapią, będą go torturować, żeby dowiedzieć się, gdzie przebywa pan. Gdyby do tego doszło, mówcie, że w Puteoli.

Napisałem szybko wiadomość dla Cyncerona: *Ty, Kwintus i Attyk jesteście proskrybowani – Oktawian zdradził cię – szukają cię szwadrony śmierci – ruszaj natychmiast do swojego domu na wyspie – znajdę ci jakąś łódź.* Dałem list stajennemu, kazałem mu wziąć najszybszego konia i doręczyć wiadomość Cynceronowi w Tusculum. Następnie pobiegłem do stajni, znalazłem mój powóz i woźnicę i kazałem mu ruszać do Astury.

Kiedy z turkotem zjeżdżaliśmy ze wzgórza, bandy uzbrojonych w noże i kije mężczyzn wbiegały już na Palatyn, gdzie można było znaleźć najbogatsze ludzkie łupy, a ja waliłem głową w ścianę powozu, bolejąc nad tym, że Cyncero nie zdecydował się uciec z Italii, kiedy miał jeszcze szansę.

Chcąc dotrzeć do Astury przed zmrokiem, kazałem nieszczęsnemu woźnicy okładać batem dwa konie tak mocno, aż boki spłynęły im krwią. Znaleźliśmy przewoźnika w jego chacie i choć zaczynał się przypływ i było prawie ciemno, przewiózł nas na odległą o trzysta stóp wysepkę, gdzie stała ukryta pośród drzew willa Cyncerona. Nie odwiedzał jej od miesiący i niewolników zaskoczył mój widok, ale nie przeszkadzało im wcale, że muszą zapalić ogień i ogrzać pokoje. Położywszy się na wilgotnym sienniku, słuchałem wiatru łomoczącego o dach i szeleszczącego wśród gałęzi. Przy każdym uderzeniu fal o skalisty brzeg i skrzypnięciu domu zamierałem z przerażenia, wyobrażając sobie, że

przybywają zabójcy Cyclerona. Gdybym zabrał ze sobą słoiczek z cykutą, pewnie wypiłbym ją tej nocy.

Nazajutrz pogoda była spokojniejsza, ale chodząc między drzewami i podziwiając przestwór szarego morza z białymi grzywami fal sunących w stronę brzegu, czułem, jak ogarnia mnie skrajne przygnębienie. Zastanawiałem się, czy mój plan nie był głupi i czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy pojechali od razu do Brundisium, które leżało przynajmniej po odpowiedniej stronie Italii, gdy ktoś zamierzał udać się na wschód. Ale wieści o proskrypcji i olbrzymich nagrodach za ucięte głowy z pewnością by nas wyprzedziły i nigdzie nie bylibyśmy bezpieczni. Cycero mógł w ogóle nie dotrzeć do portu żywy.

Posłałem mojego woźnicę do Tusculum z drugim listem do Cyclerona, w którym informowałem go, że przybyłem „na wyspę” – celowo unikałem konkretów, bojąc się, że wiadomość wpadnie w niepowołane ręce – i błagałem, by się pośpieszył. Następnie kazałem przewoźnikowi popłynąć do Ancjum i zobaczyć, czy zdoła wynająć jakąś łódź, którą popłynęlibyśmy wzdłuż wybrzeża. Popatrzył na mnie, jakbym stracił zmysły, domagając się czegoś takiego w zimie, gdy morze jest tak niebezpieczne, ale pogderawszy trochę, oddalił się i następnego dnia wrócił z wiadomością, że dziesięciowiosłowa łódź z żaglem pojawi się tutaj, kiedy

tylko uda im się przepłynąć siedem mil z Ancjum. Po załatwieniu tej sprawy mogłem już jedynie czekać.

* * *

Zalesiona wysepka Asturia była miejscem, w którym Cyncero schronił się po śmierci Tulii. Absolutna cisza, przerywana tylko odgłosami natury, okazała się dla niego kojąca; w moim przypadku było zupełnie inaczej: te dźwięki działały mi na nerwy, zwłaszcza kiedy mijał dzień za dniem i nic się nie działo. Stale wypatrywałem Cyncerona, ale dopiero późnym popołudniem piątego dnia dostrzegłem na brzegu ożywiony ruch. Spomiędzy drzew wyłoniły się dwie lektyki, którym towarzyszył orszak niewolników. Przewoźnik zabrał mnie do swojej łodzi i gdy podpłynęliśmy bliżej, zobaczyłem, że na plaży stoją Cyncero i Kwintus. Podchodząc, by się z nimi przywitać, doznałem szoku na ich widok. Żaden od dawna się nie przebierał ani nie golił; obaj mieli zaczerwienione od łez oczy. Padała lekka mżawka. Przemoczeni, wyglądali jak dwaj ubodzy starcy. Kwintus był w jeszcze gorszym stanie od Cyncerona. Po smutnym powitaniu rzucił okiem na wciągniętą na piasek, wynajętą przeze mnie łódź i oznajmił, że za żadne skarby do niej nie wsiądzie.

– To beznadziejny pomysł, drogi bracie – zwrócił się do Cyncerona. – Nie wiem, dlaczego pozwoliłem ci się tu zaciągnąć, poza tym, że zawsze robiłem to, co mi

mówiłeś. Spójrz na nas! Jesteśmy starzy, obu nam szwankuje zdrowie. Pogoda jest fatalna. Nie mamy pieniędzy. Postąpilibyśmy lepiej, idąc za przykładem Attyka.

– Gdzie jest Attyk? – zapytałem.

– Schronił się w Rzymie – odparł Cycero i wybuchnął płaczem. Nie próbował się nawet z tym kryć. A potem, tak samo nagle jak zaczął, przestał płakać i podjął przerwany wątek, jakby nic się nie stało. – Nie, przykro mi, Kwintusie. Nie mogę chować się w czyjejs piwnicy, drżąc za każdym razem, gdy ktoś puka do drzwi. Plan Tirona jest tak samo dobry jak każdy inny. Zobaczymy, jak daleko uda nam się dotrzeć.

– A zatem myślę, że musimy się rozstać – powiedział Kwintus. – Będę się modlił, żebyśmy się jeszcze spotkali, jeśli nie w tym życiu, to może w przyszłym.

Padli sobie w ramiona i mocno się uściskali, a potem Kwintus odsunął się od brata i uściskał mnie. Nikt z obserwujących tę scenę nie mógł powstrzymać łez. Ja w każdym razie byłem przepełniony smutkiem. Po chwili Kwintus wsiadł z powrotem do lektyki, która wkrótce zniknęła za drzewami.

Było zbyt późno, by wypływać jeszcze tego dnia, przewieziono nas więc do willi. Susząc się przy ogniu, Cycero wyjaśnił, że zmitrężył dwa dni w Tusculum, nie mogąc uwierzyć, że Oktawian go zdradził, pewien, że musiało zajść jakieś nieporozumienie. Dowiedział się

mniej więcej tyle: Oktawian spotkał się z Antoniuszem i Lepidusem w Bononii, na wyspie pośrodku rzeki – tylko we trójkę, z paroma sekretarzami; nie zabrali ze sobą obstawy i przeszukali się wzajemnie, żeby sprawdzić, czy żaden nie ma ukrytej broni – i w ciągu następnych trzech dni, negocjując od świtu do zmierzchu, podzielili między siebie truchło republiki, a żeby zapłacić swoim armiom, sporządzili listę śmierci zawierającą dwa tysiące nazwisk bogatych obywateli, w tym dwustu senatorów, których majątki miały zostać skonfiskowane.

– Dowiedziałem się od Attyka, któremu powiedział to konsul Pediusz, że każdy ze złoczyńców, na znak swojej dobrej woli, miał zgodzić się na śmierć kogoś, kto był mu szczególnie drogi. I tak Antoniusz poświęcił swojego wuja, Lucjusza Cezara, choć ten wstawiał się za nim w senacie; Lepidus swojego brata Emiliusza Paullusa; a Oktawian ofiarował mnie... Antoniusz upierał się przy tym, choć Pediusz utrzymuje, że chłopak zgodził się bardzo niechętnie.

– Wierzysz w to?

– Niespecjalnie. Zbyt często spoglądałem w te jego bladoszare bezduszne oczy. Śmierć człowieka nie robi na nim większego wrażenia niż śmierć muchy. – Cycero wydał z siebie westchnienie, które wstrząsnęło chyba całym jego ciałem. – Och, Tironie, jestem taki zmęczony! I pomyśleć, że na koniec przechytrył mnie młodzik,

który ledwie zaczął się golić! Masz tę truciznę, o którą cię prosiłem?

– Została w Tusculum.

– Cóż, w takim razie mogę się tylko modlić do nieśmiertelnych bogów, żeby pozwolili mi umrzeć we śnie tej nocy.

Ale nie umarł. Obudził się skrajnie przygnębiony i gdy staliśmy nazajutrz rano na nabrzeżu, czekając, aż zabiorą nas żeglarze, oznajmił nagle, że nigdzie nie popłynie. A potem łódź zbliżyła się na odległość głosu i jeden z marynarzy zawołał, że na drodze z Ancjum właśnie widział dowodzony przez trybuna oddział legionistów, zmierzający w naszą stronę. To natychmiast wyrwało Cyncerona z letargu. Wyciągnął rękę i marynarze pomogli mu wejść do łodzi.

Nasza podróż szybko upodobniła się do tej, którą odbyliśmy, udając się po raz pierwszy na wygnanie. Wyglądało to, jakby Matka Italia nie chciała rozstać się ze swym ulubionym synem. Przepłynęliśmy może ze trzy mile, trzymając się cały czas blisko wybrzeża, kiedy na szarym niebie pojawiły się sunące znad horyzontu wielkie czarne chmury. Zerwał się wiatr, podnosząc wysokie fale, i nasza mała łódź zaczęła stawać na nich niemal pionowo, by zaraz potem opadać z łoskotem, dziobem do przodu, wskutek czego zalewały nas potoki wody. Sztorm był jeszcze gorszy niż wtedy przed laty, bo tym razem nie mieliśmy gdzie się schronić. Cyncero i ja

siedzieliśmy skuleni, w nasuniętych na głowy kapturach, a wiosłarze usiłowali ustawić nas w poprzek do nadbiegających fal. Łódź nabrała wody i niebezpiecznie się zanurzyła. Wszyscy, nawet Cycero, musieliśmy pomóc w wybieraniu lodowatej wody, gorączkowo nabierając ją w dłonie i wylewając za burtę, by nie dopuścić do zatonięcia łodzi. Zdrętwiały nam kończyny i twarze. Nałykaliśmy się soli. Oślepił nas deszcz. W końcu, po kilku godzinach dzielnego wiosłowania, marynarze znaleźli się u kresu sił i powiedzieli nam, że muszą odpocząć. Po okrążeniu skalistego cypla wpłynęliśmy do małej zatoczki i dowiosłowawszy tak blisko plaży, jak tylko się dało, musieliśmy wszyscy wyskoczyć z łodzi i pobrnąć do brzegu. Cycero wpadł do wody prawie po pas i na plażę zaniósł go czterech marynarzy. Położyli go na ziemi i wrócili do swoich towarzyszy, by pomóc im z łodzią, którą wciągnęli na brzeg. Następnie przewrócili ją na bok, podparli gałęziami uciętymi z rosnących nieopodal drzew mirtowych i używając żagla i masztu, sklecieli coś w rodzaju prowizorycznej osłony. Udało im się nawet rozpalić ognisko, ale drewno było mokre i gnany wiatrem dym przyprawiał nas o kaszel i szczypał w oczy.

Wkrótce zapadła ciemność i Cycero, z którego ust nie padło nawet słowo skargi, chyba zasnął. Tak skończył się piąty dzień grudnia.

Obudziwszy się o świcie szóstego, po niespokojnej nocy, zobaczyłem, że się trochę przejaśniło. Byłem przemarznięty do szpiku kości, wilgotne ubranie zeszywniało mi od soli i piasku. Z trudem podniosłem się na nogi i rozejrzałem dokoła. Wszyscy nadal spali – z wyjątkiem Cyclerona, który gdzieś zniknął.

Zlustrowałem wzrokiem plażę i morze, a potem odwróciłem się w stronę drzew. Biegła między nimi wąska ścieżka i ruszyłem nią, wołając go po imieniu. Ścieżka dochodziła do drogi i zobaczyłem na niej Cyclerona, który szedł chwiejnym krokiem. Zawołałem do niego ponownie, ale mnie zignorował. Powoli i niepewnie podążał tam, skąd przy płynęliśmy. Dogoniłem go i idąc obok, przemówiłem do niego ze spokojem, którego wcale nie czułem.

– Musimy wrócić do łodzi. Niewolnicy w domu mogli powiedzieć legionistom, dokąd zmierzamy. Pościg może być blisko. Dokąd idziesz?

– Do Rzymu – odparł, nie patrząc na mnie i nie zwalniając kroku.

– Po co?

– Żeby zabić się na progu domu Oktawiana. Umrze ze wstydu.

– Na pewno nie umrze – odrzekłem, łapiąc go za ramię – bo nie ma wstydu, a żołnierze będą cię torturować aż do śmierci, tak jak to zrobili z Treboniuszem.

Zerknął na mnie i się zatrzymał.

– Tak uważasz?

– Ja to wiem – powiedziałem i pociągnąłem go łagodnie za ramię.

Nie opierał się, tylko pochylił głowę i pozwolił, bym poprowadził go jak dziecko między drzewami, z powrotem na plażę.

* * *

Jak smutne jest przeżywanie tego wszystkiego na nowo! Ale nie mam wyboru, jeśli chcę spełnić daną mu obietnicę i opowiedzieć historię jego życia.

Załadowaliśmy go z powrotem na łódź i ponownie wypłynęliśmy na morze. Dzień był szary i bezkresny, niczym u zarania czasu. Wiosłowaliśmy przez wiele godzin, wspierani przez bryzę, która wypełniła żagiel, i do końca dnia pokonaliśmy, wedle mojej oceny, około dwudziestu pięciu mil. Gdy mijaliśmy słynną świątynię Apollina wznoszącą się na cyplu nieopodal Gaety, Cycero, który przez cały czas siedział zgarbiony, wpatrując się nieobecny wzrokiem w wybrzeże, nagle poznał ją i się wyprostował.

– Jesteśmy blisko Formiae – powiedział. – Mam tam dom.

– Wiem o tym.

– Przenocujmy tam.

– To zbyt ryzykowne. Wszyscy wiedzą, że masz willę w Formiae.

– Nie dbam o to – odparł i w jego głosie zabrzmiało coś z dawnej stanowczości. – Chcę się przespać w swoim własnym łóżku.

Powiosłowaliśmy zatem w stronę wybrzeża i dobiliśmy do małego, wcinającego się w morze pomostu, który zbudowano w niewielkiej odległości od willi. Kiedy przycumowaliśmy, z pobliskich drzew wzbilo się z krakaniem wielkie stado wron, jakby chciały nas ostrzec, i poprosiłem Cycerona, żeby pozwolił mi przynajmniej sprawdzić, zanim zejdzie na brzeg, czy gdzieś w pobliżu nie czają się jego wrogowie. Zgodził się na to, a ja wraz z kilkoma marynarzami podążyłem znajomą ścieżką, która doprowadziła nas do Via Appia. Było już prawie ciemno. Droga była pusta. Przeszedłem mniej więcej pięćdziesiąt kroków do miejsca, w którym za dwuskrzydłową żelazną bramą stała willa Cycerona. Ruszyłem podjazdem, zapukałem mocno w dębowe drzwi i po krótkiej chwili zaskrzypiały odciągane zasuwki i pojawił się odźwierny, wyraźnie zaskoczony na mój widok. Zerknąłem ponad jego ramieniem do środka i zapytałem, czy pana nie szukali jacyś obcy. Zapewnił mnie, że nikt tu nie przychodził. Był poczciwym prostym człowiekiem. Znałem go od lat i mu uwierzyłem.

– W takim razie – powiedziałem – poślij na pomost czterech niewolników z lektyką, żeby przynieśli pana do

willi, a tymczasem przygotuj dla niego gorącą kąpiel, świeżą odzież i coś do zjedzenia, bo jest w marnym stanie.

Posłałem również dwóch innych niewolników, żeby wypatrywali na Via Appia tego tajemniczego i złowrogiego oddziału legionistów, który, jak się zdawało, był na naszym tropie.

Cycerona przyniesiono do willi i zamknięto za nim bramę i drzwi.

Później mało go widziałem. Wziąwszy kąpiel, zjadł trochę i napił się wina w swoim pokoju, po czym zasnął.

Ja też zasnąłem – i to mimo wszystkich obaw, głębokim snem, tak wielkie było moje zmęczenie – i nazajutrz rano musiał mnie gwałtownie obudzić jeden z niewolników, którego posłałem na Via Appia. Był zdyszany i wystraszony. Z północnego zachodu maszerował w stronę domu oddział trzydziestu pieszych legionistów z centurionem i wojskowym trybunem na koniach. Dzieliło ich od nas niecałe pół godziny drogi.

Pobiegłem obudzić Cycerona. Nakrył się kocem pod samą brodę i nie chciał się poruszyć, ale i tak go z niego ściągnąłem.

– Idą po ciebie – powiedziałem, nachylając się ku niemu. – Prawie tu są. Musimy uciekać.

Uśmiechnął się i przyłożył mi dłoń do policzka.

– Niech tu przyjdą, stary przyjacielu. Nie boję się.

– Wstań, proszę – zacząłem go błagać. – Jeśli nie ze względu na siebie, to na mnie... ze względu na Marka

i swoich przyjaciół...

Moim zdaniem poruszyła go wzmianka o Marku.

– No dobrze. – Westchnął ciężko. – Ale to zupełnie bez sensu.

Wyszedłem, by dać mu się ubrać, i biegałem po domu, wydając rozkazy: lektyka ma zostać natychmiast podstawiona, łódź gotowa do wypłynięcia, z marynarzami przy wiosłach, drzwi i brama zamknięte zaraz po naszym wyjściu. Domowi niewolnicy mieli opuścić zabudowania i ukryć się gdzie kto może.

Przez cały czas miałem wrażenie, że słyszę coraz głośniejsze miarowe kroki legionistów.

Po długim czasie – o wiele, wiele za długim! – Cycero pojawił się, wyglądając tak nieskazitelnie, jakby wybierał się, by przemówić w senacie. Przeszedł przez całą willę, żegnając się ze wszystkimi. Domownicy mieli łzy w oczach. Rozejrzał się po raz ostatni, jak gdyby żegnał się z budynkiem i z całym swoim dobytkiem, po czym wsiadł do lektyki, zaciągnął zasłony, by nikt nie widział jego twarzy, i wyszliśmy przez bramę. Ale niewolnicy, zamiast czym prędzej się rozpierzchnąć, złapali, co tylko mogło posłużyć za broń – grabie, miotły, pogrzebacze, kuchenne noże – i upierając się, że będą nas eskortować, sformowali wokół lektyki prymitywną wiejską falangę. Pokonaliśmy krótki odcinek drogi i skręciliśmy na ścieżkę wiodącą przez las. Między drzewami zobaczyłem lśniące w porannym słońcu morze. Ratunek wydawał się bliski.

Ale potem, u wylotu ścieżki, tam gdzie dochodziła do plaży, pojawił się tuzin legionistów.

Niewolnicy idący na czele naszego niewielkiego pochodu wydali ostrzegawczy okrzyk i ci, którzy nieśli lektykę, zaczęli ją zawracać. Zachwiała się przy tym niebezpiecznie i Cycero o mało z niej nie wypadł. Ruszyliśmy z powrotem ścieżką, którą przyszliśmy, tylko po to, by odkryć, że kolejni żołnierze blokują nam dostęp do drogi.

Znaleźliśmy się w pułapce, w obliczu przeważających sił wroga, skazani na porażkę. Mimo to mieliśmy zamiar walczyć. Niewolnicy opuścili lektykę na ziemię i stanęli wokół niej. Cycero odsunął zasłonę, by zobaczyć, co się dzieje.

– Niech nikt nie stawia oporu! – zawołał do mnie, widząc zbliżających się do nas szybko żołnierzy. – Odłóżcie wszyscy broń! – powiedział do niewolników. – Sprawiacie mi zaszczyt, okazując tak wielkie oddanie, ale jedyną krwią, która ma tu zostać rozlana, jest moja własna.

Legioniści mieli obnażone miecze. Dowodzący nimi wojskowy trybun był włóchatym śniadym osiłkiem. Jego brwi łączyły się tuż pod krawędzią hełmu, tworząc jedną gęstą czarną kreskę.

– Marku Tuluszu Cyceronie, mam nakaz twojej egzekucji! – zawołał.

Cycero, wciąż leżąc w swojej lektyce i podpierając dłonią podbródek, zmierzył go bardzo spokojnym wzrokiem.

– Znam cię – powiedział. – Jestem tego pewien. Jak się nazywasz?

– Moje nazwisko, jeśli musisz je znać, brzmi Gajusz Popiliusz Lenas – odparł trybun wyraźnie stropiony. – I faktycznie się znamy; nic ci to jednak nie pomoże.

– Popiliusz – mruknął Cycero. – Zgadza się. Pamiętasz tego człowieka, Tironie? – zwrócił się do mnie. – Był naszym klientem, na samym początku mojej kariery... to ten piętnastolatek, który zamordował własnego ojca. Zostałby skazany na karę śmierci za ojcobójstwo, gdybym go nie wybronił... warunkiem było, że ma wstąpić do wojska. – Cycero roześmiał się. – Przypuszczam, że tkwi w tym jakaś sprawiedliwość.

Przyjrzałem się Popiliuszowi i rzeczywiście go poznałem.

– Dostyc tego gadania. Z wyroku Komisji Konstytucyjnej kara śmierci powinna być wymierzona niezwłocznie – powiedział i dał znak żołnierzom, żeby wyciągnęli Cyncerona z lektyki.

– Zaczekaj – rzekł Cycero. – Zostaw mnie tutaj. Pomyślałem sobie, że zginę w ten sposób – dodał, po czym oparł się na łokciach niczym zwyciężony gladiator, odchylił do tyłu głowę i odsłonił szyję.

– Skoro tego właśnie chcesz – mruknął Popiliusz i odwrócił się do swojego centuriona. – Załatwmy to wreszcie.

Centurion zajął odpowiednią pozycję. Zaparł się mocniej nogami. Miecz zatoczył krąg, błysnęło ostrze i w tym momencie Cycero poznał rozwiązanie zagadki, która dręczyła go przez całe życie, i wolność zniknęła z oblicza ziemi.

* * *

Ucięli mu potem głowę i dłonie i wsadzili je do worka. Kazali nam usiąść i patrzeć, jak to robią. Następnie odmaszerowali. Mówiono mi, że Antoniusza tak ucieszyły te dodatkowe trofea, że nagroził Popiliusza premią w wysokości miliona sestercji. Powiadają również, że Fulwia przebiła igłą język Cyclerona. Prawdą jest z pewnością to, że na rozkaz Antoniusza głowa, z której ust wygłoszone zostały filipiki, i ręce, które je napisały, przybito gwoździami do rostrów jako ostrzeżenie dla tych, którzy chcieliby sprzeciwić się triumwiratowi, i wisiały tam przez długie lata, aż w końcu zgniły i odpadły.

Po odejściu zabójców zanieśliśmy ciało Cyclerona na plażę, ułożyliśmy stos i spaliliśmy je o zmierzchu. A potem pojechałem na południe, do mojej posiadłości nad Zatoką Neapolitańską.

Pomału dowiadywałem się coraz więcej o tym, co się wydarzyło.

Kwintus został wkrótce potem ujęty i stracony razem ze swoim synem.

Attyk wyszedł z ukrycia i został ułaskawiony przez Antoniusza z powodu pomocy, której udzielił Fulwii.

A znacznie, znacznie później Antoniusz popełnił samobójstwo, wraz ze swoją kochanką Kleopatram, po tym, jak Oktawian pokonał ich w bitwie. Chłopiec jest teraz cesarzem Augustem.

Ale napisałem już dosyć.

Od zdarzeń, które tu przedstawiłem, minęło wiele lat. Z początku myślałem, że nigdy nie dojdę do siebie po śmierci Cyncerona. Ale czas zaciera wszystko, nawet smutek. Właściwie nie waham się stwierdzić, że smutek jest jedynie kwestią perspektywy. Przez kilka pierwszych lat zwykłem wzdychać i powtarzać sobie w duchu: „No cóż, miałyby teraz dobrze po sześćdziesiątce”, a potem, dziesięć lat później: „Wielkie nieba, miałyby już siedemdziesiąt pięć lat”. Lecz teraz myślę: „Cóż, tak czy owak, od dawna by już nie żył, więc jakie ma znaczenie, jak umarł, w porównaniu z tym, jak żył?”.

Moja praca jest już wykonana. Moja książka ukończona. Wkrótce ja też umrę.

W letnie wieczory siadam na tarasie razem z Agathe, moją żoną. Ona szyje, a ja wpatruję się w gwiazdy. W takich chwilach przypominam sobie zawsze traktat

O republice i myślę o miejscu, w którym we śnie Scypiona mieszkają zmarli mężowie stanu.

Rozglądałem się na wszystkie strony i widok był niezmiernie piękny. Widziałem gwiazdy, których nigdy nie zobaczymy z ziemi, i wszystkie były większe, niż kiedykolwiek sobie wyobrażaliśmy. Rozgwieżdżone sfery były o wiele większe od ziemi. Ta wydała mi się zaiste tak mała, że pogardzałem naszym imperium, które właściwie zajmuje tylko znikomą skrawek jej powierzchni.

„Jeśli tylko podniesiesz wysoko wzrok – mówi stary mąż stanu Scypionowi – i pomyślisz o tym miejscu wiecznego spoczynku, przestaniesz się przejmować plotkami pospólstwa i pokładać nadzieję, że nagrodzi cię ono za tve wysiłki. Nie przetrwa też długo reputacja żadnego człowieka, ponieważ to, co mówią ludzie, umiera wraz z nimi i zaciera się w pamięci potomnych”.

Zostanie po nas tylko to, co jest zapisane.

Słowniczek

Auspicja – dobre lub złe wróżby, które augurowie wysnuwali z lotu ptaków i wyładowań atmosferycznych; jeśli były niepomyślne, nie można było rozpocząć obrad ani żadnej ceremonii państwowej.

Balista – machina miotająca pociski, najczęściej używana przy oblężeniach miast.

Centuria – jednostka podziału społeczeństwa rzymskiego, oparta na cenzusie majątkowym; istniały 193 centurie, z czego 98 reprezentowało bogatsze warstwy; podczas zgromadzeń centurialnych na Polu Marsowym wybierano najważniejszych urzędników – konsulów, pretorów i cenzorów – oraz decydowano o wojnie i pokoju.

Dyktator – urzędnik, któremu senat powierzał absolutną władzę nad sprawami cywilnymi i wojskowymi, na ogół w obliczu poważnego zagrożenia państwa.

Edyl – jeden z czterech wybieranych co rok urzędników, którzy sprawowali władzę w mieście Rzymie:

pilnowali prawa i porządku, zarządzali budynkami publicznymi i nadzorowali przepisy regulujące działalność gospodarczą.

Ekwici – pod względem ważności druga po senatorach klasa społeczna w Rzymie; „stan rycerski” miał swoich własnych urzędników i przywileje oraz prawo do jednej trzeciej miejsc w sądach; jego członkowie byli często bogatsi od senatorów, ale nie udzielali się politycznie.

Galia – podzielona na dwie prowincje: Galię Przedalpejską, rozciągającą się od rzeki Rubikon w północnej Italii do Alp, oraz Galię Zaalpejską, obejmującą ziemie za Alpami, odpowiadające z grubsza regionom Prowansji i Langwedocji w dzisiejszej Francji.

Haruspikowie – urzędnicy religijni, którzy badali wnętrzności składanych w ofierze zwierząt, żeby orzec, czy wróżby są pomyślne, czy niepomyślne.

Imperator – tytuł przyznawany przez żołnierzy dowódcy wojskowemu w czynnej służbie po odniesionym przez niego zwycięstwie; aby móc odbyć triumf, dowódca musiał zostać obwołany imperatorem.

Imperium – władza przyznawana przez państwo jednostce, przeważnie konsulowi, pretorowi albo namiestnikowi prowincji.

Impluwium – znajdujący się w atrium basen, w którym przechowywano wodę deszczową.

Karcer – rzymskie więzienie usytuowane na skraju Forum i Kapitolu, między świątynią Konkordii a siedzibą senatu.

Komicjum – okrągły plac na Forum o średnicy około trzystu stóp, usytuowany pomiędzy budynkiem senatu a rostrami; miejsce, gdzie zgodnie z tradycją lud przegłosowywał ustawy i mieściły się trybunały sądowe.

Konsul – najwyższy urzędnik republiki rzymskiej; co rok wybierano ich dwóch, na ogół w lipcu, i obejmowali urząd w styczniu, przewodnicząc na zmianę przez miesiąc obradom senatu.

Krzesło kurulne – pozbawione oparcia krzesło z niskimi poręczami, często zdobione kością słoniową; zasiadali na nim urzędnicy, którym przyznano imperium, przede wszystkim konsulowie i pretorzy.

Kwestor – jeden z młodszych urzędników, których co roku wybierano w liczbie dwudziestu i którzy nabywali w ten sposób prawo wejścia do senatu; kandydat na kwestora musiał mieć ukończone trzydzieści lat i majątek wart milion sestercji.

Legat – zastępca lub delegat.

Legion – największa jednostka w rzymskiej armii; przy pełnym stanie osobowym składał się z około 5000 żołnierzy.

Liktor – funkcjonariusz, który nosił *fasces* – pęk związanych czerwonym rzemieniem brzoźowych

różg, symbolizujących władzę urzędnika; konsulowi towarzyszyło dwunastu liktorów, którzy służyli jako jego ochrona, pretorom sześciu; najstarszego liktora, który stał najbliżej urzędnika, nazywano liktorem najbliższym.

Manumisja – wyzwolenie niewolnika.

Murmillio – gladiator walczący boso i posługujący się prostym mieczem.

Najwyższy kapłan – zobacz: pontifex maximus.

Oskarżenia prywatne – ponieważ w republice rzymskiej nie istniał system oskarżenia publicznego, wszystkie zarzuty kryminalne, poczynając od malwersacji, po zdradę i zabójstwo, musiały być wnoszone przez osoby prywatne.

Pontifex maximus – najwyższy kapłan rzymskiej religii państwowej, przewodniczący piętnastoosobowego Kolegium Kapłańskiego; miał prawo mieszkać przy Via Sacra.

Pretor – drugi w hierarchii urzędnik republiki rzymskiej; co rok wybierano ich ośmiu, na ogół w lipcu, a urząd obejmowali w styczniu następnego roku; losowanie decydowało o tym, któremu z różnych sądów – zajmujących się zdradą stanu, malwersacjami, korupcją, ciężkimi zbrodniami itd. – będą przewodniczyć. Zobacz również: pretor miejski.

Pretor miejski – przewodniczył całemu systemowi sprawiedliwości, przełożony wszystkich pretorów;

trzecia osoba w republice, po obu konsulach.

Rostra – ozdobione posągami bohaterów, wysokie na dwanaście stóp, długie łukowate podium na Forum, z którego do ludu rzymskiego przemawiali urzędnicy i adwokaci; jego nazwa pochodzi od osadzonych po bokach dziobów (*rostra*) zdobytych nieprzyjacielskich okrętów.

Senat – nie był zgromadzeniem ustawodawczym republiki rzymskiej – prawa mógł uchwalać wyłącznie lud na zgromadzeniu ludowym – ale czymś bardziej zbliżonym do władzy wykonawczej, z 600 członkami, którzy mogli podnosić sprawy państwa i rozkazać konsulowi podjęcie jakichś działań względnie proponować projekty ustaw, zatwierdzanych później przez lud; po wyborze na kwestora (zobacz: kwestor) mężczyzna mógł normalnie pozostać senatorem do końca życia, chyba że został usunięty przez cenzorów za niemoralne prowadzenie się lub bankructwo; średni wiek senatora był w związku z tym wysoki (słowo *senatus* pochodzi od *senex* – stary).

Sestercja – srebrna moneta o wartości 2,5 g kruszcu.

Stan rycerski – patrz: ekwici.

Talant – jednostka wagi służąca do odmierzania głównie złota i srebra; rzymski talent wynosił 32,3 kg.

Triumf – zaszczyt urzędzenia uroczystej defilady po powrocie do Rzymu, przyznawany przez senat zwycięskiemu dowódcy; żeby się o niego ubiegać,

musiał zachować swoje imperium, a ponieważ tym, którzy posiadali nadal władzę wojskową, nie wolno było wjeżdżać do Rzymu, dowódcy pragnący odbyć triumf, musieli czekać pod miastem, aż senat przyzna im ten zaszczyt.

Trybun – jeden z dziesięciu reprezentantów zwykłych obywateli – plebejuszy – których co rok wybierano w lecie, a obejmowali urząd w grudniu i mieli prawo proponować i wetować ustawy oraz zwoływać zgromadzenie ludowe; urzędu tego nie mógł sprawować nikt spoza stanu plebejskiego.

Trybus – lud rzymski podzielony był na trzydzieści pięć trybusów, które uchwalały prawa i wybierały trybunów; w przeciwieństwie do głosowania w systemie centurii, tutaj głosy biednych i bogatych liczyły się tak samo.

Zgromadzenie ludowe – najwyższą władzę, również ustawodawczą, w republice rzymskiej sprawował lud, zorganizowany w trybusy (tzw. *comitia tributa*, gdzie przegłosowywano prawa i wybierano trybunów) albo w centurie (tzw. *comitia centuriata*, które wybierały najwyższych urzędników oraz decydowały o wojnie i pokoju).

Od autora

Dyktator opowiada historię ostatnich piętnastu lat życia rzymskiego męża stanu Cyncerona, przedstawioną w postaci biografii pisanej przez jego sekretarza Tirona.

Że ktoś taki jak Tiron istniał i że napisał taką księgę, to fakty potwierdzone historycznie. Urodził się jako niewolnik w rodzinnej posiadłości, trzy lata po swoim panu, ale przeżył go o wiele lat, dożywając, według świętego Hieronima, setnego roku życia.

„Usługi, jakie mi oddajesz, są nie do policzenia – w domu i poza nim, w Rzymie i za granicą, w sprawach prywatnych i publicznych, w moich studiach i w pracy literackiej...”, pisał do niego Cyncero w 50 roku p.n.e. Tiron był pierwszym człowiekiem, który zapisywał w dosłownym brzmieniu obrady senatu, a jego system stenografii, znany pod nazwą *notae tironiane*, używany był w Kościele jeszcze w szóstym wieku naszej ery; pewne jego elementy (takie jak symbol „&”, skróty etc., nb., i.e., e.g.) funkcjonują po dziś dzień. Napisał również kilka traktatów na temat rozwoju łaciny. O jego

wielotomowej biografii Cycerona pisze historyk pierwszego wieku naszej ery, Askoniusz Pedianus; dwukrotnie cytuje ją Plutarch. Niestety, podobnie jak reszta literackiego dorobku Tirona dzieło to przepadło podczas upadku cesarstwa rzymskiego.

Można się zastanawiać, co w nim zawarł. Życie Cycerona było niezwykle, nawet gdy weźmie się pod uwagę, na jak przełomową epokę przypadło. Choć w przeciwieństwie do swoich arystokratycznych rywali nie mógł się poszczycić wysokim pochodzeniem, a także nie interesowały go sprawy wojskowe, to dzięki swoim talentom oratorskim i błyskotliwej inteligencji zabłysł niczym meteor na firmamencie rzymskiego systemu politycznego, by wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu już w wieku czterdziestu dwóch lat – a więc najmłodszym możliwym – zwyciężyć w wyborach na konsula.

W obfitującym w kryzysy 63 roku p.n.e., kiedy pełnił ten urząd, zmuszony był walczyć z uknutym przez Sergiusza Katylinę spiskiem, mającym na celu obalenie republiki. Żeby stłumić rewoltę, senat pod przewodnictwem Cycerona skazał na śmierć pięciu czołowych obywateli. Epizod ten położył się cieniem na całej jego dalszej karierze.

Kiedy po jakimś czasie trzej najpotężniejsi ludzie w Rzymie – Juliusz Cezar, Pompejusz Wielki i Marek Krassus – połączyli siły, tworząc tak zwany triumwirat,

który miał rządzić państwem, Cyncero postanowił im się przeciwstawić. W odwecie Cezar, wykorzystując to, że był najwyższym kapłanem, by zniszczyć Cyncerona, posłużył się jego dawnym wrogiem, ambitnym arystokratycznym demagogiem, Klodiuszem. Zezwalając Klodiuszowi na wyrzeczenie się statusu patrycjusza i zostanie plebejuszem, Cezar umożliwił jego wybór na trybuna. Trybuni mieli prawo doprowadzać obywateli przed oblicze ludu, prześladować ich i skazywać. Cyncero szybko stwierdził, że nie ma innego wyboru: musi uciekać z Rzymu. W tym właśnie dramatycznym momencie jego losów zaczyna się *Dyktator*.

Moim celem było przedstawienie – na tyle dokładnie, na ile pozwala konwencja literacka – ostatnich chwil republiki rzymskiej, tak jak mogli je postrzegać Cyncero oraz Tiron. Wszędzie tam, gdzie było to możliwe, listy, mowy oraz opisy wydarzeń zostały zaczerpnięte z oryginalnych źródeł.

Zważywszy, że akcja *Dyktatora* rozgrywa się w epoce, którą można chyba uznać za najbardziej burzliwą w ludzkich dziejach – przynajmniej do dramatycznych lat 1933–1945 – w książce zamieszczono mapy, słowniczek i listę głównych postaci. Dzięki nim czytelnikowi łatwiej będzie odnaleźć się w poszerzającym się i rozpadającym świecie Cyncerona.

Robert Harris
Kintbury, 8 czerwca 2015

Podziękowania

W ciągu przeszło dwunastu lat, jakie zajęło mi napisanie tej powieści, oraz dwóch, które ją poprzedziły, największy dług zaciągnąłem wobec autorów edycji zebranych mów, listów i pism Cyserona, opublikowanej przez Harvard University Press w serii Loeb Classical Library. Byłem zmuszony redagować i skracać słowa Cyserona, ale wszędzie, gdzie mogłem, starałem się, by jego głos pozostawał słyszalny. Loeb był moją Biblią.

Korzystałem również stale z wielkich dziewiętnastowiecznych słowników, wydanych przez Williama Smitha: *Dictionary of Greek and Roman Antiquities*, *Dictionary of Greek and Roman Biography and Mythology* (trzy tomy) oraz *Dictionary of Greek and Roman Geography*; obecnie można z nich korzystać bezpłatnie w internecie. Nieocenione były także *The Magistrates of the Roman Republic, Volume II, 99 BC – 31 BC* T. Roberta S. Broughtona i *The Barrington Atlas of the Greek and Roman World*, wydany przez Richarda J.A. Talberta. I znów wszędzie, gdzie mogłem, opierałem się

na faktach i opisach zaprezentowanych w oryginalnych źródłach – u Plutarcha, Appiana, Sallusta i Cezara – i jestem wdzięczny wszystkim tym uczonym oraz tłumaczom, którzy je udostępnili i których słów użyłem.

Wśród biografii Cycerona i poświęconych mu książek, z których zaczerpnąłem niezliczone pomysły i spostrzeżenia, mogę wymienić: *Cicero: A Turbulent Life* Anthony’ego Everitta, *Cicero: A Portrait* Elizabeth Rawson, *Cicero* D.R. Shackletona Baileya, *Cicero and his Friends* Gastona Bossiera, *Cicero: The Secrets of his Correspondence* Jérôme’a Carcopina, *Cicero: A Political Biography* Davida Stocktona, *Cicero: Politics and Persuasion in Ancient Rome* Kathryn Tempest, *Cicero as Evidence* Andrew Lintotta, *The Hand of Cicero* Shane’a Butlera, *Terentia, Tullia and Publia: The Women of Cicero’s Family* Susan Treggiari, *The Cambridge Companion to Cicero* pod red. Catherine Steel, a także – wciąż przydatne i dające się czytać – opublikowane w 1741 roku przez Conyersa Middletona (1683–1750) dzieło *The History of the Life of Marcus Tullius Cicero*.

Do biografii postaci współczesnych Cyceronowi, które uznałem za szczególnie użyteczne, należą: *Caesar* Christiana Meiera, *Caesar* Adriana Goldsworthy’ego, *The Death of Caesar* Barry’ego Straussa, *Pompey* Robina Seagera, *Marcus Crassus and the Late Roman Republic* Allena Warda, *Marcus Crassus, Millionaire* Franka Adcocka, *The Patrician Tribune: Publius Clodius Pulcher*

W. Jeffrey Tatum oraz *Catullus: A Poet in the Rome of Julius Caesar* Aubrey Burla.

Jeśli chodzi o ogólną atmosferę Rzymu – jego kulturę, społeczeństwo oraz strukturę polityczną – sięgnąłem do trzech prac niezrównanego Petera Wisemana: *New Men in the Roman Senate*, *Catullus and His World* oraz *Cinna the Poet and other Roman essays*. Muszę tu również wymienić *The Crowd in Rome in the Late Republic* Fergus Millara, który analizuje, jak mogła funkcjonować polityka w Rzymie Cyncerona. Wartościowe były także *Intellectual Life in the Late Roman Republic* Elizabeth Rawson, *The Constitution of the Roman Republic* Andrew Lintotta, *The Roman Forum* Michaela Granta, *Roman Aristocratic Parties and Families* Friedricha Münzera (w przekładzie Thérèse Ridley) oraz (oczywiście) *The Roman Revolution* Ronalda Syme'a i *History of Rome* Theodore'a Mommsena.

Jeśli chodzi o fizyczne odtworzenie republikańskiego Rzymu, polegałem na wiedzy zawartej w *A New Topographical Dictionary of Ancient Rome* L. Richardsona jr., *A Topographical Dictionary of Rome* Samuela Balla Platnera, *Pictorial Dictionary of Ancient Rome* (dwa tomy) Ernesta Nasha oraz w prowadzonym pod kierownictwem Lothara Hasselbergera projekcie badawczym *Journal of Roman Archaeology* pod tytułem *Mapping Augustan Rome*.

Specjalne podziękowania należą się Tomowi Hollandowi, którego wspaniałe dzieło *Rubicon: The Triumph and Tragedy of Roman Republic* (2003) po raz pierwszy podsunęło mi pomysł napisania fikcyjnej opowieści o przyjaźniach, rywalizacji i wrogości między Cyncerem, Cezarem, Pompejuszem, Katonem, Krassusem i całą resztą.

Dyktator jest moim czwartym wypadem w świat antyku, który odwiedziłem po raz pierwszy, pisząc *Pompeje* (2003). Jedną z wielkich przyjemności tego czasu była możliwość poznania specjalistów od historii Rzymu, którzy wszyscy bez wyjątku wspierali mnie, do tego stopnia, że zostałem nawet w 2008 roku wybrany na stanowisko prezesa Classical Association i pełniłem je z dumą, choć zdecydowanie niczym się nie wyróżniając. Za przeróżne słowa zachęty i dobre rady w ciągu tych lat chciałbym podziękować zwłaszcza Mary Beard, Andrew Wallace-Hadrillowi, Jasperowi Griffinowi, Tomowi Hollandowi, Bobowi Fowlerowi, Peterowi Wisemanowi oraz Andrei Carandini. Przepraszam tych, o których zapomniałem, i naturalnie zwalnię wszystkich wyżej wymienionych od jakiegokolwiek odpowiedzialności za to, co napisałem.

Dwójką wydawców, którzy jako pierwsi podpisali ze mną umowę na powieść o Cynceronie, byli Sue Freestone w Londynie i David Rosenthal w Nowym Jorku. Podobnie jak w państwie rzymskim, u obojga wiele się zmieniło, ale

chciałbym im podziękować za początkowy entuzjazm i trwającą dalej przyjaźń. Ich następcy, Jocasta Hamilton i Sonny Mehta, godnie przejęli po nich pałeczkę i umiejętnie doprowadzili projekt do końca. Dziękuję także Gail Rebeck i Susan Sandon za to, że mężnie trzymały się kursu. Moja agentka, Pat Kavanagh, ku wielkiemu mojemu żalowi, a także wszystkich jej autorów, nie dożyła ukończenia dzieła, które tak hołubiła. Mam nadzieję, że by się jej spodobało. Dziękuję moim innym agentom, Michaelowi Carlisle'owi z Inkwell Management w Nowym Jorku oraz Nicki Kennedy i Samowi Edenboroughowi z ILA w Londynie. Szanowny Wolfgang Müller, mój niemiecki tłumacz, po raz kolejny pełnił rolę nieoficjalnego redaktora. Joy Terekiev i Cristiana Moroni, z Mondadori we Włoszech, odbyły ze mną, w sensie dosłownym, podróż do Tusculum i Formiae.

I wreszcie – wreszcie! – chciałbym jak zawsze podziękować mojej żonie, Gill, a także moim dzieciom, Holly, Charliemu, Matildzie i Samowi, którym pół życia upłynęło w cieniu Cycyrona. Mimo to, a może właśnie dlatego, Holly wybrała studia klasyczne i wie teraz o świecie starożytnym znacznie więcej niż jej stary tato, w związku z czym to jej dedykowana jest ta książka.

Przypisy

- [1](#) Pojęcia, które mogą być niejasne, są wyjaśnione w słowniczku.
- [2](#) Dzisiejsze miasto Durres w Albanii.
- [3](#) Homer, *Odyseja*, przekład Jana Parandowskiego, Warszawa 1956.
- [4](#) Dzisiejsza Piacenza nad rzeką Pad w północnych Włoszech.
- [5](#) Obecnie Modena.
- [6](#) Gajusz Juliusz Cezar, *Wojna galijska*, przeł. Eugeniusz Konik.
- [7](#) Niegdyś była to siedziba królów Rzymu, później miejsce urzędowania najwyższego kapłana.
- [8](#) Czyli 54 roku p.n.e.
- [9](#) Suche północne wiatry wiejące od maja do października we wschodniej części Morza Śródziemnego.
- [10](#) Ulica Rymarzy, najstarsza ulica prowadząca na Forum.
- [11](#) Zgodnie z zasadami liczenia godzin w starożytnym Rzymie, oznacza to świt.
- [12](#) Dzisiejsza Bolonia.
- [13](#) Most na Palach – najstarszy, drewniany most w Rzymie, zbudowany ok. roku 642 p.n.e.

Spis treści

O książce	2
Strona tytułowa	4
O autorze	5
Tego autora	6
Strona redakcyjna	7
Dedykacja	9
Spis treści	10
Dramatis personae	12
Motto	18
Część pierwsza – Wygnanie	21
I	22
II	60
III	83
IV	118
V	146
VI	183
VII	214
VIII	238
IX	264
X	288
XI	323
Część druga – Powrót	356
XII	357
XIII	390
XIV	424
XV	462

XVI	497
XVII	527
XVIII	558
XIX	591
Słowniczek	615
Od autora	621
Podziękowania	625
Przypisy	630